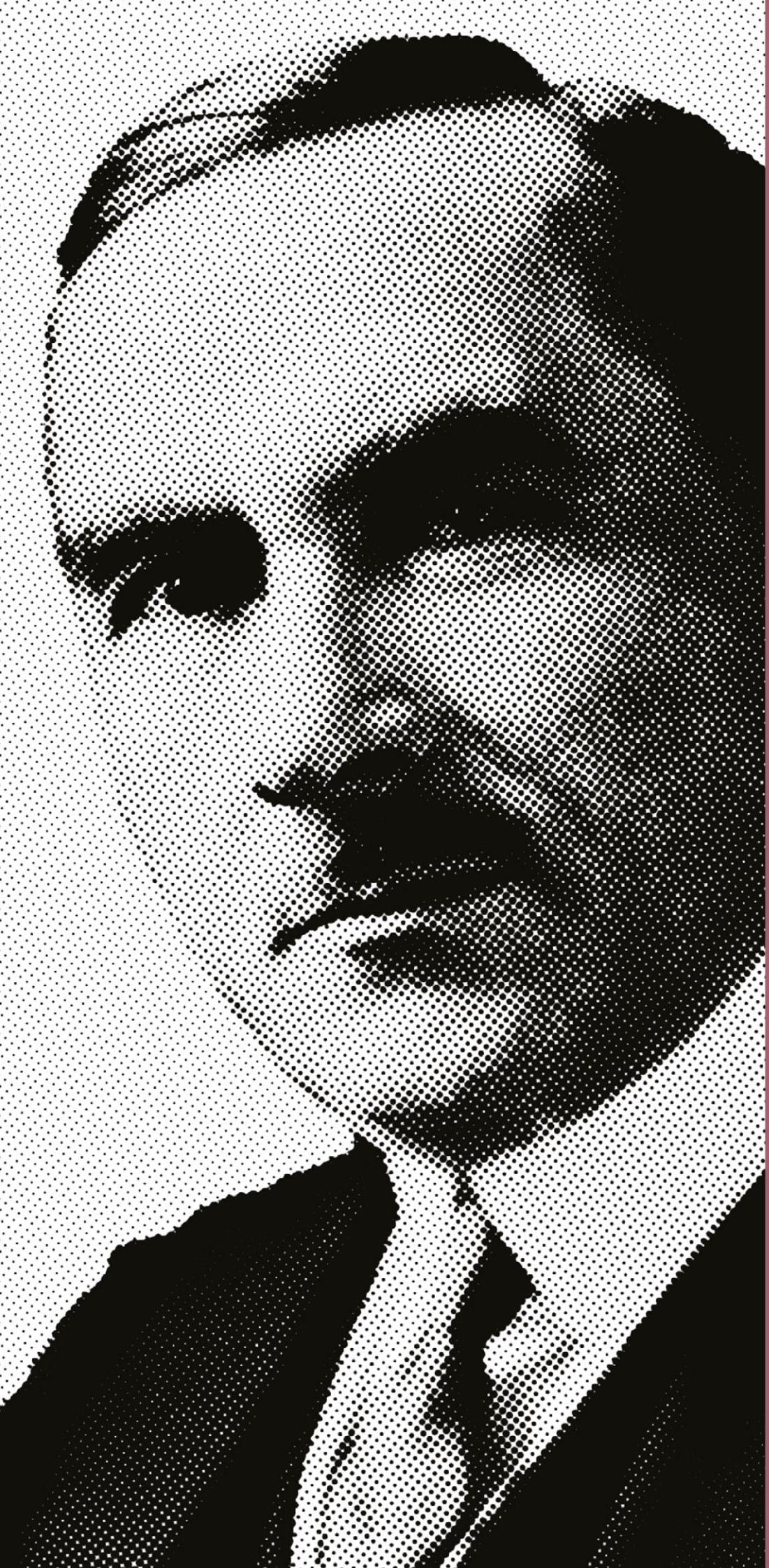


Polityka polska i odbudowanie państwa

Roman Dmowski



Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej

Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu

„Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej”.

Więcej o samym projekcie oraz inne nasze publikacje możesz znaleźć na stronie cbmn.pl

Chciałbyś wspomóc rozwój naszego projektu?

Przeznacz darowiznę na cele statutowe Stowarzyszenia im. Przemysła II.

Dane do przelewu:

06 1140 2004 0000 3302 7794 3035

Stowarzyszenie im. Przemysła II

ul. Szkolna 7

62-060 Stęszew

Opracowanie na podstawie Tekst opracowany na podstawie: Roman Dmowski, *Pisma. Tom VI. Polityka i odbudowanie państwa. Pierwsza połowa. Przed wojną, wojna do r. 1917*, Antoni Gmachowski i s-ka, Częstochowa 1937 oraz Roman Dmowski, *Pisma. Tom VII. Polityka i odbudowanie państwa. Druga połowa. Wojna od r. 1917, pokój*, Antoni Gmachowski i s-ka, Częstochowa 1937.

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)



SPIS TREŚCI

Przedmowa do pierwszego wydania	7
Przedmowa do drugiego wydania	10

CZEŚĆ PIERWSZA NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI ODRODZENIE MYŚLI POLITYCZNEJ W POLSCE

I. Sprawa polska na początku stulecia	12
II. Początki nowej polityki polskiej	18
III. Skonkretyzowanie celu	22
IV. Niepodległość Polski a interesy państw rozbiornych	31
V. Droga do niepodległości	36

CZEŚĆ DRUGA OD WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ DO WOJNY ŚWIATOWEJ (1904–1914) ROZWÓJ POLITYKI POLSKIEJ I WALKA O JEJ SAMOISTNOŚĆ

I. Wojna japońska i kryzys rosyjski	42
II. Początki parlamentu rosyjskiego	60
III. Rok przełomowy	72
IV. Akcja przeciw Niemcom	78
V. Pod znakiem nadchodzącej wojny	91

CZEŚĆ TRZECIA WOJNA: OKRES PIERWSZY (1914–1917) WALKA O ZWYCIĘSTWO NAD NIEMCAMI

I. Wojna i sprawa polska	107
II. Położenie państw wojujących	120
III. Główne zadania polityki polskiej w pierwszej fazie wojny	129
IV. Działania polskie po stronie państw centralnych	135
V. Deklaracja Jarońskiego, odezwa wielkiego księcia Mikołaja i walka z rządem rosyjskim	143
VI. Po zajęciu Warszawy przez Niemców	152
VII. Aktywizm	160
VIII. Pierwsze próby wprowadzenia postulatu niepodległości Polski do programu wojny	165
IX. Na terenie międzynarodowym	170
X. Kwestia polska i przebudowa środkowej Europy	182
XI. Kwestia polska w walce politycznej mocarstw w roku 1916	210

XII. Orędzie Wilsona	228
XIII. Rewolucja rosyjska.....	231
XIV. Sprawa polska po rewolucji rosyjskiej.....	239

CZĘŚĆ CZWARTA

WOJNA: OKRES DRUGI (1917–1918)

POWSTANIE PAŃSTWA POLSKIEGO W OBOZIE SPRZYMIERZONYCH

I. Walka przeciw pokojowi „bez aneksji” i postawienie pełnego programu polskiego	244
II. Aktywizm w Polsce od wiosny 1917 roku	251
III. Armia Polska we Francji i Komitet Narodowy Polski w Paryżu	259
IV. Żydzi wobec wojny.....	273
V. Niemieckie fakty dokonane na wschodzie Europy. Organizacja Królestwa Polskiego. Rozkład Rosji. Pokój brzeski i Ukraina.....	280
VI. Akcja polityczna Komitetu Narodowego.....	284
VII. Ameryka.....	300
VIII. Rozejm.....	307

CZĘŚĆ PIĄTA

POKÓJ (1918–1919)

WALKA O GRANICE

I. Europa Środkowa po rozejmie	312
II. Położenie Polski.....	315
III. Początki konferencji pokojowej	322
IV. Sprawa polska na konferencji	326
V. Anglia a sprawa polska.....	337
VI. Granica niemiecko-polska. Traktat wersalski	344
VII. Traktat w Saint-Germain. Cieszyn i Galicja Wschodnia	354
VIII. Granica wschodnia. Wyniki walki o granice Polski i ich znaczenie	365
Zamknięcie	371

ANEKSY

I. Deklaracja Wiktora Jarońskiego, posła kieleckiego złożona w imieniu Koła Polskiego w rosyjskiej Dumie, dnia 8 sierpnia 1914 roku	385
II. Odezwa Komitetu Narodowego Polskiego w Warszawie z dnia 25 listopada 1914 roku	386
III. Memoriał w sprawie uznania niepodległości Polski złożony przez R. Dmowskiego rządowi rosyjskiemu na ręce ambasadora w Paryżu, Izwołskiego, w marcu 1916 roku	389
IV. Deklaracja Lozańska ogłoszona po akcie 5 listopada 1916 roku	398

V. Pro memoria złożone przez R. Dmowskiego sekretarzowi stanu Balfourowi po rozmowie dnia 25 marca 1917 roku w Londynie w sprawie uznania niepodległości Polski przez mocarstwa sprzymierzone wspólnie z Rosją	399
VI. Memoriał o terytorium Państwa Polskiego złożony sekretarzowi stanu Balfourowi w Londynie w końcu marca 1917 roku	402
VII. Stanowisko Rosji w kwestii polskiej w ciągu obecnej wojny. Notatka informacyjna dla rządu angielskiego z końca marca 1917 roku	406
VIII. Zagadnienia środkowo- i wschodnioeuropejskie.....	408
Wstęp.....	408
I. Rozwój narodowy Europy od czasu kongresu wiedeńskiego	417
II. Niemcy.....	420
III. Kwestia austro-węgierska.....	424
IV. Rosja.....	432
V. Kwestia polska.....	444
VI. Przebudowa Europy	460
IX. Nota Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu do ministrów spraw zagranicznych państw sprzymierzonych przed konferencją międzysojuszniczą roku 1917	467
X. Memoriał o terytorium Państwa Polskiego złożony przez R. Dmowskiego prezydentowi Wilsonowi w Waszyngtonie dnia 8 października 1918 roku	471
Terytorium Polski	471
I. Zabór pruski	472
II. Zabór austriacki	479
III. Zabór rosyjski.....	481
XI. Nota Delegacji Polskiej na Konferencji Pokojowej w sprawie granic zachodnich Państwa Polskiego Przesłana przewodniczącemu komisji terytorialnej, p. Jules Cambonowi, dnia 28 lutego 1919 roku.....	488
XII. Nota Delegacji Polskiej na Konferencji Pokojowej o wschodnich granicach Polski przesłana przewodniczącemu komisji terytorialnej dnia 3 marca 1919 roku.....	494

*W dziewięćsetną rocznicę
chwili dziejowej,
kiedy Wielki Król, Polityk i Wojownik,
umierając, zostawił po sobie potężne państwo,
podwaliny pod rozwój wielkiego narodu
i wytyczne polityki polskiej,
które po dziś dzień zachowały
swą żywą wartość,
książkę tę poświęcam
tym wszystkim,
którzy noszą w duszach
i usiłują wykonać*
TESTAMENT CHROBREGO

PRZEDMOWA

DO PIERWSZEGO WYDANIA

Na historię odbudowania państwa polskiego, na historię we właściwym tego słowa znaczeniu, nierychło czas przyjdzie. Kilkadziesiąt lat upłynie, zanim archiwa państwowe czasu wielkiej wojny będą otwarte dla badaczy, a nie wiadomo, które po nas pokolenie stanie się zdolne do patrzenia na wypadki naszych czasów w perspektywie dziejowej.

Dotychczas nie tylko wypadki porozbiorowe, ale nawet epoka rozbiorów, w obfitym piśmiennictwie, które do tych czasów posiadamy, są przedmiotem walki obozów, polem ścierania się tendencji politycznych.

Książka też moja nie jest historią odbudowania Polski – jest to książka polityczna, napisana dla celu politycznego.

Przede wszystkim jest to komentarz do akcji politycznej, którą kierowałem, uzasadnienie jej, uwydatnienie myśli, która dyktowała te lub inne kroki.

Już w czasie ukazywania się tej pracy w dziennikach¹ odzywały się głosy, że jest to uzasadnienie *ex post*, podawały one niejako w wątpliwość, czy myśl przewodnia, którą dziś wykładam, rzeczywiście istniała przedtem, czy ona dyktowała politykę, której przebieg jest tu przedstawiony. Te głosy byłyby się nie odezwały, gdyby ich autorzy umieli wmyślić się w to, com napisał, spostrzec jak zwartą, logiczną całość, pomimo nieuniknionych, bardzo nikłych odchyień u wykonawców, stanowi ta polityka od swych początków, i gdyby, co jeszcze ważniejsze, zechcieli się gruntownie zapoznać z naszą literaturą polityczną, przestudiować roczniki *Przeglądu Wszechpolskiego* i *Przeglądu Narodowego*, artykuły moje oraz moich przyjaciół i towarzyszy pracy, przede wszystkim Popławskiego, Balickiego, Kozickiego, Wasiutyńskiego, wreszcie moją książkę *Niemcy, Rosja i kwestia polska*. Kto by umiał w te pisma z dobrą wolą się wmyślić, przekonałby się, że w tym, co mówię o przedwojennej przeszłości i o pierwszym okresie wojny, nie ma właściwie nic nowego, że to wszystko już było czy to przeze mnie, czy przez moich przyjaciół powiedziane, ma się rozumieć, w postaci mniej lub więcej oględnej, dyktowanej przez względy taktyki politycznej. Robiliśmy wszelkie możliwe wysiłki, żeby ogółowi polskiemu cel i drogi do niego prowadzące uświadomić. Szliśmy nieraz w tym nawet za daleko, zanadto odsłaniając nasze myśli przed wrogami – niestety, dla nieprzygotowanego politycznie społeczeństwa polskiego było to jeszcze za mało. Różnica między tym, cośmy pisali dawniej, a tym, co piszę w tej książce, jest tylko ta, że dziś, gdy mamy nareszcie własne państwo, gdy polityka prowadząca do wyzwolenia jest już

¹ Ukazywała się ona – w szeregu artykułów pt. *Jak odbudowano Polskę?* – jednocześnie (luty-listopad r. 1924) w *Gazecie Warszawskiej*, *Kurierze Poznańskim*, *Słowie Pomorskim* (Toruń), *Słowie Polskim* (Lwów) i *Głosie Lubelskim*. Przy redakcji wydania książkowego poczyniłem pewne drobne zmiany, miejscami tekst uzupełniłem, wreszcie dołączyłem dokumenty, a wśród nich przekład mego memoriału angielskiego z roku 1917, pt. *Problems of Central and Eastern Europe*.

zamkniętą kartą, mam pełną swobodę powiedzenia wszystkiego w postaci przystępnej nawet dla surowych politycznie umysłów.

Ten komentarz do polityki mojej i obozu, któremu przewodziłem, ma na celu coś o wiele większego niż wykazanie, że ja i moi towarzysze pracy mieliśmy słuszość, żeśmy znaleźli właściwą drogę, że nasza polityka doprowadziła do zjednoczenia Polski w niepodległym państwie. Celem tym jest uświadomienie ludziom chcącym myśleć – położenia Polski w Europie, jej stosunku do innych narodów i wynikających stąd trwałych, niezmiennych, wiekowych zadań jej polityki. Zadania te stanęły przed naszym państwem od chwili zjawienia się jego na widowni dziejowej, stały przed nim zawsze, i zawsze drogośmy płacili, ilekroć na nie zamykaliśmy oczy.

Nie wdaję się w mej książce w roztrząsanie odleglejszej przeszłości, w historiozofię polską. Mówię tylko o czasach nowszych, które ciągle są u nas przedmiotem sporu politycznego, polem ścierania się sprzecznych dążeń, mówię szczerze, z wyraźnym celem wpojenia w czytelnika przekonania mego, że działania porozbiorowe w Polsce, sprzeniewierzające się pod obcymi wpływami owym niezmiennym, wiekowym nakazom polityki polskiej wynikającym z położenia kraju, gubiły Polskę i sprowadzały sprawę polską na coraz niższy poziom, że jeżeliśmy weszli w końcu na właściwą drogę, to dlatego, że znaleźliśmy w sobie siłę do przeciwstawienia się całej porozbiorowej przeszłości politycznej, żeśmy czerpali natchnienie z czasów odległych, kiedyśmy mieli państwo wielkie i wielką politykę polską.

Wpojenie tego przekonania w rodaków uważam za jedną z rzeczy najważniejszych zarówno dla polityki polskiej, jak dla sprawy wychowania młodych pokoleń. Jest to tym ważniejsze, że dziś w dalszym ciągu trwa u nas zorganizowana praca rozdmuchująca, w młodych zwłaszcza pokoleniach, kult powstań i tkwiącej w nich bezmyślności politycznej, starająca się uwięzić myśl polską w tym bolesnym naszych dziejów okresie, w którym Polska była w niejednym znaczeniu „służebnicą cudzą” i w którym nie ma nic, co by mogło wykarmić twórczą myśl państwową.

Rozwój wypadków w mej książce, która, jak powiedziałem, nie jest historią, przedstawiony jest szkicowo, w najogólniejszych liniach. W szczegóły się nie wdaję. Twierdzenia moje popieram bądź ogólnie znanymi faktami, bądź mymi własnymi doświadczeniami, które, jako rzeczy dotychczas nie ogłoszone, mogą mieć pewną wartość zarówno dla współczesnych, jak dla przyszłego historyka. Tu muszę zaznaczyć, że nigdy nie zapisywałem swych przeżyć, nie prowadziłem dziennika. Piszę z pamięci, ale pamięć mam dobrą i rzadko mnie ona zawodzi.

Zawiodła mnie w jednym wypadku. Wydawało mi się, żeś ów memoriał, tak wiele diskutowany w naszej prasie, złożył ambasadorowi rosyjskiemu w Paryżu, Izwolskiemu, w kwietniu 1916 roku, i tak też informowałem tych, którzy mnie w tej sprawie zapytywali. Tymczasem, w trakcie pisania tej książki, jeden z mych współpracowników czasu wielkiej wojny, który prowadził dziennik osobisty, wykazał mi, że rozmowa z Izwolskim, która stała się treścią memoriału, odbyła się w końcu lutego 1916 r., a sam memoriał złożony został w marcu.

Pisząc o działaniach przeciwników naszej polityki w Polsce, zatrzymuję się tylko na tym, co miało znaczenie polityczne i co wypłynęło z takich czy innych politycznych pobudek. Nie zajmuję się wykroczeniami przeciw zwykłej etyce ludzkiej, nie wywlekam brudów, których ujawniło się wiele, jak to zresztą zazwyczaj podczas wojen bywa. Nie dlatego je przemilczam, iżbym o nich nie wiedział, tylko dlatego, że bardzo cenię metodę nowoczesnej asenizacji miast: brudy od razu wpuszczać pod ziemię – niech spływają do kanału.

W aneksach podałem wszystkie zwrócone do rządów memoriały i noty polityczne w okresie wielkiej wojny, pochodzące z tego ogniska politycznego, które reprezentowałem, i wyrażające naszą akcję polityczną. Nie pomiąłem ani jednego dokumentu z tego zakresu. Z małymi wyjątkami sam jestem ich autorem i biorę za wszystkie te akty całkowitą odpowiedzialność.

Miło mi w zakończeniu złożyć serdeczne podziękowanie prof. Ignacemu Chrzanowskiemu z Krakowa, który się podjął korekty książki, nie szczędząc swego cennego czasu i żmudnej pracy.

Warszawa, 7 stycznia 1925 r.

PRZEDMOWA

DO DRUGIEGO WYDANIA

Oddając pod prasę drugie wydanie, nie uważałem za potrzebne nic w treści książki zmieniać. Można ją było dopełnić na wielu punktach, to by wszakże powiększyło jeszcze i tak dużą jej objętość, z drugiej zaś strony zmusiłoby mnie do wracania myślą w tę niedawną przeszłość, do oderwania się od zagadnień doby terażniejszej i bliskiej przyszłości, które mnie całkowicie dziś zajmują. Zdawało mi się właściwe patrzeć na tę książkę jako na zamknięty rozdział, do którego się już nie powraca.

Poprzestałem tedy na drobnych zmianach stylowych i na poprawieniu omyłek druku, nielicznych co prawda, ale czasami złośliwych.²

Wolny jestem od polemiki z krytykami. Gdy chodzi o książkę polityczną, polemika rzeczowa jest pożyteczna, przyczynia się bowiem do ustalenia faktów i wyjaśnienia motywów. Z obozów wszakże przeciwstawiających się wyłożonej w mej książce polityce, nie wyszła żadna krytyka, nie mam więc z czym polemizować. Nieliczne głosy przeciwnie, które się z powodu tej książki odezwały, nie usiłowały nawet wdawać się w poważną jej krytykę.

Rad jestem, że wydawcy zrobili wysiłek, ażeby pomimo wysokich dziś kosztów papieru i druku obniżyć znacznie cenę książki w drugim wydaniu. Wysoka jej cena martwiła mnie wielce. Nie przeszkodziła ona wprawdzie rozejściu się pierwszego wydania w ciągu półrocza, przy dzisiejszym wszakże położeniu materialnym ludzi czytających książki drożyzna książek musi doprowadzić do upadku życia umysłowego.

Chludowo, 5 marca 1926 r.
Roman Dmowski

² Ze względu na te poprawki, tych, którzy by chcieli powoływać się na moją książkę, proszę o opieranie się na drugim wydaniu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI

ODRODZENIE MYŚLI POLITYCZNEJ W POLSCE

I. SPRAWA POLSKA NA POCZĄTKU STULECIA

Polska przedrozbiorowa tak daleko trzymała się od Europy, tak pozbawiona była udziału w ówczesnej polityce europejskiej, że myśl polityczna polska mogła żyć w swoim zamkniętym świecie, chodziła swymi drogami, niezdolna zrozumieć otaczającej ją rzeczywistości. Toteż i potem, gdy katastrofa wyrzuciła sprawę polską na widownię międzynarodową, myśl polska nie umiała się zorientować w polityce europejskiej: bądź grzęzła w pojęciach przeszłości, bądź robiła skok przez współczesną rzeczywistość i wpadała w marzenia o dalekiej lub nieziszczalnej przyszłości.

Taką też na ogół była nasza myśl polityczna na początku obecnego stulecia, kiedy zmora klęski poniesionej w ostatnim powstaniu przestała ją dusić i kiedy już wytworzył się nowy układ politycznego życia.

Wśród szerokiego ogółu poziom pojęć politycznych był bardzo niski. Nawet żywioty czynne, usiłujące kierować życiem politycznym narodu, bardzo dalekie były od rozumienia współczesnej polityki europejskiej; sfery zachowawcze żyły pojęciami przestarzałymi, sięgającymi w XVIII stulecie, przeceniały wartość jednych czynników, a nie doceniały innych, co je prowadziło do rezygnacji; koła zaś radykalne nie usiłowały nawet myśleć o polityce takiej, jaka jest – myślały tylko o takiej, jaką być powinna według ich doktryn.

Skutkiem tego myśl polska nie była zdolna sobie zdać sprawy z właściwego położenia kwestii polskiej i z jej znaczenia w polityce europejskiej. Nie umiała oceniać rozwoju tej polityki z punktu widzenia własnej sprawy.

Zresztą tym się prawie nikt poważnie nie zajmował. Dla jednych, którzy uważali się za trzeźwych i realnych, polityka zamykała się w sprawach miejscowych, w sprawach danego zaboru; inni wypływali na szersze wody, ale nie próbowali się łamać z trudnościami skomplikowanej polityki międzynarodowej, znajdowali łatwiejsze wyjście w nadziei na nowy ład w świecie, na jeden przewrót, który wszystko zmieni.

Tymczasem sprawa polska, pomimo pokrycia jej milczeniem za granicą, żyła, rozwijała się i przekształcała pod wpływem procesów dziejowych zachodzących i w Polsce, i w całej Europie, oraz wypadków politycznych, następujących po sobie w szybkim tempie. Gdyby myśl polska umiała zdać sobie sprawę z tych procesów i ocenić te wypadki, odbudowanie zjednoczonej Polski nie byłoby dla większości Polaków tak nieoczekiwane, a przede wszystkim ich zachowanie się podczas wojny światowej byłoby inne.

Spróbuję w krótkiej tylko na tym miejscu, konspektowej postaci wyliczyć fakty, które warunkowały stan sprawy polskiej i jej widoki na początku obecnego stulecia.

1. Przez całe XIX stulecie posuwały się szybko naprzód w Europie dwa równoległe procesy wielkiego znaczenia dziejowego: z jednej strony ewolucja konstytucyjna państw, przenosząca środek ciężkości władzy od korony i biurokracji do narodu, z drugiej – postęp pojęć politycznych i świadomości narodowej w szerokich masach, a jednocześnie z tym

szybki w nich przyrost energii politycznej. Wynikiem tych dwóch procesów było, że państwo stawało się coraz więcej organizacją polityczną narodu, że granice jego musiały coraz bardziej odpowiadać granicom narodu, że każdy naród szukał swego politycznego wyrazu w odpowiednim własnym państwie i umiał ten wyraz znaleźć, i że państwo, za którym nie stał mocny, świadomy siebie naród, traciło podstawy bytu. Toteż w ciągu XIX stulecia dwa wielkie, rozczłonkowane narody – Niemcy i Włosi, zjednoczyły się w narodowych państwach, szereg mniejszych zdobyło byt państwowy, którego przedtem nie posiadało, a wielkie państwo, nieoparte na wielkim narodzie, Austria, owa mozaika ludów, musiała się przepołowić i czynić coraz większe ustępstwa narodowe swym ludom, zbliżając się wyraźnie do całkowitego rozpadu.

Ta ewolucja konstytucyjna państw i ten rozwój polityczny narodów obejmowały coraz większy obszar Europy, posuwały się coraz bardziej ku wschodowi, wciągnęły już w swą sferę część ziem polskich, mianowicie zabór pruski i austriacki. Na początku stulecia pojawiły się oznaki, że wkrótce zacznie się wyłom i w ustroju państwa posiadającego lwią część ziem polskich, w ustroju Rosji, która, położona najdalej na wschód, różna bardzo od Europy w swym charakterze społecznym i w swej cywilizacji, przez całe XIX stulecie skutecznie się broniła przed konstytucyjnym przewrotem. Przekształcenie zaś Rosji w państwo konstytucyjne i przeniesienie środka ciężkości władzy do ludności państwa, przy jej niejednorodnym składzie, musiało wysunąć od razu na widownię kwestię polską, a przy liczbie Polaków w państwie rosyjskim i przy różnicy cywilizacyjnej między Polską a Rosją, musiało doprowadzić Rosję do niemożności rządzenia Polską. W tych warunkach, przy równoległym posuwającym się rozkładzie państwa austriackiego, odbudowanie Polski było prędzej czy później nieuniknione.

2. Polska, której ustrój społeczny w ciągu dwóch stuleci przedrozbiorowych uległ uwstecznieniu przez zanik mieszczaństwa, znajdowała się teraz w okresie szybkiego przekształcania, w trudnym okresie przejściowym, w którym jedne siły społeczne szybko zniknęły, inne zaś powstawały i rosły. Warstwa szlachecka – stanowiąca jeszcze do niedawna właściwy naród polityczny, w którym polska myśl polityczna ześrodkowywała się – skutkiem ogromnego zredukowania ziemi pozostającej w jej rękach, przez uwłaszczenie włościan i dalsze, szybko postępujące wyzbywanie się jej na rzecz tychże włościan, skutkiem zmiany warunków gospodarczych, zmuszających ją do przekształcania się w zawodowych rolników, a w konsekwencji obniżenia się jej zainteresowania sprawami publicznymi – szybko traciła znaczenie, które dawniej posiadała. Warstwa włościańska, coraz silniejsza gospodarczo i zaczynająca zdobywać oświatę, wysuwała się na widownię jako samodzielny czynnik życia narodowego. Jednocześnie rozwój przemysłu i handlu pociągnął za sobą wzrost miast i ośrodków fabrycznych, wytwarzał warstwę handlową i przemysłową, inteligencję zawodową i liczną klasę robotniczą.

Ta ewolucja społeczna Polski, zapóźniona w znacznej mierze wskutek warunków politycznych, szła teraz w bardzo szybkim tempie, wywołując przewrót w ustroju społeczeństwa. Z punktu widzenia politycznego ten konieczny przewrót przedstawiał przez swoją nagłość niebezpieczeństwa, groził w pewnej mierze przerwaniem ciągłości

życia duchowego narodu, jego myśli i jego aspiracji, obniżeniem na pewien czas kultury; natomiast wnosił nowoczesne, jakkolwiek bardzo jeszcze surowe, czynniki w życie narodowe, robił naród zdolniejszym do życia w XX wieku oraz do walki o swe istnienie i o swe dobro.

Jako skutek ewolucji społecznej następowały zmiany w polskiej myśli politycznej. Pozbywała się ona pojęć przestarzałych, a z nimi rzekomo trzeźwej rezygnacji i nietrzeźwego romantyzmu; za surowa wszakże była jeszcze, na zbyt niskim znajdowała się poziomie, nie była dostępna dla pojęć nowoczesnych, które z ogromną trudnością wyłamywały sobie do niej drogę. Nadto w dwóch zaborach, rosyjskim i austriackim, liczny udział Żydów w życiu polskim, świadomie lub nieświadomie narzucających swoje pojęcia, sprowadzał myśl polską z naturalnej drogi rozwojowej, wykolejał ją w sposób dla przyszłości polskiej niebezpieczny.

Polska we wszystkich trzech zaborach stawała się narodem nowoczesnym, ze świadomością narodową przenikającą w szerokie masy, z rozwijającą się w nich energią polityczną; narodem, który nie będzie biernie znosił gwałcenia swych praw najistotniejszych i będzie umiał o nie walczyć sposobami odpowiadającymi warunkom współczesnym, który będzie umiał skorzystać z wytwarzającego się położenia, by dojść prędzej czy później do zjednoczenia i niepodległości.

3. Państwa, które rozebrały Polskę, przeszły głęboką ewolucję swego ustroju wewnętrznego i swej polityki zewnętrznej.

Prusy, umiejętnie korzystając z ducha czasu i zużytkowując wytwarzające się w masach dążenia, zjednoczyły naród niemiecki, stworzyły cesarstwo – wielkie państwo narodowe, które stało się jedną z największych potęg gospodarczych i politycznych świata. Związane ściśle swymi dziejami z Polską w tym sensie, że kosztem jej wyrosły, mające granicę narodową między polskością a Niemczyzną bezprzykładnie zawikłaną, posunięte w dwóch kierunkach, w Prusach Wschodnich i na Śląsku, daleko w głąb ziem polskich, gdy w środku, w Poznańskim, ludność polska sięgała daleko na zachód, w kierunku Berlina – uważały zawsze kwestię polską, jako całość, za kwestię pierwszorzędnej dla siebie znaczenia, co zresztą pruscy mężowie stanu otwarcie wypowiadali.

Wyciągnęły one w drugiej połowie XIX stulecia z kwestii polskiej nieobliczalne korzyści: wyzyskały ostatecznie powstanie polskie dla oddalenia Rosji od Francji, związania się z nią formalnie przeciw poczynaniom polskim, co im dało życzliwą neutralność Rosji w ich akcji zewnętrznej, umożliwiło rozbicie Austrii i Francji. Rozumiały dobrze, że gdyby nie było roku 1863, nie byłoby ani 1866, ani 1871. Widziały też, jak ważną dla nich rzeczą jest trzymać rękę na całej kwestii polskiej, kontrolować ją nie tylko u siebie, ale i u swych sąsiadów. Korzystając z rozrostu swej potęgi, która zaciążyła nie tylko nad Austrią, ale i nad Rosją, zdobyły one sobie wpływ na sprawy polskie i w Wiedniu i w Petersburgu, i bieg ich w znacznej mierze kierowały w pożądaną dla siebie stronę.

Wzrost potęgi Niemiec i ich wpływu na politykę sąsiadów utrzymywał kwestię polską w martwym punkcie i widoczne było, że nie ruszy ona z tego martwego punktu, dopóki się potęga Niemiec nie załamie i ekspansja ich wpływu nie cofnie. Austria ze współzawodniczki Prus zamieniła się w ich sojuszniczkę.

Niemalą wpłynęło na to jej położenie wewnętrzne: Niemcy w austriackiej połowie monarchii, a Madziarzy w węgierskiej, zagrożeni w swym panowaniu przez inne ludy, przeważnie słowiańskie, oglądające się nadto na Rosję, widzieli wzmocnienie swe w oparciu o Berlin. I nie tyle różnica siły zewnętrznej dwóch mocarstw, ile właśnie ta racja położenia wewnętrznego, nakazującego żywiołom rządzącym jednego z nich szukać oparcia w drugim, sprawiły, że Austro-Węgry z sojusznika Niemiec szybko stawały się ich wasalem, a przymierze zamieniło się w nierozzerwalną unię, podporządkowującą jedno państwo polityce drugiego.

Polacy w Austrii dostali wprawdzie politycznie i narodowo więcej niż inne narodowości, dlatego że dla nich było niemożliwością grawitować ku Rosji, że widząc swój interes w utrzymaniu Austrii, nie współdziałali z rozsadzającymi ją żywiołami, podtrzymywali równowagę wewnętrzną państwa i pomagali do tworzenia większości rządowej. Wkrótce wszakże spostrzegli, że nadzieje na wzrost ich wpływu zawodzą, że wpływ ten maleje, że grozi mu upadek na skutek popierania przez Wiedeń Rusinów, przemianowanych w następstwie, nie bez myśli, na Ukraińców. Dopiero później zaczęli się orientować, że w kwestii ruskiej znaczną rolę odgrywa akcja idąca z Berlina.

Rosja, zręcznie związana przez Bismarcka z Prusami konwencją Alvenslebena w roku 1862, rychło po rozbiciu Austrii i Francji spostrzegła, że główną groźbą dla rozwoju, a nawet utrzymania jej mocarstwowej roli, stały się Niemcy. Na kongresie berlińskim Bismarck wspólnie z Beaconsfieldem pozbawił ją owoców zwycięstwa nad Turcją, a wkrótce okazało się, że miejsce wrogich jej wpływów angielskich w Konstantynopolu zajęły wpływy niemieckie, o wiele dla niej niebezpieczniejsze, bo bliższe, wyrażające energiczną ekspansję Niemiec na południowy wschód po wygodnym moście austro-węgierskim, ekspansję, która następnie znalazła swój wyraz w terminie Berlin-Bagdad. Przez Turcję wpływy te wdzierały się dalej do Persji, a jednocześnie szła przez Pacyfik penetracja Niemiec do Chin, budując sobie ufortyfikowaną bazę na Szantungu. Tworzyło się dokoła Rosji półkole wpływów niemieckich zaczynające się w Szwecji a kończące w Chinach, zamykające jej drogę we wszystkie strony, z wyjątkiem Oceanu Lodowego.

W tych warunkach zawarty pod koniec ubiegłego stulecia alians z Francją coraz większe miał dla Rosji znaczenie, stawał się jedyną dla niej nadzieją. Alians ten, pomimo powtarzanych nieustannie zapewnień pokojowych, wobec silnie agresywnej polityki niemieckiej, oznaczał prędzej czy później wojnę. Była ona nieunikniona, zwłaszcza po nieudanych próbach Wittego skombinowania aliansu francusko-rosyjskiego z Niemcami przeciwko Anglii i po zawarciu na początku stulecia porozumienia Francji z Anglią, która coraz silniej odczuwała na własnych interesach zaborczość gospodarczą i polityczną Niemiec, a której tyle zawdzięczał zarówno Bismarck, jak i Fryderyk Wielki.

Na gruncie przymierza z Francją zjawiała się przed Rosją perspektywa wojny z Niemcami, pierwszej właściwie wojny pomiędzy państwami, które rozebrały Polskę, a więc wojny, w której kwestia polska w takiej czy innej postaci musiała wypłynąć. Jak mało to rozumiano w Polsce, świadczy fakt, że jeszcze na początku stulecia opinia polska reagowała na przymierze francusko-rosyjskie jedynie żalem do Francji za to, że się związała z ciemiężcą Polski.

Zdawałoby się, że przy takim kierunku swej polityki zewnętrznej Rosja powinna była poczynić kroki, ażeby sobie zapewnić, jeżeli nie współdziałanie, to przynajmniej życzliwość Polaków w wojnie, która musiałaby się rozegrać przede wszystkim na ziemi polskiej. To dyktowała logika polityczna i to by może nawet tak wiele nie kosztowało wobec tego, że polityka rezygnacyjna wówczas miała w Polsce wpływ duży, że aspiracje Polaków nie sięgały daleko, że zadowolony ich poważniejsze ustępstwa ograniczone do Królestwa Kongresowego, o którego zruszczeniu Rosja i tak marzyć nie mogła.

Jednakże wejście na tę drogę było dla Rosji niemożliwe. Z jednej strony opinia rosyjska nie odznaczała się nigdy trzeźwością w ocenie położenia państwa i przeceniała jego potęgę, a Polska była zbyt łakomym kąsem dla ludzi, którzy reprezentowali w niej sprawę rosyjską, co podtrzymywało interesowny, chciwy, nieprzejednany nacjonalizm rosyjski wobec Polski; z drugiej – w Rosji rząd coraz mniej był jednolity, coraz mniej zharmonizowany w swych działaniach, i gdy jej polityka zagraniczna była w walce z polityką niemiecką, w polityce wewnętrznej wpływy niemieckie były bardzo silne. Nawet podczas ostatniej wojny, gdy armia rosyjska walczyła z Niemcami, rząd składał się przeważnie z ludzi niechętnych do wojny, dobrze usposobionych do Niemiec, a nawet pozostających pod wpływami niemieckimi. Te właśnie wpływy, zawsze silne w Rosji, starały się o to, żeby polityka rosyjska tamowała wszelkimi sposobami rozwój polskości i żeby Polacy zawsze widzieli głównego wroga w Rosji.

Przy powierzchownym też porównaniu polityki dwóch państw, Prus i Rosji, wobec Polaków polityka pruska zyskiwała. Wprawdzie w zaborze pruskim konsekwentnie, planowo, z wielkim wysiłkiem i z wielkim nakładem środków niszczone polskości i szczepiono niemczyznę, ale czyniono to zawsze ustawowo, z zachowaniem form: obywatel polski wiedział, co go czeka, czemu musi się poddać, a czemu może stawiać opór. Natomiast w zaborze rosyjskim niebezpieczeństwo dla polskości było znacznie mniejsze, nawet szacunek dla niej ze strony Rosjan znacznie większy, ale była samowola administracyjna, poniżanie godności ludzkiej, brak poczucia prawa i cywilizowanego szacunku dla człowieka:

Polak pod panowaniem rosyjskim ciągle był drażniony, obrażany, ciągle miał powód do oburzenia.

U ludzi nieprzywykłych do głębszego zastanawiania się nad zagadnieniami politycznymi zazwyczaj ich przejścia osobiste decydują o ich sposobie politycznego myślenia. Było też niemało takich Polaków, którzy więcej myśleli o tym, żeby Rosja zginęła, niż żeby Polska powstała.

Jeżeli ewolucja polityczna Europy od początku XIX wieku wskazywała, że powstanie na nowo państwa polskiego w szeregu innych państw narodowych jest prędzej czy później nieuniknione, to położenie międzynarodowe na początku obecnego stulecia pozwalało przewidywać w niedalekim czasie konflikt zbrojny między państwami, które rozebrały Polskę, a tym samym wystąpienie na widownię kwestii polskiej, ruszenie jej z martwego punktu, na którym ją ciężąca nad całą środkową i wschodnią Europą potęga Niemiec utrzymywała. Z tych widoków Polski nie zdawano sobie sprawy ani w Europie, ani w Polsce samej: w Europie dlatego, że Polska się niczym uwadze polityków nie przypominała, nikt się też nią nie interesował i nad jej możliwymi losami zastanawiał; w Polsce – bo tu albo nie umiano myśleć politycznie, albo myśl nie wychodziła poza granice danej dzielnicy i państwa, do którego ta dzielnica należała.

Przypuszczalnie jednym miejscem, w którym zastanawiano się poważnie nad sprawą polską jako całością z myślą o umiejętności jej zlikwidowaniu – był Berlin.

II. POCZĄTKI NOWEJ POLITYKI POLSKIEJ

Zdarza się czytać u nas polemiki na temat, kto pierwszy wymówił w ostatnich czasach wyraz „niepodległość”, który obóz pierwszy powiedział głośno, że chce niepodległości. Jest to spór dziecinny, niedorzeczny...

Niepodległość nie dlatego mamy, że ktoś powiedział głośno, iż jej chce, tylko dlatego, że byli ludzie zmierzający planowo do jej odzyskania, orientujący się mniej więcej w warunkach do tego niezbędnych i umiejący te warunki dla postawionego sobie celu wyzyskać.

Zadowalać się chceniem może przeciętny obywatel kraju niedziałający politycznie, ludzie wszakże mający pretensję do kierowania losami narodu muszą wiedzieć nie tylko, co chcą mieć, ale co mają robić, jaką drogą dojść do upragnionego celu. Programy chcen – to tylko jałowe, puste hasła.

Grzeszył takimi programami nawet obóz, do którego sam należałem. Za błąd uważałem i sprzeciwiałem się temu, gdy w programie, nakreślonym z poczuciem odpowiedzialności (*Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim*. Rok 1903), postawiono jako cel dążeń obozu niepodległości Polski, nie umiejąc wskazać dróg, które mają do niej doprowadzić. Uczyniono to ze względów polityczno-wychowawczych. Uważałem i uważam, że do wychowania myśli politycznej służyć winny książki, wykłady; programy zaś oficjalne, gdy wskazują cele, winny obok nich wskazywać środki.

Zresztą osiągnięciu celu nie zawsze pomagają głośne jego zawczasu deklarowanie.

Nigdy nie było takiej chwili w naszych dziejach porozbiorowych, żeby nie było ludzi chcących niepodległości. Nawet w okresie powstaniowym, w okresie ogólnego przygnębienia i upadku nadziei, ideę niepodległości w głębi duszy pielęgnował każdy Polak mający świadomość narodową i politycznie niewynarodowiony. Co prawda, nie śmiał myśleć o niej jako o rzeczy realnej. Żywioły czynne politycznie ograniczały swe zadania do spraw miejscowych każdego z trzech zaborów, poruszanie zaś sprawy zjednoczenia i niepodległości Ojczyzny uważały przeważnie za rzecz zdrożną, bo przeszkadzającą ich zabiegom.

Pamiętam, kiedy „Przegląd Wszechpolski” w roku 1895, w setną rocznicę ostatniego rozbioru Polski, wyszedł z żałobną obwódką i w słowie wstępnym powiedział, że za cel swej pracy stawia odzyskanie niepodległości – bądź nie chciano tego zauważyć, bądź wzruszano ramionami, patrząc na to jako na nieodpowiedzialny, młodzieńczy wybryk.

Niepodległość jako hasło zjawia się w naszym życiu politycznym na nowo już w kilkanaście lat przed końcem ubiegłego stulecia. W roku 1886 powstaje tajna organizacja, Liga Polska, przekształcona potem, w roku 1893, na Ligę Narodową, stawiającą sobie w swej ustawie za cel odzyskanie niepodległości. Grupuje ona koło siebie prawie wyłącznie

żywiły młode, wstępujące dopiero w życie lub do tego się przygotowujące; przeciwstawiały się one z jednej strony tzw. polityce ugodowej, z drugiej – międzynarodowemu socjalizmowi, mającemu naówczas silny wpływ wśród młodych pokoleń. Z tych to młodych kół wyszły wówczas manifestacje narodowe w Warszawie ku upamiętnieniu historycznych rocznic 3 maja 1891 i 17 kwietnia 1894 roku. Sam byłem inicjatorem i kierownikiem pierwszej z tych manifestacji i pamiętam, jak sfery poważne, kierownicze w kraju były nimi zastraszone. Nie mogły się one opędnąć analogiom z tym, co poprzedzało rok 1863 i bały się podobnego dalszego ciągu. Jednakże dalszy ciąg był całkiem inny...

Te młode koła były dziećmi epoki względnie trzeźwej, społeczeństwa przekształcającego się w kierunku nowożytnym, miały zaczątki rozumienia rzeczywistości polskiej i miały wśród siebie człowieka o dziesiątek lat od swych współpracowników starszego, który tę rzeczywistość ogromnie jasno widział i o Polsce szerszą, niż ktokolwiek wówczas, wiedzę posiadał. Był nim nieżyjący od lat kilkunastu publicysta, Jan Popławski. Był to duchowy ojciec nowoczesnej polityki polskiej. Pod jego wpływem myśl tego nowego pokolenia skierowała się do zagadnień bieżących bytu narodowego, do ujmowania ich z punktu widzenia całości sprawy polskiej, do szukania w położeniu współczesnym Polski i w rozwoju politycznej sytuacji Europy dróg ku odbudowaniu państwa polskiego.

Ten kierunek myśli młodszego pokolenia wyraził się w założeniu „Przeglądu Wszechpolskiego”³, pisma, które postawiło sobie za zadanie jednoczenie myśli politycznej trzech dzielnic Polski, zwracanie jej ku sprawie polskiej jako całości oraz kształcenie jej, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie cenzura zmuszała prasę do milczenia w zakresie zagadnień polityki polskiej i dokąd „Przegląd” dochodził drogą kontrabandy.

Pomimo krótkiego okresu swego istnienia (1895–1905) „Przegląd Wszechpolski” wywarł decydujący wpływ na ukształtowanie nowoczesnej polskiej myśli politycznej. Wychowało się na nim we wszystkich trzech dzielnicach całe pokolenie ludzi umiejących myśleć politycznie nie tylko o sprawach tego czy innego zaboru, ale o sprawie polskiej jako całości, ludzi, którzy wiedzieli dużo o całej Polsce i między sobą rozumieli się tak, jak synowie jednego narodu rozumieć się powinni. Myśl wszystkich tych ludzi była skierowana ku zjednoczeniu politycznemu ojczyzny, ku odbudowaniu własnego państwa. Gdyby dzisiejsi polemicy piszący o początkach polityki „niepodległościowej” – że użyję ich ciężkiego przymiotnika – umieli uczciwie i inteligentnie przestudiować dziesięć roczników „Przeglądu Wszechpolskiego”, wielu sporów by uniknęli i wiele fałszów nie ujrzałoby światła dziennego.

³ „Przegląd Wszechpolski”, założony przeze mnie we Lwowie w roku 1895, od początku 1896 pozostawał pod wspólną redakcją Jana Popławskiego i moją; w latach 1898–1900 redagował go sam Popławski, w roku 1901 przeszedł pod moją redakcję, pod którą pozostał do końca (1905). W roku 1902 został przeniesiony do Krakowa.

Początki rzucającego hasło niepodległości ruchu narodowego wśród młodszych pokoleń, datujące się, jak to wspomniałem, od roku 1886, wywarły swój wpływ i na obóz socjalistyczny. Tam jedni, kierowani współzawodnictwem w walce o dusze młodego pokolenia i mas robotniczych, inni dlatego, że się w nich obudziły zgłuszone aspiracje polskie, postanowili połączyć socjalizm z patriotyzmem polskim. Stąd na jakieś osiem lat przed końcem stulecia powstała Polska Partia Socjalistyczna, występująca z programem niepodległej Polski socjalistycznej, którą ma dać powstanie, będące zarazem walką o niepodległość i rewolucję społeczną. Organem tej myśli był „Przedświt” londyński. Rozwijano ją w dwóch kierunkach: w artykułach na półwojskowych, wykazujących możliwość ruchu zbrojnego, próbujących formułować jego strategię, i w artykułach politycznych, czerpiących pełną garścią z literatury emigracyjnej pierwszej połowy zeszłego stulecia, z jej kierunków. Był w tym anachronizm, robiło to często wrażenie przedrukowywania starych szpargałów; była kombinacja zamkniętej już przeszłości z nieotwartą jeszcze i nie wiadomo, czy mającą się kiedykolwiek otworzyć przyszłością. Pomiędzy jedną a drugą była pustka, bo nie rozumiano współczesnej rzeczywistości i nie umiano stanąć na jej gruncie. Widoczne było, że nie umiano wykonać pracy myśli, która by z hasła niepodległości zrobiła z czasem program realny.

Niemniej przeto ruch ten miał duże znaczenie dla przyszłości. Wywierał on silny wpływ na młode umysły, na młodzież zwłaszcza z wschodnich ziem Polski, bardziej oddaloną od europejskiego sposobu myślenia, więcej zbliżoną w swej psychologii do młodzieży rosyjskiej, bardziej prymitywną, bujniejszą temperamentami, mniej przywiązana do nowoczesnego życia kulturalnego, skłonniejszą do wystawiania się na osobiste niebezpieczeństwo i szukającą łatwych, prostych rozwiązań dla kwestii trudnych i skomplikowanych. Trafiał on do jej tradycyjnych instynktów, dając jej niejako ideę polską, i do nowych, w zetknięciu z Rosją wytworzonych potrzeb jej duszy, dając jej rewolucję społeczną. Dla sprawy polskiej przedstawiał on raczej poważne niebezpieczeństwo, nie tylko przez swą rewolucyjność i hasła walki społecznej, rozbijając naród wewnątrz, ale także – i to przede wszystkim dlatego, że ruchy takie, nieoparte na rozumieniu współczesnej rzeczywistości, idą naprzód jak człowiek z zawiązanymi oczyma, łatwo dają się użyć do celów wręcz przeciwnych ich założeniom, stają się narzędziem w obcych rękach.

Tym dwu obozom, na które dzieliły się u nas na przełomie dwóch stuleci czynne politycznie żywioły młodszego pokolenia, sądzona była rola obozów przyszłości, stojących przeciw sobie w chwili, gdy sprawa polska weszła na drogę prowadzącą do jej rozstrzygnięcia. Tak musiało być nie tylko dlatego, że obejmowały one lwią część młodszego pokolenia, ale także – i to przede wszystkim – dlatego, że myśl ich operowała nie w sprawach tej czy innej dzielnicy, ale w sprawach Polski. Inne, poważne naówczas stronnictwa w sprawach Polski jako całości nie miały wiele do powiedzenia, rozwiązanie kwestii polskiej zaskoczyło ich myśl nieprzygotowaną, zastało je niezdolnymi do odegrania ważniejszej roli. Rozwijający się zaś naówczas młody ruch ludowy, czyniący szybkie podboje wśród mas włościańskich, znajdował się jeszcze w stadium walki

wyłącznie społecznej, klasowej i nie wybiegał dążeniami swymi w dziedzinę zagadnień szerszych, obejmujących przyszłość całej ojczyzny.

III. SKONKRETYZOWANIE CELU

Trudność kwestii polskiej tkwiła nie tylko w tym, że odbudowanie państwa polskiego miało przeciw sobie trzy zainteresowane mocarstwa, ale także i w tym, że nie wiadomo było, co można i co należy uważać za Polskę w XIX i XX stuleciu.

Gdyby był istniał jakiś trybunał międzynarodowy, który by mógł w sprawie naszej wyrok wydać, i gdyby miał siłę do wykonania tego wyroku; gdyby ten trybunał był wezwał Polaków, żeby przedstawili swą sprawę, powiedzieli, czego żądają, znaleźlibyśmy się w wielkim kłopotcie. Trzeba by było powiedzieć nie tylko, że się żąda niepodległości, ale na jakim obszarze, w jakich granicach chce się mieć państwo polskie.

Okazałoby się, że Polacy do odpowiedzi na to pytanie nie są wcale przygotowani.

Wielu by odpowiedziało, że żądają przywrócenia granic z 1772 roku. Mniejsza już o to, iż wskazano by im, że granice te obejmowały ziemie ciężące handlowo bądź ku Odessie, bądź ku Rydze – ku portom, o które Rzeczpospolita szlachecka, ignorująca interesy handlowe, nie dbała i do których nie możemy mieć żadnej pretensji. Mniejsza także, iż granica z Niemcami byłaby bardzo nienormalna (co prawda i dziś ona bardzo normalna nie jest) i niebezpieczna, że wreszcie oznaczałoby to pozostawienie w rękach niemieckich polskiego Śląska – groźnej placówki wrzynającej się głęboko w ziemie polskie. Ale co by odpowiedzieli, gdyby zapytano, jak sobie wyobrażają funkcjonowanie parlamentu polskiego przy istnieniu państwa na tym obszarze i z tym składem ludności?... Bo przecież w dzisiejszych czasach nie można było myśleć o odbudowaniu Polski z konstytucją XVIII wieku.

Znalazłoby się wielu – bo się przecież później znaleźli – którzy by odpowiedzieli, że ta Polska nie będzie miała parlamentu centralnego, bo się będzie składała ze sfederowanych krajów, z których każdy sam się będzie rządził. Dosyć popatrzeć na dzisiejsze postępowanie Litwinów i Rusinów, żeby sobie przedstawić, jak by wyglądała taka federacja, i przewidzieć, jak długo by istniała.

Zresztą trzeba było nic nie rozumieć z ewolucji Europy XIX stulecia i położenia, w jakim na jej skutek znalazła się Austria, żeby myśleć o tworzeniu państwa różnonarodowego, jak Niemcy mówią: *Nationalitätenstaat*, w dzisiejszych czasach. Tylko wrogowie Polski, Niemcy, mogli przez pewien czas o takim projekcie państwa polskiego mówić. Jeżeli w Polsce podczas wielkiej wojny i po wojnie byli ludzie, którzy podobne projekty piastowali i nawet na zewnątrz z nimi występowali, to tylko świadczy, do jakiego stopnia nie przemyśleli sprawy polskiej, nie byli w umysłach swoich przygotowani do konkretnego jej rozwiązania.

Byłoby również wielu, którzy by wystąpili z żądaniem państwa niepodległego na obszarze Polski etnograficznej. Pokazano by im wtedy mapę i przekonano by ich, że Polska etnograficzna, tj. złożona wyłącznie z okręgów, w których ludność językowo polska liczebnie przeważa, nie stanowi nawet jednego ciągłego obszaru, że w pewnych

miejskach rysunek jej wytworzyłby wprost koronkę, że zatem ściśle etnograficzna granica, jako granica państwa, okazuje się niemożliwa. Zaproponowano by im niezawodnie wyrównanie tej granicy z pozostawieniem wielkiej liczby Polaków, nawet w zwartych masach żyjących poza granicami państwa. I niezawodnie znalazłoby się sporo takich, co by i to przyjęli, co by się zgodzili na najmniejszą nawet Polskę, byle miała tytuł niepodległej.

Wielu byłoby takich, którym w głowie nigdy nie powstało, że to byłby tylko tytuł, że taka miniaturowa Polska, położona obok wielkich Niemiec, będzie siedziała pod ich butem, jednego kroku niezdolna zrobić, który by się Niemcom nie podobał. Przecież nie mało było u nas ludzi, którzy się uważali za polityków, a którzy znajdowali się jeszcze w tym stadium politycznego myślenia, w którym niepodległość państwowa wyraża się tylko w oznakach zewnętrznych, w orle jednogłowym na sztandarach i gmachach państwowych, w widoku maszerujących polskich żołnierzy, a dla niektórych – przede wszystkim w tym, że oni byliby dygnitarzami państwowymi.

Znaleźliby się w sporej liczbie i tacy – bo znaleźli się później w dobie wojennej – których nie odstraszałoby wcale to, że mała, słaba Polska będzie wisiła przy wielkich, potężnych Niemcach; którzy nie śmieliby nawet pomyśleć o Polsce naprawdę niezawisłej, mogącej się obyć bez opieki jednego z sąsiadów i odgrywającej samodzielną rolę w Europie; dla których myśl o takiej Polsce była fantazją, szaleństwem...

Gdybyśmy dalej poszukali, to znaleźlibyśmy jeszcze innych, którzy by z innymi projektami granic Polski wystąpili, którzy by zrzekli się Poznania na rzecz Niemiec, Lwowa na rzecz niepodległej Ukrainy itd.

Słowem trybunał, który by chciał na początku obecnego stulecia rozstrzygnąć sprawę polską, dowiedziałby się przede wszystkim, że Polacy sami nie wiedzą, co to jest Polska, że nie umieją jej granic zakreślić. A trudno przecież wydać wyrok przysądzający komuś jego własność, gdy on sam nie wie, gdzie ta własność się zaczyna, a gdzie się kończy.

Dopóki też nie wyjaśniliśmy sobie tej sprawy, nie odpowiedzieli na pytanie, co to jest Polska XX wieku, w jakich granicach chcemy mieć państwo polskie, dopóty niepodległość pozostawała w naszych umysłach abstrakcją i dopóty nie można było mówić, że na serio do niej dążymy.

A kto szukał tej odpowiedzi, kto pracował poważnie nad wykreśleniem sobie na mapie granic Polski, odpowiadających faktycznemu stanowi sił narodu, takiej Polski, która by naprawdę mogła być Polską, niezawisłym i silnym państwem polskim? Tym zajmowali się jedynie ludzie grupujący się wokół „Przeglądu Wszechpolskiego”, a postępy tej pracy znajdowały odbicie w samym piśmie. Program terytorialny Polski, z którym wystąpił podczas wojny Komitet Narodowy w Paryżu i delegacja polska na konferencji pokojowej – to nie była improwizacja, ale owoc pracy całego życia ludzi, którzy żyli myślą o odbudowaniu państwa i temu celowi życie poświęcili. Jeżeli ten program się ostał – z wyjątkiem punktów, na których przegraliśmy sprawę w walce z przeciwnościami

zewnętrzny – jeżeli wszelkie pomysły ze strony polskiej przeciwstawienia mu czegoś innego zostały odłożone *ad acta*, to dlatego właśnie, że to były niedojrzałe, nieprzetrawione pomysły, improwizacje ludzi, którzy nigdy poważnie o przyszłej Polsce nie myśleli, gdy on był wynikiem rzetelnej, długo zdobywanej wiedzy o Polsce i gruntownego jej przemyślenia.

Dla zrozumienia całej polityki polskiej podczas wojny europejskiej konieczną jest rzeczą w ten właśnie program terytorialny głębiej się wmyślić, dowiedzieć się, z jakich założeń wyrósł, jakie względy w szczegółach go podyktowały. Dopiero znając dobrze i rozumiejąc należycie konkretny cel, do którego ta polityka dążyła, można ocenić drogi, jakie wybierała, by dojść do celu. Wtedy dopiero można zrozumieć, że polityka polska, która losy sprawy polskiej związała ze zwycięstwem państw ententy i która doprowadziła do odbudowania Polski traktatem wersalskim, wynikała z jasnego, z góry nakreślonego planu, że nie zmieniała celów od wypadku do wypadku, że szła po swej linii bez wahań, że była logiczną, konsekwentną całością, i to nie tylko podczas wojny i konferencji pokojowej, ale już na długi szereg lat przed wybuchem wojny.

Pojęcie państwa polskiego, które chcieliśmy na nowo zbudować, musiało wyjść z jednej strony z oceny wartości i sił narodu polskiego, z drugiej – z oceny położenia geograficznego kraju i warunków zewnętrznych, w jakich się to państwo znajdzie.

Wartości narodu nie mierzy się wyłącznie jego stanem w danej chwili, w danym, jednym pokoleniu. Stan ten może być przejściowy, pokolenie z tych czy innych przyczyn wyjątkowo liche. Historia wszystkich narodów uczy nas, jak często po pokoleniach marnych, moralnie słabych, niedołączonych przychodziły pokolenia dzielne, z szerokimi aspiracjami, które dokonywały wielkich dzieł. Naród trzeba brać jako całość, w ciągu całych jego dziejów – to dopiero może dać istotne pojęcie o jego wartości.

Cokolwiek możemy w zakresie krytyki naszej przeszłości powiedzieć, musimy stwierdzić, że nasza rola dziejowa była rolą narodu wielkiego, który dokonał wielkich dzieł historycznych. Zaczął on od stworzenia silnego państwa, które położyło tamę wschodnim podbojom największej potęgi średniowiecznej – Cesarstwa, powstrzymał postępy kultury niemieckiej na wschodzie Europy i wytworzył własną cywilizację, opartą na łacińskich podstawach; w następstwie zagroził drogę zalewowi Europy ze wschodu i zaszczerpił cywilizację zachodnią na rozległych obszarach wschodnich; wreszcie nawet po upadku państwa wykazał ogromne bogactwo duchowe i wydał z siebie jedną z największych poezji świata.

Do narodów wielkich, twórczych politycznie i cywilizacyjnie, nie stosuje się tej miary, co do drobnych narodków, dążących do emancypacji politycznej; ich obszar narodowego nie utożsamia się z obszarem etnograficznym, językowym. Wystarczy porównanie mapy politycznej Europy z mapą etnograficzną. Świeżo pokój wersalski zwrócił Francji Alzację, która przecież nie jest ziemią etnograficznie francuską, ale cywilizacyjnie, moralnie należy do obszaru narodowego francuskiego.

Niestety, nasza Alzacja jest większa od naszego obszaru etnograficznego i pozostawała w obcych rękach nie pięćdziesiąt lat, ale przeszło dwa, w znacznej zaś części trzy razy tyle czasu. Nie wszędzie w niej wpływ nasz był tak głęboki, jak francuski w Alzacji i – co gorsza – późniejszym jej panom udało go się w znacznej mierze wykorzenić. Geograficznie też częściej słabo się wiąże z Polską.

Niemniej znaczna część ziem dawnej Rzeczypospolitej, leżących poza granicami naszego obszaru etnograficznego, pozostała częścią polskiego obszaru narodowego, w tym znaczeniu, że polskość jest tam dominującą siłą cywilizacyjną, jedyną zdolną do politycznego zorganizowania kraju, że ziemie te wreszcie geograficznie nie dadzą się z Polski wyłączyć. Naród, który politycznie i cywilizacyjnie nie zwyrodniał, który moralnie nie zmarniał, takich ziem wyrzec się nie może.

Stąd wynikał wniosek, że przyszłe państwo polskie nie mogło sięgać do granic sprzed pierwszego rozbioru, z roku 1772, ale musiało i miało prawo wyjść swymi granicami poza obszar etnograficzny polski, wyjść w takiej mierze, zakreślić sobie taki obszar państwowy, żeby odpowiadał wartości dziejowej Polski, umożliwił jej rolę polityczną i twórczość cywilizacyjną wielkiego narodu. Odegranie przez nas tej roli w przyszłości jest nie tylko nam potrzebne.

Dla każdego, kto choć cokolwiek rozumiał geografie polityczną Europy, musiało być jasne, że na tej ziemi, na której się kończy Europa Zachodnia i która stanowi wyjście na rozległe równiny wschodu, nadto, jak w ostatnich czasach, położonej między dwoma wielkimi państwami, Niemcami a Rosją, miejsca na małe, słabe państewko nie ma. Tu może istnieć tylko państwo wielkie.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, co rozumiemy przez wielkie państwa, czym się one różnią od małych. Różnica ta nie sprowadza się jedynie do obszaru, ludności i zasobów gospodarczych. Na konferencji pokojowej w Paryżu Chiny miały miejsce wśród państw małych. Państwo wielkie – to państwo, które ma dostateczne siły i środki, dość wysoką i sprawną organizację, wreszcie myśl kierującą, zdolną objąć dość szerokie widnokreśli, ażeby polityka jego mogła wywierać wpływ nie tylko na sprawy najbliższe, bezpośrednio go dotyczące, ale brać udział w regulowaniu spraw ogólnoeuropejskich, a jak dziś, ogólnoswiatowych. Państwami małymi są te, które zmuszone są ograniczać się do obrony tylko swych bezpośrednich interesów, które i w ich zakresie są od wielkich państw zależne, które często są wciągane w orbitę jednego z wielkich państw i, przy formalnej niezawisłości, mają jednak nad sobą zwierzchnią władzę. Różnicę tę wyraża termin, którego używano nawet oficjalnie podczas organizowania konferencji pokojowej w Paryżu: państwa z interesami ogólnymi i państwa z interesami ograniczonymi (*puissances aux intérêts généraux, puissances aux intérêts limités*).

Świadomość tego, że Polska musi być wielkim państwem, istniała od okresu Bolesławów, który ją postawił jako potęgę, sięgającą swymi wpływami, swą interwencją daleko poza swe granice. Gdy po Krzywoustym okres podziałów rozłożył tę potęgę, gdy Polska łokietkowa i kazimierzowa wyszła z niego znacznie mniejsza, z gorszymi granicami, ta sama świadomość zrodziła politykę, która dała unię z Litwą i powrót do

wielkiej, mocarstwowej roli. Ta świadomość nigdy potem całkowicie nie zanikła; poszło naprzód związanie w jedną całość rozległych obszarów państwa, połączone z wielkim dziełem cywilizacyjnym, ale wewnętrzna ewolucja polityczna Rzeczypospolitej szlacheckiej uwsteczniła państwo społecznie i gospodarczo, osłabiła niepomiernie jego organizację, odebrała szersze widnokregi myśli kierującej. Pomimo rozpaczliwych wysiłków zjawiających się od czasu do czasu jednostek, które chciały w ojczyźnie mieć potęgę, chciały zachować jej dawną rolę w stosunku do sąsiadów, Rzeczypospolita, przy rozległym swym obszarze, przy znacznej liczbie ludności, została państwem nie wywierającym żadnego wpływu na to, co się naokoło niej działo, państwem małym. I dlatego znikła z karty Europy. Bo na tej ziemi, na której się rozsiadła, miejsca na małe państwo nie było.

Kto więc myślał naprawdę o odzyskaniu niepodległości i kto rozumiał, co to jest niepodległość, ten musiał myśleć o odbudowaniu Polski w takich warunkach, z takim obszarem, żeby mogła stać się państwem silnym, od sąsiadów niezależnym, zdolnym do wielkopaństwowej polityki.

Te słowa można dziś pisać i nie wywoływać wzruszenia ramionami u czytelników. Gdy podobne rzeczy pisano w swoim czasie w „Przeglądzie Wszechpolskim”⁴, trafiały one do duszy paru tysięcy jego, przeważnie młodych, zwolenników, ale dla szeregu ogółu, zwłaszcza dla ówczesnych polityków polskich rozmaitych obozów, były one czymś niepojętym, fantastycznym... Bo istotnie mogła się wydać fantastyczną myśl budowania wielkiej, silnej Polski dla tego pokolenia, z którym naród nasz wchodził w XX stulecie; które samo miało świadomość, że nie wiedziałyby, co z nią zrobić; którego jedna część zlekłaby się tak wielkiej odpowiedzialności, inna skoczyłaby w tę Polskę śmiało, ale po to tylko, żeby znaleźć w niej żer dla swych ambicji i dla swych kieszeni, inna wreszcie – traktowałaby ją jak *Kindergarten*, w którym odbywa się zabawa w dorosłych ludzi.

Ale państwa nie buduje się dla jednego pokolenia i jednym pokoleniem, jak to już powiedziałem, nie mierzy się wartości narodu. Żyć myślą o odbudowaniu państwa, pracować na serio dla tego celu mogli tylko ludzie nieżyjący wyłącznie dniem dzisiejszym, moralnie niezwiązani z nadto ze współczesnym pokoleniem, niebudujący całych swych nadziei na tym pokoleniu.

Myśląc o Polsce silnej, istotnie niezawisłej, zarówno gospodarczo, jak i politycznie, niepodobna było jej sobie wyobrazić odgródzonej od morza nieprzerwanym pasem posiadłości niemieckich. Wprawdzie znaleźli się u nas ludzie, którzy ją sobie taką wyobrażali, którzy podczas wojny nie tylko Niemcom, ale nawet rządów państw zachodnich w imieniu Polski deklarowali, że posiadanie wybrzeża bałtyckiego i Gdańska nie jest dla niej konieczne. Krótki wszakże okres istnienia naszego odbudowanego

⁴ W artykułach Popławskiego i moich. Sprawę odbudowania państwa ująłem ogólnie w obszernym artykule: *Rzut oka na kwestię polską* w „Kwartalniku naukowo-politycznym i społecznym” (rok 1898, kwart. II), który wychodził przez krótki czas przy „Przeglądzie Wszechpolskim”.

państwa chyba nam unaoczniał, jak olbrzymie znaczenie dla naszej niezawisłości i dla naszego rozwoju gospodarczego ma ten skrawek wybrzeża morskiego, który posiadamy, jak wielką trudność dla nas stanowi to, że Gdańsk nie należy całkowicie do państwa polskiego.

Odzyskanie też naszej ziemi nadbałtyckiej, odzyskanie Pomorza i Gdańska, stało się osią naszego planu odbudowania państwa.

Dla przyszłego państwa polskiego główne, podstawowe znaczenie miały ziemie etnograficznie polskie, w których prastara ludność miejscowa jest polska z języka, z tradycji, z uczuć i myśli. Celem ludzi dążących do odbudowania Polski musiało być nic z tych ziem nie uronić, nic nie pozostawić poza granicami naszego państwa. Musiało tak być nie tylko dlatego, że one przede wszystkim stanowią Polskę, nie tylko ze względu na wartość i znaczenie tych ziem samych w sobie, ale także dlatego, że od nich zależy charakter narodowy państwa, że im większy jest ich obszar, im większa w państwie liczba tej ludności rdzennie polskiej, tym mniejszą dla niego trudność stanowi ludność językowo niepolska, którą państwo w swych granicach posiadać musi. Im więcej ma ludności rdzennie polskiej, tym więcej może mieć niepolskiej. Gdyby Polska posunęła się znacznie na wschód, na ziemie językowo niepolskie, a nie objęła swymi granicami na zachodzie ziem rdzennie polskich, przestałaby być państwem narodowym i – zważywszy ewolucję polityczną Europy, o której była wyżej mowa – wkrótce przestałaby w ogóle być państwem.

Te ziemie rdzennie polskie to były: Królestwo Kongresowe z częścią tzw. Kraju Zabranego, Galicja Zachodnia, Poznańskie, Prusy Zachodnie, Warmia, obok tego zaś oba Śląski – Górny Śląsk pruski i Księstwo Cieszyńskie, wreszcie językowo polskie Mazury w Prusach Wschodnich, które włączone do państwa polskiego w jednym pokoleniu całkowicie by się z resztą narodu zespoliły.

Otóż, jeżeli o Królestwie Kongresowym i zachodniej Galicji można było powiedzieć, że od rozbiorów zostały w polskości swej nienaruszone, jeżeli przy najskromniej nawet, z największą rezygnacją kreślonym planie państwa polskiego nie było ono bez tych ziem do pomyślenia – to na ziemiach należących do Prus kolonizacja niemiecka, przez rząd ogromnym kosztem prowadzona i wszelkimi sposobami popierana, zrobiła już tak wielkie postępy, odsetek ludności niemieckiej, nawet w Poznańskim, był tak znaczny, a obok tego niemiecka organizacja kraju tak głęboko sięgała w życie społeczeństwa, że wielu ludzi nie miało już odwagi myśleć o nich jako o ziemiach przyszłego państwa polskiego.

Tymczasem była to ta część naszego obszaru narodowego, z której wyszło państwo polskie i cywilizacja polska; która najdłużej ze wszystkich naszych ziem była polska i najdłużej w cywilizacji polskiej się wychowywała; najstarsza kulturą i najkulturalniejsza, z najbardziej oświeconą i najgłębiej uświadomioną narodowo masą ludności; wreszcie pod względem swej budowy społecznej najbardziej europejska, najsilniejsza – ziemia, w której, przy nikłej liczbie ludności żydowskiej, rozwinęło się i zorganizowało liczne, żywotne mieszczaństwo polskie. Była to ziemia z ludnością polską najbardziej

wyćwiczoną w życiu politycznym i w walce o byt narodu, z ludnością najzdolniejszą do wykazywania czynnego patriotyzmu.

Dla przyszłej Polski strata ziem zaboru pruskiego oznaczała: 1. oddalenie od Europy Zachodniej, 2. odcięcie od morza, 3. pozostawienie w rękach groźnego sąsiada głęboko wrzynającej się w obszar polski placówki śląskiej, a z nią olbrzymich bogactw w węglu i metalach, 4. niższy o wiele przeciętny poziom kultury w przyszłym państwie, 5. granicę z Niemcami, otaczającą nas nieprzerwanym półkolem, przy której bylibyśmy na ich łasce i niełasce, wreszcie 6. ogromne uszczuplenie obszaru i umniejszenie przeszło o piątą część ludności rdzennie polskiej, co musiałoby pociągnąć skurczenie się granic tak osłabionego państwa i na wschodzie.

To znaczyło, że bez ziem zaboru pruskiego nie ma Polski naprawdę niepodległej. „Głupia Polska bez Poznania” – jak mówiono po drugim rozbiore.

A jednak groźba utraty raz na zawsze tych ziem wisiała nad nami od dłuższego czasu. Z niepokojem i trwogą śledziliśmy postępy roboty pruskiej, która, pomimo wytrwałego, zorganizowanego oporu Polaków, ostatnimi czasy robiła coraz nowe wyłomy, coraz nowe zdobywała placówki. Głębsi znawcy położenia mówili: jeszcze pięćdziesiąt, a może tylko trzydzieści lat trwania rządów pruskich i pruskiego systemu, a będziemy złamani.

Myśmy widzieli niebezpieczeństwo nie tylko w tym systemie. Rządy pruskie walczyły z narodowością Polaków, ale będąc jednocześnie rządami agrariuszów, ochraniały interesy rolników, co dawało polskości wielką siłę gospodarczą. Koniec wszakże dominującego wpływu agrariuszów w Niemczech szybko się zbliżał, a z nim musiało nastąpić nagłe pogorszenie położenia rolników w państwie pruskim. Wtedy utrzymanie ziemi w rękach polskich stałoby się o wiele trudniejsze i zdobycze niemczyzny poszłyby w szybszym o wiele tempie.

Z utratą ziem zaboru pruskiego groziła nam utrata raz na zawsze widoków na zbudowanie silnego państwa, zdolnego stać na własnych nogach, niezawisłego od sąsiadów.

Zrozumieliśmy więc, że odbudowanie Polski musi się zacząć od odzyskania, od wyrwania z rąk niemieckich ziem zaboru pruskiego; że wyzwolenie ich, wydobyte z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdują, to sprawa najpilniejsza, od której cała przyszłość Polski zależy.

Z drugiej strony było widoczne dla każdego, kto znał życie tych ziem, że jeszcze w tym stanie rzeczy, jaki tam panował w początku stulecia, wyzwolone raz spod rządów pruskich otrząsną się one bardzo szybko z niemczyzny. Życie to potwierdziło: Poznań, ze względu na skład swej ludności i na ducha politycznego, który w nim panuje, jest dziś najbardziej polskim ze wszystkich większych naszych miast.

Człowiekiem, który otworzył oczy naszemu pokoleniu na znaczenie ziem zaboru pruskiego dla przyszłości Polski, który jasno widział, że bez tych ziem możemy być tylko słabym, uzależnionym od sąsiadów, stopniowo topniejącym narodem, w którego

nieocenionych i po dziś dzień niedocenionych pismach politycznych ta myśl przewija się nieustannie – był Popławski. Do mnie już tylko należało wyciągnąć z tego założenia konsekwencje dla polityki polskiej. I to, że postanowiłem pójść w tych konsekwencjach do końca, że uczyniłem to wbrew wszelkim zakorzenionym w psychologii naszego społeczeństwa przesądom, wstrętom i histeriom, wbrew silnym wpływom obcym, działającym na naszą myśl polityczną, że osiągnąłem to, iż wyrwanie naszych ziem zachodnich z rąk niemieckich stanęło na pierwszym miejscu w planie odbudowania Polski, że do tego celu udało mi się nagiąć naszą politykę – uważam za najlepszą rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Odbudowanie państwa polskiego, jak to już powiedziałem, było nieuniknione i po oderwaniu naszych ziem zachodnich od Prus inne rozwiązanie kwestii polskiej niż ustanowienie niezawisłego państwa było niemożliwe. Ale było możliwe stworzenie państwa bez tych ziem, państwa zaprzęzonego z konieczności do służby potężnym Niemcom, niemającego żadnych widoków na odzyskanie tych ziem, w których polskość byłaby w dalszym ciągu szybko likwidowana, dopóki by nie straciły one ostatecznie tytułu ziem polskich. A wtedy co?...

Nawet ludzie nieposiadający zbyt bogatej wyobraźni politycznej niech spróbują dziś – gdy mamy zjednoczoną, niepodległą Polskę – pomyśleć, jakby państwo nasze wyglądało bez Poznańskiego, Pomorza i tej części Śląska, która nam się dostała, jakie byłoby jego położenie polityczne, gospodarcze i finansowe, z jakim skutkiem odpierałoby najazd nieprzyjaciela, choćby podobny do tego, któryśmy mieli w roku 1920...

W świetle dzisiejszego położenia państwa polskiego ludzie nareszcie powinni zrozumieć całkowicie, dlaczego taką wagę przykładaliśmy do tej sprawy. Zrozumienie to ma znaczenie i dla przyszłości.

Kto się zrzekał ziem zaboru pruskiego, ten się w istocie zrzekał niepodległej Polski.

Jeżelibyśmy w przyszłości z tych ziem coś utracili, znaczyłoby to, że odbudowane państwo polskie zaczyna znów upadać.

Dopiero gdy w planie przyszłego państwa polskiego znalazły się wszystkie ziemie rdzennie polskie, można było myśleć o objęciu nim ziem wschodnich, które zaliczamy do naszego obszaru narodowego, a których ludność w większości nie jest z języka polska.

Ktokolwiek starał się konkretnie sobie przedstawić przyszłe państwo polskie, kto obszar ziem polskich dobrze znał i miał cokolwiek politycznej wyobraźni – nie mógł marzyć o sięgnięciu do granic 1772 roku.

Trzeba było myśleć o Polsce możliwie największej, ale tylko do tych granic, w których mogła ona zachować spójność wewnętrzną. Więcej jest warte i większą ma przyszłość państwo mniejsze, a mocno wewnątrz związane niż rozsypujący się olbrzym. Dlatego to – jakkolwiek nie czyni się tych rzeczy z lekkim sercem, jakkolwiek bolesne jest pozostawianie poza granicami państwa ziem, na których tyle pokoleń polskich pracowało dla ojczyzny i broniło polskości do ostatniej chwili, na których pozostaje tyle, nawet w

dużych skupieniach, ludności polskiej i tyle dobra polskiego – trzeba się było zrzec granicy historycznej i cofnąć ku zachodowi.

Polska historyczna miała bardzo złe granice, ale złe one były przede wszystkim dlatego, że ustrój Rzeczypospolitej szlacheckiej nie pozwalał na planową, konsekwentną politykę zewnętrzną, która by mogła osiągnąć lepsze granice. Skutkiem braku tej polityki Prusy Książęce nie tylko zachowały swe odrębne istnienie, ale połączyły się z Brandenburgią w Królestwo Pruskie, na wschodzie zaś, gdzie granica państwa daleko była posunięta w głąb lądu, nie umieliśmy dotrzeć do mórz i na ich brzegu mocno stanąć. Z chwilą kiedy Piotr Wielki złamał siłę szwedzką i usadowił się mocno na Bałtyku, a Turcję osłabił na Morzu Czarnym, kiedy Katarzyna II skolonizowała jego brzegi i założyła Odessę, nasza granica wschodnia stała się niemożliwa do utrzymania i znaczna część naszych ziem wschodnich została skazana na przejście w ręce Rosji.

Dlatego to, niezależnie od względów na spójność państwa, w rozumnym planie odbudowania Polski nie mogło być mowy o powrocie do dawnej granicy na wschodzie. Trzeba też było z ziem wschodnich, zwanych Krajem Zabranym, zachować tylko tę ich część, w której żywioł polski jest dostatecznie silny, ażeby ją można było zaliczać do naszego obszaru narodowego, wcielając do państwa polskiego tylko taką liczbę ludności językowo niepolskiej, przy której będzie ono zdolne zachować charakter narodowego państwa polskiego.

Niestety, wpływ polski na tych ziemiach nie posuwał się w ciągu dziejów równomiernie: mamy daleko na wschodzie okręgi, gdzie polskość jest wcale silna, gdy na samej granicy Polski etnograficznej, w nie których okręgach odsetek ludności polskiej jest słaby. Trzeba więc było względy kulturalno-polityczne skombinować z geograficzno-politycznymi. Tą drogą powstało pojęcie granicy wschodniej, niewykreślonej wyraźnie, ale mniej więcej zbliżonej do tej, którą podczas wojny zaprojektował Komitet Narodowy w Paryżu.

Tak się już na początku stulecia konkretyzowała w naszych umysłach przyszła Polska, ta Polska, do której należało dążyć, o którą mieliśmy kiedyś walczyć.

Nikt sobie nie przedstawiał, kiedy i w jakich warunkach zjawia się widoki zrealizowania tego planu. Możliwe było, że żaden z nas tej chwili nie dożyje, jak istotnie nie dożył niejeden z tych, co brali udział w tej pracy. Aleśmy rozumieli, że nawet jeżeli jest ona bardzo daleka, trzeba wiedzieć ściśle, czego się chce, do czego się dąży. Wtedy dopiero polityka polska mogła stać się polityką celową, która działa konsekwentnie, nie marnuje sił na rzeczy niepotrzebne, nie idzie na oślep i nie robi kroków wręcz przeciwnych sprawie polskiej, a pożądanych dla jej wrogów.

IV. NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI A INTERESY PAŃSTW ROZBIORCZYCH

Ujęty konkretnie program niepodległej Polski w różny sposób zwracał się przeciw interesom trzech państw posiadających ziemie polskie.

Nie trzeba zbyt głębokiej analizy położenia i celów politycznych tych państw, ażeby zrozumieć, że zwracał się on przede wszystkim przeciw Niemcom.

Oderwanie od nich ziem polskich oznaczało dla nich: nie tylko stratę pewnej liczby kilometrów kwadratowych ziemi, i to ziemi takimi wysiłkami i takim kosztem przygotowanej do tego, żeby w krótkim czasie stała się niemiecką; nie tylko odcięcie ogniska niemieckiego, skupionego dokoła Królewca; i nie tylko, w razie odebrania Górnego Śląska stratę bogatego okręgu górniczo-przemysłowego – ale przecięcie drogi do planowanego na przyszłość dalszego posuwania się ku wschodowi, do dalszego, stopniowego pożerania ziem polskich. Odbudowanie Polski silnej z jej ziemiami zachodnimi uniemożliwiło Niemcom ciężenie nad Rosją i ekspansję na południowy wschód, ku Azji Mniejszej.

Nasz program terytorialny godził w rolę Prus w Rzeszy, całą politykę wschodnią Niemiec rozwiniętą pod hegemonią pruską, w całą wielką rolę cesarstwa, taką, jaką widzieli wszyscy prawie Niemcy bez względu na odcienie polityczne.

Realizacja tego programu była możliwa tylko w razie zgniecenia potęgi niemieckiej. Wyrosła ta potęga kosztem Polski, dalszy jej wzrost oznaczał dalsze niszczenie Polski – odbudowanie Polski nie jako słabego manekina, ale jako państwa istotnie niezawisłego, musiało być połączone z upadkiem potęgi, do jakiej Niemcy doszły.

Można powiedzieć, że program ten jeszcze silniej godził w Austrię, bo z jego urzeczywistnieniem koniec jej był nieunikniony. Dalsze istnienie Austrii, będącej już pod koniec zeszłego stulecia anachronizmem, było możliwe tylko przy oparciu o Niemcy, którym była ona potrzebna. Była ona narzędziem Niemiec do hamowania rozwoju sił mniejszych narodów Europy Środkowej, przy jej pomocy te narody były wciągnięte w system niemiecki i służyły niemieckiej potędze; była potrzebnym mostem dla lądowej ekspansji niemieckiej przez Bałkany do Azji zachodniej.

Dalsze istnienie Austrii po odbudowaniu Polski i osłabieniu Niemiec było niemożliwe, bo nie miała ona na zewnątrz oparcia przeciw rozsadzającej sile swych narodów dążących do wyzwolenia się spod supremacji niemieckiej.

Dla władców drugiej połowy monarchii habsburskiej, Węgrów, odbudowanie silnej Polski, połączone z osłabieniem Niemiec, przedstawiało również wielkie niebezpieczeństwo. Zachowanie państwa węgierskiego w jego granicach historycznych, dalsze panowanie Madziarów nad Słowakami, Rumunami i Serbami, nad ludami, które coraz silniej ciążyły na zewnątrz, ku ośrodkom swego narodowego życia, było już możliwe tylko pod protekcją wielkiej potęgi niemieckiej, dla której wyzwolenie i zjednoczenie tych

narodów było niepożądane i której Węgrzy stali się najpewniejszymi sojusznikami. Zdawali sobie Węgrzy sprawę z tego, że przy osłabieniu Niemiec i rozkładzie Austrii zredukowanie ich obszaru do Węgier etnograficznych będzie nieuniknione; rozumieli również, że dla Polski ważny będzie rozwój sił tych ludów, które przeciwstawiają się Niemcom, nie zaś panowanie nad nimi Madziarów, którym interesy dyktują sojusz z Niemcami i szukanie w nich oparcia.

Zresztą od dłuższego już czasu byłem zdania, że w sprawach polityki międzynarodowej nie należy się za wiele liczyć z państwem austro-węgierskim jako czynnikiem samodzielnym. Jak już wyżej powiedziałem, sojusz z Niemcami stał się dla Austrii czymś więcej niż sojuszem, stał się związkiem ściślejszym, uzależniającym Austrię od Niemiec. Było do przewidzenia, że gdy na porządku dziennym stanie sprawa tak doniosłego dla Niemiec znaczenia, jak sprawa polska, Austria idąca razem z Niemcami może mieć tylko zachcianki, ale wolę i siłę decyzji będą miały Niemcy i Austria będzie musiała pójść za nimi.

Stąd kwestia stanowiska Austro-Węgier wobec programu polskiego była kwestią drugorzędną. Wystarczało rozumieć stanowisko Niemiec i wiedzieć, że narzucą je one swemu podwładnemu sojusznikowi.

Nieszczęściem było, że politycy polscy w Austrii tego położenia państwa Habsburgów nie widzieli lub nie chcieli rozumieć. Inaczej rozwój polityki polskiej w początku obecnego stulecia byłby poszedł o wiele prościej drogą i naród nasz przygotowałby się do wielkich wypadków, które się zbliżały.

Odbudowanie Polski musiało się odbyć, z natury rzeczy, przede wszystkim kosztem terytorium należącego do państwa rosyjskiego. Rosja posiadała główną część dawnej Rzeczypospolitej – to, co pozostało przy Prusach i Austrii po kongresie wiedeńskim, na którym Aleksander I wziął na siebie rolę „wskrzesiciela Polski”, było pod względem ilości ziemi tylko okrawkami tego obszaru.

Aleksander w swej roli nie wytrzymał, a za jego następców rząd rosyjski usiłował nie ustępować pruskiemu w niszczeniu polskość. Jednakże politycy rosyjscy zdawali sobie sprawę z tego, że kwestii polskiej tą drogą nie rozwiążą, że o zruszczeniu ziem polskich, zwłaszcza Królestwa Kongresowego, nie ma mowy. O tym mogli marzyć tylko ciemni barbarzyńcy typu apuchtinowskiego. Rozumniejsi Rosjanie patrzyli na panowanie Rosji w Królestwie jako na czasowe tylko i myśl pozbycia się go, lub przynajmniej jego części, nieraz w polityce rosyjskiej powracała. Nawet wśród skrajnych nacjonalistów ostatniej doby, o ile nie byli zainteresowani osobiście w Polsce, tej myśli nie odrzucano, a myślano natomiast o zagarnięciu wschodniej Galicji jako ziemi ruskiej, co w ich języku było jednoznaczne z rosyjską.

My wszakże nie tylko wschodnią Galicję, ale i znaczną część ziem leżących na wschód od Królestwa zaliczyliśmy do naszego obszaru narodowego i bez nich Polski prawdziwie niezawisłej nie uważaliśmy za możliwą. Nasz plan przyszłej Polski zwracał

się więc i przeciw ambicjom rosyjskim i wątpię, czy by się znalazło jednego Rosjanina, który by się godził na niepodległą Polskę taką, jak myśmy ją pojmowali.

Jednakże, gdyby Rosjanie na chłodno oceniali wewnętrzne i zewnętrzne położenie swego państwa, gdyby patrzyli na kwestię polską nie już z punktu widzenia sprawiedliwości, ale ze stanowiska czystych interesów rosyjskich, gdyby tam, gdzie nie mogli swej polityki rozumnie pojętymi interesami uzasadnić, nie hipnotyzowali się formułą „godności narodowej”, która nie pozwala się cofać – zrozumieliby, że na odbudowaniu takiej Polski Rosja niewiele traci, że nawet, po zrobieniu dokładnego rachunku zysków i strat, mogłoby to się okazać dla niej bardzo korzystne.

Poza niemałymi zyskami osobistymi, jakie wyciągali z Polski działający tam przedstawiciele „sprawy rosyjskiej”, korzyści jej z panowania na ziemiach polskich były dość problematyczne. Rozumiemy, że posiadając kraje bałtyckie z Rygą i brzeg Morza Czarnego z Odessą, Rosja nie mogła się zgodzić z granicą 1772 roku, chcąc mocno stać na tych dwóch morzach, co do jej polityki należało, musiała posiadać nie tylko brzeg morski, ale i *Hinterland*. Ale na co jej były ziemie w głębi lądu leżące, daleko na zachód wysunięte, których posiadanie dawało jej granicę niemożliwą do obronienia? Prawda, te ziemie zwiększały materialną potęgę państwa, ich udział w życiu państwa podnosił jego poziom gospodarczy; dawały pewien dochód skarbowi i sporo materiału ludzkiego do armii, którego zresztą w Rosji nigdy nie brakowało... Tak, ale ileż było ujemnych stron tego panowania w Polsce...

Przede wszystkim współnictwo z Niemcami w sprawie polskiej wzmacniało i tak za silny wpływ niemiecki w Rosji i paraliżowało swobodę ruchów jej tam, gdzie musiała występować przeciw Niemcom. Tylko wyzyskując te swoje wpływy wewnątrz Rosji, Niemcy mogli w ciągu paru dziesięcioleci poprzedzających ostatnią wojnę tak wielkie zrobić postępy w swej polityce zewnętrznej, tak paraliżować politykę Rosji i tak osłabiać jej stanowisko mocarstwowe. Najjaskrawiej wykazało się fatalne znaczenie tych wpływów podczas wielkiej wojny, kiedy spostrzeżono, że w służbie rosyjskiej jest wielu ludzi, na których lojalność nie można liczyć wtedy, gdy trzeba iść przeciw Niemcom.

Należenie Polski do państwa rosyjskiego uniemożliwiało normalny jego postęp polityczny, konieczny ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo z krajami cywilizacji zachodniej i na coraz ściślejsze stosunki z Europą. Ilekroć Rosja wchodziła na drogę rozumnych, umiarkowanych reform – czy to za Aleksandra I, czy za Aleksandra II, czy nawet już w ostatnich czasach, w czasach ustanowienia Dumy, zawsze się z tej drogi potem cofała, a głównym motywem reakcji był wzgląd na Polaków, obawa, że z nowych praw oni skorzystają dla wzmocnienia się i rozsądzenia państwa. Rosja zmian politycznych uniknąć nie mogła, miała tylko do wyboru drogę ewolucyjną lub rewolucyjną: obawiając się ewolucji ze względu na Polaków, została skazana na rewolucję. Jeżeli Rosja w ostatnich latach drogo zapłaciła, to kto wie, czy przede wszystkim nie zapłaciła za panowanie nad Polską.

Już w pierwszych latach obecnego stulecia, w latach poprzedzających wojnę japońską i idące za nią wstrząśnienie rewolucyjne, wzmógł się ruch umysłów w Rosji,

zaznaczać się zaczęła coraz silniejsza opozycja, i to ze strony żywołów umiarkowanych i patriotycznych, przeciw systemowi rządu państwem. Widoczne było, że zbliża się moment, kiedy wprowadzenie ciał ustawodawczych będzie nieuniknione. Ogół w głębi Rosji nie zastanawiał się nad tym, jak po takiej reformie będzie wyglądała rola Polaków w państwie; ale ludzie rządzący, którzy z Polską wiele mieli do czynienia i z których nie jeden w swej karierze służbowej przez Polskę przechodził, rozumieli niebezpieczeństwo z tej strony i dla wielu z nich był to jeden z głównych powodów do opierania się reformie. Zdawali sobie oni sprawę z tego, że jeżeli parlamentaryzm ma się utrwalić w Rosji, trzeba będzie stracić Polskę: że inaczej, przy różnorodnym rasowo składzie państwa, Polacy staną na czele odśrodkowych ruchów narodowych i doprowadzą Rosję stopniowo do rozkładu. Niedaleka przyszłość to okazała: kiedy w drugiej Dumie Polacy wystąpili z wnioskiem autonomii Królestwa Polskiego, zaraz w parlamencie rosyjskim zorganizowało się parę innych autonomicznych grup narodowych. Usiłowano sparaliżować akcję polską przez zaprowadzenie w Królestwie na całe lata stanu wyjątkowego i przez okrojenie liczebne jego przedstawicielstwa, ale ludzie mający pewną wiedzę polityczną zdawali sobie sprawę z tego, że takie środki na długo nie starczą. I myśl o pożegnaniu się z panowaniem w Królestwie znów zaczęła powracać.

Ci Rosjanie, którzy rozumieli, że w Rosji samowładztwo i rządy policyjne długo utrzymać się nie dadzą – a takich było coraz więcej – musieli stopniowo dochodzić do rozumienia, że nie da się utrzymać także i panowania rosyjskiego w Polsce. Chodziłoby tylko o to, co należało rozumieć przez Polskę. Tu myśl rosyjska u ogromnej większości poszła w kierunku minimum. Nawet Królestwa Kongresowego było za wiele – trzeba było odciąć gubernię chełmską.

Aczkolwiek zdawano sobie sprawę z tego, że Rosja i w Kraju Zabranym ma za wielu Polaków, ażeby móc sobie z nimi poradzić, ażeby móc ten kraj uważać za rosyjski – nie wahano się myśleć o przyłączeniu takiej „ziemi rosyjskiej”, jak owa gubernia chełmska, a nawet myślano o aneksji wschodniej Galicji, z jej znaczną liczbą ludności polskiej, nowej, nienagiętej do rosyjskich form rządu, a nadto z gniazdem ukrajinizmu, który dla Rosji jest o wiele niebezpieczniejszy niż dla Polski.

Wielu było Rosjan, którzy myśląc o możliwości utraty Królestwa, woleli, żeby przeszło ono pod panowanie niemieckie, niż żeby powstała niepodległa Polska. Nie zastanawiali się nad tym, że zwiększenie tym sposobem potęgi zajętej niszczeniem mocarstwowego stanowiska Rosji byłoby dla niej wprost fatalne. Tego rodzaju koncepcje świadczyły najlepiej, jak myśl rosyjska w stosunku do sprawy polskiej urabiała się pod wpływami niemieckimi. Na pocieszenie swoje mogli mieć Rosjanie tylko to, że myśl polską w stosunku do Rosji urabiały także w znacznej mierze wpływy niemieckie.

Ci Rosjanie, z którymi można było poważnie dyskutować sprawę niepodległej Polski, wyrażali zwykle obawę, że ta Polska może w przyszłości wespół z Niemcami zwrócić się przeciwko Rosji. Obawa ta nie była wcale płonna. Bo gdyby Polska była odbudowana w tak szczupłych granicach, jak oni to sobie przedstawiali, nie mogłaby być

w pełni niezawisłym państwem, musiałyby zostać wasalem Niemiec, a wtedy – czy by chciała, czy nie chciała – musiałyby im służyć do walki z Rosją.

Tylko Polska silna, a więc z dość znacznym obszarem i odpowiednią liczbą ludności, mogła stać się prawdziwie niezależną, a będąc niezależną, nie poszłaby na służbę interesów niemieckich, czy to przeciw Rosji, czy przeciw komukolwiek. I dla Rosji też byłoby lepiej, żeby państwo polskie było silne, żeby nie było małym państwkiem.

Dla państwa z niezmiernymi obszarami Rosji kilka czy nawet kilkanaście powiatów na zachodzie, i to powiatów nieposiadających żadnych szczególnych bogactw, nie ma poważnego znaczenia. Ale dla Polski, tak zmniejszonej w porównaniu ze swym obszarem historycznym, a położonej w sąsiedztwie Niemiec, dla Polski, będącej nadto krajem mocno przeludnionym, każda piędź ziemi ma znaczenie ogromne.

Tak się przedstawiał właściwie stosunek naszego programu terytorialnego do interesów Rosji. Musieliśmy walczyć z polityką rosyjską względem Polski, ale nasz cel – odbudowanie Polski – w istotne interesy Rosji nie godził, a przy głębszym zanalizowaniu sprawy był dla niej właściwie korzystny.

Istniała więc głęboka różnica w stosunku naszego programu do interesów Niemiec i Austrii z jednej strony, z drugiej zaś – do interesów Rosji. I różnica naszej polityki w stosunku do tych dwóch państw i narodów nie była dyktowana jedynie względami strategii politycznej, względami chwili, ale wypływała z założeń głębszych i trwalszych, które i w przyszłości odegrają niemałą rolę w polityce polskiej.

V. DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI

Zbudowanie programu polityki polskiej nie przyszło od razu. Był to wynik studiów nad Polską, nad państwami rozbiórczymi i nad współczesną polityką międzynarodową, pracy myśli w ciągu wielu lat. Ta praca była prowadzona nieprzypadkowo, nie dorywczo, ale planowo, z wyraźnym, od początku postawionym celem zorganizowania polityki nie miejscowej, nie dzielnicowej, ale mającej za przedmiot całą Polskę i zaprzęgającej do służby wspólnej sprawie Polaków wszystkich trzech dzielnic. W tym celu został założony „Przegląd Wszechpolski”; dla tego celu istniała tajna organizacja w trzech zaborach, Liga Narodowa, która powstała w roku 1893 z rozbitcia wspomnianej poprzednio Ligi Polskiej, gdy ta okazała się niezdatna do twórczej pracy; w tym wreszcie celu założono we wszystkich trzech zaborach Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, jedno na całą Polskę, jakkolwiek posiadające, ze względów prawnych, odrębną organizację w każdym państwie. Stronnictwo jawne, legalne nie mogło wystawić programu, który byłby zakwalifikowany jako zdrada państwa i który by uniemożliwił całą działalność obozu. Również nie mogło się popisywać publicznie swymi zjazdami trójzaborowymi, które się często odbywały i na których krok za krokiem kładziono podstawy polityki ogólnopolskiej.

Nie można było czerpać wiele nauki z działań politycznych poprzednich pokoleń. Położenie Polski i sprawy polskiej bardzo się zmieniło i Europa była inna – bismarkowska.

W miarę też zagłębiania się w zagadnienia polityki polskiej stawał przed oczyma fakt, że polityki zewnętrznej, zasługującej na to miano, od dawna już nie mieliśmy. Rzeczpospolita na długo już przed rozbiorami zatraciła zdolność do posiadania i wykonywania jakiegokolwiek planu politycznego; nie widzi się też jasnego, logicznie obmyślanego planu w naszych działaniach porozbiorowych; nasze walki o niepodległość – to walki o wolność, zbrojne protesty przeciw niewoli, nie zaś wyraz jakiejś akcji planowej, mającej przed oczyma cel konkretny. Nikt z tych, którzy je wywoływali i nimi kierowali, nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, w jakiej postaci Polska będzie odbudowana w razie powodzenia.

Trzeba więc było wykonać pracę nową, trzeba było tworzyć, a nie można powiedzieć, żebyśmy do tego byli należycie przygotowani. Toteż w tej pracy trzeba było przede wszystkim wiele się nauczyć. Jeżeli dała ona wyniki, to dlatego tylko, że ci, co ją prowadzili, nie bali się wysiłku myśli. Jeżeli nie znajdowała ona szerszego odgłosu w naszym społeczeństwie, w jego kołach politycznych, to dlatego, że jednym z największych, najniebezpieczniejszych braków tego społeczeństwa w polityce jest lenistwo umysłowe.

Gdy ta praca doprowadziła do skonkretyzowania celu, do wyjaśnienia sobie, jaką Polskę chcemy mieć i jaki jest stosunek tego celu do interesów poszczególnych państw posiadających ziemie polskie – tym samym zaczęły się przed naszymi oczyma zarysowywać drogi, które do tego celu mogły doprowadzić.

Co mogło sprawę polską ruszyć z miejsca?

Trzy przede wszystkim fakty – wszystkie trzy możliwe w bliskim czasie.

Pierwszy – to wewnętrzne przekształcenie państwa rosyjskiego, stwarzające warunki do uruchomienia politycznego głównej części Polski.

Drugi – to ostateczny rozkład Austrii.

Trzeci wreszcie – to wojna między państwami, które podzieliły się ziemią polską, wojna między Rosją a Niemcami, która jeżeli nie doprowadzi od razu do odbudowania państwa polskiego, to może dać rzecz dla tego przyszłego państwa najważniejszą, mianowicie oderwanie ziem zaboru pruskiego od Niemiec i ocalenie ich zagrożonej polskości.

Tych trzech faktów należało czekać, do nich się przygotowywać, ażeby móc z nich skorzystać, wreszcie zbliżyć je, o ile to leżało w naszej mocy.

Dla człowieka, który się zagłębił nieco w sprawę polską i w jej położenie w Europie, nie było już wątpliwości, że państwo polskie w niedalekim czasie musi się zjawić na nowo na karcie Europy. Tej wątpliwości nie miałem. Ale miałem inną, która jak zmora na piersiach ciążyła na naszej myśli: czy do tego czasu nie uda się Niemcom złamać oporu polskiego w zaborze pruskim i odebrać nam raz na zawsze widoków na stworzenie silnego państwa?

Kto z tego straszego niebezpieczeństwa zdawał sobie sprawę, kto myślał o Polsce poważnej, naprawdę niepodległej, nie o jakimś wiechciu pod niemiecką stopą, ten miał jedną tylko przed sobą drogę: złączyć sprawę polską z przymierzem francusko-rosyjskim, szukać zbliżenia z Rosją, wpoić w nią świadomość, że w walce z Niemcami może liczyć na Polaków.

Rosję dzieliły z Niemcami szerokie interesy polityki mocarstwowej i przeciwieństwo tych interesów prowadziło do starcia. Jednocześnie sprawa polska była węzłem, który ją z Niemcami łączył. Nasza polityka porozbiorowa ten węzeł zacieśniała, a powstanie 1863 roku zawiązało go wtedy, kiedy się już zrywał, i zdobyło sobie wielkie znaczenie historyczne, dla Polski zaś dobę najstraszniejszego ucisku i poniżenia. Trzeba było teraz skorzystać z nowego zaostrzenia stosunków rosyjsko-niemieckich i przestać być tym węzłem, a tym samym zbliżyć chwilę rozprawy. Bo tylko rozprawa między Rosją a Niemcami mogła naszą przyszłość uratować.

Wiedziałem z góry, ile nas będzie kosztowało wejście na tę drogę. Wiedziałem, z czym trzeba będzie walczyć, jaki ciężar bierzemy na swe barki, postanawiając politykę polską na tych jedynych rozumnych podstawach zorganizować. Tyle było przeszkód i w Polsce, i w Rosji.

Cała tradycja porozbiorowa, święcona stale w obchodach listopadowych i styczniowych, była przeciw tej polityce. Była to, co prawda, tradycja klęsk, tradycja stopniowego likwidowania sprawy polskiej, myśmy wszakże tak odbiegli od innych narodów, że święcimy klęski, gdy tamte święcą zwycięstwa. Gorsza, że autorzy klęsk umieją przemawiać jak mistrzowie.

Pamiętam, raz w gronie emigrantów z 1863 roku za granicą ostro napadano na mnie za kierunek mojej polityki. Jeden z nich, szanowany zresztą antykwariusz Bukowski ze Sztokholmu zawołał:

- Myśmy inaczej działali w 1863 roku, innymi drogami szliśmy do niepodległości!
- Aleście nie doszli - odpowiedziałem. - Ten, kto przegrał, nie ma prawa żądać, żeby go naśladowano.

Przeciw tej polityce była psychologia szerokich kół społeczeństwa, ich wstręt, ich nienawiść do Rosjan. Zwłaszcza każdy z nas, którzyśmy przechodzili szkołę apuchtinowską, o ile wyniósł z rodziny tradycję polską i podstawy polskiej kultury, wchodził w życie z „chorobą na Moskala”, jak to Żeromski nazwał w jednym ze swych wcześniejszych utworów. Był to rodzaj psychozy, rozwiniętej pod wpływem cierpień moralnych w szkole, w której na każdym kroku poniżano godność ludzką, obrażano uczucia narodowe, plwano na to, co dla nas było święte.

W miarę wszakże jak człowiek męźniał, jak charakter jego krzepł, otrząsał się z choroby. I musiał z niej wyrosnąć, jeżeli chciał o położeniu Polski logicznie myśleć, z zimną krwią działać, jeżeli chciał dawać rodakom wskazania polityczne.

Niewola wychowuje niewolników. Niewolnicy bywają albo ulegli i posłuszni, albo zbuntowani. Zbuntowani umieją tylko szukać zemsty na swych panach, ale ani walczyć o wolność, ani żyć w wolności nie umieją; pozostają zawsze niewolnikami. W naszym kraju niewola tak długo trwała i tak była ciężka, że wytworzyła liczne zastępy niewolników – i uległych, i zbuntowanych. Iluż to mieliśmy ludzi, co umieją się tylko kłaniać, tylko szukać łaski czy to u jednego pana, czy u innego, który na jego miejsce przyszedł! Ilu takich, co się zaprzęgali do służby innemu panu, żeby się zemścić na poprzednim! Ilu wreszcie, którzy nie umieli myśleć o Polsce, tylko o tym, jakby Moskałom zaszkodzić! Wszystko to niewolnicy, mniejsza o to, że w połowie zbuntowani. I jako niewolnicy nie byli zdolni do tworzenia wolnej Polski.

Nie lekceważyłem sobie tej psychologii, wiedziałem, że walka z nią będzie bardzo ciężka. Przewidywałem, że i na swoich, na towarzyszy pracy, nie zawsze można będzie liczyć, że w chwilach większej próby zabraknie im odwagi do przeciwstawienia się psychice środowiska. Ale trzeba było iść naprzód, bo czasu do stracenia nie było. Trzeba było krok za krokiem robić wyłomy w zakorzenionym sposobie politycznego myślenia, o ile je można było nazwać politycznym; trzeba było po zdobyciu jednej pozycji sięgać natychmiast po drugą, bo życie nie czekało, wypadki zaczęły iść szybko jedno po drugim. Wywoływało to niezadowolenie nawet wielu ludzi we własnych szeregach, którzy narzekali, że nie ma czasu należycie przetrwać jednego, a już się im coś nowego podaje, że w tym pędzie naprzód nie ma chwili odpoczynku. Wywoływało też odszczepieństwa – i ze zwolenników robili się najzaciętsi przeciwnicy.

Walkę o organizację myśli politycznej kraju zaostrzał niepomiernie udział w niej Żydów, zwłaszcza tych Żydów, którzy przemawiali jako Polacy. Żydzi mieli swoje porachunki z Rosją i pragnęli przede wszystkim jej zniszczenia, co nas zresztą wcale nie

dziwiło. Ale te porachunki nas nie obchodziły – myśmy mieli przed oczyma sprawę polską, a nie żydowską. Oni wszakże nie chcieli dopuścić do tego, żeby Polacy mieli swoją politykę polską, nie liczącą się z celami żydowskimi, i używali wszystkich swoich wpływów – a mieli niemałe w różnych obozach polskich – żeby nas zwalczać, żeby plany nasze unicestwić. Widzieliśmy, że jeżeli się wpływu żydowskiego na myśl polską nie złamie, będziemy musieli przegrać – jeszcze raz przegrać Polskę. To nas zmusiło do uzupełnienia naszej polityki akcją przeciwżydowską, jakkolwiek zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co to znaczy w dzisiejszych czasach – nietrudno było widzieć, że to prostuje naszą politykę wewnątrz, ale ją na zewnątrz komplikuje. Jednak bez tego bylibyśmy nie zdołali polityki naszej zorganizować i nie mielibyśmy dziś Polski, a przynajmniej takiej, jaką mamy.

Był jeszcze jeden czynnik, z naszą polityką walczący, potężny, jakkolwiek dla szerokiego ogółu niewidoczny. Były to wpływy niemieckie w Polsce, nie tak silne jak w Rosji, niemniej jednak trudne do zwalczenia, niedające się usunąć.

Wreszcie, do największych przeszkód, jakie ta nowa myśl polityczna spotykała na swej drodze, należał kierunek polityczny, który w okresie popowstaniowym nabrał w Polsce dużego wpływu, kierunek nazwany „ugodowym”. Skupiał on ludzi posiadających pewną kulturę polityczną, rozporządzających sporymi środkami i mających stosunki poza krajem, ludzi mogących oddać niemałe usługi polityce polskiej. Ale kierunek ten wyrzekał się polityki ogólnopolskiej. Usiłując być trzeźwy, daleki od wszelkich mrzonek, a nie rozumiejąc nowych czasów i nie zdając sobie sprawy z istotnego położenia sprawy polskiej, nie widział on w dziedzinie politycznej nic innego do zrobienia, jak tylko stanąć w każdym zaborze na gruncie lojalności wobec państwa, starać się o dobre stosunki z Koroną i z rządem, i tą drogą osiągać stopniową poprawę położenia Polaków. Gdyby kierownicy tego obozu rozumieli, że to jest rola skromna, drugorzędna, w której można pewne usługi oddać krajowi, ale że poza tym jest coś o wiele większego, mianowicie sprawa polska jako całość i polityka, która tą sprawą musi kierować – nie narobili tyle szkody. Ale oni zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie bili w wielki dzwon, ogłaszali wyrzeczenie się wszelkich szerszych celów, a swoje wskazania podawali jako jedyne, mające się stać naczelnymi regułami kierowniczymi dla całego narodu. A nie była to tylko taktyka przybrana ze względu na obce rządy: nikt tyłu wysiłków nie użył, żeby zwalczyć rodzącą się myśl polityczną w Polsce, żeby ją przedstawić jako niebezpieczne szaleństwo, nie tylko przed swoimi, ale i przed obcymi. I trzeba stwierdzić, że z żadnej strony nasza polityka nie spotkała tylu przeszkód do ugruntowania się w społeczeństwie i do rozwinięcia skutecznej akcji na zewnątrz. W końcu, gdy wybuchła wojna, obóz ten do dna się rozszczępił: jedni zachowali lojalność względem Austrii, inni względem Rosji, pierwsi weszli w sojusz z organizatorami legionów, drudzy zaś z nami. Ten obóz właśnie ponosi główną odpowiedzialność za to, że gdy rozwój wypadków przyniósł warunki dla szerokiej akcji polskiej skierowanej do odbudowania państwa, Polska na tę chwilę była tak słabo przygotowana. On jest odpowiedzialny za to, że dla wielu Polaków – i to w sferze kulturalnej, oświeconej – dla tych właśnie, którzy ulegali wpływowi jego nauk, odbudowanie Polski było faktem całkiem nieoczekiwanym.

Jeszcze jedno słowo.

Mówiąc o początkach nowoczesnej polityki polskiej, o założeniach, z jakich wyszła, o wysiłkach myśli i pracy organizacyjnej, które do niej doprowadziły, nie mam zamiaru sugestionować czytelnika, że jest ona wytworem jakiegoś szczególnego politycznego geniuszu. Nie – jest ona tylko owocem bezinteresownej miłości Ojczyzny, zdrowego rozsądku, no i trochę energii. I może najważniejszą rzeczą była tu bezinteresowność. Nakreślić sobie plan na dużą odległość i wykonywać go konsekwentnie, bez względu na to, że owocu wysiłków może się nie będzie za życia oglądało, mogli tylko ludzie myślący nie o tym, czym oni będą, jakie stanowiska zajmą, jaką karierę zrobią, tylko o tym, co będzie z Polską. Tej pracy, w której trzeba było zwalczać tyle przeszkód we własnym społeczeństwie, mogli się oddać jedynie ludzie niedbający o popularność, o zaszczyty, o hołdy... Ze wzruszeniem dziś wspominam ten długi okres pracy i ten zastęp ludzi cichych, nierozpieranym żadnymi ambicjami, z zaparciem się siebie, często z poświęceniem dobra swych rodzin, z niebezpieczeństwem osobistym pracujących i walczących na swych placówkach, z jedyną, ale wielką nagrodą za swe wysiłki – z poczuciem, że spełniają swój obowiązek.

CZEŚĆ DRUGA

**OD WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ
DO WOJNY ŚWIATOWEJ
(1904–1914)**

**ROZWÓJ POLITYKI POLSKIEJ I WALKA O JEJ
SAMOISTNOŚĆ**

I. WOJNA JAPOŃSKA I KRYZYS ROSYJSKI

Już pod koniec 1903 roku wojnę rosyjsko-japońską uważano za nieuniknioną. Dla nas oznaczało to początek nowego okresu, otwierało widoki na wznowienie kwestii polskiej.

Nie mam tu na myśli samej wojny. Dla ludzi mających jakie takie rozumienie rzeczy politycznych było jasne, że wojna na Dalekim Wschodzie nie może podnieść kwestii polskiej, nie może wywrzeć na nią żadnego bezpośredniego wpływu. Wojna wszakże w owej chwili, zwłaszcza zakończona niepowodzeniem, oznaczała dla Rosji wewnętrzny kryzys polityczny, prowadzący za sobą zmianę ustroju państwa.

Już na kilka lat przed wojną absolutyzm rosyjski ujawniał silne oznaki degeneracji. Ustrój państwa psuł się szybko od samej góry. Rząd właściwie jako całość nie istniał. Istnieli poszczególni ministrowie, rywalizujący o wpływy, wydzierający sobie nawzajem władzę, intrygujący, podkopujący jeden drugiego. Polityka rosyjska była wypadkową tych walk i tych intryg. Stąd brakowało jej jednolitości i konsekwencji.

Temu stanowi rzeczy sprzyjały jeszcze właściwości charakteru Mikołaja II.

Trzeba było, żeby właśnie ta krytyczna dla Rosji doba zastała na jej tronie człowieka najmniej stworzonego na monarchę. Czuły mąż i ojciec, zajęty więcej rodziną niż państwem, arystokrata do szpiku kości – nawet w lepszym znaczeniu tego słowa, bo posiadający poczucie honoru i potrzeby uczciwości w polityce, ale mający wyraźny wstręt do ludzi nowych – słaby i nieśmiały, ulegający łatwo wpływom a jednocześnie nieufny, bojący się ludzi mocnych, bo mu działali na nerwy – nie był zdolny do wytknięcia sobie jakiegokolwiek linii politycznej, a nie umiał się oddać w ręce jakiegoś jednego męża stanu, który by tę linię mógł dać Rosji. Ugiął się pod ciężarem swego fikcyjnego samowładztwa, ale uważał je za dziedzictwo, które miał obowiązek nienaruszone przekazać swemu następcy. Postawiony pomiędzy dwa śmiertelne niebezpieczeństwa, jedno idące od ulicy, drugie czyhające z wnętrza pałacu, gdyby się chciał do ulicy zbliżyć; jedno gotujące mu koniec Ludwika XVI, drugie grożące losem jego własnego prapradziadka, Pawła – żył w nieustannym strachu nie tyle może o siebie, ile o swą rodzinę, co robiło go zamkniętym w sobie mistykiem, religijnym, a bardziej jeszcze przesądnym, kazało mu szukać oparcia poza światem widzialnym i dawało łatwy dostęp do niego szarlatanom. Jedną z najtragiczniejszych postaci na tronie – nie będąc ani zły, ani głupi, stał się Mikołaj II nieszczęściem Rosji.

Przy takim rządzie i przy takim monarsze Rosja miała osiągnąć to, co w polityce można by nazwać rozwiązaniem kwadratury koła: dokładano wszelkich wysiłków, i to z niemałym powodzeniem dzięki talentowi Wittego, ażeby zrobić Rosję wielką potęgą przemysłową i handlową, jednocześnie zaś chciano zachować nietknięty jej ustrój autokratyczny.

Chcąc obudzić i zorganizować siły gospodarcze państwa, rząd sam musiał robić rzeczy podkopujące autokratyzm, jak np. powołanie do życia przez Wittego komitetów

rolniczych w całym państwie i zażądanie od nich opinii o potrzebach gospodarczych Rosji. Właśnie te komitety ośmieliły koła umiarkowane społeczeństwa rosyjskiego i zorganizowały ich opozycję przeciw systemowi rządzenia.

Na krótko przed wybuchem wojny ruch rewolucyjny, dążący do radykalnego przewrotu społecznego i politycznego, po względnej ciszy wzmógł się znowu, zaczęły się znów zjawiać zamachy na dygnitarzy państwowych.

W tych warunkach było rzeczą niewątpliwą, że Rosja przez tę wojnę nie przebrnie bez wewnętrznych wstrząśnięć i przekształceń.

Przewidując to, trzeba było mieć plan polityki polskiej, wiedzieć, czego z tych zmian dla sprawy polskiej oczekiwać można, do czego się dąży, jakie drogi działania przed nami się otworzą.

Łatwo było zdać sobie sprawę z tego, że przekształcenie ustroju politycznego Rosji, zbliżające go do ustrojów zachodnich, otwiera przed nami nowe stadium polityki polskiej, mianowicie możliwość uruchomienia i zorganizowania politycznego głównej części narodu, wyprowadzenia jej na widownię polityczną, zaprawienia w walce o prawa narodu i, przy niejednorodnym składzie państwa rosyjskiego i wyższości cywilizacyjnej Polski nad Rosją, stopniowego uniemożliwienia, doprowadzenia do absurdu rządów rosyjskich w Polsce. Rozumieliśmy, że im prędzej to będzie szło, tym rychlej przyjdzie wznowienie kwestii odbudowania państwa polskiego.

To była jedyna droga do przebycia, droga jedynie prowadząca do celu, o ile odbudowania Polski nie miał przyspieszyć niezależny od nas rozwój wypadków polityki międzynarodowej.

Tak patrząc na rzecz, byliśmy zainteresowani w tym, żeby zmiana ustroju Rosji poszła jak najdalej, sięgnęła jak najgłębiej – nie w sensie przewrotu społecznego, tylko w sensie zasadniczej reformy politycznej; z drugiej zaś strony, żeby społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim od początku tego okresu wykazało jak największą spójność, samoistność i odrębność od Rosji, żeby wreszcie zorganizowało się należycie do wydobycia z siebie po zmianie ustroju państwa jak największej energii w walce o swe prawa narodowe.

Z tego punktu widzenia najkorzystniejsza dla sprawy polskiej była w momencie przewrotu postawa wyczekująca. Przede wszystkim dlatego, żeśmy nie biorąc udziału w ruchu rosyjskim, nie wciągali się w głąb Rosji, odcinali od niej, wyodrębniali Polskę; po wtóre, że pozostawiając ruchowi rosyjskiemu jego charakter wyłącznie rosyjski, zwiększaliśmy szansę jego zwycięstwa, udział bowiem Polaków w tym ruchu nieuchronnie musiał prowadzić do obudzenia i zorganizowania największej siły politycznej w Rosji – nacjonalizmu, który wzmocniłby niepomniernie rząd broniący dawnego ustroju; po trzecie wreszcie, że ruch rewolucyjny w Polsce musiał pociągnąć za sobą represje o wiele silniejsze niż w Rosji, represje zwrócone nie przeciw rewolucjonistom wyłącznie, ale przeciw całemu krajowi. Przy wypróbowanej po latach 1831 i 1864 psychologii społeczeństwa takie represje pociągały za sobą upadek ducha,

ogólne przygnębienie i bezwład na szereg lat, gdy właśnie w okresie, który się zbliżał, który miał nam otworzyć pole do politycznego czynu, trzeba było, ażeby kraj był zdolny do wykazania jak największej energii.

Jednakże, kto znał jako tako stan umysłów w Polsce, ten musiał mieć duże wątpliwości, czy tę postawę wyczekującą uda się zachować. Istniał cały szereg czynników różnego charakteru i różnej siły, który ją mógł uniemożliwić. Braliśmy je w rachubę, ale muszę przyznać, żeśmy ich siły nie docenili. Póki nasz kocioł polski stał pod przykrywą, nie widziało się dobrze, co zawiera. Gdy przykrywa spadła, zawartość jego ujawniła tyle niespodzianek, iż ludzie, którym się zdawało, że najlepiej znają społeczeństwo, szeroko otworzyli oczy. Mnie osobiście przyniosło to jedną z najsmutniejszych chwil w moim życiu: musiałem nagle i o wiele obniżyć moje pojęcie o współczesnej wartości naszej jako narodu.

Królestwo Kongresowe w dobie popowstaniowej stało się przedmiotem jedyne­go w swoim rodzaju eksperymentu w dziejach. Przeprowadzał ten eksperyment rząd rosyjski, który zresztą nie całkiem zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Kraj z gęstością zaludnienia wyższą od Francji, przechodzący szybką ewolucję społeczną, wytwarzający całe nowe warstwy ludności, rozwijający wielki przemysł i handel – poddany został rządowi ściśle policyjnym, bez cienia jakiegokolwiek samorządu miejscowego, poza gminą wiejską, bez możliwości tworzenia jakiejkolwiek organizacji społecznej. Niezdolni zrozumieć położenie kraju, bo sami wyrosli w stosunkach bez porównania pierwotniejszych, administratorzy kraju przeprowadzali bezwzględny zakaz stowarzyszeń, nawet naukowych, niesłychanie surową cenzurę prasy, zakaz współdziałania obywateli w jakiejkolwiek postaci, wymiany myśli w najważniejszych, najbardziej palących sprawach społecznych.

Pomijając już obniżenie pojęć, zdolności do realnego rozważania spraw politycznych i społecznych – co niezawodnie leżało w celach rządu – wynikiem tego eksperymentu musiało być silne zanarchizowanie społeczeństwa. Widzieliśmy to w pewnej mierze, dużo miejsca temu przedmiotowi poświęciliśmy w swoim czasie na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego”, to wszakże, co się ujawniło w czasie kryzysu rosyjskiego, przewyższało w ogromnej mierze wszystkie nasze przewidywania i obawy.

W zarysie polityki polskiej nowej doby pomijać tego nie można, bo tu właśnie tkwi źródło wielu rzeczy, które zdecydowały o charakterze naszego życia politycznego i o jego ustosunkowaniu się do głównego zagadnienia polityki polskiej – do sprawy niepodległości.

Kryzys rewolucyjny w Rosji wybuchł w całej pełni dopiero po zakończeniu przegranej wojny i po zawarciu pokoju w Portsmouth. Dopiero wtedy rząd się zachwiał i władza jego w całym państwie tak osłabła, że nie była zdolna zapanować nad sytuacją wewnętrzną. Dopiero wtedy i w Polsce wyszły na wierzch wszystkie siły do owego czasu ukryte, ujawniając rzeczywisty stan społeczeństwa.

W czasie wojny jeszcze nikt istotnego stanu rzeczy naprawdę nie znał, nikt nie wiedział, jakimi siłami przyjdzie operować, z jakimi się zmagać. Toteż, jeżeli w tym pierwszym okresie zjawyły się przeszkody do zachowania wobec wypadków postawy wyczekującej, były to przeszkody tradycyjne, wpływające z dwóch starych kierunków porozbiorowej myśli politycznej, którym przeciwstawiła się nasza polityka, pierwsza od dawna próba polityki polskiej. Jeden z nich szedł po linii powstań, drugi – po linii aktów wiernopoddańczych, zmierzających do zjednania sobie Korony i rządu obcego państwa.

Oba te kierunki – trzymając się jeszcze na powierzchni skutkiem tak powszechnego w Polsce lenistwa myśli, skutkiem niezdolności czy też niechęci do głębszego wejrzenia w stan kraju, w politykę państw rozbiornych, wreszcie w położenie międzynarodowe – polegały na niezdawaniu sobie sprawy ze współczesnej rzeczywistości, a stąd na operowaniu fałszywymi przesłankami, na karmieniu się fikcjami.

Głównym źródłem odwagi i otuchy polityki wiernopoddańczej w Polsce było uznane za pewnik jej wielkie powodzenie w państwie austriackim. Ludzie myślący jeszcze pojęciami XVIII wieku nie rozumieli należycie źródeł ewolucji państwa Habsburgów po roku 1848, nie widzieli, że jego przekształcenia wewnętrzne były koniecznością, że z drugiej strony ustosunkowanie sił wewnętrznych w jednej połowie monarchii, grożące rozsądzeniem państwa, zmuszało do szukania czynnika równowagi w Polakach i uprzywilejowania ich w porównaniu z innymi ludami nieniemieckimi. To wyjątkowo korzystne położenie Polaków mogło im niezawodnie przynieść więcej, niż dostali, gdyby się dobrze orientowali w położeniu i umieli organizować odpowiednią akcję polityczną. Nie licząc się nawet bardzo z chronologią wypadków, wszystkie zdobycze narodowe w Galicji wyprowadzano z przestarzałej w stylu i treści deklaracji: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. Tymczasem te zdobycze przyniosły czynniki nowe, niezależne ani od Pana, ani od stania przy nim: zostały one osiągnięte wcale nie dzięki wysiłkom polskim, bez zasługi właściwie ze strony polskiej. Jedyny w owym momencie dziejowym, a właściwie nazajutrz po nim, wielki wysiłek polski – to był wysiłek stronnictwa krakowskiego, jego praca nad wmówieniem całemu ogółowi polskiemu, że to wszystko jest jego zasługą. I to się w znacznej mierze udało, trzeba stwierdzić, z ogromną szkodą dla myśli politycznej polskiej.

Uczniowie i naśladowcy stronnictwa krakowskiego w Warszawie – od wstąpienia na tron Mikołaja II zgrupowani w obóz polityczny, mający już za sobą dziesięcioletnią akcję, która najpierw zdawała się mieć pewne, blade widoki powodzenia, która doszła do najwyższego napięcia w chwili pobytu pary carskiej w Warszawie w roku 1897 i która właśnie wtedy doznała największego niepowodzenia – sądzili, że niepomyślna wojna Rosji na Dalekim Wschodzie i początek doniosłego kryzysu konstytucyjnego w państwie to tylko moment, w którym łatwiej będą zrozumiane oświadczenia wiernopoddańcze, łatwiej spotkają się z wiarą w ich szczerłość i będą mogły pociągnąć za sobą ustępstwa dla Polaków, a może nawet początek zmiany całego systemu polityki rosyjskiej w Polsce. Fałszywie, pod wpływem nauk krakowskich, rozumiejąc ostatnie pięćdziesięciolecie dziejów austriackich i galicyjskich, nie zdawali sobie sprawy z tego, że tylko głęboka zmiana w ustroju politycznym Rosji może zasadniczo zmienić położenie Polski, że zatem

zadaniem polityki polskiej jest rozumnie dążyć do tego, żeby ta zmiana jak najdalej zaszła, nie zaś stawać od początku kryzysu przy rządzie i dawać mu moralne podtrzymanie. Nie tylko nie brali w rachubę względów na sprawę polską jako całość, ale błędnie rozumowali nawet z punktu widzenia polityki miejscowej, dążącej jedynie do poprawy położenia polskości w zaborze rosyjskim. Nadto od początku grzeszyli tym, iż zapominali, że wszelka akcja budzi reakcję, że ich akty wywołają w społeczeństwie o wiele silniejsze akty w kierunku przeciwnym. Prawda, że polityk mający wiarę w swój plan działania nie powinien się cofać z obawy przed reakcją ze strony przeciwników, ale może śmiało iść naprzód tylko wtedy, gdy obmyślił środki zwalczania tej reakcji. Inaczej działanie jego daje skutki odwrotne do zamierzonych i wytwarza w społeczeństwie chaos polityczny. Polityka zaś zwana „ugodową” stała zawsze słabo ze środkami zwalczania reakcji, jaką budziła – zwalczanie to brały na siebie władze rosyjskie. To zaś ani nie było skuteczne, ani nie dodawało polityce „ugodowej” moralnej mocy.

Toteż głównym skutkiem wystąpień polityki wiernopoddańczej w czasie wojny japońskiej było to, że zmuszały jej przeciwników w Polsce do porzucenia postawy wyczekującej, która była w owej chwili dla sprawy naszej najkorzystniejsza.

Drugi kierunek myśli porozbiorowej, kierunek powstańczy, jakkolwiek po 1864 roku ogłoszono ostateczne jego bankructwo, nie zamarł całkowicie. Idea powstania przeciw Moskałom miała zawsze dostęp do pewnego typu umysłów. Właściwie każdy z nas, wychowanych w uczciwej rodzinie polskiej, od jakiegoś dziesiątego roku życia był materiałem na powstańca. Tylko że ludzie bardzo rychło, w miarę jak się uczyli patrzeć i myśleć, z tego wyrastali.

Teraz, kiedy Polska wydobyła się z niewoli, kiedy istnieje państwo polskie, kiedy przestała istnieć kwestia, jak postępować względem zaborców, jak reagować na ucisk – i myśl nasza o czasach niewoli powinna się wyzwolić, wydobyć spod ucisku. Czas już, ażeby literatura nasza o czasach porozbiorowych przestała być zbiorem namiętnych pamfletów, żeby oceniono spokojnie znaczenie historyczne i wartość polityczną naszych powstań.

Nie ma tu miejsca na wszechstronny rozbiór tego przedmiotu: miałbym sporo o nim do powiedzenia, bo wiele czasu i pracy myśli poświęciłem na zrozumienie, czym były nasze powstania. Ograniczę się tylko do sumarycznego stwierdzenia najważniejszych punktów.

Powstania nasze były zbrojnymi protestami przeciw uciskowi, nie zaś walką o odbudowanie państwa polskiego. Żadne z nich nie miało planu tego państwa, kierownicy ich nie zastanawiali się nawet poważnie nad tym, co by zrobili w razie powodzenia.

Autorzy powstań nie liczyli się wcale z położeniem zewnętrznym i wybierali na wybuch najnieodpowiedniejsze momenty polityczne.

Wybuchały powstania wbrew woli ogromnej większości społeczeństwa, narzucane mu przez garść, przeważnie młodzieży.

Dwa główne powstania, 1830 i 1863 roku, przyniosły korzyść – naszym wielkim kosztem – interesom nie naszym. Pierwsze było dywersją, która ocaliła rewolucyjny

Zachód od zbrojnej interwencji rosyjsko-pruskiej, tu przynajmniej nie służyło sprawie wrogów; drugie gorzej, bo umożliwiło Prusom oddalenie Rosji od Francji i związanie jej z sobą na naszą zgubę.

Skutkiem powstań położenie polityczne ziem polskich pogarszało się olbrzymimi skokami, więzy niewoli zacieśniały się z niemożliwą w innych warunkach szybkością.

Po powstaniach następował upadek sił fizycznych i moralnych narodu, przychodziły apatia i bierność, ułatwiając wrogom niszczenie polskości. W szczególności wpływ polski na ziemiach wschodnich został skutkiem powstań w przeważnej części zniszczony.

Powstania likwidowały sprawę polską w Europie: po 1863 roku została ona wykreślona z porządku dziennego spraw międzynarodowych i pokryta całkowitym milczeniem.

Wyrobiły nam one wreszcie w świecie reputację narodu, dla którego nic zrobić nie można, bo on sam dla siebie nic zrobić nie umie. Ta reputacja narodu nieumiejącego rozumnie bronić swojej sprawy, prowadzić swoich interesów, narodu potrzebującego obcej kurateli, była jedną z największych przeszkód teraz, w ostatniej dobie, kiedyśmy już szli naprawdę do odbudowania Polski. I dziś jeszcze, odświeżana ze złą wolą przez naszych wrogów, bardzo nam szkodzi.

Opinia publiczna w Europie dawała nam od czasu do czasu jałmużnę sympatii lub politowania, o ile nie uważała nas za naród umarły; kierownicy polityczni postawili na nas krzyż zapomnienia; w niektórych zaś gabinetach dyplomatycznych pamiętano, że umiemy swoim kosztem oddawać usługi obcym, i rejestrowano nas jako bezmózgową hołotę polityczną, którą w razie potrzeby można wyzyskać nie tylko dla obcych, ale nawet dla wrogich Polsce interesów.

Toteż i w dobie, kiedy zdawało się, że okres powstań w Polsce należy już do przeszłości, próby wyzyskania nas ponawiały się. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878 roku zaczęto przygotowania powstańcze; istniała już organizacja, tylko została przez władze rosyjskie wykryta. Nawet później, na kilkanaście lat przed końcem stulecia, gdy się zanosilo na konflikt zbrojny Rosji z Anglią na tle rywalizacji w Azji Środkowej, zjawili się w Warszawie jacyś nieznanymi ludźmi, przepytujący, czy nie dałoby się zrobić powstania... Tym razem żadnego już materiału na powstanie nie było. Społeczeństwo już otrząsnęło się radykalnie z dawnych form myślenia, przekształcało się szybko w nowoczesne społeczeństwo europejskie. W atmosferze zagadnień społecznych i kulturalnych, ku którym umysły wyłącznie – nawet zbyt wyłącznie – się zwróciły, idea powstańcza wygasła. Wygasła ona wszakże w ośrodkach życia polskiego, tam gdzie się tworzyła nowa Polska. W odleglejszych zakątkach coś się jeszcze tliło. Zresztą materiał na powstańców zawsze siedział na ławach gimnazjalnych – byle znalazł się ktoś, co by zechciał organizować. Wkrótce, w ostatnim dziesiątku stulecia, zjawiała się myśl powstańcza na nowo, na łamach londyńskiego „Przedświtu”, tym razem na podłożu socjalistycznym: program powstania połączonego z rewolucją społeczną.

Nie wiem, jakimi drogami myśl towarzyszy z Polskiej Partii Socjalistycznej doszła do programu powstańczego, pod jakimi wpływami to nastąpiło. Dla dziejów doby poprzedzającej odbudowanie państwa wiadomość ta byłaby bardzo cenna i zasłużyłby się wielce ten z nich, który by dziś to opowiedział. To jest faktem, że program ten rozwijano, jako całkiem realny, i że po wybuchu wojny japońskiej zanosilo się najwidoczniej na to, iż partia ma zamiar przejść od słowa do czynu.

Przewidywanie tej próby czynu z jej strony było głównym powodem mej podróży do Japonii wiosną roku 1904. Była obawa, żeby rządowi japońskiemu, wchodzącemu pewnym krokiem w sferę wielkiej polityki światowej, ale stojącemu daleko od miejscowych spraw europejskich, ktoś z Europy nie podszeptał planu wyzyskania Polaków do zrobienia Rosji dywersji na zachodzie. Trzeba go było poinformować o istotnym położeniu Polski, o stanie sprawy naszej i o tym, jak pojmujemy zadania naszej polityki, wskazać mu, że próby w tym kierunku Polskę bardzo by drogo kosztowały, a Japonii nic by nie przyniosły. Obawy nie były płonne. Podczas mego pobytu w Tokio przybyli tam dwaj przedstawiciele Polskiej Partii Socjalistycznej w celu pozyskania Japonii dla swych planów powstańczych. Szczęściem okazało się, że rząd japoński był lepiej poinformowany o stanie rzeczy w Polsce, niżby tego można było oczekiwać, lepiej niż niejedyn rząd europejski.

Próbowałem dowiedzieć się od kierowników PPS, co mają zamiar osiągnąć przez ruch powstańczy w Królestwie, jak im się przedstawiają widoki powodzenia, jak sobie wyobrażają jego realne skutki. Usiłowałem ich przekonać, że to, co chcą zrobić, jest nonsensem i zbrodnią wobec Polski. Ani jedno, ani drugie mi się nie udało. W odpowiedzi dostałem procesję mętnych frazesów, wygłoszonych z ogromną pewnością siebie.

Ma się rozumieć, ogół nasz ani myślał o podobnych przedsięwzięciach. PPS postanowiła powstanie mu narzucić za pomocą starych, wypróbowanych metod – prowokowania władz rosyjskich i terroru wywieranego na własnym społeczeństwie. Ani jedno, ani drugie nie było trudne: miejscowe władze rosyjskie tylko czekały, żeby je sprowokowano, ogół zaś polski w Królestwie chyba w żadnym pokoleniu nie był tak tchórzliwy, jak w tym, któremu zaczęła świtać zorza lepszej przyszłości. To ogromnie dodawało odwagi towarzyszom PPS.

Od słynnego zajścia na placu Grzybowskiem w Warszawie, gdzie sprowokowane wojsko strzelało do niewinnego tłumu wychodzącego z kościoła, wypadki zaczęły iść szybko po sobie. Nie udało się wszakże nadać ruchowi charakteru ogólnego, wszystko sprowadziło się do wystąpień partii, przedsięwziętych na jej wyłączną odpowiedzialność. Społeczeństwo już nie było tak naiwne, jak w dawniejszych pokoleniach. Zresztą, firma socjalistyczna, pod którą działano, nie dodawała ruchowi popularności.

Jednakże ten ruch nie był bez korzyści, nie dla Polski, ma się rozumieć.

Rosja, mając wojnę na Dalekim Wschodzie, wojnę, jak się okazało, bardzo ciężką przy fatalnym stanie organizacji rządu i armii, przy groźnym położeniu wewnętrznym, znajdowała się niejako na łasce swego zachodniego sąsiada. Dawano jej do zrozumienia,

że Niemcy mogłyby z jej kłopotów skorzystać i zapłacić jej za przymierze z Francją. To zmuszało ją do zabiegów w Berlinie o przyjazną neutralność, którą Niemcy gotowe były w każdej chwili ofiarować i tanim kosztem wzmocnić swój wpływ w Petersburgu. Skończyło się tym, że Berlin dał rządowi carskiemu zapewnienie co do bezpieczeństwa na zachodniej granicy i znów uniezależnienie się Rosji od Niemiec zostało o kilka kroków cofnięte. Ma się rozumieć, dużym dla Niemców ułatwieniem w tej operacji były początki ruchu powstańczego w Królestwie. Powtarzała się na mniejszą skalę historia konwencji Alvenslebena.

Znów dla Niemiec! Rok 1863 pracował dla Prus. Jeżeli się zważy politykę Bismarcka na kongresie berlińskim, w której zarysowały się już plany Berlina względem Turcji i Bałkanów, to powstanie podczas wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878 roku, gdyby doszło do skutku, także przysłużyłoby się interesom niemieckim. Teraz znów, podczas wojny japońskiej, korzyść z ruchawki w Królestwie wyciągnęły Niemcy. Więc wszelkie próby powstańcze, zaczynając od roku 1863, były już tylko z korzyścią dla Niemiec. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy to może być tylko zbieg okoliczności – za wiele w tym było prawidłowości, za wiele konsekwencji. A nie przychodziło mi wtedy jeszcze do głowy, że będę kiedyś patrzył na legiony polskie, maszerujące obok pułków pruskich w braterstwie broni...

Tu muszę zastrzec, że nie mam zamiaru uderzać w ton jakiegoś świętego oburzenia i narzucać go czytelnikowi. Chodzi mi o to, ażeby czytając te słowa, Polak nie przestał ani na chwilę chłodno, logicznie rozumować.

Głównym autorem rozbioru Polski były Prusy i one to, jedyne spośród trzech państw rozbiorczych, były naprawdę zainteresowane w całkowitym zniszczeniu Polski. Tej prawdy żadna sofistyka nie zatrze. Rozszerzenie się Austrii na północny wschód od Karpat nie było podyktowane żadną potrzebą państwa. Rosji były potrzebne wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, stanowiące *Hinterland* jej mocnych stanowisk na brzegach Morza Czarnego i Bałtyku; do dorzecza Warty, Wisły, a nawet Niemna, żadne poważne interesy państwowe jej nie pchały. Prusy swą karierę dziejową budowały na rozszerzaniu się na ziemie rdzennie polskie i zniszczenie całkowite Polski było głównym celem ich polityki. Był to ten z wrogów, z którym kompromis był nie do pomyślenia. On się mógł pogodzić tylko z ostatecznym pogrzebem Polski. I właśnie temu wrogowi zaczęła od pół wieku służyć myśl powstańcza, operująca hasłem niepodległości...

Zbudowawszy, w znacznej mierze dzięki brakowi mózgu politycznego w Polsce, nowe Cesarstwo Niemieckie pod swoją hegemonią, Prusy wyrosły na pierwszorzędną potęgę światową i zaciążyły nad całą środkową i wschodnią Europą, co tylko mogło im ułatwić dokończenie ostatecznej likwidacji kwestii polskiej. Przeszkodzić temu mogła tylko emancypacja Rosji spod ich wpływów, prowadząca do nieuniknionego starcia zbrojnego między dwoma mocarstwami. I właśnie w tym okresie rozparcia się potęgi niemieckiej odgrzewana z trudnością myśl powstańcza w Polsce pracuje konsekwentnie nad tym, żeby oddalającą się od Niemiec Rosję na powrót do nich zbliżyć, jak najsilniej ją od Niemiec uzależnić.

Powtarzam pytanie: czyżby to był tylko prosty zbieg okoliczności?...

Przychodzi refleksja.

Mówiąc o naszych dawniejszych powstaniach i o nowszych próbach w tym kierunku, staram się oceniać ich znaczenie ze stanowiska logiki politycznej. Zapominam, że wielu ludzi u nas nie umie o tym przedmiocie myśleć spokojnie i logicznie, że na jego poruszenie reagują przede wszystkim uczuciowo.

– Jak to, więc tyle bohaterstwa, tyle ofiarności i poświęcenia, tyle cierpień dla ojczyzny – wszystko to spotyka się z potępieniem!...

Przede wszystkim są uczucia i uczucia.

Iluz to ludzi w trzech pokoleniach słuchało z rozrzewnieniem patriotycznym słów pieśni:

*Powstań, Polsko, skrusz kajdany...
Dziś twój triumf albo skon...*

Co do mnie, to te słowa obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to, co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tym, że Polska może skonać, jest zbrodnią.

Wolno każdemu, może być obowiązkiem, zaryzykować wszystko, co jest jego osobistą własnością, oddać majątek, przynieść życie w ofierze. Ale bytu Polski ryzykować, jej przyszłości przegrywać nie wolno ani jednostce, ani organizacji jakiegokolwiek, ani nawet całemu pokoleniu.

Bo Polska nie jest własnością tego czy innego Polaka, tego czy innego obozu ani nawet jednego pokolenia. Należy ona do całego łańcucha pokoleń, wszystkich tych, które były i które będą. Człowiek, który ryzykuje byt narodu, jest jak gracz, który siada do zielonego stołu z cudzymi pieniędzmi.

Dalej, mówię o powstaniach jako o czynach politycznych, mówię o czynach ludzi, którzy robili politykę powstańczą. Nie mówię o tych, co się bili: to żołnierze, do których polityka nie należy. Z chwilą, kiedy poszli za wezwaniem do walki o wolność czy o niepodległość Polski, za wezwaniem tych, którym zaufali, ich rzeczą było dobrze bić się, być dobrymi żołnierzami, nic więcej. Ich nieszczęście, jeżeli źle umieścili swoje zaufanie.

Pamiętam, w początku wielkiej wojny przybył do Warszawy pułkownik rosyjski, przysłany przez szefa sztabu armii południowo-zachodniej, generała Aleksiejewa, na rozmowy z nami w sprawie legionu polskiego, formowanego przy armii rosyjskiej.

W trakcie konferencji, którą kilku z nas z nim odbywało, zapytałem go mimochodem:

– Panowie macie na swoim froncie legiony polskie po stronie austriackiej. Czy aby się dobrze biją?

– Dobrze – odpowiedział pułkownik.

– To mnie bardzo cieszy.

Rosjanin spojrzał na mnie zdziwiony.

– Pułkownik – rzekłem – chciałbym, żeby Polacy zawsze się bili tylko za dobrą sprawę, ale kiedy się już biją za złą, to chcę, żeby się przynajmniej dobrze bili.

Żołnierz jest odpowiedzialny za to tylko, czy jest dobrym żołnierzem, za swą odwagę, wierność, obowiązkowość. Dowódca jest odpowiedzialny za to, jak tym żołnierzem kieruje. Polityk jest odpowiedzialny za samo użycie wojska. Mnie tu obchodzą tylko politycy, tylko organizatorowie zbrojnych poczynań. I od początku tylko nimi się zajmuję.

Czasem się mówi: „Ależ ci ludzie jak najlepiej chcieli!”. Wchodzenie w intencję czynów może należeć do sądu, gdyby ta sprawa mogła przed sądem stanąć, może należeć wreszcie do księdza w konfesjonale, gdyby autorzy danych czynów chcieli się z nich spowiadać. Ja nie sądzę ludzi, nie mam zamiaru nakładać im pokuty ani dawać rozgrzeszenia. Mnie obchodzą same czyny, ich wartość polityczną, to, jak sprawa polska na nich wychodziła. To przede wszystkim musi obchodzić każdego Polaka, który ma choć trochę polskiego sumienia. I te rzeczy trzeba dobrze zrozumieć, jeżeli chcemy się na przyszłość zabezpieczyć przed gubieniem Polski przez samych Polaków.

Pewien człowiek ze starszego pokolenia opowiedział mi scenę, której był świadkiem w roku 1863 na ulicy w Warszawie.

Do idącego chodnikiem mężczyzny podbiegł z tyłu młody człowiek i wbił mu nóż między łopatki. Nieszczęśliwy padł na wznak. Tamten odwrócił się, spojrzał mu w twarz i wykrzyknął:

– Ach, przepraszam pana, pomyliłem się. Myślałem, że to Dąbrowski.

I pobiegł dalej, zostawiając biedaka broczącego krwią.

Nie wiem, jak ów ugodzony przyjął te przeprosiny; to wiem jednak, że Polska nieraz w swych dziejach porozbiorowych dostawała przez omyłkę taki nóż w plecy od samych Polaków, z tą różnicą, iż jej nie przepraszano, ale nawet kazano sobie dziękować.

W polityce trzeba nie żałować wysiłku, trzeba wszystko zrobić, żeby się nie omylić. Bo omyłka często bywa zbrodnią. Ludzie chcą kierować losami Polski, a nie mogą się zdobyć dla niej na tyle poświęcenia, żeby się czegoś nauczyć, żeby jej położenie zrozumieć, żeby głębiej zastanowić się nad wartością tego, co jej starają się narzucić. I później mówi się: „Ależ oni jak najlepiej chcieli!...”.

Nie wchodzę też w intencje ludzi, którzy próbowali organizować powstanie w Królestwie w roku 1904, nie zastanawiam się nad ich psychologią, jakkolwiek dałoby się tu sporo powiedzieć. Zajmują mnie same poczynania i ich polityczny bilans. Nie jest też próżną ciekawością stawiać sobie pytanie: jakie wpływy podyktowały wejście na tę

drogę? Jeżeli słuszne jest powiedzenie *is fecit, cui prodest*⁵, jeżeli była w tym ręka niemiecka, to jaką drogą wpływy niemieckie penetrowały do Polski tak silnie? Gdybyśmy na te pytania mogli znaleźć odpowiedź, dużo by nam to pomogło i w polityce dzisiejszej, i na przyszłość.

Niestety, muszę te pytania pozostawić otwarte, bo w przypuszczenia, nieoparte na dostatecznych danych, wdawać się nie chcę. Zwrócę tylko uwagę na jedno.

Polska Partia Socjalistyczna należała do partii socjalistycznych prawowiernych. Tak jak prawowierność rzymskiego katolika zewnątrznie się poznaje po tym, że uznaje on papieża za głowę Kościoła, prawowiernie partie socjalistyczne uznawały za głowę Socjalną Demokrację niemiecką. Do tych należała Polska Partia Socjalistyczna i w Berlinie uznawano jej prawowierność. Jej delegaci brali udział w kongresach socjalno-demokratycznych. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to był nawet jakiś proces o to. Konkurenci PPS w Polsce, zdaje się Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy, oskarżyli ją przed socjalistycznym Rzymem, tj. przed towarzyszami niemieckimi, o brak prawowierności, o „socjalpatriotyzm”. Oskarżenie pozostało bez skutku – towarzysze niemieccy w programie powstańczym nie widzieli dowodu braku prawowierności. Socjalna Demokracja galicyjska, tak już bez kwestii prawowierna, że pobierała subwencje od Socjalnej Demokracji niemieckiej na swój organ partyjny, krakowski „Naprzód”, ściśle związała się z PPS, tworząc z nią właściwie jedną partię w dwóch państwach.

Z drugiej strony, nie można było odmówić socjalnym demokratom niemieckim, że byli wcale niezłymi Niemcami: podczas wojny europejskiej wykazali oni wiele niemieckiego patriotyzmu. Umieeli nawet rozwijać akcję polityczną na zewnątrz w interesie wojującego cesarstwa, niewątpliwie w ścisłym porozumieniu z rządem. Taką wielką akcją była np. ofensywa pokojowa niemiecka w początku roku 1917 pod hasłem „pokój bez aneksji”, robota dobrze świadcząca o zmyśle politycznym socjalnych demokratów niemieckich, o ich zdolności zużytkowania swych wpływów za granicą na korzyść państwa niemieckiego.

Socjalna Demokracja niemiecka, posiadając pozycję Rzymu socjalistycznego, będąc najwyższym autorytetem w rzeczach dogmatów, miała nieformalne, ale faktyczne zwierzchnictwo nad partiami socjalno-demokratycznymi różnych krajów i była nawet dla nich rodzajem sztabu generalnego, kreślącego plany kampanii. W jej łonie realizm polityczny coraz bardziej brał górę nad doktrynerstwem, a w miarę tego postępu polityka jej stawała się coraz bardziej niemiecka. Niepodobna wymierzyć, ile owego wpływu na zewnątrz zużytkowała ona na rzecz sprawy socjalistycznej, a ile na rzecz Niemiec; to wszakże było dla mnie od dawna widoczne, że interesy niemieckie, interesy państwa niemieckiego niemałe miejsce zajmują w jej polityce.

Dużo by to wyjaśniło, gdybyśmy mogli zdać sobie sprawę, w jakiej mierze jej stosunek do socjalistów polskich, a w szczególności do Polskiej Partii Socjalistycznej, był

⁵ *Is fecit, cui prodest* (łac.) – uczynił ten, komu przyniosło to korzyść. [red.]

podyktowany interesami niemieckimi. Mielibyśmy wtedy jasno przed oczyma jeden przynajmniej z kanałów, którymi wpływ niemiecki przenikał do Polski. Czy i w jakiej mierze oddziałął on tą drogą na wydobyte już do archiwum polityki powstańczej – na to pytanie odpowiedzieć by mogli tylko kierownicy Polskiej Partii Socjalistycznej, działający w owych czasach.

Próba powstania w czasie wojny japońskiej nie udała się. Cała rzecz była tak sztuczna, tak widocznie narzucona z zewnątrz, takim była anachronizmem, że w żadnej grupie ludności nie znalazła poparcia. Nawet w łonie samej partii, która tej próby dokonała, opozycja przeciw niej stała się tak silna, że dalsze jej trwanie okazało się niemożliwe. Powstańcza prawica Polskiej Partii Socjalistycznej szybko straciła wpływ, który przechodził do lewicy, czysto socjalistycznej, stojącej na gruncie ogólnie rewolucyjnym i żądającej połączenia się z ruchem rosyjskim. Wtedy ci sami ludzie, którzy wywiesili sztandar niepodległości, oderwania się od Rosji, poprowadzili robotę rewolucyjną, wiążącą kraj z Rosją, czyniącą Polskę tylko jedną z gubernii rewolucyjnej Rosji i zacierającą na zewnątrz wszelką jej odrębność. Po dziś dzień pozostaje dla mnie tajemnicą, jak to jedno z drugim kleiło się w ich umysłach.

Robota rewolucyjna w Polsce, prowadzona odtąd pod tymi samymi hasłami i tymi samymi metodami, co robota rosyjska, prowadzona zgodnie przez trzy partie socjalistyczne, PPS, Socjalną Demokrację i czysto żydowski Bund, miała jednak w Polsce swoje specjalne znaczenie. Rewolucja rosyjska walczyła przeciw rządowi i popierającej rząd części społeczeństwa rosyjskiego, rewolucja zaś polska, a raczej polsko-żydowska w Polsce – przeciw rządowi rosyjskiemu i przeciw społeczeństwu polskiemu, które z rządem nic wspólnego nie miało, którego rząd ten był wrogiem. Niepodobna było pojąć, żeby w takiej robocie mogli brać udział ludzie mający choć cokolwiek polskiego sumienia.

Działając w kraju z o wiele gęstszym od Rosji zaludnieniem, znacznie więcej przemysłowym i handlowym, tym samym w kraju bogatszym, ruch rewolucyjny w Polsce wyrządzał bez porównania większe szkody gospodarcze i społeczne, niszczył przemysł i handel, jak gdyby planowo anarchizował życie, co dla życia naszego, bardziej skomplikowanego niż rosyjskie, było większym bez porównania niebezpieczeństwem. Był wtedy głos powszechny, że to jest robota dla Niemców, subwencjonowana przez Niemców, którym chodzi o zniszczenie przemysłu w Królestwie, by opanować nasz rynek i usunąć sobie współzawodnika z rynku rosyjskiego. Podcinała ta robota byt gospodarczy kraju i groziła wygłodzeniem naszej warstwy robotniczej. Dodać trzeba, że nawet autorzy socjalistyczni sami później oskarżali robotę rewolucyjną w Królestwie, w szczególności robotę Socjalnej Demokracji, że planowo niszczyła handel polski na rzecz handlu żydowskiego, który wprowadzano na miejsce handlu polskiego niesłychanie łotrowskimi sposobami.

Wielka to szkoda, że ten moment naszych najnowszych dziejów nie znalazł dotychczas swego historyka. Za żywej jeszcze pamięci wypadków należałoby je opisać. Odsłoniły się wówczas tak ciekawe rzeczy w naszym życiu, tak ważne, takie mające znaczenie dla zrozumienia stosunków w kraju, że następne pokolenia, które tych

wypadków nie były świadkami, będą wielce skrzywdzone, nie mając żadnego źródła do zapoznania się z nimi.

W owym dopiero momencie, kiedy ruch rewolucyjny w Królestwie wezbrał silnie, okazało się, jak straszne skutki dla społeczeństwa polskiego pociągnęły za sobą rządy sprawowane przez Rosjan, przez ludzi obcych, wrogo dla tego społeczeństwa usposobionych, wychowanych w całkiem odmiennej i niższej kulturze. Mogło się wówczas zdawać, żeśmy całkiem przestali należeć do zachodniej Europy. Nigdy w przeszłości nie było i mam nadzieję, że nigdy przyszłość nie będzie już widziała w Polsce takiego zamętu pojęć moralnych, takich objawów moralnego zdziczenia, jak w owym krótkim okresie.

Granica między aktem walki politycznej a zwyczajną, ordynarną zbrodnią, między rewolucją a bandytyzmem nie istniała. To, do czego robienia, w imię celów rewolucji, żywioty prowadzące akcję rewolucyjną uważały się za upoważnione (nikt zresztą nigdy jasno nie powiedział, bo na pewno nie umiałby powiedzieć, jakie były te cele), te morderstwa partyjne, te rabunki pociągów i kas, połączone z mordowaniem ludzi uczciwie pełniących służbę, te mordy masowe zwykłych, skromnych policjantów strzegących porządku na rogach ulic – w oczach ludzi, którzy nie zatracili polskiej, zachodniej kultury moralnej, były po prostu czynami kryminalnymi. Okazało się, że w kraju istnieją już dwa światy moralne, pomiędzy którymi wytworzyła się głęboka przepaść pojęć.

W pierwszych chwilach wolności, kiedy można było pisać i gadać, co się komu podobało, kiedy ustała kontrola rządowa, a koła społeczne tworzące opinię publiczną bądź wystraszone zamilkły, bądź zgłuszone były przez wrzask zapełniający nasze zażydzone miasta, a zwłaszcza Warszawę – tyle wylazło na wierzch zwyrodnienia moralnego, idącego w parze z pretensjonalną ciemnotą, że dziś jeszcze rumieniec wstydu za Polskę występuje na twarzy, gdy się te czasy wspomni. Te „wiece uświadamiające”, na których *minorum gentium*⁶ literaci i literatki, półwariaci, półprzestępcy razem z przedwcześnie dojrzałymi, moralnie wykoślawionymi dziećmi promenowali publicznie swój bezwstyd, były czymś, wobec czego ludzie zdrowi i przytomni przecierali oczy, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się w Polsce. Równoległe z tym – orgia nonsensów politycznych wylewanych na wiecach, w artykułach i broszurach: bukiet kwiatów wolności polskich i rosyjskich, związanych razem nitką żydowską...

Uczuciem ludzi cywilizowanych, czy to wykształconych, czy prostych, była rozpacz, wątpliwość o naszej wartości jako społeczeństwa zdolnego do życia. I powszechna była świadomość, że to wynik osłabienia polskiej samoistności cywilizacyjnej, wynik działania wpływów żydowskich i rosyjskich.

Jednakże społeczeństwo w głównej swojej masie okazało się niezniszczone moralnie, zdrowe i zdolne do reakcji na to wszystko. Nawet w klasie robotniczej – która

⁶ *Minorum gentium* (łac.) – niższego rzędu. [red.]

wyrastała w kraju w najbardziej niezdrowych warunkach, bo żyjąc w wielkich ogniskach przemysłowych, pod wszystkimi ich nieprzyjawnymi wpływami, pozbawiona była najelementarniejszych instytucji, które w krajach przemysłowych istnieją i te nieprzyjawnne wpływy w mniejszej lub większej mierze paraliżują – ruch rewolucyjny nie zdołał zagarnąć większości. Większość, przeciwnie, do walki z nim się zszeregowała.

A przede wszystkim chłop, ten wielki rezerwuwar sił narodu, najmniej wystawiony na wpływy, czy to obcych rządów, czy żydostwa zalewającego miasta – pozostawał nietknięty w swym ustroju moralnym, z nienaruszoną swą tradycyjną równowagą, idąc powoli, ale równomiernie naprzód w przystosowywaniu się do nowoczesnego życia, w rozszerzaniu swych pojęć i uświadamianiu sobie swych obowiązków obywatelskich.

Zaznaczył on się w dwóch czynach, do których powołaliśmy go w owej przełomowej dobie: z początku w walce o język polski w gminie, do której poszedł z ogromną gotowością i spokojem, a która objęła większą część gmin w Królestwie, następnie, w momencie największego rozpasania orgii rewolucyjnej w roku 1905 – na pierwszym ogólnym zjeździe włościan Królestwa Polskiego w Warszawie, na którym wyraził stanowczo swe przywiązanie do Polski, do ładu społecznego, gotowość do obrony praw narodu. Te dwa fakty miały ogromne znaczenie, bo przyczyniły się bardzo do wzmocnienia w społeczeństwie poczucia wiary w siebie, w przyszłość Polski, podniosły jego energię w walce przeciw anarchii, przeciw czynnikom rozkładu.

Dzięki tej walce, której kierownictwo główne ująłem w swoje ręce, a która była trudna, bo prowadzona jednocześnie przeciw rządowi i przeciw rewolucji, gdyż ludzie, którzy jej służyli, byli z jednej strony mordowani przez agentów rewolucji, z drugiej – zamykani w więzieniach przez władze rządowe; dzięki tej walce, powtarzam, naród prędko wziął górę nad przeciwnarodowymi czynnikami rozkładu, i poczuliśmy się wreszcie w Polsce.

Można było już mieć nadzieję, że z rozpoczęciem nowego okresu w państwie rosyjskim, po wprowadzeniu w nim instytucji zbliżających je do Europy Zachodniej, nie będziemy mieli potrzeby mozolnego, powolnego wydobywania polskiej myśli politycznej z mętów rewolucji ogólnorosyjskiej, ale że od pierwszej chwili staniemy jako naród polski, mający swe własne drogi dziejowe i ze świadomością idący do swych odrębnych celów. I już widzieliśmy, że jakkolwiek kraj od ruchu rewolucyjnego wiele ucierpiał, to jednak zachował podstawy siły gospodarczej i moralnej, a z nimi zdolność do walki o swe prawa, o sprawę polską, zdolność, ma się rozumieć, warunkowaną poziomem jego kultury politycznej. Organizacja polityki polskiej, jak ją rozumiałem, polityki, która miała skorzystać z przewrotu w Rosji dla sprawy polskiej jako całości, która nie wiążąc się niczym z polityką obozów rosyjskich, idąc śmiało naprzód, miała przygotować grunt do przeniesienia kwestii polskiej na teren międzynarodowy – napotkała ogromne przeszkody w samym stanie umysłów społeczeństwa.

Pomijając już anarchię – o której wyżej była mowa i nad którą w dużej mierze udało się zapanować – i wewnętrzne rozbicie moralne na dwa odrębne światy pojęć, które zdawały się nie mieć nic z sobą wspólnego, trzeba stwierdzić, że rządy rosyjskie

bezwzględno ucisku cofnęły to społeczeństwo w pojęciach, i przy braku wszelkiego ćwiczenia nie pozwoliły na wyrobienie się energii politycznej, którą w innych warunkach to społeczeństwo niezawodnie umiałoby w sobie wykształcić.

Jednocześnie, pomyślne życie gospodarcze, rozwój przemysłu i handlu, odbywających się w dzikich warunkach politycznych, niedających w najmniejszej mierze szkoły życia obywatelskiego, nienakładających żadnych obowiązków obywatelskich wytworzył ogarniającą szerokie koła atmosferę cynicznego materializmu, obojętnego całkiem na sprawy publiczne, zdolnego tylko wtedy nimi się zainteresować, gdy otwiera się pole do zrobienia osobistej kariery.

Najlepsze moralnie koła warstwy oświeconej, z nielicznymi wyjątkami, stały na bardzo niskim poziomie pojęć politycznych, posiadały niesłychanie małą znajomość rzeczy politycznych w ogóle, a polskich w szczególności. Położenie kraju tak je zatrzymało, a nawet cofnęło w rozwoju politycznym, że gdy nastąpił kryzys rosyjski, ogromna część naszej inteligencji przeszła recydywę Wiosny Ludów ze wszystkimi jej naiwnymi złudzeniami. Wyidealizowała sobie ona liberalny ruch rosyjski tak, że trudno było jej umysły i serca od niego oderwać. Dotknęło to nawet wielu ludzi z silnym poczuciem polskim. Była to bardzo poważna przeszkoda dla organizacji samoistnej polityki polskiej.

Ciążenie szerokich kół ku ruchowi rosyjskiemu stało się tym silniejsze, że partia konstytucyjna rosyjska rzuciła hasło autonomii Królestwa Polskiego, które podchwyczone zostało u nas w całym kraju, które i nasz obóz wysunął jako postulat polski w owej dobie, aczkolwiek nie był on właściwą odpowiedzią na nasze aspiracje i nie wszyscy wierzyliśmy w jego urzeczywistnienie. Należało je wszakże wystawić – był to jedyny sztandar do walki prawnej o sprawę polską w państwie zaczynającym się na państwo prawne przekształcać.

Warunki również, w których żył kraj, sprawiły, że w umysłach społeczeństwa, zupełnie pod tym względem surowego, z ogromnym trudem przyjmowało się zrozumienie metod politycznego działania. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, żeby w tym względzie postęp był tak trudny. Pomimo wyteżonej w tym kierunku pracy, najelementarniejsze pojęcia o taktyce walki politycznej nie przyjmowały się. To społeczeństwo znało tylko dwie metody: albo protest przeciw krzywdom, albo pozyskiwanie sobie względów tych czynników, od których można coś dostać. Bo tylko tych dwóch metod można się nauczyć w szkole niewoli.

Wreszcie, dla nadania powagi wystąpieniom politycznym polskim, na dowód, że za nimi stoi społeczeństwo, jego koła wpływowe, trzeba było czasami wysuwać na front ludzi z nazwiskami, starszych, zajmujących znaczące stanowiska w życiu kraju. Tymczasem, ci ludzie starsi – wyniesieni na stanowiska w życiu, w którym politycznie nic się nie działo – ani w umysłach swoich, ani tym bardziej w charakterach nie mieli na ogół nic, co by ich uzdalniało do działania politycznego. Trzeba było wybierać między dwiema drogami: albo polityka czynna, reprezentowana przez ludzi bez stanowisk, bez głośnych nazwisk, a przeto okrzykiwana za samozwańczą, albo polityka zewnętrznie autoryzowana, oparta na ludziach z poważnymi stanowiskami, ale bezwładna.

Następujący epizod z owych czasów najlepiej zilustruje te trudności. W roku 1905, po znanym manifeście październikowym, którym rządy autokratyczno-policyjne zostały poważnie nadłamane, zorganizowaliśmy deputację od kraju do prezesa ministrów, Wittego, w celu zrobienia wyłomu w rządach rosyjskich w Królestwie. Do deputacji tej powołaliśmy ludzi z możliwie poważnymi, znanymi nazwiskami. Mieliśmy zażądać spolszczenia szkoły państwowej wszystkich stopni.

Zaczęło się od tego, że liczne zgromadzenie, z najbardziej znanych ludzi w kraju złożone, które nas miało do działania upoważnić, uznało proponowany program deputacji za zbyt skromny i na wniosek pewnego ziemianina kazało nam żądać dla Królestwa konstytuandy z powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim głosowaniem. Owe powagi, z których składała się deputacja, nie umiały się oprzeć temu nierealnemu całkiem w owej chwili nakazowi, brakowało im do tego odwagi cywilnej; w opozycji przeciw niemu byłem odosobniony.

Z tym więc nakazem pojechaliśmy, postanawiając go wykonać formalnie, ale w duszy sobie mówiąc, że będziemy to uważali za wielki sukces, jeżeli wyrwiemy rządowi na razie szkołę.

Na jednej ze stacji przed Petersburgiem przyniesiono ranne gazety, z których dowiedzieliśmy się, że rząd zaprowadził w Królestwie stan oblężenia. Tak rząd rosyjski skorzystał z ruchu rewolucyjnego w Królestwie, żeby nas na wstępie nowego okresu w działaniu politycznym sparaliżować. Nawiasem mówiąc, ten stan oblężenia w złagodzonej postaci trwał aż do wybuchu wielkiej wojny. Bez niego rządów w Polsce sobie nie wyobrażano. W deputacji zapanował popłoch. Powstało pytanie, czy możemy wobec tego iść do Wittego. Na próżno ja i moi przyjaciele polityczni przekładaliśmy, że tym bardziej iść trzeba, że naszym obowiązkiem jest mu powiedzieć, co o tym kroku rządu myślimy. Całe trzy dni siedzieliśmy w Petersburgu i dyskutowaliśmy, pójść czy nie pójść; w końcu większością głosów zdecydowano wracać do Warszawy bez widzenia Wittego.

Najciekawsze było to, że Witte na deputację czekał, miał bowiem wątpliwości, czy rząd w Królestwie idzie właściwą drogą, i chciał z miarodajnych ust polskich usłyszeć zdanie w tej sprawie, zdanie, które mógłby odpowiednio zużytkować. Notable kraju wszakże nie mieli odwagi stanąć przed głową rządu rosyjskiego w warunkach, w których trzeba było mówić rzeczy dla rządu nieprzyjemne.

Gdy ktoś wskazał Wittemu mnie, jako człowieka, który mu wypowie otwarcie pogląd na położenie w Królestwie, i gdy mi zaproponowano, żebym do niego nieoficjalnie poszedł, zgodziłem się bez wahania. Odbyła się bardzo ciekawa rozmowa, znakomicie charakteryzująca stan kwestii polskiej w państwie rosyjskim.

– Co, zdaniem pańskim, trzeba zrobić – zapytał na wstępie Witte – żeby zapanował spokój w Królestwie Polskim?

– Oddać władzę w ręce Polaków – odpowiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo tylko rząd oparty o społeczeństwo i korzystający z jego współdziałania może zaprowadzić istotny ład w kraju.

Witte wtedy zaczął mi dowodzić, że oddanie rządu w Królestwie w ręce polskie jest niemożliwe. Niemożliwe jest oddać władzę nad wojskiem w najważniejszym okręgu na zachodniej granicy w ręce nierosyjskie, a zresztą nawet Polaka z tak wysokimi kwalifikacjami wojskowymi armia rosyjska nie posiada. Jeżeli zaś oddzielić władzę cywilną od wojskowej i pierwszą oddać w ręce polskie, to, przy znanej psychologii Polaków i Rosjan, nazajutrz wybuchnie konflikt pomiędzy władzą cywilną a wojskową.

Nie można zaprzeczyć, że było to rozumowanie wcale logiczne. Nie podjąłbym się dowodzenia, żeby mogło być inaczej, tym bardziej że sam byłem sceptykiem co do możliwości autonomicznego ustroju Królestwa w państwie rosyjskim.

W odpowiedzi poddałem ostrej krytyce rządu Królestwa sprawowane przez Rosjan, starając się wykazać, że muszą one nieuchronnie prowadzić do katastrof. Wittemu ta krytyka widocznie trafiła do przekonania, o czym zresztą świadczy sposób, w jaki znaczną jej część przytoczył w swych pamiętnikach, które niedawno ukazały się w druku (tom II). Z rozmowy naszej przytoczył on tylko tę krytykę, ale muszę stwierdzić, że powtórzył ją wcale ściśle – jeżeli znalazłem w paru punktach pewne przeinaczenie mej myśli, to niezawodnie mimowolne⁷.

Konkluzją tej rozmowy, konkluzją przemilczaną było, że ani rządy rosyjskie, ani rządy polskie w kraju polskim należącym do Rosji, nie są możliwe, że zatem o rozwiązaniu kwestii polskiej w granicach państwa rosyjskiego nie może być mowy. Nie mógł takiej konkluzji zrobić rosyjski prezes ministrów, ja zaś uważałem, że jeszcze nie przyszedł czas na jej wypowiedzenie.

A teraz epilog.

Wracając z Petersburga z kolegami z niedoszłej do skutku deputacji, siedziałem w przedziale w towarzystwie złożonym głównie z członków tzw. grupy ugodowej, która się wówczas przygotowywała do wystąpienia jako stronnictwo polityki realnej.

⁷ Około tej rozmowy z Wittem lewica nasza usiłowała wytworzyć legendę. Powracała ona do niej od czasu do czasu w swej prasie aż do wybuchu wielkiej wojny. Stale powtarzano, że po pierwsze obiecałem Wittemu wyróżnić socjalistów w Polsce, po wtóre zaś, że Witte nie traktował tej rozmowy na serio i żartował sobie z niej. Podczas wielkiej wojny nawet w zagranicznej prasie socjalistycznej znalazły się echa tej legendy. Nie odpowiadałem na to, bo mnie niewiele obchodziło, co o mnie piszą. Dziś, gdy ukazały się pamiętniki Wittego, każdy może widzieć, że nie byłem u niego ani w celu kupienia sobie władzy, ani w celu zapłacenia za nią wyróżnieniem socjalistów, że wreszcie byłem jedynym z Polaków, który, jak sam Witte to przyznaje, powiedział mu w owym momencie coś sensownego, i że cała legenda była złośliwym kłamstwem. Dodać trzeba, że po tej rozmowie Witte, jak sam to mówi w pamiętnikach, chciał znieść stan oblężenia w Królestwie, ale generał-gubernator warszawski się temu sprzeciwił.

Streszczałem im swą rozmowę z Wittem. Jeden z głównych przedstawicieli tej grupy, który później zajął bardzo wysokie stanowisko w kraju, zapytał mnie:

– A gdyby rząd zgodził się oddać władzę w ręce Polaków, to któż by ją wziął?

– Najlepiej by było – odpowiedziałem – gdybyście wy ją wzięli, jako posiadający zaufanie rządu. My byśmy z wami współdziałali przez swój wpływ na społeczeństwo.

– My byśmy nie wzięli. To za duża odpowiedzialność.

Do rozmaitych osobliwości życia polskiego należało i to, że była w Polsce taka polityka, która się uważała za jedyną realną, która silnie zwalczała przeciwników, ale która, z obawy przed odpowiedzialnością, wyłączała wzięcie władzy. Godziła się więc nie tylko na należenie Polski do Rosji, ale nawet na to, że władza w Polsce pozostanie w rękach Rosjan.

II. POCZĄTKI PARLAMENTU ROSYJSKIEGO

Dla szybkiego rozwoju sprawy polskiej w tej nowej fazie, w którą ją wprowadził przełom konstytucyjny w Rosji, potrzebne było, żeby nowe instytucje parlamentarne jak najprędzej swój byt utrwaliły i żeby polityka polska możliwie mało czasu straciła na zorientowanie się w położeniu i na wybór dróg działania.

Pierwsze zależało od Rosji, drugie od nas.

Warunki w Rosji dla utrwalenia się nowego ustroju nie były przyjazne. Reformy były dane niechętnie, były wymuszone. Najliberalniejszy z ludzi rządzących Rosją, właściwy autor manifestu październikowego, Witte, wkrótce został odsunięty od władzy i czekano tylko sposobności, żeby poczynione ustępstwa zredukować. Przeszkodą do tego mogła być mądra polityka obozu liberalnego, który miał w państwie ogromną siłę. Gdyby ten obóz posiadał jasny cel, gdyby widział dobrze, dokąd chce iść i gdzie się chce zatrzymać, gdyby w obronie swego stanowiska umiał stworzyć front nie tylko na prawo, ale i na lewo, gdyby umiał go bronić nie tylko przeciw reakcji, ale i przeciw nieznającej kresu swych dążeń rewolucji, gdyby wreszcie zadokumentował należycie swój patriotyzm – zwycięstwo parlamentaryzmu byłoby niezawodne.

Niestety, Partia Konstytucyjno-Demokratyczna, która w następstwie przybrała nazwę Partii Wolności Ludu, a którą popularnie zwano kadetami, była partią inteligencji, nie umiała się nigdy starać o bezpośredni wpływ na masy i wpływu tego nie posiadała. Należał ten wpływ do partii przedstawiających daleko idący, nie zdający sobie sprawy z granic możliwości, radykalizm społeczny. Kadeci znajdowali się na łasce tych partii; gdyby się im chcieli należycie przeciwstawić, byliby zmieceni. Musieli więc z nimi politykować, podtrzymywać swe stanowisko demagogią w samej Dumie.

Partia kadetów była uzależniona finansowo, a niezawodnie i na innych drogach, od Żydów. Uzależnienia tego nie starała się nawet ukrywać, wysuwała osobistości żydowskie na czoło i Żydzi w znacznej mierze dyktowali jej linię postępowania. Żydzi zaś byli zawsze i wszędzie bardzo złymi politykami. Ilekroć w jakimkolwiek kraju dochodzili do wielkich wpływów, zawsze błędami swego postępowania doprowadzali do tego, że wszyscy się przeciw nim zwracali i kariera ich kończyła się katastrofą. Oni przede wszystkim byli zainteresowani w gruntownym przekształceniu ustroju politycznego Rosji i powinni byli dbać o to, żeby nie budzić w społeczeństwie rosyjskim sił, które doprowadzą do reakcji. Wiedzieli z doświadczenia, jak łatwo jest z tego społeczeństwa wydobyć antysemityzm i skrajny nacjonalizm. W ich interesie więc było pozostawać w cieniu, oddając front samym Rosjanom. Tymczasem oni nie tylko sami się na front wysunęli, ale swą chełpliwością i prowokowaniem rosyjskich uczuć narodowych robili co można, żeby jak najsilniejszą reakcją wywołać. Dzięki też nim partia kadecka zdobyła sobie reputację partii niepatriotycznej.

Wreszcie, Rosja liberalna, reformistyczna nie miała człowieka. Byli wśród niej ludzie i bardzo inteligentni, i utalentowani, zasobni w wiedzę polityczną, ale nie znalazł

się do stanięcia na czele duży charakter, człowiek mocny, z odwagą, zdolny wziąć na siebie odpowiedzialność, z uporem i konsekwencją idący do celu.

W tych warunkach Partia Wolności Ludu okazała się niezdolna do utrwalenia parlamentaryzmu rosyjskiego, do pokierowania Dumą i jej wielka kariera bardzo prędko się skończyła. Po rozwiązaniu pierwszej Dumy, istotnie niezdolnej do życia, po ogłoszeniu lekkomyślnej odezwy wyborskiej, pachnącej zdradą stanu, utrzymała się ona jeszcze niejako w drugiej Dumie, po rychłym zaś rozwiązaniu i tej, miejsce jej w kierownictwie parlamentu zajęła partia październikowców, idąca na duże kompromisy z żywiołami reakcyjnymi w celu umożliwienia sobie współpracy z rządem. Jakkolwiek najkulturalniejsza z partii rosyjskich w metodach postępowania, dla sprawy polskiej, biorąc z szeregu stanowiska, była ta partia największą przeszkodą. W niej się skoncentrowali wszyscy Niemcy działający jako Rosjanie i do niej grawitowali otwarci politycy niemieccy w Rosji. Kierownictwo październikowców oznaczało dążenie do umiejętnego, możliwie poprawnego likwidowania sprawy polskiej, z drugiej zaś strony – do poprawnych stosunków z sąsiadem niemieckim. Jednakże i wśród znacznej części ludzi do tej partii należących, pod wpływem rozwoju wypadków zewnętrznych, odbyła się w następstwie ewolucja w kierunku przeciwniemieckim.

Na tym to ruchomym terenie Polacy mieli rozwinąć swoją akcję polityczną. Zadanie to było trudne, tym bardziej że od początku niepodobna było tej akcji poprowadzić jednolicie, według określonego planu, ze względu na różnorodność żywiołów, składających się na naszą armię polityczną.

Rząd widział, ma się rozumieć, niebezpieczeństwo wynikające dla jednolitości państwa z udziału Polaków w parlamencie rosyjskim. Zaraz też w pierwszych projektach ustawy o Dumie i ordynacji wyborczej dał Królestwu Polskiemu przedstawicielstwo nieproporcjonalnie małe w stosunku do jego ludności. W ustawie definitywnej zostało ono znacznie powiększone, jakkolwiek pokrzywdzenie Królestwa w tym względzie, w porównaniu z resztą państwa, nie zostało całkowicie usunięte. Powiększenie to było wyłącznie wynikiem starań Polaków mających osobisty dostęp do cesarza, w szczególności Władysława Wielopolskiego. Królestwo dostało 36 mandatów, z których dwa odpadały na rzecz Litwinów w guberni suwalskiej. Poza tym była możliwość wyboru pewnej liczby Polaków w Krajach Zabrzanych, w szczególności gubernia wileńska była pewna – od początku do końca całe jej przedstawicielstwo (z wyjątkiem specjalnych mandatów kurialnych, zastrzeżonych ustawą dla Rosjan, po jednym pośle od guberni i od miasta Wilna) składało się z Polaków. Kładę na to nacisk, bo to jest najlepszy plebiscyt. Jeżeli taki wynik dawały wybory pod nieprzyjaznym rządem rosyjskim, który czynił wszystko co można, żeby tej ziemi odebrać oblicze polskie, to czyż można znaleźć lepszy dowód, że to jest ziemia niewątpliwie polska?...

W Królestwie obrona kraju przed anarchią i walka o jego polskość w okresie rewolucji dała taką popularność obozowi demokratyczno-narodowemu, że na wybory stał się on niepodzielnym panem sytuacji we wszystkich okręgach. Jeżeli przeszło kilku posłów do tego obozu nienależących, to tylko dlatego, że Stronnictwo Demokratyczno-

Narodowe dobrowolnie ich kandydatury postawiło i przeprowadziło. Opozycja ze strony obozu „postępowego”, będącego niejako ekspozyturą stronnictwa kadetów, wystąpiła tylko w miastach, w Warszawie i Łodzi, co było możliwe jedynie dzięki większej liczbie ludności żydowskiej w tych okręgach; jednak opozycja ta została pobita. Zdawałoby się, że taka jednolitość przedstawicielstwa, złożonego z jednego właściwie stronnictwa, była idealnym warunkiem do poprowadzenia jednolitej, konsekwentnej polityki. Jednolitość ta wszakże była tylko pozorna.

Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe zbyt szybko urosło. Z niewielkiej grupy kilkuset ludzi, prowadzących tajną pracę polityczną przed wybuchem wojny japońskiej, zamieniło się ono w ciągu dwóch lat, a właściwie nawet w ciągu ostatniego półrocza, w tłumny obóz, tak panujący w kraju, że wszelka opozycja przeciw niemu stanowiła znikomą siłę. Trzeba zaś pamiętać, że i w tej pierwotnej grupie ludzi tylko pewien odsetek głębiej rozumiał myśl polityczną „Przeglądu Wszechpolskiego”. Ludzie nowi, którzy zapełnili kadry stronnictwa, byli to ludzie najlepszych chęci, gotowi do bezinteresownej służby ojczyźnie, często zdolni, ale ludzie surowi, niepogłębieni w pojęciach politycznych, ludzie, którzy nie przemyśleli wespół z nami zagadnień polityki polskiej, którzy dróg naszych zrozumieć nie byli zdolni. Przyjmowali oni nasz program bez przetrawienia, instynktownie szli często wręcz w przeciwnym kierunku. Wielu z nich przechodziło wówczas spóźnioną gorączkę Wiosny Ludów i idealizowało sobie liberalną Rosję. W metodach postępowania politycznego mieli tylko to, co dała szkoła niewoli. W owej chwili we własnym obozie poczułem się człowiekiem prawie obcym.

A nie trzeba zapominać, że do stronnictwa, któremu nagle się powiodło, przystaje zawsze pewna liczba ludzi szukających karier: było też niemało takich, co sobie obiecywali, że kraj zdobędzie autonomię, że stronnictwo będzie obsadzało urzędy i porobi ich dygnitarzami. Ci byli najsurowsi w ekskluzywności partyjnej, żądali najściślejszego bojkotu przeciwników politycznych.

Ludzie reprezentujący myśl polityczną obozu musieli nadludzkiem wprost wysiłków używać, żeby ta myśl na skutek zbytniego powodzenia stronnictwa nie zatonąła.

Pierwsze próby akcji polskiej na terenie odnowionego państwa rosyjskiego przyniosły wielki zawód – i społeczeństwu, włącznie z szerszymi kołami Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, i nam, którzyśmy usiłowali tą akcją kierować.

Społeczeństwo oczekiwało natychmiastowych realizacji: liczyło ono na autonomię Królestwa i spodziewało się ją każdej chwili dostać. Myśmy w autonomię nie wierzyli, a jeżeli niektórzy z nas przypuszczali możliwość jej osiągnięcia, to bardzo rychło, przyjrząwszy się nowej Rosji, zrozumieli, że tej możliwości nie ma. Naszym celem było stworzenie poważnego przedstawicielstwa polskiego w państwie rosyjskim, które by swym postępowaniem zmusiło Rosję do liczenia się z Polską i które by dla Polski zdobyło stopniowo na zewnątrz znaczenie czynnika polityki europejskiej. Wytrwałą walką polityczną w państwie rosyjskim spodziewaliśmy się odzyskać dla kwestii polskiej utracone po roku 1864 miejsce na terenie międzynarodowym.

Spółeczeństwo musiał spotkać zawód przede wszystkim z dwóch przyczyn. Przełom w państwie carów doprowadził do poważnych zmian prawno-politycznych, ale nie wyrwał władzy z rąk tych sfer, które Rosją przedtem rządziły, skutkiem czego cele polityki państwowej pozostały bez zmiany. Nowe siły polityczne, które wtargnęły do parlamentu i w nim zapanowały, nie interesowały się wcale kwestią polską: po pierwsze, dlatego że jej nie rozumiały i że była im ona na ogół obojętna, po drugie, że były całkowicie pochłonięte palącymi zagadnieniami czysto rosyjskimi, z którymi nie umiały dać sobie rady. Wprawdzie kadeci wprowadzili do swego programu autonomię Królestwa Polskiego, ale był to z ich strony jedynie krok taktyczny, uczyniony w celu pozyskania sobie Polaków do wspólnej walki przeciw rządowi. Mieli oni nawet nadzieję, że przedstawicielstwo polskie wprost pomnoży szeregi ich stronnictwa w Dumie. Jedną z ich wielkich ambicji było wykazać, że są zdolniejsi od reakcyjnych rządów państwa do scentralizowania Rosji i podporządkowania wszystkich grup narodowych panującemu narodowi rosyjskiemu.

Nas spotkał zawód nie od Rosji, bo od niej niczego nie oczekiwaliśmy, ale od samego społeczeństwa polskiego. Okazało się, że nie ma w nim materiału na stworzenie takiego przedstawicielstwa w państwie, jakie chcieliśmy widzieć, że trzeba długo czekać, aż się odpowiednie siły wyrobiją, i wiele napracować, ażeby dla polityki takiej, jak ją pojmowaliśmy, wykształcić w społeczeństwie zrozumienie.

Polityka Koła Polskiego w pierwszej Dumie da się streścić w jednym zdaniu: pozyskiwanie sobie kadetów w celu dostania od nich autonomii. Pod względem metody nie różniła się ona niczym od polityki tzw. ugodowców. Różnica tylko była w przedmiocie zabiegów, który tu był większy od tego, o co zabiegali ugodowcy, i w tym, że tam zabiegano u rządu, a tu u kadetów. Słowem, w charakterze swoim była to ta sama polityka ugodowa, że już pozostaniemy przy tym, niezupełnie udatnym terminie. Bo, jak już powiedziałem, szkoła niewoli innych metod nauczyć nie mogła.

Dla naszej nielicznej garstki, przy naszych zamiarach, ta polityka w pierwszej Dumie była ogromną degradacją przedstawicielstwa polskiego. Nie mogliśmy się jej publicznie wypierać, bo to by nie prowadziło do żadnego celu. Nie chcąc stracić możliwości zrobienia czegoś na przyszłość, trzeba było nawet jej bronić.

Najwięcej gryzł się tym twórca pierwszych podstaw nowoczesnej polityki polskiej, Popławski. Żałował, że opuścił Lwów, że razem ze mną i Balickim przeniósł się do Warszawy. Dowodził, że dla smutnych wyników, jakie tu osiągamy, poświęciliśmy za wiele. Zamknęliśmy „Przegląd Wszechpolski”, który przez dziesięć lat swego istnienia zdołał tyle zrobić dla pogłębienia myśli politycznej polskiej i dla wytworzenia we wszystkich trzech zaborach zastępu ludzi związanych wspólnym pojmowaniem zadań polityki polskiej; oddaliliśmy się od terenu działania w dzielnicach zachodnich, gdzie już widzieliśmy dotykalne skutki naszej pracy: w Galicji – w znacznym już odaustriacczeniu życia politycznego, w podniesieniu jego tonu narodowego, w szczególności we wschodniej części kraju; w zaborze zaś pruskim – przede wszystkim w wyzwoleniu Górnego Śląska spod komendy niemieckiego Centrum, oraz w obaleniu przestarzałej

zasady, według której organizacja polityczna Polaków winna obejmować tylko ziemie zagarnięte w ciągu rozbiorów, tylko Poznańskie, Prusy Zachodnie i Warmię; to pociągnęło za sobą objęcie organizacją wszystkich Polaków w państwie pruskim – Górny Śląsk wszedł do wspólnego komitetu wyborczego i do Koła Polskiego w Berlinie⁸.

Jednakże klucz do kwestii polskiej leżał w państwie rosyjskim; polityka prowadząca do jej rozwiązania musiała się przede wszystkim oprzeć na dzielnicy obejmującej główną część narodu. Błąkający się po pewnych głowach pogląd na Galicję jako na Piemont polski był absurdem. Bez należytego zorganizowania polityki polskiej w państwie rosyjskim o polityce ogólnopolskiej nie mogło być mowy. Nie wolno więc było zrażać się niepowodzeniami i pozostawiać tego terenu żywiołom, które z zadań polityki polskiej nie zdawały sobie sprawy.

Jeżeli Koło Polskie w pierwszej Dumie nie umiało zająć stanowiska należnego przedstawicielstwu narodu polskiego, to przyczyny tego były wcale zrozumiałe. Przede wszystkim teren był bardzo trudny. Ta Duma nie była jeszcze parlamentem – to był raczej wielki wiec rewolucyjny, opanowany psychologią tłumu. Kadeci i ich sprzymierzeńcy z lewej strony panowali w niej niepodzielnie: innym grupom pozostawało podporządkowanie się lub protesty. Przedstawicielstwo polskie składało się przeważnie z nowicjuszy w polityce. W części byli to ludzie wyrosli w pracy tajnej i do wystąpień publicznych niemający ani przygotowania, ani temperamentu. Ci, mając silne poczucie polskie i świadomość odrębnych zadań polityki polskiej, nie umieli znaleźć wyrazu dla tego stanowiska. Druga część – to byli ludzie całkiem nowi, nieprzywykli do zorganizowanego działania, do dyscypliny – łatwo poddający się atmosferze zgromadzenia. Silniejsze wśród nich temperamenty, niecierpliwe, chcące natychmiast przywieźć krajowi autonomię, łudzące się, że kadeci chcą i mogą ją dać, pchały Koło Polskie do ich orszaku.

Można było przewidywać, że po rozwiązaniu pierwszej Dumy ludzie ochłoną, nadzieje zbledną, wiara w liberalną Rosję osłabnie; wobec braku widoków na przywiezienie krajowi łatwych zdobyczy, zapał do posłowania zmniejszy się, pozostaną w przedstawicielstwie lub wejdą do niego ludzie poważniejsi, bardziej kierowani poczuciem obowiązku niż nadzieją odznaczenia się; będzie pewna możliwość naprawienia tego, co się w pierwszej Dumie popsuło. To było konieczne, jeżeli się nie chciało nowego położenia w Rosji dla sprawy polskiej zmarnować.

Zdecydowałem się pójść do drugiej Dumy i wziąć na siebie przewodnictwo Koła Polskiego. Rolę tę przyjąłem bez entuzjazmu. Wiedziałem, że to, co dla mnie jest tylko podjęciem trudnego obowiązku, dla niejednego byłoby słodkim zaspokojeniem ambicji. Wiedziałem, że to, co będę robił, nie będzie przez długi czas rozumiane, nawet wśród większej części ludzi mego obozu, że będę musiał używać ogromnych wysiłków, żeby nie

⁸ Ta zmiana, na którą już wielki był czas, później, po wybuchu wojny europejskiej, umożliwiła nam właściwe postawienie kwestii polskiej i programu granic zachodnich.

stracić wpływu i możliwości działania; jedni będą żądali ode mnie natychmiastowych zdobyczy, inni – niewierzący w te zdobycze – będą wymagali polityki protestów, ostrej krytyki, napadania na rząd przy każdej sposobności, nie dlatego, żeby spodziewali się stąd jakichś skutków, tylko żeby mieć moralną satysfakcję; to zaś, co ja będę uważał za najważniejsze, za pozytywną politykę polską, bądź nie będzie zwracało uwagi, bądź przyjmowane będzie przez opinię z niechęcią i oporem...

Druga Duma już miała większe podobieństwo do parlamentu. Były w niej dwa stojące przeciw sobie obozy, i to w równej niemal sile, był obecny rząd, z którym już rozmawiano. Ustosunkowanie sił dało nawet dużą rolę Kołu Polskiemu, jego głosy bardzo często decydowały o wyniku głosowań.

Zacząłem swą pracę od tego, że Koło Polskie dostało ode mnie silną organizację, zaprowadziłem ścisłą dyscyplinę: wszelkie indywidualne wystąpienia posłów polskich zostały wyłączone, przemawiało tylko Koło Polskie przez usta tego czy innego swego członka. Byliśmy jedyną należycie dyscyplinowaną grupą w całej Dumie. To dało nam powagę, wzbudziło dla nas respekt. Polacy rzadko przemawiali, ale za to gdy poseł polski głos zabierał, wiedziano, że wyraża stanowisko całego przedstawicielstwa polskiego, i schodzono się z kularów, by go wysłuchać. Praca w Kole Polskim była duża, każdy krok był możliwie obmyślony i przygotowany.

To zrobiło z Koła Polskiego całość zdolną do działania i pomogło mu do zdobycia znaczenia większego, niżby mogła dać liczba głosów, którymi rozporządzało.

Po ukazaniu się w roku 1908 mojej książki *Niemcy, Rosja i kwestia polska* jeden z cieszących się wielką powagą profesorów krakowskich miał powiedzieć:

– Pan Roman Dmowski zapomniał, że jest prezesem Koła Polskiego w Petersburgu. Zdaje mu się, że jest polskim ministrem spraw zagranicznych.

Jeżeli to miało być zapomnienie, to ja z nim wszedłem już do Dumy w roku 1907. Uważałem właśnie, że głównym zadaniem prezesa Koła Polskiego jest spełniać obowiązki nieistniejącego ministra spraw zagranicznych Polski. I nie wolno było inaczej patrzeć człowiekowi, który był przekonany, że odbudowanie Polski jest nie tylko możliwe, ale nieuniknione i to w niezbyt odległym czasie.

Koło Polskie w Petersburgu zwracało na siebie większą uwagę w Europie niż nasze przedstawicielstwa w Wiedniu i Berlinie przede wszystkim dlatego, że reprezentowało główną część narodu, a poza tym zabór rosyjski miał do owego czasu zamknięte usta i nie wiedziano, co jego społeczeństwo myśli. A to, co ono myśli, interesowało Europę Zachodnią ze względu na położenie Rosji względem Niemiec. Uważałem, że przez nasz posterunek w Petersburgu prowadzi droga z powrotem do Europy, z której sprawa polska została wyrzucona po roku 1864.

Jednym z przykazań politycznych szkoły krakowskiej, przyjętym przez jej wszystkich uczniów, było nie tylko pogodzić się z usunięciem sprawy polskiej z terenu międzynarodowego, ale poczytywać za szkodliwe, za niebezpieczne dla kraju wszelkie usiłowanie wejścia na ten teren z powrotem. Dla nich sprawa polska istniała już tylko jako

sprawa wewnętrzna trzech państw rozbiornych: Polacy tylko w granicach tych państw, jako lojalni ich poddani, mogli coś zyskać. Wszelkie zaś usiłowanie zdobycia pozycji poza granicami tych państw rzucało cień na lojalność polską i przeszkadzało jedynej rozumnej polityce.

Pamiętam, w początkach mego posłowania, rozmawiając w liczniejszym gronie w jednym z salonów polskich w Petersburgu, stary przyjaciel Edwarda VII, MacKenzie Wallace, który pracował nad zbliżeniem Rosji z Anglią, powiedział:

– Nie znam dzisiejszej Polski, nie wiem, co panowie myślą i do czego dążą. Niegdyś, po roku 1863 spotykałem się z Polakami z Krakowa, z Tarnowskim, Koźmianem i innymi i to mi się u nich podobało, że się wyrzekli niepodległości dla zachowania narodowości.

Odpowiedziałem mu ostrożnie:

– My, nowe pokolenie, mamy pojęcia inne. My uważamy, że zachowanie narodowości nie jest możliwe bez takiego czy innego stopnia niezawisłości politycznej.

Nie brakowało u nas ludzi, którzy uważali za konieczne zwracać uwagę Europy na Polskę i na jej położenie. Na ogół wszakże rozumieli to fałszywie, niepolitycznie. Rozumieli, iż całe zadanie sprowadza się do tego, żeby przekonywać świat, iż nam się krzywda dzieje. Byli tacy, co pisali artykuły pełne skarg do pism zagranicznych i gniewali się, że tych skarg nikt nie chce ogłaszać, a jeżeli nawet od czasu do czasu z grzeczności coś ogłoszą, to nie ma na to żadnej reakcji. Wyobrażali sobie opinię europejską jako trybunał sprawiedliwości międzynarodowej i oburzali się, że ten trybunał w naszej sprawie nie działa...

Tego rodzaju wchodzenia do Europy nie poczytywałem za rzecz poważną. Rozumiałem, że żadne skargi, żadne protesty sprawy polskiej nie podźwigną, że mogą one budzić w najlepszym razie współczucie, litość, ale na budzeniu litości nikt nigdy nie zrobił kariery. Nie sądziłem też, żeby można było podnieść nasze znaczenie szumnymi frazesami, rozdymaniem naszej wartości, zapowiedziami wielkich czynów. Współczesna Europa miała rozmaite wady, ale naiwną nie była, do Polski zaś po doświadczeniach XIX wieku odnosiła się sceptycznie, więcej niż sceptycznie. Nadto żyła ona szybko i nie miała czasu na głębsze myślenie, zwłaszcza o rzeczach leżących dość daleko od przedmiotów jej bezpośrednich zainteresowań. Chcąc zwrócić uwagę Europy na sprawę polską, zmusić ją do poważnego jej traktowania, trzeba było związać sprawę naszą z bezpośrednimi interesami narodów, związać w sposób praktyczny, niezbyt skomplikowany, łatwy do zrozumienia.

Zrobienie tego było rzeczą bardzo pilną.

Wykreślenie kwestii polskiej z porządku dziennego spraw, którymi się w Europie zajmowano, łączyło się z ogromnym dla nas niebezpieczeństwem. Tylko takie ogłupienie polityczne, jakie nastąpiło u nas po ostatnim powstaniu, mogło sprawić, że w najpoważniejszych kołach politycznych kraju tego nie widziano. Przecież to zapomnienie o Polsce w Europie dawało całkowicie wolną rękę państwom rozbiornym w ich polityce polskiej. Z tych państw Niemcy wiedziały dobrze, dokąd idą i którędy iść mają. Znana

tępość polityków austriackich i zaciętrzewienie Rosjan, przy zależności obu tych państw od Niemiec, sprawiały, że ani jedno, ani drugie w polityce Niemcom się nie przeciwstawiało, że oba raczej wykonywały ich plany. Dlatego polityka berlińska, dążąca do stopniowego, możliwie szybkiego zniszczenia Polski, nie spotykała na swej drodze żadnych przeszkód, oprócz oporu samych Polaków.

Nikt w Europie tego nie rozumiał, że wszystko, co Polska traci, nie jest zyskiem ani Rosji, ani Austrii, tylko Niemiec. Otóż niewiele było narodów w Europie, i nawet poza Europą, zainteresowanych w tym, żeby Niemcy stały się jeszcze potężniejsze, niż były. Gdyby widziały one istotne położenie sprawy polskiej i jej stosunek do Niemiec, zrozumiałyby, że sprawa nasza łączy się z najżywoźniejszymi ich interesami.

Dotyczyło to przede wszystkim Francji.

Potrzebując silnego sprzymierzeńca na wschód od Niemiec i zmuszona do zrezygnowania w tym względzie z Polski, która przestała być siłą, Francja pragnęła, żeby Rosja była jak najpotężniejsza. Nie szkodziłoby też interesom francuskim, nawet pożądane byłoby to dla nich, gdyby Rosja mogła całą Polskę pochłonać, strawić, na kraj rosyjski zamienić. Byłaby wtedy i silniejsza, i pewniejsza jako sojuszniczka przeciw Niemcom. Ale rzecz się zupełnie inaczej przedstawiała z chwilą, gdy Francuz zaczynał rozumieć, że Rosja nie jest zdolna połknąć Polski, że nigdy tego nie dokona, że jeżeli Polska będzie pożarta, to tylko przez Niemcy. Niemcy, które by połknęły i strawiły Polskę, stałyby się taką już potęgą bez rywala, że pożarłyby i Francję.

Był więc związek między interesami francuskimi i polskimi, tylko trzeba go było odstąpić. Jednakże polityka nie może żyć samą muzyką przyszłości. Nie można było żądać od Francji, żeby, dla zapobieżenia wielkiemu niebezpieczeństwu na przyszłość, wyrzekła się w terażniejszości jedyne go środka obrony przeciw Niemcom, jakim było dla niej przymierze z Rosją. Jedyne sposob zrobienia sprawy polskiej na nowo jednym z przedmiotów polityki francuskiej – co dla naszego bezpieczeństwa narodowego było konieczne – musiał polegać nie tylko na wykazaniu znaczenia Polski dla przyszłości Francji, ale także na związaniu sprawy polskiej z interesami przymierza francusko-rosyjskiego. To przecież łatwo było zrozumieć. Tylko trzeba było zrobić dla Polski jedno poświęcenie: myśleć o niej i dla niej. I trzeba było znać Europę, trzeba było się uczyć. Wyniesienie na nowo sprawy polskiej na widownię międzynarodową było rzeczą niesłychanie pilną ze względów najelementarniejszych, ze względu wprost na bezpieczeństwo naszego bytu narodowego, którego broniliśmy wyłącznie swymi siłami. Przy tak potężnym naporze, jaki szedł na nas w zaborze pruskim, te siły, nie znalazłszy poparcia z zewnątrz, na długo by już nie starczyły.

A cóż dopiero było mówić o znaczeniu dla nas terenu międzynarodowego, gdy się traktowało sprawę odbudowania państwa polskiego jako sprawę realną... Im bliżej się widziało możność urzeczywistnienia tego celu, tym pilniejsze było wprowadzenie sprawy polskiej w zakres polityki europejskiej.

To są powody, dla których, wchodząc do Dumy, pojąłem swą rolę przede wszystkim jako rolę polskiego ministra spraw zagranicznych. Co prawda, nikt mi poza moimi najbliższymi przyjaciółmi politycznymi nie dał do tego upoważnienia. Znalazłem wszakże największe upoważnienie w swym sumieniu i to mi pozwoliło wziąć na siebie odpowiedzialność.

Była to odpowiedzialność wielka. Nie przywiozłem krajowi z Petersburga ani jednej zdobyczy, ani jednej ustawy, którą by można było uważać za zysk polski. Natomiast polityka moja wywołała nowe ciosy, nowe ataki na Polskę. Za to gdyby nie ta polityka, grunt pod naszą akcję podczas wojny europejskiej byłby nieprzygotowany i ta akcja byłaby niemożliwa. Dziś, gdy państwo polskie istnieje, gdy byt jego opiera się na traktacie wersalskim, gdy obejmuje ono swymi granicami ziemie zaboru pruskiego, o których polskiej przyszłości nasze powagi polityczne nie śmiały marzyć – może ludzie zrozumieją wiele kroków tej polityki, których w swoim czasie zrozumieć nie mogli.

Ogólne wytyczne polityki, którą postanowiłem przeprowadzić w Dumie, były następujące:

1. Na Rosję trzeba patrzeć jako na przyszłego sojusznika w walce z Niemcami. Stąd nie można wypowiadać walki ani państwu, ani narodowi rosyjskiemu, nie można dążyć do obniżenia potęgi zewnętrznej Rosji.

2. Rząd aktualny w Rosji uzależnia ją od Niemiec i współdziała z Niemcami w dziele niszczenia Polski. Powstrzymując rozwój cywilizacyjny Polski, rozwój naszych sił narodowych, przygotowuje on nasz kraj na przyszły łup dla Niemiec. Dlatego rządowi temu, a w szczególności jego polityce polskiej, trzeba wypowiedzieć stanowczą walkę i wytrwale ją prowadzić, utrudniać mu wszelkimi dostępnymi dla nas środkami jego sytuację i jego politykę polską. Celem tej walki jest z jednej strony zmuszenie rządu prędzej czy później do zejścia ze stanowiska traktującego Polskę jako część Rosji, z drugiej – uruchomienie i organizacja naszych sił narodowych, zaprawienie ich w walce o prawa Polski.

Należy zauważyć, że przy nieścistości politycznego myślenia w naszym społeczeństwie to rozdzielenie naszego stanowiska względem rządu i jego polityki a względem państwa nie było łatwe do przeprowadzenia. Pojęcia się ciągle mieszały, co utrudniało ogółowi należyte rozumienie naszej linii politycznej.

3. Trzeba korzystać z każdej sposobności dla zwrócenia uwagi opinii zagranicznej na kwestię polską i stopniowo zdobyć dla Polski rolę czynnika w polityce europejskiej.

Nie miałem tak daleko idącego wpływu ani w swoim stronnictwie, ani w szczególności w Kole Polskim, ażebym mógł tę linię polityczną utrzymać bez odchyłeń i przeprowadzić z bezwzględną konsekwencją. Jednakże w głównych zarysach polityka polska po niej poszła. Przeszkody, jakie napotykałem, pochodziły głównie z niezdolności do szybkiego pozbywania się pojęć przestarzałych i utrwalonych nałogów, z niedostatecznej pracy myśli, wreszcie z braku odwagi cywilnej u ludzi najlepszej zresztą woli. Przechodząc do zdeklarowanych przeciwników politycznych, to z nich najwięcej

było zdolne przeszkadzać Stronnictwo Polityki Realnej wspólnie ze swymi przyjaciółmi z kresów wschodnich, przez to, że prowadząc politykę polską w Radzie Państwa i utrzymując pewne stosunki z rządem, działało w duchu całkiem przeciwnym i tym zachęcało rząd do mniejszego liczenia się z naszą polityką, budziło w nim nadzieję, że ją rychło złamie.

Od początku do końca miałem to poczucie, że naszą linię polityczną najlepiej rozumieją w Berlinie. Bo tam najściślej myślano o kwestii polskiej i bacznie jej rozwój śledzono.

Dla uplastycznienia rozwoju naszej polityki muszę tu przypomnieć parę najważniejszych momentów z działalności przedstawicielstwa polskiego w drugiej Dumie.

W spadku po Kole Polskim pierwszej Dumy pozostał nam wniosek o autonomię Królestwa Polskiego, który Koło postanowiło wykończyć i wnieść do Izby. Uważałem ten wniosek za nierealny, za manifestację jedynie – w tym wszakże charakterze miał on swoją wartość w walce przeciw polityce rządu.

Przy dążeniu rządu do ignorowania kwestii polskiej i przy obojętności opozycji dla naszej sprawy, narzucało nam się poruszenie żywiołów nierosyjskich w państwie i wyprowadzenie ich do walki równoległej z naszą. Przedstawiciele tych żywiołów w Dumie: Litwini, Łotysze, Estowie, Tatarzy, Gruzini, Ormianie – wszystko to tonęło w szeregach kadetów lub innych stronnictw lewicy, zachowując jedynie dla swych grup pewną, zresztą nikłą na ogół, odrębność. Samo istnienie Koła Polskiego było już dla nich zachętą do wyodrębnienia się: wniosek zaś autonomiczny Koła stał się silnym bodźcem, pod którego wpływem zaczęły się organizować grupy narodowe z programem autonomicznym, wśród tych ukraińska w liczbie czterdziestu posłów. Posłowie z tych grup zaczęli się zbliżać do Polaków w poszukiwaniu rad i wskazówek. Było to dla rządu ostrzeżenie. Musiał on zrozumieć, że ignorowanie kwestii polskiej doprowadzi do wytworzenia szeregu innych kwestii narodowych. Podniósł się alarm, zaczęto mówić o „rozcłonkowaniu państwa”. Dla polityki rządu był to punkt najboleśniej i łatwo było przewidzieć, że ucieknie się on w walce do środków heroicznych, że uderzy przede wszystkim w Polaków. Można było wszakże być pewnym, że o ile się te pierwsze uderzenia dobrze wytrzyma, to środki niezgodne z duchem nowych czasów i nowego ustroju Rosji na długo nie starczą i rząd będzie zmuszony nowych dróg szukać.

Drugim dużym wnioskiem prawodawczym, z którym wystąpiliśmy w drugiej Dumie, był wniosek o spolszczenie szkolnictwa państwowego wszystkich stopni w Królestwie Polskim. Ten postanowiliśmy traktować realnie, wydać na jego gruncie walkę rządowi, przyprzeć go, o ile możliwości, do muru. Bardzo było rzeczą znamioną, że wniosek ten wywarł w Niemczech o wiele silniejsze wrażenie niż wniosek autonomiczny. Cała półurzędowa prasa niemiecka poświęciła mu artykuły identyczne co do treści: we wszystkich grożono, że spolszczenie szkolnictwa państwowego w Królestwie będzie przez Niemcy uważane za prowokację ze strony Rosji.

Rząd wszedł do Izby z projektem ustawy o kontyngencie rekruta. Było możliwe, że bez głosów polskich ustawa nie przejdzie. Znaczna część członków Koła miała chęć głosować przeciw, inni byli za tym, żeby się z rządem potargować. Ja uważałem, że sprawy armii są najdrażliwsze i do targów najmniej się nadają, a przede wszystkim, że trzeba możliwie i konsekwentnie iść po linii własnej polityki. Polityka zaś, która uważała za potrzebną dla Polski wojnę między Rosją a Niemcami i klęskę Niemiec, nie mogła państwu rosyjskiemu odmawiać rekruta. Uważałem to za wielki postęp myśli politycznej, że całe Koło do tego stanowiska się skłoniło i że przyjęto mój wniosek, ażeby przy uzasadnieniu głosowania w Izbie oświadczyć między innymi, że pragniemy, ażeby państwo rosyjskie było silne i tym samym w swej polityce niezawisłe, bo nie chcemy, ażeby położenie nasze w tym państwie zależało od sąsiada.

Wygłoszona w imieniu Koła przy głosowaniu kontyngentu rekruta mowa posła Konica rozległa się szerokim echem po Europie. W Paryżu zwłaszcza i Londynie silnie ją podkreślono. Po raz pierwszy usłyszano nie w postaci krzykliwej, wiecowej, ale w języku powściągliwym, choć stanowczym, z ust urzędowego przedstawicielstwa największej części narodu, że Polska chce być czynnikiem przeciwniemieckim w polityce europejskiej.

Rząd rosyjski był z tej deklaracji bardzo niezadowolony: zrozumiał naszą taktykę, widział, że Dumę traktujemy jako wrota prowadzące na teren międzynarodowy.

Wreszcie akt ostatni.

Rząd rosyjski poszukiwał pożyczki we Francji. Tam mu wszakże postawiono za warunek, żeby budżet został uchwalony przez Dumę. Tymczasem, większości za budżetem nie było bez głosów polskich. Przychodzili posłowie od Stołypina do mnie, żebyśmy dali swe głosy. Odpowiedziałem: „Dobrze, ale pod warunkiem, że rząd uzna nasz wniosek szkolny za swój”. Przez pewien czas rząd się wahał. Naraz przyszła wiadomość, że pożyczkę obiecał Mendelssohn w Berlinie. Duma została rozwiązana.

Znów Berlin...

Jedynym namacalnym rezultatem działalności naszej w drugiej Dumie był słynny ukaz czerwcowy 1907 roku, rozwiązujący Dumę i przynoszący nową ustawę wyborczą, która zmniejszała o dwie trzecie przedstawicielstwo Królestwa Polskiego: 12 posłów zamiast 36. Zrobiono to, jak mówił ukaz, ażeby obcoplemieńcy nie mogli decydować o losach państwa rosyjskiego. Zwiększono tą ustawą i w innych częściach państwa liczbę posłów rosyjskich kosztem żywiołów miejscowych.

Odpowiedzialność za tę klęskę spadła na mnie i długo mi ją wypominano. Ta odpowiedzialność mi się należała, bo jeżeli nawet cios miał prędzej czy później nastąpić, to moja polityka niezawodnie go przyśpieszyła. Możliwe, że gdyby Stronnictwo Polityki Realnej reprezentowało kraj w Dumie, ten cios nie byłby w nas wymierzony, a może by nawet dało się osiągnąć pewne skromne ustępstwa, np. wprowadzenie samorządu miejscowego.

Ja wszakże byłem przekonany, że przy rozwoju sytuacji międzynarodowej tak, jak mnie się ona przedstawiała, ani samorząd, ani liczba głosów polskich w Dumie nie są

rzeczami najważniejszymi, że o wiele realniejszą i pilniejszą sprawą jest przygotowanie gruntu do postawienia kwestii polskiej w całości i do zdobycia dla Polski pozycji czynnika w polityce europejskiej. I w tym kierunku polityka polska w drugiej Dumie zrobiła więcej, niż ludzie myśleli.

III. ROK PRZEŁOMOWY

Kto chce naprawdę wiedzieć, jaką drogą doszliśmy do niepodległości, ten musi dobrze zrozumieć, czym był w polityce rok 1907.

W tym roku zaszły wielkie, brzemienne w następstwa zmiany w położeniu międzynarodowym, w szczególności zaś w polityce rosyjskiej i niemieckiej. W tym roku również, w zrozumieniu zaszłych zmian ukształtowała się ostatecznie w umysłach naszych polityka polska, która już poszła konsekwentnie po wytkniętej linii, aż do chwili, kiedy kwestia odbudowania państwa została rozstrzygnięta.

Przebrana wojna japońska, w połączeniu z ciężkim kryzysem wewnętrznym, osłabiła ogromnie Rosję na zewnątrz, a tym samym wzmocniła pozycję Niemiec. W przewidywaniu tego skutku wojny dyplomacja Francji i Anglii doprowadziła już w jej początku, w roku 1904, do porozumienia angielsko-francuskiego, które uregulowało wszystkie sporne między tymi państwami kwestie kolonialne i dało Francji wolną rękę w Maroku. Tym sposobem Niemcy pozostały w interesującej je bardzo kwestii marokańskiej poza nawiasem. Po ostatecznej wszakże klęsce rosyjskiej na Dalekim Wschodzie, gdy Rosja na swej granicy zachodniej znalazła się na ich łasce, Niemcy poczuli się tak silnie, że dokonały niesłychanie gwałtownego ataku dyplomatycznego na Francję, przed którym ta się musiała ugiąć. Główny organizator polityki przeciwniemieckiej, Delcassé, musiał ustąpić ze stanowiska ministra spraw zagranicznych i Francja zgodziła się na konferencję międzynarodową w sprawach marokańskich. W Algeciras wszakże francusko-angielska *entente cordiale* okazała się budową trwałą, a nadto zrobiono tam początki zbliżenia między Anglią a Rosją. W dalszym ciągu, w roku 1907 podpisane zostało porozumienie angielsko-rosyjskie w sprawach środkowoazjatyckich, usuwające wszystkie powody do konfliktu między dwoma państwami. Zarysowało się potrójne porozumienie angielsko-francusko-rosyjskie, które w miarę zacieśniania się węzłów między trzema mocarstwami musiało coraz bardziej redukować rolę Niemiec w polityce światowej.

Europa dzieliła się na dwa wielkie, stojące przeciw sobie obozy. Z jednej strony trójprzymierze: Niemcy, Austro-Węgry i Włochy, ostatnie bardzo niepewne w tej kombinacji, bo przy długości linii swego brzegu morskiego niezdolne do przeciwstawienia się potędze morskiej Anglii i Francji, mające zresztą z tymi mocarstwami porozumienie w sprawach śródziemnomorskich, z drugiej Anglia, Francja i Rosja.

Rosja w roku 1907 zdołała się już uporać ze swym kryzysem wewnętrznym. W trzeciej Dumie rząd już był zwycięzcą, a kierownictwo Dumy znajdowało się w rękach umiarkowanego stronnictwa październikowców, którzy wespół z nacjonalistami i skrajną prawicą stanowili dwie trzecie Izby. We współpracownictwie z Dumą, a głównie z liderem październikowców, Guczkowem, rozpoczęto wielkie dzieło reorganizacji, a poniekąd organizowania na nowo armii. Praca ta, korzystająca z doświadczeń świeżo przegranej wojny, szła szybko naprzód, a z jej postępowaniem odradzała się potęga zewnętrzna Rosji.

Polityka zewnętrzna państwa carów zaczęła nabierać pewności siebie, otrząsać się ze zwiększonej podczas wojny zależności od Niemiec, do czego nowe porozumienie z Anglią stało się dla niej niemałą zachętą.

Niemcy, zatrzymane przez nową kombinację mocarstw w swym rozpędzie na szerokich drogach polityki światowej, zwróciły szczególnie swą energię w kierunku najmniejszego oporu, w kierunku Bałkanów i Azji Zachodniej, kreśląc sobie wielkie plany ekspansji kontynentalnej po linii Berlin-Bagdad, zagrażające przede wszystkim interesom Rosji.

Już w roku 1907 było widoczne, że wielka wojna, w której Rosja zetrze się z Niemcami, jest tylko kwestią czasu.

Tak, było to widoczne, pomimo że w Rosji usposobienie wojownicze względem Niemiec nie istniało. Wprawdzie po otwarciu trzeciej Dumy ogromnie wzrósł nastrój patriotyczny, wyrażający się nie tylko w reakcji przeciw rewolucji i w atakach na „obcoplemieńców”, ale także w ambicji do ekspansji wpływów Rosji na zewnątrz i do wzmocnienia jej roli mocarstwowej; świadomość, że na drodze Rosji w tym względzie stoją przede wszystkim Niemcy, jeszcze nie była jasna. Przeciwnie, czuć było silne wpływy niemieckie wewnątrz państwa, które tę świadomość zacierały i uwagę od niebezpieczeństwa niemieckiego starały się odwrócić. Było jasne, że gdy polityka zewnętrzna Rosji coraz wyraźniej rozwija się w kierunku przeciwniemieckim, wewnątrz panuje germanofilstwo, popieranie Niemców, równoległe ze szczuciem na Polaków oraz uleganie w polityce wewnętrznej podszeptom czy też naciskowi z Berlina. Bliżej wtajemniczonym znany był memoriał wybitnego ministra Durnowo, wykazujący, że Rosja na wojnę z Niemcami nie może sobie w ogóle pozwolić, że taka wojna byłaby jej zgubą.

Rosyjska opinia publiczna widziała głównego wroga w Austro-Węgrach. Nie zdając sobie sprawy z charakteru i siły węzłów łączących Austrię z Niemcami, oddzielała zanadto politykę austriacką od niemieckiej i widziała możliwość starcia z Austrią bez wojny z Niemcami. Niedaleka przyszłość pokazała, że Rosjanie byli w błędzie.

Świadomość wszakże, iż wojna między Rosją a Niemcami zbliża się szybkimi krokami i że w tej wojnie wypłynie kwestia polska, gdzieś po wrogiej nam stronie istniała, i to tam, skąd wypływały natchnienia do polityki polskiej trzech mocarstw rozbiornych.

Świadczyło o tym nagle w owym czasie ożywienie się inicjatywy w stosunku do Polski we wszystkich trzech państwach. Wyrażała się ona:

w Prusach – w niesłychanie szybkim postępie ustawodawstwa przeciwpolskiego, w łożeniu olbrzymich sum na umocnienie niemieczyzny na ziemiach polskich i w coraz intensywniejszej działalności *Ostmarkenvereinu*⁹;

⁹ *Ostmarkenverein* (niem.) – Związek Kresów Wschodnich (tzw. Hakata). Niemiecka organizacja mająca na celu germanizację ziem polskich w Niemczech. [red.]

w Austrii – w bezceremonialnym już organizowaniu i otaczaniu opieką Rusinów, przemianowanych na Ukraińców, z wyraźnym dążeniem do wyrwania z rąk polskich wschodniej Galicji;

w Rosji – w podniesieniu projektu utworzenia guberni chełmskiej i oderwania jej od Królestwa, oraz w nieoficjalnym proklamowaniu apetytów na wschodnią Galicję.

Cel we wszystkich państwach jeden – sprowadzenie do minimum obszaru polskiego; energia i pośpiech jednocześnie wszędzie. Czyż to mógł być jedynie zbieg okoliczności?...

Dla mnie przynajmniej było niewątpliwe, że to wszystko jest jeden plan, z jednego wychodzący źródła. Jeżeliby ktoś miał wątpliwości co do tego źródła, to powinien był je ostatecznie rozwiać pokój brzeski podczas wielkiej wojny, który był taką przykrą niespodzianką dla pewnego gatunku „mężów stanu” w Polsce. Przecież ten pokój był tylko ukoronowaniem całej tej akcji trzech państw, ożywionej od roku 1907 i prowadzonej z takim pośpiechem, żeby na czas zdążyć. Projekt pokoju brzeskiego, jako jeden z możliwych sposobów załatwienia kwestii polskiej w razie wojny z Rosją, musiał być przynajmniej w ogólnych zarysach dość dawno opracowany i musiał leżeć gotowy w Berlinie już w roku 1907. Ma się rozumieć, były i inne plany, o których później będzie mowa. Ten był najdalej idący, najwięcej dawał Polakom, bo uznawał kawałek ziemi za Polskę.

Od roku 1907 rozwój wypadków w Europie poszedł z ogromną szybkością: aneksja Bośni i Hercegowiny, pierwsza wojna bałkańska, druga wojna bałkańska – wszystko to potwierdzało przewidywanie, że ostateczne starcie jest już bardzo bliskie. Od roku też 1907, jak to już wskazałem, objawia się po stronie naszych wrogów widoczny pośpiech w polityce polskiej, zmierzający do tego, żeby kwestia polska, gdy stanie się rzeczą na porządku dziennym, była już tylko kwestią niewielkiego obszaru, kwestią niecałego nawet Królestwa Kongresowego i co najwyżej zachodniej Galicji; ziemie zaboru pruskiego – to już niewątpliwe Niemcy; wszystko zaś, co leży na wschód od Rzeszowa, Lublina i Siedlec – to Ukraina lub Rosja, zależnie od tego, jak się złożą okoliczności.

W roku też 1907 ludzie widzący, co się dzieje i orientujący się choć cokolwiek w położeniu, musieli zrozumieć, że i my nie mamy ani chwili do stracenia. Jeżeli nie chcieliśmy, ażeby plany naszych wrogów się ziściły, żeby w chwili starcia między Rosją a Niemcami kwestia polska wypłynęła w sensie berlińskim, a nie w naszym, trzeba było działać, i działać szybko.

Garść ludzi, z którymi pracowałem od początku lub którzy pod naszym wpływem wyrosli i szeregi pracowników pomnożyli, którzy mieli ciągle przed oczami przyszłe państwo polskie i jego konkretny plan – była jedynym w Polsce środowiskiem, w którym bieg wypadków z punktu widzenia sprawy polskiej bacznie śledzono i w którym potrzebę szybkiego działania w owej chwili rozumiano.

Od roku 1907 zaczyna się głucha, ale z wielkim napięciem prowadzona walka między dwiema bardzo nierównymi siłami. Po jednej stronie polityka wielkiego

mocarstwa, ciężącego nad całą środkową i wschodnią Europą, polityka berlińska, wywierająca silny wpływ na losy sprawy polskiej nie tylko w Wiedniu, ale i w Petersburgu, mająca swych czynnych agentów w całym świecie, mająca ich i w samej Polsce. Po drugiej – organizująca się dopiero polityka polska, świadoma całkowicie swych celów i dróg tylko w nielicznych mózgach, popierana przez szersze koła raczej instynktownie, raczej tylko przez wiarę w ludzi, którzy wzięli sprawę polską w swe ręce, polityka rozporządzająca niesłychanie skromnymi środkami, napotykać we własnym kraju na ogromne przeszkody w nałogach z przeszłości porozbiorowej, w płytkości myśli, w fałszywych ambicjach, wreszcie w złej woli, świadomie służącej obcym celom.

Przebieg tej walki, dotychczas nieznaną i nierozumianą nawet dla ludzi, których Polska nie obchodzi, może być bardzo interesującym dramatem.

W roku 1907 grunt dla akcji politycznej, który znaleźliśmy w Dumie, spod nóg nam usunięto. Po ukazie czerwcowym należało oczekiwać, iż rząd będzie panem sytuacji w Izbie, że znaczna jej większość będzie za rządem, a przeciw Polakom, że wreszcie my sami, zredukowani do niewielkiej garstki posłów, nie będziemy zdolni odegrać poważniejszej roli.

Pomimo to poszedłem do trzeciej Dumy. Była to, po pierwsze, kwestia honoru: nie mogłem się cofać po wymierzonym w Polskę ciosie, będącym odpowiedzią na politykę, której byłem głównym przedstawicielem. Po drugie, stanowisko posła stolicy i prezesa Koła Polskiego dawało mi oficjalny tytuł do przemawiania i działania w imieniu Polski, co mi właśnie w owym momencie było bardzo potrzebne.

Trzeba było wszakże przenieść poza ściany Dumy środek ciężkości naszego działania wewnątrz, jeżeliśmy chcieli przygotować sprawę polską na chwilę wybuchu wojny między Niemcami a Rosją.

Myśmy też wojny chcieli i, w położeniu, w jakim znajdowała się Polska, nikt nam tego za złe brać nie ma prawa. Myśmy musieli pragnąć upadku potęgi niemieckiej, która nas przygniatała, która konsekwentnie szła do całkowitego zniszczenia naszego narodowego bytu, która w każdym swoim względem nas kroku, czy to wewnątrz państwa niemieckiego, czy poza jego granicami, rzucała nam swoje brutalne *ausrotten!*¹⁰

„Jesteśmy w walce nie tylko z naszymi Polakami, ale z całym narodem polskim” – mówił kanclerz Bülow w parlamencie. Jedyne na to uczciwą i logiczną odpowiedzią była walka całego narodu polskiego przeciw Niemcom i pragnienie ich upadku.

Chodziło wszakże o to, żeby Rosja nie tylko miała wojnę z Niemcami, ale żeby była zdolna ją prowadzić, żeby ta wojna zakończyła się klęską Niemiec.

¹⁰ *Ausrotten* (niem.) – wytępić, wyniszczyć. [red.]

Do tego nie wystarczała praca nad organizacją armii, którą zaczęto dobrze prowadzić – potrzebne było także przygotowanie polityczne Rosji, zniszczenie niemieckich wpływów wewnątrz państwa.

Nie było na pewno w dziejach państwa, które by się znajdowało w tak dziwnym, potwornym wprost położeniu jak Rosja. Jej polityka zewnętrzna była, bo musiała być, przeciwniemiecka, natomiast wewnątrz królowało germanofilstwo. Tylko w tak nieskoordynowanym rządzie jak rosyjski było możliwe podobne przeciwieństwo między ministrem spraw zagranicznych a resztą rządu. Ten stan rzeczy miał swoje głębokie korzenie w przeszłości i na nim zrobiły swoją karierę mocarstwową Prusy.

Już Fryderyk Wielki rozumiał, jak olbrzymie znaczenie dla Prus będzie miało związanie z nimi Rosji przez wspólne spożycie „eucharystycznego ciała Polski” – jak się cynicznie wyrażał. Już Fryderyk miał wrogię w stosunku do Rosji plany w zakresie kwestii wschodniej, będącej najżywotniejszym punktem jej polityki zewnętrznej. Bismarck tę podwójną politykę wykończył, ujął w doskonały system. Związał mocno Rosję z Prusami na gruncie kwestii polskiej, a jednocześnie pracował nad zniszczeniem jej pozycji mocarstwowej, dążył przede wszystkim do tego, żeby Niemcy zajęły jej miejsce na Bliskim Wschodzie. Skutkiem rozrostu wpływów niemieckich wewnątrz Rosji wytworzyło się takie położenie, że Rosja w polityce zagranicznej była stale bita przez Niemcy, a jednocześnie Durnowo nie bez słuszności pisał, że na wojnę z Niemcami nie może sobie ona pozwolić, bo ta wojna będzie jej zgubą. Jeżeli ten stan rzeczy miał trwać dalej, to Niemcom nic nie groziło; nawet w razie wybuchu wojny między dwoma państwami można było być pewnym, że zakończy się ona całkowitym już uzależnieniem Rosji od Niemiec, co oznaczałoby złożenie na długi czas kwestii polskiej do grobu i zlikwidowanie nas raz na zawsze jako wielkiego narodu.

Tak więc pierwszym zadaniem była walka z niemieckimi wpływami wewnątrz Rosji, prowadząca do ich zniszczenia. Było to zadanie przede wszystkim dla polityki polskiej.

Związek Rosji z Prusami powstał na gruncie rozbioru Polski. Gdy ten związek się rozluźnił pod wpływem antagonizmu w polityce zewnętrznej, gdy Rosja szła do zerwania z Prusami, Polacy przez powstanie roku 1863 umożliwili Bismarckowi zacieśnienie przyjaźni na nowo. Gdy przymierze francusko-rosyjskie dało Rosji pozycję międzynarodową od Niemiec niezależną, wojna japońska i kryzys wewnętrzny w Rosji tę pozycję osłabiły, uzależnienie Rosji od Niemiec znów się zwiększyło, a polscy rewolucjoniści znów do tego trochę pomogli.

Jeżeli więc Polacy tak dużą rolę odgrywali w uzależnieniu Rosji od Niemiec, to nie mniejszą mogła odegrać odpowiednia polityka polska w jej wyzwoleniu spod wpływów niemieckich. I gdy nasze zbawienie tego wyzwolenia najoczywiściej wymagało, rozum i sumienie nakazywały pójść po tej drodze i zdobyć się na największe wysiłki, żeby ten cel osiągnąć.

Tą drogą poszła nasza polityka, poszła szybko, bez ociągania się, bez wahań, bo jak powiedziałem, nie było ani chwili do stracenia.

Nie wystarczyło tu demaskowanie zależności rządu rosyjskiego od Niemiec, stawianie go w trudne położenia, w których by musiał albo do tej zależności się przyznać, albo stanowisko swe zmienić – trzeba było wpoić w Rosję świadomość, że w walce z Niemcami Polska będzie po jej stronie, nie tylko słowem, ale i czynem pokazać, że nie chcemy być narzędziem Niemiec przeciw niej i organizować opinię rosyjską przeciw polityce, która czyni Rosję narzędziem Niemiec do niszczenia Polski.

Bliska przyszłość ukazała, że wysiłki na tej drodze nie były bezowocne, że polityka polska miała tu bardzo dużo do zrobienia.

Równoległe z tym zadaniem i w ścisłym z nim związku stało przed nami drugie; z pośpiechem zdobywać dla sprawy polskiej miejsce na terenie międzynarodowym, przygotować postawienie, gdy przyjdzie na to chwila, kwestii polskiej w całej pełni, jednocześnie przeciwdziałać w miarę naszych sił i środków polityce niemieckiej, podcinać wpływy Niemiec w dostępnej dla nas sferze.

Oto dwa główne punkty, na których postanowiliśmy od roku 1907 ześrodkować swe wysiłki na zewnątrz.

Do tego przybywało wielkie zadanie wewnętrzne – wytężona praca nad polską opinią publiczną, żeby wpoić w nią rozumienie naszej polityki i przygotować odpowiednie zachowanie się narodu na czas wielkiego rozstrzygnięcia. Od powodzenia tej pracy zależało wszystko. Żadna najlepsza polityka nie osiągnie celu, jeżeli naród za nią nie stanie, jeżeli jej swą postawą nie poprze.

Niedawne widoki odnowienia kwestii polskiej przez rozwój stosunków wewnętrznych w państwie rosyjskim – w roku 1907 oddaliły się. Nie sytuacja wewnętrzna w Rosji, ale sytuacja międzynarodowa widoki teraz otwierała. Niedawne plany odegrania roli wewnątrz państwa rosyjskiego i przybliżenie tą drogą chwili rozwiązania kwestii polskiej trzeba było zarzucić; znalazła się droga szybciej prowadząca do celu, droga, na której w krótkim czasie moglibyśmy wszystko wygrać, gdybyśmy umieli podążyć za wypadkami i dorosnąć do położenia naszym rozumem politycznym i energią, i na której moglibyśmy wszystko przegrać, gdybyśmy zadań polityki polskiej nie zrozumieli lub gdyby nam zabrakło odwagi i energii do wykonania.

Niewielka grupka posłów polskich w trzeciej Dumie już liczbą swych głosów żadnej roli odegrać nie mogła. Miała ona swoje znaczenie, bo miała znaczenie Polska, którą reprezentowała. I postawa jej w naszej polityce nie miała odegrała rolę. Zgodnie z tą polityką postawa ta wyrażała się w popieraniu tego wszystkiego, co się przyczynia do wzmocnienia państwa, do podniesienia jego roli na zewnątrz, i w ostrej krytyce polityki polskiej rządu. Jednakże teren działania w Dumie już się znalazł w akcji naszej na drugim planie. Akcja ta zaczęła szukać innego terenu, na którym szybciej mogłaby się posuwać naprzód.

IV. AKCJA PRZECIWI NIEMCOM

Polityka niemiecka w Europie Środkowej i Wschodniej robiła szybkie postępy, głównie dzięki temu, że tu nie napotykała na żadne poważne przeszkody. Istotnie, była to akcja w kierunku najmniejszego oporu. Gdy działania Niemiec poza Europą bacznie śledzono, gdy ich poważniejsze posunięcia czy gdzieś w Wenezueli, czy w Maroku spotykały się z natychmiastową reakcją – tu pracowały one swobodnie, kładąc fundamenty pod wielką konstrukcję polityczną: *Mittleuropa* i Berlin-Bagdad. Nikt, poza kierownikami polityki niemieckiej, dobrze nie widział, co się tu święci i planów niemieckich nie rozumiał.

Nawet we Francji, dla której wzrost potęgi niemieckiej był największym niebezpieczeństwem i w której młodsze pokolenie pisarzy politycznych i publicystów zabrało się od początku stulecia do studiów nad ekspansją niemiecką w środkowej i wschodniej Europie – nie obejmowano całości celów tej polityki i nie wszystkie drogi, którymi szła, widziano.

Przyczyna tego była bardzo prosta. Nikt nie rozumiał kwestii polskiej i nikt nie zdawał sobie sprawy z roli, jaką odgrywa ona w polityce niemieckiej.

Z trzech członków przeciwniemieckiego porozumienia, Anglia nigdy szczególnie nie interesowała się Europą Środkową i wszystkie części świata lepiej tam znano niż środek Europy. Przez półtora stulecia – od połowy XVIII do końca XIX w. – Anglia interesami swymi czuła się związana z Prusami, popierała je i ich oczami uczyła się patrzeć na kwestię polską. Nie było to dobre przygotowanie do orientowania się w nowym położeniu, w którym potęga niemiecka, gospodarcza i polityczna, stała się dla niej groźna i w którym trzeba było patrzeć na politykę berlińską z odwrotnego punktu widzenia. Polityka w kwestii polskiej była ostatnim z działań polityki niemieckiej, do których poznania i zrozumienia myśl angielska była przygotowana.

Jednym ze skutków powstania 1863 roku, które było strasznym ciosem wymierzonym pośrednio we Francję – co prawda, całkiem nieświadomie z naszej strony i nie bez udziału mętnej polityki Napoleona III – było to, że Francja przestała się całkiem sprawą polską interesować. Nie zachęcał jej do tego i alians z Rosją. Dopiero od otwarcia Dumy rosyjskiej zaczęto się we Francji na nowo przyglądać Polsce, czyniono to wszakże bardzo ostrożnie, licząc się z podejrzliwością Rosji względem wszelkiego interesowania się Polską. Śmiało poruszano i nawet wcale poważnie studiowano walkę polsko-niemiecką w zaborze pruskim. Całości kwestii polskiej nie rozumiano i nie widziano, jak wielką rolę odgrywa ona w polityce niemieckiej.

Rosja, zahipnotyzowana niebezpieczeństwem polskim, widziała kwestię polską tylko z jednej strony, ze swego frontu, traktowała ją z zaślepieniem, niepozwalającym innych, ważniejszych jej stron dojrzeć. W tym zaślepieniu utrzymywali ją Niemcy, a nie potrzebowali wiele się wysilać, bo za nich robotę robiła łakoma sfora „patriotycznych” działaczy rosyjskich, którym się ich patriotyzm sownie w rublach opłacał.

Najgorsza, że tej polityki niemieckiej i roli w niej kwestii polskiej nie rozumieli sami Polacy.

Ogół polski – nie tylko w zaborze rosyjskim, gdzie przez długi okres polityka, w najskromniejszym nawet zakresie, była zakazana, ale nawet w dwóch pozostałych dzielnicach – był w rozwoju pojęć politycznych bardzo zacofany. W zaborze pruskim i austriackim nauczył się on jako tako rozumieć swoje sprawy dzielnicowe, ale sprawy ojczyzny jako całości nie obejmował, w zaborze zaś rosyjskim nawet o sprawach miejscowych realnie myśleć nie umiał. Interesowano się polityką międzynarodową, szukano nawet po omacku związku między nią a położeniem Polski, ale prasa, która dziś wszędzie służy za przewodnika myśli politycznej ogółu, tu swego zadania spełnić nie była zdolna. Publicyści piszący przeglądy polityki zagranicznej w naszych dziennikach czerpali swą wiedzę i swe natchnienia z pism zagranicznych najwcześniej do Polski dochodzących, z „Berliner Tageblatt”, ze „Schlesische Zeitung” i z „Neue Freie Presse”. Z tych źródeł niewiele mogli się dowiedzieć o znaczeniu kwestii polskiej i w szczególności o roli jej w polityce Niemiec, myśleli zaś nie dość samodzielnie, żeby z dostarczanego przez nie materiału umiejętnie korzystać.

Dla ludzi, którzy stali u steru spraw krajowych w każdym zaborze, widnokrąg polityczny zamykał się przeważnie w Wiedniu, Berlinie lub Petersburgu. Ci zaś, poza naszym obozem, którzy poza ten widnokrąg wybiegali, którzy mówili i pisali o Polsce, o idei polskiej, o celach i aspiracjach narodu, nie umieli przedmiotu brać konkretnie, realnie, traktowali go czysto po literacku, papierowo.

Nie rozumiano u nas i sprawy zależności Rosji od Niemiec. O wpływach niemieckich w Rosji wiele mówiono, zwłaszcza wśród ludzi, którzy z Rosją bliższą mieli styczność, przedmiot ten był ciągle na końcu języka, ale przypisywano te wpływy prawie wyłącznie wielkiej liczbie Niemców w Rosji i stanowiskom przez nich zajmowanym. Nie umiano ocenić czynników szerszej natury politycznej, które dawały Berlinowi wielkie atuty w stosunku do Petersburga.

Również nie zdawano sobie sprawy ze stopnia ujarzmienia Austro-Węgier przez Berlin, nie rozumiano, że od czasu dymisji Gołuchowskiego¹¹ polityka zewnętrzna Austrii zatraciła już resztę swej samodzielności. Ciekawa rzecz, że najmniej wiedzieli o tym politycy polscy w Austrii. Dowiadawali się stopniowo dopiero podczas wielkiej wojny, a jak długo trwali w złudzeniach co do niezawisłości polityki austriackiej, wnosić można z tego, jak mocno się obrazili na Czernina po pokoju brzeskim.

Można powiedzieć, że wielka akcja polityczna Niemiec w środkowej i wschodniej Europie, przygotowująca między innymi wielki grób dla Polski, szła naprzód w niesłychanie przyjaznych dla siebie warunkach, bo ani państwa trójporozumienia, ani nawet sami Polacy nie zdawali sobie sprawy z jej rozmiarów i z jej doniosłości.

¹¹ Ministra spraw zagranicznych Monarchii Austro-Węgierskiej.

Naszym obowiązkiem było rozmiary tej akcji odsłonić, doniosłość jej uwydatnić nie tylko ogółowi polskiemu, ale także, i to przede wszystkim, opinii publicznej państw najbardziej zainteresowanych w powstrzymaniu rozwoju potęgi niemieckiej.

Aczkolwiek w swej skromnej roli politycznej nie miałem dostępu do tajemnic dyplomacji europejskiej, dotykałem się osobiście tylko spraw polskich, i to przecież nie wszystkich bezpośrednio, aczkolwiek wiedza moja nie sięgała przeważnie poza to, co było dostępne dla przeciętnego czytelnika książek i dzienników, i przedstawiała wielkie luki, które musiałem zapełniać dedukcjami z ułamkowych faktów, postanowiłem wziąć na siebie spełnienie tego obowiązku.

W roku 1907 zabrałem się do napisania książki, przeznaczonej przede wszystkim dla czytelnika rosyjskiego i francuskiego, książki, która miała spełnić następujące zadania:

przedstawić plany polityki berlińskiej i rozrost wpływów niemieckich w Europie Środkowej i Wschodniej i wykazać ich znaczenie dla rozwoju potęgi Niemiec;

dać obraz współczesnego stanu kwestii polskiej, uwydatnić jej znaczenie dla Niemiec i jej rolę w polityce berlińskiej;

odsłonić ujarznienie Austro-Węgier przez Niemcy i uzależnienie Rosji od nich, w szczególności uwydatnić siłę wpływów niemieckich w Petersburgu; wreszcie

wykazać, że cała polityka Rosji względem Polski jest robotą dla Niemiec, umożliwiającą powodzenie ich wielkich planów.

Tą drogą zamierzałem:

zainteresować państwa zachodnie kwestią polską, pokazać im w nowo wytworzonym położeniu międzynarodowym Polskę jako czynnik polityki europejskiej, którego lekceważenie jest bardzo niebezpieczne; obudzić ich czujność względem polityki niemieckiej na naszym i sąsiadującym z nami terenie, oraz wywołać ich przyjazne oddziaływanie na Rosję w sprawie polskiej;

uświadomić opinii rosyjskiej grozę położenia Rosji i niebezpieczeństwo polityki rządu, który – zwłaszcza w sprawie polskiej – pracuje dla Niemiec i zbliża całkowity upadek mocarstwowego stanowiska Rosji; tą drogą przyczynić się do zorganizowania w Rosji silnego obozu opinii, możliwie przyjaznego dla Polski, a wypowiadającego walkę wpływom niemieckim;

wzmocnić przeciwniemiecki kierunek rosyjskiej polityki zewnętrznej przez obudzenie pewności, że w walce przeciw Niemcom Rosja będzie miała Polskę po swej stronie; wreszcie

uświadomić opinię polską co do położenia naszej sprawy we współczesnym układzie stosunków międzynarodowych, co do roli Niemiec w kwestii polskiej i co do zadań naszej polityki.

Ma się rozumieć, zdawałem sobie sprawę z tego, że jedna książka nie wywoła nagłego przewrotu w pojęciach i głębokich zmian w polityce. Uważałem ją wszakże za

konieczny początek akcji politycznej, którą należało rozwinąć na wszystkich dostępnych dla nas polach.

Książka *Niemcy, Rosja i kwestia polska* to zadanie spełniła w większej nawet, niż się spodziewałem, mierze. Zwłaszcza w Rosji i we Francji zainteresowała ona szerokie koła polityczne sprawą polską, zjawiającą się w nowej fazie, i zwróciła uwagę na te strony polityki niemieckiej, o których uwydatnienie nam chodziło¹².

Książka moja milczała o wielkim celu polityki polskiej: nie było w niej deklaracji o naszym dążeniu do odbudowania państwa.

Ma się rozumieć, przeciwnicy polityczni w kraju na tej zasadzie oskarżyli mnie i cały obóz polityczny o to, żeśmy się wyrzekli niepodległości.

Tymczasem każdy, kto przeczytał inteligentnie i uczciwie książkę, w której kwestia polska jest przedstawiona jako jedna, integralna całość we wszystkich trzech zaborach, musiał widzieć, że jedynym sposobem celowego i trwałego rozwiązania kwestii, jaki z jej przedstawienia wynikał, było zjednoczenie ziem polskich i odbudowanie państwa. Były w niej wszystkie przesłanki do niepodległości, tylko nie wypowiedziano wniosku.

Dlaczego?...

Dla bardzo prostej przyczyny. W czasie, kiedy pisałem tę książkę, byłem w wieku dojrzałym, kiedy w polityce robi się to, co prowadzi do celu, a unika się tego, co od celu oddala.

Tradycja naszych powstań i polityki powstańczej nie sprzyjała dojrzewaniu politycznemu ludzi i ci, co na tej tradycji kształcili swe pojęcia, nie mogli rozumieć polityki jako czynności celowej, czynności, która sobie stawia jasny, konkretny cel i wybiera do niego odpowiednie drogi. W ich pojęciach polityka polska polegała na uroczystym deklarowaniu tego, czego się chce, i na protestowaniu czynnym lub słownym przeciw temu, czego się nie chce. Wszystko, co w zakresie sprawy polskiej wyrastało ponad ten prymitywny poziom pojęć, było dla ich umysłów niedościgłe; nie dlatego, żeby byli w ogóle dziećmi, bo umieli nieraz zupełnie celowo postępować w innych sprawach, tylko dlatego, że sprawy polskiej, sprawy niepodległości nie pojmowali realnie, konkretnie – była to w ich umysłach sprawa oderwana od życia, do której się logika czynu nie stosuje.

Chwila, w której się moja książka ukazała, nie była chwilą realizacji i nie wymagała wyraźnego określenia naszych celów i żądań. Byliśmy w okresie przygotowania, kiedy potrzebne było oddziaływanie na sytuację w sposób dla nas korzystny, umożliwiający nam, gdy na to czas przyjdzie, postawienie programu i urzeczywistnienie celu naszych żądań.

¹² Ukazała się ona we Lwowie w roku 1908. Prawie jednocześnie wyszedł w Petersburgu jej przekład rosyjski pt. *Giermanija, Rossija i polskij wopros*. W następnym roku wyszedł uzupełniony przekład francuski pt. *La Question polonaise* (Paris, Armand Colin), z przedmową Anatola Leroy Beaulieu. Oprócz tego wydano w Helsingfors przekład fiński.

Dziesięć byłąby polityka, która, uważając za konieczne dla sprawy polskiej podcięcie niemieckich wpływów w Rosji, zaczęłaby od wywieszenia programu niepodległości, od dania broni w ręce Niemcom, którzy swój wpływ w Rosji opierali zawsze na straszaniu jej niebezpieczeństwem polskim. I trzeba było nie mieć najmniejszego pojęcia o współczesnym sposobie myślenia politycznego na Zachodzie, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, iż wystąpienie w owej chwili z programem odbudowania państwa polskiego byłoby przyjęte jako fantazja nie licząca się wcale z rzeczywistością, a oprócz tego jako dążenie do popsucia stosunków państw zachodnich z Rosją, i zniechęciłoby tylko do jakiegokolwiek zainteresowania się na nowo kwestią polską. Do takiego nonsensu ani ja, ani towarzysze moi w pracy politycznej nie byłibyśmy zdolni. I dlatego właśnie zdołaliśmy zorganizować, w zakresie naszych sił i środków, politykę polską, po długim okresie, w którym Polska polityki istotnej, zasługującej na to miano nie miała.

Muszę to stwierdzić, że w kraju, w stosunkowo szerokich kołach społeczeństwa, zaczęto nas i naszą politykę rozumieć, że zarówno w naszym obozie, jak poza nim szybko rosła liczba ludzi widzących dobrze, dokąd idziemy, i dzielących nasze stanowisko w wyborze dróg działania. Było już widoczne, że gdy przyjdzie chwila rozstrzygająca, nie znajdziemy się w położeniu nierozumianej przez ogół garstki ludzi, ale że będziemy mieli za sobą większość narodu.

I moją książkę na ogół w Polsce zrozumiano nie tylko w tym, co powiedziałem, ale i w tym, czego nie dopowiedziałem. Nie przeszkodziło to, że wywołała ona, jak to zaznaczyłem, liczne napaści, ba, nawet szyderstwa¹³.

Książka jako czyn polityczny nie wystarczała i pisząc ją, szukałem jednocześnie terenu, na którym moglibyśmy rozwinąć akcję paraliżującą politykę Niemiec, dającą Polsce rolę czynnika polityki europejskiej, a jednocześnie utrudniającą rządowi rosyjskiemu jego przeciwpolską politykę i pomagającą do wytworzenia w Rosji obozu, który by się z nami przeciw Niemcom i przeciw polityce rządu sprzymierzył.

Nietrudno było spostrzec, że najpodatniejszym i najdostępniejszym dla nas terenem do takiej akcji jest świat słowiański Austro-Węgier i Bałkanów, tej właśnie części Europy, w której Niemcy najenergiczniej pracowały, największe robiły postępy i najmniej ze strony mocarstw trójporozumienia spotykały przeszkód.

Panslawizm, tak energicznie swego czasu propagowany przez Rosję, należał już właściwie do przeszłości. Zadała mu cios ewolucja narodowa ludów słowiańskich. Rosnące szybko poczucie samoistności narodowej tych ludów sprowadziło do absurdu idee „złania strumieni słowiańskich w morzu rosyjskim”. Solidarność słowiańska mogła

¹³ W warszawskim „Słowie”, organie Stronnictwa Polityki Realnej, wybitny publicysta tego obozu Ludwik Straszewicz, analizując moją książkę, porównał mnie z Rzekim, starym subiektem z *Lalki* Bolesława Prusa – takim majaczeniem wydało mu się traktowanie sprawy polskiej na tle sytuacji międzynarodowej. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że i w tym obozie nie wszyscy myśleli tak jak Straszewicz.

się już oprzeć tylko na uznaniu samoistności każdego z narodów słowiańskich, na jej poszanowaniu przez innych Słowian i na współdziałaniu tych narodów zarówno w ich rozwoju cywilizacyjnym, jak i w obronie przeciw wspólnym wrogom. Zrozumienie tego sprawiło, że słowianofilstwo w samej Rosji szybko zanikało, że Rosja dla Słowian znacznie ochłodziła i przestała podsycać propagandę słowianofilską.

Jednakże wobec szybkich postępów ekspansji niemieckiej w kierunku Bliskiego Wschodu, poprzez Austro-Węgry i Bałkany, postępów zagrażających silnie mocarstwowemu stanowisku państwa carów, zdawano sobie sprawę w Rosji ze znaczenia dla niej narodów słowiańskich i ich zachowania się politycznego. Polityka zagraniczna Rosji tych narodów nie lekceważyła, starała się mieć w nich sojuszników i nawet, jak w Serbii, robiła to z dużym powodzeniem.

Ten, kto zdawał sobie sprawę z tych zmian w świecie słowiańskim – a to przecież nie było tak trudne – musiał zrozumieć, że wytworzyły one sytuację dla nas korzystną. Dawny panslawizm, który patrzył na Słowian jako na potencjalnych Rosjan, mógł ogłaszać nas za zdrajców Słowiańszczyzny, bo jako naród z bogatą przeszłością dziejową, z opartą na niej wybitną indywidualnością narodową i odrębnym a bogatym życiem duchowym, związany przez swą religię i cywilizację ze światem łacińskim, a nie bizantyńskim – najmniej ze wszystkich Słowian mieliśmy kwalifikacji do tego, żeby się stać Rosjanami. Wszelkie też wysiłki zwrócone ku zrobieniu z nas Rosjan były beznadziejne. W nowym położeniu, kiedy rozwój narodowy Słowian zachodnich i południowych zrobił ogromne postępy, kiedy Czesi, Serbowie, Bułgarzy poczuli się odrębnymi, samoistnymi narodami i ta samoistność stała się im drogą, kiedy solidarność słowiańska mogła się tylko na uznaniu tej samoistności każdego z narodów oprzeć – zarzut zdrady sprawy słowiańskiej można było zwrócić tylko do Rosji, która wspólnie z Niemcami pracowała nad zniszczeniem bytu wielkiego narodu słowiańskiego, Polski.

Podniesienie więc na nowo idei słowiańskiej, niedogodne dla Rosji z jej przeciwpolską polityką, dla Polski przedstawiało ogromne korzyści. O ile by się dało postawić sprawę szczerze, uczciwie w świadomości ludów słowiańskich, a to przy należytej pracy z naszej strony było możliwe, przed Rosją stawała alternatywa: albo zerwać współpracę z Niemcami przeciwko Polsce, zmienić swą politykę polską, albo wyrzec się poważniejszego wpływu na Słowian zachodnich i południowych.

Już w roku 1907 zdecydowałem się zużytkować teren słowiański do akcji przeciw Niemcom. Pozostawała tylko kwestia sposobu wykonania.

Podniesienie sprawy solidarności słowiańskiej i rozwinięcie na tym tle poważnej akcji nie mogło być zrobione z inicjatywy polskiej. Stojąc od dawna poza nawiasem ruchu słowiańskiego ze względu na kierunek, jaki mu nadał wpływ rosyjski, nie byliśmy dostatecznie zbliżeni ze światem słowiańskim i nie mieliśmy odpowiednich stosunków w tym świecie. Z drugiej strony, ruch słowiański odradzający się z inicjatywy polskiej powitany byłby w całej Rosji z nieufnością, która by rozwój jego sparaliżowała. A więc inicjatywa tedy musiała wyjść z innej strony.

Ze wszystkich narodów Czesi byli zawsze najgorliwszymi propagatorami idei słowiańskiej i mieli najmocniejsze stanowisko w świecie słowiańskim. Na czele polityki czeskiej stał Kramarz, przekonany słowianofil, człowiek odznaczający się wielkim talentem i energią. Wysoko nosząc sztandar czeskiej niezawisłości narodowej, co go oddalało od dawnego panslawizmu, był on jednocześnie wielkim przyjacielem Rosji i przyjaźń swą dla niej głośno manifestował. Ciesząc się wielką powagą zarówno w Rosji, jak i w krajach słowiańskich Austro-Węgier i Bałkanów, był on niejako przeznaczony na inicjatora nowego ruchu. Od niego też postanowiłem zacząć.

Uprosiłem jednego z ludzi stojących poza naszym obozem, ażeby pojechał do Kramarza i zapewnił go, iż gdyby chciał dać inicjatywę do zbliżenia się i porozumienia narodów słowiańskich w celu współdziałania w pracy cywilizacyjnej i gospodarczej i wspólnej obrony przeciw postępom wpływów niemieckich – my weźmiemy żywy udział w tej akcji. Zrobiłem to, naturalnie, po uprzednim zawiadomieniu kierowników Koła Polskiego w Wiedniu, uważając, że byłoby nielojalnością z naszej strony, gdybyśmy bez ich wiedzy rozpoczynali akcję mogącą się silnie odbić na stosunkach wewnętrznych państwa austriackiego. I tu muszę stwierdzić, że jakkolwiek politycy nasi w Austrii nie przyjęli naszych planów ze szczególnym entuzjazmem, jakkolwiek widzieli, że nasza akcja może im nawet w pewnej mierze być niedogodna, ze względu zwłaszcza na ich stosunek do Czechów, to jednak nie uważali za możliwe naszym próbom się sprzeciwić z racji znaczenia, jakie mogą one mieć dla naszej polityki w zaborze rosyjskim. Dodam, że z rozmów, jakie miałem wówczas nawet z konserwatywnymi przedstawicielami Galicji wyniosłem wrażenie, że zaufanie ich do państwa austriackiego jest słabe, że nie budują oni przyszłości naszego narodu na trwałym związku z polityką tego państwa. Dlatego też i później, po wybuchu wielkiej wojny, wiedziałem dobrze, iż to, co wystąpiło w Krakowie pod zuchwałą nazwą Naczelnego (!) Komitetu Narodowego, reprezentowało słabą mniejszość nie tylko Polski wziętej jako całość, ale nawet naszej dzielnicy austriackiej.

Kramarz bez wahania zdecydował się dać inicjatywę i stanąć na czele akcji. I to był początek neoslawizmu.

Polityk czeski przybył w maju 1908 roku do Petersburga na przedwstępną konferencję, na której od razu odgradził się od dawnego panslawizmu. Nie przychodzimy tu – zwrócił się do Rosjan – jako ubodzy krewni z prośbą o pomoc, bo w dzisiejszych warunkach my zapewne możemy dać wam więcej niż wy nam; chcemy iść z wami jako równi z równymi i wspólnie pracować dla dobra wszystkich narodów słowiańskich. Od razu też na tej konferencji wysunęła się na czoło kwestia polsko-rosyjska: stwierdzono, że polityka rosyjska względem Polski jest największym niebezpieczeństwem dla przyszłości Słowiańszczyzny.

Postanowiono zwołać do Pragi na lipiec 1908 roku przygotowawczy zjazd słowiański.

Określenie charakteru nowej akcji słowiańskiej, dane na konferencji w Petersburgu, zdecydowało od razu o udziale w niej Rosjan.

Resztki słowianofilów dawnego typu, które się zjawiały na przyjęcie Kramarza, usunęły się. Szczerze i uczciwie przystąpili do współpracy ludzie umiarkowanie liberalni, a zarazem gorący patrioci rosyjscy, jak Mikołaj Lwów, Makłakow, prezes Dumy Chomiakow i inni. Wszystko, co było związane bliżej z Niemcami lub Żydami, zostało na boku. Było do przewidzenia, że rząd zaskoczony tą akcją, bardzo dla niego niedogodną, nie pozostanie względem niej bierny. Nie mógł on przeciw niej otwarcie wystąpić, bo to by zdyskredytowało Rosję w świecie słowiańskim. Musiał więc szukać możliwie zręcznego sposobu paraliżowania jej, bez ujawniania swej nieżyczliwości. Tego zadania podjęli się ludzie z obozu najbardziej zbliżonego do Stołypina, z obozu nacjonalistów, a przede wszystkim głośny ze swych wystąpień w Dumie Włodzimierz hr. Bobrinski.

Przyłączenie się jego i jego towarzyszy do akcji było dla niej wielkim niebezpieczeństwem, które my, Polacy, widzieliśmy od początku, ale któremu nie mogliśmy zapobiec. Inni uczestnicy akcji widzieli w tym ogromną zdobycz i wierzyli, że Bobrinski i jemu podobni ulegną wpływowi nowego kierunku i zasymilują się. Nie wierzyli, że Bobrinski rozbija całą pracę.

Dla społeczeństwa polskiego, któremu Bobrinski ze swej fizjonomii politycznej był dobrze znany, udział jego był odstrasżający,

Niemniej przeto w szerokich kołach u nas dobrze już rozumiano nasze cele i naszą politykę; jakkolwiek terenu dla neoslawizmu nie mieliśmy czasu należycie w kraju przygotować, poczynania nasze w tym kierunku przyjęte zostały z zaufaniem i spotkały się z poważnym poparciem ze strony ogółu. Ja osobiście miałem pozycję w kraju mocną; świeżo jeszcze wzmocniłem ją paru przemówieniami w Dumie, w których poddałem ostrej krytyce rządu rosyjskie w Polsce.

Zjazd w Pradze odbył się przy udziale delegacji polskiej ze wszystkich trzech zaborów, a atmosfera panująca na nim zapowiadała pomyślną dla całej akcji przyszłość. Nastąpiło też poważne zbliżenie polsko-czeskie, które się wyraziło następnie w wielkich zbiorowych wizytach – czeskiej w Warszawie i polskiej w Pradze.

Od zjazdu praskiego Bobrinski zaczął wykonywać swój, czy też poddany mu, plan, najskuteczniejszy, o ile chodziło o rozbicie neoslawizmu od wewnątrz. Uderzył on w punkt, na którym panowała najgłębsza różnica pojęć pomiędzy nami a mniejszymi narodami słowiańskimi i na którym najłatwiej było wywołać nieporozumienia.

Myśmy nigdy nie utonęli w morzu obcej cywilizacji – niemieckiej, węgierskiej czy tureckiej, jak to było z naszymi współbraćmi słowiańskimi na zachodzie i na południu – ale przeciwnie, szerzyliśmy swoją na przyległych do Polski ziemiach. Stąd naturalną całąkier rzeczą była głęboka różnica między nami a nimi w pojęciu tego, co się nazywa obszarem narodowym.

Wyzwalając się spod wpływów obcych, budowali oni swój byt narodowy na nowo na podstawie wyłącznie językowej, na obszarze, na którym język macierzysty się zachował. Stąd obszar narodowy w ich pojęciu utożsamiał się z obszarem etnograficznym, językowym.

My zaś mieliśmy pojęcie obszaru narodowego, właściwe wszystkim większym narodom, których samoistny byt cywilizacyjny nigdy nie został przerwany, których cywilizacja nigdy nie ustąpiła miejsca innej. W tym pojęciu obszar narodowy nie kończy się na granicach obszaru etnograficznego, ale tam, gdzie kończy się panowanie, przewaga cywilizacji narodowej. Zrozumienie naszego stanowiska było dla innych Słowian bardzo trudne, zwłaszcza gdy chodziło o naród nieposiadający swego państwa, niebędący potężnym mocarstwem.

Tę właśnie różnicę pojęć usiłował wyzyskać Bobrinski i – manifestując głośno swe uczucia słowiańskie, a nawet swą miłość dla Polski – zrobił sobie specjalność z przeprowadzenia granicy między Polską a Rosją w ten sposób, że Rosja rozciągała się na zachód wszędzie, dokądkolwiek sięgała mowa ruska, równoznaczna w jego pojęciu z rosyjską. Wiedział że na tej drodze dojdzie na pewno do konfliktu z Polakami, przy czym miał duże widoki, że większość Słowian stanie po jego stronie.

My ten spór staraliśmy się jak najbardziej oddalać, a natomiast przypieraliśmy nacjonalistów rosyjskich do muru w sprawie ich stosunku do rdzennej Polski. Wiedzieliśmy, że nie zdobędą się oni na wyraźne wystąpienie przeciw polityce rządu, chcieliśmy tym sposobem zdemaskować ich nieszczerłość i zdyskwalifikować ich jako polityków słowiańskich.

Na naradach polsko-rosyjskich w Petersburgu, będących następstwem zjazdu praskiego, nie doszliśmy do określonego wyniku, w znacznej mierze skutkiem niezdecydowanego stanowiska przewodniczącego na nich Kramarza. W następstwie wszakże Bobrinski nie znalazł dla siebie innego wyjścia, jak oświadczyć w memoriale, złożonym przezeń przedstawicielowi jednego z krajów słowiańskich, który próbował pośredniczyć między Polakami a Rosjanami, że Rosja nie może pozwolić na swobodny rozwój cywilizacji polskiej w rdzennej Polsce, dopóki ta cywilizacja nie przestanie panować na ziemiach ruskich, które dawniej do Polski należały.

W tych warunkach niemożliwość współdziałania naszego z nacjonalistami rosyjskimi okazała się dla wszystkich innych Słowian widoczna i nowa akcja słowiańska – po drugim zjeździe, w Sofii, który się odbył już bez urzędowego udziału Polaków – ucihła.

Niemniej ruch neoslawistyczny, pomimo krótkiego trwania, miał duże znaczenie. Poruszył on umysły w krajach słowiańskich, wzmocnił czujność na niebezpieczeństwo niemieckie, zmusił państwa zachodnie do zwrócenia baczniejszej uwagi na robotę Niemców w Europie Środkowej i na znaczenie bariery, jaką na drodze ekspansji niemieckiej stawiają narody słowiańskie, zaczynając od Polaków, a kończąc na Serbii. Wreszcie, co najważniejsze, dał początek organizacji nowego obozu przeciwniemieckiego w Rosji, obozu całkowicie zdającego sobie sprawę z zależności Rosji od Niemiec i stawiającego sobie za zadanie z tej zależności się wyzwolić.

Niewątpliwie też odegrał on niemałą rolę w przygotowaniu związku narodów bałkańskich, który przeprowadził wojnę z Turcją i gruntownie zmienił kartę polityczną Półwyspu Bałkańskiego.

Przez ogłoszenie książki *Niemcy, Rosja i kwestia polska* oraz przez akcję na terenie słowiańskim wykroczyliśmy poza ramy polityki miejscowej, dzielnicowej, wystąpiliśmy jako jeden, niepodzielny naród z jedną, obejmującą całość Polski polityką i jako tacy stanęliśmy niedwuznacznie w obozie przeciwniemieckim. Pomimo skromnego zakresu tej akcji – bo na szerszy środek nasze nam nie pozwalały – był to krok wielkiej doniosłości. Gdy w sześć lat potem przyszła dla Polski chwila rozstrzygająca, gdy wybuchła wielka wojna, posiadaliśmy już w polityce europejskiej pozycję przygotowaną, nie mieliśmy już potrzeby legitymować się, wyjaśniać naszych motywów i dowodzić szczerości naszego stosunku do stron walczących. Od pierwszej chwili w obozie państw sprzymierzonych uznano nas za swoich, okazano nam zaufanie, co nam dało względną swobodę działania. Gdyby nie to stanowisko nasze, proklamowane głośno już w roku 1908, nie wiem, czyby nam się udało zdobyć tę pozycję wobec takich faktów, jak legiony Piłsudskiego, jak hałaśliwe manifestacje Naczelnego Komitetu Narodowego, jak wreszcie późniejsze działania tzw. aktywistów – tym bardziej że i na terenie państw sprzymierzonych przez cały ciąg wojny nie ustawały intrygi dążące do podkopania naszego stanowiska, do zniszczenia tego zaufania, z któregośmy korzystali. Dziś jeszcze zdarza się słyszeć głosy, z przekonania nawet płynące: tak, oni coś tam zrobili dla Polski na konferencji pokojowej, ale mają w przeszłości takie grzechy, jak np. neoslawizm...

To mi przypomina jednego z Polaków, który mówił do Francuza: „My mamy głęboką wdzięczność dla Francji za to, co zrobiła dla nas podczas wojny i konferencji pokojowej, bardzo ją kochamy i zapominamy jej to, że zawarła przedtem alians z Rosją”... Jak gdyby Francja bez aliansu z Rosją mogła dojść do wielkiej wojny, zwyciężyć i wespół z sojusznikami dyktować pokój wersalski, który ustanowił państwo polskie.

Są ludzie, którzy w polityce uznają tylko żniwo – nawożenie, orka i siew są niepotrzebne. Są tacy, którzy podczas pierwszych robót w polu już pytają o plon, a gdy nie widzą, zniechęcają się i odchodzą...

Polska bez żadnej wątpliwości ma o wiele więcej takich ludzi niż inne kraje. Wynika to niezawodnie stąd, że przez długi czas żyliśmy bez polityki we właściwym tego słowa znaczeniu. To, co się nazywało polityką, to nie były ruchy celowe, tylko odruchy.

Ta właśnie psychologia polityczna narodu wytwarzała dla nas największe trudności w naszej pracy. Mieliśmy zaufanie ogromnej większości kraju, wierzono w uczciwość naszych poczynań, nawet w nasz rozum polityczny, ale gdy ta praca żadnych natychmiastowych korzyści nie dawała, gdy przeciwnie, spadały na kraj na razie tylko polityczne klęski, najszczerzy zwolennicy, jeżeli nie obojętnieli całkiem, to zachowywali jedynie platoniczne sympatie, pozostawiając nielicznej garści ludzi naprawdę czynnych walkę z piętrzącymi się coraz bardziej przeciwnościami. A iluż było w tym okresie, po roku 1907, ludzi „rozsądnych”, którzy mówili, że wobec tak trudnego dla nas położenia, takiej bezowocności naszych wysiłków politycznych, lepiej na dłuższy czas działalność

polityczną całkiem zawiesić, a oddać się wyłącznie pracy gospodarczej i kulturalnej! W ich oczach polityka w owym okresie była maniactwem, niepotrzebnym marnowaniem sił. I to wtedy właśnie, kiedy widzieliśmy, że położenie międzynarodowe zmienia się z zawrotną szybkością, że chwila wielkich rozstrzygnięć jest bliska i kiedy ogarniała nas rozpacz, że tak mało zdołaliśmy Polskę do niej przygotować.

Od czasu, kiedy rozpoczęliśmy tę naszą akcję przeciw Niemcom, skromną, jak powiedziałem, ale po raz pierwszy wykraczającą poza bezpośrednią obronę zagrożonej polskości pod panowaniem pruskim; akcję w pewnej mierze zaczepną, bo dążącą do podcięcia wpływów niemieckich w Rosji oraz w środkowej i południowo-wschodniej Europie – zaczął się dla nas okres najtrudniejszy.

We wszystkich trzech państwach rozbiornych polityka rządów, dążąca, jak już powiedziałem, do okrojenia w skróconym tempie naszego obszaru narodowego, zaostrzała się coraz widoczniej, wyrażała się w aktach coraz bardziej prowokujących. Stanowisko przedstawicielstw polskich w Berlinie, Petersburgu i nawet Wiedniu stawało się coraz słabsze, rządy coraz wyraźniej je lekcewały; prawodawstwo przeciwpolskie w Prusach nabrało już charakteru aktów szału tępielińskiego; rząd rosyjski przystąpił już do przeprowadzenia swego projektu chełmskiego, jednocześnie zaś skupił ostatnią w Polsce kolej prywatną i wyrugował ze służby mnóstwo Polaków. Ba, nawet zaczął kupować w Królestwie własność ziemską, jak gdyby na kolonizację, a w Krajach Zabrzanych przy wprowadzeniu samorządu ziemskiego stworzył kurię narodową polską w celu usunięcia Polaków od wpływu, w Austrii nie kończyło się na protegowaniu ukraïnizmu z Wiednia. Z jednej strony grasował we Lwowie konsul niemiecki, prowadzący intrygi z Rusinami, z drugiej zaś nawiedzał Galicję Wschodnią hr. Bobrinski, który, występując w roli naszego przyjaciela i sojusznika słowiańskiego, przygotowywał oderwanie kraju i przyłączenie go do Rosji.

Tak się przedstawiało położenie Polski we wszystkich trzech zaborach, a jak przeciwnicy mówili, takie były owoce polityki Dmowskiego.

Jeżeli ten okres przetrwaliśmy i nie byliśmy zmuszeni do zlikwidowania naszej polityki, to tylko dlatego, żeśmy jasno widzieli cel, do któregośmy szli, i wierzyli, że dojdziemy; dlatego również, że społeczeństwo polskie ma zdrowe instynkty i – wbrew temu, co się o nim mówi – nie jest tak zmienne w swym stosunku do kierowników politycznych. Prawda, bardzo często człowiek u nas bywa podnoszony wysoko przez opinię publiczną i nagle spuszczonej na dół, ale to zwykle jego własna wina – nie trzeba sobie sztucznie robić popularności i nie trzeba doznawać zawrotu głowy na wyżynach, to wtedy się nie spadnie.

Mogliśmy się skarżyć na brak energii i wytrwałości u naszych zwolenników, często na brak odwagi cywilnej w obronie swego stanowiska, na bierność dla miłego spokoju – ale musimy przyznać, że w najcięższych chwilach, kiedy z zewnątrz i od wewnątrz atakowano nas z wściekłością, kiedy mieliśmy bardzo słabe środki propagandy, kiedy prawie cała prasa warszawska szła przeciw nam ławą, ogół polski w swej większości od

nas się nie odwrócił i wierzyć nam nie przestał. Jednakże traciliśmy w tym okresie wiele ze swej świetnej pozycji, zdobytej w walce z ruchem rewolucyjnym w roku 1905.

Narodowy Związek Robotniczy, będący główną naszą armią w walce z rewolucją, stał się naszym otwartym przeciwnikiem. Dla tych ludzi, niezagłębiających się zanadto w zagadnienia polityczne, potrzebujących w polityce mocnego frazesu, nasza akcja to było zaprzaństwo, ordynarna ugoda z Moskalami. Oddaliwszy się od nas, Związek ten popadł pod wpływy socjalizmu, z którym poprzednio walczył.

Popularny dziennik, który oddaliśmy w ręce swoich ludzi, zdradził nas, poszedł z furją przeciw nam i zajął stanowisko wyraźnie germanofilskie.¹⁴

W szeregach stronnictwa zaczęło się odszczepieństwo, zjawiły się „frondy”, „secesje”... Cała połać kraju, Lubelskie, odpadła od naszej organizacji, pozostali tylko oddzielni ludzie.

Zmuszony zostałem do ustąpienia ze swego stanowiska w Dumie z powodu drobnej pozornie sprawy, ale mającej dla naszej polityki zasadnicze znaczenie.

Rząd wniósł do Dumy projekt do prawa, zamykającego wstęp do armii osobom pozostającym pod śledztwem za przestępstwa polityczne. Było to zabezpieczenie się przed propagandą rewolucyjną w szeregach.

My budowaliśmy przyszłość sprawy polskiej na wojnie między Rosją a Niemcami i na klęsce Niemiec. Nie mogliśmy więc pragnąć rozkładu armii rosyjskiej przez propagandę rewolucyjną. Z naszego stanowiska jedynie logiczne było głosowanie za projektem do prawa. Zdarzyło się, że ten wniosek przez niedopatrzenie pozostał wśród innych drobnych wniosków natury czysto formalnej, których na posiedzeniach Koła nie dyskutowano. Gdy się znalazł na porządku dziennym w Izbie, dałem komendę do głosowania za wnioskiem na swoją osobistą odpowiedzialność.

To głosowanie Koła wywołało przede wszystkim burzę w Rosji. Cała lewica z kadetami włącznie, cała będąca w rękach Żydów prasa rzuciła się z wściekłością na Koło Polskie za jego „reakcyjność”¹⁵. Wtórował temu atakowi chór wrogów „reakcji” w Warszawie. Atak był tak gwałtowny, że zachwiał szeregami naszego obozu. Na ogólnym zjeździe Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, który się wkrótce odbył, zapadła uchwała, żebym na stanowisku pozostał, ale politykę w Dumie zmienił. Odpowiedziałem, że inna polityka wymaga innego człowieka, złożyłem mandat i wróciłem do pracy w kraju. A była ona bardzo potrzebna wobec sporego rozprzężenia w obozie.

¹⁴ Chodzi o warszawski dziennik „Goniec Poranny i Wieczorny”. [red.]

¹⁵ Po przewrocie bolszewickim w Rosji, który był wynikiem zrewolucjonizowania wojska, myślałem sobie: „Jak wielu kadetów musi dziś żałować, że sprzyjali propagandzie rewolucyjnej w armii. A ilu z nich życiem to przypłaciło!”

Najważniejszym zadaniem stała się już nie akcja polityczna na zewnątrz, ale organizacja opinii publicznej w kraju, któremu zaczął zagrażać chaos pojęć i zupełna dezorientacja polityczna.

Tym bardziej to było potrzebne, że po aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry, w przewidywaniu nieuniknionej wojny, zaczęto szerzyć w Królestwie propagandę austrofilską, forsując ją z niemałym wysiłkiem.

V. POD ZNAKIEM NADCHODZĄCEJ WOJNY

W tym samym roku 1908, w którym przedstawiciele wszystkich narodów słowiańskich zjechali się w Pradze, by zapoczątkować w stosunkach wzajemnych nową erę – polityka bałkańska Austro-Węgier zaczęła wykazywać niezwykłą inicjatywę i energię.

Rosja, która zaledwie rozpoczęła dzieło reorganizacji swej armii, była jeszcze militarnie bezwładna i na jakąś mocniejszą politykę pozwolić sobie nie mogła. Niemniej przeto ówczesny minister spraw zagranicznych, Izwolski, powziął ambitny zamiar osiągnięcia na drodze dyplomatycznej wielkiej zdobyczy – otwarcia dla Rosji Dardaneli. Liczył w tym na poparcie sojusznika francuskiego, miał nadzieję, że Anglia, związana porozumieniem z Rosją, tym razem nie będzie stawiała przeszkód, i wszedł w rozmowy z kierownikiem polityki Austro-Węgier, baronem Aehrenthalem; w celu pozyskania dla swych planów monarchii habsburskiej, państwa głównie obok Rosji zainteresowanego na Bałkanach. Nieostroźnie dał on zapewnienie Aehrenthalowi, że Rosja, w zamian za życzliwe stanowisko Austro-Węgier w sprawie Cieśnin, nic nie będzie miała przeciw definitywnej aneksji Bośni i Hercegowiny.

Wkrótce potem, jesienią 1908 roku, całkiem niespodzianie dla wszystkich gabinetów, Ferdynand bułgarski, formalny do owego czasu lennik sułtana, ogłosił się niezależnym monarchą z tytułem króla, a następnego dnia Franciszek Józef proklamował wcielenie do monarchii habsburskiej okupowanych na mocy traktatu berlińskiego prowincji tureckich – Bośni i Hercegowiny.

Rosja zaskoczona tymi faktami, nie mogła na nie reagować. Krępowało ją zobowiązanie dane przez Izwolskiego, który zrozumiał, że go oszukano; jeszcze więcej wszakże gniew jej hamowała własna niemoc. Izwolski próbował potem osiągnąć zgodę mocarstw na otwarcie Cieśnin, to mu się wszakże nie udało, bo napotkał przede wszystkim na opór Anglii. Dowiedział się również, jeżeli tego nie wiedział przedtem, że w razie jakichkolwiek kroków wrogich względem Austrii, Rosja miałaby do czynienia również i z Niemcami. Trzeba było, mówiąc językiem pospolitym, schować obrazę do kieszeni.

Powszechnie uważano to posunięcie Austrii, dokonane na spółkę z Ferdynandem Koburskim, za krok zrobiony na jej wyłączną odpowiedzialność, bez porozumienia z sojusznikiem niemieckim. W Berlinie nawet jakby okazywano pewne niezadowolenie ze zbytnej ruchliwości i samodzielności polityki austriackiej. Nie trzeba wszakże zapominać, że dla Niemiec uprawiających przyjaźń z Turcją, umacniających tą drogą swój wpływ w Konstantynopolu i robiących szybkie postępy w Azji Mniejszej, jawne łączenie się z polityką austriacką na Bałkanach było niedogodne. Narzucał się więc podział ról między dwoma państwami, które były związane węzłami ściślejszymi niż zwykłe przymierze: jedno było gorącym przyjacielem Turcji, starającym się stopniowo zamieniać przyjaźń na protektorat, drugie zaś ograbiło ją otwarcie niby bez porozumienia z

tamtym. Gdyby wszakże ktoś to drugie chciał pohamować w zaborczości, przypominano by mu, że sojusz istnieje i że będzie miał z obu sojusznikami do czynienia.

Aneksja Bośni i Hercegowiny sprawiła duże zamieszanie w polityce międzynarodowej. Pośrednio, wprowadziwszy na porządek dzienny sprawę Cieśnin, wywołała czasowe ochłodzenie stosunków między Rosją a Anglią. Uprzytomniła Rosji jej słabość, a co za tym idzie, zależność od Niemiec i dała broń w ręce żywiołom germanofilskim w państwie carów, które zaczęły wywierać silny nacisk w kierunku zbliżenia się z Niemcami, a oddalenia od państw zachodnich. Zdawało się nawet przez pewien czas, że Rosja wróci do ścisłego związku z Niemcami, płacąc za to swą mocarstwową rolę. Wytworzyła też ona pewne rozdźwięki w świecie słowiańskim: podrażniła Serbię, wzmacniając tam nastrój antyaustriacki, podczas gdy Słowianie w Austrii radzi byli z niej, widząc w niej wzmocnienie żywiołu słowiańskiego w monarchii habsburskiej – Chorwaci żywili nadzieję stworzenia pod berłem Habsburgów wielkiego państwa chorwackiego, gdy tacy politycy jak Kramarz obiecywali sobie przerobienie Austrii na państwo rządzone przez Słowian.

Przyglądając się polityce mocarstw europejskich w latach, które potem nastąpiły, można było mieć wrażenie, że odbywa się jakieś wielkie ich przegrupowanie, że istniejące przymierza i porozumienia rozluźniają się i nadchodzi utworzenie nowych. Logika wszakże wypadków jest o wiele silniejsza od logiki dyplomatów. I nas, organizatorów polityki polskiej, ocaliło od dezorientacji to, że staliśmy daleko od właściwej dyplomacji państw europejskich, a za to bacznie śledziliśmy rozwój wypadków i staraliśmy się przewidzieć ich nieuniknione konsekwencje. Wszystko nam wskazywało na zbliżanie się wielkiej wojny europejskiej, w której trójporozumienie zmierzy się z sojuszem dwóch mocarstw Europy Środkowej. Niezawodne źródło konfliktu leżało na Bałkanach.

Aneksja Bośni i Hercegowiny stała się bodźcem dla państewek bałkańskich, pobudzającym ich energię i zmuszającym je do szukania nowych dróg ku zabezpieczeniu swej niezawisłości i urzeczywistnieniu swych aspiracji. Na miejsce dawnej grawitacji jednych ku Rosji, drugich ku Austrii zjawia się dążność do zbliżenia się, do porozumienia między sobą. Świeżo mianowany ambasador rosyjski w Konstantynopolu, Czarykow, człowiek z reputacją wroga Niemiec, właściwie zaś tylko zacięty wróg Austrii, sympatyzujący z nowym ruchem słowiańskim, zaczyna pracować nad wytworzeniem związku państw bałkańskich, do którego miałyby wejść i Turcja. System ten miał zniszczyć wpływy austriacko-niemieckie na Bałkanach, i położyć tamę ekspansji państw centralnych – nie potęgą rosyjską, ale przez połączenie samoistnych sił na miejscu.

Polityka angielska na Bliskim Wschodzie zaczyna powracać do dawnej swej aktywności.

Jednocześnie w trzecim państwie trójprzymierza, we Włoszech, rozwija się silny ruch umysłów w postaci prądu nacjonalistycznego, którego głównym twórcą i organizatorem jest Enrico Corradini. Kierunek ten, nieodgrywający roli w parlamencie, zdobywa sobie wielką siłę w kraju, i nie tyle ilością, co jakością swych ludzi, ich zapałem i energią, zaczyna wywierać nacisk na politykę państwa. Pobudza on Włochy do energii w

działaniu na zewnątrz, wiąże się z włoską irredentą w Austrii, szuka dróg ekspansji narodowej, wreszcie zmusza państwo do wojny libijskiej, wojny z Turcją o Trypolis.

Mocarstwa europejskie, w swym dążeniu do utrzymania pokoju za wszelką cenę, starają się umiejscowić tę wojnę w Afryce, jednakże Włochy zajmują niektóre wyspy egejskie: teren wojny zbliża się ku Bałkanom, co spowodza wybuch powstania albańskiego.

Nagle, niespodzianie całkiem dla gabinetów dyplomatycznych, zjawia się na widowni związek państw bałkańskich nie z Turcją, ale przeciw Turcji: Bułgaria, Serbia, Czarnogóra i Grecja, związane pomiędzy sobą konwencją wojskową, pod jesień roku 1912 wypowiadają wojnę Turcji i w ciągu miesiąca oczyszczają z wojsk tureckich prawie cały Półwysep Bałkański aż po Czataldżę, zagrażającą wejście do Konstantynopola.

Zaskoczone tymi nagłymi a wielkimi wypadkami, gabinety europejskie zapewniają najpierw, że nie pozwolą zmienić *status quo* na Bałkanach, ale okazuje się w krótkim czasie, że to czcze zapewnienia. Po takich wynikach wojny nikt nie mógł marzyć o przywróceniu dawnych granic.

Ta wojna wykazała większą o wiele, niż powszechnie przypuszczano, siłę państw bałkańskich, a dodać trzeba, że nieco skompromitowała i Niemcy, bo armia turecka była organizowana i ćwiczona przez instruktorów niemieckich, którzy nawet brali w niej udział i kierowali ogniem z dział, dostarczonych przez Niemcy.

Dała ta wojna poważną lekcję dyplomacji wielkich mocarstw, wykazując jej, że nie jest ona całkowitą panią położenia międzynarodowego, że małe państwa zdolne są bez jej udziału gruntownie to położenie zmienić.

Nade wszystko zaś uczyniła ona wojnę europejską nieuniknioną w bardzo bliskim czasie.

Jednocześnie z niekorzystną dla Austrii zmianą sytuacji na Bałkanach, ze zjawieniem się związku państw bałkańskich – w Wiedniu słusznie uznano to za przechylenie się szali na stronę Rosji – zjawia się w Galicji silna agitacja polityczna pod hasłem „walki o niepodległość”. Odbywają się liczne zebrania, wychodzą broszury, odezwy, prowadzone są ćwiczenia wojskowe młodzieży w Związku Strzeleckim.

Władze austriackie ruch ten nie tylko tolerują, ale mu sprzyjają, sztab udziela pomocy w ćwiczeniach wojskowych. Austria widocznie gotuje się do wojny z Rosją i postanawia w tej wojnie wygrać kwestię polską.

Ludziom, którzy nie wierzyli w samodzielność Austrii, którzy zdawali sobie sprawę z jej uzależnienia od Niemiec, musiało się nasuwać przede wszystkim pytanie: Jak na tę sprawę zapatruje się Berlin?

Z trzech państw rozbiorczych najsilniej zainteresowane w kwestii polskiej, jak już mówiłem, były Prusy. Cała ich kariera dziejowa była z losami kwestii polskiej najsilniej związana. Czyż można przypuścić, ażeby Austria, ich na pół sprzymierzeniec, na pół klient, mogła wysuwać na porządek dzienny tę tak systematycznie tłumioną od dawna, tak

żywością dla Prus kwestię polską bez porozumienia się z nimi, bez otrzymania na to ich zgody? Przypuszczenie takie byłoby przeciwne wszelkiej logice politycznej. Nie ma wątpliwości, że gdyby Austria chciała podnieść sprawę polską wbrew intencjom Prus, istnienie całego przymierza między dwoma państwami stanęłoby pod znakiem zapytania.

Jeżeli zaś to było zrobione za zgodą Berlina, to – znając surową konsekwencję polityki pruskiej, która w żadnej dziedzinie tak się nie uwydatniała, jak w kwestii polskiej – możemy być pewni, że ta zgoda nie była dana lekkomyślnie, bez należytego zważenia wszystkich możliwych skutków robionego przez Austrię kroku. Bez względu na to, co myślano, jakie plany sobie kreślono w Wiedniu, Berlin tę sprawę na pewno rozważył ze swego punktu widzenia i musiał uznać, że poruszenie na nowo kwestii polskiej w danych warunkach jest w zgodzie z linią jego polityki.

Jeżeli mówimy o uzależnieniu Austrii od Niemiec, to nie chcemy przez to powiedzieć, żeby w Wiedniu jedynie wykonywano rozkazy idące z Berlina. Austria miała swoje ambicje i swoje plany. Cele jej polityki bałkańskiej rodziły się w Wiedniu i tam były kreślone jej drogi. W szczególności ta polityka robiła czasami posunięcia, które wprawiały Berlin w kłopotliwe położenie, ale w ogólnych liniach odpowiadała ona niemieckim planom ekspansji na Bliskim Wschodzie, dla której Austro-Węgry były pomostem. W miarę jak zaczynał odgrywać w polityce austriackiej rolę następcy tronu arcyksięcia Franciszek Ferdynand, polityka ta nabierała nawet niemałej samodzielności i zjawiały się w niej szersze plany. Jednak plany te nie szły w poprzek zasadniczym założeniom polityki niemieckiej. Odgrywały też niemałą rolę ambicje sfer wojskowych austriackich, które raz nareszcie chciały światu pokazać, że Austria umie przeprowadzić zwycięską wojnę. Ambicje te były na rękę sojusznikowi niemieckiemu, bo pociągały za sobą ogromne w owym czasie kredyty na armię austriacko-węgierską i wzmoczoną pracę nad jej udoskonaleniem, co podnosiło potęgę i znaczenie przymierza. Pociągały one wprawdzie za sobą także możliwość niewczesnej, niepożądanego dla Niemiec wojny, dyplomacja wszakże berlińska, przy swoim wpływie na Austrię, miała możliwość to niebezpieczeństwo uchylać.

Dużą zaś dogodność przedstawiał podział ról między dwoma sojusznikami, przy którym Austria się awanturowała, wytwarzała zamieszanie. Niemcy zaś, w swej roli rozważnej i powściągliwej, starały się wyciągnąć z położenia korzyści odpowiadające ich planom, nie zawsze przez polityków austriackich rozumianym.

W polityce bałkańskiej państwu habsburskiemu się nie wiodło. Okazało się, że aneksja Bośni i Hercegowiny, skuteczniona przy wyprowadzeniu w pole Izwolskiego przez Aehrenthala, czyn, z którego dyplomacja austriacka była tak dumna, nie była wcale posunięciem najszcześniejszym. Dała ona bodziec do urzeczywistnienia tego, o czym od dawna marzono i co od dawna uważano za chimery – do stworzenia związku państw bałkańskich, którego nieoczekiwane zwycięstwo nad Turcją przecinało Austrii drogę do Salonik, zamykało jej pole ekspansji na południe. Zwłaszcza potem, w roku 1913, kiedy Ferdynand bułgarski – były dane, że z poduszczenia Austrii – rzucił się na Serbię i wywołał drugą wojnę bałkańską, w której przeciw Bułgarii wystąpiła Rumunia; kiedy Bułgaria

została pokonana, a znaczenie Serbii urosło, polityka austriacka musiała się przyznać przed sobą do całkowitej klęski. Że zaś przy wzmocnieniu Serbii jednocześnie się wzmocniła pozycja Rosji w Belgradzie; że Serbia, czując w Rosji oparcie, coraz śmielszą przybierała postawę – polityka austriacka niepowodzenie swe przypisywała przede wszystkim Rosji i w niej główną widziała przeszkodę.

Jednocześnie z wystąpieniem na widownię związku bałkańskiego, Austria drugi raz już w krótkim czasie – pierwszy raz po aneksji Bośni i Hercegowiny – zaczęła robić głośne przygotowania do wojny z Rosją.

Najgłośniej pogrążała szablą ten, kto nie ma zamiaru dobywać jej z pochwy. Ta hałaśliwość właśnie przygotowań austriackich budziła podejrzenia, że Austria wcale się nie zabiera do wojny z Rosją. Może wojskowi mieli na nią ochotę, wiedząc o nieprzygotowaniu Rosji, politykom wszakże najwidoczniej chodziło o zastraszenie współzawodnika w polityce bałkańskiej. Jeżeli tak istotnie było, to ta gra nie była bardzo potrzebna, bo Rosja w owym czasie wcale nie była nastrojona wojowniczo i nie zabierała się do wyjścia poza dyplomatyczne środki działania.

Byliśmy wówczas prawie pewni, że wojny nie będzie, że jeszcze na nią chwila nie przysła. Rosja wojny nie chciała, wiedziała zaś, że zaczepiwszy Austrię, będzie miała do czynienia i z Niemcami. Sojuszniczka Rosji, Francja, także starała się za wszelką cenę zachować pokój i do wojny zaczepnej nie zachęcała. Austria zaś, gdyby nawet miała zamiar napaść Rosję, mogła to zrobić tylko za zgodą Niemiec – inaczej byłaby pozostawiona sama sobie, zmuszona do walki na dwóch frontach, rosyjskim i bałkańskim. Niemcy wówczas byli przeciwne wszczynaniu wojny.

Widziały one głównego swego wroga w Anglii i do rozprawy z nią się przygotowywały. Słusznie pragnęły uniknąć jednoczesnej wojny z Anglią i Rosją, a co za tym idzie, i z Francją. Dla tych, co jako tako rozumieli tradycyjną linię polityki pruskiej, musiało być jasne, że Niemcy na wojnę z Rosją nie pójdą, dopóki nie wyczerpią wszystkich środków pokojowego jej ujarznienia i zaprzężenia do rydwanu swojej polityki.

Wojna między Rosją a Niemcami była w naszym przekonaniu w niedalekiej przyszłości nieunikniona, ale tylko dlatego, że znaliśmy Rosję i byliśmy pewni, iż weźmie w niej górę świadomość, że związek z Niemcami oznacza zależność od nich i zrzeczenie się mocarstwowej roli. Sądziłyśmy, że jej wahania w stosunku do Anglii wkrótce znikną i że trójporozumienie stanie się związkiem mocnym, którego żadna dyplomacja nie rozbije; wtedy zaś, kiedy Rosja zdecyduje się stanąć bez wahań w obozie przeciwniemieckim, kiedy Niemcy stracą wszelką nadzieję na opanowanie jej drogą pokojową, wybije godzina wojny.

Tak rozumiejąc politykę niemiecką, można było w roku 1912 mieć prawie pewność, że wojny nie będzie, a nadto można było zdać sobie sprawę z tego, jak się Berlin zapatruje na postępowanie Austrii, jakie z niego dla swej polityki stara się wyciągnąć korzyści.

Otóż, kto śledził wówczas bacznie politykę międzynarodową, ten widział, jak – jednocześnie z austriackimi pobrzękiwaniami szablą – z Berlina szła wyteżona akcja z celem odciągnięcia Rosji od Anglii, a związania jej z Niemcami. W samej Rosji rozwinięto w tym kierunku ogromną robotę, która szła tak daleko, iż starano się przekonać Rosję, że powinna się wyrzec całkiem polityki europejskiej, a zwrócić wyłącznie ku Azji; stąd wnioski, że przymierze z Francją i porozumienie z Anglią nie ma żadnej wartości, że trzeba związać się z Niemcami i Austrią, wrócić do tradycji Świętego Przymierza¹⁶. Próby w tym kierunku były ponawiane aż do roku 1914.

Politycy berlińscy i germanofile rosyjscy uważali, że głośne przygotowania Austrii do wojny z Rosją, strasząc Rosję potrzebującą pokoju, wytwarzają nastrój ułatwiający przekonanie jej, że powinna się zbliżyć do Niemiec, które jedynie mogą jej pokój zagwarantować.

I tu nie ma chyba potrzeby długo tłumaczyć, jakie znaczenie miał dla polityki niemieckiej „ruch niepodległościowy” w Galicji. Stara metoda pruska: gdy inne środki nie pomagały, trzeba zastosować ten, który zawsze był skuteczny, zawsze wiązał Rosję z Prusami; na widok powstającego znów niebezpieczeństwa polskiego Rosja musi się rzucić w objęcia Niemiec.

Tak pod hasłem „niepodległości Polski” pracowano w Galicji nad przygotowaniem gruntu do odnowienia Świętego Przymierza.

W ponurym obrazie rewolucji bolszewickiej w Rosji najbardziej chyba przygnębiający jest widok skazańca, który przed rozstrzelaniem sam sobie grób kopie.

Rolę takiego skazańca przeznaczyła naszemu narodowi polityka pruska. Jako Polak, niczym się nie czułem tak zgnębiony, tak upokorzony, jak tym, że znajdowała ona u nas ręce chwytające za łopatę i kopiące dół, w którym Polska miała spocząć. Równie smutnych momentów nie ma w całej naszej tragedii porozbiorowej.

Spróbujmy tylko na chwilę przedstawić sobie, jakie byłyby losy Polski, gdyby Niemcom przed kilkunastu laty udało się rozbić potrójne porozumienie, związać Rosję z sobą i z Austrią i odbudować Święte Przymierze. Niezawodnie, ta kombinacja nie trwałaby wiecznie, ale mogłaby istnieć dość długo, ażeby to wystarczyło do ostatecznego złamania polskości w zaborze pruskim – w owym właśnie czasie wchodziła w życie ustawa o wywłaszczeniu – do podzielenia Galicji na polską i ukraińską, do poczynienia dalszych spustoszeń w Krajach Zabrzanych, łącznie już z gubernią chełmską, wreszcie do takiej dezorganizacji naszego życia, naszych sił i naszej myśli narodowej w pozostałych

¹⁶ W listopadzie 1913 roku prasa niemiecka ogłosiła napisany w roku 1912 memoriał tej treści, przypisując jego autorstwo baronowi Rosenowi, członkowi rosyjskiej Rady Państwa i ambasadorowi rosyjskiemu w Japonii przed wybuchem wojny 1904 roku. Autor memoriału radzi między innymi Rosji wycofać się z polityki bałkańskiej i nie interesować się Słowianami austriackimi, bo to tylko „uczyniło pożądanymi również nasze nadgraniczne narody słowiańskie” (czytaj – Polaków) – to aluzja do naszej akcji słowiańskiej.

częściach Polski, że nie tylko bylibyśmy sprowadzeni raz na zawsze na stanowisko jednego z małych narodów, ale i w tej nawet roli smutnie byśmy się przedstawiali.

Do tego szły Niemcy w chwili, kiedy rozwój sytuacji międzynarodowej otwierał dla naszej sprawy widoki zwycięstwa. Używały Niemcy wszelkich środków, ażeby Rosję zmusić do poddania się ich polityce. Jednym z najbardziej obiecujących było ponowne rzucenie hasła polskiej walki zbrojnej przeciw Rosji, hasła rozbrzmiewającego głośno pod opiekuńczymi skrzydłami monarchii habsburskiej.

Jak przed półwiekiem manifestacje warszawskie, poprzedzające wybuch powstania 1863 roku, zastraszyły Rosję, wykopały przepaść między nią a Francją i związały ją z Prusami – co Polsce przyniosło okres najstraszniejszego ucisku i niszczenia cywilizacji narodowej w zaborze pruskim i rosyjskim, a Niemcom dało wolną rękę do zwycięstwa nad Austrią i Francją – tak w roku 1912 „ruch niepodległościowy” w Galicji miał znów zastraszyć Rosję niebezpieczeństwem polskim, oderwać ją od państw zachodnich, związać z Niemcami i Austrią, w rezultacie zaś przynieść Polsce okres olbrzymich, niepowetowanych strat narodowych, odbierających jej raz na zawsze widoki zostania wielkim narodem. Austrii dać wolną rękę na Bałkanach, Niemcom zaś umożliwić rozprawę z Anglią, a niezawodnie i z Francją.

Gdyby się to udało, „ruch niepodległościowy” w Galicji mógłby się pochwalić, że odegrał jeszcze większą rolę w losach świata, niż powstanie 1863 roku. Za tę zaś rolę zapłaciłaby przede wszystkim Polska całą swoją przyszłością. A udało się niezawodnie, gdyby hasła galicyjskie wywołały dostatecznie silne echo w zaborze rosyjskim. Urzędowa Rosja, wroga Polsce i – poza sferami kierowniczymi polityki zagranicznej – przeważnie germanofilska, tylko na to czekała.

Byli ludzie, którzy na widok tego, co się działo wówczas w Galicji, popadali w beznadziejność. Naród, mówili, który do tego stopnia jest pozbawiony mózgu politycznego, tak zdolny do samobójczej roboty, który tak łatwo daje się używać za narzędzie wrogom dążącym do zniszczenia jego bytu, nie ma przyszłości. Był to pesymizm nieuzasadniony, wynikający z niezrozumienia warunków, które wytworzyły psychologię owych „niepodległościowców”. To nie była psychologia narodowa polska. Była to psychologia emigracyjna z rozmaitymi, o wiele gorszymi dodatkami. Przewodzącą rolę w ruchu odgrywali emigranci socjalistyczni z zaboru rosyjskiego, którzy przebywali do owego czasu za granicami Polski albo też, jeżeli siedzieli w Galicji, nie umieli wejść w miejscowe społeczeństwo, żyli jak wśród obcych. Rekrutowali sobie zwolenników wśród młodzieży, też głównie z zaboru rosyjskiego, która wyrzucona przez strajk szkolny, oderwała się od swego środowiska i rozwinęła w sobie psychologię emigracyjną.

Z własnych spostrzeżeń moich z lat studenckich wiem, jak łatwo młodzież nasza, kształcąca się za granicą, a nawet tylko za kordonem, uczyła się myśleć po emigrancku, traciła poczucie rzeczywistości.

Ludzie, którzy nie znali bliżej społeczeństwa miejscowego w Galicji, zwłaszcza zachodniej, nie zdawali sobie sprawy z tego, że i ono, o ile nie myślało kategoriami

austriackimi, o ile zwracało się myślą ku Polsce jako całości, ku sprawie niepodległości ojczyzny, także było nauczone przeważnie traktowania sprawy w sposób oderwany od rzeczywistości, raczej literacki, emigracyjny. Tę dziwną psychologię wyjaśniają zamieszczone w owym czasie w „Przeglądzie Narodowym” (w artykule *Ferment przedwojenny*, listopad 1912) głębokie uwagi mego zmarłego przyjaciela, Zygmunta Balickiego, jednego z ludzi najbardziej zasłużonych w prostowaniu dróg myśli politycznej narodu.

Rodacy nasi w Galicji wschodniej, w zetknięciu z kwestią ruską, nauczyli się o wiele bardziej realnego ujęcia spraw narodowych, a myśl ich, pobudzana trudnymi zagadnieniami ich bytu, zwracała się o wiele więcej ku sprawie polskiej jako całości, nie w sposób oderwany, ale w związku z otaczającą ich rzeczywistością. Duży postęp w pojmowaniu sprawy polskiej odbył się pod wpływem pracy rozpoczętej w swoim czasie przez „Przegląd Wszechpolski”; niemniej szerokie koła społeczne, ćwiczone w patriotyzmie obchodowym, traktowały sprawę polską jak jasełka. Wśród tych kół właśnie ruch 1912 roku znalazł bardzo sprzyjające środowisko.

Nie należy nadto zapominać o roli zawodowych literatów, którzy w tym ruchu wzięli niepomrotnie liczny udział i umysłowo mu przewodzili. Bez potrzeby podawania w wątpliwość najlepszych intencji tych ludzi, trzeba zauważyć, że ich ustrój duchowy nie sprzyjał pojmowaniu sprawy ze stanowiska obowiązku i poczucia odpowiedzialności oraz zbyt niemu liczeniu się z realnymi następstwami słów i czynów. „Niepodległościowość” – bo taki nawet piękny wyraz ukuto dla wzbogacenia naszego słownika pojęć oderwanych – to dla nich był prąd myśli, tak czy inaczej odpowiadający potrzebom ich ducha. Ibsen, Strindberg, Nietzsche, Bergson, modernizm, socjalizm, Polska – to wszystko było jedna klasa pojęć. Polska „to cosik w chmurach” – jak powiedział wówczas jeden z poetów.

Nikt się tam nie trudził nad poznaniem tła, na którym sprawa polska się rozgrywała, nad przyjrzeniem się bliżej współczesnej sytuacji międzynarodowej. Nawet ci, którzy szeroko się rozpisywali o położeniu międzynarodowym sprawy polskiej, traktowali to położenie w bardzo ogólnych, mniejsza o to czy trafnych, liniach, nie liczyli się z nieustannymi w nim zmianami. Przestrzegano ściśle tradycji naszych powstań, których organizatorowie szli na oślep, nie zwracając uwagi na współczesne warunki zewnętrzne.

Ruch niepodległościowy miał najpierw cichych sojuszników w politykach galicyjskich, spadkobiercach szkoły krakowskiej.

Ci o sprawie polskiej myśleć już nie umieli i nie rozumieli polityki międzynarodowej, bo widnokrąg ich myśli zamykał się w Wiedniu. Cała ich polityka ześrodkowała się na dwóch celach: pierwszy, główny – to władza w Galicji, drugi – to wpływy w Austrii. Dla nich sprawa polska w razie zwycięskiej wojny Austrii z Rosją przedstawiała się właściwie jako rozszerzenie Galicji, zwiększające rolę Polaków w monarchii habsburskiej, dające im stanowisko może nawet takie, jakie mieli Węgrzy. I tu zgadzała się z przywódcami socjalistycznymi ruchu, którzy przez „niepodległość” w

owym momencie rozumieli urządzenie Polski pod berłem habsburskim na podobieństwo Węgier. Dla pozyskania sobie Wiednia do korzystnej dla Polaków kombinacji trzeba było sprzyjać popieranemu przez rząd ruchowi „niepodległościowemu”. Była to najlepsza polityka narodowa z punktu widzenia ludzi, których myśl z ram austriackich już się wydobyć nie była zdolna.

Wskazuję tu tylko na rolę i na psychologię żywiołów, działających w mniej lub więcej dobrej wierze. O innych czynnikach, bardziej podejrzanych lub wyraźnie pracujących „dla króla pruskiego”, nie mówię. Takich nigdy nie brak w podobnych okolicznościach, zwłaszcza w kraju, posiadającym sporo obcego żywiołu, gdzie trudno nieraz rozróżnić między Polakiem a człowiekiem obojętnym lub nawet wrogiem Polski.

Ma się rozumieć, ruch „niepodległościowy” nie ograniczał się do Galicji. Rozwinięto w zaborze rosyjskim żywą propagandę, która w pewnych kołach znalazła podatny grunt. Miała ona swoje organy i w prasie warszawskiej, które z konieczną ze względu na władze rosyjskie rezerwą starały się jej służyć. Miała też ludzi na wydatnych w życiu społecznym stanowiskach, którzy jej sprzyjali.

Napotkała tu wszakże na przeszkody w zdrowym rozsądku społeczeństwa i w zorganizowanym przeciwdziałaniu ze strony naszego obozu.

Każdy kraj ma ludzi poczciwych a lekkomyślnych, głupich a ambitnych, niedoświadczonych i nieuków a pewnych siebie, każdy ma swych zbrodniarzy, każdy wreszcie ma żywioły narodowo niepewne lub wprost obce, gotowe łączyć się z wrogami. Słowem, każdy kraj ma ludzi zdolnych wyrządzać mu szkody, nawet zgubić go, gdyby im na to pozwolono. Chodzi o to tylko, żeby nie pozwolić.

Swojego czasu powiedziałem w „Przeglądzie Wszechpolskim”, że powstanie 1863 roku było istotnie klęską narodową; tylko ci jego świadkowie, którzy po klęsce ferowali wyroki na organizatorów powstania, jako na sprawców klęski, pod jednym względem nie mieli słuszności. Winni byli zarówno ci, którzy zrobili powstanie, jak i ci, którzy mu nie przeszkodzili, choć rozumieli krzywdę gotującą się dla Polski. Odpowiedzialność ponosiło całe społeczeństwo, całe pokolenie.

Jeżeli się ma sumienie i poczucie odpowiedzialności, to nie wolno biernie patrzeć na zgubne poczynania, trzeba przeciw nim walczyć, z równym męstwem, z równym poświęceniem, jak na granicy przeciw obcemu najazdowi.

Kiedy w roku 1905 usiłowaliśmy ratować kraj od rewolucji, kiedy po ulicach Warszawy świsnęły kule z karabinów rosyjskich i z browningów polskich i żydowskich, zapytałem raz jednego z mych młodszych towarzyszy pracy i walki:

– Od jakiej kuli wolałbyś zginąć – czy z rosyjskiego karabinu, czy z miejscowego browninga?

Odpowiedział mi bez wahania:

– Pewnie, że z browninga. Walczymy przeciw rewolucji: śmierć od kuli rosyjskiej byłaby dziś głupią śmiercią przypadkową; postrzelony zaś z browninga wiedziałbym, za co ginę...

Otóż to tacy ludzie sprawili, że dziś jest Polska. Bo oni nie dopuścili do tego, żeby sprawa polska była jeszcze raz zgubiona przez samych Polaków. I tylko przy istnieniu takich ludzi możemy zostać na powrót wielkim narodem.

Odbudowanie Polski jest wynikiem współdziałania wielu czynników, przeważnie od nas niezależnych. Od dłuższego już czasu wytwarzała się korzystna dla naszej sprawy koniunktura międzynarodowa. W tym okresie przygotowawczym, a nawet później, w pierwszej połowie wojny, nasza rola głównie polegała na tym, żeby tej koniunktury swoim postępowaniem politycznym nie popsuć. Jeżeli zaś jej nie popsuliśmy, to dlatego, że byli w Polsce ludzie, którzy czujnie strzegli należytej postawy narodu i bezwzględnie zwalczali wszelkie próby narzucenia krajowi innej, która byłaby dla sprawy polskiej zgubna.

Na nic się nie przyda najgłębsze rozumienie potrzeb i zadań, jeżeli nie ma odwagi i energii umiejacej dobrą myśl obronić i wcielić w czyn. Dlatego to, powtarzam, Polska zawdzięcza swoje odbudowanie szeregowi ludzi z charakterem, z odwagą i poświęceniem, którzy nie tylko mieli myśl rozumną, ale umieli przy niej stać mocno w najtrudniejszych chwilach, walczyć o nią konsekwentnie i zapewnić jej przewagę w postępowaniu narodu.

Okres sześcioletni, od aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austrię do wybuchu wojny, był w tej walce okresem najtrudniejszym.

Wszystkie trzy rządy rozbiorcze pracowały nad tym, żeby postawę naszą zmienić: niemiecki przez swoje ciche, ale głęboko sięgające wpływy nie tylko w Austrii i w Rosji, ale i w samej Polsce: austriacki – przez ukazywanie Polakom rąbka nadziei, przez pomaganie ruchowi „niepodległościowemu” w Galicji i propagandę w Królestwie; rosyjski – przez prowokowanie Polaków wzmocnioną polityką przeciwpolską, która jakby wymyślona była na to, żeby społeczeństwo doprowadzić do rozpacz.

Miałem wówczas poczucie, że my, których przeciwnicy nazywali „ugodowcami”, „agentami rządu”, „carskimi sługami”, jesteśmy najbardziej znieprawdzonym przez rządową Rosję obozem w Polsce¹⁷.

¹⁷ W owym okresie prasa naszego obozu była najsilniej przez władze prześladowana. Za artykuł historyczny, zamieszczony w „Przeglądzie Narodowym”, jego redaktor Zygmunt Balicki i wydawca Mieczysław Niklewicz, zostali skazani w 1909 na rok twierdzy. Ja osobiście stałem się przedmiotem różnorodnych ze strony władz drobnych szykan. Przy przejazdach granicy rzeczy moje poddawano wyjątkowo surowej rewizji, usiłowano zabierać mi rękopisy w celu przesłania władzom warszawskim itp. Dochodziło do tego, że raz (w roku 1912) naczelnik komory – mówiąc nawiasem, Polak – w imię przyzwoitości odmówił ponownego otwarcia mych kufrów, którego zażądał szef żandarmów.

Rządowa Rosja w ogromnej swej większości i cała administracja rosyjska naszego kraju pragnęła odnowienia związku z Niemcami, z radosną nadzieją patrzyła na idącą z Galicji propagandę ruchu zbrojnego.

Bacne przyglądanie się temu, co się wówczas działo, ogromnie mi pomogło w zrozumieniu historii naszych powstań...

W Królestwie w owym okresie zaczęto osaczać nasz obóz z różnych stron. Do dawnych przeciwników przybywali nowi: wielu z tych, którzy dawniej byli mniej lub więcej wyraźnie po naszej stronie, teraz zwracało się przeciw nam, pomagało robocie starającej się nas zniszczyć. Ludzie, którzy poprzednio trzymali się z daleka od walk politycznych, chroniąc się pod płaszczem bezpartyjności, teraz zaciągali się do nagonki. Ci, co dawniej zwalczali nasz „szowinizm” w imię zasad humanitarnych, ogólnoludzkich, dziś szeregowali się pod hasłem obrony czystości polskiego patriotyzmu, jego świętych tradycji porobiorowych. Określenie naszej polityki jako „sprzeniewierzenia się zasadniczym wskazaniom patriotyzmu” znalazło się nawet w związku z moim nazwiskiem w *Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej*, w życiorysie jednego z żyjących działaczy warszawskich, Libickiego. Postanowiono nas pogrzebać nawet w oczach przyszłych pokoleń.

Jedna rzecz była uderzająca: wszystko, co się znajdowało w jakimkolwiek, nawet najluźniejszym, związku z Żydami, było przeciw nam – ma się rozumieć, w imię patriotyzmu. Widoczne było, że główny kanał, przez który przenikają wpływy niemieckie do Polski – to nasze żydostwo.

Tego związku między naszymi Żydami a Niemcami przeciąć nie mogliśmy. Nie mogąc zamknąć kanału od tamtego końca, trzeba było go zamknąć od naszego, odciąć społeczeństwo polskie od wpływów żydowskich.

Już od dłuższego czasu, zwłaszcza zaś od roku 1905, Żydzi postępowaniem swoim zdobywali sobie pozycję wyraźnych wrogów Polski. Skrajniejsze wśród nich żywiły nie maskowały się pod tym względem wcale, rozzuchwalone naszym upośledzeniem politycznym. Naród, który nie miał swego państwa, nie miał w swych rękach władzy, nie miał widocznej siły, z którą by się należało liczyć – nie mógł mieć Żydów po swojej stronie.

Istniał cały szereg powodów, dla których należało zająć jasne względem Żydów stanowisko, powodów leżących w dziedzinie gospodarczej, cywilizacyjno-narodowej, etyczno-społecznej... W owym okresie znalazła się na porządku dziennym kwestia żydowska w samorządzie miejskim, skutkiem wniesienia przez rząd do Dumy projektu ustawy samorządowej. Przed nami stała jeszcze ważniejsza od tego kwestia polityki narodowej polskiej, której wpływy żydowskie groziły zniszczeniem. Zrozumieliśmy, że dłużej zwlekać nie można, postanowiliśmy wypowiedzieć Żydom otwartą walkę.

Sposobność do tego dały wybory do czwartej Dumy, do których Żydzi, dzięki zmieniającym procedurę wyborczą wyjaśnieniom petersburskiego Senatu, otrzymali w Warszawie większość uprawnionych do głosowania.

Nie miałem wówczas zamiaru brać mandatu poselskiego, gdyż położenie w kraju nakazywało mi pracować na miejscu. Wobec wszakże wyzywającego zachowania się Żydów, postawiłem swą kandydaturę, ażeby przeprowadzić wybory pod hasłem walki z Żydami. Zacięta walka, która nas – a mnie w szczególności – dużo sił kosztowała, zakończyła się wyborem socjalisty, a w odpowiedzi na to proklamowaniem bojkotu Żydów przez społeczeństwo polskie.

Atmosfera natychmiast się oczyściła. Stanowisko nasze w społeczeństwie stało się tak mocne jak pewnie nigdy przedtem. Położenie żywiołów związanych z Żydami zrobiło się trudne; wielu ludziom, którzy do owego czasu ulegali wpływowi żydowskiemu, otworzyły się oczy i bez wahania z Żydami zerwali.

Teraz już byliśmy pewni, że polityce naszej nie grozi zagłada: najszerszy kanał wpływów niemieckich na Polskę został skutecznie zatknięty. To nam dało większą swobodę działania – paraliżowania roboty austriacko-polskich „niepodległościowców”.

Im hałaśliwiej ci głosili hasła walki zbrojnej przeciw Rosji – zużytkowane przez żywioły germanofilskie w Rosji w celu zbliżenia jej do Niemiec – tym dalej my szliśmy w podkreślaniu naszej życzliwości dla Rosji, ma się rozumieć, nie rządowej. Widząc zbliżanie się chwili rozstrzygającej, usuwaliśmy ze stosunków polsko-rosyjskich możliwie wszystko, co je zadrażniało. Było to wobec prowokującej polityki rządu bardzo trudne zadanie, najtrudniejsze może, jakie miałem w życiu.

W owym to okresie ułagodził się w pewnej mierze stosunek między nami a Stronnictwem Polityki Realnej, czyli tzw. ugodowcami. Nie było to dla nas również bardzo łatwe, wymagało dużego zapomnienia o miłości własnej, gdyż ci, nie rozumiejąc naszych celów, a mając bardzo wysokie mniemanie o wartości swojej polityki, byli przekonani, że lekcje ich zaczynają skutkować i że przechodzimy na ich podwórko.

Niechby sobie mieli to przekonanie, byle nam pomagali w naszym trudnym zadaniu. Liczyłem na nich, że jako ludzie z nie małą kulturą i z dużymi stosunkami, przydadzą się do nawiązania stosunków politycznych na Zachodzie, co wobec zbliżających się wypadków było bardzo pilne. Sam te stosunki nawiązywałem od szeregu lat, ale moja skromna pozycja społeczna i skromniejsze jeszcze środki materialne nie pozwalały mi zrobić nawet tyle, ile mógłby zrobić jeden człowiek, będący w innych warunkach.

Niestety, zawiodłem się pod tym względem na „realistach”. W roku 1913 na wspólnej konferencji z kierownikami „polityki realnej” zaproponowałem im utworzenie razem niewielkiej, poufnej grupy ludzi, która by zajęła się nawiązaniem stosunków politycznych w sferach rządzących Francji, Anglii, w Watykanie, a także wejście w stosunki z głównymi organami prasy zachodnioeuropejskiej. Propozycja ta przyjęta została głucho. Przekonałem się, że na żadne w tym względzie współdziałanie liczyć nie można.

Miałem w tym ostatni dowód, że Stronnictwo Polityki Realnej, na równi ze stronnictwem krakowskim, jest wielką przeszkodą do zorganizowania właściwej polityki

polskiej. Nazajutrz prawie po tej konferencji zasiadłem do pisania książki o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*.

Nasze próby wytłumaczenia kierownikom ruchu galicyjskiego, że są na błędnej drodze, spełzły na niczym.

Zdaje się, że w roku 1912 – nie przypominam sobie daty¹⁸ – odbyła się w Krakowie konferencja z nimi, w której z naszej strony wziął udział Zygmunt Balicki. Przedstawił on im przeze mnie napisany memoriał, w którym starałem się ich przekonać, że:

– tzw. orientacja austriacka jest fikcją, bo kto idzie z Austrią, ten idzie z jej sojusznikiem, Niemcami, największym i najniebezpieczniejszym wrogiem Polski;

– złudzeniem, wynikającym z zupełnego nierozumienia wzajemnego stosunku tych dwóch państw i ich stanowiska w kwestii polskiej, jest nadzieja, że – w razie ich zwycięstwa nad Rosją – Austrii przypadnie główna rola w rozstrzygnięciu kwestii polskiej: Niemcy na to nigdy nie pozwolą i same powezmą decyzję zgodną ze swymi planami;

– najprawdopodobniejszym rozstrzygnięciem w razie tego zwycięstwa będzie podział Królestwa Kongresowego pomiędzy Niemcy i Austrię, a pewnie jeszcze pomiędzy trzy państwa, co będzie jeszcze większym od dotychczasowego rozbiem narodu, bo zniszczy jedyne znaczniejsze jego skupienie, jakim jest Królestwo – a zatem będzie klęską narodową.

Jako linię przypuszczalnego podziału wskazałem w tym memoriale mniej więcej odpowiadającą tzw. *Knesebecker Grenze*, która potem stała się linią demarkacyjną pomiędzy okupacją niemiecką i austriacką. Ta granica pozostała do końca wojny, pomimo aktu dwóch cesarzy 5 listopada 1916 roku, ustanawiającego Królestwo Polskie z nieokreślonymi od wschodu granicami i nie wiadomo, czy w razie zwycięstwa państw centralnych nie okazałaby się trwalszą od owego aktu. Pokój brzeski odcinający część Królestwa na wschodzie do Ukrainy – w ostatecznym wyniku do Rosji – potwierdził moje przypuszczenie co do udziału trzeciego państwa w tym rozbiórce miniaturowej Polski stworzonej na kongresie wiedeńskim.

Przemawialiśmy do tych ludzi jako do rodaków, do współobywateli przemawialiśmy argumentami, które musiały mieć wagę dla każdego, kto się cokolwiek zastanawiał w swym życiu nad istotą i położeniem kwestii polskiej. Nic to nie pomogło. Albo sprawy polskiej całkiem nie rozumieli, albo nie chcieli rozumieć. Jedno mam tylko tłumaczenie: ludzie ci tak zajęci byli myślą o tym, jak to oni będą rządili Polską, utworzoną przez nich pod skrzydłami Austrii, że nie mieli czasu zastanawiać się nad tym, jak ta Polska będzie wyglądała.

¹⁸ Spotkanie odbyło się w ostatnich dniach listopada 1912 r. z inicjatywy polityka galicyjskiego Juliusza Leo. [red.]

Tu muszę powiedzieć, że spostrzeżenia moje, robione w ciągu całego mego życia, a zwłaszcza w ciągu wielkiej wojny i konferencji pokojowej, nauczyły mnie, że nic tak nie przeszkadzało ludziom do właściwego rozumienia sprawy polskiej i do należytego w niej postępowania, jak zapatrzenie się w swoją osobistą rolę w przyszłej Polsce, myśl o swojej władzy, o swoim znaczeniu, o swoim wreszcie majątku. Tymczasem, żeby wydobyć z bagna tak pogrążoną sprawę jak polska, trzeba było całą swoją myśl, całą swą energię jej oddać, a o sobie umieć zapomnieć.

Jeżeli twierdzę z całą stanowczością, że my jedynie, nasz obóz, rozumieliśmy jako tako sprawę naszej ojczyzny, że nasze wysiłki pozwoliły skorzystać z przyjaznych warunków zewnętrznych i doprowadzić do pomyślnego rozwiązania, to nie dlatego, żebym chciał sobie i swoim przypisywać jakiś geniusz wyjątkowy, jakieś niezwykle jasnowidzenie. Te rzeczy nietrudno było widzieć i rozumieć, tylko trzeba było ku sprawie polskiej zwrócić całkowitą swoją myśl, swoją wolę i siły. Trzeba było myśleć o tym, jaka będzie Polska, a nie o tym, czym my w Polsce będziemy.

Polski się nie buduje ani dla siebie, ani dla swej partii, ani nawet dla swego pokolenia. Ona jest własnością nieskończonego szeregu pokoleń, które ją tworzyły i tworzyć będą, które stanowią naród. Tylko ten w wielkich, przełomowych chwilach znajdzie właściwą drogę, kto ma poczucie odpowiedzialności względem tak pojętego narodu.

„Orientacja austriacka”, skazana z góry na wielkie rozczarowania skutkiem nierozumienia roli Niemiec i ich stosunku do kwestii polskiej, występowała z tak wielkim hałasem, że ktoś nieświadomy mógłby ją uznać za górującą w Polsce. Obok niej, łącznie z nią występowały jednostki z orientacją już wprost niemiecką, budującą przyszłość Polski na związku z narodem, który postanowił bezwzględnie ją zniszczyć. Wszystko to wszakże stanowiło skromną mniejszość w Polsce, a do pewnego stopnia mniejszość w sensie konwencji wersalskiej 1919 roku.

Naród w swej masie patrzył na Niemcy jako na najniebezpieczniejszego wroga.

Można to było widzieć w roku 1910, w pięćsetną rocznicę bitwy grunwaldzkiej, przy święceniu jej w Krakowie z okazji odsłonięcia pomnika ofiarowanego miastu przez Ignacego Paderewskiego. Wszystkie zakątki w Polsce się odezwały. Pomimo że politycy galicyjscy starali się tę uroczystość, niemiłą Wiedniowi, do najskromniejszych sprowadzić rozmiarów, społeczeństwo całej naszej dzielnicy austriackiej silnie zmanifestowało swe stanowisko. Świeża pamięć tej manifestacji była najlepszym zaprzeczeniem twierdzeń, że całe społeczeństwo galicyjskie stoi po stronie państw centralnych. I tam właściwie „orientacja” była w znacznej mierze sztucznie narzucona.

Czuli to jej twórcy i strzegli jej jak rośliny cieplarnianej, ma się rozumieć, przy pomocy władz austriackich.

Kiedy w roku 1913 u Tadeusza Cieńskiego w Pieniakach pod Brodami odbyła się poufna konferencja trójzaborowa, na której rozważaliśmy nasze zadania wobec możliwej wojny, nazajutrz w piśmie socjalistycznym znany publicysta alarmował Austrię, że tam

przeciw niej konspirowano. Te alarmy powtarzały się za lada pogłoską, że ktoś z nas przyjechał do Galicji.

Nasz obóz, mając już pewność, że za nim stoi naród w ogromnej swej większości, spokojnie się przygotowywał do coraz wyraźniej zbliżającej się chwili wielkich rozstrzygnięć. W roku 1912 we Lwowie, w roku 1913 w Berlinie, wiosną zaś 1914 w Wiedniu odbyły się wielkie tajne zjazdy trójzaborowe naszej organizacji, poświęcone prawie wyłącznie ocenie położenia międzynarodowego, widoków otwierających się dla sprawy polskiej i ustaleniu linii, po której ma pójść nasze działanie od chwili wybuchu wojny. Ostatni z tych zjazdów, o którym wiadomości, na szczęście fałszywe, przedostały się do prasy wiedeńskiej, powziął uchwałę, że w wojnie już niedalekiej, we wszystkich trzech zaborach idziemy stanowczo przeciw Niemcom. Ta forma uchwały była podyktowana ostrożnością ze względu na rodaków naszych w państwie austriackim: w wypadku przedostania się uchwały na zewnątrz, gdyby w niej było powiedziane „przeciw Niemcom i Austrii”, zrobiono by ich zdrajcami stanu, a oskarżenie by wnieśli pierwsi ich przeciwnicy polityczni w kraju. Bo tam już zaczęto działać bez żadnych skrupułów. Stali przeciw sobie wrogowie, których jak gdyby nic nie łączyło. Austria za dużo miała swoich ludzi w miejscowym społeczeństwie...

Przywiązanie do niej jej przybranych siłą synów było najsilniejsze w chwili poprzedzającej jej zgon. Kto głębiej wszakże umiał patrzeć w społeczeństwo Galicji, kto rozumiał jego duszę, ten wiedział, że nie jest to prowincja austriacka, tylko część Polski.

CZĘŚĆ TRZECIA

**WOJNA: OKRES PIERWSZY
(1914–1917)**

WALKA O ZWYCIĘSTWO NAD NIEMCAMI

I. WOJNA I SPRAWA POLSKA

Jeżeli wojna 1914–1918 roku była dla całego świata nieoczekiwaną, oszałamiającą katastrofą, to z naszego polskiego punktu widzenia stała się ona czymś przechodzącym granice najśmielszych, najmniej realnych przypuszczeń.

Nikt nie myślał, że w wojnie tej wezmą udział wszystkie wielkie mocarstwa świata, a obok nich cały szereg mniejszych państw i narodów, że będzie trwała z górą cztery lata, i że padnie w niej blisko dziesięć milionów ofiar... Stąd też nikt nie mógł przewidzieć, że zburzy ona w tak wielkiej mierze ustrój gospodarczy świata i do takiego stopnia zniszczy bogactwo Europy.

Gdy chodzi o Polskę, to komu u nas mogło przyjść do głowy, że znajdujemy się w przededniu takiej wojny, w której jedno z mocarstw rozbiorczych będzie ubezwładnione, niezdolne do walki, dwa zaś pozostałe będą miały przeciw sobie wszystkie inne wielkie mocarstwa? Kto mógł pomyśleć, że na kongresie pokoju po tej wojnie wszystkie trzy mocarstwa, które rozebrały Polskę, będą nieobecne, a Polska będzie w nim brała udział?...

Taki cudowny wynik dała wojna, w której z początku żaden z rządów mocarstw wojujących sprawy odbudowania państwa polskiego nie brał pod uwagę, w której wyraz „kwestia polska” przez dłuższy czas nawet nie był wymawiany. Do Polaków zwracali się tylko dowódcy armii wojujących na ziemi polskiej.

Źródła tego, co się stało, przede wszystkim należy szukać w polityce Niemiec, która tak potężną przeciw sobie wywołała koalicję. Często w początku wojny powtarzałem, że gdyby Niemcy miały w XX stuleciu Bismarcka albo równego mu męża stanu, nigdy by nie doszły do wojny jednocześnie z Anglią i z Rosją, mając jednego niewątpliwego przeciwnika, Francję. Byłyby zapewniły sobie neutralność albo Rosji, albo Anglii, w zależności od tego, co w swej polityce uważałyby za pilniejsze. Dla powstrzymania Rosji od wojny wystarczyło hamować zapędy Austrii na Bałkanach, powstrzymać ją już w 1908 roku od aneksji Bośni i Hercegowiny, a przynajmniej od załatwienia tej sprawy tak niby sprytnie, a tak niezdarnie. Bardzo pacyfistycznie usposobionej Anglii mogły Niemcy w wojnę nie wciągnąć, prowadząc politykę oceanową w sposób mniej zaczepny, w mniej gwałtownym tempie powiększając kredyty morskie, mniej strasząc nawet inwazją na wyspę, wreszcie nie prowokując jej w ostatniej chwili pogwałceniem neutralności Belgii. Mądrzejsza polityka, nie ustępując nic z wielkich planów podbojowych, nie robiłaby wszystkiego naraz, rozłożyłaby sobie tę wojnę na dwie: załatwiłaby się najpierw z jednym z wymienionych dwóch państw, a po pewnym czasie z drugim. Wszystkie niemal warunki do takiego załatwienia Niemcy posiadały. Gdyby im się to udało, Polsce pozostałby los drobnego narodka w służbie pierwszej potęgi świata.

Drugim wielkim źródłem tego, co się stało, był potężny ostatnimi czasy rozwój pacyfizmu w Europie, który w Anglii stał się nawet wyznaniem wiary liberalnych kierowników nawy państwowej. Można cały tom złożyć z opinii pacyfistycznych, wypowiedzianych przed wojną przez Asquitha, Lloyd'a George'a, Haldane'a, z ich mów

uspokajających opinię co do zamiarów Niemiec, przedstawiających je jako naród miłujący pokój i nieżywiący żadnych napastniczych zamiarów; wszyscy pamiętamy rozpaczliwą i przegraną ostatecznie walkę lorda Roberta z opinią angielską o jego program uzbrojenia Anglii.

W żadnym okresie dziejów nie było tyle, tak gęsto następujących jedna po drugiej wojen, co w okresie rozkwitu pacyfizmu w Europie; zaćmił też on całą historię świata katastrofą wielkiej wojny europejskiej, liczbą ofiar na polach bitew, faktów mordowania bezbronnej ludności cywilnej, rabunku mienia i planowego niszczenia owoców pracy ludzkiej, okrucieństwem używanej broni, wreszcie sumą wypowiedzianego kłamstwa.

Rzymianie, którzy wcale nie byli najgłupszym narodem, mówili: chcesz mieć pokój – przygotuj wojnę. Europa od paru dziesiątków lat hałaśliwie przygotowywała pokój powszechny i doszła do powszechnej wojny, największej, najstraszniejszej, jaką świat widział.

Co najgorsze, wydaje się, że nauka wcale nie poskutkowała. Organizacje, które szerzyły propagandę pacyfistyczną, widocznie wcale nie poczuwają się do odpowiedzialności za tę wojnę i dalej w tym samym kierunku pracują.

Tymczasem odpowiedzialność tu jest bardzo wyraźna, w dwóch zwłaszcza punktach. Po pierwsze, nastrój pacyfistyczny u przeciwników, a zwłaszcza w Anglii, był jednym z głównych powodów, dla których Niemcy odważyły się wypowiedzieć wojnę. Po drugie, będące wynikiem akcji pacyfistów niedostateczne przygotowanie Francji i całkowite, gdy mowa o armii lądowej, nieprzygotowanie Anglii sprawiło, że wojna tak długo trwała. Trzeba było we Francji kompletować uzbrojenie, a w Anglii tworzyć dopiero armię, gdy tymczasem na froncie mordowano ludzi po kilka tysięcy dziennie.

Pacyfizm ostatnich czasów ma tę zasługę, że zapewnił milionom ludzi w pełni sił pokój wieczny.

To mówię z ogólnoludzkiego punktu widzenia; bo gdy chodzi o Polskę, to ona na tym wszystkim wygrała. Tylko w tak długiej wojnie sprawa polska, głęboko pogrzebana i zapomniana przez politykę europejską, mogła dojrzeć do całkowitego rozwiązania.

Takiego rozwiązania nikt z nas z początku wojny nie przewidywał. Byliśmy pewni, że wojna między Rosją a Niemcami jest prędzej czy później nieunikniona; oczekiwaliśmy, że przy istniejących sojuszach będą w nią wciągnięte i niektóre inne państwa; ale takiego jej rozszerzenia się i takiego przebiegu nigdyśmy nie przypuszczali. Nie mieliśmy wątpliwości, że Polska prędzej czy później odzyska niepodległość, ale że rozwiązanie kwestii nie odbędzie się w paru aktach, oddzielonych od siebie mniejszą lub większą przestrzenią czasu, że będzie ona rozstrzygnięta w jednym, wielkim akcie, że państwo polskie powstanie od razu na obszarze bardzo bliskim tego, któreśmy sobie jako cel postawili – o tym tylko można było marzyć.

Powiedziałem już raz, że w społeczeństwie naszym za wielu jest takich, co w polityce chcieliby tylko zbierać, orać zaś i siać nie chcą. Istotnie, odbudowanie Polski jest to żniwo bez odpowiedniego wysiłku z naszej strony. Ta praca, którą włożyliśmy w orkę

i siew, wcale nie upoważniała do nadziei na tak wielki plon. Trzeba, żeby to u nas wiedziano, żeby rozumiano, iż na to, co mamy, dopiero trzeba zarobić.

Muszę się przyznać, że kiedy w połowie lipca 1914 roku było już widoczne, że wybuch wojny jest kwestią tylko tygodni, nie wywołało to u mnie entuzjazmu. Ta wojna – mówiłem do przyjaciół – przychodzi dla nas o dobrych kilka lat za wcześnie. Za małośmy zrobili dla przygotowania do niej społeczeństwa i nieprzygotowany jest grunt dla sprawy polskiej za granicą. Cóż tu można zdobyć z pokoleniem tak mało rozumiejącym istotę sprawy polskiej, tak słabo posiadającym zmysł polityczny, tak wyczerpanym z politycznej energii? Jak można doprowadzić do poważnego rozstrzygnięcia kwestii, która jeszcze nie stoi wcale na porządku dziennym polityki międzynarodowej? Na dodatek, tyle mamy żywiołów bezmózgich, ale ruchliwych, które zrobią wszystko, co można, żeby popsuć sprawę...

Z pobytu w Londynie i w Paryżu w ostatnich dwóch tygodniach przed wojną odniosłem wrażenie, że i tam opinia publiczna do wojny stojącej za progiem nie jest przygotowana. W Anglii wszyscy byli zajęci sprawą irlandzką, we Francji zaś nad wszystkim górowała sprawa zabójstwa Calmetta przez panią Caillaux.

Siedziałem na tarasie Izby Gmin w towarzystwie paru posłów i jednego członka rządu.

– Czyż wy nie wiecie – zapytałem – że na kontynencie lada chwila wybuchnie wielka wojna?

– To jeszcze nie tak prędko – odpowiedziano mi z flegmą angielską, dziwiąc się, że my bierzemy rzecz tak poważnie.

Ale tam istniał aparat państwowy i tam społeczeństwo miało swój rząd, który je podczas wojny prowadził. U nas zaś wszystko polegało na dobrowolnych wysiłkach, a przy niedostatecznej organizacji opinii pozostawało otwarte pole dla wszelkiej inicjatywy, choćby najmniej powołanej, choćby nic wspólnego nie mającej z dążeniami narodu.

Trzeba jasno sobie zdać sprawę z tego, że poprzedzające wojnę dziesięciolecie, któremu poświęciłem część drugą tej pracy, było okresem walki o samoistność polityki polskiej.

Chcąc zdobyć niepodległość Polski, trzeba było przedtem zdobyć niepodległość polskiej polityki. Trzeba było zorganizować politykę niezależną od jakichkolwiek obcych wpływów, zarówno od wpływów tego, czy innego państwa, jak i od międzynarodowych. Zresztą, nawiasem mówiąc, wpływy międzynarodowe zazwyczaj także służą interesom jakiegoś jednego narodu, który ma przewagę w danej organizacji międzynarodowej. Najlepszym tego przykładem socjalna demokracja ze swoim hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”. Przewagę nad organizacjami wszystkich krajów miała Socjalna Demokracja niemiecka i zużytkowała swój wpływ na rzecz interesów niemieckich, co się najjaskrawiej uwydatniło podczas wojny.

Trzeba było również zabezpieczyć politykę naszą od inwazji interesów partykularnych, które by ją musiały odprowadzić od głównego celu.

Nasza literatura polityczna w ciągu tego okresu jest pełna odgłosów tej walki. Usiłowaliśmy wyprzeć z naszej polityki i wpływy niemieckie, i austriackie, i rosyjskie, i żydowskie, i socjalistyczne, i wolnomularskie; zapanować nad interesami i ambicjami grup społecznych i jednostek; osiągnąć to, żeby polityka polska służyła tylko polskiej sprawie i z poczucia polskiego dobra wyłącznie brała natchnienia. Dlatego mieliśmy tylu i tak różnorodnych przeciwników. Uważaliśmy, że Polska jest za biedna, położenie jej zbyt ciężkie, wyzwolenie zbyt trudne, ażebyśmy mieli pracować na kogokolwiek prócz własnego narodu.

Tu trzeba zauważyć, że pojęcie samoistności polityki narodowej dawno się już w Polsce zatarło. Z postępowaniem dezorganizacji Rzeczypospolitej, przy braku rządu, a co za tym idzie, braku mózgu kierowniczego w państwie, zanikała i polska polityka państwowa. Na długo przed rozbiorem mieliśmy już w Rzeczypospolitej tylko politykę francuską, szwedzką, rakuską, rosyjską, pruską, tylko nie było polityki polskiej. Nie było jej i po rozbiorach, ani w dobie napoleońskiej, ani w powstaniach, ani w okresie rozpoczętym przez wystąpienie szkoły krakowskiej.

Naszym ambitnym celem było stworzenie polityki polskiej nienaśladowanej niewolniczo cudzych wzorów, nieczepiającej się obcego wozu, samoistną twórczością polską idącej naprzód i zmierzającej do polskich tylko celów. I jeżeli z czegoś jestem dumny, to właśnie z naszego wysiłku myśli i woli w tej dziedzinie.

Z tej pracy zebraliśmy owoce, gdy przyszło do działania. Kiedy wybuchła wojna, nie otrzymywaliśmy od nikogo rozkazów, wskazówek, rad będących rozkazami – robiliśmy to, co nam nakazywał rozum i sumienie. Przekonałem się podczas wojny, że należeliśmy w tym względzie do wyjątkowo uprzywilejowanych, nie tylko w Polsce...

Gdyby chodziło o zaspokojenie ambicji osobistych, o karierę jednostek, nie był to przywilej: byliśmy pozbawieni reklamy, protekcji itp. Gdy wszakże chodziło o sprawę polską, była to wielka siła. Cóż by nam przyszło z poparcia najpotężniejszych czynników, gdybyśmy jednocześnie z tym poparciem otrzymywali wskazówki, że trzeba złożyć taką lub inną deklarację, że trzeba bądź zrzec się ziem zaboru pruskiego, bądź oświadczyć, że terytorialny dostęp do Bałtyku jest nam niepotrzebny, bądź wycofać się z Galicji Wschodniej czy z Wilna...

Ludzie, którym w głowach nie mogło się pomieścić, że mogłaby istnieć samoistna polityka polska, wieszali nam po zwycięstwie, że postawiliśmy na dobrego konia. Myśmy nie stawiali na konie – myśmy sami szli do mety. Do zdecydowania, jaką drogą pójść w tej wojnie, wcale nam nie było potrzebne zastanawianie się nad tym, kto wygra. Wystarczyło wiedzieć, po której stronie leży dobro Polski. Gdybyśmy wiedzieli, że państwa sprzymierzone mają minimalne widoki zwycięstwa, z tym większą energią stanęlibyśmy po ich stronie, do tym większych wysiłków na ich rzecz powoływalibyśmy

naród, żeby tę szansę choć trochę, w miarę naszych sił zwiększyć. Bo wiedzieliśmy, że zwycięstwo państw centralnych – to grób dla Polski.

Ktoś mnie podczas wojny zapytał:

– Czy pan się zastanawiał nad tym, że alianci mogą przegrać i że pewnie przegrają, i że pan osobiście też za to zapłaci?

– Jeżeli Polska przegra – odrzekłem – to cóż moja osobista przegrana będzie wobec tego znaczyła?... Wolę ze zwyciężonymi cierpieć z powodu klęski, która będzie największą dla Polski klęską, niż ze zwycięzcami być jej grabarzem.

Tak, to nie była kalkulacja, kto wygra – to była walka o przyszłość Polski przeciw potędze, która jej śmierć gotowała.

Nie wiedzieliśmy, co ta wojna da nam bezpośrednio, ale gdyby nawet miała nic nie dać, to powalenie potęgi niemieckiej było celem, dla którego warto było stanąć w szeregach jej wrogów. Kto zadał sobie trud zrozumienia przeszłości Polski i jej położenia w ostatnich czasach, kto pojmował je tak, jak myśmy je pojmowali, kto nie zadowalał się widokami na karierę małego narodku w służbie obcej, ten łatwo zrozumie to, co w tej chwili powiedziałem.

Zwycięstwo nad Niemcami, zdruzgotanie ich potęgi – to była pierwsza rzecz, której od tej wojny oczekiwaliśmy. Bo to był pierwszy, najgłówniejszy warunek odbudowania niepodległej Polski.

I pierwsza rzecz, którą bezpośrednio dla siebie postanowiliśmy osiągnąć – to oderwanie od państwa niemieckiego ziem polskich.

W oderwaniu ziem polskich od Prus tkwiła dla nas decyzja o przyszłości Polski. Bez odbudowania na razie państwa było ono dla tej przyszłości o wiele ważniejsze niż ustanowienie niezawisłego formalnie państewka z pozostawieniem tych ziem w rękach niemieckich. I było ono pilniejsze. Państwo polskie w tej czy innej postaci, na większym lub mniejszym obszarze, prędzej czy później musiało się zjawić na nowo. Tymczasem, z oderwaniem ziem zaboru pruskiego kwestia się przedstawiała: teraz albo nigdy. W tej sprawie wybiła już, jak mówią Anglicy, jedenasta godzina. Pozostawienie tych ziem po wojnie w ręku pruskim byłoby postawieniem nad nimi krzyża. Tego mogli nie rozumieć tylko ci, którzy całkiem nie znali położenia tych ziem przed wojną, którzy nie wiedzieli o sile organizacji niemieckiej. Lekceważyć zaś ich los mogli tylko ci, którzy nie mieli pojęcia o tym, co to jest Polska.

I dziś to powiadam, że jeżeli się odwróciła wielka karta dziejów, to odwróciła się ona przede wszystkim w Poznaniu, na Pomorzu, na Śląsku. Nic mi nie daje takiego poczucia zwycięstwa, takiej wiary w przyszłość, jak to, że stąkam po tej starej ziemi wielkopolskiej nie jako tolerowany za ledwie przez jej panów przybysz, ale jako jej prawy, razem z całym narodem, dziedzic i gospodarz.

Skupienie uwagi na ziemiach zaboru pruskiego nie było rzeczą wyłącznie naszego obozu. Od dziesiątków lat społeczeństwo nasze we wszystkich zaborach poświęcało

główną uwagę tej dzielnicy. Każdy, kto czuł i myślał po polsku, z biciem serca śledził przebieg tej zaciętej walki, prowadzonej przez naszych rodaków z napierającą na nich niemczyzną. Prasa była pełna spraw zaboru pruskiego, ludzie przy spotkaniu dzielili się przychodzącymi stamtąd wieściami, pod strzechami rodzinnymi szły długie rozmowy o losach tej naszej ziemi. Dzieckiem byłem, gdy patrzył na rozpacz ojca po Metz i Sedan, a potem słuchał rozmów między starszymi o *Kulturkampfie* i o polityce germanizacyjnej. To zajęcie się dzielnicą pruską nie słabło do ostatnich chwil przed wojną, bo walka ciągle się zaostrzała, zjawiały się coraz nowe ustawy antypolskie, napór niemiecki był coraz silniejszy, obrona coraz zawziętsza. Rozumiano, że gdy w zaborze rosyjskim stoi kwestia mniejszego czy większego ucisku i prześladowania, postępu lub zatrzymania w rozwoju cywilizacyjnym, mniejszej czy większej sumy cierpienia polskiego – tam „pod Prusakiem” ziemia usuwa się spod nóg, tam staje trwożliwe pytanie, czy polskość na tej ziemi długo jeszcze się utrzyma... Każdy świadomy Polak, zasługujący na to miano, rozumiał lub przynajmniej instynktownie czuł, że tam rozgrywają się losy narodu.

I oto w chwili największej grozy i najsilniejszego napięcia, po wprowadzeniu w życie ustawy o wywłaszczeniu, błyska na widnokręgu zorza nadziei: Niemcy mają wojnę, i to wojnę nie byle jaką – z Francją, Anglią i Rosją. W zaborze pruskim zapanowuje rozsadzające pierś uczucie, to samo, które ogarnia załogę oblężonej i wściekle atakowanej twierdzy na widok odsieczy. Uczucie to dzieli z nią cały naród, we wszystkich żywiołach naprawdę czujących i myślących po polsku...

Czyż w takiej atmosferze było wielkim bohaterstwem i wielką zasługą postawienie na czele naszych celów wojennych oderwania ziem zaboru pruskiego?...

Toż to była rzecz taka prosta i taka naturalna. To była pierwsza litera alfabetu politycznego, ma się rozumieć, alfabetu polityki polskiej, polityki samoistnej, wolnej od obcych wpływów.

Wspominam ten zapał, który wokoło nas ogarniał ludzi, tę wiarę w odzyskanie naszych ziem zachodnich, kolebki narodu, i te powtarzam często za Sędzią z *Pana Tadeusza* słowa:

Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze!

Nie łudziłem się, żeby oderwanie ziem polskich od Niemiec miało być automatycznym skutkiem wygranej wojny, ani żeby to była rzecz łatwa nawet w razie najbardziej decydującego zwycięstwa sprzymierzonych.

Wiedziałem, jak wielkie znaczenie ma posiadanie tych ziem dla celów polityki pruskiej, i nieobca mi była potęga wpływów niemieckich w rozmaitych krajach europejskich, zwłaszcza w Rosji, a nawet i w Anglii. Rozumiałem, że żywioły reprezentujące te wpływy przycichną podczas wojny, ale w chwili zawierania pokoju podniosą głowę.

Znając jako tako Anglię, jej historię, jej literaturę polityczną, sposób myślenia jej społeczeństwa, wiedziałem, że jest tam wiele jeszcze tradycyjnej sympatii do Prus, sojusznika w ciągu półtora stulecia, że pojęcia angielskie o Polsce urabiały się w znacznej

mierze pod wpływami naszych wrogów, że wreszcie Anglia będzie przywiązywała znaczenie przede wszystkim do zniszczenia potęgi morskiej Niemiec, do zlikwidowania ich roli poza Europą, że tym celom skłonna będzie podporządkować sprawy kontynentu. Podczas wojny i konferencji pokojowej okazało się, że były jeszcze inne przeszkody dla naszej sprawy w opinii i polityce angielskiej.

W początku wojny w rozmowie z przyjacielem moim, liberalnym Anglikiem, człowiekiem niewątpliwie życzliwym Polsce, powiedziałem, że dążymy do odebrania Niemcom między innymi Prus Zachodnich wraz z ujściem Wisły i Gdańskiem.

– Nigdy! – krzyknął – nigdy się nie zgodzimy na odcięcie Prus Wschodnich od reszty Niemiec. Toż to ojczyzna Kanta, Steina, Hardenberga, to ziemia, z której wychodziło odrodzenie Prus!...

Namiętność, z jaką to mówił, zmusiła mnie do głębokiego zastanowienia...

Nie można było również przypuścić, żeby sfery rządzące w Rosji nie rozumiały, iż wyzwolenie ziem zaboru pruskiego to początek odbudowania Polski, i to Polski nie byle jakiej. Było do przewidzenia, a od początku wojny nie brakowało po temu wyraźnych objawów, że będą one dążyły do pozostawienia Poznania w rękach niemieckich.

Z tej strony największe miałem obawy, pomimo że pierwsze moje po wybuchu wojny zetknięcie z rządem rosyjskim w osobie ministra spraw zagranicznych, Sazonowa, nie dało mi do tych obaw powodu.

Kiedy w początku wojny, w powrocie z Zachodu do kraju, przybyłem przez Szwecję i Finlandię do Petersburga, widziałem się z Sazonowem, który rozmowę ze mną zakończył propozycją, ażebym zasiadł przy mapie z dyrektorem departamentu politycznego i wytknął zachodnią granicę Polski. Tym sposobem nasza granica zachodnia, ta sama, którą później wykreśliliśmy na mapie Komitetu Narodowego w Paryżu i której broniłem na konferencji pokojowej, była znana rosyjskiemu ministerstwu spraw zagranicznych już od wybuchu wojny.

Trzeba tu wszakże przypomnieć, że w Rosji istniała wielka rozbieżność między ministerstwami, w szczególności pomiędzy ministerstwem spraw zagranicznych a resztą rządu. W najważniejszych sprawach Sazonow mógł myśleć jedno, a Goremykin drugie.

Można było wszakże oczekiwać, że z chwilą kiedy w polityce Rosji nastąpił tak doniosły zwrot, kiedy zdecydowała się ona na wojnę z Niemcami, musi też przyjść głęboka zmiana w poglądach na wiele spraw, w szczególności na sprawę polską. Obóz przeciwniemiecki rósł tam szybko w siłę, i dążenie do oderwania od Prus ziem polskich stało się szczerym dążeniem wielu wpływowych ludzi.

Zredukowanie potęgi Niemiec w Europie – dla odebrania im dotychczasowej przewagi, dla zabezpieczenia się na przyszłość – musiało być postulatem polityki rosyjskiej i, przede wszystkim, francuskiej. Były też wpływowe koła w Anglii, mianowicie w obozie konserwatywnym, które ten postulat uznawały. W jego urzeczywistnieniu, na porządku dziennym pertraktacji pokojowych po zwycięstwie musiała stanąć na czele

kwestia odcięcia od cesarstwa wszystkich ziem nieniemieckich: Alzacji i Lotaryngii, duńskiego Szlezewiku, wreszcie największym obszarem i liczbą ludności ziem polskich – Poznańskiego, Prus Zachodnich, Górnego Śląska i części lub całych Prus Wschodnich.

W dzisiejszej Europie polityka zewnętrzna nie jest wyłącznie dziełem gabinetów. Pierwszorzędną w niej rolę odgrywa opinia publiczna krajów. Można było mieć pewność, że w tej sprawie nacisk opinii będzie bardzo silny, że będzie ona domagała się, ażeby ofiary poniesione w wojnie były zapłacone pokojem, który zabezpieczy Europę od ciężkiej ostatnimi czasy zmory, od gotowej zawsze do napaści potęgi niemieckiej.

Drugi wielki skutek, jakiego oczekiwaliśmy od zwycięstwa sprzymierzonych nad państwami centralnymi – to likwidacja monarchii austriacko-węgierskiej jako anachronizmu, którego dalsze istnienie tylko Niemcom było potrzebne. Dla tego celu postanowiliśmy pracować, nie oszczędzając wysiłków, i pracowaliśmy konsekwentnie podczas całej wojny, idąc razem z narodami środkowej i południowo-wschodniej Europy: z Czechami, Serbami i Rumunami. Trzeba było zburzyć ruderę austriacką, ażeby zrobić miejsce dla nowych państw narodowych, które nie będą tak jak ona ekspozyturą niemiecką. Było to konieczne, jeżeli się myślało o niepodległej naprawdę Polsce, mającej samoistną pozycję międzynarodową.

Z likwidacją Austrii przychodziło wyzwolenie spod jej rządów Galicji.

Tu budziły pewien niepokój apetyty rosyjskie na wschodnią Galicję. Jednakże nie trzeba zapominać, że były to apetyty sztuczne, obudzone przez propagandę doktrynerską, nieliczącą się z politycznym stanem rzeczy. Trzeźwiejsi Rosjanie rozumieli dobrze, że za drogo mogłoby kosztować Rosję wprowadzenie do jej organizmu państwowego gniazda wyhodowanego przez Austrię ukrainizmu, a z tym – najmniej półtora miliona Polaków, nienagiętych do instytucji państwowych rosyjskich. Niezawodnie bliższe przyjrzenie się temu krajowi znacznie by ochłodziło zapał do przygarnięcia tej „ziemi rosyjskiej”.

Teraz proszę czytelnika o chwilę skupienia myśli.

Przypuśćmy, że Rosja przetrwała wojnę bez rewolucji, że wyszła z niej zwycięska na równi ze swymi sprzymierzeńcami. Niemcy powalone, Austria w rozkładzie. Traktat pokoju odcina od Niemiec wymienione wyżej ziemie nieniemieckie, na gruzach zaś Austrii ustanawia mniejsze państwa narodowe. Ziemie zaboru pruskiego odeszły od Niemiec, a Galicja od Austrii.

Przypuśćmy dalej, że Rosja chce trwać przy swej polityce względem Polski i z tym zamiarem wciela do swego państwa ziemie zaboru pruskiego i austriackiego. Ma się rozumieć, nie może w tych ziemiach od razu wprowadzić swych instytucji i swego języka państwowego, którego ludność wcale nie zna, i musi dla nich przyjąć pewien okres przejściowy. Ale w tej Rosji już zaczęła się ewolucja ustroju państwowego w kierunku zachodnioeuropejskim, czyniąca ludność państwa uczestniczką rządów...

Już przed wojną Rosja, wobec zmiany swego ustroju państwowego, nie widziała wyjścia w kwestii polskiej. Czy przyłączenie nowych ziem polskich z ludnością wychowaną już w instytucjach zachodnich ułatwiłoby jej to wyjście?...

W bardzo krótkim czasie cała polityka rosyjska względem Polski byłaby doprowadzona do absurdu.

Na pewno można powiedzieć, że rosyjscy mężowie stanu po doświadczeniach przeszłości na taką politykę by nie poszli.

Od pierwszej chwili szukano by wyjścia w takim czy innym odgrodeniu Polski od Rosji, a próby w tym kierunku bardzo rychło doprowadziłyby do odkrycia, że jest jedno tylko wyjście – odbudowanie państwa polskiego.

Przypuszczać, że naród polski, zjednoczony politycznie, przy połączeniu wszystkich swoich sił, mając do czynienia z jednym tylko państwem, a nie z trzema, jęczałby w niewoli – mogli tylko ludzie, niemający żadnej wiary w Polskę, nierozumiejący ducha czasu, wreszcie całkiem pozbawieni wyobraźni politycznej.

W każdej dziedzinie działalności myśli ludzkiej, zwłaszcza tam, gdzie się coś tworzy, trzeba mieć choć trochę wyobraźni. Polityka wymaga jej o wiele więcej, niż się ludziom zdaje. Bez wyobraźni nie można być nawet dobrym krawcem, a cóż dopiero politykiem.

Ci, co ustanawiają prawa, a nie umieją sobie w przybliżeniu wyobrazić, jak te prawa będą działały, jaki wpływ wywrą na rozwój życia, wyrządzają społeczeństwu większe krzywdy niż jego świadomi wrogowie. Szukając rozwiązania zagadnień, trzeba z góry widzieć konkretnie to, co się chce osiągnąć – inaczej można mieć coś całkiem przeciwnego celowi, do którego się dąży.

Brak wyobraźni wielu ludziom u nas przeszkadzał rozumieć sprawę polską. Tym bardziej że dla wielu polityka była literaturą i wyraz znaczył więcej niż rzecz sama.

Kongres wiedeński ustanowił państwo polskie, ba, nawet dwa, bo Królestwo Polskie i Rzeczpospolitą Krakowską. W rezultacie sprawa polska została pogrążona na całe stulecie. Gdyby ten kongres nie ustanowił państwa, ale zjednoczył wszystkie ziemie polskie w granicach jednego państwa, już dawno mielibyśmy niepodległość. Bo mielibyśmy wszystkie siły nasze skupione, a przeciw sobie tylko jedno mocarstwo, bo jedno jedyne byłoby zainteresowane w naszej niewoli.

Powiedzą mi na to, że Królestwo Kongresowe, choć miało swą konstytucję, swój rząd, swój sejm, swoją armię, nie było niepodległym państwem. Prawda, ale ja pozwolę sobie zapytać: czy Polska, wchodząca w skład monarchii habsburskiej, ze wspólną dla całej monarchii armią, a tylko z częścią siły zbrojnej, „obroną krajową”, odrębną – bo do takiej Polski dążyli w chwili wybuchu wojny „niepodległościowcy” w Galicji – miałyby większy stopień niepodległości? Wprawdzie Austria to nie Rosja, i stosunek sił krajów pozostających pod jednym berłem nie byłby na oko tak niekorzystny. Wyobraźmy sobie wszakże, jakby ta solucja konkretnie wyglądała...

Przypuśćmy, że Niemcy nie przeszkodziłyby takiemu rozwiązaniu i że monarchia habsburska zamieniła się na potrójną: Austria, Węgry, Polska. Austria, uszczuplona o Galicję, stałaby się bardziej niemiecka, niż była przed wojną, niemiecki charakter jej

polityki wzmocniłby się i zaostrzył; Węgry, które swoje panowanie nad Słowianami mogły tylko przy oparciu o Niemców utrzymać, w obawie przed słowiańską Polską związałyby się tym silniej z niemiecką Austrią; wreszcie obie te części składowe monarchii, jak przed wojną, szukałyby oparcia w wielkim sojuszniku, w Cesarstwie Niemieckim. To znaczy, że mała Polska – bo przecież nie marzono nawet przy stawianiu tego programu o zjednoczeniu wszystkich ziem polskich – weszłaby w system, w którym miałyby przeciw sobie Austrię, Węgry i Cesarstwo Niemieckie. Jeżeli wziąć przy tym pod uwagę różnicę sił i zdolności organizacyjnych Niemiec i wszystkich innych ludów środkowo-wschodniej Europy, dysproporcja sił byłaby o wiele większa niż w roku 1815 między Królestwem Polskim a Cesarstwem Rosyjskim.

A może Królestwo ustanowione aktem dwóch cesarzy 5 listopada

1916 roku, o ile by się przy zawarciu pokoju utrzymało, byłoby mniej zależne od Niemiec niż Królestwo Kongresowe w 1815–1830 roku od Rosji? Tego chyba nikt twierdzić nie będzie. A jeżeli tak, to czy jego losy miały wielkie szanse być lepsze od tamtego?...

To trzeba było już od dawna zrozumieć, że jakiegokolwiek państwo polskie, przez kogokolwiek ustanowione na części tylko obszaru narodowego polskiego, nie może być państwem niepodległym. Jego niepodległość zawsze byłaby fikcją i efemerydą.

Ten, kto naprawdę chciał niepodległej Polski, musiał przede wszystkim dążyć do jej zjednoczenia.

Niestety, znaczna część pokolenia, które w 1914 roku stanęło wobec wielkiej wojny europejskiej, tak już miała podcięte skrzydła, że nie śmiała myśleć o niepodległej naprawdę Polsce.

Żadne z państw wstępujących w wojnę nie ogłosiło skończonego programu żądań, jakie wystawi przy zawieraniu pokoju, po odniesionym zwycięstwie. W żadnym nie wiedziano przez długi czas po rozpoczęciu wojny, jak daleko żądania te pójda, i nie zawsze nawet, jaki przybiorą kierunek. Bo nikt nie wiedział, jak się wojna rozwinie i czym się zakończy. Cele wojny zarówno w opinii publicznej krajów, jak i w umysłach ludzi rządzących kształtowały się stopniowo, w miarę jej rozwoju.

Nawet w wojnie między dwoma tylko państwami, gdzie się ścierają dwie tylko polityki, nie można ściśle przewidzieć, jak daleko pójda żądania, bo to zależy od sumy wysiłku, którego wojna będzie wymagała, i od rozmiarów zwycięstwa. A cóż dopiero w wojnie, w której wzięło udział tyle państw, w której istniała sprzeczność interesów i dążeń nie tylko między przeciwnikami, ale także pomiędzy sojusznikami po jednej stronie wojującej.

Dobra polityka zewnętrzna, w wojnie czy w pokoju, polega na tym, żeby jej kierownicy posiadali jasną świadomość głównych celów, maksimum dążeń państwa w danym momencie dziejowym, ale żeby je wysuwali i realizowali stopniowo, w miarę jak się zjawiają sprzyjające po temu warunki. Nie wymaga ona wcale ogłaszania celów, na których realizację czas jeszcze nie przyszedł; przeciwnie, nakazuje często o

najważniejszych celach milczeć, ażeby przedwczesne ogłoszenie realizacji ich nie oddaliło.

Jeżeli rządy państw potężnych uważały za konieczne przestrzeganie powyższych prawideł w swej polityce, to cóż dopiero mówić o narodzie bez państwa, którego rola w roku 1914 była mniej niż skromną rolą ludności teatru wojny na jednym z dwóch głównych jej frontów; którego synowie, zaciągnięci przymusowo do trzech armii, szli jak niewolnicy jedni przeciw drugim w bój tragiczny, poniżający bój o cudzą sprawę; który wreszcie miał wrogów swoich dążeń po obu stronach wojujących. Jeżeli od kogoś, to od tego właśnie narodu położenie wymagało jak najwyraźniejszej świadomości celów, jak najbardziej obmyślanego planu, jak najściślejszej ostrożności w jego wykonaniu, a jednocześnie śmiałych decyzji, gdy przyjdzie chwila na odpowiednie posunięcie. Tylko działanie odpowiadające tym wszystkim warunkom mogło coś dla Polski w tej wojnie zdobyć – ile, to nie od nas zależało – tylko takie działanie można było nazywać polityką polską.

Jakież mógł być cel narodu polskiego w chwili wybuchu wojny europejskiej, w którą wciągnięte zostały od razu wszystkie nieomal potęgi światowe?

Czy mógł być inny niż odzyskanie należnego mu stanowiska w szeregu narodów świata?...

Tak, ale trzeba było rozumieć, co to znaczy: w jakich warunkach możemy stać się na nowo narodem niezawisłym, mającym swą samoistną pozycję w Europie.

Ta garść najbliższych mi ludzi, z którymi całe życie pracowałem, znalazła sobie odpowiedź na to pytanie już na kilkanaście lat przed wybuchem wojny. W pierwszej części tej pracy podałem krótkie sformułowanie celu, który w naszej świadomości był celem narodu. Dość dokładnie wykreśliliśmy sobie obszar, na którym państwo polskie musi stanąć, jeżeli ma być naprawdę niepodległym państwem, jeżeli byt jego ma być trwały. Rozumieliśmy, że musi się ono oprzeć z jednej strony o Karpaty, z drugiej o Bałtyk, że musi zawrzeć w swoich granicach przede wszystkim całość ziem rdzennie polskich. Widzieliśmy, że najtrudniejszy w urzeczywistnieniu tego celu był punkt jego najważniejszy – dotarcie do Bałtyku i, w ogóle odzyskanie ziem zaboru pruskiego. Jednakże od tego zależało wszystko, cała przyszłość: Polska bez ziem zaboru pruskiego musiała zostać małym państwkiem, bo i na wschodzie musiałaby się odpowiednio cofnąć; Polska bez morza zawsze byłaby niewolnicą potężnego sąsiada.

Rozumieliśmy też, że losy państwa zależą nie tylko od tego, jakim jest ono samo, ale i od tego, jakich ma sąsiadów. Trudno było marzyć o niepodległej Polsce przy ciągłym wzroście nie tylko przygniatającej nas, ale grożącej całemu światu potęgi Niemiec, która nadto, uzależniwszy od siebie Austro-Węgry, odgradzała nas nieprzerwanym murem od Zachodu. Stąd obalenie potęgi niemieckiej i zburzenie Austrii były w pojęciu naszym celami pierwszej wagi.

Cel był olbrzymi. Dla większości ówczesnych polityków w Polsce mniejsze o wiele zamiary wychodziły poza sferę myślenia realnego, były fantazją. Ja muszę powiedzieć, że

choć nie uważałem się nigdy za człowieka pozbawionego poczucia rzeczywistości, nie poczytywałem go nigdy za nieziszczalny. Zawsze było tak w dziejach, że gdy jedno mocarstwo wyrastało na zagrażającą wszystkim innym potęgę, wywoływało koalicje państw zagrożonych, które tę potęgę obalały. Czy to było imperium Karola V i Filipa II, czy potęga Ludwika XIV, czy wreszcie Napoleona I – zawsze się jednakowo kończyło. Sądziłem, że tak się musi skończyć i z potęgą niemiecką za Wilhelma II. A wtedy najśmielsze nadzieje mogły się spełnić.

W dobie popowstańczej u nas publiczności szkoły krakowskiej, potępiający powstania, wiele się znęcali nad młodzieńczymi słowami Mickiewicza:

*Mierz siłę na zamiary
Nie zamiar podług sił.*

Nie to było grzechem organizatorów powstań, że „mierzyli siły na zamiary”, ale to, że zamiary ich nie były mądre, a właściwie nawet, że zapytani o swe zamiary nie umieliby dać odpowiedzi, bo nie wiedzieli dobrze, do czego dążą. Zasady „mierzenia zamiaru według sił”, w istocie słusznej, bardzo łatwo nadużywać dla usprawiedliwienia lenistwa i braku odwagi. Tymczasem wielkie zamiary, wielkie cele, bardzo na pozór przerastające siły, bywają przeważnie urzeczywistniane, jeżeli ci, co je sobie stawiają, wiedzą dobrze, do czego idą, i wszystkie swe siły ku jednemu zwrócą celowi. Wtedy siły rosną ponad oczekiwanie.

W roku 1914 koalicja państw przeciw potędze niemieckiej stała się faktem, i wybuchła wielka wojna europejska. Okazało się, że cel, ku któremu oczy nasze były zwrócone, nie był fantazją, że otwiera się droga do jego urzeczywistnienia. W jakiej mierze? Któż to mógł przewidzieć?...

Trzeba było tylko nie tracić celu z oczu, zmierzać ku niemu konsekwentnie, urzeczywistniać to, na co warunki pozwolą, robić wszystko, co nas do celu zbliża, nie robić nic, co nas od niego oddala; osiągnąć stopniowo w kierunku ostatecznego celu wszystko, co się da, i nie zamykać sobie drogi do osiągnięcia reszty.

Tak pojęliśmy politykę polską podczas wielkiej wojny.

Jedno było pewne – że w razie zwycięstwa koalicji, potęga niemiecka będzie powalona; osiągnięty będzie pierwszy, najgłówniejszy warunek odbudowania Polski. Jeżeli z tym się połączy zlikwidowanie Austrii, jeżeli ziemie zaboru pruskiego i austriackiego będą oderwane od państw centralnych, jeżeli tym sposobem zjednoczenie ziem polskich stanie się faktem – najważniejsze będzie zrobione. Reszta w porównaniu z tym będzie rzeczą łatwą.

Mówi się często u nas o dwóch równorzędnych orientacjach, o dwóch przeciwnych kierunkach polityki polskiej podczas wojny, z których jeden wygrał, bo strona wojująca, z którą poszedł, wygrała. Nie – była tylko jedna polityka polska.

Państwo czy naród w danym momencie dziejowym nie ma dziesięciu polityk do wyboru. Interesy jego i jego położenie wskazują mu, jakie są główne jego cele w danym

okresie, których ani na chwilę z oka spuszczać nie wolno, a jakie drugorzędne, które w razie potrzeby można tamtym podporządkować; kto jest jego głównym wrogiem, a z kim należy zawrzeć sojusz. Słowem, dyktują mu jedną tylko politykę ogólną, którą w szczegółach można pojmować i przeprowadzać rozmaicie, ale od której zasadnicze odchylenie zawsze jest błędem. To zaś, co się jej przeciwstawia, jest działaniem przeciw interesom narodu. Nigdzie ta prawda nie znajduje tak dobitnego potwierdzenia, jak w sprawie polskiej podczas wielkiej wojny.

Sprawa polska w wojnie, która wybuchła w roku 1914, przedstawiała się tak, jak to przed chwilą wyłuszczyłem, i inaczej przedstawiać się nie mogła. Tylko takie jej pojmowanie mogło być punktem wyjścia do polityki istotnie polskiej. Działania wychodzące z innego założenia albo nie były polityką, albo nie były polityką polską.

Dlatego to w zarysie obecnym mówię właściwie o jednej tylko polityce jako o polityce polskiej. I to nie dlatego tylko, że ona cel zrealizowała, na skutek zwycięstwa koalicji, z którą szła, ale dlatego, że ona ten cel od początku przed oczami miała i szła po jednej drodze, która do niego prowadziła. Jej wygrana była wygraną Polski; gdyby przegrała – pokolenie nasze byłoby świadkiem nowej, wielkiej klęski naszego narodu.

O innych działaniach, wychodzących z innych założeń, innymi drogami idących, wypadnie mi tu nieraz mówić, ale tylko o tyle, o ile odgrywały jakąś rolę w stosunku do tej polityki, do polityki polskiej.

II. POŁOŻENIE PAŃSTW WOJUJĄCYCH

Wojna 1914–1918 roku nie była jedynie wojną w polu. Jednocześnie z operacjami na frontach rozgrywała się niesłychanie energiczna, pełna inicjatywy, obfitująca w różnorodną broń wojna polityczna, której wyniki mogły być i były często o wiele donioślejsze od zwycięstw odnoszonych przez armie. Rozumienie tej walki politycznej, orientowanie się w jej przebiegu było warunkiem powodzenia dla wszystkich uczestników wojny, a dla nas więcej niż dla kogokolwiek.

Pierwszą rzeczą było zdać sobie sprawę z położenia państw wojujących, możliwie znać ich silne i słabe strony polityczne, wiedzieć, jakimi rozporządzają środkami walki i jakie im grożą niebezpieczeństwa. Byliśmy w tym względzie upośledzeni przez to, że nie posiadaliśmy środków, jakie każde państwo ma, na zorganizowanie należytego wywiadu politycznego, musieliśmy polegać głównie na dobrowolnej pomocy rodaków lub życzliwych cudzoziemców; z drugiej strony wszakże nasze położenie przed wojną zmusiło nas do bliższego poznania wielu stron wewnętrznego życia trzech państw posiadających ziemie polskie, co nam pozwalało często lepiej od rządów mocarstw orientować się w ich położeniu i w ich polityce podczas wojny. I to było główną naszą siłą, bo pozwoliło nam uniknąć wielu błędów i nakazywało czasami innym liczyć się z naszym zdaniem, nie tylko gdy chodziło bezpośrednio o sprawę polską.

Żadne z państw wojujących nie było w tak wyjątkowo szczęśliwym położeniu politycznym jak Niemcy, żadne tak się do tej wojny politycznie nie przygotowało, nie mówiąc o tym, że one jedyne były przygotowane wojskowo.

Sprzymierzeńcy Niemiec – Austro-Węgry, a potem Turcja i Bułgaria – nie mieli w sojuszu stanowiska równorzędnego z nimi, ale byli im podporządkowani i wojskowo, i politycznie. Stąd obóz państw centralnych, posiadając ciągłość terytorialną, miał także jedność kierownictwa. Stanowiło to ogromną jego wyższość nad przeciwnikami, którzy byli nie tylko terytorialnie oddaleni, ale z których każdy działał samoistnie, nie zawsze zgodnie z sojusznikami; o ile zaś osiągnano jednolitość działania, wymagało to dużych wysiłków.

Żaden z narodów wojujących nie był tak zwarty wewnątrz, tak zjednoczony w dążeniu do zwycięstwa, tak solidarny ze swym rządem, jak Niemcy. Nigdzie rząd nie korzystał z tak energicznego, pełnego inicjatywy współdziałania wszystkich obozów politycznych. Te obozy, które posiadały wpływy za granicą, jak socjaliści i katolicy, oddawały je na usługi państwa i pracowały dla zwycięstwa Niemiec.

W Niemczech prawie nie było podczas wojny czynnych pacyfistów, przeciwstawiających się wojnie przez ich państwo prowadzonej; organizacje tajne, mające związki z pacyfistami innych krajów, używały swych stosunków dla wytwarzania opozycji pacyfistycznej u przeciwników i paraliżowania tą drogą ich wysiłku. Niepodobna też było wskazać w Niemczech jakichkolwiek kół opinii, pozostających pod wpływami

obcymi, czego nie można było powiedzieć o żadnym z państw sprzymierzonych, które przeciw nim wojowały.

Żaden naród nie miał tak licznej emigracji swojej we wszystkich krajach, w szczególności europejskich. Emigracja ta, w znacznej swej części inteligentna, oddana swemu państwu, od dawna na obczyźnie dla niego pracowała, służyła mu do organizacji sieci wpływów politycznych i szpiegostwa. Na mocy słynnego prawa Delbrücka, pozwalającego po przyjęciu obcego obywatelstwa zachować niemieckie, wielu z tych Niemców zachowało podczas wojny swobodę ruchów w państwach sprzymierzonych, w których byli naturalizowani. To pozwalało Niemcom mieć podczas wojny swych agentów we wszystkich państwach wojujących, agentów korzystających tam z legalnej sytuacji i rozporządzających nieraz ogromnymi wpływami. Był to przywilej, którego żadne z państw wojujących nie posiadało.

Niemiecka Socjalna Demokracja była sztabem głównym dla socjalistów wszystkich krajów. Była ona dla nich najwyższym autorytetem w rzeczach dogmatów i kierowała w znacznej mierze ich taktyką. Umiała ich nawet uzależniać od siebie materialnie: takie organy oficjalne partii socjalistycznych, jak „Avanti!” w Rzymie i „Naprzód” w Krakowie, od dawna figurowały jawnie w sprawozdaniach Niemieckiej Demokracji Socjalnej jako pobierające stałą subwencję. Z chwilą wybuchu wojny organizacja ta oddała się na usługi państwa niemieckiego, usługi niezmiernie cenne, zważywszy się jej wpływów w Europie.

Niemcy też pracowali od dawna konsekwentnie nad zdobyciem wpływów w Kościele katolickim i mieli zapewne większe wpływy niż jakiegokolwiek inne państwo. To im pozwoliło na czas wojny korzystać ze sprzyjającego stanowiska Watykanu. Jeżeli dodamy do tego rolę i wpływ Żydów niemieckich wśród żydostwa całego świata, a w szczególności w Europie Wschodniej – fakt, że Żydzi w pierwszej połowie wojny związali swe interesy ze zwycięstwem Niemiec i dla niego pracowali – będziemy mieli pełny obraz potężnych wpływów, które dawały Niemcom w wojnie politycznej ogromną wyższość nad przeciwnikami.

Sojusznik, a raczej klient Niemiec, Austro-Węgry znajdowały się natomiast w położeniu wewnętrznym bardzo niebezpiecznym. W różnorodnym składzie narodowym państwa tylko dwa żywioły były pewne, oddane całkowicie sprawie zwycięstwa – Niemcy i Madziarzy. Miała Austria oddane sobie sfery i wśród innych narodów w państwie, ale na masę ich ludności liczyć nie mogła. Tam spotykała się bądź z obojętnością, która łatwo mogła się zmienić w stosunek wrogi, bądź z wyraźnym wrogim usposobieniem, z silnymi sympatiami dla przeciwników. Sympatie te, najsilniejsze wśród Czechów, nie zawsze były bierne. W miarę postępu wojny wyrażały się one coraz silniej w propagandzie na korzyść sprzymierzonych, w wywiadzie dla nich, w licznych dezercjach z armii, za którymi szło wstępowanie w zbrojne szeregi przeciwników, wreszcie w sabotowaniu maszyny państwowej wewnątrz.

Dlatego to Austria była tym państwem wojującym, w którym bez porównania więcej było denuncjacji, sądów doraźnych za zdradę, egzekucji własnych obywateli niż

we wszystkich innych razem. Był to, nawiasem mówiąc, najlepszy dowód, że państwo to straciło rację bytu.

Państwa zachodnie, mające ustrój polityczny o wiele liberalniejszy od państw centralnych, przeorane głęboko – jak zwłaszcza Anglia – propagandą pacyfistyczną, dalekie były od niemieckiej jednolitości, musiały wojować na zewnątrz i bronić wojny wewnątrz. Istniała tam duża rozbieżność nie tylko między państwami, ale i wewnątrz nich w poglądach na zadania i cele wojny. Wyrażała się ona często w rozbieżnych działaniach. Nie tylko rządy państw nie zawsze były w swych działaniach w zgodzie z sojusznikami, ale wewnątrz państw były ugrupowania prowadzące swą politykę, lub przynajmniej swą intrygę polityczną, nie zawsze zgodną z polityką rządu. Można było mieć dla danej sprawy rząd francuski czy angielski, a jednak we Francji lub Anglii napotykało się na poważne przeszkody, na zorganizowaną akcję w kierunku przeciwnym, i to akcję mającą swych wykonawców na oficjalnych stanowiskach w machinie państwowej. Było widoczne, iż rząd tam, nawet w czasie wojny, nie jest całkowicie rządem, że z jego polityką krzyżuje się polityka wychodząca skądinąd.

I psychologia społeczeństwa była tam inna. Gdy w Niemczech prowadzący wojnę miał cały naród za sobą, gdy mu wystarczyło jedno tylko wielkie z początku oszustwo, mianowicie wmówienie społeczeństwu, że to przeciwnicy wypowiedzieli wojnę, a potem już wystarczyło, że walka się toczy o przyszłość Niemiec – na Zachodzie trzeba było ciągle powtarzać, że się walczy przeciw militarystom o powszechny pokój, przeciw barbarzyństwu o cywilizację, o sprawiedliwość, o demokrację. I żołnierz, który ginął przeważnie za swoją Francję czy za swoją Anglię, za ojczyznę, nie słyszał w odezwach tego świętego dla niego słowa, bo względy polityczne nie pozwalały go wymawiać.

Nigdy, jak podczas tej wojny, tak się nie uwydatniła zgubna rola zorganizowanych tajnie sekt politycznych, które – prowadząc polityczną nieodpowiedzialną, pozostającą przeważnie pod kierownictwem ludzi niekompetentnych, ciasnych i powierzchownych – paraliżowały wysiłki swego narodu w walce o całą przyszłość, a później uniemożliwiały mu należyte skorzystanie z owoców zwycięstwa i zbudowanie pokoju na trwałych podstawach.

Żadne chyba państwo prowadzące kiedykolwiek wojnę nie znalazło się w tak dziwnym, w tak potwornym wprost położeniu, jak Rosja w wojnie przeciw Niemcom, wszczętej po długim okresie zażyłej, pomimo różnych nieporozumień, przyjaźni. Żeby to położenie, mające dla naszej, polskiej polityki ogromne znaczenie, dobrze zrozumieć, trzeba głębiej sięgnąć w przeszłość.

Założyciel nowej Rosji, Piotr Wielki, organizował ją przy pomocy cudzoziemców, przede wszystkim Niemców. Od tego już czasu zajął swoje miejsce w państwie typ oficjalnego Niemca rosyjskiego, lojalnego sługi w machinie państwowej, ale duchowo nieprzerobionego na Rosjanina. Przeszkadzała temu głęboka różnica psychiczna dwóch ras oraz sąsiedztwo i zażyłe stosunki z Prusami i innymi państwami niemieckimi, w których Niemcy rosyjscy nie przestawali widzieć swej duchowej ojczyzny. Wcielenie do państwa rosyjskiego krajów nadbałtyckich dało mu dużą liczbę Niemców, którzy szli

chętnie do służby państwowej i odznaczali się w niej wielkimi zaletami. Przewyższali oni Rosjan nie tylko umiejętnością, ale i dyscypliną, poczuciem monarchicznym i nawet lojalnością. Skutkiem tego stali się niejako najbardziej uprzywilejowaną częścią ludności państwa. Znana była w całej Rosji anegdota, w której zapytany przez monarchę Rosjanin, jakiej chce nagrody za swe zasługi, odpowiedział prośbą o zaawansowanie go na Niemca.

W czasach po Piotrze Wielkim, gdy tron przeszedł do domu holsztyńsko-gottorpskiego, który utrzymał dla dynastii imię Romanowów, Niemcy rządili państwem prawie niepodzielnie, pozostawiając rdzennym Rosjanom rolę podrzędną. Za Katarzyny II wybitne osobistości rosyjskie wysuwają się znów na front, nadając państwu charakter narodowy. Ale za tego właśnie panowania nastąpiły rozbiory Polski, które stały się silnym węzłem między Rosją a Prusami. Ten węzeł zacieśnia się następnie w Świętym Przymierzu i później już trwa nieprzerwanie, pomimo że polityka zewnętrzna obu państw wystawia nieraz przyjaźń na ciężkie próby. Dzięki tym węzłom Niemcy rosyjscy znajdowali silne oparcie moralne w Prusakach: zrośli się oni z ideą, że służba dla Rosjan nie jest służbą przeciw Niemcom, że przeciwnie, przy silnym związku, między dwoma państwami można doskonale pogodzić patriotyzm rosyjski z niemieckim. Wymowną ilustracją stanu ich duszy było to, co sam widywałem w domach niemieckich w Kurlandii: na ścianie dwa wiszące obok siebie portrety cesarza Rosji, cesarza Niemiec, a pod nimi portret Bismarcka...

Przez związki tych Niemców z rodzinami rosyjskimi wytworzyła się w państwie liczna, odcinająca się od reszty ludności rosyjsko-niemiecka arystokracja urzędnicza. Z tej sfery rekrutowali się głównie ludzie na wyższe stanowiska w administracji i w armii. Przy nieznanym względnie odsetku Niemców wśród ludności państwa zastanawiającą kwestią było, skąd się ich brało tylu na stanowiskach oficjalnych¹⁹.

W początku wojny fantastyczne opowiadano historie o faktach zdrady, której mieli się dopuszczać Niemcy w służbie rosyjskiej. Było w nich niezawodnie wiele przesady. Na ogół byli to ludzie do ordynarnej zdrady niezdolni. Zresztą, przeważnie odznaczali się swoistym patriotyzmem państwowym, którego główną podstawą była wierność monarsze.

W roku 1915 w najarystokratyczniejszym klubie petersburskim generał świty cesarskiej powiedział:

¹⁹ Historyczny rok 1914 zastał w Warszawie najwyższe urzędy obsadzone w sposób następujący: generał-gubernator, z władzą cywilną i wojskową, von Skalon (z rodziny hugenotów francuskich osiadłych w Szwecji, a potem w Estonii, luteranin, mówiący w rodzinie po niemiecku); jego pomocnicy: do spraw administracyjnych – Essen, do spraw policyjnych – Uhthof, do spraw wojskowych – Rausch von Traubenberg; gubernator warszawski – baron von Korff; jego pomocnik – Gresser; prokurator Izby Sądowej – Herschmann; jego pomocnik – Hesse; dyrektor filii Banku Państwa – baron von Tiesenhausen; szef policji (oberpolicmajster warszawski) – Meyer; szef zarządu miejskiego (mianowany przez rząd prezydenta miasta) – Müller. Tylko kurator okręgu szkolnego nosił nazwisko rosyjskie.

- Nasi już podchodzą do Rygi.

- Kto to nasi? – zapytano go.

- Ma się rozumieć, Niemcy.

- Jak pan śmie – zwrócono mu uwagę z oburzeniem – będąc generałem rosyjskim, wyrażać się w ten sposób...

- Moi panowie – odpowiedział – jestem uczciwym, wiernym sługą Jego Cesarskiej Mości, ale pozwólcie mi być Niemcem.

Takich jaskrawych przykładów manifestującej się niemieckości niezawodnie nie było w służbie rosyjskiej wiele, niemniej przeto ciekawa była atmosfera, w której były one możliwe.

Dla tej sfery – dla Niemców rosyjskich i związanych z nimi Rosjan – wojna z Niemcami była czymś anormalnym, czymś przeciwnym ustalonemu porządkowi rzeczy. Było to jakieś nieporozumienie, szkodliwe, niebezpieczne, gotujące zgubę im i państwu. Poszli oni na tę wojnę – na którą zresztą patrzyli jak na wojnę przede wszystkim z Austrią – bo musieli, bo polityka zewnętrzna państwa, chodząca swoimi, mniej zależnymi od nich drogami, uczyniła ją nieuniknioną, bo cesarz się uparł nie opuszczać jakiegś tam Serbii, ale poszli bez entuzjazmu, z nadzieją, że to się prędko skończy. Spodziewali się, iż fakty w krótkim czasie przekonają Rosję, że wojna z Niemcami jest błędem, że będzie zawarty pokój, po którym Rosja zbliży się z powrotem do Niemiec.

Patrząc na to, co się działo w Rosji w początku wojny, miałem wrażenie, że prawdopodobnie cały rząd, z wyjątkiem ministra spraw zagranicznych, patrzy na tę wojnę niechętnie i sympatiami swymi jest raczej po stronie przeciwników niż sojuszników. Ten rząd, gdyby mógł, w każdej chwili chętnie by zawarł pokój z Niemcami, zostawiając sojuszników ich własnemu losowi. Wiadomo też było, iż w kołach dworskich nie zerwano stosunków z odpowiednimi kołami w Niemczech, korespondencja w dalszym ciągu trwała, a nawet podobno bywały i spotkania osobiste.

Gdyby to była wojna tylko z Austrią, nastrój sfer rządowych byłby niezawodnie inny. Panowała tam nawet zawziętość na Austrię, która wchodziła w drogę Rosji na Bałkanach; zresztą Austrię dość lekceważono jako siłę. Względem Niemiec natomiast panował wielki respekt, obawiano się ich poważnie, zresztą nie było wyraźnych powodów do konfliktu z nimi. Były zaś nie tylko sympatie dla nich w sferach, o których mowa, ale i powody do przyjaźni, do ścisłego związku z Berlinem, powody zrozumiałe dla całej biurokracji. Jeden – to utrzymanie zasady monarchicznej, która w Niemczech miała przecież silniejsze oparcie niż w Anglii lub Francji, drugi – to kwestia polska.

Liczono, że te dwa względy nie pozwolą Rosji długo wytrwać w wojnie przeciw Niemcom, że bardzo rychło zarysuje się niebezpieczeństwo ze strony wewnętrznych wrogów państwa – rewolucjonistów rosyjskich z jednej strony, Polaków z drugiej – które ją zmusi do opuszczenia sojuszników i zawarcia osobnego pokoju. W umowie z

sojusznikami nawet było zastrzeżone, że w razie rewolucji u siebie Rosja nie będzie się czuła zobowiązana do kontynuowania wojny.

Objawów tej niechęci sfer rządzących do wojny nie brakowało od samego początku; z postępem zaś wojny i jej zaciąganiem się na czas dłuższy mnożyły się one i stawały coraz wyraźniejsze. Prawdopodobnie ta niechęć zrodziła jeden z najszczerzych, najbardziej prawdomównych komunikatów wojennych, jaki kiedykolwiek ogłoszono. Mianowicie, w samym początku wojny komunikat o klęsce armii Samsonowa pod Tannenbergiem – komunikat urzędowy – był tak tragicznie zredagowany, jak gdyby chodziło o to, by społeczeństwo rosyjskie jak najbardziej przerazić i odebrać mu ducha.

Ten charakter sfer rządzących Rosją był głównym źródłem jej słabości.

Rosja posiadała niewyczerpaną ilość materiału ludzkiego, przedstawiającego wysoką wartość bojową. Praca w ciągu lat kilku, poprzedzających wojnę, nad organizacją armii dała ogromne rezultaty. Świadczyła o tym mobilizacja, która została przeprowadzona wzorowo, świadczył duch i wyćwiczenie armii. Stan uzbrojenia był dobry, intendentura też nie pozostawiała wiele do życzenia. Nie było żadnego porównania z armią, która prowadziła wojnę japońską, a która wykazała tyle braków.

Rosyjska opinia publiczna odniosła się do tej wojny z wielkim zapałem i z wielką gotowością niesienia pomocy państwu w walce. Samorządy ziemskie i miejskie wyłoniły z siebie organizacje, które oddawały wielkie usługi na tyłach armii.

Był ogromny zasób sił do wojny, fizycznych i moralnych. Słabość była u góry, w rządzie i w tych sferach niemiecko-rosyjskich, które w Rosji Piotra Wielkiego dostarczały ludzi rządzących państwem.

Właściwie mówiąc, kto znał Rosję i umiał głębiej w nią patrzeć, ten widział, że społeczeństwo rosyjskie, przeciwstawiające się sferom rządzącym, miało dwa cele i dwa źródła zapału do tej wojny. Pierwszym celem było zwycięstwo nad Niemcami, obalenie ich potęgi, wyemancypowanie się spod jej przewagi, zdobycie wielkiej i trwałej pozycji mocarstwowej dla Rosji; drugim – przełamanie muru wewnętrznego, otaczającego władzę w państwie, który stanowiła niemiecko-rosyjska arystokracja urzędnicza, otwarcie dostępu do tej władzy przedstawicielom społeczeństwa. Dlatego społeczeństwo to uznało wojnę za swoją, starało się wziąć w niej udział jak najszerzy, wygrać ją jako naród rosyjski, wykazać swą większą zdolność do prowadzenia państwa w trudnych chwilach od sfer dotychczas rządzących.

Ta postawa społeczeństwa rosyjskiego wciągała Rosję w wojnę o wiele głębiej, niż sobie tego rząd życzył, i utrudniała intrygi skierowane ku jej przerwaniu, ku osobnemu pokojowi z Niemcami.

Wytwarzała ona wszakże w sferach rządowych i dworskich tym większy wstręt do wojny: pochodził on już nie tylko z niechęci do walki z Niemcami, ale i z obawy, żeby zwycięstwo Rosji nad nieprzyjacielem nie stało się klęską dla tych, którzy w niej mieli przywilej rządzenia.

I jeżeli Rosja wyszła tak fatalnie z tej wojny, to może głównie dlatego, że ci, co nią rządzą, bali się zwycięstwa.

Nienormalne położenie Rosji w wojnie na tym się nie kończyło.

Państwo idące na tak wielką wojnę, zdobywając się na tak niezwykły wysiłek nie może wyjść w razie zwycięstwa z niczym. Musi mieć zysk, który by okupił poniesione ofiary.

Niewątpliwie, samo powalenie potęgi niemieckiej byłoby dla Rosji olbrzymim zyskiem, gdyż podniosłoby jej mocarstwowe stanowisko, rozwiązałoby jej ręce w polityce zewnętrznej, która coraz więcej się czuła przez Niemcy paraliżowana. Zysk ten wszakże niedostatecznie byłby zrozumiały dla rosyjskiej opinii publicznej, żeby ją zadowolić. Nie zadowoliliby jej również otwarcie Cieśnin dla Rosji, uzyskanie wolnego wyjścia na Morze Śródziemne. Rosyjska opinia publiczna została wychowana na zdobyczach terytorialnych, i najliberalniejsi nawet Rosjanie zwycięskiej wojny bez aneksji nowych ziem nie rozumieli. Rząd, który by po zwycięstwie nie przyniósł Rosji terytorialnych zdobyczy, naraziłby się na bardzo ciężkie oskarżenia.

Tymczasem, przy głębszej analizie położenia, musiało się wykazać, że w wojnie europejskiej, w wojnie na zachodzie, Rosja – czy będzie zwyciężona, czy będzie zwycięska – terytorialnie nie tylko nic nie zyska, ale jest skazana na znaczne straty. Zachodnie ziemie państwa rosyjskiego, jak i ziemie wschodnie państw centralnych to była Polska. Należało oczekiwać, że Niemcy i Austria w razie zwycięstwa nad Rosją oderwą od niej mniejszą lub większą część Polski. Zwycięska zaś Rosja, chcąc wyjść ze zdobyczą terytorialną – nawet gdyby rząd obawiał się tego i tej zdobyczy sobie nie życzył – musiałaby oderwać od Niemiec i Austrii ich ziemie polskie, a tym samym Polskę zjednoczyć. Zjednoczenie zaś Polski prowadziło nieuchronnie, a właściwie nawet niezwłocznie do jej niepodległości, co pociągało za sobą dla Rosji stratę obszaru polskiego, który, najskąpiej pojęty, oznaczał niemałą ilość ziemi.

Wprawdzie szersze koła w Rosji, nie dość realnie myślące o rzeczach politycznych i nierozumiejące kwestii polskiej, w początku wojny nie zdawały sobie z tego sprawy. Tam istniała jakaś naiwna wiara, że Rosja może wszystko połączyć i wszystko strawić. Nie rozumiano tego, że taki szalony rozrost terytorialny, jaki się widzi w dziejach Rosji, był możliwy tylko w państwach wschodnich, rządzonych despotycznie, gdzie ludzi jedynie siłą zbrojną trzymano w poddaństwie. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że z chwilą, kiedy dla Rosji stało się koniecznością przekształcenie w państwo prawne i kiedy już weszła na tę drogę, istnienie w granicach państwa zbyt wielkiego odsetka ludności mającej swą wybitną indywidualność narodową i swoje wielkie aspiracje narodowe jest po prostu niemożliwością. Ta umysłowość, która nie zdołała jeszcze przetrwać nowego położenia państwa, pozwalała żywić naiwną wiarę, że Rosja nie tylko będzie zdolna utrzymać swe panowanie nad posiadanymi przed wojną ziemiami polskimi, ale nawet przyłączyć nowe i dalej Polską władać.

Nie miałem wątpliwości, że w kołach rządzących od początku wojny tej wiary nie podzielano. Poważne dane świadczyły, iż tam od dawna już istnieje świadomość, że Rosja ma za wiele ziemi polskiej, że utrata mniejszej lub większej jej części jest nieuchronna. Rozumiano, że jeżeli się chce stracić jak najmniej, trzeba zredukować jak najbardziej obszar narodowy polski wspólnymi wysiłkami Rosji i Niemiec. Tam zdawano sobie sprawę z tego, że wyzwolenie zaboru pruskiego i austriackiego, i połączenie ich z resztą ziem polskich położyłoby koniec okrawaniu Polski i oznaczałoby odbudowanie państwa polskiego.

Świadomość takiego wyniku zwycięstwa nad Niemcami zaczęła się rozwijać w coraz szerszych kołach w miarę postępu wojny i coraz wyraźniejszego występowania aspiracji polskich.

Możliwe było zaanektowanie wschodniej Galicji, jako ziemi „rosyjskiej”, ale ze względów, o których już wspominałem, wartość tej zdobyczy wielu Rosjan zaczęło uważać za więcej niż wątpliwą.

O anektowaniu państewek bałkańskich, nawet Bułgarii, która stanęła w obozie przeciwników, nie było mowy; gdyby nawet nie było przeszkód po temu ze strony sojuszników, nie można było zapominać, że to już nie bezimienni Słowianie, tylko ukształtowane narody, z poczuciem swej odrębności i przywiązaniem do niezawisłości. Wcielenie ich do Rosji zwiększałoby tylko niebezpieczeństwo roszadzenia państwa,

Pozostawało marzenie o Konstantynopolu, którego zniszczenie olśniłoby naród rosyjski. Tu wszakże coraz wyraźniej było widać, że chcąc mieć Konstantynopol nie dość zwycięstwa nad państwami centralnymi i Turcją, ale że trzeba byłoby przeprowadzić drugą wojnę – z dotychczasowymi sojusznikami.

Nawet wtedy w razie zwycięstwa Rosja miała perspektywę nie zdobyczy, ale strat terytorialnych. Czyż może być bardziej nienormalne położenie w wojnie?...

Trudno zaś było wymagać od Rosjan, żeby łatwo przyznali, iż Rosja zanadto się rozrosła terytorialnie na zachód, że panowała tam nad ludnością, która nigdy rosyjską stać się nie mogła i nie mogła pogodzić się z istnieniem pod obcymi rządami, że te ziemie można było trzymać siłą – zwłaszcza przy pomocy sąsiada – przy dawnych rządach, ale że z chwilą, kiedy Rosja weszła na drogę ewolucji w kierunku zachodnim, dalsze ich utrzymanie będzie niemożliwe. Trudno wymagać, ażeby jakkolwiek naród łatwo zrozumiał, że jego państwo dla własnego dobra, dla zdobycia normalnych warunków rozwoju musi zmniejszyć swój obszar, tym bardziej zaś naród, który tak zrósł się w swych dziejach ze zdobyczami terytorialnymi, z ideą, że ciągle trzeba robić nowe zabory, a niczego, co już zdobyto, nie wolno tracić.

Jednym z największych niebezpieczeństw Rosji w XIX i XX wieku było, że psychologia narodu pchała go w kierunku całkiem przeciwnym temu, czego wymagały istotne interesy narodu i państwa. Paradoksalność położenia Rosji w stosunku do celów wojny była tylko częściowym wyrazem ogólnego, niesłuchanie trudnego jej położenia wewnętrznego i zewnętrznego, wytworzonego pod wpływem mnóstwa sprzecznych

czynników i wynikającego z jej położenia między Wschodem i Zachodem, między Azją a Europą. Dlatego to naród rosyjski, wybitnie zdolny i żywotny, wykazujący we wszystkich dziedzinach bogatą i samoistną twórczość umysłową i posiadający niemałe zalety polityczne, gdy przyszła wielka katastrofa dziejowa, znalazł się w największym ze wszystkich niebezpieczeństwie i najtragiczniejszemu uległ losowi.

Powyższe słabe strony położenia przeciwników nie były obce Niemcom, którzy może najpilniej ze wszystkich narodów inne kraje studiowali, najlepiej je znali i posiadali wszędzie najlepszą obsługę informacyjną. Dodawało im to pewności siebie, wiary w zwycięstwo na froncie, a to zaczęło być wątpliwe, nadziei na to, że wyzyskując słabe strony przeciwników i ich w pewnych dziedzinach ignorancję, Niemcy będą mogły nawet w razie niepowodzeń wojennych odnieść zwycięstwo polityczne.

Dlatego to walka polityczna, prowadzona równoległe z wojną na frontach, miała tak wielkie znaczenie.

W tej walce otworzyło się szerokie pole i dla nas. Na skutek przymusowego podziału sił naszego narodu w wojnie, na skutek tego, że synowie naszej ziemi musieli walczyć po obu stronach, i to prawie w równej liczbie (Rosja posiadała znacznie większą liczbę ludności polskiej niż Niemcy i Austria razem, ale za to w tych dwóch państwach pobór do wojska był o wiele ściślejszy i zabierał bez porównania większy odsetek ludności) – nasz udział w wojnie nie mógł mieć wpływu na jej losy. Natomiast nasz udział w walce politycznej, jak się to w następstwie okaże, miał znaczenie ogromne i, w początku zwłaszcza, mógł nawet o losach całej wojny zdecydować.

Trzeba wszakże stwierdzić, że Niemcy, pomimo całej swojej przewagi politycznej nad przeciwnikami, o której tu była mowa, mieli też i bardzo słabe strony. Przede wszystkim, byli oni zawsze lichymi psychologami. Zaślepieni wiarą w doskonałość swej organizacji, w szerokość swych wpływów i w skuteczność swych intryg, przeceniali często słabe strony przeciwników, nie doceniali tego, co stanowiło ich siłę. Stąd najdokładniej obmyślane ich plany często natrafiały na całkiem niespodziewane przeszkody, najściślejsze ich obliczenia zawodziły²⁰.

²⁰ Za najlepszy przykład lichych zdolności psychologicznych Niemców może służyć sam Wilhelm II. Pod tym względem niesłychanie ciekawa jest jego korespondencja z Mikołajem II, która na skutek niedyskrecji bolszewików ujrzała światło dzienne. Z trudnością wprost mieści się w głowie, jak człowiek mający od dziecka taką szkołę jak cesarz Niemiec mógł uprawiać podobnie wulgarną, płaską dyplomację, mógł okłamywać kogoś w tak ordynarny sposób. Dyplomacja jego tak jest szyta na każdym kroku białymi nićmi, że nie można się dziwić, że – jak to widać z korespondencji – Mikołaj II coraz mniej mu wierzy, coraz bardziej do niego się zraża i w końcu patrzy na tego „przyjaciela” jak na podstępного wroga. Korespondencja ta niewątpliwie dużo się przyczyniła do tego, że usposobiony z początku przyjaźnie do Niemiec, cesarz rosyjski coraz bardziej się od nich oddalał, coraz ściślej się wiązał z ich przeciwnikami, wreszcie zdecydował się przyjąć wojnę z nimi i w tej wojnie, wbrew wywieranemu nań naciskowi, wytrwać do końca.

III. GŁÓWNE ZADANIA POLITYKI POLSKIEJ W PIERWSZEJ FAZIE WOJNY

Od roku 1914 do 1917 rozgrywała się wojna, w której, pomijając mniejsze państwa, stały przeciw sobie z jednej strony: Niemcy i Austro-Węgry, z drugiej – Rosja, Francja, Włochy i Japonia.

W tym okresie – ze względu na położenie geograficzne Polski, na przynależność polityczną głównej części jej ziem, wreszcie na umowę Rosji z jej sprzymierzeńcami, którą zastrzegła sobie, że kwestia polska nie będzie kwestią międzynarodową i że decyzje dotyczące granic zachodnich Rosji do niej wyłącznie będą należały – polityka polska formalnie została zredukowana do terenu rosyjskiego.

Polityka ta ześrodkowała się na początku w Komitecie Narodowym w Warszawie, opartym na porozumieniu naszego obozu ze Stronnictwem Polityki Realnej; w dalszym swym rozwoju, na Zachodzie, oddaliła się od organizacji stronnictw i ujednostajniła całkowicie w grupie, która tworzyła Komitet Narodowy w Paryżu. Przeważny wpływ na jej rozwój, a później formalne i taktyczne jej kierownictwo, należało do mnie. Stąd uważam za potrzebne na wstępie do tego zarysu jej dziejów powiedzieć parę słów osobistych.

Ani z temperamentu, ani z upodobań nie jestem dyplomatą. Może dlatego wydaje mi się, że stosunki między narodami byłyby o wiele zdrowsze i rozwijałyby się pomyślniej, gdyby w nich więcej było prostoty i szczeroci. Mam wrażenie, że w metodach dyplomatycznych za wiele jest przeżytków przeszłości, utrwalonych przez długie czasy nałogów, które sprawiają, że zagadnienia z natury swej zawiłe, w rękach dyplomacji stają się częstokroć jeszcze zawiłsze: zamiast je pogłębiać, sięgnąć do ich jądra, odważnie spojrzeć w oczy istotnym ich trudnościom i szczerze szukać ich usunięcia, gmatwa się je płytkimi wybiegami. Z drugiej strony, pomimo żeśmy bardzo w najnowszych czasach wydoskonalili frazeologię humanitarną, że na każdym kroku mówimy o solidarności międzynarodowej, w postępowaniu dyplomacji dzisiejszej przebija całkowity brak skłonności do zrozumienia stanowiska strony przeciwnej i sprawiedliwej jego oceny.

Nie byłem nigdy głosicielem pryncypiów liberalno-humanitarnych, nie należałem do żadnej z organizacji międzynarodowych, założonych dla uszczęśliwienia ludzkości; uważałem wszakże i uważam za konieczne w stosunkach między narodami nie tylko przywiązanie do dobra swego narodu i gorliwość w jego obronie, ale także zdolność do zrozumienia stanowiska i dążeń innych narodów, życzliwość dla nich i gotowość do bezinteresownego poparcia tego, co jednym z nich przynosi pożytek, innym zaś nie wyrządza krzywdy. Za warunek dobrej polityki w cywilizowanym świecie uważam szacunek dla indywidualności i aspiracji narodów, nawet gdy chodzi o wrogów, i sprawiedliwą ocenę ich dążeń i działań.

Toteż polityka moja była zawsze szczerą i otwartą – i swoi, i obcy zarzucali mi nawet czasem zbytnią jej otwartość. Do celu wybierałem zawsze drogę najprostszą, o ile

nie zagrażały jej nieprzewyciężone przeszkody. Widziałem, że nieraz otwartość moja co do motywów i celów naszej polityki przysparza mi chwilowych trudności, jestem wszakże przekonany, że na dłuższą odległość ułatwia mi zadanie.

Polska wcale nie straciła przez to, że nikt nie miał prawa powiedzieć o polityce polskiej podczas wojny i konferencji pokojowej, iżby była nieuczciwa i krętacka. Tak samo sprawa polska, zdaniem moim, tylko zyskała na tym, że polityka, która za nią stała, nie była polityką ciasnego, ubranego w hipokryzję egoizmu i ślepego łakomstwa, że pracując dla swej ojczyzny, starając się zapewnić jej trwałą przyszłość i walcząc o to, co nam się słusznie należało, umieliśmy miarkować swe pragnienia, a jednocześnie współdziałaliśmy w urzędzeniu nowej Europy, z celem zapewnienia pomyślnego rozwoju wszystkim narodom i możliwego usunięcia powodów do starć między nimi na przyszłość.

Takie pojmowanie polityki wyraziło się od samego początku wojny i w naszym stosunku do Rosji. Osobiście wiele pracy włożyłem w poznanie i zrozumienie Rosji, uważając to za jeden z pierwszych obowiązków ludzi chcących kierować polityką polską. Nauczyłem się na stosunek nasz do Rosji patrzeć w perspektywie dziejowej, ze spokojem, w którym myśli politycznej nie zamacają namiętności wytworzone przez przeszłość i podsycane stale do ostatnich czasów przez politykę rosyjską względem Polski, o ile ją można było nazwać polityką. Umiałem z szacunkiem patrzeć na to, co było w Rosji dobre i wielkie, i szukać przyczyn tego, co było złe, małe, co było zgubne nie tylko dla nas, ale i dla niej samej. Zdaniem moim, było rzeczą niegodną naszego narodu oburzać się jedynie na krzywdy, protestować przeciw nim i albo czekać na zmianę postępowania Rosji, albo też ślepo dążyć do jej zguby, chociażbyśmy sami mieli razem z nią zginąć. Obowiązkiem naszym było mieć swoją względem Rosji politykę, politykę rozumną, zwalczającą w niej to, co dla nas było szkodliwe, ale umiejacą szczerze i uczciwie poprzeć to, co było z korzyścią dla naszej sprawy.

Z tego stanowiska patrząc, doszedłem do przekonania, że dla Polski zguba Rosji wcale nie jest potrzebna, że przeciwnie, dla nas konieczne jest istnienie Rosji zdrowej, silnej, rozwijającej się pomyślnie na zasadach wspólnych wszystkim narodom europejskim. Byłem przekonany, że z taką Rosją będziemy mogli żyć w normalnych stosunkach sąsiedzkich, a nawet widziałem wiele powodów, które nakażą i nam, i jej stosunek przyjazny.

Katastrofy, która spotkała Rosję, nie przewidywaliśmy, nie liczyliśmy na nią i nie dążyliśmy do niej, należeliśmy do tych, którzy próbowali ją od niej ratować, a gdy przyszła, wzbudziła wśród nas szczerze i głębokie dla narodu rosyjskiego współczucie.

Najgroźniejszym dla nas faktem, który najzgubniej na losach Polski zaciążył, był związek Rosji z Niemcami, który samą Rosję powoli gubił.

Z chwilą, kiedy ten związek po długim okresie wahań wreszcie się zerwał, gdy wybuchła wojna, zrozumieliśmy, że załamuje się cały dotychczasowy stosunek między Rosją a Polską. Wiedząc, że na wspólnej szali ze zwycięstwem nad Niemcami leżą losy Polski, uznaliśmy za swój względem ojczyzny obowiązek – na czas, w którym ta szala się

waży, odłożyć na bok nasze rozrachunki z Rosją, szczerze i uczciwie podać jej rękę i w miarę naszych sił współdziałać z nią do zwycięstwa.

Manifestowana przez nas życzliwość dla narodu rosyjskiego była życzliwością istotną, niekłamaną: pragnęliśmy jego dobra i wierzyliśmy, jak wierzymy i dzisiaj, że prawdziwe dobro Rosji nie stoi na drodze dobru Polski. Stosunek nasz do sfer rządzących w Rosji, których polityka zawsze polegała na związku z Niemcami przeciw Polsce, które podczas wojny składały dowody, że chcą w tej polityce wytrwać, był wrogi – aleśmy go nie ukrywali. Współdziałając z Rosją do zwycięstwa, jednocześnie byliśmy w głuchej walce z jej rządem, w walce o tyle widocznej, o ile to podczas wojny jest możliwe. Żadna strona pod tym względem nie miała złudzeń.

Stanowisko to, podyktowane względami głębszymi od interesów chwili, wynikające z sumiennej analizy położenia dwóch narodów, utrzymaliśmy konsekwentnie przez cały czas wojny. Nigdy nasza polityka nie zwracała się przeciw Rosji, żaden jej krok nie zmierzał ku jej krzywdzie. Polityka polska w dalszych fazach wojny – po zajęciu całej Polski przez armię niemiecką i austriacką, a później po rewolucji i obezwładnieniu Rosji – nie polegała na żadnym w stosunku do niej zasadniczym zwrocie; była ona dalszym ciągiem, konsekwentnym rozwinięciem tych założeń, z którymi wstąpiliśmy w wojnę. To, co zrobiliśmy dla Polski, jak będę miał sposobność wykazać, nie było zrobione przeciw Rosji.

Podkreślam to umyślnie, ażeby ludzie u nas nie myśleli, że polityka zbliżenia z Rosją, szukająca oparcia stosunku z nią na wzajemnej życzliwości, była wywołana tylko potrzebami chwili, i dziś już należy do historii. Niejedno pokolenie przeminie, a ta sprawa ciągle będzie aktualna, żywotna, ciągle będzie miała pierwszorzędne znaczenie dla obu narodów.

W chwili wybuchu wojny i po stronie państw centralnych, i w państwach zachodnich rozumiano, że Rosji w niej przypada rola niemała. Istotnie, w pierwszym roku wojny wszystko zależało od niej i od Francji. Gdyby nie wysiłek Rosji, nie byłoby zwycięstwa francuskiego nad Marną, i Niemcy prawdopodobnie w ciągu mniej więcej pół roku zakończyliby wojnę zwycięstwem, jak to sobie obiecywali.

Wypowiadając wojnę Rosji i decydując się na atak na Francję, Niemcy nie byli całkiem przygotowani na to, że Anglia wystąpi. Najlepiej o tym świadczy wściekłość Niemców, ów rozlegający się na obszarze Rzeszy chór: *Gott strafe England*²¹, gdy Anglia wypowiedziała wojnę. W Berlinie rozumiano, że zbyt wielu mają przeciwników, że zwycięstwo się oddala, i polityka niemiecka zaczęła się coraz silniej przywiązywać do myśli osobnego pokoju z Rosją.

Gdyby chodziło tylko o rząd Goremykina, jestem przekonany, że urzeczywistnienie tej myśli nie napotkałoby na nieprzewyciężone przeszkody. Od pierwszej chwili było widoczne, że rząd przyjął wojnę bez entuzjazmu, że jest z niej niezadowolony, że gotów

²¹ *Gott strafe England* (niem.) – niech Bóg ukarze Anglię. [red.]

byłby skorzystać z każdej sposobności, żeby się z niej wycofać. Ale obok rządu była opinia publiczna Rosji, nastrojona wojowniczo, pragnąca zwycięstwa i pełna wiary w nie, był wreszcie cesarz, który, raz przyjąwszy wypowiedzenie wojny, postanowił walczyć do końca i dotrzymać danego sprzymierzeńcom słowa.

Rozumieliśmy, że w tym położeniu rzeczy polityka polska ma przed sobą zadanie ogromnej doniosłości – mianowicie, ułatwić Rosji prowadzenie wojny i umożliwić jej wytrwanie w wojnie.

Wysiłek Rosji, który był istotnie wielki i dla sprawy zwycięstwa nad Niemcami konieczny, Polacy mogli w znacznej mierze sparaliżować i na teatrze wojny rozgrywającej się w ich kraju, i na polu walki politycznej, w której zwycięstwem niemieckim byłby osobny pokój z Rosją.

Gdyby ludność ziem polskich zajęła postawę wroga względem wojsk rosyjskich, gdyby zamiast życzliwości i pomocy, jaką im powszechnie okazywała, na każdym kroku utrudniała im działanie, wywarłoby to niezawodnie duży wpływ na przebieg kampanii w pierwszym roku, wpływ bardzo niekorzystny, może fatalny dla sprawy sprzymierzeńców.

Jeszcze większy byłby wpływ polityczny takiej postawy Polaków.

Niezadowolone z wojny, przyjazne Niemcom koła rządzące w Rosji oczekiwały wrogiego wystąpienia Polaków, czegoś w rodzaju powstania przeciw Rosji. Potrzebny im był atut niebezpieczeństwa polskiego do wygrania zarówno w stosunku do Mikołaja II, jak i do opinii rosyjskiej.

Wiedziały one, że opinia publiczna w Rosji, w gruncie rzeczy, nawet w kołach względnie liberalnych, bardzo nacjonalistyczna, szczególnie jest wrażliwa na niebezpieczeństwo ze strony obcych żywiołów w państwie. Widziały niedawno, jak Stołypin w walce z rewolucją zręcznie wyzyskał udział w niej Żydów i „obcoplemieńców”, i tym sposobem zwrócił opinię na stronę rządu przeciw rewolucji. Było też pewne, że wrogie wystąpienie Polaków przeciw Rosji od razu ochłodzi zapał do wojny z Niemcami i stworzy grunt dla powrotu starej myśli porozumienia się z nimi w celu wspólnego załatwienia się z Polską.

I w Berlinie, i w Petersburgu liczono, że Polacy uratują Niemcy od klęski i umożliwią powrót dawnych, dobrych czasów przyjaznego współżycia Rosji z Niemcami, związanych „wspólnym spożywaniem eucharystycznego ciała Polski”. Tu znów licha psychologia niemiecka nie zorientowała się w położeniu: nie doceniała Polaków, a raczej przeceniała ich głupotę.

Myśmy mieli jasną świadomość, że głównym naszym zadaniem jest od chwili wybuchu wojny możliwie najdalej iść w manifestowaniu naszej solidarności z Rosją przeciw Niemcom. Rozumieliśmy, że solidarność tę trzeba okazać zarówno słowem, jak i czynem na wszystkich dostępnych dla nas polach działania. Trzeba stwierdzić, że spełnienie tego zadania umożliwił nam zdrowy instynkt narodu, którego szerokie masy poszły bez wahania z nami.

Spełnienie tego zadania było koniecznym warunkiem osiągnięcia pierwszego naszego celu – zniszczenia potęgi niemieckiej. I był to warunek uratowania Polski od największej w dziejach porozbiorowych klęski, od utopienia sprawy polskiej w chwili, kiedy właśnie otwały się dla niej wielkie widoki. Bo nie trzeba przecież bardzo bogatej wyobraźni, żeby sobie przedstawić skutki, jakie by wynikały dla nas z osobnego pokoju między Rosją a Niemcami. Spełniając to zadanie, służyliśmy Polsce przede wszystkim, ale jednocześnie wpływaliliśmy na losy całej wojny.

Ze wszystkiego, co polityka polska zrobiła podczas tej wojny, konsekwentne dotrzymanie przyjaznego Rosji stanowiska, zwłaszcza w pierwszej fazie wojny, było rzeczą najważniejszą. W państwach zachodnich nie rozumiano, i dotychczas ci, co piszą o wojnie, nie rozumieją, jak wielkie dla sprawy sprzymierzeńców znaczenie miała polityka polska w pierwszym roku wojny.

Polityka ta nie była łatwa. Paradoksalność stosunków w państwie rosyjskim tu się wyraziła ze szczególną jaskrawością. Solidarność naszą z Rosją trzeba było manifestować w głuchej walce z rządem rosyjskim. Rządowi rosyjskiemu i jego władzom w Polsce nasze stanowisko było nie na rękę, przeszkadzało im utrwalonej od dawna polityce: robiono też wszystko, ażeby Polaków do Rosji zniechęcić, ażeby im uniemożliwić utrzymanie linii politycznej, którą sobie wytknęli.

W latach poprzedzających wojnę, w których polityka nasza uwydatniała swój kierunek wyraźnie przeciwniemiecki, w których zaczęliśmy wyrażać swą życzliwość dla Rosji, rząd rosyjski, jak to już wyżej wskazałem, wzmocnił wrogi charakter swej polityki względem Polski. W samej chwili wybuchu wojny stała w Rosji na porządku dziennym sprawa języka w projekcie samorządu miejskiego dla Królestwa: wbrew uchwale Dumy, wbrew wyrażonej jasno woli cesarza²², większość Rady Państwa, złożona przeważnie z jej członków mianowanych i reprezentujących sferę rządzącą, oparła się uznaniu w najskromniejszej nawet mierze praw języka polskiego.

Trzeba było wiedzieć dobrze, dokąd się idzie, i mieć mocną wiarę w to, że obrona droga jest dla Polski jedyną, ażeby, pomimo tej polityki sfer rządzących Rosją, zdobyć się na wytężoną pracę nad opinią publiczną w Polsce i zorganizować ją w duchu dla Rosji życzliwym. Gdyby ludzie w Rosji, rozumiejący niebezpieczeństwo niemieckie tak, jak

²² Przebywający na Krymie Mikołaj II przyjął na audiencji ministra skarbu, Kokowcowa, i prezesa Rady Państwa Akimowa i oświadczył im, iż życzy sobie, ażeby w Radzie Państwa przeszedł artykuł o prawach języka polskiego w samorządzie. Po powrocie do Petersburga Kokowcow, który był za przyznaniem tych praw, opowiedział rozmowę z cesarzem, licząc, że wywrze to wpływ na członków Rady, których połowa była mianowana przez monarchę. Wtedy kilku z nich zwróciło się do prezesa Rady, również mianowanego, z zapytaniem, czy to prawda. Akimow miał odpowiedzieć:

– Tak jest, prawda. Cesarz to powiedział, ale możecie się panowie tym nie krępować.

Świadczy to, jak silna czuła się oligarchia rządząca Rosją i jak uparcie trwała przy swej polityce.

myśmy je rozumieli, umieli się byli zdobyć na równie wytrwałą i usilną pracę w swoim społeczeństwie, może by Rosji w tej wojnie nie spotkał los tak straszny.

Polska sprawiła wielki zawód germanofilom rosyjskim i ich przyjaciółom w Berlinie.

Po wybuchu wojny nie tylko deklaracje polityków polskich wyrażały solidarność z Rosją, ale armia rosyjska w Polsce od pierwszej chwili czuła, że jest w kraju przyjaznym: na każdym kroku okazywano jej sympatię i pomoc. Trzeba przyznać, że aż do chwili wielkiego odwrotu w roku 1915, kiedy armia rosyjska była już w znacznej mierze zdemoralizowana, zachowanie się jej względem ludności kraju było również bardzo życzliwe.

Porównując trzy armie operujące na ziemiach polskich, trzeba stwierdzić, że najbardziej nieludzkie było zachowanie się armii austriacko-węgierskiej i w Królestwie, i może bardziej jeszcze w Galicji. Miała ona na swym rachunku niezliczoną liczbę egzekucji powodowanych ładą denuncjacją; ona też najwięcej zniszczyła zabytków przeszłości. Trzeba dodać, że jako jedyna armia katolicka, ze szczególnym upodobaniem burzyła kościoły.

W dalszym ciągu będę miał sposobność wykazać, że po wybuchu wojny rząd rosyjski prowadził bez przerwy swą politykę przeciwpolską i starał się paraliżować to, co inne czynniki w państwie robiły dla pozyskania sobie współdziałania Polaków. Chodziło mu najwidoczniej o to, żeby nas zwrócić przeciw Rosji. Gdy mu się robota jego nie udawała, korzystał z każdego materiału, żeby dowieść, iż Polacy przechodzą na stronę przeciwników Rosji.

Ze względu właśnie na tę politykę rządu rosyjskiego i na jej cel aż nadto wyraźny – doprowadzenie do osobnego pokoju Rosji z Niemcami – dużą dla naszej polityki niedogodność stanowiły działania polskie po stronie państw centralnych.

IV. DZIAŁANIA POLSKIE PO STRONIE PAŃSTW CENTRALNYCH

Gdybyśmy nawet nie widzieli prowadzonych od paru lat w Galicji przygotowań do wystąpienia przeciw Rosji, naiwnością z naszej strony byłoby oczekiwać, że polityka nasza nie napotka żadnych przeszkód we własnym społeczeństwie.

Nie ma takiego kraju na świecie, gdzie by polityka najbardziej zbawienna, najwyraźniej odpowiadająca interesowi narodowemu, miała cały naród za sobą. Tym bardziej nie można było tego oczekiwać w Polsce, w narodzie pozbawionym swego państwa, posiadającym tak złą tradycję polityczną, którego działania od dawna już na miano polityki właściwie nie zasługiwały, który wreszcie w znacznej części swych czynnych politycznie żywiołów zatracił już pojęcie sprawy polskiej jako całości, ześrodkował swą myśl i swe wysiłki na miejscowych sprawach trzech dzielnic.

Tym bardziej nie można było oczekiwać tego w warunkach, których polityka polska głosząca solidarność z Rosją przeciw Niemcom miała przeciw sobie rząd rosyjski i w walce z nim musiała być organizowana.

Przy najlepszym planie zbawienia ojczyzny mieć pretensję, że są tacy w ojczyźnie, co nas nie rozumieją czy nie chcą rozumieć, co nam przeszkadzają – jest rzeczą śmieszną. Polityka nie jest tylko sztuką myślenia, ale i działania. Trzeba nie tylko się zdobyć na dobrą myśl, ale umieć ją w płodny czyn wcielić. Ten tylko może w polityce coś zrobić, kto nie boi się zwalczać przeszkód stojących mu na drodze. Smutna i godna politowania jest rola tych, którzy mówią: chciałem dobrze, ale mi nie pozwolili.

Nieprawdą jest, że dla Polski można coś zrobić, ale z Polakami nigdy. Chcąc zrobić coś dla Polski, jak zresztą dla każdego innego kraju, trzeba iść z jednymi rodakami przeciw innym. Tylko trzeba mieć mocną wiarę w swój cel i w prowadzącą do niego drogę, i nie wahać się w walce o tę swoją wiarę. I główna rzecz, trzeba rozumieć swe społeczeństwo, jego duszę, znać jego instynkty, w których podstawie zawsze leży instynkt samozachowawczy narodu. Trzeba mu przez właściwą organizację polityki dać możliwość wypowiedzenia się.

Jeżeli polityka Polski porozbiorowej była właściwie polityką narodowego samobójstwa, to nie dlatego, żeby nasz naród był pozbawiony instynktu samozachowawczego, tylko dlatego, że był bierny, niezorganizowany, co pozwalało zorganizowanym garstkom, popychanym przeważnie przez wpływy obce, narzucać mu samobójcze akty.

Główna różnica między Polską roku 1914 a Polską roku 1830 lub

1863 leży w tym, że w chwili wybuchu wojny europejskiej naród polski był słabo co prawda, ale był – politycznie zorganizowany, i że ci, co pracowali nad jego organizacją, co nią kierowali, nie byli zależni od żadnych obcych wpływów. To im pozwoliło być wyrazicielem instynktu samozachowawczego narodu; to pozwoliło temu instynktowi

wypowiedzieć się w odpowiedniej myśli politycznej i w zorganizowanym działaniu. Próby samobójcze były jak dawniej, tylko społeczeństwo nie dało już sobie samobójstwa narzucić.

To przecież każdy wiedział, że mamy w społeczeństwie znaczną ilość ludzi, którzy w rzeczach politycznych nie umieją myśleć logicznie i działać planowo, którzy tylko reagują odruchami na podrażnienia. To zachowanie się szczególnie było właściwe młodzieży, kobietom mniej lub więcej dotkniętych histerią, i tym dość licznym u nas w czasach przedwojennych ludziom, którzy przez całe życie należeli do młodzieży i zwykle niewiele się różnili od histerycznych kobiet. Z góry można było przewidzieć, że ten rodzaj ludzi pójdzie przeciw Rosji wobec tego, że polityka rosyjska względem Polski była mistrzynią w sztuce drażnienia.

To także było pewne, że nasza emigracja rewolucyjna z roku 1905 skorzystała z nadarzającej się sposobności walki z caratem, żeby go wypędzić z kraju, jak on ją przedtem z niego wypędził. Od ludzi wychowanych na idei rewolucji społecznej i walki z caratem, jako uznanym od pierwszej połowy XIX wieku głównym na całą Europę wrogiem rewolucji i ostoją reakcji, nie można było wymagać głębszego zastanawiania się nad zadaniami polityki polskiej. Dla nich sprawa przedstawiała się prosto: my albo carat, kto przeciw caratowi, ten nasz. W tym pojęciu swego nadania umacniał ich nadto związek z Socjalną Demokracją niemiecką i z Żydami. Żydzi, czemu zresztą nie można się dziwić, przede wszystkim dążyli do zniszczenia państwa, w którym było ich najwięcej, a które było dla nich najmniej gościnne.

Również było jasne, że ludzie wychowani na naukach szkoły krakowskiej, zwłaszcza w jej nowszej fazie, w każdym z trzech zaborów zajmą stanowisko lojalne względem swego państwa. W zaborze pruskim było ich niewielu; w rosyjskim – ich stanowisko w chwili wybuchu wojny nie przeszkadzało, ale owszem było pożyteczne dla naszej polityki. Natomiast w Galicji, gdzie byli najsilniejsi i najbardziej przedsiębiorczy, a przy tym najściślej związani z państwem, gdzie najmniej odczuwali położenie Polski jako całości i jej aspiracje, najmniej rozumieli sprawę polską, gdzie wreszcie przywykli do niemałej bezwzględności w politycznym działaniu – mieli duże dane do narzucenia swego stanowiska całej dzielnicy i stworzenia poważnej przeszkody dla naszej polityki. Istotnie, w pierwszej chwili po wybuchu wojny zorganizowali oni, przy pomocy socjalistów, no i, ma się rozumieć, rządu austriackiego, taki terror w stosunku do miejscowej opinii, że cała właściwie Galicja robiła wrażenie, jak gdyby stanęła pod ich sztandarem. Dopiero w kilka tygodni, gdy dowiedziano się, jakie jest stanowisko Warszawy, gdy wieści o utworzeniu tam „rządu narodowego” okazały się mistyfikacją, zaczęła się reakcja przeciw ich polityce, wychodząca głównie ze Lwowa, która znalazła swój wyraz przede wszystkim w rozwiązaniu Legionu Wschodniego.

Wszystkie te czynniki, prowadzące do działań po stronie państw centralnych, były nam z góry znane i zrozumiałe. Nie było się czemu dziwić i na co gniewać. Ich wystąpienie było dla nas niedogodne, bo zmuszało nas z jednej strony do walki wewnętrznej, z drugiej – do tym silniejszego manifestowania przyjaźni dla Rosji, żeby zagłuszyć hałaśliwe

manifestacje i czynne wystąpienia przeciw niej wychodzące z Krakowa. Ale to nie była tragedia.

Nie było tragedią powstanie Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, w którego „naczelną” rolę nikt ani w kraju, ani za granicą nie wierzył. Nie były nią formacje legionowe w Galicji, a nawet wymaszerowanie z Krakowa do Kielc legionu pod dowództwem Piłsudskiego, jako mianowanego rzekomo przez „rząd narodowy” w Warszawie komendanta polskich sił wojskowych. Nie były nią wreszcie szumne i groźne, zapowiadające bezwzględność dla „zdrajców”, odezwy.

Tragedia rozpoczęłaby się dopiero, gdyby rząd narodowy, wypowiadający wojnę Rosji, naprawdę w Warszawie istniał, gdyby w odpowiedzi na zjawienie się legionu w granicach Królestwa wybuchło tu powstanie. Gdyby taki ruch się zjawiał i ogarnął kraj, cała nasza polityka znalazłaby rychły koniec. Długo byśmy pewnie wtedy nie czekali na pokój między Rosją a Niemcami, pokój, który by uregulował wiele spraw, a przede wszystkim sprawę polską. I to dobrze, na długo...

Odegralibyśmy wtedy niemałą rolę w dziejach Europy. Niemcy, uwolnione od wojny na froncie wschodnim, rzuciłyby wszystkie swe siły na zachód i w krótkim czasie rozbiłyby odosobnioną Francję. Uwolnilibyśmy Europę od długiej wojny, a siebie od kłopotów z własnym państwem.

Gdyby wszakże tak się stało, uważałbym, że nie mam prawa składać winy na legiony, na ich dowódców, na polityków krakowskich. Wina byłaby przede wszystkim nasza. Ludzie, którzy od tak dawna zajmowali się sprawą polską i znali jej położenie, którzy w niej sobie wytknęli wyraźną drogę, a nie umieli tyle zorganizować społeczeństwa, żeby ich jako tako rozumiało i żeby w rozstrzygającej chwili przeciw nim nie poszło, złożyliby dowód niesłuchanego niedołęstwa i ponieśliby straszną odpowiedzialność przed historią. Szkodnicy, świadomi czy nieświadomi, istnieją wszędzie, ale przywiązanie do ojczyzny u narodów zdrowych i silnych polega nie na tym, żeby narzekać na szkodników i płakać nad wyrządzoną przez nich szkodą, tylko na przeciwdziałaniu szkodzie, na kierowaniu postępowaniem narodu tak, żeby była ona niemożliwa.

Byliśmy wszakże spokojni. Na chwilę nawet nie obawialiśmy się, ażeby ruch galicyjski mógł się przenieść na teren Królestwa. Ci zwolennicy, których miał w Królestwie, nie przedstawiali takiej siły.

Emigranci rewolucyjni z zaboru rosyjskiego, którzy tworzyli w Krakowie „komisje tymczasowe” i z góry ustanawiali „rządy narodowe” w Warszawie, wyobrażali sobie niezawodnie Królestwo tak mniej więcej, jak je widzieli w roku 1905. Od owego wszakże czasu upłynęło blisko dziesięć lat, będących latami pracy politycznej w nowych warunkach; przy względnej swobodzie pracy, przy istnieniu zorganizowanych stronnictw politycznych, dziesięć lat wytężonej walki o opinię publiczną. Te dziesięć lat zrobiło swoje. Już ludzie nie byli tacy naiwni, tacy w rzeczach politycznych ciemni, już niełatwo im było byle co wmówić. Zaszły też głębokie zmiany w stosunkach i wpływach politycznych. To

np., co było w roku 1905 siłą rewolucjonistów, ich związek z Żydami, w roku 1914 już było słabością: fakt, że ruch galicyjski popierają Żydzi, dyskredytował go w szerokich masach Królestwa i wytwarzał wrogi do niego stosunek.

Z chwilą kiedy ludność Królestwa zachowała się odpornie wobec wezwań do ruchawki, kiedy zgromadzeni przez dowódcę legionu w magistracie kieleckim i wezwani do akcesu przedstawiciele miasta odpowiedzieli mu, że stoją na stanowisku deklaracji złożonej przez ich posła do Dumy, Jarońskiego, kiedy się okazało, że polityką Polaków w zaborze rosyjskim nie kieruje żaden „rząd narodowy” w Warszawie, tylko Komitet Narodowy (nie „naczelny” co prawda), idący z Rosją i państwami sprzymierzonymi przeciw Niemcom i Austrii – legiony straciły główną swą wartość dla państw centralnych. Ten, który wkroczył do Królestwa, wycofano. Oddano je pod zwierzchnią komendę oficerów austriackich narodowości polskiej dla zorganizowania w zwykłe jednostki bojowe przy armii austriackiej. Epopeja „wojsk polskich” rychło się skończyła.

Legiony były robione w celu wywołania powstania przeciw Rosji w Królestwie. Nie wiem, co sobie myśleli, jak to powstanie chcieli zużytkować chytrzy, ale nieodznaczający się dalekowidztwem austriaccy mężowie stanu, którym przedstawiano Królestwo jako kraj ogarnięty szaleńcem nienawiści do Moskali, czekający tylko na wybawicielkę Austrię i gotowy chwycić za broń każdej chwili. Zresztą nie bardzo nas interesowało, co myśli Austria. Wiedzieliśmy, że w kwestii polskiej stanie się to, czego chce Berlin, a nie Wiedeń. Natomiast stanowisko Berlina zawsze usiłowaliśmy jak najlepiej zrozumieć. To było, naszym zdaniem, niemożliwe, ażeby w sprawie mającej tak wielkie dla Prus znaczenie jak sprawa polska, Austria robiła krok tak brzemienisty w następstwa jak wywołanie powstania bez porozumienia się z Niemcami. Niewątpliwie Berlin dał na to swą zgodę. A jeżeli dał, to wiedział, co robi. I znów powiem, że była to sprawa dla Berlina zbyt ważna, ażeby w niej coś robił dla celów wyłącznie wojskowych, nie licząc się z następstwami politycznymi. Chodziło tu nie tylko o utrudnienie armii rosyjskiej działań na teatrze wojny, ale był cel polityczny. Przy określaniu tego celu nie jest rzeczą najważniejszą wiedzieć, jaki był sposób myślenia Bethmanna-Hollwega, urzędowego kierownika polityki niemieckiej. W państwie tak mocno zorganizowanym jak Niemcy, a w szczególności Prusy, które niedawno miały takiego mistrza w polityce zewnętrznej jak Bismarck, polityka w kwestiach mających dłuższą przeszłość idzie po liniach od dawna wytkniętych i ustalonych. Ministerstwo spraw zagranicznych już ma w tych kwestiach od dawna przetrwoną i wpojoną w głowy jego ludzi myśl, i urobioną w działaniu rutynę, której tylko bardzo niepospolity i mający za sobą wielką siłę minister mógłby się przeciwstawić. Ta myśl polityki pruskiej, którą znaliśmy z przeszłości, ta wypróbowana już metoda działania nakazywała używania kwestii polskiej dla przywołania Rosji do porządku, gdy oddalała się od Prus i przeciw nim się zwracała. Innego motywu politycznego do popierania powstania w Polsce nie mogło mieć państwo, którego zadaniem, jak to określił Bismarck, było oddalać jak najbardziej ponowne wystąpienie na widownię kwestii polskiej i które było w walce z całym narodem polskim, jak to stwierdził kanclerz Bülow.

Krótko mówiąc, Berlin patrzył na próbę wywołania powstania w Królestwie jako na sposób zmuszenia Rosji do osobnego pokoju, a pierwszy legion wkraczający do Królestwa był tej polityki nieświadomym narzędziem.

Gdy minęła ta krótką, pierwsza faza akcji polskiej po stronie państw centralnych, faza powstańcza, gdy niepowodzenia armii austriackiej i zajęcie większej części Galicji przez wojska rosyjskie ośmieliły krakowskich organizatorów manifestacji przeciw Rosji, pozostał w pierwszym okresie wojny z tej akcji tylko fakt istnienia legionów, walczących na froncie po stronie Austrii i Niemiec. Był to fakt bardzo niepomyślny: odbierał on jedność polityce polskiej, dawał wrogom Polski na Zachodzie możliwość twierdzenia, że Polacy zbyt są podzieleni, ażeby mogli wytworzyć jedno państwo. Germanofile rosyjscy usiłowali z istnienia legionów zrobić dowód, że Polacy, pomimo wszelkich deklaracji politycznych, w gruncie rzeczy stoją po stronie wrogów Rosji.

Znalazły się wszakże sposoby odrabiania zła, które z istnienia legionów wynikało. Trzeba przyznać, że ogromnie nam w tym pomogła opinia publiczna w Rosji, która nie nadużywała tego faktu, przeciwnie, starała się nań zamykać oczy, ażeby nie zamącać atmosfery przyjaznego współdziałania dwóch narodów w walce z Niemcami. Było to zresztą bardzo rozumne ze strony Rosjan, idących do zwycięstwa w tej wojnie, ta bowiem atmosfera solidarności polsko-rosyjskiej nie tylko ułatwiła ruchy armii rosyjskiej w Polsce, ale wywierała wpływ na inne narody słowiańskie, których pociągnięcie ku sobie było celem Rosji i których współdziałanie z państwami sprzymierzonymi miało ogromne znaczenie dla zwycięstwa.

To nam też umożliwiło starania, czynione w dowództwie armii rosyjskiej, ażeby wziętych do niewoli legionistów traktowano jak regularne wojsko, ażeby tych w szczególności, którzy byli poddanymi rosyjskimi, nie rozstrzeliwano bez pardonu, co Rosja miała formalne prawo robić.

Faktem jest, że istnienie legionów, jakkolwiek przyczyniło nam wiele kłopotu, nie sparaliżowało od początku naszej akcji, a to najważniejsze.

A teraz parę uwag...

Najwięcej nauczyłem się w polityce stąd, że zawsze starałem się zrozumieć motywy postępowania zarówno zewnętrznych wrogów Polski, jak i wewnętrznych przeciwników mojego obozu. Trudno chyba znaleźć człowieka, który by tyle co ja zadawał sobie pracy, żeby postawić się w roli przeciwnika i usiłować zdać sobie sprawę z jego sposobu myślenia, nie wyrokując z góry, że jest głupcem lub łotrem. To osądzenie przeciwnika z góry, które u nas jest zjawiskiem tak zwykłym, pochodzi głównie z lenistwa myśli. Muszę się pochwalić, że bardzo często zadawałem sobie pytanie, czy czasem w tej lub innej sprawie przeciwnik nie ma słuszności, i sam na tym najlepiej wychodziłem, bo rozumiejąc mniej więcej przeciwników, skuteczniej mogłem z nimi walczyć.

I po wybuchu wojny zastanawiałem się wiele nad źródłami akcji polskiej po stronie Austrii i Niemiec, starałem się wszystko zrozumieć i, o ile można, wyrozumieć. Na ogół to nie było trudne. Łatwo było zrozumieć i niepodobna było zbyt surowo sądzić psychologii

całego szeregu żywiołów, które się na tę akcję złożyły. Rozumiałem młodzież, zwłaszcza naszą w owym okresie młodzież, studiującą z dala od swego środowiska, myślącą jak już powiedziałem, po emigrancu; rozumiałem emigrantów rewolucyjnych z lat 1905–1906, zamkniętych w ciasnym kole swych idei, wychowanych na myśleniu o rewolucji i na pogardzie dla polityki „państw burżuazyjnych”, o której skutkiem tego nigdy nie mieli pojęcia; rozumiałem dalej nietrzeźwych literatów, którzy o niczym, a tym bardziej o polityce, realnie nie umieli myśleć; rozumiałem lojalistów austriackich, którzy spełniali swój obowiązek względem państwa, przy tym jedyne państwa, w którym Polacy korzystali z jakichś praw i swobód. To wszystko, powiadam, rozumiałem i zbyt surowo tego nie sądziłem. Było to wytworem naszego smutnego przedwojennego życia, a przeciw temu, co życie przynosi, trudno protestować. Trzeba z tym walczyć, gdy nam na drodze stoi, ale nie można zbyt bezwzględnych wyroków na to wydawać.

Były też rzeczy, których nie rozumiałem całkowicie i które chciałbym lepiej zrozumieć. Chciałbym wiedzieć, skąd pochodziła ta wściekła, wydobywająca pianę na usta, nienawiść do nas, do ludzi, którzy szli inną drogą; skąd te groźby, że jak przyjdą do Warszawy, to nas powywieszają, skąd to publiczne oskarżanie ludzi w Galicji, gdzie zawsze groziła interwencja władz austriackich... Nie mówię tego, doprawdy, dla rekryminacji: chodzi mi o wyjaśnienie ważnego momentu naszych niedawnych dziejów. Mówię otwarcie – to już nie robiło wrażenia akcji polskiej, ale jakiejś roboty w służbie obcej. Gdyby to były odosobnione wypadki, ludzie mali, marne charaktery, instynkty występne mogą znaleźć się wszędzie. Ale tu było to zbyt powszechne, nadawało, niestety, ton ogólny całej akcji...

Druga rzecz, którą chciałbym lepiej zrozumieć, to polityka ówczesnych kierowników stronnictwa krakowskiego. Zawsze ceniłem inteligencję tych ludzi, niemającą wiedzę i znajomość rzeczy polskich. Nie mogłem więc na nich patrzeć tak, jak na żywioły, o których wyżej mówiłem, naiwne lub ograniczone w swych pojęciach politycznych, i musiałem od nich wymagać dużego stopnia świadomości tego, co czynią.

Rozumiem, że ludzie tak głęboko tkwiący w polityce austriackiej, wyrosli przez całe życie na zdobywaniu pozycji Austrii, pojmowali sprawę polską jako znaczne rozszerzenie Galicji i zrobienie z niej poważnego składnika monarchii habsburskiej. Ale ci ludzie wiedzieli chyba dobrze, co to jest kwestia polska dla Prus i jaka jest w niej polityka pruska, polityka ustalona, konsekwentna, niepodlegająca żadnym poważniejszym wahaniom. Musieli się również jako tako orientować w stosunku Austrii do Niemiec i zdawać sobie sprawę z tego, o ile Austria będzie zdolna w razie zwycięstwa decydować o losach ziem polskich, w jakiej mierze będzie się musiała poddać woli Berlina. Jeżeli nawet mieli jakieś zapewnienia ze strony Wiednia, to powinni byli wiedzieć, jaka jest ich wartość, o ile nie są żyrowane przez Berlin. Powinni byli na tyle znać austriackich mężów stanu, z którymi beczkę soli zjedli, ażeby wiedzieć, że pozują oni na samodzielniejszych od Berlina lub wyobrażają sobie, że są samodzielniejsi, niż to było w istocie.

Gdyby chodziło tylko o zachowanie się w wojnie Galicji, części państwa austriackiego, to, naturalnie, mogli oni rozmawiać z Wiedniem jako obywatele austriaccy,

to znaczy, że nie mieliby szerokiego pola do pertraktacji i do żądania jakichś poważniejszych zobowiązań. Ale oni się angażowali w akcję dążącą do wywołania powstania w Królestwie, występowali wspólnie z tymi, którzy sobie wyraźnie i otwarcie cel ten postawili, ofiarowywali Austrii krew Polaków niebędących poddanymi austriackimi. W tej roli mieli prawo i obowiązek rozmawiać z Wiedniem już nie jako obywatele austriaccy, ale jako polscy sojusznicy, i winni byli mieć z tamtej strony bardzo poważne zobowiązania, to znaczy ze strony nie tylko Wiednia, ale i Berlina. Przyszłość pokazała, że tych zobowiązań nie było. Z początku żadnych zobowiązań ze strony Rosji nie mieliśmy, ale nie próbowaliśmy też wywoływać powstania w Galicji czy w Poznańskiem, nie zachęcaliśmy rodaków z innych zaborów, żeby walczyli po stronie Rosji przeciw Austrii i Niemcom. Wzywaliśmy jedynie ludność dwóch pozostałych zaborów do powstrzymania się od kroków wrogich względem armii rosyjskiej, gdy ta się znajdzie na ich terytorium. Nie dlatego, żebyśmy nie mieli wiary w swą politykę, ale dlatego, że nie mając żadnych ścisłych zobowiązań ze strony rosyjskiej, uważaliśmy, iż nie mamy do tego prawa. Nie pozwalało nam na to proste poczucie odpowiedzialności.

Otóż tego nie mogłem zrozumieć u ludzi należących do obozu, który tyle mówił zawsze o poczuciu odpowiedzialności, który wymyślił wyraz *liberum conspiro*²³ i tak surowo potępiał określony przezeń sposób postępowania, obozu, który wyrósł na wydawaniu wyroków na politykę powstańczą... Przecież tu cała ideologia Szujskich, Koźmianów, Tarnowskich została wywrócona do góry nogami.

Pisałem przed wojną o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*, ale nie przypuszczałem wtedy, że to tak daleko zajdzie.

Jest jeszcze jedna rzecz, której nie mogłem zrozumieć. Było to zachowanie się organów prasy, reprezentującej akcję po stronie Austrii i Niemiec, względem państw zachodnich. Rozumiałem nienawiść do Rosji i napaści na nią; trudniej mi było zrozumieć walkę po stronie dwóch państw rozbiornych przeciw koalicji, w której znajdowała się, co prawda, Rosja, ale której pozostałymi członkami były mocarstwa zachodnie, jedyne, w których Polska mogła szukać oparcia przeciw swoim krzywdzicielom; ale już całkiem nie mogłem zrozumieć pisania z taką nienawiścią o Francji, Anglii, a potem o Włochach. To już chyba żadną miarą nie da się wytłumaczyć jako stanowisko polskie. Nie wyrażało to ani polskich uczuć w którejkolwiek z dzielnic, ani nie mogło być umotywowane jakąkolwiek polską polityką. I dopóki mi ktoś tego nie wytłumaczy, muszę to uważać za politykę austriacko-niemiecką wypowiadającą się w języku polskim.

Przecież przymierze z jakimkolwiek narodem wcale nie obowiązuje do dzielenia wszystkich jego miłości i wszystkich nienawiści. Jeżeli już smutna, nie powiem konieczność, ale smutna polityka doprowadziła kogoś do tego, że pośrednio walczył przeciw narodom, u których zawsze szukaliśmy sympatii i nieraz ją znajdowali, dla których nasz naród sam zawsze miał przyjaźń i szacunek – to nie powinien był

²³ *Liberum conspiro* (łac.) – wolne spiskowanie. [red.]

przynajmniej mówić i pisać o nich, jak ten, komu bezpośrednio chodzi o ich zgubę. Ludzie, którzy podobnie pisali, albo zatracili w tej wojnie polskie stanowisko, albo tak byli uzależnieni od państw centralnych, że musieli ich stanowisko we wszystkim wyrażać.

V. DEKLARACJA JAROŃSKIEGO, ODEZWA WIELKIEGO KSIĘCIA MIKOŁAJA I WALKA Z RZĄDEM ROSYJSKIM

Jeżeli ktoś myślał, że postawa nasza wobec wojny została zajęta na skutek porozumienia czy układu z jakimikolwiek czynnikami w Rosji to był w błędzie.

Wobec polityki polskiej rządu rosyjskiego obóz nasz z tym rządem nie miał żadnych literalnie stosunków. Stosunki z Rosją nieurzędową w ostatnich latach przed wojną osłabły bardzo skutkiem rozkładu akcji słowiańskiej, rozpoczętej w 1908 roku, i skutkiem większego w tym czasie niż kiedykolwiek odosobnienia Koła Polskiego w Dumie.

Przedstawicielstwo Królestwa w Dumie, złożone w lecie 1914 roku z ośmiu zaledwie posłów, z szerszej akcji politycznej zrezygnowało, zajęte wyłącznie sprawami bieżącymi, znajdującymi się na porządku dziennym ciał prawodawczych. W chwili wybuchu wojny Duma znajdowała się na wakacjach. Dopiero po wybuchu zwołano ją w pośpiechu, tak, że posłowie z dalszych okręgów nie mieli czasu przyjechać.

Kiedy, wracając do kraju po wypowiedzeniu wojny, wylądowałem w Finlandii i dostałem gazety petersburskie, przeczytałem deklarację posła Wiktora Jarońskiego, złożoną 8 sierpnia na posiedzeniu Dumy w imieniu naszego przedstawicielstwa²⁴. Nigdy w życiu żaden nasz krok polityczny tak mnie nie ucieszył. Przyjaciół mój, poseł kielecki, powiedział w swej deklaracji to, co należało powiedzieć w owej doniosłej chwili. Wypowiedział dążenie nasze do zjednoczenia ziem polskich, postawił program wojny w sprawie polskiej i postawił go w formie, która wytrącała broń z ręki przeciwnikom wojny, germanofilom rosyjskim, przez silne podkreślenie naszej solidarności z Rosją.

Dopiero po przyjeździe do Petersburga dowiedziałem się, jak powstała ta deklaracja. Posłowie nasi na ogół nie zdążyli przybyć do Petersburga na zwołane nagle posiedzenie Dumy. Jaroński, przewidując potrzebę obecności przedstawicieli polskich w stolicy państwa, przybył zawczasu, zanim otrzymał wezwanie. Znalazł się prawie sam i deklarację w imieniu Koła Polskiego złożył na swoją osobistą odpowiedzialność.

To właśnie było siłą naszej polityki. Tak rozumieliśmy się z sobą, tak dobrze wiedzieliśmy, czego chcemy, dokąd idziemy, że jeden człowiek nie zawahał się zrobić doniosłego, wielce odpowiedzialnego kroku na własną rękę, nie mając najmniejszej wątpliwości, iż spełnia swój obowiązek.

Odpowiedzią na tę deklarację polską, za którą stanął naród, była odezwa wielkiego księcia do Polaków, przyjmująca w imieniu Rosji program zjednoczenia ziem polskich.

²⁴ Patrz: Aneks I.

Odezwa ta również nie powstała na drodze jakiegokolwiek układu z Polakami.

O tym, skąd wyszła inicjatywa do niej, dotychczas nie posiadamy pewnych danych.

W dniu przyjazdu do Petersburga, 12 sierpnia, spotkałem przypadkiem posła Mikołaja Lwowa, głównego przedstawiciela najsympatyczniejszej nam, umiarkowanej liberalnej grupy (Partia Odrodzenia Pokojowego), najszczerzego przyjaciela Polski, jakiego znałem wśród Rosjan. Był to człowiek cieszący się wielką powagą w świecie rosyjskim, znany ze swej prawości. Surowo krytykował politykę rosyjską i zazwyczaj z goryczą o niej mówił.

Tym razem w oczach jego świecił niezwykle entuzjazm.

– Właśnie nam pan potrzebny – zawołał po gorącym przywitaniu.

Na jego zaproszenie przyszedłem wieczorem na obiad w gabinecie restauracyjnym. Tam, prócz niego, zastałem księcia Grzegorza Trubeckiego z ministerstwa spraw zagranicznych, znanego pisarza politycznego, Piotra Struvego, i prof. Kotlarewskiego z Moskwy, wybitnego członka partii kadetów. Położyli przede mną brulion projektowanej odezwy do Polaków. Była to ogłoszona 14 sierpnia odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, naczelnego wodza armii rosyjskiej. Tylko był w niej wyraz „autonomia”, który nazajutrz został zamieniony w Radzie Ministrów na „samorząd”.

Po przeczytaniu, na zapytanie, co o tym myślę, odpowiedziałem:

– Odezwa jest pięknie napisana; co do treści zaś rozumiem, że dziś więcej nie możecie powiedzieć. Jest w niej rzecz główna, za którą naród nasz będzie walczył ze wszystkich sił – zjednoczenie ziem polskich.

Nie było wtedy jeszcze wiadomo, kto odezwę podpisze.

Jak się później dowiedziałem, zredagowanie odezwy miał poleczone z woli cesarza, zdaje się, ks. Grzegorz Trubeckoj, znany zwolennik neosławizmu (późniejszy poseł rosyjski w Serbii); ten zaś dobrał sobie do współpracownictwa trzech swoich przyjaciół, którzy byli na obiedzie obecni. Wszyscy czterej, z którymi rozmawiałem, byli współautorami odezwy.

Pisał ją więc nie rząd właściwie, tylko przedstawiciele opinii rosyjskiej.

Rząd jedynie zamienił wyraz „autonomia” na „samorząd”; a gdy jednocześnie z ogłoszeniem odezwy w Petersburgu wysłano do Warszawy ogromny transport gotowych do rozlepienia jej egzemplarzy, odpowiedni departament rządu zrobił swoje: tekst odezwy był wydrukowany wyłącznie w języku rosyjskim, a więc cały transport był dla Polski nieużyteczny.

Przez kilka dni społeczeństwo Królestwa znało odezwę tylko z telegramów w gazetach, pełniący bowiem obowiązki generała-gubernatora, Essen, odmówił urzędowego jej rozplakatowania, i dopiero po trzech dniach zwłoki uczynił to na stanowczy rozkaz z Petersburga.

Są to szczegóły ilustrujące należycie stanowisko w sprawie polskiej rządu i jego władz w Królestwie. Obawiano się widocznie, żeby Polacy nie zachowali się zbyt przyjaźnie względem Rosji.

Wkrótce potem Zygmunt hr. Wielopolski, członek Rady Państwa, ze Stronnictwa Polityki Realnej, otrzymał audiencję u cesarza. Gdy dziękował za odezwę wielkiego księcia, Mikołaj II mu przerwał:

– Jest to odezwa i moja; myśmy to razem zrobili.

Widoczne było, że uważał sobie za punkt honoru wziąć odpowiedzialność za odezwę. Rozrzewnił się przy tym i z Wielopolskim się ucałował. Wtedy Wielopolski, chcąc mieć publiczne oświadczenie cesarza, że stoi za odezwą, poprosił Mikołaja II o oficjalne przyjęcie delegacji polskiej, która by mu za odezwę podziękowała, i, naturalnie, otrzymała w odpowiedzi słowa cesarskie.

– Jak to, są tutaj? Chcą przyjść? – zawołał cesarz. – Ależ ma się rozumieć, że ich przyjmę!

Przyjęcie nigdy nie nastąpiło. Rząd się temu oparł, a później jeden z ministrów powiedział do któregoś z przedstawicieli polskich:

– Chcieliście iść do cesarza; musicie wiedzieć, że do niego droga tylko przez rząd prowadzi.

Minister dworu zawiadomił Wielopolskiego, że cesarz przyjmie Polaków i przemówi do nich, gdy przyjedzie do Warszawy i gdy, na skutek odniesionych zwycięstw, będzie mógł dać przyrzeczenia bardziej określone. Muszę powiedzieć, iż różniliśmy się ze Stronnictwem Polityki Realnej w tym, że nam nie śpieszyło się z otrzymaniem jakichkolwiek określonych przyrzeczeń.

Główna rzecz była, że Rosja walczy z Niemcami; że jest w sojuszu z dwiema potęgami zachodnimi, co daje widoki zwycięstwa i rozbicia potęgi niemieckiej; że jest w sojuszu z narodami przodującymi cywilizacyjnie i nie mającymi interesu w zniszczeniu Polski; że wreszcie w swojej sprawie osiągnęliśmy rzecz najważniejszą – w programie wojny znalazło się zjednoczenie ziem polskich, a tym samym wyzwolenie zaboru pruskiego.

Trzeba zaznaczyć, że odezwa wielkiego księcia we Francji i Anglii została przyjęta entuzjastycznie.

Od pierwszej chwili obawiałem się, żeby dyskusja o urządzeniu tej przyszłej zjednoczonej Polski nie poróżniła nas z Rosjanami, nie zepsuła atmosfery solidarności w walce, nie ochłodziła zapału i nie dała atutów potężnym przyjaciom Niemiec i zwolennikom pokoju w Rosji. Postanowiłem tej dyskusji za wszelką cenę unikać.

Z rozmaitych stron Rosji wyciągano nas na nią, głównie ze strony obozu liberalnego. Nagabywano nas prywatnie, zapraszano na zebrania dyskusyjne, interpelowano w prasie. Ciągłe powtarzało się jedno pytanie: jak sobie wyobrażamy

przyszły ustrój Polski? Jakie są w tym względzie nasze żądania? Pytanie to zwracano najczęściej do mnie osobiście.

Odpowiadałem zawsze jedno:

– Czyż my mamy czas tym się teraz zajmować? Mamy pobić Niemców – to wielkie i niełatwe zadanie. Mamy zjednoczyć ziemie polskie. Gdy się to stanie, będziemy mieli czas mówić o ustroju Polski. Na to, żebym mógł o nim mówić, muszę widzieć przedtem zjednoczoną Polskę.

Byłem pewny, że czas pracować będzie dla nas, że ci sami Rosjanie, którzy w początku wojny wielu rzeczy nie mogli zrozumieć, z postępem czasu, przetrawiając w umysłach nasze położenie, będą się stawali dostęniejsi dla nowych pojęć. Im później przyjdzie do dyskusji, tym warunki dla nas będą korzystniejsze. Zresztą lepiej się kłócić po wojnie niż podczas wojny, gdy stoimy w obliczu wspólnego wroga, którego trzeba przede wszystkim zwyciężyć.

Trzeba było niemałego wysiłku, żeby to stanowisko utrzymać. Bo i z naszej strony ludzie nie dość widzieli niebezpieczeństwo wdania się w dyskusję.

Jeden z najbliższych mi ludzi wielokrotnie, z naciskiem żądał, żebyśmy wystąpili z programem państwa polskiego w unii osobistej z Rosją.

– Chcesz doprowadzić – mówiłem mu – do pokłócenia nas z Rosjanami podczas wojny. Twój program to dla nich za wiele, a dla nas za mało. Oni myślą o szerszej lub węższej autonomii, a nas może zadowolić tylko całkowita niepodległość. Po cóż więc teraz dyskutować?...

Zwracano mi często uwagę, że ogół polski jest niezadowolony, że nie wystarczają mu mgliste zapowiedzi odezwy wielkiego księcia, że chciałby mieć coś bardziej określonego. To była prawda. Wolałem wszakże znieść niezadowolenie ogółu, niż sprzeniewierzyć się zdrowemu rozsądkowi.

Jestem przekonany, że nie dopuszczając do tej dyskusji – pomimo że ze strony rosyjskiej dąsano się na nas za to – zrobiłem rzecz bardzo dobrą.

Pomimo wszystko, do dyskusji później przyszło, i to z rządem rosyjskim. Warunki wszakże były już całkiem inne niż w początku wojny.

Na odezwę wielkiego księcia Warszawa odpowiedziała najpierw krótką odezwą czterech stronnictw warszawskich²⁵, następnie zaś telegramem do wielkiego księcia, podpisanym przez kilkudziesięciu ludzi zajmujących wybitniejsze stanowiska społeczne.

I po odezwie wielkiego księcia nie wytworzył się żaden stosunek między nami a rządem rosyjskim. Nie prowadziliśmy żadnych układów.

²⁵ Demokracji Narodowej, Polskiej Partii Postępowej, Polityki Realnej i Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

W ciągu tygodnia mego pobytu w Petersburgu po ogłoszeniu odezwy jedynym moim zetknięciem z urzędową Rosją była wspomniana już rozmowa z ministrem spraw zagranicznych Sazonowem, której wynikiem było wytknięcie zachodniej granicy Polski czy określenie obszaru, który należało od Niemców oderwać. Obszar ten obejmował polski Śląsk Górny, dwa powiaty Średniego (sycowski i namysłowski), Poznańskie, dwa powiaty pruskiego Pomorza (lęborski i bytowski), Prusy Zachodnie i Wschodnie.

Po moim powrocie do Warszawy przystąpiliśmy do przygotowań ku zorganizowaniu oficjalnego ciała kierowniczego polityki polskiej podczas wojny.

Początek dało ściśle porozumienie co do wspólnej akcji Stronnictw Demokratyczno-Narodowego i Polityki Realnej.

Wydały one 28 sierpnia wspólną odezwę motywowaną, wzywającą Naczelny Komitet Narodowy w Galicji „do natychmiastowego zaprzestania wszelkiej akcji, której program jest nakreślony w jego komunikacie”.

Chodziło następnie o pociągnięcie do wspólnej akcji tzw. stronnictw postępowych. Zależało na tym głównie Stronnictwu Polityki Realnej, które, jak to było widoczne, nie chciało być sam na sam z nami, obawiając się przewagi naszego obozu. Tu wszakże napotkaliśmy na nieprzewyżnione trudności, przedstawiciele bowiem Zjednoczenia Postępowego oświadczyli kategorycznie, że idą z Anglią i Francją, ale nie z Rosją.

Demokracji Narodowej, Polskiej Partii Postępowej, Polityki Realnej i Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Pertraktacje z tymi stronnictwami trwały zbyt długo, robiono bowiem wszelkie możliwe próby dojścia z nimi do porozumienia. Naszemu obozowi, co prawda, nie zależało tak dalece na ich współdziałaniu, gdyż małe mieliśmy zaufanie do ich zmysłu politycznego. W końcu, widząc jałowość wszelkich prób, doprowadziliśmy do zerwania.

Komitet Narodowy w Warszawie został zorganizowany dopiero w listopadzie z przedstawicieli naszego obozu, Polityki Realnej oraz pewnej liczby ludzi stojących poza stronnictwami.

Chciałem zostać prezesem Komitetu, żeby mieć kierownictwo jego akcji w swoim ręku. Napotkałem wszakże na bezwzględny opór przedstawicieli Polityki Realnej. Opór ten był zresztą zrozumiały. Obawiali się, żebym nie poszedł dalej w programie polskim, niż oni to uważali za możliwe, i wiedzieli, że jestem niemile widziany w sferach rządowych, z którymi bardzo się liczyli. Grała też pewną rolę miłość własna: pamiętali mi książkę o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*.

Nie chcąc robić wielkiej kwestii ze sprawy osób, zgodziliśmy się na obranie prezesem Zygmunta Wielopolskiego, który zresztą na tym stanowisku oddał sprawie niemałe usługi. Dla siebie wymyśliłem stanowisko prezesa wydziału wykonawczego w Komitecie.

Odezwa Komitetu Narodowego ukazała się 25 listopada 1914 roku²⁶.

Wkrótce po założeniu Komitetu Narodowego przystąpiliśmy do organizowania legionów polskich przy armii rosyjskiej.

Trzeba było szukać wyjścia z karykaturalnego położenia, w jakim postawiło Polskę istnienie legionów w szeregach nieprzyjacielskich. Nikomu w świecie niepodobna było wytłumaczyć, jak to się dzieje, że Polacy za głównego wroga swej sprawy uważają Niemcy, a biją się dobrowolnie tylko po ich stronie; że jako pierwszy swój cel stawiają zjednoczenie Polski, oderwanie od Niemiec ziem zaboru pruskiego, a walczą z bronią w rękę o to, żeby te ziemie przy Niemcach pozostały, żeby do zjednoczenia swej ojczyzny nie dopuścić.

Koniecznością wobec tego było stworzenie po stronie rosyjskiej wojska ochotniczego, złożonego z Polaków i nazywanego się polskim, i to stworzenie go na szerszą o wiele skalę niż legiony po stronie austriackiej.

Patrz: Aneks II.

Znaczna liczba młodzieży polskiej, porwana zapałem, wstępowała w szeregi armii rosyjskiej. Trzeba było ją zużytkować lepiej, osiągnąć to, żeby mogła walczyć nie bezimiennie, ale jako żołnierz polski.

Było rzeczą pierwszorzędną wagi, ażeby po zwycięstwie, gdy przyjdzie do rozstrzygnięcia sprawy polskiej, istniały już zaczątki wojska polskiego, które by pozostały jako armia przyszłego państwa...

Organizowanie legionu polskiego zaczęto poza nami, z inicjatywy prywatnej, z pozwolenia wielkiego księcia, w porozumieniu ze sztabem armii południowo-zachodniej. Postanowiliśmy na to rękę położyć i zrobić rzecz, która by naprawdę była dziełem społeczeństwa polskiego, wykonanym za oficjalną zgodą władz rosyjskich. Kierownictwo tej akcji objął z naszej strony Zygmunt Balicki.

Nie mam tu miejsca na historię tej sprawy. Mam nadzieję, że ktoś ten ważny moment naszego działania szczegółowo opracuje.

Tu tylko wspomnę, że po porozumieniu z władzami wojskowymi werbunek został rozpoczęty, że zapał był wielki i że szybki napływ ochotników zapowiadał utworzenie wcale poważnego wojska. Liczono na dwieście-trzysta tysięcy. Jednakże rząd rosyjski, widząc niespodziewane dla niego powodzenie tej akcji, przestraszył się, że powstaje wojsko polskie, i wkroczył w sprawę. Nowy generał-gubernator warszawski, ks. Jengałyczew, wydał przepisy, które odebrały tworzonym oddziałom charakter odrębnych formacji polskich. Wobec tego zmuszeni zostaliśmy odstąpić od swego planu. Przestaliśmy zachęcać młodzież, zapał ostygł i werbunek ustał. Pozostał już uformowany,

²⁶ Patrz: Aneks II.

złożony z paru tysięcy ludzi tzw. legion puławski, który się odznaczył później pierwszorzędnymi zaletami bojowymi.

W tej sprawie rząd rosyjski zwyciężył.

Wkrótce po ogłoszeniu odezwy wielkiego księcia Mikołaj II polecił rządowi wypracować wykonanie przyrzeczeń zawartych w odezwie. Rzecz była trzymana przez rząd w tajemnicy i myśmy o niej przez parę miesięcy nic nie wiedzieli. Później zaczęły dochodzić głuche wieści, iż rząd w październiku roku 1914 opracował jakiś program, że przesłał go cesarzowi, a ten wielkiemu księciu do zaopiniowania; że program wrócił do rządu i w listopadzie został opracowany ponownie. Wieści te nas zaalarmowały...

Było rzeczą pewną, że rząd postara się sprowadzić przyrzeczenia odezwy do minimum. Trudno zaś było oczekiwać od cesarza lub wielkiego księcia, żeby zdawali sobie sprawę z tego, co należy zrobić w kwestii polskiej, i, przy najlepszych nawet chęciach, umieli rząd skorygować.

Mikołaja II nigdy nie widziałem, ale słyszałem o nim tyle od ludzi, którzy go znali, iż wiedziałem, że politykiem nie jest i sprawy polskiej nie zna. Z wielkim księciem rozmawiałem raz w kwaterze głównej, w Baranowiczach; zrobił na mnie wrażenie wojskowego, który się nigdy sprawami politycznymi nie zajmował. Należało się więc obawiać, że rząd uzyska ich zgodę na swoje projekty i że ukaże się jakiś manifest cesarski, którym Rosja będzie zaangażowana w kierunku dla nas niepomysłnym, który oburzy społeczeństwo polskie i uniemożliwi nam solidarność z Rosją w wojnie. Nie chodziło tyle o przyszłość, bo dla niej taki akt mógł nie mieć żadnego znaczenia, ile o terażniejszość. Baliśmy się, żeby rząd nie osiągnął swego celu i nie pokłócił nas z Rosją podczas wojny.

Wreszcie dostaliśmy teksty obu projektów rządowych, z października i z listopada, które obawy nasze w zupełności potwierdziły. W pierwszym projekcie Polska dostawała autonomię bardzo podobną do galicyjskiej, to znaczy właściwie szeroki samorząd miejscowy. Gdy wielki książę porobił uwagi żądające rozszerzenia władzy namiestnika, opracowano drugi projekt, który jakby na drwiny, zamiast tę rzekomą autonomię rozszerzyć, jeszcze ją zredukował.

Koniecznością było poinformować cesarza, iż akt podobny będzie jak najfatalniej przyjęty w Polsce. Nie chcieliśmy wszakże występować z żadnym oficjalnym projektem polskim, ze względów, o których wyżej była mowa; w naszym interesie było, żeby kwestia przyszłego ustroju zjednoczonej Polski pozostała otwarta.

Z trudności tej wyszliśmy w ten sposób, że upoważniliśmy Zygmunta Wielopolskiego, ażeby nie w imieniu Komitetu Narodowego, tylko osobiście, na własną odpowiedzialność wszedł w kontakt z cesarzem i zajął stanowisko przeciwne projektom rządu.

Wielopolski na audyencji prywatnej powiedział Mikołajowi II, że między tym, co rząd przygotowuje, a tym, czego oczekują Polacy, istnieje wprost przepaść. Wtedy cesarz zażądał od niego memoriału przedstawiającego, jak Polacy wyobrażają sobie realizację przyrzeczeń odezwy.

Tu znów była wielka trudność. Niepodobna było iść w memoriale za daleko, żeby nie zniechęcić Mikołaja II, którego dobra wola była cennym atutem przeciw rządowi. Wielopolski więc złożył memoriał wyrażający tylko jego pogląd osobisty, za który nikt prócz niego nie odpowiadał. Mając od nas na ten krok cichą aprobatę, przedstawił cesarzowi projekt istotnej autonomii politycznej w najogólniejszych zarysach; wiedzieliśmy, że to wystarczy do zahamowania roboty rządu i odwlecze na długi czas możliwość ukazania się jakiegokolwiek aktu.

Istotnie, cesarz po otrzymaniu memoriału wezwał do siebie prezesa Rady Ministrów, Goremykina, wskazał na głębokie różnice między poglądami Polaków a poglądami rządu i polecił mu wezwać przedstawicieli polskich na naradę w celu dojścia do porozumienia. Zaproszono nas wtedy, w początku czerwca 1915 roku, w liczbie siedmiu do Piotrogradu (ukaz cesarski przemianował niemiecki Petersburg po wybuchu wojny na Piotrogród). Ze strony rządu w naradzie udział wzięli: prezes ministrów Goremykin, minister spraw wewnętrznych Makłakow, minister oświaty hr. Ignatiew, i generał-gubernator warszawski ks. Jengałyczew. Trzymaliśmy się w terminach jak najogólniejszych, wykazywaliśmy konieczność zasadniczej zmiany w stosunku Rosji do Polski, unikając stawiania jakichkolwiek programów konkretnych. Gdy protokół narady został zakomunikowany cesarzowi, postanowił on utworzenie pod prezydencją Goremykina komisji mieszanej polsko-rosyjskiej, dla „opracowania sposobu wykonania obietnic wielkiego księcia, zawartych w jego odezwie do Polaków”, do której to komisji mianował po sześciu przedstawicieli z każdej strony.

Komisja ta odbyła cały szereg posiedzeń, z których protokoły zostały przez rząd wydrukowane i stanowią ciekawy materiał historyczny.

Od początku istniała w niej niemożliwa do wypełnienia przepaść między naszym stanowiskiem a stanowiskiem jej członków rosyjskich, odpowiednio dobranych z Dumy i Rady Państwa mężów zaufania rządu. Komisja formalnie zakończyła swe prace już po zajęciu Warszawy przez Niemców, dwiema przeciwnymi sobie rezolucjami, polską i rosyjską. Rezultat zatem jej pracy był negatywny, dzięki czemu uratowaliśmy się od niepożądanego manifestu.

O tym, jak rząd usiłował zniechęcić Polaków do zajmowanego przez nich stanowiska wobec wojny i jakie żywił nadzieje, najlepiej świadczyło zagajenie prac komisji przez prezesa ministrów Goremykina. Powiedział on między innymi rzecz następującą (cytuję jego słowa z pamięci):

– W odezwie wielkiego księcia mamy dwa przyrzeczenia: zjednoczenie ziem polskich i samorząd. Otóż muszę panom powiedzieć, że te dwie rzeczy są ściśle z sobą związane i wykonanie jednej zależy od osiągnięcia drugiej. Zjednoczenie wszakże ziem polskich znajduje się w ręku Boga. Jeżeli Bóg da, że będzie zjednoczenie, to będzie i samorząd; gdy zjednoczenia nie będzie, to i samorządu nie będzie.

Tak rząd rosyjski pracował w kierunku wręcz przeciwnym cesarzowi, wielkiemu księciu i opinii rosyjskiej. Idąc więc z Rosją, musieliśmy z nim nieustannie walczyć.

Na dalszych posiedzeniach komisji w zastępstwie Goremykina przewodniczył Kryżanowski, sekretarz państwowy (taki tytuł nosił jeden z członków Rady Ministrów), znany jako wróg Polski. Wtrącił on raz w trakcie dyskusji:

– Tego, o czym panowie mówią, nie ma przykładu na całym świecie. Czy panowie widzieli, żeby w jakimkolwiek państwie dany kraj posiadał taki stopień odrębności politycznej?

Odpowiedziałem mu pytaniem:

– A czy pan, panie ministrze, widział gdzie na świecie, żeby naród tak wielki liczbą, z taką przeszłością jak Polska i z tak bogatą własną cywilizacją pozostawał pod panowaniem innego narodu?

Z zajęciem ziem polskich przez armie państw centralnych położenie się zmieniło. Niebezpieczeństwo jakiegoś fałszywego kroku Rosji w sprawie polskiej znacznie się zmniejszyło. Natomiast wzrosło znacznie niebezpieczeństwo osobnego pokoju między Rosją a Niemcami. Zbliżała je sytuacja wojenna Rosji, pobitej przez nieprzyjaciela, i znaczny upadek zapału w społeczeństwie rosyjskim, zmęczonym już wojną i wzmocnienie się ogromne wpływów niemieckich zarówno w rządzie, jak i na dworze cesarskim. Znalazły one sobie między innymi oryginalnego, ale niedającego się lekceważyć agenta w osobie Rasputina.

To niebezpieczeństwo mogło wzrosnąć na skutek zachowania się Polaków w Warszawie, manifestacji przeciw Rosji, a na rzecz państw centralnych. Dodać trzeba, że w samej Rosji koła tzw. niepodległościowe, które myślały o Polsce podległej właściwie Niemcom, nabrały śmiałości, zaczęły głośno manifestować swoje stanowisko. Rząd zaś rosyjski w tej sprawie zachowywał się bardzo liberalnie, nie przeszkadzał im w manifestowaniu ich „niepodległościowości”. Widoczne było, że te manifestacje są dla niego raczej pożądane.

Widzieliśmy potrzebę wejścia w działania na nowe drogi, bacząc wszakże nieustannie na to, żeby swym postępowaniem nie pomóc do pokoju między Rosją a Niemcami.

VI. PO ZAJĘCIU WARSZAWY PRZEZ NIEMCÓW

Kiedy Niemcy zajęli Warszawę, kiedy potem armia rosyjska szybko się cofnęła i front wschodni stanął na linii odpowiadającej mniej więcej granicy drugiego rozbioru Polski – cały obszar narodowy polski, całe terytorium przyszłego państwa, jak je sobie przedstawiliśmy, znalazło się pod okupacją państw centralnych.

W krótkim czasie stało się jasne, że ten front nie ma widoków przesunięcia się z powrotem na zachód, że armia rosyjska nie jest dość silna, ażeby nieprzyjaciela zmusić do cofnięcia się. Uwolnić Polskę od Niemców mogło już tylko wielkie zwycięstwo państw zachodnich.

Samo cofanie się armii rosyjskiej odbyło się w taki sposób, jak gdyby nigdy nie miała ona zamiaru do Polski wracać. Nie wiem do tej pory, kto był autorem owego fantastycznego, nedorzecznego pomysłu, ażeby cofając się, zostawiać nieprzyjacielowi kraj niezamieszany, zmuszać ludność do uchodzenia razem z wojskiem, próbować zamienić w pustkę olbrzymią połąć gęsto zaludnionego kraju, posiadającą co najmniej osiem milionów mieszkańców.

Jeżeli to były reminiscencje taktyki rosyjskiej z czasów napoleońskich, to przecież ludzie mający cokolwiek sensu w głowie powinni byli zdawać sobie sprawę z różnicy warunków czasu i miejsca. Można było pozwolić sobie na to w kraju dość pierwotnym, słabo zaludnionym, i mogło to mieć jakiś cel w czasach, kiedy armie zaopatrywały się w żywność w przeważnej mierze na miejscu, u ludności kraju.

Z góry też musiało być wiadome, że z chwilą kiedy dało się armii rozkaz cofania się w podobny sposób, kończył się ten piękny w dziejach armii rosyjskiej na naszej ziemi okres, kiedy pod wpływem odezwy naczelnego wodza i jego surowych w tym względzie rozporządzeń, szanowała ona mienie ludności jak żadna inna. Niszczenie mienia i grabież stały się w tym odwróceniu regułą.

Odwrót ten miał wyraźne znamiona akcji przeciwpolskiej i niesłuchanie ochłodził nasze społeczeństwo w stosunku do Rosji.

Zastanawiając się nad źródłem tego postępowania, które pod względem wojskowym niczym się nie dawało uzasadnić, trudno było się opędzić myśli, że była to robota polityczna. Te sfery w Rosji, które od początku wojny pracowały nad wykopaniem przepaści między Polską a Rosją i rzuceniem Rosji z powrotem w objęcia Niemiec, zdołały tym razem przemycić akcję na wielką skalę, której skutek zapowiadał się jako niezawodny. Chodziło o to, żeby dokonawszy odwrotu w podobny sposób, ułatwić Niemcom wejście do Polski w roli zbawców i przygotować im jak najlepsze przyjęcie. Potem pozostałby już fakt niezbity, że Polacy przeszli do obozu nieprzyjaciela. Czas zatem już zawrzeć pokój i zabrać się do nich wspólnie z Niemcami.

Robota w tym kierunku od początku wojny była tak konsekwentna, składało się na nią tyle zgodnych z sobą posunięć, to zaś ostatnie tak z poprzednimi harmonizowało, że trudno je było inaczej tłumaczyć.

Nasuwało się pytanie, dlaczego naczelny wódz, który miał inną linię w stosunku do Polaków, podobny sposób postępowania zaaprobował.

Tu trzeba szukać wyjaśnienia w charakterze wielkiego księcia Mikołaja jako naczelnego wodza. Miał on na tym stanowisku, jak twierdzili pracujący z nim wojskowi, duże zalety i duże wady. Był przywiązany do sprawy zwycięstwa nad Niemcami, miał silną wolę, umiał rozkazywać, utrzymywał bardzo surową dyscyplinę, wreszcie posiadał wykształcenie wojskowe. Jednakże dlatego właśnie, że miał wykształcenie wojskowe, zanadto polegał na swoim zdaniu, zbyt lekceważył zdanie innych, których wykształcenie było o wiele większe i którzy bez porównania głębiej od niego przemyśleli rzeczy wojskowe. Był przy tym niemałym fantastą. Powiadają, że upór jego co do sposobu prowadzenia wojny wyrządził wiele szkody.

Ci sami wojskowi twierdzili, że lepiej im było pracować z cesarzem, który wkrótce po odwołaniu objął zwierzchnie dowództwo, manifestując tym swoją niezłomną wolę prowadzenia wojny w dalszym ciągu. Ten, nie mając wykształcenia wojskowego, nie znając się w swym przekonaniu na strategii, w sprawach prowadzenia wojny oddawał decyzję ludziom kompetentnym.

Otóż takim ludziom jak wielki książę bardzo łatwo czasem podsunąć najdziwniejszy pomysł, a oni, uznawszy go za swój, gotowi są trzymać się go z niedającym się przełamać uporem. Tak niezawodnie było i z owym pomysłem zostawienia nieprzyjacielowi pustego kraju, pomysłem podsunętym w chwili, kiedy wódz, wytracony z równowagi wielkim niepowodzeniem, utracił zdolność panowania nad sobą.

Na tej operacji i armia rosyjska, jako taka, wiele straciła. Odwrót jej wprawdzie nie był derutą, ale byłby się odbył w większym o wiele porządku, gdyby drogi nie były pozapychane ewakuowaną ludnością i gdyby wojsko nie zajmowało się ewakuowaniem na swój sposób mienia ludzkiego.

W myśl prawa społecznego, według którego powodzenie jest najlepszym środkiem zyskiwania przyjaciół, Rosja po odwołaniu, zwłaszcza takim, straciła sporo zwolenników w naszym kraju. Ci sami, którzy bardzo wrogo byli nastrojeni przeciw Niemcom i Austrii w chwili, gdy armia rosyjska podchodziła pod Kraków, obecnie, gdy armie państw centralnych zajęły całą Polskę, przedzierzgnęli się nagle w ich mniej lub więcej gorących stronników. Widziało się to nawet u wielu Polaków przebywających w Rosji.

Mieliśmy bardzo wiele podczas tej wojny ludzi, którzy nie myśleli ani na chwilę o wolnej Polsce, tylko o tym, pod którym panem wypadnie służyć i którego łaski sobie zaskarbiać. Takich ludzi nie brak nigdy i nigdzie, tylko narody wychowane w niewoli mają ich wyjątkowo dużą liczbę.

Wielu w owej chwili uważało wojnę za skończoną i zwycięstwo państw centralnych za nieodwołalne. Czekali tylko, rychło Niemcy zadadzą *coup de grâce*²⁷ państwom zachodnim. Widziałem wówczas ludzi, głęboko rozumiejących niebezpieczeństwo niemieckie, którzy potracili głowy i za fakt już uważali nową klęskę Polski.

Jednakże, znając cokolwiek Europę i położenie międzynarodowe, jakie się wytworzyło w ostatnich dziesięcioleciach, wiedziałem z jednej strony, jak wielkie są środki państw zachodnich, pomimo ich do tej wojny nieprzygotowania, z drugiej rozumiałem, że nie pogodzą się one łatwo ze zwycięstwem Niemiec i z ich zapanowaniem nad współczesnym światem. Miałem silną wiarę w ich upór w obronie swego bytu i swej pozycji w świecie, i byłem przekonany, że przy dość silnym uporze zwycięstwo do nich należy. Wobec zaś wielkiej dojrzałości tych narodów, uporu należało oczekiwać. Tylko było widoczne, że na zwycięstwo, o ile przyjdzie, długo wypadnie czekać i trzeba będzie umieć w należytej postawie wytrwać. Trzeba i nam się zdobyć na upór.

Muszę stwierdzić, że tę wiarę, ten pogląd na państwa zachodnie dzielili ze mną w zupełności moi towarzysze pracy, i że znaleźliśmy silne podtrzymanie u ogółu polskiego zarówno w Królestwie, jak tym bardziej w zaborze pruskim. W Galicji wówczas Austria i Żydzi galicyjscy załatwiali swe rachunki z Polakami za czas okupacji rosyjskiej. Tysiącami ludzi skazywano i posyłano na szubienicę.

Zmienione położenie wymagało nowych dróg działania, na co zresztą byliśmy przygotowani.

Nie opuszczając terenu rosyjskiego, trzeba było środek ciężkości naszego działania przenieść na Zachód.

Teren rosyjski nie stracił wagi. Pomimo niepowodzeń, Rosja nie przestawała mieć ogromnego znaczenia dla zwycięstwa. I teraz jej wycofanie się z wojny, zawarcie osobnego pokoju z Niemcami osłabiłoby do tego stopnia szansę państw zachodnich, że i one pewnie by musiały pokój zawrzeć. Jeżeli obawa tego, bardzo zresztą możliwego kroku ze strony Rosji była zmorą polityków i wojskowych francuskich, angielskich i włoskich – to cóż dopiero powiedzieć o nas. Tylko dzieci mogły się łudzić, że w osobnym pokoju między Rosją a Niemcami sprawa polska nie będzie na proch starta.

Koniecznością zatem było nie tylko utrzymać posterunek w Rosji, ale z tym większym wysiłkiem na nim pracować nad utrzymaniem solidarności polsko-rosyjskiej, nad moralnym podtrzymaniem Rosji w walce przeciw wspólnemu wrogowi.

Jednakże wobec tego, że Polska już cała była w ręku nieprzyjaciela, sprawa polska nabierała szybko charakteru międzynarodowego. Dla państw zachodnich zachowanie Polski wobec stron wojujących zaczęło mieć teraz większe znaczenie. Przy tak niepewnych widokach zwycięstwa nie mogło być dla nich obojętne, czy tak duży kraj jak

²⁷ Coup de grâce (fr.) – cios łaski, cios miłosierdzia. [red.]

Polska będzie trzymała z nimi, czy z nieprzyjacielem. Toteż po ustąpieniu armii rosyjskiej z Polski rządy państw zachodnich starają się o jak najdokładniejsze informacje o tym, co się w Polsce dzieje, i mile witają wszelkie objawy świadczące o tym, że trwa ona na stanowisku nieprzyjaznym Niemcom.

Wiadomo było dobrze, iż jakieś oświadczenia państw zachodnich na korzyść Polski ogromnie by wzmocniły wśród Polaków nastrój przeciwniemiecki. Na to wszakże nie mogły sobie one pozwolić, wiedząc, jak Rosja o sprawę polską jest zazdrosna, i bojąc się jej separatywnego pokoju. Można śmiało powiedzieć, że gdyby wtedy zrobiły próbę formalnego przeniesienia sprawy polskiej na teren międzynarodowy, nam samym oddałyby najfatalniejszą usługę.

Ci Polacy, którzy wówczas lżyli Francję i Anglię w pisemkach, wydawanych w Szwajcarii, za ich obojętność dla sprawy polskiej i uleganie Rosji, ci nieodpowiedzialni politycy, od których się roiło podczas wojny, nie mieli najmniejszego pojęcia o istotnym położeniu i o tym, co w interesie samej Polski było wówczas potrzebne. Niestety, mieliśmy wielu ludzi znajdujących się na tym poziomie umysłowości politycznej, na którym żąda się przede wszystkim deklaracji, miłych słów, bez względu na to, jaka w danej chwili jest ich wartość realna.

To właśnie położenie państw sprzymierzonych, ten stosunek państw zachodnich do Rosji sprawiał, że na Zachodzie nie było pola do oficjalnej polityki polskiej. Niemniej przeto, wobec położenia Polski i jej znaczenia dla stron wojujących, ludzie reprezentujący sprawę polską mieli tam coś do roboty. Przede wszystkim, mieli przed sobą zadanie informatorów o położeniu w Polsce i w ogóle w środkowej Europie, mieli obowiązek, nieoficjalnie na razie, postawić sprawę polską w tej wojnie w należyтым świetle, przygotować grunt do oficjalnego, gdy chwila na to przyjdzie, jej postawienia i do jej ostatecznego w razie zwycięstwa rozstrzygnięcia.

Praca nasza na Zachodzie prowadzona była na skromną skalę od początku wojny. Ześrodkowała się ona w Szwajcarii.

Wybuch wojny zastał w Szwajcarii lub wyrzucił tam z państw centralnych pewną liczbę Polaków, wśród których znaleźli się dwaj cieszący się największą spośród naszych rodaków sławą w świecie. Zarówno Sienkiewicz, jak i Paderewski, jakkolwiek wielcy artyści, gorąco się interesowali sprawami politycznymi narodu. Obaj głęboko rozumieli niebezpieczeństwo niemieckie dla Polski i stanowisko obu względem Niemiec było dobrze znane. Sienkiewicz dał mu wyraz nie tylko w swej twórczości (*Bartek zwycięzca*, *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*, *Krzyżacy*), ale nawet w akcji politycznej, przeprowadziwszy w całej Europie słynną ankietę przeciw Niemcom po procesie wrzezińskim. Paderewski zmanifestował swe stanowisko przez wzniesienie w Krakowie w roku 1910 pomnika grunwaldzkiego. Dla narodu, tak pozbawionego stosunków międzynarodowych jak Polska, obaj ci ludzie, dzięki swej pozycji w szerokim świecie, byli niezmiernie cenni.

Sienkiewicza znałem blisko, żyłem z nim w stosunkach przyjacielskich, miałem cześć nie tylko dla jego talentu i wysokiej kultury umysłowej, ale i dla jego gorącego patriotyzmu i tego mocnego polskiego reagowania na nasze sprawy, jakim się odznaczał. Liczyłem bardzo na rolę, jaką w tej historycznej chwili odegra. Niestety, odmówił on jakiegokolwiek zmanifestowania swego politycznego stanowiska wobec wojny. Nie wiem, jakie były tego przyczyny: niewątpliwie, jedną z najważniejszych był stan jego zdrowia, które szybko po wybuchu wojny podupało. Stał na czele komitetu pomocy dla ofiar wojny w Polsce, z siedzibą w Vevey, i w tej pracy wyłącznie się zamknął.

Paderewski rzucił koncerty na czas wojny, ażeby się oddać wyłącznie sprawom polskim – pomocy dla rodaków i akcji politycznej. Na gruncie państw zachodnich stał się z przemożnymi, zamykającymi drogę działaniom polskim wpływami rosyjskimi, po czym wyjechał do Ameryki, gdzie oddał sprawie polskiej niepospolite usługi.

Narzuciła się w Szwajcarii konieczność zorganizowania propagandy polskiej. W tym celu stworzono Polską Agencję Prasową w Lozannie. Do pracy znalazł się cały szereg ludzi, z dużymi, jak na stosunki polskie, kwalifikacjami, wśród nich publicyści zawodowi, zajmujący wybitne w naszym życiu stanowiska polityczne, jak Erazm Piltz, jeden z kierowników Stronnictwa Polityki Realnej, a później Marian Seyda, redaktor „Kurierza Poznańskiego” i kierownik naszej organizacji w zaborze pruskim, który stanął na czele Agencji Lozańskiej.

Seyda, reprezentujący gruntowną wiedzę o sprawach zaboru pruskiego, zajmujących naczelne w naszej polityce miejsce, ze swą rutyną i niepospolitą energią rozwinął ogromną pracę, która w historii naszych wysiłków podczas wojny zajęła niepoślednie miejsce. Nadto, przez jego ręce zaczął napływać z zaboru pruskiego stały zasiłek pieniężny na tę pracę, zbierany drogą składek w całej dzielnicy pruskiej, zasiłek, który przez dłuższy czas był jedyną materialną podstawą naszej na Zachodzie działalności. Tu trzeba zaznaczyć, że społeczeństwo zaboru pruskiego było jedynym pod rządami nieprzyjaciela odłamem narodu, który zbiorowymi siłami łożył podczas wojny na politykę polską. Obok niego przyszli potem z większą jeszcze pomocą rodacy nasi w Ameryce, z pomocą, bez której nasza akcja polityczna musiałaby chyba stanąć z braku środków.

W tej fazie, w którą kwestia polska weszła w drugiej połowie 1915 roku, propaganda prasowa, choćby najsprawniejsza, już nie wystarczała: trzeba było zacząć wchodzić w styczność z czynnikami wpływowymi w państwach sprzymierzonych i z ich rządami. Trzeba było w każdej ze stolic osadzić kogoś, kto by nieoficjalnie Polskę reprezentował i czuwał nad sprawą polską.

Wobec tego postanowiony został jesienią 1915 roku mój wyjazd na Zachód wraz z Konstantym hr. Platerem, ze Stronnictwa Polityki Realnej. Mieliśmy zacząć od objazdu: Londyn, Paryż, Rzym, łącznie z Watykanem, Lozanna – dla zorientowania się wszędzie na miejscu i przygotowania programu dalszego postępowania.

Przed wyjazdem z Rosji, zastanawiając się nad położeniem sprawy aliantów we wschodniej połowie Europy, stwierdziłem ogromny jej upadek. Polegał on nie tylko na niepowodzeniach wojennych Rosji, ale także na upadku jej wpływu wśród mniejszych narodów Austro-Węgier i Bałkanów. Ten wielki prestiż, jaki miała Rosja w początku wojny, ten entuzjazm dla niej, jaki dawał się czuć tam nawet, gdzie się nie mógł głośno wypowiedzieć, gdzieś znikł, a na jego miejsce zjawily się nieufność i niechęć. Korzystała z tego znakomicie zorganizowana propaganda niemiecka, która robiła coraz większe postępy, grożąc całkowitym pobiciem Rosji w tej sferze, w której do owego czasu miała najsilniejsze wpływy moralne i polityczne.

Było to ogromne niebezpieczeństwo nie tylko dla Rosji i dla nas, ale w ogóle dla sprawy sprzymierzonych. Niemcy były na drodze do zrealizowania podczas wojny linii Berlin-Bagdad, pracowały wspólnie z Austrią nad wciągnięciem Bułgarii w wojnę po swojej stronie, co miało im dać połączenie z Turcją i podwojenie tą drogą obszaru zajmowanego przez obóz państw centralnych. W szczególności było to wielkie niebezpieczeństwo dla Anglii, której grozić mogło przecięcie Kanału Sueskiego drogą lądowej akcji wojennej.

W rozmowach z Rosjanami wskazywałem na te groźne następstwa upadku uroku Rosji wśród narodów środkowej i południowo-wschodniej Europy. Wskazywałem też, że przyczyna tego upadku nie leży wyłącznie w niepowodzeniu wojennym Rosji.

Jeżeli w początku wojny Rosja obudziła taki dla siebie entuzjazm, to nie tylko dlatego, że wystawiła olbrzymią armię, że znakomicie przeprowadziła mobilizację, że w krótkim czasie znalazła się w Karpatach, ale także dlatego, że ogłosiła odezwę wielkiego księcia do Polaków, w którą za granicą włożono o wiele większą treść, niż miała ona w istocie. Żyjące w pobliżu Rosji mniejsze narody widziały w tym z jej strony wielki akt sprawiedliwości, naprawienie krzywdy dziejowej, wyrządzonej Polakom, i położenie nowych podstaw polityki rosyjskiej, która odtąd będzie się opierała na poszanowaniu niezawisłości narodów słowiańskich i bratnim z nimi współzyciu. Przez kraje słowiańskie, młode i skłonne do młodzieńczych uniesień, przeszedł niby powiew wiosenny.

Wkrótce jednak przyszło rozczarowanie. Rosja okazała się mniejszą, niż myślano, potęgą wojenną, a jednocześnie cały szereg faktów zaświadczył, że rozumienie odezwę wielkiego księcia przez Rosję dalekie było od tego, co sobie przedstawiała opinia mniejszych narodów słowiańskich. W sposobie rządzenia Królestwem nic się prawie po odezwie nie zmieniło, polityczne działania Rosjan w Galicji nosiły styl przedwojennych czasów, w Piotrogradzie, w komisji polsko-rosyjskiej, szła walka między Polakami a Rosjanami, którzy usiłowali przyrzeczenia sprowadzić do drugorzędnych reform. Wreszcie przyszły wieści o wielkim odwróceniu armii rosyjskiej, a z nimi echa krzywd, jakich doznała przyjaźnie dla Rosji usposobiona ludność polska.

Zachwiało się więc nie tylko przekonanie o potędze wojennej Rosji, ale i ufność w jej dobrą wolę.

Nawet najpotężniejsze państwo nie może stać się wyłącznie siłą fizyczną, musi się starać o posiadanie uroku moralnego. W dzisiejszych zwłaszcza czasach, kiedy opinia publiczna krajów tak wiele znaczy i tak silny wpływ wywiera na ich politykę, pozycja moralna państwa za granicą nie mniejsze ma znaczenie od jego potęgi materialnej. Podstawą zaś tej pozycji moralnej jest przede wszystkim dobra wiara, uczciwe traktowanie swego własnego słowa. Ludzie, którzy postępowaniem swym tę dobrą wiarę własnego państwa podkopują, największą wyrządzają mu krzywdę.

Taką właśnie krzywdę swemu państwu wyrządzili nieprzejednani wrogowie Polaków w Rosji, tym większą, że to poderwanie dobrej wiary Rosji nastąpiło jednocześnie z jej niepowodzeniem wojennym.

Koniecznością było podniesienie autorytetu Rosji, przywrócenie jej wpływu w tej tak ważnej dla sprawy aliantów sferze, jeżeli się nie chciało iść do klęsk dalszych, większych o wiele od dotychczasowych.

Zło trzeba leczyć tam, gdzie tkwi jego przyczyna. Główną przyczyną upadku wpływu rosyjskiego była kwestia polska. Trzeba więc było odzyskiwanie tego wpływu od kwestii polskiej zacząć.

W chwili, kiedy cała Polska była w rękach nieprzyjaciela, Rosja już nie miała sposobności czynami dowieść, że poważnie traktuje sprawę danych w początku wojny przyrzeczeń. Wszelkie półsłówka i niejasne obietnice w owej chwili mogły wywołać tylko wzruszenie ramion, jeżeli nie szyderstwo. Jedna rzecz tylko mogła zrobić wrażenie i mogła być przyjęta poważnie, mianowicie, uroczysty akt ze strony Rosji, uznający niepodległe państwo polskie. Gdyby Rosja taki akt zrobiła i wraz z nim ogłosiła wojnę o wolność wszystkich narodów – skutek byłby olbrzymi.

Na ten właśnie temat zacząłem rozmowy z niektórymi Rosjanami, zdolnymi do spokojnego, logicznego myślenia o kwestii polskiej. Wskazywałem im, że Polska w razie zwycięstwa nad Niemcami siłą rzeczy musi się stać niepodległym państwem, że zatem ogłoszenie tego zawczasu nie będzie ze strony Rosji żadną ofiarą. Tymczasem korzyść polityczna będzie olbrzymia – uczyni się wielki krok ku zwycięstwu.

Niektórzy z nich zgadzali się ze mną. Wyrażali wszakże obawę, że wtedy opinia rosyjska dla wojny ochłodnie, powie sobie: Po cóż mamy się bić za Polskę? Sami rozumieli, że mają się za co bić, wiedzieli, że jeżeli Niemcy zwyciężą i ujarzmią całą środkową Europę wraz z Bałkanami, Rosja zejdzie do roli drugorzędnego państwa, wskazywali wszakże, iż szeroka opinia publiczna potrzebuje czegoś grubego, namacalnego jako celu wojny, że zatem dla niej zrzeczenie się całkowitej Polski oznaczałoby zatrzymanie się tam, gdzie armia rosyjska po odwróceniu stanęła, i zakończenie wojny.

Było w tym sporo słuszności. Rosja ponosiła konsekwencje wychowania szeregu pokoleń na idei ciągłych zaborów. Skutkiem tego znalazła się w błędnym kole. Kwestia polska, pojmowana zawsze niedorzecznie, bez perspektywy, bez myśli o przyszłości, teraz mściła się na niej.

Zresztą nie tylko teraz: mściła się od dawna, tylko Rosjanie tego nie widzieli.

Dla mnie wszakże było rzeczą tak jasną, że dla zwycięstwa nad Niemcami koniecznością stało się śmiałe postawienie kwestii polskiej, proklamowanie niepodległego państwa na obszarze zjednoczonych ziem polskich, iż postanowiłem użyć wszelkich wysiłków, ażeby do tego jak najprędzej doprowadzić. Powziąłem plan działania w tym kierunku w samej Rosji, wpływania na jej czynniki decydujące, nie naszymi wyłącznie środkami, ale przy pomocy państw sprzymierzonych, ich wpływów w Rosji.

Muszę tu położyć nacisk na to, że nie śpieszyło mi się z otrzymaniem odpowiedniej deklaracji dla samej Polski. Tego, że po zwycięstwie nad Niemcami Polska będzie państwem niepodległym, już byłem pewny i wiedziałem, że deklaracja w tym względzie sprawy nie przyspieszy. Byłem też pewny, że ta większość opinii polskiej, która za nami stała, podtrzyma nas wytrwale i dalej, choć żadnej deklaracji nie otrzyma. Ta deklaracja przede wszystkim była potrzebna jako broń w walce politycznej z Niemcami, broń zwiększająca widoki zwycięstwa państw sprzymierzonych, od którego zależała cała przyszłość Polski.

VII. AKTYWIZM

Z chwilą, kiedy Niemcy zasiedli w Warszawie i zaczęli kraj urządzać, zjawił się na naszym gruncie nowy termin polityczny: aktywizm.

Nie narodził się on w Polsce – wcześniej już ukazał się w Belgii. Tam aktywistami nazywali się ci obywatele państwa belgijskiego, którzy w czasie, kiedy naród ich był w krwawej walce z najeźdźcą, kiedy armia jego pod wodzą dzielnego króla z uporem się trzymała na ostatnim skrawku ziemi belgijskiej – współdziałali z nieprzyjacielem gospodarującym w Belgii jak u siebie. W szczególności, z tego eufonicznego tytułu korzystali ci Flamandowie, którzy pomagali Niemcom urządzać kraj po flamandzku.

Niezawodnie, ten wyraz jest jednym z dowcipnych wynalazków niemieckich, których tak wiele było podczas wojny. Miało to znaczyć: my urządzamy kraj – ci, którzy nam pomagają, są ludźmi czynu, aktywistami; ci, którzy stoją na boku, są ludźmi biernymi, pasywistami. Zawsze to ładniej brzmi nazywać się człowiekiem czynu. A nie każdy to dostrzeże, że bierny opór może wymagać więcej energii i być rzeczą piękniejszą niż czynne poddanie się.

Naturalnie, nie można porównywać położenia Belga pod okupacją niemiecką z położeniem Polaka. Obywatel belgijski miał prawny i moralny obowiązek wierności swemu państwu, które było jego własnym państwem; współdziałając z nieprzyjacielem, sprzeniewierzał się temu obowiązkowi, zdradzał ojczyznę. Dla myślącego po polsku mieszkańca Królestwa zajęcie kraju przez Niemców było przyjściem jednej okupacji na miejsce drugiej. Można było z każdą współdziałać o tyle, o ile dobro Polski tego wymagało.

Nie miałem nikomu za złe, że brał udział w organizowaniu instytucji, na które okupanci pozwolili, lub że współdziałał w administracji kraju pod okupacją – jeżeli starał się to robić z korzyścią dla ludności polskiej. Przeciwnie, była to zasługa, zważywszy trudne warunki, w jakich wypadło pracować.

Nie zdaje mi się też, żeby tego rodzaju działalność kwalifikowano u nas jako aktywizm. U nas aktywistami nazywano ludzi, którzy usiłowali Niemcom pomagać do zwycięstwa, dążyli do tego, żeby oni rozstrzygali losy Polski.

Można by się spierać o wyraz. Dlaczego aktywistami nazywali się ci, co szli z Niemcami, w przeciwieństwie do tych, co szli z państwami sprzymierzonymi? Ale tak samo można by zapytać: Dlaczego „niepodległościowcami” nazywali się ci, którzy nie całą Polskę chcieli urządzić przy Austrii, w przeciwieństwie do tych, którzy chcieli mieć Polskę całą, zjednoczoną, to znaczy jedyną, jaka mogła być naprawdę niepodległa? To już nieszczęście Polski, że tu się ciągle nadużywa wyrazów...

Działalność aktywistów w tym sensie, jak to wyżej powiedziano, była szkodliwa i kryła w sobie wielkie dla Polski niebezpieczeństwa, na które jeszcze nieraz wypadnie mi wskazać. A żeby sobie zdać sprawę ze stanu myśli politycznej i etyki obywatelskiej w naszym społeczeństwie – co jest konieczne, jeżeli nie mamy w naszym życiu politycznym

iść po omacku – nie można ich wszystkich sprowadzać do jednego mianownika; trzeba ich rozklasyfikować.

Byli przede wszystkim ludzie, których potęga niemiecka tak zahipnotyzowała, że ani na chwilę nie przypuszczali, żeby Niemcy mogły być przez jakąkolwiek koalicję pobite. Patrzyli na Niemcy ze zbyt bliskiej odległości i przysłaniały im one resztę świata. Dla niektórych zwycięstwo Niemiec stało się pewne dopiero po ich powodzeniach w 1915 roku. Rozwiązanie sprawy polskiej przez Niemcy uważali za nieubłaganą konieczność, z którą się trzeba pogodzić. Trzeba się więc z Niemcami zbliżyć, pozyskać ich sobie, żeby przy tym rozwiązaniu wyjść możliwie najlepiej. Jedni z nich rozumieli, że to dla Polski los nieświatny, inni w naiwności swej byli przekonani, że robi ona karierę. Rezygnowali z ziem zaboru pruskiego, bo los tych ziem uważali już dawno za nieodwołalnie przesądzony na korzyść Niemiec. Niektórzy spodziewali się, że Niemcy jakiś kawałek Poznańskiego dla Polski przykroją.

Kto znał dobrze Polskę przedwojenną, ten się nie mógł dziwić, że tacy ludzie w Polsce istnieją i nawet nie mógł ich zbyt surowo sądzić. Ci ludzie potem, przekonawszy się, że byli w błędzie, mogli stać się najpożyteczniejszymi obywatelami państwa polskiego, dalekimi od jakichkolwiek sympatii niemieckich.

Byli inni, którym znów Rosja świat cały zastłoniła, którzy tak sobie wyolbrzymili niebezpieczeństwo rosyjskie dla Polski, że w Niemczech witali zbawców. Wśród nich wielu żyło więcej nienawiścią do Rosji niż przywiązaniem do Polski. I tych nie można zbyt surowo sądzić jakkolwiek trzeba czuć nad tym, żeby zaślepienie ich, o ile trwa dalej, nie wywierało wpływu na politykę naszego państwa i nie wywoływało szkodliwych jej wykołoseń, żeby nie próbowali szkodzić Polsce w celu zaszkodzenia Rosji.

Byli tacy, którzy pojmowali prawowierność katolicką w ten sposób, że uważali za swój obowiązek w postępowaniu politycznym trzymać się bezkrytycznie wskazówek idących z Watykanu. Dyplomacja zaś watykańska, o czym będę jeszcze miał sposobność mówić, zalecała Polakom budowanie swych nadziei na państwach centralnych.

Te typy aktywizmu, względnie niewinne w pobudkach, jakkolwiek niebezpieczne w możliwych następstwach, nie odgrywały głównej roli, nie kierowały akcją. Kierownictwo należało do ludzi, których pobudki były, niestety, mniej niewinne.

Nie mówię już o tych, których Niemcy w taki czy inny sposób ordynarnie wprost kupili. Tacy są wszędzie, tacy byli we wszystkich krajach podczas wojny; u nas zapewne – mówię o polskich mieszkańcach kraju – nie było ich więcej niż gdzie indziej.

Wielu było takich, którzy dlatego byli za niemieckim rozwiązaniem sprawy polskiej, że przy takim rozwiązaniu mieli widoki dostania się w Polsce do władzy. Często sami nie mieli wyraźnej świadomości, że to było momentem decydującym w ich postępowaniu. Trzeba dużego pogłębienia moralnego, niemałej kultury wewnętrznej, żeby umieć swe stanowisko w sprawach publicznych oddzielić od swych ambicji i interesów osobistych. Ludziom mniej lub więcej surowym, pierwotnym, nigdy się to nie udaje...

Narody niezawiste i silne są w tym szczęśliwym położeniu, że tam wierna i rozumna służba krajowi zwykle się zgadza z widokami kariery osobistej, i tam człowiek w życiu politycznym zazwyczaj nie staje przed tym ciężkim dylematem: albo ja, albo ojczyzna. W naszym trudnym niedającym się z żadnym innym porównać położeniu, ten dylemat zjawiał się bardzo często. I dlatego tak wielu ludzi politycznie się wykołowało, nie umiało w sprawach narodowych znaleźć właściwej drogi, nawet wtedy, gdy ta jasno była przez położenie Polski wytknięta.

Niemalą rolę odegrało przy tym zacieźnienie, zawiść partyjna. Nie należę do tych, których jest tak wielu i u nas, i za granicą, a którzy uważają, że w Polsce jest o wiele więcej partyjności niż gdzie indziej. U nas partyjności jest mniej – u nas za wielu ludzi stoi poza partiami, za wiele jest obojętności na to, jaki kierunek w naszym życiu politycznym zwycięży, po jakiej drodze pójdzie kraj w swoim rozwoju. Gdzie indziej ludzi stojących poza partiami jest znikoma liczba, a kierunki przeciwne zwalczą się z większą niż u nas namiętnością. W kraju z tak wzorową tradycją polityczną jak Anglia, widzi się i słyszy w tym względzie rzeczy zdumiewające. W dystygowanym salonie politycznym w Londynie za czasu rządów Asquitha, w pierwszej połowie wojny, usłyszałem głośno wypowiedziane zdanie, że najwięcej by się przysłużył Anglii ten, kto by Asquitha zamordował. Rektor jednego z uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych powiedział mi, że Wilson jest jednym z największych łotrów na świecie. Ale tam mówi się podobne rzeczy o Asquicie lub Wilsonie nie dlatego, żeby się czuło coś do niego osobiście, ale dlatego, że w jego działaniu widzi się wielkie zło dla narodu, mniejsza o to, że ten sąd może być całkiem niesłuszny lub że temperament sądującego może zło wyolbrzymiać. U nas w antagonizmach politycznych jest za wiele pierwiastka osobistego, zawiści osobistej, nawet w stosunku do ludzi, których się nigdy nie widziało. Często się ma pretensję osobistą do człowieka za to, że się o nim za wiele słyszy. Kiedyś Sienkiewicz mi powiedział:

– Gdzie indziej szewc zazdrości szewcowi, a malarz malarzowi. U nas szewc zazdrości malarzowi.

Nasze stronnictwa jeszcze dziś są bardziej klikami niż stronnictwami. I często ludziom więcej zależy nie tyle na tym, żeby być z kimś, ile żeby być przeciw komuś.

Powiedziałem raz do swych przyjaciół podczas wojny:

– Gdybyśmy tak byli po stronie Niemców, iluż z dzisiejszych aktywistów stanęłoby po stronie państw sprzymierzonych.

Doprawdy, to nie był tylko żart. Na pewno byli tacy ludzie, co sobie życzyli zwycięstwa Niemców, żeby czasem endecy nie wygrali, i myśl ta była tak intensywna, że zapomnieli przy tym zapytać siebie, jak Polska na tym wyjdzie.

Powiadają, iż główna siła aktywizmu pochodziła stąd, że nasze ugrupowania wolnomularskie przed wojną były uzależnione od wielkich łóż, bądź berlińskiej, bądź budapeszteńskiej. Gdy wybuchła wojna, wszystkie one otrzymały rozkaz działania na korzyść państw centralnych. Ci nieliczni u nas masoni, którzy bezpośrednio należeli do

lóż francuskich lub angielskich, stanęli po stronie państw sprzymierzonych, i to czasem w sposób bardzo wątpliwy.

Gdy mowa o organizacji tajnej, o której wie się tylko tyle pewnego, że istnieje i że działa, trudno ocenić, o ile informacje o niej otrzymane są ściśle. Nie mogą też masoni mieć pretensji, gdy się o nich mówi coś nieścisłego: jest to konsekwencją tajemnicy, jaką swe postępowanie okrywają.

Powyższa informacja ma tę wartość, że objaśnia wiele rzeczy, które by inaczej pozostały niezrozumiałe.

Jeżeli zaś tak było w istocie, to czyż może być bardziej namacalny dowód niebezpieczeństwa tajnych organizacji międzynarodowych, zwłaszcza dla krajów mniejszych, słabszych, w których odłamy tych organizacji nie są zdolne zająć stanowiska samodzielnego wobec potężnych związków zagranicznych? Dotyczy to zwłaszcza naszego kraju, w którym tak mało jest jeszcze charakterów dojrzałych, indywidualności silnych, w którym tak niewykształcone jest jeszcze poczucie odpowiedzialności.

Naród staje wobec jednego z największych momentów w swoich dziejach. Ma wybierać drogę, która o całej jego przyszłości, o losach pokoleń postanowi. I w tej chwili organizacja działająca wśród tego narodu, ukryta w cieniu tajemnicy, otrzymuje rozkazy od obcych, od wrogów nawet...

Tylko czynnikami niedostępnymi dla bliższego zbadania można wytłumaczyć dwa z tej wojny fakty, niepojęte dla normalnego umysłu i niedające się objąć normalnym sumieniem.

Pierwszy: byli ludzie – i niezawodnie organizacje – którym nie wystarczało współdziałanie z Niemcami w kraju i walka w szeregach po ich stronie, ale którzy używali wszelkich wysiłków, żeby naszą pracę po stronie państw sprzymierzonych zniszczyć, żeby zaufanie rządów tych państw do nas podkopać, żeby siłę zbrojną polską organizowaną po tamtej stronie rozbić, to znaczy, żeby nawet w razie klęski Niemiec pozostała na placu tylko ta w Polsce polityka, która się z Niemcami związała. Polska by na tym fatalnie wyszła – to musieli zrozumieć, ale oni pozostaliby w Polsce bez współzawodnictwa.

Drugi fakt: kiedy od roku 1917 Rosja została wycofana z wojny, kiedy narzucony jej rząd sowiecki raczej sprzyjał państwom centralnym, kiedy się wytworzyło wymarzone dla Polski ugrupowanie mocarstw w wojnie – po jednej stronie mocarstwa, które zamordowały Polskę, a po drugiej wszystkie inne wielkie mocarstwa świata, które wśród celów wojny postawiły odbudowanie niepodległego państwa polskiego – byli jednak Polacy, którzy stali po stronie morderców Polski przeciw całemu światu i chcieli nawet krwią polską przyczynić się do kupienia im zwycięstwa.

Czy Mickiewicz pomyślał, że kiedyś do jego własnych rodaków można będzie zwrócić twarde słowa:

*...który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać rękę, co ją targa*

Tylko tu uderzenie boleśniejsze, bo obroża nie rodzima, tylko obca.

Jeżeli ktoś myśli, że mi przyjemnie to mówić, myli się bardzo. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł powiedzieć, że mamy Polskę dzięki wielkiemu, wspólnemu wysiłkowi wszystkich Polaków! Bo wtedy wiedziałbym, że wszyscy jednakowo to dobro cenimy i wszyscy jednakowo, bez względu na dzielące nas poglądy i przekonania, będziemy go strzegli.

Dziś, gdy Polska jest, taka jaka jest, wbrew wysiłkom części Polaków, obawiam się, że wielu obywateli naszej Rzeczypospolitej jeszcze nie rozumie, cośmy zdobyli, jaką to ma cenę dla przyszłości narodu, jak czujnym trzeba być, żeby z tego nic nie uronić. Chciałbym ich zmusić do wejścia w siebie, do zrewidowania całego swego stosunku do ojczyzny.

To męska rzecz zdobyć się na odwagę przyznania się przed sobą samym, że się było na błędnej drodze, na tak błędnej, że ojczyzna mogła strasznie za to zapłacić. I męską rzeczą jest umieć się z błędów otrząsnąć.

VIII. PIERWSZE PRÓBY WPROWADZENIA POSTULATU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI DO PROGRAMU WOJNY

Wyjeżdżając na Zachód w początku listopada 1915 roku, zdawałem sobie jasno sprawę z trudnego położenia, w jakim się tam znaleźć muszą wszelkie próby rozwinięcia akcji polskiej. Nie mniej od polityków państw zachodnich rozumiałem potrzebę postępowania tak, żeby nie było nawet pozorów, iż działamy przeciw Rosji. Z drugiej strony, rozumiałem, że wysunięcie postulatu niepodległości Polski jest sprawą pilną ze względu na samo powodzenie wojny. Trzeba było postępować ostrożnie, ale bez wahań iść prostą drogą do celu.

Muszę stwierdzić, że ogromnie mi ułatwił moją delikatną rolę wysoki takt dyplomacji rosyjskiej. Przedstawiciele Rosji za granicą, w szczególności ambasador w Londynie hr. Benckendorff i w Paryżu Izwolski, z którymi wiele miałem do czynienia, obaj ludzie szerokiego umysłu i dużej kultury, zachowując dyskretną rezerwę w stosunku do mojej akcji, nie usiłowali mnie wyciągnąć na słowa, wywierać na mnie jakiegokolwiek nacisku, w osobistych zaś stosunkach okazywali wielką uprzejmość i nawet uczynność, choć jej nie żądałem. Językiem naszych rozmów był wyłącznie francuski. W nawiasie powiem, że chciałbym ażeby nasza dyplomacja stanęła rychło na tym poziomie wyrobienia i miała na swe usługi ludzi tej miary.

Co do rządów i sfer wpływowych w państwach zachodnich, to z góry można było przewidywać, że najostrożniej względem nas zachowają się we Francji. Ze wszystkich państw Francja najściślej była związana z Rosją, najbliższej czuła zależność swego położenia na froncie od udziału Rosji w wojnie, z drugiej zaś strony, we Francji lepiej niż gdzie indziej znano Polaków, więcej miano z nimi do czynienia i wiedziano, w jak nieprzejednany sposób mają zwyczaj stawiać swój stosunek do Rosji. Obawiano się więc słusznie, żebyśmy nie postawili jej w kłopotliwym położeniu. Trzeba stwierdzić, że tę samą mniej więcej ostrożną postawę zachowywały sfery oficjalne we Włoszech. Najdostępniejsi do rozmów o kwestii polskiej byli politycy angielscy. Najmniej chyba ją znali, korzystali więc chętnie ze sposobności zapoznania się z nią i zorientowania się, jaką rolę w tej wojnie może ona odegrać, do czego w niej iść należy przy zawieraniu pokoju.

Licząc się z tymi warunkami, nie próbowałem nawet w początku wchodzenia w kontakt z rządem francuskim, zostawiłem to sobie na koniec, a gdy mi Izwolski zaproponował wprowadzenie mnie w koła rządzące we Francji, podziękowałem mu i oświadczyłem, że będę o to później prosił. Założyłem sobie główną kwaterę w Londynie, nie tylko dlatego, że tam miałem najwięcej dawniejszych stosunków w świecie politycznym, ale przede wszystkim dlatego, że tam było najwięcej do roboty, że tam grunt w kwestii polskiej był najmniej przygotowany. Liczyłem się również z wielką wśród innych zaletą świata angielskiego, że tam można spotkać wielu ludzi zdolnych naprawdę zająć się jakąś sprawą, zapalić się nawet do niej i wiele dla niej bezinteresownie zrobić.

Miałem też przekonanie, które mam i dzisiaj, że szeroka myśl polityczna, głębsze zrozumienie dobra Anglii nakazuje polityce angielskiej poparcie Polski na całej linii. Muszę stwierdzić, że ten mój pogląd podzielało bardzo wielu ludzi w Anglii, z którymi się zetknąłem, i że przyjęcie, z jakim się spotykały wówczas nasze aspiracje w świecie angielskim, dalekie było od późniejszej polityki Lloyda George'a.

Zainteresowano się też w Anglii moim poglądem, że najskuteczniejszym w owej chwili posunięciem w walce politycznej z Niemcami byłoby oficjalne umieszczenie niepodległości Polski w programie wojny. Naturalnie, rozumiałem, że musiałyby to zrobić przede wszystkim Rosja, od niej to chciałem osiągnąć.

Z najmniej przyjaznym przyjęciem naszych dążeń i naszego stanowiska spotkałem się w miejscu, w którym zdawałoby się najmniej należało tego oczekiwać, mianowicie w Watykanie. Miałem wrażenie, że papież Benedykt XV jest bardzo życzliwie dla Polski usposobiony, nie mogłem wszakże poznać bliżej jego stanowiska, bo dyplomacja watykańska postawiła mi za warunek, żebym na audiencji o polityce nie mówił. Natomiast rozmowy z kierownikami polityki watykańskiej aż nadto jasno określiły ich stanowisko.

Poruszam przedmiot dla kraju katolickiego bardzo drażliwy, ale zarazem bardzo ważny i wymagający poważnego i ścisłego traktowania. Rozróżniam Kościół i politykę Stolicy Apostolskiej. Kościół dla katolików jest władzą, której w rzeczach wiary są obowiązani bezwzględne posłuszeństwo. Polityka watykańska jest rzeczą ludzką, jak każda rzecz ludzka niewolną od błędów, i staje w równym rzędzie z polityką wszystkich państw. Najbardziej katolickie państwo ma obowiązek o tyle tylko z nią się łączyć, o ile nie stoi ona w sprzeczności z dobrem państwa i narodu.

Mnie się zdaje, że polityka watykańska popełniła podczas wojny duże błędy, w szczególności w stosunku do Polski.

Stanowisko jej w sprawie polskiej najlepiej określa rozmowa, jaką miałem w styczniu 1916 roku z wysokim dygnitarzem watykańskim, a z której dosłownie przytaczam część mającą znaczenie.

Zostałem zapytany:

– Dlaczego pan idzie z Rosją?

– Bo mi trzeba, żeby Niemcy były pobite.

– Na cóż panu przegrana Niemiec?

– Bo bez niej nie będzie zjednoczonej Polski.

– To pan sądzi, że zjednoczona Polska będzie szczęśliwa pod berłem monarchy rosyjskiego?

– Sądzę, że Polska może pozostawać pod obcymi rządami, dopóki jest podzielona. Gdy będzie zjednoczona, będzie niepodległa. Dążąc do zjednoczenia, dążymy do Polski niepodległej.

Na to usłyszałem wybuch śmiechu.

– Polska niepodległa? Ależ to marzenie, to cel nieziszczalny!...

Nie powiem, żeby moje polskie ucho było tym mile dotknięte. Zapytałem na to:

– Cóż by nam Wasza Eminencja doradzała?

– Wasza przyszłość jest z Austrią.

Tymi słowy zalecano mi w Watykanie politykę, która w Polsce korzystała z tytułu „niepodległościowej”. Polska niepodległa to marzenie nieziszczalne – przyszłość jest z Austrią. Sądzę, że Stolica Apostolska była dobrze poinformowana o zamiarach Austrii względem Polski. Po cóż więc politycy krakowscy występowali jako szermierze „niepodległości”. Trzeba by to wyjaśnić, żeby raz nareszcie skończyć z tą „niepodległościową” mistyfikacją. Polityką niepodległości nie jest ta, która o niej mówi, ani nawet ta, która jej tylko chce, tylko ta, która do niej prowadzi i ma jakiegokolwiek widoki do prowadzenia. Jeżeli się popiera w wojnie dwa potężne państwa, to o tyle jedynie wolno to nazywać walką o niepodległość, o ile się ma odpowiednie od tych państw przyrzeczenia lub zobowiązania. Inaczej oszukuje się swych naiwniejszych rodaków. Polityka nasza nie ogłaszała się w początku wojny za politykę niepodległości, bo nie miała do tego prawa, i nie byłoby w tym zdrowego sensu. Nazywała się skromnie polityką zjednoczenia, do czego miała prawo, bo Rosja postawiła zjednoczenie ziem polskich w programie wojny, a w pozostałych państwach sprzymierzonych to jej oświadczenie gorąco przyjęto.

Pobyt w Londynie, Paryżu, Rzymie i w Szwajcarii utwierdził mnie w przekonaniu, że położenie państw sprzymierzonych w wojnie jest złe, że silnej wiary w zwycięstwo nie ma, że zaczyna się dawać czuć pewna depresja, pewien rozkład ducha. Propaganda niemiecka w krajach neutralnych zrobiła ogromne postępy, a nawet przenikała widocznie do państw sprzymierzonych. Zaczęły się zjawiać pierwsze symptomy defetyzmu. Niemcy miały wielką pewność siebie, czy też ją udawały.

Ze strony niemieckiej gorliwie pracowano nad tym, żeby sprawę polską mieć wyłącznie w swym ręku, żeby nie dopuścić do jej rozwoju w polityce państw sprzymierzonych. Wśród Polaków w Szwajcarii, stojących nieco dalej od naszego obozu, zaczęła się zjawiać dezorientacja. Państwa centralne wśród nich pracowały, ze strony państw sprzymierzonych nic nie robiono. Stanowisko Rosji hamowało wszelką z tej strony inicjatywę. Ambasador Izwolski w Paryżu, z polecenia swego rządu, bacznie czuwał nad tym, żeby kwestia polska nie przeniosła się na teren międzynarodowy.

Nawet moją osobą życzliwie się ze strony niemieckiej zainteresowano. Powiedziano mi przez usta człowieka mającego bardzo duże w Niemczech stosunki, że, o ile bym chciał wrócić do Warszawy, rząd niemiecki na pewno by nie stawiał przeszkód. Później dostałem już wyraźną propozycję pojechania do Berlina na rozmowę z kanclerzem, z obietnicą listu żelaznego tam i z powrotem do Szwajcarii, o ile bym chciał wrócić.

O tym, jak gorliwie pracowano nad tym, żeby wszystkich Polaków pozyskać dla niemieckiego rozwiązania kwestii polskiej, świadczy najlepiej fakt następujący.

W grudniu 1915 roku poznałem się w Szwajcarii z Polakiem pozostającym w austriackiej służbie dyplomatycznej. Rozmawialiśmy o położeniu i, ma się rozumieć, wypowiedział on zdanie, że wojna jest już dla państw centralnych wygrana i że rozstrzygnięcie kwestii polskiej do nich nieodwoalnie należy. Powiedziałem mu, że ja nie jestem tego pewny, ale że gdyby tak było, to Polskę spotkała niesłychana klęska. Wykładając mu, na czym by polegała ta klęska, wskazałem między innymi, że wejście Polski w orbitę niemiecką oznaczałoby ruinę przemysłu polskiego i zabicie wszelkiego rozwoju w tym kierunku.

Wracając po miesiącu z Rzymu, spotkałem w Lozannie tegoż samego człowieka, który mi oświadczył, że treść rozmowy naszej zakomunikował von Rombergowi, posłowi niemieckiemu w Szwajcarii. Ten ze swej strony zaraportował ją do Berlina, i z Berlina przysłano dla mnie telegraficzną notkę w sprawie przyszłości przemysłu polskiego przy rozwiązaniu sprawy polskiej przez Niemcy. Była napisana umiejętnie, nie było w niej ordynarnej przesady, ale treść jej była wcale optymistyczna.

Widziałem, że przy ruchliwości Niemców i bierności państw sprzymierzonych na terenie walki politycznej szala coraz bardziej się będzie przechylała na korzyść Niemiec, i że położenie sprawy polskiej będzie coraz gorsze.

Było potrzeba jakiegoś kroku radykalnego.

Przybywszy do Paryża, poprosiłem Izwolskiego o dłuższą rozmowę. Natychmiast mi ją ofiarował.

W dwugodzinnej rozmowie wyłożyłem mu mój pogląd na ogólną sytuację polityczną, na położenie Rosji, wykazałem, że sprzymierzeńcy w walce politycznej idą do przegranej, która grozi pociągnięciem za sobą przegranej w wojnie, i zakończyłem wnioskiem, że nie zwlekając, trzeba ogłosić deklarację oficjalnie stawiającą w programie wojny odbudowanie niepodległego państwa polskiego.

Izwolski słuchał uważnie, nie przerywając mi, kiedy zaś skończyłem, powiedział krótko:

– Ma pan słuszność, zdanie pańskie podzielam w całości. – Naturalnie – dodał – mówi pan to do mnie w celu, żeby to doszło do Piotrogradu?

– Ma się rozumieć – odpowiedziałem.

– Natychmiast zadeszuję krótkie streszczenie naszej rozmowy. Boję się wszakże, żebym czegoś z pańskich myśli nie przeinaczył, i proszę pana o wyłożenie tego, co mi pan powiedział, w memoriale, który prześlę ministrowi.

Po kilku dniach przyniosłem mu memoriał. Przeczytał go przy mnie i zapytał:

– Czy przy słowach „ustanowienie państwa polskiego” nie byłoby dobrze dodać „w związku dynastycznym z Rosją”?

– Nie – odpowiedziałem – to niepotrzebne.

Uważałem, że tylko pełny akt, bez żadnych zastrzeżeń, mógł mieć doniosłe znaczenie polityczne.

Rozstaliśmy się jak najlepiej i memoriał poszedł do Piotrogradu. Przyjechawszy wkrótce potem do Londynu, dowiedziałem się od hr. Benckendorffa, że memoriał przeszedł przez jego ręce do ministerstwa, że go czytał i że jego zdaniem zrobiłem krok bardzo poważny, tylko ma on pewne wątpliwości, czy go w Piotrogradzie należycie zrozumieją.

Ja wątpliwości nie miałem, byłem pewien, że wywoła on tam niezadowolenie. Nie lękałem się, żeby odniósł bezpośredni skutek, ale uważałem oficjalne i otwarte postawienie sprawy za konieczne, ażeby móc rozpocząć swobodną w niej dyskusję i żeby to nie wyglądało na intrygi poza plecami Rosji.

Kopię memoriału zakomunikowałem rządowi państw sprzymierzonych²⁸.

W jakiś czas potem hr. Benckendorff zaprosił mnie na rozmowę. Zakomunikował mi, iż ma wiadomości z Piotrogradu, że moje postawienie sprawy polskiej wywołało w sferach rządowych niezadowolenie i że starają się je tam fałszywie komentować, wobec tego dobrze byłoby, żebym pojechał do Piotrogradu bronić swego stanowiska.

Odpowiedziałem mu, że właśnie jedzie w tym celu hr. Konstanty Plater.

Miałem wrażenie, że ambasador otrzymał instrukcję namówienia mnie na powrót do Rosji, i przewidywałem, że gdybym był pojechał, nierychło bym się wy dostał z powrotem na Zachód²⁹. Tu zaś już otwierała się najważniejsza w sprawie polskiej praca.

²⁸ Patrz: Aneks III.

²⁹ Wyjazd mój z Rosji nastąpił bez porozumienia z rządem. Przewidując, że z tej strony mogę mieć trudności, postarałem się o pozwolenie na paszport z kwatery głównej, od cesarza. Hrabia Adam Zamoyski, który był adiutantem przy kwaterze, przedstawił cesarzowi potrzebę naszego porozumienia się z Polakami na Zachodzie, zwłaszcza w Szwajcarii, w celu ujednostajnienia naszej postawy. Cesarz uznał tę potrzebę i jej pilność i polecił wydać mi paszport. Ten paszport hr. Benckendorff w Londynie zaproponował mi zamienić na dyplomatyczny, z czego skorzystałem. Od roku 1917 używałem paszportu dyplomatycznego francuskiego, a w końcu polskiego, wystawionego przez Komitet Narodowy.

IX. NA TERENIE MIĘDZYNARODOWYM

Propozycja wniesienia niepodległości Polski do programu wojny stanowi w naszej akcji przejście do nowego okresu.

Mówię „propozycja”, bo nie można tego nazwać żądaniem. Żądać można wtedy, kiedy się ma w swym ręku środki zmuszenia strony przeciwnej do spełnienia żądania. Polityka polska tych środków nie miała. Jedynym mogłaby być groźba, że przejdziemy na stronę Niemców. To by wszakże była groźba popełnienia z naszej strony samobójstwa, a to nawet w miłości, nie tylko w polityce, nie skutkuje. Chcąc więc coś osiągnąć, mogliśmy tylko proponować i wykazywać, że to jest potrzebne, że leży w interesie państw sprzymierzonych.

W danym razie postawienie jasno sprawy odbudowania państwa polskiego było istotnie potrzebne dla celów wojny. Mam też przekonanie, że w państwach zachodnich zaczynało sobie zdawać z tego sprawę.

Jednakże rozumiano, że to mogłaby zrobić tylko Rosja, że sprzymierzeni nie tylko nie mogą tego zrobić bez niej, ale nawet nie mogą w tym względzie wywierać na nią nacisku w obawie, że to by ją mogło pchnąć w objęcia Niemiec.

Myśmy sobie z tego położenia zdawali całkowicie sprawę i dlatego swą propozycję zwróciliśmy oficjalnie pod adresem Rosji, nie w nadziei, że będzie natychmiast przyjęta, ale żeby mieć rozwiązane ręce do dalszego działania.

Nawiasem tu wtrączę, że przeciwnicy nasi w Polsce rozpisywali się wiele o uzależnieniu naszej polityki od Rosji. Otóż powiem, że większej trzeba niezależności od Rosji na to, żeby rządowi rosyjskiemu w oczy powiedzieć, iż trzeba uznać niepodległą Polskę, niż żeby krzyczeć o niepodległości i złorzeczyć Moskałom – pod okupacją niemiecką lub po gazetkach wydawanych w Szwajcarii.

Podnoszę to, bo chcę wskazać, że jeżeli polityka nasza mogła się w ciągu wojny konsekwentnie, planowo rozwinąć i doprowadzić do urzeczywistnienia naszych dążeń, to tylko dlatego, że była to polityka polska, niezależna w najmniejszej mierze od jakichkolwiek obcych wpływów. Zbieraliśmy owoce wielu lat pracy myśli i wytężonej walki przeciw obcym wpływom, przeciw kierunkom politycznym, które z obcych natchnień czerpały siłę. Dzięki tej pracy i tej walce byliśmy jedynym w Polsce obozem, który w tej wielkiej, trudnej chwili dziejowej okazał się zdolny do stanięcia na własnych nogach, do pokierowania sprawą polską dla Polski, a nie dla obcych.

Ta nasza walka przeciw obcym wpływom nie pochodziła z jakiegoś płytkiego szowinizmu czy z pierwotnej ksenofobii. My nie przecenialiśmy wartości swego narodu, przeciwnie, walczyliśmy z wszelkimi w tym kierunku zachciankami; chętnie się uczyliśmy od obcych i wiele się nauczyliśmy. Ale mieliśmy to głębokie przekonanie, że zmagać się z trudnymi, niespotykanymi nigdzie zagadnieniami naszego bytu i naszej narodowej sprawy mogą tylko samoistne mózgi polskie, niebojące się myśleć na własny rachunek; że

uczciwie służyć sprawie polskiej mogą tylko niezależne polskie sumienia, nieujarzmione przez obcych na żadnej drodze.

Toteż ze wszystkich polityk, jakie wchodziły w grę w tej całej wojnie, żadna nie była bardziej niezależna od naszej: ani jednego kroku nie byliśmy zmuszeni w ciągu wojny zrobić, który by nie był podyktowany przez nasz rozum i nasze sumienie.

Krok, o którym mowa – wystąpienie z programem niepodległości – był owocem głębokiego namysłu. Zdawaliśmy sobie sprawę z jego ujemnych stron. Nie był on pożądany z punktu widzenia troski – wspólnej państwom zachodnim i wielu Rosjanom, i nam samym – o utrzymanie udziału Rosji w wojnie, o niedopuszczenie do pogodzenia się jej z Niemcami. Ale jedna troska nie może zasłaniać całości położenia. W położeniu zaś, jakie się wytworzyło po zajęciu Polski przez państwa centralne, ręka Rosji, ciężąca nadal na sprawie polskiej i niedopuszczająca do jej wyniesienia na teren międzynarodowy, przerzucała tę sprawę w dziedzinę wyłącznego wpływu niemieckiego przez to, że paraliżowała w jej zakresie państwa sprzymierzone. Chcąc wyrwać sprawę polską z rąk niemieckich, trzeba ją było wyrwać z rosyjskich.

Memoriał złożony rządowi rosyjskiemu na ręce Izwołskiego był początkiem naszej akcji ku umiędzynarodowieniu sprawy polskiej, która to akcja rozwijała się już dalej bez przerwy.

Ten nasz krok zamyka najtrudniejszy, najniewdzięczniejszy okres naszej polityki wojennej, okres wszakże, który dla przyszłych losów sprawy polskiej miał może największe znaczenie. W tym pierwszym okresie, poza jedynym aktem pozytywnym – wysunięciem programu zjednoczenia ziem polskich w deklaracji Jarońskiego – rola nasza sprowadzała się prawie wyłącznie do utrzymania stanowiska solidarnego z Rosją, do czuwania nad tym, żeby tej solidarności nie zerwać, żeby niczym się nie przyczynić do pogodzenia Rosji z Niemcami. Nigdy nie będzie można ściśle powiedzieć, co ta ciężka i nieraz bardzo przykra praca dała, od czego nas uchroniła. Jeżeli wszakże przyczyniła się ona do tego, że Rosja wytrwała w wojnie, że się z niej nie wycofała przez osobny pokój z państwami centralnymi – to uratowała Polskę³⁰.

³⁰ Pomaga mi do uwydatnienia wartości tej polityki prof. Askenazy w swych *Uwagach*, wykazując mozolnie, na podstawie dokumentów, stały, nieprzerwany związek Rosji z Niemcami, bezwzględna niechęć rządu rosyjskiego do przeciwstawienia się Niemcom, do oddalenia się od nich. Gdyby nie antagonizm Rosji do Austrii, nigdy byłoby do tej wojny nie doszło. Zamiarem p. Askenazego było wykazać, że nasza polityka solidarności z Rosją była z gruntu błędna, bo myśmy chcieli iść przeciw Niemcom, a Rosja szła przeciw Austrii, ku Niemcom zaś ciążyła. Gdyby p. Askenazy był mniej powierzchowny, toby zrozumiał, że to polityka rządu rosyjskiego była błędna, polegała bowiem na nierozumieniu stosunku między Austrią a Niemcami i myślała, że może być w konflikcie z Austrią, a w zgodzie z Niemcami. Nasza polityka polegała nie na przenikaniu, co Rosja chce zrobić, tylko na przewidywaniu, co będzie musiała zrobić.

My nie mieliśmy w ręku dokumentów, które dla pana Askenazego, zresztą także dopiero po wojnie, stały się dostępne, ale i bez nich intencje rządu rosyjskiego nie były nam obce. I dlatego

W okresie, który teraz się rozpoczyna, sprawa polska w pewnym sensie upraszcza się. Zajęcie całej Polski przez państwa centralne usunęło z porządku dziennego bardzo trudną, grożącą ciągłymi komplikacjami kwestię stosunków polsko-rosyjskich na gruncie polskim. Stosunek między nami a Rosją stał się praktycznie stosunkiem zewnętrznym, o wiele łatwiej dającym się uchronić od tarć niebezpiecznych. Sprawy aktualne między nami a rządem rosyjskim przestały właściwie istnieć. Przyszłość Polski, o ile nie miały o niej decydować Niemcy, stała się już właściwie zależną od państw zachodnich, a nie od Rosji, pomimo że formalnie Rosja ciągle sobie zastrzegła wyłączną o niej decyzję.

Obawa porozumienia Rosji z Niemcami nie przestawała istnieć, nawet wzrastała, skutkiem tego, że żywioty w Rosji, pracujące w tym kierunku, nabrały śmiałości i coraz wyraźniej występowały, zwłaszcza z chwilą, gdy na czele rządu stanął Stürmer. Gdyby Niemcy mogli poświęcić Austrię, pokój ich z Rosją dawno byłby już doszedł do skutku. Tylko dla Niemiec opuszczenie Austrii nie byłoby zdradą sojusznika, a zrzeczeniem się protektoratu, stanowiącego podstawę do całej ich ekspansji kontynentalnej, zrzeczeniem się planu Berlin-Bagdad.

tak się obawialiśmy odrębnego pokoju między Rosją a Niemcami. Z tej obawy właśnie pochodziła linia naszej polityki w pierwszym roku wojny.

Żeby się zorientować w polityce rosyjskiej, trzeba nie tylko znać robotę kancelarii rosyjskich, ale także rozumieć, w jakim kierunku pchał Rosję rozwój jej życia. Kto to rozumiał, ten widział, że się przygotowuje koniec tej Rosji, która stała na związku z Niemcami – Rosji Piotra Wielkiego, zbudowanej na podstawach, które starczyły na dwa stulecia, ale na dłużej już starczyć nie mogły. O tym się nie można było dowiedzieć z aktów kancelaryjnych. Pan Askenazy ma umysł wybitnie kombinacyjny, ale całkiem pozbawiony wyobraźni, bez której nie ma mowy ani o twórczości politycznej, ani o rozumieniu historii. Dokumenty historyczne w jego ręku nie ożywają się; są jak księga Talmudu w ręku komentatora. Nadto patrzy on na politykę jak na handel. Widzi w niej tylko plany i zamierzenia gabinetów, poszczególnych polityków lub tajnych stowarzyszeń.

Toteż historia jest w jego oczach tylko wypadkową zabiegów, układów forteli, intryg i spisków. Jakby nie istniało dla niego to, co stanowi główną treść dziejów ludzkości, mianowicie rozwój i zmaganie się wielkich sił psychiki zbiorowej, sił, które w końcu przechodzą do porządku dziennego nad planami najprzebieglejszych dyplomatów, nad zamierzeniami najpotężniejszych rządów. Rozumieć i w przybliżeniu oceniać te imponderabilia – to największa zdolność polityka, śledzić ich rozwój i działanie – to pierwsze zadanie historyka.

Niestety, dla pana Askenazego to rzeczy niedostępne i dlatego skutek jego mozolnych wysiłków jest względnie nikły, czasami zaś, jak w *Uwagach*, pisze on, ubrano w uroczystą formę, dzieciństwa.

Szkoda, że p. Askenazy nie chciał nam podczas wojny powiedzieć, co należy robić. Może bylibyśmy uniknęli tych błędów, które nas doprowadziły do zjednoczonej i niepodległej Polski tak strasznym kosztem, jak rozbiór Austro-Węgier. Ale on podczas wojny starał się tylko być złośliwy względem ludzi, którzy coś robili. Dziś dowiadujemy się od niego, że był po stronie aliantów; szkoda, że wówczas nie można się było tego w żaden sposób dowiedzieć. Należy on do tego żywotnego gatunku ludzi, którzy tak się urządzają, żeby zawsze móc powiedzieć: „nasi zwyciężyli”. Miał on jedną w tej wojnie wyższość nad nami: gdyby ojczyzna polska była w niej przepadła, niezawodnie znalazłby sobie inną. My biedacy mamy tylko tę jedną Polskę i dlatego musieliśmy ją ratować wszelkimi sposobami.

Państwa zachodnie robiły coraz większe wysiłki, żeby Rosję ściślej z sobą związać, unikały wszystkiego, co by ją mogło zrazić i odepchnąć. Rozumiejąc, że tu o naszą przede wszystkim skórę chodzi, nie tylko staraliśmy się im tego zadania nie utrudniać, ale pomagać im przez zachowanie jak najpoprawniejszych z Rosją stosunków. Wielką zasługą była praca w tym kierunku ludzi, którzy pozostali w Rosji, w szczególności Zygmunta i Władysława Wielopolskich oraz Ignacego Szebeki.

W tym wszakże nowym okresie, gdybyśmy się przyjrżeli bliżej położeniu w państwach zachodnich, zjawiała się nowa obawa – o to, czy te właśnie państwa wytrzymają do końca, czy starczy im ducha, tego co Francuzi nazywają *le moral*³¹, czy nie zawrą przedwczesnego pokoju, pozostawiając wojnę nierozegraną. Objawów budzących te obawy nie brakowało. Niebezpieczeństwo pochodziło głównie stąd, że Niemcy, zachwiane w swej wierze w wielkie zwycięstwo, zaczynają swą propagandę na rzecz pokoju. Dla nas, których tylko powalenie potęgi niemieckiej uratować mogło, taki koniec wojny byłby straszną klęską.

Stąd stanęło przed nami nowe zadanie – walka w państwach zachodnich z ideą nierozegranej wojny.

Cóż by nam przyszło z tego, gdyby sprzymierzeńcy, łącznie nawet z Rosją, przyznali nam najuroczyściej wszystko, czegośmy pragnęli, ale gdyby nie wygrali wojny, gdyby Niemcy nie zostały pobite!...

Trzeba było przede wszystkim pracować dla zwycięstwa sprzymierzonych. Zarówno na to, żeby je mieć, jak i żeby być jego uczestnikami.

Później, gdy warunki na to pozwoliły, tworzyliśmy wojsko polskie w Rosji. Niestety, praca ta została zniszczona. Następnie zorganizowaliśmy armię polską we Francji – ta wszakże miała znaczenie raczej formalne. Cóż mogły zaważyć na losach wojny dwie dywizje, które przed rozejmem zdołano zaledwie uformować, z których tylko jeden pułk zdążył być na froncie.

Jeżeli mogliśmy przyczynić się do zwycięstwa, to naszą pracą polityczną. Poza tym, to co robiliśmy w Rosji w okresie, o którym mowa, tę pracę dla sprawy sprzymierzonych rozwinęliśmy zarówno w państwach zachodnich, jak i w kraju pod okupacją. I to, cośmy robili, nie było bez znaczenia.

Na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii, mało znano nie tylko Polskę, ale całą środkową Europę. Jest to smutną stroną rządów parlamentarnych, że do steru państwa przychodzą ciągle nowi ludzie, ludzie, którzy nie poznali i nie przemyśleli najważniejszych zagadnień polityki, zwłaszcza zewnętrznej, nie wiedzą często najelementarniejszych rzeczy z tej dziedziny. Ludzie odgrywający wybitną rolę i mający wielki wpływ na wypadki, częstokroć nie zdawali sobie całkiem sprawy z pozycji Niemiec w Europie Środkowej i Wschodniej, z istoty węzłów łączących Austro-Węgry z Niemcami, nie doceniali wpływów

³¹ *Le moral* (fr.) – siła moralna. [red.]

niemieckich w Rosji i na Bałkanach. Stąd nie rozumieli, że po pierwszym okresie wojny, który te wpływy na ogromnej przestrzeni zacieśnił i skonsolidował, wojna nierozegrana pozostawiłaby Niemców panami całej wschodniej połowy Europy i dałaby im możliwość przygotowania w krótkim czasie drugiej wojny, w której by już zwycięstwo na pewno do nich należało.

Tu nam się przydała nasza znajomość terenu środkowo- i wschodnioeuropejskiego i nasze rozumienie polityki niemieckiej. Zużytkowaliśmy ją do energicznej propagandy prowadzonej nie w masach, ale wśród ludzi znaczących, mających wpływ na politykę państw zachodnich i na ich opinię publiczną – wśród członków rządów i parlamentów, wśród fachowych doradców rządów, wreszcie wśród kierowników prasy. Był to okres wytężonej pracy. Mam to przekonanie, żeśmy się przyczynili do wyjaśnienia zagadnień politycznych tej wojny, do utrwalenia poglądu, że wojna zakończona bez decydującego zwycięstwa byłaby klęską, że tylko wielkie zwycięstwo sprzymierzonych mogło ocalić świat od panowania Niemiec.

W kraju widoczne było, że Niemcy chcą zjednać sobie Polaków, zaprząć ich do służby swej sprawie, zdobyć dowody dla świata, że aspiracjom polskim odpowiada urządzenie Polski przez Niemcy, i nawet dostać obfity, w znacznej mierze nieużytkowany materiał ludzki Królestwa do szeregów bijących się przeciw sprzymierzonym. Trzeba było te ich usiłowania sparaliżować. Opinia kraju w swej ogromnej większości pozostała wroga Niemcom; kierujące nią Koło Międzypartyjne w Warszawie wytrwale stawiało opór kusicielstwu, było wszakże skrepowane ogromnie w swej działalności, gdy aktywiści, korzystający z poparcia okupantów, prowadzili hałaśliwą agitację, operując fałszywymi doniesieniami ze źródeł niemieckich, starając się zahipnotyzować ogół, wmówić weń, że sprawa sprzymierzonych jest już nieodwołalnie przegrana. W takich warunkach ludzie słabi się chwieją, trzeba im podtrzymania. Kierownicy Koła Międzypartyjnego musieli mieć naszą pomoc w postaci informacji z Zachodu, neutralizujących fałszywe wiadomości niemieckie, musieli mieć dowody dla swoich, że my sami wierzymy, że nie ustajemy w walce, że idziemy do zwycięstwa. Komunikacja zaś była niesłychanie trudna i niebezpieczna. Mieliśmy ją wszakże, i to nawet dość często, przede wszystkim dzięki naszym rodakom z Poznańskiego. Znaleźli się tam ludzie, którzy z narażeniem życia jeździli wielokrotnie między Lozanną a Warszawą, tu zapoznawali się z położeniem na Zachodzie i z naszą pracą, wysłuchiwali naszych poglądów na stan rzeczy i naszych wskazówek, jakie chcieliśmy krajowi przesłać; tam zdawali sprawę z tego, co widzieli i słyszeli, demaskowali kłamstwa niemieckie i swojej wiary innym udzielali. Była to wielka, niezapomniana zasługa takich ludzi, jak mój stary przyjaciel Władysław Grabski z Kurcewa, jak Zofia Sokolnicka, która przewoziła obszerną korespondencję w sposób najlepiej zabezpieczony od czujnego oka władz pruskich, bo wyuczając się jej dosłownie na pamięć. Ci nie mieli wahań, wiedzieli, że tu los Polaków rozstrzyga się ostatecznie, że dziś albo nigdy. Ówczesny prezes Koła Polskiego w Berlinie, Władysław Seyda, zaglądał też do Szwajcarii i naradzał się z nami nad taktyką Polaków w Reichstagu.

To jeszcze jeden dowód, jak czynny udział brało społeczeństwo zaboru pruskiego w polityce zjednoczenia Polski, polityce, która oderwanie tych ziem od Niemiec za pierwszy cel sobie postawiła. Łatwo zrozumieć tę gorycz, jaką w nim musiała budzić inna polityka, pretendująca do miana polskiej, która się tych ziem zrzekała.

Pamiętam, w owym czasie jeden z ziemian poznańskich, który przybył do Szwajcarii, opowiadał mi, że chodził u siebie po polu z miejscowym gospodarzem. Chłop z radością mu pokazywał szerniałą nać kartoflaną, triumfował, że ziemniaki przepadną. Gdy ziemianin się zdziwił, że on się z tego cieszy, chłop odpowiedział:

– Moje ziemniaki przepadną, ale Szwaby przegrają wojnę.

Tę historię nieraz opowiadałem politykom angielskim, gdy ci, nauczeni przez Niemców i Żydów, twierdzili, że ludność Poznańskiego jest przywiązana do Niemiec i nie chciałaby do Polski należeć. I była ona najlepszym argumentem. Bo gospodarz cieszący się z nieurodzaju, to zjawisko niepospolite.

Poznańskie – to nie była pierwsza lepsza bierna prowincja kresowa, którą można tak lub inaczej rozporządzać, zależnie od widoków politycznych. To była zdrowa, mocna część żywej Polski, najbardziej świadomy w swej masie odłam narodu, mający najmocniej rozwiniętą wolę zbiorową i najzdolniejszy do wcielania zamierzeń w czyny. Ten odłam narodu nie pozwalał, żeby inni decydowali, czy chcą go widzieć w Polsce – on sam o swej przyszłości postanawiał i sam ją tworzył. On nie tylko chciał być w państwie polskim, ale miał coś w tym państwie do powiedzenia. I dlatego, że miał coś do powiedzenia, niechętnie był widziany przez zwyrodniały gatunek Polaków. W dążeniu naszym do wyrwania tej ziemi z rąk niemieckich myśmy byli nie tylko przedstawicielami szerokiej myśli polskiej, jedynej, jaka miała prawo polską się nazwać, ale i wykonawcami mocnej woli żywego na tej ziemi narodu polskiego.

Jednocześnie z pracą dla zwycięstwa, dla sprawy sprzymierzeńców – w kraju i za granicą zabraliśmy się do budowania Polski w umysłach tych ludzi w państwach sprzymierzonych, których zajmowały sprawy pokoju po wojnie i do których należało ten pokój przygotowywać.

Trzeba zważyć, że sprawa polska przed wojną w Europie nie istniała, że nikt prawie się Polską nie interesował, że propagandy polskiej żadnej nie było. Jeszcze to jedno wielkie przewinienie szkoły krakowskiej, że ogłosiła ona za rzecz nierozumną i niebezpieczną wszelką pracę dla Polski poza granicami państw, do których ziemie polskie należały. Udało się jej wmówić w szerokie koła naszego ogółu, że od Europy niczego nie mamy się spodziewać i niczego w niej nie mamy szukać. Skutek jej nauk był taki, że od pięćdziesięciu lat zniknęliśmy w Europie; byli już tacy, co nas uważali za naród umarły. A tymczasem Niemcy i Rosja swoją umiejętnie zorganizowaną propagandą urabiały o nas pojęcia takie, jakie im były dogodnie. Specjaliści „naukowi”, zajmujący się nami, jak Léger we Francji, spadkobierca Mickiewicza na katedrze w *Collège de France*, jak Morfill w Anglii, obniżali pojęcia o nas, gorliwie psuli nam reputację. Dopiero w ostatnim przed wojną kilkunastoleciu zaczęto się na nowo nieco interesować nami, jako czynnikiem

przeciwniemieckim, dzięki walce prowadzonej przez Polaków w zaborze pruskim, postawie naszego Koła w rosyjskiej Dumie, wreszcie dzięki neoslawizmowi. Korzystaliśmy z tego na kilka już lat przed wojną, żeby prawdę o Polsce szerzyć i nowe pojęcie o niej urabiać, tak wszakże byliśmy ubodzy w środki, żeśmy wiele zrobić nie mogli.

Normalna historia i wielkich, i małych nawet kwestii w polityce międzynarodowej jest taka, że rozstrzygnięcie ich poprzedzają długie okresy przygotowawcze, okresy propagandy i dyskusji. Od postawienia kwestii na porządku dziennym do jej ostatecznego rozstrzygnięcia zwykle wiele lat upływa. Powtarzałem to nieraz w mych dyskusjach na Zachodzie, że głowa ludzka jest jak butelka wina: długo się musi nowe wino w niej odstać, żeby było możliwe do picia. Otóż myśmy musieli postawić i od razu prawie osiągnąć ostateczne rozstrzygnięcie największej kwestii w Europie, kwestii od lat pięćdziesięciu zdjętej z porządku dziennego, zapomnianej, nie znanej, nie rozumianej, mającej na swej drodze mnóstwo potwornych fałszów, które przez te pięćdziesiąt lat o Polsce rozszerzono. Widzieliśmy, że jeżeli chcemy wygrać, musimy szybko wykonać olbrzymią pracę.

Nie można było iść utartymi w tych rzeczach drogami, tworzyć obfitej literatury o Polsce, organizować towarzystw przyjaciół Polski itp. Nie było na to ani środków, ani czasu. Zresztą kto by tam z ludzi czynnych, żyjących w ogniu wojny, dzieła o Polsce czytał... Robiono trochę tej normalnej propagandy i miało to niezawodnie swoje znaczenie, ale żeby dojść do celu, trzeba było pracować w tempie żywszym, metodą skróconą. Polegała ona na tym, żeśmy szukali ludzi większych i mniejszych, którzy mieli wpływ jakikolwiek, bezpośredni czy pośredni, na przygotowanie warunków przyszłego pokoju, i z każdym z osobna przeprowadzało się obszerną dyskusję o kwestii polskiej w tej wojnie, dyskusję rozpoczynaną często od najelementarniejszych o Polsce wiadomości. Mój Boże, cośmy się nagadali! Nie chciałbym już drugi raz w życiu takiej roboty robić. I prawdopodobnie bym już nie umiał... Bo trzeba było wyjątkowego napięcia nerwów, w poczuciu, że chwili do stracenia nie ma, ażeby się na parę lat zamienić w niemilknący gramofon. Ja tę robotę prowadziłem głównie w Anglii, z początku sam, później przy niezmiernie cennym współpracownictwie Stanisława Kozickiego, mego długoletniego towarzysza pracy, jednego z tych niewielu, którzy poważnie studiowali położenie międzynarodowe i gruntownie naszą politykę rozumieli, sami będąc jej współtwórcami.

Anglia w owym okresie była gruntem najważniejszym. Losy wojny zależały przede wszystkim od większego lub mniejszego wysiłku Anglii. Francja bowiem wydobyła z siebie wszystko, co mogła. Należało też oczekiwać, że Anglia zagra pierwsze skrzypce przy zawieraniu pokoju. I stąd należało się obawiać największych przeszkód w sprawie polskiej, tu najmniej znano Polskę, tu najwięcej było nagromadzonych względem niej uprzedzeń, tu półtorawiekowy związek z Prusami najbardziej nieprzyjazny dla nas grunt przygotował, tu wreszcie najsilniejsze były wrogie nam wpływy, zamaskowane niemieckie i nie bardzo maskujące się żydowskie. A zarazem tu był grunt najwdzięczniejszy do pracy.

Od szeregu lat wzrost potęgi politycznej i gospodarczej Niemiec zmuszał myślących Anglików do przerabiania swych pojęć o ojczyźnie ich dawnego alianta, Fryderyka Wielkiego. Nie wystarczyło zacząć inaczej myśleć o Niemcach – trzeba było zrewidować swe poglądy na cały szereg kwestii, związanych z pozycją i polityką Niemiec. Jedną z nich przecież, a może najważniejszą, była kwestia polska. Jeżeli też spotkałem się z wielką nieznaną rzeczą, z fałszywymi pojęciami, z mnóstwem uprzedzeń, to nie mogłem się skarżyć na brak zainteresowania, a co ważniejsze, na brak chęci przekonania się. I to nie tylko w świecie politycznym i dziennikarskim. Wybitni uczeni, głośni pisarze, ruchliwi działacze na polu gospodarczym i finansowym znajdowali czas na długie rozmowy o Polsce, o Rosji, o środkowej Europie – o tej części świata najmniej znanej Anglikom z całej kuli ziemskiej. Ogromne rzeczy można było zrobić w Anglii, gdyby się miało do tej pracy więcej ludzi znających ją samą i rozumiejących dobrze sprawę polską...

Do szerokiej akcji, którą rozpoczęliśmy w państwach sprzymierzonych, mieliśmy na miejscu niesłychanie skromne siły. Jak już powiedziałem, w Anglii pracowałem sam, a później z przyjacielem moim, Kozickim. W Paryżu został Konstancy Plater, z którym opuściłem Rosję, następnie zaś przeniósł się tam ze Szwajcarii Erazm Piltz, działacz wytrawny, ale innej szkoły; w wielu też punktach poważnie się różniliśmy, choć staraliśmy się tych różnic nie uwydatniać na zewnątrz. Wkrótce też osiadł tam ordynat Maurycy Zamoyski. W Rzymie znakomicie prowadził propagandę przebywający tam już kilka lat przed wojną Maciej Loret. Później przyjechał tam z Rosji Konstancy Skirmunt.

Spośród Polaków przebywających już przed wojną w krajach zachodnich znaleźliśmy kilku uczciwych i dzielnych współpracowników, na ogół wszakże więcej nam przeszkadzali, niż pomagali. Byli między nimi ludzie, którzy wzięli na siebie rolę agentów aktywizmu i bądź prowadzili hałaśliwą przeciw nam agitację, bądź intrygowali, wiążąc się nieraz z tymi kołami francuskimi, a zwłaszcza angielskimi, które były najgorzej dla sprawy polskiej usposobione. Nie mniej kłopotu sprawili nam rozmaici urodzeni kandydaci na dyplomatów, którzy dlatego, że od dawna siedzieli w Paryżu, że mieli sporo stosunków towarzyskich, zawartych w salonach lub klubach przy zielonym stoliku, uważali, że są przeznaczeni do reprezentowania Polski, o której sprawach nie mieli pojęcia. Obrażeni, że się ich nie użytkowuje, starali się zatruwać powietrze nedorzecznymi plotkami.

Z tym większym uznaniem wspominam tych, którzy nam okazali gorliwą i umiejętną pomoc. Od całej zaś Polski należy się wielka wdzięczność pannie Laurence Alma Tadema, która nie będąc Polką, cały swój czas, energię, swe szerokie stosunki w Anglii, swą wysoką inteligencję i nawet swe materialne środki oddała podczas wojny sprawie polskiej, służąc jej gorliwiej niż ktokolwiek z Polaków i znosząc nawet napaści ze strony kolonii aktywistycznej w Londynie.

Dla zilustrowania trudności, z którymi trzeba było walczyć, wystarczy jeden epizod z owego okresu.

W lutym, o ile sobie przypominam, roku 1916, w chwili kiedy praca na gruncie angielskim zaczęła się pomyślnie rozwijać, a stosunek ze sferami kierowniczymi polityki

angielskiej zaczął się przyjaźnie układać, uczułem naraz w *Foreign Office*³² chłód dla mnie, przejście na ton suchy i formalny. Nie rozumiałem, skąd to pochodzi, przypuszczałem jakąś intrygę i do czasu jej wykrycia stosunki swoje z kołami urzędowymi zredukowałem.

W kilka tygodni potem, bawiąc na kontynencie, otrzymałem od jednego z życzliwych mi ludzi kopię dwóch poufnych raportów angielskich, które odpowiedni departament *Foreign Office* rozesłał rządowi państw sprzymierzonych. Poświęcone były mojej polityce i dowodziły, że staram się nawiązać stosunki z rządem austriackim. Tak, z rządem austriackim... Rzecz z tymi raportami tak się miała.

Przyjechał z Wiednia do Szwajcarii ks. Witold Czartoryski, z którym mieliśmy poufną naradę w ścisłym gronie.

O tej naradzie ukazał się telegram w krakowskiej „Nowej Reformie”, wymieniający osoby biorące w niej udział. Była w nim fałszywa, jestem przekonany, że zmyślona z zamiarem, wiadomość, iż między uczestnikami narady znajdował się p. Władysław Skrzyński, przebywający w Szwajcarii urzędnik austriackiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Korespondentem „Nowej Reformy” był jeden z aktywistów siedzących w Szwajcarii³³.

Raporty, o których mowa, były oparte na tym telegramie.

Referentem prasy polskiej w londyńskim *Foreign Office* był naówczas Żyd z Galicji, wychowaniec Oxfordu, nazwiskiem Bernstein, który w Anglii nazywał się Lewis Namier. Pozostawał on w bliskich stosunkach z naszymi aktywistami w Londynie i o polityce polskiej musiał mieć wcale dokładne informacje. Musiał dobrze wiedzieć, kim jestem i jaka jest moja polityka. Jeżeli napisał fałszywy raport, to z całą świadomością popełnionego fałszu.

Zrobił on w swoich dwóch raportach ks. Witolda Czartoryskiego nieomal wysłannikiem rządu austriackiego i z naszej narady, odbytej rzekomo w obecności austriackiego urzędnika, zrobił fantastyczną historię, o tym, jak ja, zawiedziony na Rosji, wobec jej pobicia przez państwa centralne, staram się dostać w łaski rządu austriackiego.

Cała rzecz była najwidoczniej ukartowana w jakimś gronie w celu poderwania zaufania do mnie rządów państw sprzymierzonych,

Raporty, przyjęte w Londynie, były zakomunikowane innym rządowi sprzymierzonym. Dzięki temu udało mi się we Francji dostać ich kopie.

Teraz zrozumiałem zmianę tonu względem mnie w urzędowych kołach angielskich. Był wtedy stałym wiceministrem (*permanent undersecretary*) spraw zagranicznych Sir Arthur Nicolson, którego znałem osobiście jeszcze z czasów, gdy był ambasadorem w Petersburgu. Po powrocie do Londynu udałem się natychmiast do niego.

³² *Foreign Office* (ang.) – Urząd Zagraniczny; Ministerstwo Spraw Zagranicznych. [red.]

³³ O ile sobie przypominam, Żyd nazwiskiem Wittenberg.

– Będąc w Petersburgu – rzekłem – miał pan możliwość obserwować moją działalność polityczną. Swojego czasu zrobił mi pan przyjemność, pisząc do mnie, że przeczytał pan moją książkę o kwestii polskiej³⁴. Niech mi pan powie, czy ja wyglądam na człowieka, który może poszukiwać zbliżenia z Austrią?

– Któż to taki nonsens powiedział? – zapytał Sir Arthur.

– Ten nonsens znajduje się w dwóch raportach *Foreign Office* rozesłanych rządowi państw sprzymierzonych.

– To niemożliwe!

– Ja te raporty czytałem.

– Nie należy to do mego departamentu, więc mogę nie wiedzieć. Ja tę rzecz natychmiast sprawdzę i wyjaśnię.

Nazajutrz dostałem list od Sir Arthura, stwierdzający, że raporty istnieją rzeczywiście, że wyjaśnił on Greyowi ich fałszywość, i wyrażający żal, że coś podobnego się stało.

Rzecz została naprawiona, stosunki moje z *Foreign Office* stały się jeszcze lepsze niż przedtem, okazywano mi wielką uprzejmość, zaproponowano przejażdżkę na front angielski nad Sommę, zrobiono mnie doktorem honorowym w Cambridge... Nie mogłem wszakże osiągnąć, żeby owego Żydka, autora fantastycznych raportów, usunięto za rozmyślne fałsze z zajęcia w *Foreign Office*. Poufnie mi powiedziano, iż ma on takie plecy, że usunąć go nie można. Tylko raporty z prasy polskiej przeszły potem w inne, uczciwe ręce.

Dziwne były na Zachodzie stosunki. Taki mały Żydek galicyjski mógł odegrać w sprawie polskiej doniosłą rolę³⁵. Podczas konferencji pokojowej był on informatorem polskim Philippa Carra, jednego z głównych smutnej pamięci doradców Lloyda George'a.

W ogóle nasi „rodacy wyznania mojżeszowego” starali się nam rzucać kamienie pod nogi na rozmaitych terenach i na rozmaite sposoby. Między innymi p. Szymon Askenazy wydał w Szwajcarii broszurę po polsku, którą jego przyjaciele, aktywiści

³⁴ *La Question polonaise*, przekład francuski mojej książki *Niemcy, Rosja i kwestia polska*.

³⁵ Miałem w roku 1917 jeszcze raz zajście z *Foreign Office* z jego powodu. Mianowicie wypisywał on anonimowe napaści na Polskę w piśmie „New Europe”. Myśmy wiedzieli, kto jest ich autorem, i został odpowiednio potraktowany, ale już imiennie, w jednym z pism angielskich, w dowcipnym artykule naszego zacnego angielskiego współpracownika, Roberta Ushera. Wtedy od wysokiego urzędnika *Foreign Office* dostałem list z pretensją, że od nas wychodzą napaści na funkcjonariuszy ministerstwa. Odpowiedziałem, że artykuł jest istotnie przeze mnie inspirowany i że o ile funkcjonariusze *Foreign Office* pisują w gazetach – i do tego takie paskudztwa – są dziennikarzami i będą odpowiednio traktowani. Na to otrzymałem drugi list, z zawiadomieniem, że Namier przyrzekł więcej w gazetach nie pisać.

londyńscy, wydrukowali po angielsku, a w której starał się podkopać mój kredyt intelektualny, jak jego przyjaciel Namier starał się podkopać moralny i polityczny.

Jeden z przyjaciół angielskich zwrócił się do mnie:

– Dano mi tu broszurę prof. Askenazego. Czytał pan, co o panu napisał? Ładnie panu pańscy „rodacy” pomagają...

– Pokazywano mi to – odrzekłem. – Napisał, że jestem głupcem, ale ja temu nie uwierzyłem. Niczemu nie wierzę, co Żydzi piszą.

Najgorzej, że te rzeczy szły na rachunek walk wewnętrznych między Polakami i podtrzymywały na Zachodzie starą teorię, że Polacy tylko się z sobą kłócą, że kłótniami zgubili swoje państwo, i że kłótnie uniemożliwiają jego odbudowanie.

Robiłem wszelkie możliwe wysiłki, żeby tę teorię obalić. Dlatego w rozmowach z przedstawicielami rządów państw sprzymierzonych i w ogóle z cudzoziemcami pobłażliwie traktowałem wszystko, co Polacy robili podczas wojny. Starałem się wytłumaczyć i legiony, i Radę Stanu, i tym bardziej Radę Regencyjną. Tłumaczyłem jedne rzeczy koniecznościami położenia, inne psychologią zrodzoną z prześladowania i ucisku, inne wreszcie brakiem doświadczenia politycznego. Starałem się wykazać, że sprzeczność w działaniach politycznych Polaków jest o wiele mniejsza, niż się to wydaje, że w gruncie rzeczy wszyscy dążą do jednego. Często mnie pytano, oficjalnie lub prywatnie, o moją opinię o ludziach w Polsce, stojących po stronie przeciwnej – zawsze starałem się dać możliwie najlepszą, wskazując przynajmniej na ich dobre intencje i na trudne położenie, w jakim się znajdują. Gdy ich napadano, broniłem ich – ma się rozumieć, nie chodziło mi o ich osobistą reputację, tylko o reputację Polski. Czasami nie próbowałem bronić, bo to było niemożliwe i nie miało celu, jak w roku 1917, kiedy od przedstawicieli państw sprzymierzonych w Rosji zaczęły przychodzić aż nadto dokładne raporty o działaniach p. Aleksandra Lednickiego, których autorzy sami jego polskość w wątpliwość podawali.

Robiłem wszystko, co było można, żeby zgłuszyć odgłosy walki wewnętrznej między Polakami. Sam osobiście, będąc człowiekiem bojowym całe życie, od chwili rozpoczęcia naszej akcji na Zachodzie ani słowa polemiki z Polakami nie napisałem, ani jednego artykułu – z wyjątkiem artykułów w prasie obcej o sprawie polskiej – wszelkie napaści na moją osobę puszczałem mimo uszu. Wydawało mi się to wszystko takie drobne, takie marne wobec wielkiej sprawy, którą mieliśmy na swej odpowiedzialności. O tym, co będzie po wojnie, po odbudowaniu Polski, jaka będzie jej konstytucja, kto nią będzie rządził, nie było czasu myśleć. Teraz chodziło o to, żeby Polska była, żeby miała należyte granice i pomyślne położenie zewnętrzne.

Próbowałem też, o ile nadarzała się do tego sposobność, znaleźć jakiś wspólny grunt z naszymi przeciwnikami, dojść do tego, żeby nas zrozumieli, żeby wiedzieli, do czego dążymy, byśmy przynajmniej we wzajemnym traktowaniu siebie składali przed obcymi dowody, iż jesteśmy synami jednej ziemi, że przy różnicach poglądów jedna sprawa nas łączy.

Przy poznaniu się z przedstawicielem aktywistów w Londynie, powiedziałem mu z góry, że idąc innymi niż on drogami, nie będę jednak osobiście przeciw niemu występował, nie będę starał się go w Anglii dyskredytować, uważając, że taka walka między Polakami na obcym gruncie może sprawie polskiej tylko zaszkodzić. Naturalnie, dodałem, że oczekuję od niego tego samego. Niestety, rychło się przekonałem, że mu nie trafiło do przekonania to, co powiedziałem, że uważał za właściwsze kierować przeciw mnie napaści w pisemkach i intrygi za plecami,

Innemu, spotkanemu w Szwajcarii – choć z przeszłości mało miałem powodów do zbliżania się z nim – wyłożyłem szczerze, do czego dążymy. On się nadał, owinął się togą nieskalanego patriotyzmu i wygłosił:

– Ja panu nie wierzę!

Trzeba było doprawdy świętej cierpliwości, żeby chcieć rozmawiać z takimi dorosłymi smarkaczami.

Był to jeden z produktów owej tzw. Warszawki sprzed czasów wojny japońskiej i kryzysu rosyjskiego, owej niby intelektualnej sfery, która odcięta od szerszego życia, w cieniu policyjnego dozoru i cenzury rosyjskiej nie dojrzewiała, wydawała dzieci pozujące na uczonych, statystów, wielkich obywateli itp. On widział siebie w lustrze w tej godnej pozie: Ja panu nie wierzę!...

On wierzył Prusakom. Później musiał po wagonach łapać odwracających się do niego plecami dyplomatów niemieckich, gdy jechali do Brześcia Litewskiego robić pokój z pozostawieniem za drzwiami polskich sojuszników.

X. KWESTIA POLSKA I PRZEBUDOWA ŚRODKOWEJ EUROPY

Akcja w sprawie polskiej, którą rozpoczęliśmy od końca roku 1915 w państwach zachodnich, miała trzy zadania:

1. dowieść potrzeby odbudowania państwa polskiego, jako państwa niezależnego od sąsiadów, politycznie i gospodarczo, państwa silnego, mającego samodzielne stanowisko w Europie;

2. zdobyć dla tego państwa granice, które by objęły cały obszar narodowy polski i przy których ta niezależność i ta siła byłyby możliwe;

3. osiągnąć taką przebudowę Europy Środkowej, żeby Polska była możliwie najmniej zagrożona na zewnątrz, żeby zbytne niebezpieczeństwa zewnętrzne nie przeszkodziły jej konsolidacji wewnętrznej i jej pomyślnemu rozwojowi.

Ponieważ własnymi siłami nie byliśmy zdolni zdobyć niepodległości, więc mogliśmy ją mieć tylko przy czyjejs potężnej pomocy; ponieważ zaś nie mieliśmy takich sił, ażeby tę pomoc pozyskać za równej wartości usługę pomagającemu, więc była ona możliwa o tyle tylko, o ile istnienie państwa polskiego okaże się potrzebne dla kogoś, kto będzie zdolny Polskę odbudować.

Łatwo było zrozumieć, że istnienia niepodległej, silnej Polski nie uznają za potrzebne żadne z państw, które Polskę rozebrały i były ziem polskich posiadaczami. Bo aczkolwiek w położeniu, w jakim się znajdowało jedno z nich, Rosja, na długo już przed wojną, odbudowanie silnej Polski byłoby dla niego właściwie korzystne, bo, uniezależniając Rosję od Niemiec, podniosłoby jej położenie mocarstwowe i umożliwiłoby jej spełnienie szeregu pierwszorzędnych zadań państwowych – to trudno wymagać od rządu jakiegokolwiek państwa, żeby łatwo taką rzecz uznał. Toteż główną wartością naszej polityki idącej z Rosją było, że dawała nam ona związek z jej sojusznikami, otwierała drogę do Francji, Anglii i Włoch, do państw, które mogły mieć interes w odbudowaniu silnej Polski, ten interes mogły uznać i zrobić go artykułem swojej polityki. Tymczasem ci Polacy, którzy się związali z państwami centralnymi, o ile by dążyli do istotnie niepodległej Polski, z góry byli skazani na znalezienie się w impasie, zdani na łaskę i niełaskę dwóch mocarstw rozbiorczych, w których najwyraźniejszym interesie było niedopuszczenie za żadną cenę do powstania Polski istotnie samoistnej, od nich niezależnej.

To przecież jest proste.

Równie prostą rzeczą jest, że w położeniu międzynarodowym, jakie się wytworzyło przy końcu XIX i na początku XX stulecia, przy zagrażającym już nie tylko Europie, ale całemu światu rozroście zaborczej potęgi niemieckiej, w wojnie, w której głównym celem koalicji mocarstw było powstrzymanie tego rozrostu, zredukowanie tej potęgi – powstanie państwa polskiego o tyle mogło być dla tych mocarstw pożądane, o ile

Polska uwydatniała się jako czynnik przeciwniemiecki, mogący się poważnie przyczynić do przywrócenia zniszczonej przez rozrost potęgi niemieckiej równowagi sił w środkowej i wschodniej Europie.

Dlatego to, żeby dowieść potrzeby odbudowania silnej Polski, trzeba było dowieść, że naród polski w swych dążeniach jest niezależny od Niemiec, że się im przeciwstawia, że chce stworzyć państwo, które nie będzie się znajdowało w orbicie niemieckiej, ale będzie tworzyło tamę przeciw postępom niemczyzny.

To była pierwsza litera alfabetu polityki polskiej podczas wojny. Cóż, kiedy znaleźli się ludzie w Polsce, którzy znali abecadło, ale nie polityczne, zaczęli od Austrii i od aktywizmu. Ile to trzeba było zużyć energii, żeby przy ich istnieniu i gorliwym manifestowaniu się dowieść jednak, że Polska jest i będzie narodem niezależnym od Niemiec, zdolnym do przeciwstawienia się ich potędze...

Na tym właśnie założeniu oparła się cała konstrukcja programu odbudowania Polski. Istnienie Polski zahamuje rozrost potęgi niemieckiej w Europie Środkowej, co uniemożliwi posuwanie się jej w kierunku Bałkanów i Azji Mniejszej, z drugiej zaś strony odetnie od wpływów niemieckich Rosję. Innych właściwie ważkich argumentów, poza prawami każdego narodu do niezawisłego bytu, nie było.

Oparcie programu niepodległości na tej podstawie dawało jedyny właściwie punkt wyjścia żądania dla Polski takich granic, które by jej istotną niezależność od Niemiec mogły zapewnić, przede wszystkim zaś dostęp do Bałtyku.

Tylko ludzie ciemni, nieznający Europy przedwojennej, nie umiejący się poważnie zastanawiać, mogli myśleć, że sprawa odzyskania Pomorza dla naszego państwa była prosta i łatwa. Tylko ludzie nierozumiejący języka politycznego mogli w wilsonowskich słowach „wolny dostęp do morza” wyczytać przyznanie nam ziemi leżącej nad Bałtykiem. Ten wyraz „wolny” oznaczał właśnie zagwarantowanie dostępu do morza przez cudze terytorium...

Nie tylko politycy, ale i ludzie nauki, geografowie, statystycy na Zachodzie tak się już zrośli z pojęciem, iż brzeg Bałtyku aż poza ujście Niemna jest niemiecki i tylko niemiecki być może, że kiedy im zacząłem mówić o naszych żądaniach terytorialnych na brzegu bałtyckim, przecierali oczy i patrzyli na mnie, jak na człowieka półprzytomnego. I to trwało przez blisko trzy lata. Ludzie niełatwo pozbywają się zakorzenionych pojęć. Jeszcze wiosną roku 1918 dyplomata francuski na wysokim stanowisku, wiele zajmujący się kwestią polską, powiedział mi:

– Ależ panie, to byłby cud, gdyby się stało to, co pan mówi, gdyby terytorium waszego państwa dosięgło Bałtyku!

– Może to byłby i cud – odrzekłem – ale ten cud musi się stać, jeżeli i my, i wy mamy istnieć jako niezawisłe narody. Kiedy mają się dziać cuda, jeżeli nie po najstraszniejszej wojnie, jaką świat widział, po wojnie, w której zwycięstwo będzie okupione tak ciężkimi ofiarami...

Jeżeliśmy ten skrawek brzegu bałtyckiego dostali, to tylko dzięki temu, że ta wojna trwała tak długo, że mieliśmy czas odpowiednie czynniki w tej sprawie przekonać, a przede wszystkim rozpowszechnić ściśle wiadomości o istotnym stanie rzeczy na Pomorzu.

Tę pracę prowadziło właściwie kilku ludzi. Inni byli do niej nieprzygotowani albo nie mieli odwagi wystawiać się na posądzenie o fantazjowanie w polityce. Przecież dla wielu naszych rodaków najważniejszą rzeczą w polityce było robić wrażenie rozważnych i ostrożnych: jakże tu proponować rzecz, która budzi nie tylko zdziwienie, ale nawet drwiny... Toteż tylko ludzie naszego obozu, którzy od dwóch dziesiątków lat konkretnie widzieli przyszłe państwo polskie, którzy głęboko przemyśleli warunki jego niezawisłości i gruntownie znali obszar narodowy polski w każdej jego części, mieli dostateczną odwagę i upór, żeby tę walkę o Bałtyk prowadzić na każdym kroku, niczym się nie zrażając.

Pierwszorzędne znaczenie w tej walce o Bałtyk, jak w ogóle o wszystkie ziemie zaboru pruskiego, miała obszerna, gruntowna praca Mariana Seydy o zaborze pruskim, której ukazanie się poprzedziły dwie należące do niej, znakomicie wydane mapy statystyczne – ludności polskiej w zaborze pruskim i dzieci szkolnych w tejże dzielnicy. Mapy te, opracowane na podstawie urzędowego materiału pruskiego, wydane po francusku i angielsku, były najlepszym argumentem w dyskusji. Dla wszystkich były one rewelacją i wszędzie robiły wielkie wrażenie. *Foreign Office* wziął ode mnie pozwolenie na skopiowanie ich na kartkach pocztowych w celach propagandy.

Zagadnienie granic Polski, to straszne zagadnienie, przez długi czas jeszcze będzie zmorą naszej myśli politycznej. Źródła najtrudniejszych jego stron tkwią głęboko w wiekach średnich, w okresie podziałów po Krzywoustym, które otwały wrota niemczyźnie do szybkich podbojów na ziemiach polskich. Zniemczenie Śląska, usadowienie się zakonu na ziemi pruskiej wbiły niemczyznę w dwóch kierunkach głęboko w Polskę geograficzną, czyniąc zachodnio-północną granicę naszego narodu czymś monstrualnym, nigdzie na świecie niespotykanym. Powiększył zło fatalny rozwój Rzeczypospolitej w wiekach późniejszych, umożliwiając utworzenie księstwa niemieckiego na ziemiach zsekularyzowanego zakonu, jego połączenie z Brandenburgią w państwo pruskie, wreszcie zagarnięcie Śląska przez to państwo. Dokończyły dzieła rozbiory i planowa eksterminacyjna polityka pruska na ziemiach polskich.

Czy istnieje jakieś rozwiązanie tego straszego zagadnienia? Ilekroć w latach poprzedzających wojnę do tego zagadnienia powracałem – a myślałem o nim niemało w ciągu swego życia – takie się przed moimi oczyma piętrzyły nieprzewyciężone trudności, że o ostatecznym rozcięciu tego węzła nie śmiałem marzyć; odkładałem je na dalszą, nieokreśloną przyszłość. Szczytem moich marzeń na bliższą przyszłość było odzyskanie przy odbudowie Polski przynajmniej ujścia Wisły i tego kawałka brzegu bałtyckiego, który utrzymali w rękach nasi Kaszubi, kraju polskich Mazurów i niezniemczonej polskiej części Śląska, bez czego zresztą utrzymanie Poznańskiego trudno było sobie wyobrazić.

Kiedy wszakże wojna 1914 roku rozrosła się w wielką wojnę światową, w jedną z największych katastrof w dziejach cywilizowanej ludzkości, stanęło przede mną pytanie:

czy w tym wielkim kataklizmie nie będzie możliwe jednorazowe rozwiązanie tego wiekowego zagadnienia granicy niemiecko-polskiej, naprawienie za jednym pociągnięciem wszystkich w tej dziedzinie błędów naszej przeszłości i zostawienie przyszłym pokoleniom spadku całkiem uregulowanego, tak żeby do nich należało już tylko utrzymać to, co posiadły? Wiedziałem, że politycy dzisiejszej Europy nie są ani z ustroju umysłowego, ani z temperamentu skłonni do wielkich, śmiałych rozstrzygnięć, ale widziałem, że pcha ich w tym kierunku sam rozwój wypadków.

Kiedy w rozmowie z Balfourem, niewątpliwie jednym z najgłębszych ludzi wśród polityków ostatnich czasów, powiedziałem, że trzeba walczyć nie tylko z Wilhelmem II, ale i z Fryderykiem Wielkim, że jego właśnie dzieło trzeba zniszczyć, i kiedy miałem wrażenie, że myśl angielskiego męża stanu nie jest daleka od mojej, nabrałem wiary, że jesteśmy na drodze do odwrócenia wielkiej karty dziejowej. W tej wierze utwierdziło mnie później jego oświadczenie w Izbie Gmin, że ta wojna musi naprawić dwie wielkie krzywdy dziejowe: jedną niedawną, z roku 1871, wyrządzoną Francji, drugą o wiele dawniejszą, wyrządzoną Polsce przez Fryderyka Wielkiego.

Tego wielkiego zagadnienia przyszłości Polski na Zachodzie nie można było traktować jako miejscowego sporu granicznego między Polską a Niemcami – to była wielka kwestia europejska, ściśle wiążąca się z przebudową całej środkowej Europy. Dlatego to polityka, którą kierowałem, nie zamknęła się w kwestii polskiej wyłącznie, ale od początku konsekwentnie rozwijała program obejmujący całą środkową Europę i o ten program wytrwale walczyła. Zdaje mi się, iż mogę z całą słusnością powiedzieć, że program rekonstrukcji Europy, przeprowadzonej traktatami w Wersalu i w Saint-Germain, został w całości najwcześniej przez nas sformułowany i uzasadniony³⁶.

Na długo przed ostatecznym sformułowaniem, od samego początku naszej akcji, ten program rozwijaliśmy w dyskusjach z kołami politycznymi państw zachodnich i według niego układaliśmy nasz stosunek do innych, mniejszych narodów, które prowadziły równoległą z naszą akcją na Zachodzie.

Od tego, w jakim kierunku będzie przeprowadzona rekonstrukcja polityczna Europy, zależała zarówno sprawa granic naszego państwa, jak i jego przyszłe położenie zewnętrzne, jego niezawisłość i bezpieczeństwo.

Działiałem podczas wielkiej wojny w skromnej roli przedstawiciela narodu ujarzmionego, który chce się wyzwolić spod jarzma; nie stała za mną potęga państwowa, która by mi dawała głos w sprawach międzynarodowych; zadaniem moim było pozyskanie dla spraw mego narodu głosu tych, którzy reprezentowali siłę. Z zazdrością patrzyłem na kierowników polityki mocarstw, którzy mogli komunikować innym swą wolę; ja mogłem tylko wyjawić swe zdanie i starać się, żeby innym trafiło do przekonania.

³⁶ W mojej rozprawie *Problems of Central and Eastern Europe (Zagadnienia środkowo i wschodnio-europejskie)*, drukowanej na zasadach manuskryptu w Londynie w lipcu 1917 roku. Patrz: Aneks VIII.

Powiadam: „z zazdrością”, nie dlatego, że to by mi sprawiało osobistą satysfakcję, ale dlatego, że w sprawach pokoju po tej wojnie, obchodzących nie tylko nasz naród, w sprawie przebudowy Europy miałem swój program, zrodzony nie z fantazji, przemyślany sumiennie, oparty, jak uważałem, na znajomości położenia, program, który chciałem móc przeprowadzić w całości. Tymczasem ja, w swej skromnej roli przeprowadzić nic nie mogłem; mogłem tylko starać się, żeby inni moją myśl przeprowadzili, o ile im się podoba.

Program ten, obliczony na decydujące zwycięstwo sprzymierzonych, obejmował nie tylko odbudowanie Polski, nie tylko przebudowę polityczną dorzecza Dunaju, ale w pewnej mierze i przebudowę Niemiec. Zanim go tu w krótkim zarysie przedstawię, uważam za potrzebne powiedzieć kilka słów o moim i w ogóle o naszym, polskim stosunku do narodu niemieckiego.

Pracowałem całe życie przeciw Niemcom, bo chciałem, żeby Polska żyła, polityka zaś niemiecka za cel sobie postawiła jej zgubę. Myliłby się wszakże ten, kto by sądził, że kieruje mną jakaś ślepa nienawiść do Niemców lub że niezdolny jestem do sprawiedliwego sądu o wartości narodu niemieckiego i o jego zasługach dla cywilizacji. Umiem też przyznać, że my sami wiele się od Niemców nauczyliśmy. Wiele cech umysłowych i charakteru niemieckiego są przeciwne mojej, polskiej psychice, bliższy mi jest duchowo cały szereg innych narodów, ale mam głęboki szacunek dla indywidualności każdego narodu i daleki jestem od potępienia wszystkiego, co mi jest obce. Przywiązany do własnej ojczyzny, cenię w innych ich przywiązanie do swojej i nigdy nie mam pretensji do Niemca za to, że jest dobrym Niemcem. Uważam przy tym, że wszystkie narody europejskie mają wspólne, wielkie dobro, wspólną cywilizację, która jest podstawą ich bytu, którą wspólnie muszą rozwijać i chronić od rozkładu, że to wielkie zadanie winno rodzić w nich poczucie solidarności i łagodzić nieuniknione pomiędzy nimi antagonizmy. Byłbym też szczęśliwy, gdyby stosunki wzajemne między nami a Niemcami mogły być zdrowymi stosunkami sąsiedzkimi, opartymi na wzajemnym szacunku i umożliwiającymi współdziałanie tam, gdzie to jest potrzebne.

Niestety, obawiam się, że wiele jeszcze czasu upłynie, zanim do takich stosunków dojdzie. Naród niemiecki został wychowany w idei, że Polska jest przeznaczonym dla niego łupem – powodzenie niedawnych czasów wyrobiło w nim ufność, że ten łup jest pewny, i dziś, gdy się z jego rąk wymknął, uważa to sobie za krzywdę i marzy o ponownym jego zagarnięciu. Obawiam się też, że ta, do głębi niezdrowa psychologia narodu niemieckiego w stosunku do Polski przez długi jeszcze czas będzie źródłem nieubłaganej walki i straty sił zarówno polskich, jak i niemieckich, sił, które by mogły być użyte na wielką pracę cywilizacyjną obu narodów oraz uzdrowienie ich życia.

Ambicja panowania nad światem i chciwość dążąca do wyzyskiwania całego świata dla siebie doprowadziła Niemcy do niebywałej klęski. Doprowadzić musiała, bo wszelkie takie ambicje podobny koniec miały. Cywilizacja europejska wytworzyła wielkie i mniejsze, świadome siebie narody, mające silne poczucie swej godności i swego dobra, i dziś już nie jest możliwe tworzenie Imperium Rzymskiego, bo zawsze ten naród, który by chciał nad innymi zapanować, spotka na swej drodze inne narody, mniej więcej równe mu

cywilizacją i rozumem politycznym, które, sprzymierzywszy się, wytworzą przeważającą siłę.

Gdy inne rasy europejskie rozrosły się liczebnie drogą kolonizacji poza Europą, Niemcy rozrastały się w samej Europie i stały się najliczniejszym narodem na naszym kontynencie. Wyjątkowe warunki historyczne – które dały im za sąsiadów rasy młode, znacznie później od nich wchodzące w krąg wpływu cywilizacji rzymskiej, skutkiem czego miały niższą kulturę materialną i kruchsze wiązania swej budowy politycznej – umożliwiły Niemcom na szeroką skalę podbój i osadnictwo na wschodzie, które podwoiło obszar ich ojczyzny i – jak to z triumfem podnosi kanclerz Bülow w swej *Deutsche Politik* – sownie ich wynagrodziło za odparcie od zachodu, gdzie starsze od nich cywilizacyjnie rasy szybko pochłonęły najazd germański i germanizmowi w samym jego gnieździe umiały później zagrozić. Z tą rolą kolonizatorów Europy Niemcy przez długi szereg pokoleń się zrosli, wytworzyli sobie odpowiadającą jej ideologię narodową, opartą na pojęciu swej rasy jako *Herrenvolk*³⁷ i, zgodnie z prawem inercji, tę rolę chcieli bez końca kontynuować, pomimo że ewolucja ludów europejskich czyniła ją coraz bardziej anachronizmem. Eksterminacyjna polityka niemiecka na ziemiach polskich do Prus należących, polityka niesłuchanie kosztowna materialnie i moralnie, kłócąca się na każdym kroku z pojęciami współczesnymi, dochodząca często do karykaturalnej śmieszności, była najlepszą ilustracją tej próby kontynuowania roli, którą warunki czasu czyniły coraz bardziej niemożliwą.

To dążenie Niemców do utrzymania się nadal w roli kolonizatorów Europy było głównym źródłem wojny, która stała się tak straszną dla nich, i nie tylko dla nich, katastrofą.

Jaki więc winien był być główny cel tej wojny ze strony mocarstw przeciw Niemcom sprzymierzonych? Czego winien był dokonać pokój przez te mocarstwa podyktowany? Zniszczenia Niemiec?... Nie – byłoby to zniszczenie części cywilizacji europejskiej, która jest wspólnym dobrem całej Europy. Choć Niemcy zaprzysięgli zagładę naszej ojczyźnie, myśmy nie żywili pragnień, ażeby one były zniszczone. Zresztą, nie jesteśmy dziećmi, ażeby pragnąć rzeczy niemożliwych...

Główny cel tej wojny, który, zdaniem moim, logicznie się narzucał, był – postawić Niemcy w takim położeniu, ażeby im, jako narodowi niemieckiemu na ziemi niemieckiej, żadna krzywda się nie działa, ale żeby niemożliwe były nadal wszelkie próby z ich strony kontynuowania roli kolonizatorów Europy i żeby naród niemiecki jak najrychlej mógł dojść do zrozumienia, że ta rola jest raz na zawsze skończona. Narodom sąsiadującym z Niemcami – których postęp wewnętrzny w zakresie samowiedzy narodowej, zdolności organizacyjnych i kultury materialnej doprowadził do tego, że, będąc pozbawione środków, jakie daje własne państwo, umiały jednak swymi siłami społecznymi powstrzymywać postępy niemczyzny i nawet odniemczać swe ziemie – pokój ten

³⁷ *Herrenvolk* (niem.) – naród panów. [red.]

powinien był zapewnić opartą na trwałych podstawach niezawisłość polityczną i tym położyć koniec wszelkim próbom sztucznego nasadzenia niemczyzny na ich ziemiach.

Trzeba było się pogodzić z faktem, że historia uczyniła naród niemiecki liczebnie największym w Europie, ale zmusić ten naród, żeby się uznał za ustalony w swoich granicach, wszedł w normalną kolej rozwojową współczesnych narodów europejskich i przestał tracić swe siły na próby rozszerzania się na naszym kontynencie. Osiągnięcie tego dałoby największe prawdopodobieństwo utrzymania na przyszłość trwałego pokoju w Europie i zabezpieczenia jej od katastrof podobnych do ostatniej wojny.

Gdy odbywa się tak straszne wstrząśnienie, jak ta wojna, i gdy myśl ludzka przygotowująca pokój kieruje się troską, jakby się na przyszłość od podobnych wstrząśnień uchronić, nie dość jest przy zawieraniu pokoju rozstrzygnąć kwestie, które całkiem już do rozstrzygnięcia dojrzały, ale trzeba nieco wybiegać naprzód i dołączyć do nich kwestie, które już są bliskie dojrzenia, ażeby uprzedzić wywołanie na ich gruncie stanu zapalnego w bliskiej przyszłości.

Kiedy przyszła konieczność przeprowadzenia głębokich zmian w budowie Europy po wojnie, która tyle kosztowała, trzeba było tę przebudowę tak przeprowadzić, żeby to wystarczyło na możliwie długi czas – nie zostawiać *status quo* w takich kwestiach, które są w ruchu, których rozwój w danym kierunku jest widoczny i co do których łatwo przewidzieć, że pozostawione nietknięte, mogą stać się za kilka lub kilkanaście lat źródłem nowej wojny.

Jako przykład tego pojmowania zadań twórców pokoju wskażę moją dyskusję z Wilsonem w sprawie Górnego Śląska. Już po wręczeniu delegacji niemieckiej w Wersalu projektu traktatu prezydent Stanów Zjednoczonych, uległszy Lloydowi George'owi, zgodził się na zmianę decyzji w sprawie Górnego Śląska, przyznanego Polsce, i na przeprowadzenie w tej ziemi plebiscytu. Zakomunikował tę nową decyzję mnie i Paderewskiemu na Radzie Najwyższej, motywując ją między innymi tym, iż delegacja niemiecka powołuje się na to, że ludność miejscowa, acz mówiąca po polsku, jest przywiązana do Niemiec, do Polski nie chce należeć i w plebiscycie będzie głosowała za Niemcami.

Odpowiedź moja była treści następującej:

– Nie przeczę, że znaczna część polskiej ludności Górnego Śląska może w plebiscycie głosować za Niemcami... Powiem więcej, gdyby zarządzono tam plebiscyt lat temu kilkadziesiąt, na pewno prawie cała ludność za Niemcami by głosowała. Bo wówczas świadomość narodowa polska wśród tej ludności zaledwie zaczynała kiełkować. Ale przez ostatnich lat kilkadziesiąt, pod wpływem postępu oświaty, idzie samorzutny, szybki rozwój tej świadomości. Znajduje się on dziś w pełnym biegu. Jeżeli w dzisiejszym jego stadium połowa ludności odda jeszcze głosy za Niemcami i jeżeli na skutek tego połowa polskiego Śląska zostanie w granicach państwa niemieckiego, to ten postęp świadomości narodowej przecież się nie zatrzyma, tylko pójdzie dalej. I jutro w tej należącej do Niemiec ziemi synowie będą przeklinali ojców, że głosowali za Niemcami, i ruch polski w tej ziemi

stanie się źródłem niepokoju, mogącego wywołać nowe starcia między narodami. Pan, panie prezydencie, chce zapewnić światu trwały pokój; chcąc ten cel osiągnąć, trzeba rozwiązywać nie tylko kwestie, które dziś są źródłami wojny, ale i te, które w bardzo bliskiej przyszłości stać się nimi mogą.

Wilson mi na to umiał odpowiedzieć tylko to, że ustanawia się Ligę Narodów, która będzie mogła zmieniać granice między państwami, gdy zajdzie potrzeba.

Widzę Ligę Narodów w tej roli, zwłaszcza w stosunku do wielkiego państwa...

Tak wielkie dzieło historyczne, jak przebudowa polityczna Europy, musi mieć myśl przewodnią, wynikającą z ducha czasu, musi być ujęciem w prawno-polityczne normy tego, co życie faktycznie dokonało lub co w znacznej mierze przygotowało. Tylko wtedy może to być dzieło trwałe, dzieło pokoju, tylko wtedy może ono zapewnić pomyślny rozwój i względne szczęście ludom, tylko wtedy może im ono wynagrodzić te ofiary i cierpienia, na które je skazała wojna.

Kiedy jeden z fanatyków pacyfizmu powiedział mi podczas konferencji pokojowej, że wojna jest największą zbrodnią, odpowiedziałem mu:

– Gotów jestem to panu przyznać, z dodatkiem, że tę zbrodnię może okupić tylko dobry, mądrze i uczciwie zrobiony pokój. A wy właśnie, apostołowie pacyfizmu, takiemu pokojowi przeszkadzacie.

Od czasu kongresu wiedeńskiego, który starał się utrwalić budowę Europy na zasadach legitymistycznych – z wyjątkiem, ma się rozumieć, Polski – wszystkie nieomal zmiany, które w tej budowie następowały, szły w jednym, wyraźnym kierunku przebudowy naszej części świata na zasadach narodowych. To był duch czasu, wynik wielkiego procesu ewolucyjnego, odbywającego się w Europie przez cały wiek XIX, procesu, o którym mówiłem na początku tej pracy, robota sił psychiki zbiorowej ludów, tych imponderabiliów, które mają zawsze ostatnie słowo w historii. Racja stanu wszędzie musiała się cofać przed dążeniami narodowymi, przed narodowym interesem.

Wojna zastała tę przebudowę Europy na zasadach narodowych w połowie drogi, i jej zadaniem było historycznego dzieła dokończyć. To zresztą dość szeroko rozumiano.

Krótko mówiąc, zadaniem pokoju po tej wojnie było: dać byt państwowym narodom, które go nie miały i żyły w walce przeciw obcemu jarzmu; zjednoczyć narody, politycznie podzielone; wreszcie zburzyć ustroje państwowe, oparte na zasadach przestarzałych, niebędące państwami narodowymi.

Nasze dążenia polskie miały za sobą tę wielką siłę, że były w całkowitej zgodzie z duchem czasu, z kierunkiem, w którym szła ewolucja całej Europy. Dlatego odbudowanie Polski musiało stanąć na porządku dziennym kongresu pokojowego po tej wojnie. Trudność tylko tkwiła w ustaleniu pojęcia, co to jest Polska, co to jest jej obszar narodowy, do jakich granic ma ona prawo.

Druga wielka kwestia, którą wojna wysuwała na porządek dzienny – to było zburzenie monarchii austriacko-węgierskiej, jako przeżytku nieodpowiadającego duchowi czasu, dążeniom i potrzebom ludów.

My, Polacy, byliśmy w tej sprawie bezpośrednio zainteresowani, przede wszystkim ze względu na to, że część naszej ojczyzny należała do Austrii. Ale nie tylko dlatego...

Pragnąc zjednoczenia i niepodległości dla siebie, szczerze, niezależnie nawet od naszych interesów, pragnęliśmy jej także dla innych, a tym bardziej dla narodów nam bardzo bliskich. W społeczeństwie naszym – mówię o społeczeństwie polskim, nie o polskich Żydach – istniały głębokie sympatie dla dążeń wyzwolńczych Czechów, dla dążeń Serbów do narodowego zjednoczenia, dla takich samych aspiracji rumuńskich; w walce też włoskiej irredenty nad Adriatykiem przeciw Austrii uczucia polskie były po stronie Włochów. Będąc narodem najbardziej ze wszystkich pokrzywdzonym przez obce panowanie i podział ojczyzny, byliśmy wyjątkowo wrażliwi na te same krzywdy, gdy ich doznawały inne narody, i serce nasze było po ich stronie. Byliśmy w dziedzinie polityki może więcej od innych zdolni do uczuć bezinteresownych.

W tym wszakże wypadku naszym sympatiom najściślej odpowiadał nasz interes narodowy.

Austro-Węgry były terenem ekspansji niemieckiej, szerokim mostem, po którym niemczyzna posuwała się na południowy wschód, po którym szła ona na podboje w kierunku Bałkanów, Azji Mniejszej i Zatoki Perskiej. Istnienie monarchii habsburskiej, wiążącej ręce ludom tego obszaru, hamującej naturalny rozwój sił tych ludów, uniemożliwiającej dyktowane przez ich instynkt samozachowawczy zorganizowanie i zwrócenie tych sił przeciw zapędom niemieckim, było warunkiem powodzenia planów berlińskich. Powodzenie zaś tych planów oznaczało dla nas zamknięcie drogi do niepodległości. Stąd wyzwolenie ludów monarchii naddunajskiej, zjednoczenie podzielonych narodów południowo-wschodniej Europy, a co za tym idzie, zniszczenie państwa austriacko-węgierskiego było wielkim interesem Polski, warunkiem odbudowania niepodległego państwa polskiego.

Monarchia habsburska, jak już mówiłem, przestała być całkowicie niezawisłym państwem. Od chwili wejścia w sojusz z Cesarstwem Niemieckim z państwa sprzymierzonego zamieniła się ona stopniowo na faktyczny protektorat, gdyż bez oparcia się o Berlin panowanie w niej Niemców i Madziarów nie było zdolne się utrzymać. Gdyby więc nawet powstało państwo polskie po tej wojnie, a Austro-Węgry swój byt zachowały, Polska, odgradzona od Europy nieprzerwanym murem bezpośrednio lub pośrednio niemieckim, państwem niezawisłym stać by się nie mogła. Postulatem naszej niepodległości musiało zatem być: *Austria delenda est*³⁸.

I tu jeszcze nie koniec naszych powodów do pragnienia rozbioru Austrii.

³⁸ *Austria delenda est* (łac.) – Austrię należy zniszczyć. [red.]

W dzisiejszych czasach, kiedy idea dynastyczna straciła wszelką siłę, kiedy państwa przestały być własnością domów panujących, a stały się własnością narodów, monarchia austro-węgierska stała się państwem bez podstawy moralnej, ustrojem wybitnie niezdrowym, w którym odbywała się hodowla najwstrętniejszych mikrobów politycznych.

Państwo jest organizacją przymusu, który sam w sobie jest rzeczą przykrą, budzącą bunt w duszy ludzkiej. Państwo wymaga od swych obywateli ofiar, nieraz bardzo ciężkich, w potrzebie – ofiary życia. Temu przymusowi można chętnie podlegać, te ofiary można z gotowością ponosić, ale w imię czegoś wielkiego. W państwie narodowym to się robi w imię idei narodowej, w imię ojczyzny. W imię czego mogła nakładać przymus, wymagać ofiar Austria? W imię dynastii habsburskiej? – to się stało już pustą formułą. W imię wspólnego dobra zamieszkujących ją ludów? – kiedy one wspólnego dobra nie uznawały, i dobro jednego było złem drugiego. Służbę państwu sprawowano prawie wyłącznie za pieniądze i zaszczyty, ofiary dla państwa ponoszono ze strachu. W każdym państwie jest pewna liczba ludzi, u których to są jedyne pobudki do służby państwu i do ofiar dla państwa. Ale jeżeli takich ludzi jest za wiele, jeżeli tacy są prawie wszyscy, wtedy państwo jest potworem, szkołą nikkzemności. Takim właśnie państwem była Austria.

Nie mówię tego czysto teoretycznie i nie sędzę o Austrii na podstawie danych z drugiej ręki. Ja Austrię znałem: mieszkałem w jej granicach, we Lwowie i Krakowie, przez osiem lat. Widziałem tam Austriaków języka polskiego, obserwowałem ich sposób myślenia i postępowania. Był to gatunek bardziej mi obcy moralnie niż jacykolwiek cudzoziemcy w Europie. To nie byli ludzie, to były karykatury ludzkie – coś wstrętnego i niesłychanie śmiesznego zarazem. Nigdy człowiek przedtem nie przypuszczał, że podobne okazy mogą istnieć na świecie. I żyłem w Galicji w środowisku ludzi z przeciwnego bieguny, ludzi, którzy chcieli być i byli Polakami. U tych nienawiść do Austrii była często większa niż u pozostałych Polaków do Rosji lub Niemiec. I była inna: łączyła się z takim wstrętem moralnym, z takim obrzydzeniem, jakiego nie objawiali Polacy względem Niemiec lub Rosji. Widziałem też ludzi zdolnych, wybitnych, z wyższymi ambicjami, którzy się czuli Polakami, ale którzy, dlatego że wyszli ze szkoły austriackiej, całą swoją działalność opierali na teorii, że ludźmi rządzić można tylko korupcją albo terrorem.

I to jest najśłabszym, najniebezpieczniejszym punktem organizacji naszego młodego państwa, że w maszynie państwowej i w życiu politycznym mamy tak wielu Austriaków lub ludzi przez Austrię politycznie zdemoralizowanych. Mnie oburza to głupie, wstrętne, niepolskie w swym charakterze i bardzo szkodliwe szczucie w Królestwie czy w byłym zaborze pruskim na Galicjan. Galicja nam dała mnóstwo najlepszych Polaków, ludzi, bez których trudno sobie wyobrazić organizację naszego państwa, ludzi nie tylko przewyższających innych rodaków wiedzą, fachową znajomością administracji mechaniki życia politycznego, ale umiejących często lepiej od innych być Polakami nie tylko w uczuciach i w słowie, lecz również i w czynie. Większość najtęższych naszych ludzi dzisiaj, to są ludzie z Galicji. Wśród wielu swoich cnót mają oni jedną, która ich wyróżnia: są wytrawniejsi, mniej naiwni, lepiej się znają na łotrostwie i lepiej z nim

umieją walczyć. Bo jeżeli gdzie, to w Austrii było piękne pole do studiowania politycznego łotrostwa.

Razem wszakże z Polakami z Galicji weszła w naszą organizację państwową falanga Austriaków, wśród nich wielu takich, którzy dlatego tylko zostali obywatelami polskimi, że Austria przestała dawać chleb i karierę. Oni lepiej by się czuli w Wiedniu, tylko ich tam nie chcą. Ci traktują Polskę jedynie jak pastwisko, tak się czują i tak się zachowują, jak na służbie w obcym państwie. Tylko Polsce gorzej o wiele służą niż Austrii, bo się mniej boją. Jest to żywioł, który już dawno przestał rozumieć, co to jest ojczyzna, bo ojczyzny nie miał: miał Austrię, która dla nikogo ojczyzną nie była. To żywioł moralnie i politycznie bardzo niebezpieczny, i dopóki nie będzie w cień zepchnięty, państwo polskie na pewnych podwalinach nie stoi. A zepchnąć go niełatwo, bo zajął wiele stanowisk i, związany między sobą austriackością, stara się je dalej opanowywać, a innych wypierać. Kierownicy naszej maszyny państwowej winni baczną uwagę na to zwrócić; lepszy często nieco mniej fachowy urzędnik, który służy Polsce nie tylko dlatego, że mu płacą, że go czekają awanse lub że, jak to się czasem zdarza, ma pole do nielegalnych zysków.

Trup austriacki, który choć pokrajany, jeszcze się całkiem nie rozłożył, dotychczas zaraża nasze życie polityczne jadem cynizmu, dostarcza nam ludzi, którzy w głębi duszy uważają przywiązanie do ojczyzny, poczucie obowiązku względem niej, poświęcenie dla niej za wyraz naiwności, za przeżytek dawnych, pierwotniejszych czasów. Zrosli się z państwem, które ojczyzną nie było, zatracili jej pojęcie, a ponieważ za jego granice nie wyglądali, są przekonani, że głębszy stosunek moralny do ojczyzny nie istnieje nigdzie. Wychowani w austriackim chlewie, myślą, że cały świat jest chlewem. Trzeba im było być we Francji, w Anglii, we Włoszech podczas wojny, widzieć tę sumę bohaterstwa, poświęcenia, to niezliczone mnóstwo ludzi idących z ochotą na śmierć, byle ojczyzna żyła, ludzi stokroć więcej nowoczesnych od nich, o całe piętra wyższych kulturą. O ile by ich zdolni byli zrozumieć, zrozumieliby, jaką zakałą Europy była Austria.

Bardzo byłoby rzeczą pożyteczną, gdyby ludzie szerszych pojęć, którzy przyglądali się Austrii w tej ogniowej próbie, jaką była wojna, spisali swe spostrzeżenia i pokazali światu, jak państwo nienarodowe w dzisiejszych czasach taką próbę wytrzymuje i jakich musi używać środków, żeby dłużej w niej wytrwać.

Niejeden więc mieliśmy powód do tego, żeby dążyć do zniszczenia państwa austriacko-węgierskiego, do wycięcia tego wrzodu, który tak blisko nas tkwił w ciele Europy, w takim stopniu nasz własny organizm narodowy zakażał; do przebudowy politycznej tego obszaru, na którym tyle sił pokrewnych nam dążeniami pozostawało w zaprzęgu niemieckim. I byliśmy tu w tym szczęśliwym położeniu, że nasze dążenia były zgodne z potrzebami czasu, z postulatami rozwoju dziejowego Europy.

Dawno już rozumiałem, że niepodległej Polski nie będzie bez rozwalenia przestarzałej budowy państwa austriacko-węgierskiego. I od dawna w swym działaniu politycznym tym celem się kierowałem.

Walka o byt i o przyszłość naszego narodu to była walka przede wszystkim z Niemcami. Dziś walczy się z narodami, nie z dynastiami, bo dynastie już nic nie znaczą, albo bardzo niewiele. Państwo, które było dawniej narzędziem dynastii, dziś jest narzędziem narodu. Naród niemiecki w swym dążeniu do podboju połowy Europy miał dwa narzędzia: swoje narodowe państwo niemieckie i różnonarodowe państwo austriacko-węgierskie, którym rządzą austriaccy Niemcy i Madziarzy, jedni i drudzy zmuszeni w swym interesie do opierania się na narodowym państwie niemieckim i do służenia jego celom.

O zniszczeniu narodowego państwa niemieckiego nie było mowy, i o tym, jak powiedziałem, nie myśleliśmy. Można mu było tylko odebrać to, co nie było niemieckie. Ale dążąc do zamknięcia Niemców w granicach ich obszaru narodowego, można było i należało zburzyć nienarodowe państwo austriacko-węgierskie. Nasz stosunek do narodu niemieckiego krótko się formułował w następującym programie względem państw: osłabić państwo niemieckie, zredukować jego posiadanie do ziem niemieckich, a zburzyć państwo austriacko-węgierskie.

Gdy się coś burzy, trzeba nową budowę na miejscu dawnej stawiać. Przy planowaniu tej nowej budowy politycznej nie można fantazjować, ale trzeba ujmować w formy państwowe to, co ma swój odpowiednik narodowy w życiu. W dzisiejszych czasach państwa sztucznie stworzone, które tego odpowiednika nie mają, nie mogą się ostać.

Trzeba to stwierdzić, że zmienność dziejów tego obszaru, na którym ostatnimi czasy stała dualistyczna monarchia austriacko-węgierska, wytworzyła niesłychanie zawiąlane stosunki rasowo-cywilizacyjne i narodowo-polityczne, w których nie wszystkie kwestie jednakowo dojrzały do rozstrzygnięcia, w których na każdym kroku nasuwały się poważne wątpliwości, jak zdecydować o przyszłości tego lub innego terytorium.

Wyjście z tych trudności ułatwiały same ludy monarchii habsburskiej, które złączyły swą sprawę ze sprawą państw sprzymierzonych. Antycypowały one, że tak powiem, przyszłość, stwarzały całości, jeszcze dziś niebędące całościami, ale mające poważne widoki na stanie się nimi. Wystąpił w tej wojnie na widownię związek Czechów ze Słowakami, jako naród czesko-słowacki, i związek Serbów, Chorwatów i Słoweńców, jako naród jugosłowiański. Nie były to formacje całkiem sztuczne, jednostronnie projektowane, bo jakkolwiek nie można powiedzieć, żeby Czesi i Słowacy stanowili dziś jednolitą całość lub żeby między Serbami, Chorwatami i Słoweńcami nie istniały głębokie różnice cywilizacyjne – a nawet, gdy mowa o Słoweńcach, językowe, i pochodzące stąd polityczne antagonizmy – to jednak sprawa każdego z tych ugrupowań była reprezentowana przez jednolitą, energiczną akcję ludzi pochodzących ze wszystkich wymienionych szczepów. Główny przedstawiciel sprawy czesko-słowackiej, Masaryk, był z pochodzenia Słowakiem i działał z Czechem Beneszem jak jeden człowiek. Słowakiem był główny bohater armii czeskiej, wielki istotnie charakter, generał Stefanik. Tak samo akcję jugosłowiańską prowadzili zgodnie Serbowie z różnych części obszaru serbskiego, Chorwaci i Słoweńcy. Widoczne było, że za każdą z tych spraw stoi ścisła organizacja, już

przed wojną wytworzona – mająca na swe usługi ludzi z różnych szczepów występujących jako jeden naród i nawet wpływowych, oddanych sprawie cudzoziemców, Anglików i Francuzów. Tacy ludzie, jak prof. Denis w Paryżu, jak słynny badacz cywilizacji przedgreckiej na Krecie, Sir Arthur Evans, jak redaktor polityczny „Timesa” Wickham Steed, jak publicysta Seton-Watson, służyli jeszcze nawet przed wybuchem wojny sprawom czesko-słowackim i jugosłowiańskim jak swoim własnym i ogromnie się przyczynili do ich zwycięstwa.

W interesie Polski wcale nie leżało rozproszkowanie ludów monarchii austriacko-węgierskiej: im większe całości się tworzyły, tym większe miały one widoki oparcia się w przyszłości wpływom niemieckim, tym więcej zasługiwały na nasze poparcie.

Wobec tego, że ludy monarchii habsburskiej były właściwie odłamami narodów istniejących poza granicami monarchii, wobec tego, że tylko dwa narody, Węgrzy i Czesi, były zamknięte w całości w granicach monarchii habsburskiej i że Węgrzy już posiadali swą organizację państwową przy dualizmie, powstała potrzeba utworzenia na gruzach monarchii tylko jednego nowego państwa, mianowicie, państwa czesko-słowackiego. Reszta ziem monarchii odchodziła do Polski, Rumunii, Serbii, Włoch, wreszcie, gdy chodzi o kraje niemieckie, mogła pozostać bądź zmniejszona Austria, bądź być przyłączona do Niemiec. Nad każdym z punktów kwestii tej przebudowy musimy się chwilę zatrzymać.

Ażeby skończyć z kwestią burzenia starej budowy, zacznę od Węgier.

Obszar Królestwa Węgierskiego – ma się rozumieć, bez Chorwacji – można było uważać za obszar narodowy węgierski, ze względu na to, że cywilizacja węgierska pracowała tam od stuleci, że na ziemiach z ludnością słowacką, serbską, rumuńską i ruską Madziarzy przedstawiali żywioł dominujący intelektualnie i gospodarczo, że jakkolwiek na tych ziemiach występowała opozycja przeciw madziaryzmowi, to jednak nie można było z całą pewnością powiedzieć, że obejmuje ona większość ludności. Przeciw takiemu wszakże stanowisku przemawiał szereg faktów. Madziarzy w swoim Królestwie w stosunku do niemadziarskich narodowości stanowili mniejszość, pomimo że wszyscy Żydzi stanęli w szeregach madziarskich i gorliwie współdziałali w dziele madziaryzacji³⁹. Faktu tego nie dało się ukryć pomimo bezceremonialnego fałszowania spisu ludności. Obszar etnograficzny madziarski stanowił trzecią część Królestwa. Ludność madziarska na swym obszarze etnograficznym nie przewyższała, w masie, kulturą szczepów niemadziarskich. Wreszcie argument, że szczepy niemadziarskie niezdolne są do wytworzenia własnych państw, upadał wobec tego, że chodziło o przyłączenie ich do państw już istniejących, jak Rumunia i Serbia, lub do nowego państwa czeskiego, którego zdolność do życia trudno było kwestionować wobec dowodów energii politycznej i gospodarczej, jakie złożyli Czesi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Gdy trzeba wybrać

³⁹ Za to swoje współdziałanie z madziaryzmem wystawili potem rachunek w postaci rewolucji bolszewickiej na Węgrzech.

między dwoma spornymi stanowiskami, jedynym wyjściem jest wybrać to, które odpowiada naszemu narodowemu dobru.

Myśmy mieli tradycję przyjaznych stosunków z Węgrami; wtedy, kiedy byli uciskani przez Austrię, sympatie nasze były po ich stronie, ojcowie nasi walczyli w powstaniu węgierskim. Od czasu wszakże, gdy sprawa węgierska zwyciężyła, gdy Węgrzy zorganizowali się państwowo, jako połowa monarchii habsburskiej, gdy z drugiej strony, przy nowym ustroju politycznym poczuli się oni zagrożeni przez ruch emancypacyjny wśród Rumunów, Słowaków i Serbów – zrozumieli, że uratować ich może tylko ścisły związek z Niemcami, naturalnymi wrogami odrodzenia narodowego ludów doliny Dunaju. Węgrzy byli głównymi twórcami sojuszu monarchii habsburskiej z Cesarstwem Niemieckim, na nich się on silniej niż na Niemcach austriackich opierał, i widoczne było, że w położeniu, w jakim się znajdują, nie tylko są, ale muszą być zawsze najpewniejszymi sojusznikami Niemców w Europie. Tym samym musieli być wrogami Polski. Dawali nam oni od czasu do czasu zdawkowe objawy przyjaźni, ale polityka węgierska była w istocie przeciwpolska. Złożyła ona wyraźnie tego dowody i w czasie ostatniej wojny.

W tym stanie rzeczy w interesie naszym leżało, żeby Węgry jak najbardziej osłabić, a wzmocnić te narody, na których niezależność od Niemiec można liczyć. Dlatego poparliśmy bez wahania całą siłą program zredukowania Węgier do ich obszaru etnograficznego. Gdy wpływ węgierski w ziemiach od nich oderwanych całkowicie zniknie, gdy będą musieli z konieczności pogodzić się ze swymi nowymi granicami, gdy przestaną żyć myślą o odzyskaniu utraconych obszarów – wtedy możliwe będzie ich przyjazne współżycie z sąsiadami i z nami także, bo wtedy nie będą mieli celu szukania oparcia w Niemczech.

Chciałbym, ażeby z tego dobrze sobie u nas zdawano sprawę, ażeby rozumiano, że wszelkie zjawiające się u nas próby wywołania zbliżenia do Węgier, poparcia ich ambicji na Słowaczczyźnie czy gdzie indziej, nie są niczym innym, jak robotą dla Niemiec, robotą przeciwną najwyraźniejszym interesom naszego narodu.

Stanowisko nasze w kwestii węgierskiej miało niezawodnie pewien wpływ na jej rozstrzygnięcie; jak duży, niepodobna określić. Nie byliśmy zainteresowani w tej kwestii bezpośrednio, nie można było nas posądzić, że kierowani jesteśmy chciwością; kompetencji zaś w tej sprawie, tak nam bliskiej, nie można nam było odmówić. Były też próby pozyskania nas na rzecz obrony interesów węgierskich. Ludzie na wybitnych stanowiskach w krajach zachodnich przychodzili i starali się wpływać na mnie, byśmy zajęli przyjazną względem Węgrów postawę. Węgrzy zaś mieli silnych przyjaciół na Zachodzie. Na długo już przed wojną zajmowali oni duże stanowisko w masonerii, a byli jednocześnie związani blisko z Żydami. Jednakże i Czechosłowacy, i Jugosłowianie mieli także ugrupowania masońskie, które ich popierały z wielką energią. Mieli oni tę wyższość nad protektorami Węgrów, że ich protegowani nie byli zaangażowani w wojnę przeciw sprzymierzonym, że Serbia miała wielkie zasługi i wielkie poniosła ofiary dla ich sprawy, że Czesi również składali wyraźne dowody solidarnej walki przeciw państwow

centralnym. Obok tego sprawa czesko-słowacka i jugosłowiańska były sprawami wyrażającymi ducha czasu, odpowiadały przeważającej tendencji umysłów w tej wojnie.

Najdalszymi geograficznie kwestiami na gruncie monarchii habsburskiej były dla nas kwestie jugosłowiańska i włoska nad Adriatykiem. Sympatyzując gorąco z dążeniami Serbów, Chorwatów i Słoweńców do politycznego zjednoczenia i widząc w tym jeden z głównych zadatków zdrowej i zgodnej z naszymi celami organizacji politycznej południowo-wschodniej Europy, jednocześnie życzyliśmy z całego serca Włochom, połączenia z ojczyzną ich ziem pozostałych przy Austrii. Nie byliśmy wielkim mocarstwem, żeby w tych kwestiach decydować. Przy oddaleniu geograficznym od nas nie wymagały one naszego udziału w ich rozstrzygnięciu, to nam pozwoliło nie wdawać się w trudne spory między Włochami a Jugosłowianami, w których zresztą byliśmy niekompetentni. Zachowując życzliwość dla obu stron, czekaliśmy, ażeby one między sobą te spory rozstrzygnęły.

Natomiast bliskimi nam bardzo kwestiami, z jednej strony granicznymi, z drugiej – ściśle związanymi z przyszłym położeniem zewnętrznym naszego państwa, były kwestie czesko-słowacka i rumuńska. W tych kwestiach mieliśmy wiele do powiedzenia, musieliśmy posiadać wyraźny program i konsekwentnie go bronić.

Kwestia rumuńska nie przedstawiała dla nas żadnych trudności. Mając raz zdecydowane stanowisko w kwestii podziału Węgier, popieraliśmy Rumunów w najważniejszej dla nich sprawie. Jeżeli mieli oni sporne kwestie graniczne, to nie z nami: do Bukowiny pretensji nie mieliśmy. W czasie konferencji pokojowej jeden z dyplomatów rumuńskich powiedział, iż gotów jest ogłosić konkurs z wysoką nagrodą temu, kto wskaże jakąkolwiek poważną kwestię sporną między Polską a Rumunią. Otóż sąsiad, z którym nie ma poważnych kwestii spornych, jest sąsiadem bardzo cennym. W interesie narodu leży, żeby taki sąsiad był silny; jest on przeznaczony na sojusznika, a sojusznik-sąsiad przedstawia wielką wartość i politycznie, i wojskowo, i w zakresie współżycia gospodarczego. Przez Rumunię prowadzi droga handlowa do Morza Czarnego, które dla przyszłości gospodarczej naszego kraju ma ogromne znaczenie.

Od początku wojny nie miałem wątpliwości, że naszym zadaniem będzie aspiracje rumuńskie bezwzględnie popierać. Dla jasności muszę otwarcie powiedzieć, że przy całym moim życzliwym stanowisku względem Rosji, w sprawie Besarabii jestem po stronie Rumunii; to jest jej prowincja, niedawne jej przyłączenie do Rosji było wielką krzywdą Rumunii, a będąc posłem do Dumy, miałem możność przekonać się, jak niezdrowe stosunki rozwinęły się w tej ziemi pod panowaniem rosyjskim.

Dziś jesteśmy z Rumunią w przymierzu i przyjaźni. Przyjaźń ta mogłaby iść dalej, i moglibyśmy z niej mieć więcej, gdyby polityka państwa polskiego od chwili jego powstania rozumiała, że jej zadaniem jest być dalszym ciągiem polityki naszej, polityki Komitetu Narodowego w Paryżu. Niestety, bywała ona w pierwszych latach w rękach ludzi, którzy tak mało rozumieli położenie Polski, iż zdawało im się, że wszystko rozumieją. Ci mieli ambicję pokazać, że sprawami polskimi inaczej i lepiej od nas pokierują. Życie w końcu zmusiło do nawrócenia na właściwą drogę – ale ile dziecinne

próby Polskę kosztowały!... W najlepszym razie wiele lat trzeba będzie, żeby zło odrobić. Jeszcze dziś politycy rumuńscy skarżą się, że proponowano im z naszej strony alians polsko-rumuńsko-węgierski! Czy wobec tego można się dziwić, że wszystko, co się od powstania Polski działo w dolinie Dunaju, działo się tak, jakby Polska wcale nie istniała...

Sprawa czeska była o wiele bardziej skomplikowana i przedstawiała dla nas poważne trudności.

Stosunki nasze z tym najbliższym nam plemiennie narodem były już w odległych wiekach bardzo bliskie i od początku treścią ich była rywalizacja. W chwili wystąpienia naszego na widownię dziejową mieli Czesi, jako bliżsi Zachodu, przewagę cywilizacyjną nad nami, byliśmy też ich uczniami, czego ślady pozostały w naszym języku. Myśmy wszakże wyrosli na potężniejsze państwo, rozrosli się w większy naród i większą odegrali rolę dziejową. Przez długi czas walczyliśmy: bywaliśmy my w Pradze, a Czesi w Krakowie, dopóki Czechy nie wsiąkły w Cesarstwo, a my przez unię z Litwą nie staliśmy się wielkim mocarstwem. Dalsze losy były dla nas nieszczęśliwe, a dla nich fatalne. Myśmy stracili swe państwo, oni zgubili swe oblicze jako naród. I nam, i im zagładę niosła niemczyzna. Poczucie tego sprawiało, że odrodzenie czeskie w XIX wieku zaczęło się w atmosferze przyjaźni do Polski. Ale Polska nie była potęgą i Polska w XIX wieku popełniała wielkie błędy, szła do własnej zguby. Oczy Czechów szukające oparcia przeciw niemczyźnie znalazły je w Rosji. Rząd rosyjski jedną ręką ścisnął dłoń pruską, a drugą niósł Czechom i innym pobratymcom ideę słowiańską w postaci panslawizmu, który był ideą zjednoczenia Słowian pod panowaniem rosyjskim, pod rządami autokratycznymi i w prawosławiu. Dla Czechów w ich pierwszym stadium odrodzenia, w którym świadomość słowiańska była silniejsza od czeskiej i w którym czuli potrzebę potężnej opieki słowiańskiej z zewnątrz, i taka idea była dobra. A gdy rządowi rosyjskiemu w jego planach zawadzał naród słowiański z silną indywidualnością, z bogatą własną cywilizacją, gdy narzucił on jako artykuł wiary słowiańskiej – nienawiść do „zlatynizowanej” Polski, Czesi i ten artykuł, co prawda bez entuzjazmu, przyjęli. I w atmosferze panslawizmu odradzał się w nich prastary duch rywalizacji w stosunku do Polski. Wkrótce przyszły różnice polityczne z Polakami w parlamencie austriackim, interesy ekonomiczne, dla których Czesi łączyli się z Niemcami austriackimi w celu wyzyskiwania Galicji, wreszcie walka narodowa polsko-czeska w zachodniej części Księstwa Cieszyńskiego. Ale przyszedł też rozwój świadomości narodowej czeskiej, aspiracje do niezależnego, własnego bytu narodowego, ambicja odegrania roli jako Czesi, a nie jako Słowianie tylko. Wtedy wszechrosyjski panslawizm przestał do nich przemawiać. I wtedy lepiej zaczęli rozumieć Polskę. A że w tej Polsce, pomimo wszystko, były dla nich szczere sympatie, że ta Polska walczyła tak jak oni przeciw niemczyźnie, że zrozumieli, iż zagłada Polski byłaby ich zagładą, więc stosunek ich do Polski zaczął się zmieniać, i możliwy stał się neoslawizm oraz przyjacielskie wycieczki Czechów do Warszawy i Polaków do Pragi. Jednakże duch rywalizacji w stosunku do Polski, podsycany sporem narodowym w Cieszyńskim, pozostał i wystąpił wcale silnie podczas wielkiej wojny.

Nie można powiedzieć, żeby nasze dążenia w tej wojnie miały za sobą bezwzględne sympatie kierowników polityki czeskiej. Sami dążąc do niepodległości, wcale nie

podzielali naszego do niej dążenia w okresie, kiedy dawna Rosja jeszcze istniała; zajmowali raczej stanowisko rosyjskie i planowali swój związek polityczny i gospodarczy z Rosją ponad naszymi głowami. Po rewolucji rosyjskiej, kiedy niepodległości Polski już nie można było kwestionować, wcale nie popierali naszych dążeń terytorialnych, pragnęli Polski małej, ściśle etnograficznej, żeby nie przewyższała ich potęgą państwową i żeby mogli mieć granicę bezpośrednią z Rosją. Stanowisko etnograficzne nie przeszkadzało im dążyć do zabrania etnograficznie polskiego Cieszyna.

Dla ludzi małych, nieumiejących szerzej spojrzeć na położenie Polski ani dalej sięgnąć okiem w przyszłość, jakież to niewątpliwy powód do zwalczania Czechów na każdym kroku, do przeszkadzania im w urzeczywistnieniu wszystkich ich planów narodowych.

Sprawa czeska wszakże w naszych oczach to nie była sprawa stosunku polityków czeskich do nas ani nawet stosunku dzisiejszego pokolenia Czechów do dzisiejszego pokolenia Polaków. Tu się budowało przyszłość na całe pokolenia i trzeba było zważyć, jakie Czechy narodowi polskiemu będą nie tylko dziś, ale jutro i pojutrze potrzebne. Nawet mi do głowy nie przychodziło, ażeby, formułując i przeprowadzając nasz program w kwestii czeskiej, w jakiegokolwiek mierze kierować się tym, jakie w naszej sprawie stanowisko zajmują Czesi. Nie mogę powiedzieć, żeby to ich stanowisko mnie nie obchodziło; ono mi pomagało lub przeszkadzało, ale nie wpływało na moje postępowanie w kwestii czeskiej.

Tu nie można było myśleć kategoriami wiedeńskimi, jak gdyby chodziło o interesy narodowości w Radzie Państwa reprezentowanych. Tu się robiło kawał historii, i trzeba było myśleć, że tak powiem, stuleciami.

Ktokolwiek widział mapę językową Europy, musiał zauważyć, że granica niemieczyny od wschodu i południa idzie linią bardzo krętą. W trzech punktach z obszaru niemieckiego wysuwają się w głąb ziem obcych długie macki czy ramiona. Jedno z tych ramion, przerwane co prawda w środku, posuwa się po brzegu bałtyckim w kierunku Królewiec–Kłajpeda; drugie wyciąga się na południowy wschód w kierunku Legnica–Wrocław; trzecie wreszcie odchodzi od zachodniej połowy obszaru niemieckiego na południe w kierunku Wiedeń–Graz. Między pierwszym a drugim z tych ramion znajduje się połowa obszaru językowego polskiego, między drugim a trzecim – cały obszar językowy czeski. Położenie Polski jest pomyślniejsze, gdyż ramiona niemieckie obejmują tylko połowę jej obszaru językowego, a nadto jedno z nich nie jest ciągłe, przecięte jest polskim Pomorzem. Położenie Czech jest niesłychanie niebezpieczne, tym niebezpieczniejsze, że geograficzna i polityczna ich granica od głównego obszaru niemieckiego, góry czeskie, przestała być granicą językową – niemieczyna przelała się przez góry i obsiadła szeroko ich zbocza po stronie czeskiej. Nadto na południu Czechy mają poważnego wroga w Węgrzech, które w ostatniej połowie stulecia stały się najwierniejszym sojusznikiem Niemiec.

Dla nas niebezpieczeństwo zalewu niemieckiego grożące Czechom nie mogło być nigdy obojętne. Dopóki ramię śląskie niemieczyny, Legnica–Wrocław ma po drugiej

stronie niezniemczony obszar czeski, dopóty siła jego jest względna, i nacisk niemczyzny na nas stąd idący nie może posiadać zbyt dużego impetu. Dzięki temu w znacznej mierze nasza najdalej na zachód wysunięta ziemia, Poznańskie, oparła się zalewowi niemieckiemu. Inne byłoby nasze położenie, gdyby naród czeski znikł z powierzchni Europy, gdyby jego ziemia stała się niemiecka. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, że odrodzenie narodowe Czech umożliwiło obudowanie Polski w tych granicach na zachodzie, które dziś posiadamy. Dodam, że bez porównania większe znaczenie dla Czech ma istnienie Polski: gdybyśmy się byli nie utrzymali na zachodzie, Czesi nie mogliby istnieć jako naród, staliby się słowiańską wyspą w morzu niemieckim, jak Serbowie łużyccy.

Rzeczą Czechów jest rozumieć, co znaczy dla nich Polska, ale naszą rzeczą jest rozumieć, co znaczą dla nas Czechy. Jeżeli składają oni dowody, że nie rozumieją swego położenia, to przecież z tego nie może wynikać, żebyśmy my zamykali oczy na swoje. W naszym interesie leży, żeby Czechy istniały, żeby były możliwie silne, byle nie naszym kosztem, żeby wytworzyły jak najpewniejszą zaporę przeciw posuwaniu się niemczyzny na południe. Jesteśmy o wiele większym od nich narodem, mamy o wiele większe widoki jako państwo, i brak szerszej myśli u nas byłby o wiele większym grzechem. Tylko mali Polacy, którzy dotychczas nie rozumieją, co to jest Polska, mogą przeć do nieustannej kłótni z Czechami. Nie mówię o agentach niemieckich, bo ci mają całkiem wyraźne w tym względzie zadanie.

Tak na rzeczy patrząc, uznaliśmy od początku wojny za swój obowiązek polski popierać całą siłą wszystkie aspiracje terytorialne czeskie, z wyjątkiem do ziem, które są nasze. Pozostawaliśmy w jak najprzyjaźniejszych stosunkach z kierownikami polityki czeskiej, co nie było trudne przy wielkich ich osobistych zaletach; walczyliśmy o żądania czeskie nieomal tak jak o polskie, a solidarność z Czechami, którą na każdym kroku manifestowaliśmy, ogromnie wzmacniała stanowisko i nasze, i Czechów w zachodnim świecie politycznym, któremu ciągle kładziono w uszy, że narody środkowej Europy tylko gryźć się między sobą umieją.

Ziemie czeskie w Austrii to były: Czechy, Morawy i połowa Śląska austriackiego, ciągnąca się wzdłuż granicy pruskiej – Księstwo Opawskie. Czesi wprawdzie zaliczali do swych ziem cały Śląsk austriacki, ale druga jego połowa, Księstwo Cieszyńskie, to ziemia polska. Tylko zachodni skrawek Cieszyńskiego ma ludność czeską.

Przeciw naporowi niemczyzny od północy te ziemie stanowiły mur zbyt cienki – trzeba go było pogrubić przez włączenie do państwa czeskiego Słowaczyny. Jeżeli postanowiliśmy do tego dążyć, popierać program czesko-słowacki, to nie tylko dlatego, że to był program Czechów, ale także – i to przede wszystkim – dlatego że uważaliśmy go za zbawienny. Gdyby Czesi o tym nie myśleli, sam bym ich do tego namawiał.

Są u nas ludzie, którzy powiadają, że przecież Słowacy są równie bliscy językowo nam, jak Czechom, że są nawet bliżsi i że z chwilą gdy rozbiór Węgier został postanowiony, my moglibyśmy aspirować do Słowaczyny. Ludzie ci zapominają o wielu rzeczach, a przede wszystkim o istnieniu Karpat. Gdyby Słowacy siedzieli na północ od Karpat, od

tysiąca lat już by nie byli Słowakami, tylko częścią narodu polskiego. Ale że siedzieli poza geograficzną granicą Polski, więc historia ich związała z Czechami i Węgrami. Słowaczyna może należeć albo do Węgier, albo do Czech. Do Węgier dlatego, że Słowacy przez wieki pozostawali pod ich panowaniem, do Czech – że są szczerem im blisko pokrewnym, że już w bardzo dawnych czasach łączyły ich z Czechami węzły polityczne i cywilizacyjne, że w ostatniej dobie w swej walce przeciw madziaryzmowi znajdowali w Czechach oparcie moralne i kulturalne, że wreszcie znaczna część Słowaków do tego połączenia z Czechami dążyła i dla niego pracowała.

Gdyby nawet Słowacy chcieli należeć do Polski i gdyby nam Słowacznę ofiarowano, to nie wiem, czyby nam się ten dar opłacił, czy warto byłoby dla niego tracić granicę karpacką, jedyną dobrą granicę lądową, jaką posiadamy.

Prawda, że dziś istnieje na Słowacznę dość silna opozycja przeciw Czechom, jest to wszakże raczej opozycja przeciw metodom czeskim: Czesi nie zawsze postępują taktownie i nie mają miękkiej ręki. Niepodobna przecież każdej opozycji brać za dowód, że dany kraj nie powinien do państwa należeć. Zresztą znaczna część tej opozycji to opozycja madziarska pod maską słowacką. Nawiasem mówiąc, bardzo należy być ostrożnym wobec wezwań z tamtej strony o poparcie, jeżeli nie chcemy robić roboty dla Węgrów i dla Niemców. Interes narodowy nakazuje nam traktować Słowacznę jako nieoddzielną część państwa czesko-słowackiego, a że zależy nam na tym, żeby państwo było silne, nie bawić się w robienie mu wewnętrznych trudności.

Bardzo bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy byli mogli cały program czeski bez zastrzeżeń popierać. Nie mogliśmy wszakże oddawać Czechom Cieszyna, ziemi polskiej. Przy całej solidarności z nimi we wszystkich ich pozostałych żądaniach terytorialnych – pomijam tu niewiele znaczące, drobne sprostowania granicy w Tatrach – w punkcie kwestii cieszyńskiej trwała między nami od początku do końca zacięta walka. O warunkach tej walki i o jej przebiegu będzie mowa później.

Po określeniu naszego stanowiska w kwestiach: węgierskiej, austriacko-włoskiej, jugosłowiańskiej, czesko-słowackiej i rumuńskiej pozostawała jeszcze kwestia przyszości niemieckich ziem Austrii. Pozornie daleka od nas, miała ona pierwszorzędne dla nas znaczenie i gdyby była należycie rozstrzygnięta, dziejowa doniosłość wyników tej wojny byłaby nie tylko dla Polski, ale dla całej Europy wielokrotnie większa.

Wychodząc z założenia, że dla zbudowania pokoju możliwie trwałego należy rozstrzygnąć wszystkie kwestie dojrzałe do rozstrzygnięcia i nawet te, które choć nie całkiem jeszcze dojrzały, są na drodze do rychłego dojrzenia w określonym zupełnie kierunku – należało w programie wojny umieścić połączenie niemieckich krajów Austrii z państwem niemieckim. Byłoby to konsekwentne, uczciwe przeprowadzenie jednolitego programu zrobienia dla Niemiec tego, co zrobiono dla Włoch, Serbii i Rumunii. Rozumiem, że takiej polityki zasadniczej można nie uznawać, takiej konsekwencji można nie zachowywać względem zwyciężonego, o ile ważne względy praktyczne tego wymagają, o ile by to miało pociągnąć za sobą niebezpieczeństwo dla zwycięzców. Byłem wszakże i jestem tego zdania, że takie rozstrzygnięcie byłoby dobrodziejstwem z jednej strony dla

pomienionych krajów niemiecko-austriackich i dla narodu niemieckiego w ogóle, z drugiej – dla samych zwycięzców. Cała Europa zyskałaby na tym; jej przyszły rozwój pokojowy byłby o wiele pewniejszy.

Nie jest to w zwyczaju powiększać terytorium państwa zwyciężonego. Z chwilą wszakże, kiedy się urządza Europę na zasadach narodowych, nie można tworzyć państewka austriackiego, bo narodu austriackiego nie ma. Kiedy się dąży do zamknięcia Niemiec w granicach ich obszaru narodowego, trzeba tymi granicami objąć cały obszar narodowy niemiecki. Tylko trzeba było przy tym konsekwentnie przeprowadzić zasadę, że obszar narodowy musi posiadać jedność terytorialną, musi być jednym, ciągłym obszarem, że nie można zaliczać do niego izolowanych grup, wysp danej narodowości otoczonych ziemiami obcymi. Oddzielając Siedmiogród od Węgier jako terytorium rumuńskie, nie można przecież było uznać za część obszaru węgierskiego kraiku Szeklerów i ta, wcale silna liczebnie, wyspa madziarska, otoczona dookoła ludnością rumuńską, pozostać musiała w obszarze rumuńskim. Otóż taką wyspę stanowi izolowana grupa ludności niemieckiej w Prusach Wschodnich. Słuszność nakazywała przyznać Niemcom ziemie austriackie, stanowiące dalszy ciąg obszaru narodowego niemieckiego, a natomiast oddzielić od nich z całą surowością, bez przeprowadzenia komedii plebiscytowych, to wszystko, co do obszaru niemieckiego nie należy, a więc: Alzację i Lotaryngię, cały duński Szlezwik, wszystkie ziemie polskie, wreszcie izolowane terytorium z ludnością niemiecką w Prusach Wschodnich. Królewcowi z przyległościami, a nie Gdańskowi, należał się los wolnego miasta. Tym sposobem zwyciężone Niemcy zyskałyby w ziemiach austriackich niewiele mniej ludności, niżby utraciły gdzie indziej, a terytorialnie byłyby większe niż przed wojną.

Byłaby to solucja, zgodna z zasadami ogólnymi, które głoszone podczas tej wojny i które odpowiadały duchowi czasu, kierunkowi ewolucji narodów europejskich w ostatnim stuleciu. Przyjrzyjmy się teraz, jakby wyglądała ona w skutkach.

Przede wszystkim Niemcy zyskałyby terytorium bardziej jednolite, więcej zaokrąglone, niż miały przed wojną i niż mają dzisiaj. Posiadanie przez nich wyspy niemieckiej w Prusach Wschodnich, ze znaczną nadto liczbą ludności polskiej w granicach tej prowincji pozostawionej, musi być stałym źródłem niepokoju, jakby zachętą dla nich do polityki agresywnej na wschodzie. Nie można było wymyślić nic bardziej groźnego dla przyszłego pokoju.

Ziemie stanowiące dziś Republikę Austriacką prędzej czy później staną się częścią państwa niemieckiego. Temu żadna siła nie przeszkodzi, bo to jest koniecznością życia. Zaraz też po wojnie ludność ich objawiła wyraźne w tym kierunku dążenia i gdyby nie przeszkody ze strony państw sprzymierzonych rzecz doszłaby do skutku. I tu więc pozostało źródło przyszłego niepokoju.

To pewna, że oddzielenie Prus Wschodnich nie byłoby chętnie widziane w Niemczech, ale łatwiej by je było przeprowadzić, dając jednocześnie Niemcom Austrię Dolną i Górną, Tyrol, Styrię, część Karyntii.

Państwo niemieckie posunęłoby się w swej zachodniej części na południe, a cofnęłoby się definitywnie na wschodzie; przybyłoby w nim przeszło siedem milionów Niemców południowo-zachodnich, katolików, a ubyłoby, oprócz ludności niemieckiej na zachodzie i w Szlezewiku, kilkanaście setek tysięcy Niemców wschodnich, Prusaków, protestantów. Byłaby to duża zmiana w budowie państwa niemieckiego, pociągająca za sobą zmianę w jego charakterze. Środek ciężkości Niemiec przeniósłby się w kierunku południowo-zachodnim. Tym państwem nie rządziłyby Prusy. Przypuszczam nawet, że Berlin niedługo by się utrzymał w roli stolicy Niemiec.

Tak pojmowałem zadania pokoju w stosunku do narodu i państwa niemieckiego i ten punkt programu przebudowy Europy uważałem za najdonioślejszy dla przyszłości naszej części świata.

Ażeby wszakże ten punkt programu zrealizować, trzeba było przede wszystkim, by go przyjęła Francja – mocarstwo najbardziej zainteresowane we wszystkim, co dotyczyło Niemiec. Tymczasem we Francji właśnie najmniej znalazłem dla niego zrozumienia.

Próbowałem go dyskutować z całym szeregiem ludzi, polityków, pisarzy politycznych, uczonych, wszędzie jednak napotykałem od pierwszej chwili na tak bezwzględny opór, że dyskusja stawała się niemożliwa. Próby dyskusji robiły się dla mnie niebezpieczne, bo wyglądałem w nich na germanofila.

Na jednym śniadaniu politycznym w gronie wyłącznie francuskim spór w tej sprawie pomiędzy mną a głośnym politykiem i historykiem w jednej osobie tak się zaognił, że obecni żartem zapytywali, kiedy talerze zaczną latać w powietrzu.

Chcąc w tej sprawie zrobić coś we Francji, trzeba ją było wszczać na długo przed wojną, w atmosferze spokojniejszej i dać czas ludziom rzecz przemyśleć.

Jakkolwiek od paru dziesiątków lat żywo się we Francji interesowano sprawami środkowej Europy, jakkolwiek cały szereg młodszych pisarzy te sprawy studiował i stworzył o nich wcale obfitą literaturę, to jednak Francja weszła w wojnę, zanim pozbyła się pojęć w tej dziedzinie przestarzałych.

Pogląd na Austrię jako na rywalkę Prus, wiara w partykularyzm państw Rzeszy i w możliwość przeciwstawienia ich Prusom, były niewiele słabsze niż lat temu pięćdziesiąt lub sto. Zwłaszcza w starszym pokoleniu polityków i pisarzy politycznych panowały one prawie niepodzielnie. Najlepsi Francuzi mieli najbardziej błędne w tym zakresie pojęcia.

Potwierdzała się jeszcze raz prawda, że mało jest rzeczy tak konserwatywnych, jak polityka zewnętrzna narodu.

Gdyby nie energiczna akcja ludzi należących głównie do tego pokolenia, które rozpoczęło studia nad środkową Europą, ludzi, którzy poparli dążenia Polaków, Czechów, Serbów i Rumunów do zjednoczenia i niepodległości, nigdy by we Francji nie zwyciężyła myśl rozbioru Austro-Węgier. Starsza dyplomacja, operująca pojęciami ubiegłej doby, myślała o możliwości uratowania monarchii habsburskiej drogą osobnego pokoju ze

sprzymierzonymi, silny też wpływ na przyjazne względem Austro-Węgier zamiary wywierały sfery katolickie, odbierające natchnienia z Watykanu, oraz kilka potężnych banków zaangażowanych w Budapeszcie i Wiedniu. Zastanawiano się poważnie nad możliwością przebudowania starej monarchii.

Jeden z profesorów Sorbony zaprosił mnie na dyskusję w gronie siedmiu jego kolegów w przedmiocie reorganizacji Austrii na zasadach federalistycznych. Pamiętam, z jakim trudem przychodziło mi przekonywanie ich, że podobna myśl jest chimera, że jedyne rozwiązanie kwestii – to rozbiór Austro-Węgier. Wskazywałem, że federacje narodów udają się tylko na papierze; albo kończą się panowaniem jednego narodu nad innymi, albo się rozpadają. W szczególności, w czasach dzisiejszych, w czasach silnej świadomości narodowej i poczucia narodowego w masach jest w Europie miejsce tylko na państwa narodowe. Dwa wysuwane przykłady, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych, nic nie mówią w kwestii austriackiej. Szwajcaria leży w Europie Zachodniej, gdzie panuje pojęcie narodowości państwowe, a nie językowe. Głównym węzłem łączącym ją w całość są jej instytucje chłopsko-demokratyczne, odpowiadające potrzebom tego specyficznego terenu alpejskiego i możliwe w małym państwie, którymi to instytucjami odcina się ona silnie od sąsiadów. Pomimo to i w Szwajcarii istnieją dążności odśrodkowe: w tej wojnie francuska Szwajcaria stanęła w swej opinii po stronie sprzymierzonych, a niemiecka po stronie państw centralnych. Co do Stanów Zjednoczonych, to nie są one przecież federacją narodów. We wszystkich stanach mamy tę samą rasę, a raczej tę samą mieszaninę ras. W monarchii zaś habsburskiej widzimy cały szereg odrębnych narodów, przeważnie posiadających ośrodki swego życia narodowego na zewnątrz państwa, narodów prowadzących z sobą ostrą walkę i mało na ogół uzdolnionych do kompromisu.

Nie jest trudno wytłumaczyć to uparte trzymanie się we Francji przestarzałych pojęć o środkowej Europie, niechęć zrozumienia, że Austria przestała już być rywalką, a została wasalką Prus, że partykularyzm w państewkach Rzeszy istnieje wprawdzie jeszcze, ale już przestał być siłą, że górują tam dążności ogólnoniemieckie, reprezentowane przez najpotężniejsze dziś warstwy społeczne, że te dążności ogólnoniemieckie już zaczynają brać górę i w niemieckiej Austrii.

Francuzi są najklasyczniejszym narodem zachodnio-europejskim, z utrwalonym pojęciem narodowości czysto państwowym. Gdzie jak gdzie, ale we Francji nie może być mowy o separatyzmie grup językowych. Żadna agitacja Bretończykowi czy Baskowi francuskiemu nie wytłumaczy, że jest czym innym niż Francuzem. Trudno Francuzowi zrozumieć solidarność polityczną ludzi, opierającą się wyraźnie na tym, że mówią wspólnym językiem. To mu wygląda, jak gdyby ktoś proponował Paryżanom solidarność z Walonami belgijskimi i Szwajcarami francuskiego języka przeciw Prowansalczykom.

Niechętnie się również wierzy w rzeczy dla nas niepomyślne, niepożądane. Nie dość, że brak przyrostu ludności we Francji szybko zmienia na jej niekorzyść stosunek liczebny Niemców do Francuzów, a tu jeszcze żądają, żeby uznać wszystkich mówiących po niemiecku mieszkańców środkowej Europy za jeden naród niemiecki, za całość polityczną, żeby nie tylko pogodzić się z faktem, iż Bawarowie, Wirtemberczycy itd.

stanowią jeden naród z Prusakami, ale powiększyć jeszcze ten naród o siedem milionów Austriaków...

Jest to istotnie dla Francji wielkie niebezpieczeństwo. Ale od niebezpieczeństwa nie można się bronić przez jego negowanie, przez nieuznawanie faktów, przez protestowanie przeciw temu, co konieczność życiowa narzuca – tylko przez patrzenie prawdzie w oczy, przez uznanie rzeczy nieuniknionych i przez zastosowanie środków obrony do nowego położenia.

Złudzeniem jest, że zjednoczenie Niemiec to dzieło Hohenzollernów i Bismarcka, które, jak było zrobione przez innych polityków, może być przez innych odrobione.

Zjednoczenie Niemiec to dzieło imponderabiliów. Było ono koniecznością dziejową, jak zjednoczenie Włoch, jak prędzej czy później zjednoczenie Serbów i Rumunów. Dziełem Hohenzollernów i Bismarcka było w części to, że Niemcy zostały zjednoczone przez Prusy, że nowe Cesarstwo Niemieckie zostało stworzone w takich, a nie innych granicach, że mniejsze państwa Rzeszy wzięte zostały pod kuratelę pruską. To, zdaje mi się, nie było koniecznością dziejową i to może byłoby do odrobienia.

Pozwalam sobie twierdzić, że wielkie niebezpieczeństwo dla Europy, a w szczególności dla narodów sąsiadujących z Niemcami powstało nie tyle z faktu zjednoczenia Niemiec, ile z faktu, że tego zjednoczenia dokonały Prusy i że one nad Niemcami zapanowały. Tu tkwiło główne nieszczęście, zdaje się, że i dla samych Niemiec, jak należałoby sądzić z wyników ostatniej wojny.

W moim przekonaniu głównym zadaniem zwycięzców było obalić panowanie Prus nad Niemcami. To zaś można było zrobić przez przyłączenie do Niemiec ziem austriackich i przez należyłą jednocześnie amputację Prus na wschodzie.

Położone byłyby przez to podwaliny pod nowy rozwój Niemiec, na nowych zasadach. Państwo niemieckie byłoby wielkie, byłoby organizacją wielkiego narodu, ale byłoby państwem innym i sam ten naród w nim byłby nieco inny. Byłaby to o wiele większa, niż jest dzisiaj, zachodnia Europa (*sic*).

Nie trzeba zamykać oczu na fakt, że społeczeństwo pruskie zostało sklezione ze zgermanizowanych szczepów słowiańskich, a jak w Prusach Wschodnich – i litewskich. Szczepy te cywilizacyjnie pozostały daleko w tyle poza tymi Słowianami, którzy, jak Czesi i Polacy, zorganizowali się w państwa i stworzyli swe narodowe cywilizacje. Tamci, najbardziej zacofani ze wszystkich Słowian, otrzymali na ogół dość późno kulturę niemiecką, kulturę obcą, której nie rozumieli. Przyjęli jej stronę zewnętrzną, materialną, wdrożono ich w jej dyscyplinę, ale moralnie pozostali surowi; na pierwotnym gruncie ich dusz germańska brutalność wyrosła do najwyższej potęgi. Ta ich surowość, połączona z dyscypliną, dała naród feldfeblów: umiał on zawojować Niemcy, wymusztrować je, zrobić z nich groźną potęgę i umiał je wykoleić, doprowadzić do niebywałej katastrofy. Surowa energia pruska zrobiła karierę Niemiec i równie surowa pruska naiwność tę karierę zmarnowała. Dowodów tej naiwności nie trzeba szukać daleko: dość czytać wspomnienia Ludendorffów, Tirpitzów i innych.

Naród niemiecki, który by miał mniej żywiołu pruskiego, a więcej południowo-niemieckiego, byłby o wiele więcej zrównoważony, więcej skłonny do budowania swej przyszłości na pracy i twórczości cywilizacyjnej niż na podbojach, na rozrastaniu się cudzym kosztem.

Ten naród o wiele łatwiej uznałby się za ustalony w swoich granicach. Tym bardziej że nie pozostawiono by mu dwóch wielkich powodów do niezadowolenia ze swoich granic. Pierwszy z tych powodów to pozostawienie krajów austriackich poza granicami państwa niemieckiego. Ciężenie do Niemiec w tych krajach na pewno się będzie coraz bardziej rozwijało, a równoległe będą się wzmacniały w Niemczech aspiracje do ich przyłączenia. Drugi powód to pozostawienie Prus Wschodnich w rękach niemieckich. Dopóki Niemcy posiadają Prusy Wschodnie, dopóty będą niezadowolone, że nie posiadają więcej. I nie będzie im chodziło tylko o tak nazywany, bez sensu, korytarz – to nie jest przecież żadnym korytarzem Pomorze, rdzenna prowincja polska, prawowita część obszaru polskiego. Pomorze polskie nie jest dla Niemiec wystarczającym łącznikiem z Prusami Wschodnimi i nigdy Niemcy tego łącznika za wystarczający nie uważały. Taki wąski pas terytorium niemieckiego, daleko ciągnący się na wschód wzdłuż morskiego brzegu, zawsze może być przerwany. Miała słuszość polityka niemiecka, która rozumiała, że posiadanie Prus Wschodnich będzie dopiero wtedy naprawdę zapewnione, kiedy przynajmniej połowa dorzecza Wisły do Niemiec będzie należała, kiedy Polska będzie nieodwołalnie zniszczona. Toteż pozostawienie Prus Wschodnich w rękach niemieckich jest jakby zachętą dla nich, żeby dążyli do zniszczenia Polski. I łatwiej byłoby Niemcom opłakać utratę Prus Wschodnich, ile że na otarcie łez dostaliby niemiecką Austrię, niż stale godzić się z myślą, że mają posiadać daleko na wschodzie Prusy Wschodnie, ale nie więcej.

Twórcy pokoju, należycie rozumiejący swe zadanie, taki winni byli dać pokój Niemcom. Umożliwiliby na przyszłość pokojowy rozwój narodu niemieckiego, stworzyliby dzieło wielkie, dobroczynne dla całej Europy.

Takie rozstrzygnięcie kwestii granic państwa niemieckiego miałoby ogromne znaczenie nie tylko dla dalszej przyszłości, ale także i dla okresu bezpośrednio powojennego.

Przecież co jest najniebezpieczniejsze i dla Europy, i dla Niemiec samych, to właśnie fakt, że myśl polityczna dzisiejszych Niemiec w ogromnej części społeczeństwa jest dalszym ciągiem tej myśli, która panowała przed wojną i do wojny doprowadziła – myśli przede wszystkim pruskiej. Gdyby Prusy były poważnie okrojone, a w skład Niemiec wszedł tak duży kraj południowo-niemiecki jak Austria, byłaby to tak poważna zmiana, że utrzymanie ciągłości życia państwowego i myśli politycznej byłoby możliwe w o wiele mniejszej mierze; byłaby to rewolucja, kto wie, czy nie donioślejsza o wiele w skutkach od przewrotu, który pozbawił Hohenzollernów tronu. A to pewna, że w skutkach o wiele trwalsza.

Czy przebudowa państwa niemieckiego w tym sensie była możliwa po tej wojnie? Jestem głęboko przekonany, że była, nawet przy takim niedociągnięciu zwycięstwa, jakie

mieliśmy dzięki Wilsonowi, a właściwie dzięki tym, którzy na Wilsona mieli wpływ. Nie chcę powiedzieć, że to było możliwe przy wysunięciu sprawy dopiero w ostatniej chwili, na konferencji pokojowej, w tych warunkach, w jakich się ona odbywała. Ale byłoby inaczej, gdyby rzecz była przygotowana zawczasu, gdyby program był sformułowany i przedyskutowany między sprzymierzonymi podczas wojny, gdyby to rozstrzygnięcie przyszło na konferencję tak gotowe, jak rozstrzygnięcie wielu innych kwestii. Na to wszakże trzeba było, żeby do tego dążyła z całą stanowczością Francja, mocarstwo najbliższej zainteresowane w kwestiach dotyczących przyszłości Niemiec. Dążenia wszakże Francji były całkiem inne.

Z moim programem w tej kwestii zostałem pobity przy pierwszych próbach rozpoczęcia kampanii. Gdybym znał teren zachodnioeuropejski przynajmniej tak, jak go znałem później, po kilku latach cennego doświadczenia, może bym się tak szybko pobić nie dał, może byłbym działał śmieiej, i może by mi się udało zdobyć dla tego programu potężne poparcie zarówno we Francji, jak i w innych państwach sprzymierzonych... Rzeczy niemożliwych jest o wiele mniej, niż nam się zdaje – trzeba tylko mocno chcieć, wytrwale zdążać do celu i całą energię oddać na jego osiągnięcie.

Myślę, że we Francji wielu ludzi dziś rozumie, że kwestia niemiecka została źle rozstrzygnięta. I myślę, iż poza nami niejeden naród w Europie będzie miał powód do żałowania, że jej nie rozstrzygnięto inaczej.

Wyrażony w krótkich słowach polski program przebudowy środkowej Europy obejmował:

1. rozbiór Austro-Węgier; pozostawienie niezawisłego państwa węgierskiego po zredukowaniu go do granic madziarskiego obszaru etnograficznego; ustanowienie państwa czesko-słowackiego; przyłączenie pozostałych ziem monarchii habsburskiej do Polski, Rumunii, Serbii, przekształconej na zjednoczone państwo serbsko-chorwacko-słoweńskie, do Włoch, wreszcie do Niemiec;

2. powiększenie terytorium państwa niemieckiego o ziemie niemieckie Austrii, a natomiast odłączenie od niego Alzacji i Lotaryngii do Francji, całego duńskiego Szlezwiku do Danii; wreszcie na wschodzie, polskiego Śląska Górnego, Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich oraz paru powiatów Pomorza niemieckiego, przede wszystkim lęborskiego i bytowskiego, w których znajduje się ludność kaszubska;

3. odbudowanie państwa polskiego na obszarze zjednoczonych ziem polskich, a więc posiadającego ziemie odłączone od Rosji, których granicy wschodniej na razie nie określaliśmy, od Austrii – Galicję i Księstwo

Cieszyńskie, wreszcie od Prus – wszystkie ziemie leżące poza granicą wschodnią Niemiec, z wyjątkiem niemieckiej części Prus Wschodnich, zorganizowanej jako Rzeczpospolita Królewiecka, złączona związkami celnymi z Polską, po odcięciu od Prus Wschodnich katolicko-polskiej Warmii, kraju Mazurów, wreszcie posiadających ludność litewską obu brzegów Niemna w dolnym jego biegu (Kłajpeda i Tylża).

Program ten w części dotyczącej Austro-Węgier pokrywał się na ogół z programem Czechosłowaków (tu pozostawał spór o Cieszyn i niechętnie stanowisko Czechów w sprawie wschodniej Galicji), Jugosłowian, Włoch i Rumunii. Narody te były bliżej od nas zainteresowane w jego realizacji i główny ciężar jego przeprowadzenia nie na nas spoczywał.

Natomiast w części swej dotyczącej Niemiec mógł on tylko być programem naszym i wielkich mocarstw sprzymierzonych, zainteresowanych w przyszłości Niemiec, wśród których pierwsze miejsce zajmowała Francja. We Francji też przede wszystkim znaleźliśmy sojusznika do jego przeprowadzenia, niestety, w tych granicach tylko, w których to odpowiadało francuskiemu pojmowaniu rzeczy. I to, cośmy z tego programu urzeczywistnili, zawdzięczamy przede wszystkim Francji.

Uprzedzając dalszy rozwój i dalsze losy naszej akcji, z góry muszę powiedzieć, że nie mamy powodów do triumfowania. Zwycięstwem byłoby naprawdę, gdybyśmy byli cały nasz program przeprowadzili. Bylibyśmy zrobili wielką rzecz i dla Polski, i dla Europy.

Nie chcę wcale utrzymywać, że urządzenie środkowej Europy według naszego programu nie miało stron ujemnych. W polityce nie ma solucji doskonałych.

Posunięcie granicy Niemiec w ich zachodniej części względnie daleko na południe przedstawiało duże niedogodności dla ich sąsiadów, między innymi i dla nas nawet. Nasza komunikacja lądowa z Europą zachodnią, a przede wszystkim z Francją, nie mogłaby ominąć terytorium niemieckiego. Jestem wszakże przekonany, że to rozszerzenie się państwa niemieckiego w powyższym kierunku w bliższej lub dalszej przyszłości nastąpić musi, że dzisiejszy stan rzeczy to prowizorium, dla którego nie warto było psuć planu trwałego urządzenia środkowej Europy, które by na długi czas mogło wystarczyć.

Istnienie małej republiki niemieckiej na brzegu bałtyckim, między ujściami Wisły i Niemna, nie byłoby także pozbawione pewnych komplikacji. Rozwój życia wszakże, zwłaszcza gospodarczego, prowadziłyby niewątpliwie do usunięcia trudności. Królewiec bowiem wraz z otaczającym go kraikiem, należąc do obszaru geograficznego polskiego, musi prędzej czy później związać się ekonomicznie z Polską, wejść w nasz system gospodarczy. Stopniowo stosunki stawałyby się coraz normalniejsze, podczas gdy należenie Prus Wschodnich do Niemiec z konieczności wytwarza stan patologiczny.

Tam, gdzie historia tyle pracowała nad wytworzeniem niezdrowego stanu rzeczy, niepodobna od razu wszystkiego uzdrowić. Ale trzeba tworzyć takie ustroje, w których sama natura, samo życie działać będzie uzdrawiająco, wzmacniać ustanowiony porządek, a nie takie, które trzeba sztucznie podtrzymywać. Już doświadczenie tych kilku lat powojennych wykazało, że Austria obecna jest ustrojem, który tylko przy sztucznym podtrzymaniu może istnieć. To samo doświadczenie uczy, że zachowanie Prus Wschodnich jako części państwa niemieckiego zrobiło z nich dla Niemców teren poczynań więcej może, niż cokolwiek innego w Europie, zagrażających przyszłemu pokojowi. Ta mała wysepka niemiecka umożliwiła kształtowanie w bardzo niebezpiecznej dla pokoju

postaci stosunku Niemiec nie tylko do Polski, ale także do Rosji i do Litwy. Nie wiem też, kiedy będziemy oglądali czasy, w których w życiu tej prowincji zapanują: równowaga, spokój i normalne stosunki gospodarcze. Niemcy jej na to nie pozwolą.

Jedną z głównych przeszkód do urzeczywistnienia w całej pełni naszego programu była niewiara w Polskę, w jej żywotność, w jej zdolność do wzięcia na siebie odpowiedzialności za położenie rzeczy na wschód od Niemiec.

Tymczasem Polska wykazała wielką żywotność. Pomimo że była postawiona w niesłychanie ciężkie położenie zewnętrzne, że przez długi czas nie miała uznanych przez mocarstwa granic, że musiała wytrzymywać nacisk bolszewicki na Europę, własnymi pierściami ją zasłaniać, że stosunki jej z Niemcami komplikowały się przy pomocy mocarstw i Ligi Narodów, zamiast się upraszczać, że wreszcie była przez cały czas przedmiotem kampanii oszczerczej ze strony Żydów i tajnych organizacji międzynarodowych; pomimo że położenie wewnętrzne nie było łatwe w kraju złożonym z ziem, które przed wojną były wciągnięte w rozmaite systemy gospodarcze i podlegały różnym prawom, że w chwili swego odrodzenia państwo otoczone było ze wszech stron krajami zrewolucjonizowanymi i że atmosfera rewolucyjna w znacznej mierze samej Polsce się udzieliła, że położenie polityczne przed wojną uniemożliwiało jej wychowanie ludzi do rządzenia, że jest rządzona zatem przez ludzi niedoświadczonych, że wreszcie w swym organizmie państwowym ma za wiele niezdrowego spadku po Austrii – pomimo to wszystko ta Polska żyje, porządek w niej jaki taki jest, ludzie, choć narzekają, z głodu nie umierają, i w całym szeregu dziedzin życia widać szybki postęp, pochód ku lepszej przyszłości. Niewątpliwie, są w naszym życiu państwowym wielkie trudności i wielkie niebezpieczeństwa, ale któreż państwo na świecie ich nie ma?... A to pewna, że żadne państwo nie istniało przez ostatnich lat sześć w tak trudnych warunkach, od niego niezależnych.

Świadczy to wszystko o olbrzymiej żywotności narodu i dowodzi, że odbudowane jego państwo zdolne było wziąć na siebie o wiele większą odpowiedzialność za położenie w tej naszej części Europy, niż je o to posądzano. Wiara właśnie w tę żywotność narodu podsygnalizowała nam tak szeroki program przebudowy. Jeżeli tej wiary nie spotkaliśmy u cudzoziemców, nie możemy mieć do nich pretensji wobec tego, że jej nie było u mnóstwa naszych rodaków. Tylko tą niewiarą w naród możemy wytłumaczyć sobie wszystkie plany tworzenia Polski okrojonej, czy to w łonie monarchii habsburskiej, czy to pod kuratelą niemiecką. To jest najlepsze dla twórców tych planów tłumaczenie. Wszelkie inne byłoby o wiele gorsze.

Gdyby nam się było udało urzeczywistnić w całości cały nasz program, o ileż mocniej Polska byłaby odbudowana. Opierałaby się o Bałtyk nie tak jak dzisiaj, wąskim skrawkiem wybrzeża, posiadałaby ujście dwóch swoich wielkich rzek, Wisły i Niemna, miałaby w całej pełni warunki potęgi politycznej i nieskrępowanego rozwoju gospodarczego. Przy tych warunkach i naród rozwinąłby szybko w sobie o wiele szerszą myśl, o wiele większą swęj myśli powagę, znalazłby szerokie i zdrowe ujście dla swęj energii. Wtedy można byłoby powiedzieć, że naprawiliśmy gruntownie błędy przeszłości

w zakresie naszych granic, że stworzyliśmy dla przyszłych pokoleń trwałe ramy, w których będą mogły rozwinąć wielką, twórczą pracę.

Niestety, losy nam tego wielkiego szczęścia odmówiły. Sami jesteśmy temu winni. Jestem pewien, że gdyby naród cały w swych myślących żywiołach miał tak wielkie aspiracje, gdyby sobie ten cel postawił, dobrze go rozumiał – zawczasu walkę o jego osiągnięcie przygotował, a w chwili decydującej całą swą energię ku niemu zwrócił – dziś nasz program byłby rzeczywistością.

Na to wszakże trzeba było, żeby wielka wojna europejska zastała w Polsce inne pokolenie, pokolenie z szerszą o wiele piersią i z dalej sięgającym wzrokiem. Trzeba było, żeby ludzie kierujący polityką polską w tej wojnie nie byli zmuszeni ciągnąć za sobą narodu, ale raczej żeby byli przezeń pchani. Przecież i to nawet, co Polska zdobyła, tak niedawno jeszcze było uważane za fantazję...

Trzeba się uderzyć w piersi i przyznać przed sobą, że na wielką chwilę, która w dziejach przyszła, okazaliśmy się za mali. Co prawda nie my jedni...

XI. KWESTIA POLSKA W WALCE POLITYCZNEJ MOCARSTW W ROKU 1916

W Petersburgu panowało przekonanie, że kwestia polska pozostanie w tej wojnie rosyjską kwestią wewnętrzną, że nie tylko żadne z mocarstw nie będzie miało prawa zabrać głosu w sprawie przyszłości ziem zaboru rosyjskiego, ale Rosji pozostawiona będzie wyłączna decyzja nawet o losach ziem polskich, należących do Prus i Austrii. W Berlinie kreślono plany co do przyszłości ziem polskich należących do Rosji, nie wątpiąc przy tym, że kwestia ziem zaboru pruskiego, jako ziem nieodwołalnie niemieckich, nie może być podniesiona i pozostanie kwestią wewnętrzną Prus. Nawet w Wiedniu uważano, że nie można kwestionować należenia Galicji do Austrii, a kwestia polska przedstawiała się politykom austriackim tylko jako pytanie, o ile tę Galicję należy i można będzie powiększyć o ziemie polskie oderwane od Rosji. We wszystkich trzech państwach rozbiornych myślano, że uda się nie dopuścić do tego, ażeby kwestia polska w tej wojnie stała się kwestią międzynarodową, ażeby ktokolwiek poza nimi o przyszłości Polski postanawiał.

Jakim sposobem wytrawni, doświadczeni politycy mogli żywić podobne złudzenia w wojnie rozgrywającej się w znacznej mierze na terenie polskim, w której państwa posiadające ziemie polskie walczyły przeciw sobie?... Łatwo było usunąć kwestię polską z widowni międzynarodowej i narzucić Europie milczenie w niej w ciągu pięćdziesięciolecia poprzedzającego wojnę, gdy w tym względzie istniała kooperacja wszystkich trzech państw rozbiornych. Z wybuchem wszakże wojny kooperacja się skończyła i wrogowie Polski zmuszeni zostali do wygrywania przeciw sobie kwestii, którą przedtem wspólnymi usiłowaniami starali się chować jak najgłębiej. To wygrywanie zaczęło się od pierwszych chwil wojny i niedorzecznością było przypuszczać, że nie doprowadzi ono do umiędzynarodowienia sprawy polskiej. W polityce wszakże żadnym niedorzecznościom nie należy się dziwić.

Z góry należało przewidzieć, że przesunięcie frontu między Rosją a państwami centralnymi, czy to na zachód, czy na wschód, czy zajęcie ziem zaborów pruskiego i austriackiego przez armię rosyjską, czy odwrotnie, zajęcie zaboru rosyjskiego przez armie państw centralnych – automatycznie zrobi kwestię polską wielką kwestią międzynarodową.

Istotnie też, po zwycięstwach państw centralnych nad Rosją, z chwilą kiedy cały obszar narodowy polski znalazł się w ich rękach, kwestia polska stała się od razu głównym przedmiotem gry politycznej między mocarstwami. Jest ona *de facto* międzynarodową choć formalnie za taką nie została jeszcze uznana. Pracują nad wyniesieniem jej na widownię międzynarodową wszyscy – i ci, co tego chcą, i ci, co nie chcą.

Pracuje przede wszystkim polityka niemiecka. Dążąc od początku wojny do osobnego pokoju z Rosją, który by kwestię polską na długo pogrzebał, a jednocześnie był

wielkim krokiem naprzód w ujarzmieniu Rosji, Niemcy widzą, że najlepszą do tego pokoju drogą jest zastraszyć Rosję niebezpieczeństwem polskim. Po zajęciu więc Królestwa dają zachętę polskości, zapowiadają, że nie oddadzą już ziem polskich z powrotem Rosji, otwierają uniwersytet polski w Warszawie itd. Wiedzą wszakże, że to do zastraszenia Rosji nie wystarczy: wśród najbardziej nacjonalistycznie usposobionych Rosjan było wielu takich, którzy chętnie by się pozbyli Królestwa jako kraju, na którego zruszczenie nie było nadziei i który zawsze by przeszkadzał Rosji być państwem narodowym.

W roku 1915, w kilka tygodni po wycofaniu się wojsk rosyjskich z Polski, mieliśmy konferencję z rosyjskim ministrem spraw wewnętrznych, księciem Szczerbatowem, który nie należał do biurokracji i którego mianowanie było uważane za ustępstwo dla społeczeństwa rosyjskiego. W konferencji tej prócz mnie brali udział Zygmunt Wielopolski i Eustachy Dobiecki.

– Kwestia polsko-rosyjska w Królestwie – mówił Szczerbatow – to, proszę panów, nie jest kwestia. Tu byśmy się bardzo łatwo porozumieli. Właściwa kwestia polsko-rosyjska, dla nas ogromnej wagi, to kraj północno i południowo-zachodni (Litwa i Ruś). Tu leży cała trudność porozumienia...

Wiedzieli to i Niemcy i rozumieli, że chcąc Rosjan naprawdę zastraszyć, trzeba kwestię polską podnieść na Litwie.

Toteż zaraz po zajęciu Litwy, w początku września 1915 roku, generał hr. Pfeil wydaje odezwę, w której nazywa Wilno „perłą sławnego Królestwa Polskiego”; w następstwie, spisy statystyczne niemieckie wykazują że znaczna część tzw. Litwy posiada większość ludności polskiej, a autorzy niemieccy rozpisują się o projekcie polskiego *Nationalitätenstaat*, oznaczającego oderwanie od Rosji ziem litewsko-ruskich. Można było myśleć, że Niemcy chcą tworzyć jakieś wielkie państwo polskie, z granicami daleko na wschód posuniętymi. Późniejsza ich polityka pokazała, że o tym wcale nie myśleli. Był to bluff, który miał popchnąć wszystkich Polaków przeciw Rosji, potężnie zastraszyć opinię rosyjską i ochłodzić jej zapał do wojny z Niemcami. Spodziewano się, że pokłócona z Polakami, w obawie utracenia Krajów Zabrzanych, nie będzie ona przeszkadzała rządowi w zawarciu z Niemcami osobnego pokoju.

Rzecz nie była źle pomyślana. Kto znał dobrze Rosję, wiedział, że całe społeczeństwo rosyjskie, od żywiołów reakcyjnych aż do najsłabszych radykałów, wychowane na fałszywych statystykach rządowych, uważa Kraje Zabrane za ziemię rdzennie rosyjską i nie dopuszcza myśli o ich utracie. Na tym terenie bardzo łatwo było wszcząć zacieklą walkę między Polakami a Rosją, walkę, która by w świadomości Rosjan zajęła pierwsze miejsce i przysłoniła im wszystkie inne zagadnienia bytu państwowego Rosji.

I myśmy sobie zdawali sprawę z tego od dawna. Z chwilą też, kiedy zaczęliśmy widzieć możliwość starcia między Rosją a Niemcami, kiedyśmy na tej możliwości zaczęli budować swe plany, kiedyśmy postanowili dojść do wytworzenia solidarności polsko-rosyjskiej przeciw Niemcom – zrozumieliśmy, że chcąc ten cel osiągnąć, trzeba przede

wszystkim uspokoić obawy rosyjskie co do Krajów Zabrzanych. Nie marzyliśmy o powrocie Polski do granic z 1772 roku, widzieliśmy całą tego niemożliwość i mogliśmy szczerze Rosjanom powiedzieć, że do większej części tych ziem Polska pretensji mieć nie będzie. Niebezpieczne wszakże było mówić o jakiegokolwiek ich części, nawet o tej, która niewątpliwie należy do obszaru narodowego polskiego. Wypadki szły szybko i nie było czasu na wychowywanie na nowo myśli rosyjskiej i w tej sprawie. Dlatego, o ileśmy mogli, omijaliśmy w dyskusjach polsko-rosyjskich sprawę Krajów Zabrzanych, gdy zaś ominąć nie było można, mówiąc o Polsce na wschodzie, zatrzymaliśmy się na granicy etnograficznej.

To nam pozwoliło utrzymać solidarność polsko-rosyjską i nie stworzyć dla Niemiec warunków do osobnego pokoju z Rosją nawet wtedy, gdy spróbowały one wygrywać kwestię polską na Litwie.

I tym razem Niemcom się nie udało. Jedynym pozytywnym skutkiem ich akcji było wywołanie nastroju germanofilskiego wśród znacznej części surowego politycznie ziemiaństwa naszego w Krajach Zabrzanych. Nastrój ten na razie żadnego wpływu na wypadki nie wywarł, ale później, po rewolucji rosyjskiej, wyrządził sprawie polskiej ogromne szkody. Wyzyskali go tacy działacze, jak Lednicki dla paraliżowania polityki niepodległości i prób zorganizowania poważnej siły zbrojnej polskiej na Wschodzie.

W początku roku 1916 na czele rządu rosyjskiego stanął Stürmer, zajadły wróg Polski i niewątpliwy germanofil, dążący do pokoju z Niemcami. Szukał on tylko sposobności i szukał jej także w kwestii polskiej.

Gdy londyński *Foreign Office* zakomunikował rządowi sprzymierzonym raporty Żydka galicyjskiego o moim rzekomym zbliżaniu się do Austrii, Stürmer skwapliwie chwycił tę okazję i w marcu 1916 roku rozesał po całej Rosji, do gubernatorów, dowódców armii itp., w pięciu tysiącach egzemplarzy, okólnik oparty na tych raportach i wykazujący, że działacze polscy za granicą przechylają się na stronę państw centralnych. Stürmer musiał wiedzieć, że raporty są fałszywe: miał on swoje informacje o polityce polskiej i nie potrzebował ich czerpać ze źródeł angielskich. Zresztą w chwili wydania okólnika już znajdował się w jego rękach przesłany przez Izwolskiego mój memoriał, podyktowany troską o zwycięstwo państw sprzymierzonych. Cóż mogło być celem takiego okólnika, jak nie wywołanie w Rosji nastroju przeciwpolskiego i ułatwienie sobie wejścia w pertraktacje pokojowe z Niemcami?...

W pierwszej połowie 1916 roku polityka Stürmera była krępowana wewnątrz samego rządu przez obecność Sazonowa na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Sazonow dążył do zwycięstwa, był człowiekiem uczciwym, dochowującym wiary aliantom, cieszył się też sporym zaufaniem opinii publicznej w Rosji. W swej przeszłości był przeciwnikiem polityki skrajnie przeciwpolskiej, jak zresztą i jego poprzednik, Izwolski. Podczas wojny widział, że trzeba w kwestii polskiej coś zrobić, że inaczej wymknie się ona z rąk rosyjskich. Nie był wszakże zdolny pojąć szerzej tej kwestii. Przeceniał bardzo potęgę rosyjską i solidność podstaw, na których się opierała; był też przekonany, że Polska nie może żyć inaczej, jak pod skrzydłami opiekuńczymi Rosji. Jako maksimum kariery dla Polski widział szeroką autonomię w państwie rosyjskim.

Pogląd Sazonowa na sprawę polską godził się z tezą, że sprawa ta musi pozostać sprawą wewnętrzną Rosji. Stąd jego wielkie niezadowolenie z mojego stanowiska, zajętego w rozmowie z Izwolskim w końcu lutego 1916 roku, i w następnie złożonym memoriale.

W kilkanaście dni po wysłaniu depeszy o rozmowie ze mną Izwolski otrzymał od Sazonowa poufną instrukcję, w której między innymi powiedziano:

„Wszelkie propozycje dotyczące przyszłych rozgraniczeń w Europie środkowej są przedwczesne, a w ogóle trzeba pamiętać, że jesteśmy gotowi pozostawić Francji i Anglii całkowitą swobodę określenia zachodnich granic Niemiec, licząc, że ze swej strony sprzymierzeńcy pozostawią nam taką samą swobodę w naszym rozgraniczeniu z Niemcami i Austrią. W szczególności konieczną jest rzeczą kłaść nacisk na wyłączenie kwestii polskiej z przedmiotów dyskusji międzynarodowej i na przeszkodzie próbom postawienia przyszłości Polski pod gwarancją i kontrolą mocarstw”.

Z żadnym z Polaków w Piotrogradzie Sazonow ani słowa nie wymienił o moim memoriale. Natomiast ambasador francuski, Paléologue, niezawodnie na życzenie Sazonowa poruszył ten przedmiot w rozmowie z Konstantym Platerem, gdy ten opuszczał Piotrogród, w powrocie na Zachód (w kwietniu 1916 roku). Ambasador mówił o niezadowoleniu z mego stanowiska w rosyjskich sferach rządowych i dawał do zrozumienia, że idziemy za daleko.

Paléologue wszakże był już w tyle za wypadkami i za sytuacją, jaka się w sprawie polskiej wytworzyła na Zachodzie. Rozmowa z Platerem, o której zaraportował swemu rządowi, wywołała na Quai d'Orsay wielkie niezadowolenie z ambasadora. Wzięto mu bardzo za złe, że się dał użyć Sazonowowi do misji, która nie przystała przedstawicielowi Francji.

Niemcy w swym dążeniu do osobnego pokoju z Rosją nie tylko usiłowali pokłócić Polaków z Rosjanami, ale także starali się wywołać na gruncie sprawy polskiej nieporozumienia między Rosją a jej zachodnimi sprzymierzeńcami.

Żadna sprawa nie postawiła państw zachodnich – Francji, Anglii i Włoch – w tak trudnej i delikatnej sytuacji, jak sprawa polska.

Wstępując w wojnę, państwa te wypisały na swych sztandarach hasło wolności ludów, które dawało im siłę moralną w całym świecie, pozyskiwało dla nich opinię krajów neutralnych, wzmacniało ducha ich własnych społeczeństw i wytwarzało trudności wewnątrz państw centralnych, w szczególności w państwie Habsburgów z tyłu ludów złożonym. Trudno było wszakże głosić hasło wolności ludów, a milczeć o Polsce, która była najjaskrawszym przykładem pogwałcenia tej wolności. Tymczasem Rosja żądała bezwzględnie milczenia w tej sprawie i była obawa, że jeżeli żądaniu jej zadość się nie stanie, gotowa jest opuścić sprzymierzeńców i zawrzeć pokój z państwami centralnymi.

Szerszy świat z tego położenia nie całkiem zdawał sobie sprawę, nie zawsze je też rozumiano w społeczeństwach angielskim, francuskim i włoskim.

Już w grudniu 1915 roku w parlamencie włoskim poseł Montresor z towarzyszymi wystąpili z wnioskiem – będącym dowodem szczerych sympatii, jakie żywiono we Włoszech dla Polski – wyrażającym życzenie, „ażeby szlachetny naród polski... który jest przeznaczony w przyszłości do odgrywania wielkiej roli w pokojowej równowadze, odzyskał jedność w państwie wolnym i niepodległym”.

Niezawodnie nazajutrz *Consulta*⁴⁰ miała wizytę ambasadora rosyjskiego z przedstawieniem, że uchwalenie podobnego wniosku jest niedopuszczalne. Dlatego wniosek długo leżał, aż został na prośbę rządu cofnięty przez wnioskodawców. W Polsce gniewano się na to i niecierpliwiono, ale właściwie należało tylko współczuć rządowi włoskiemu w jego trudnym położeniu. Gdyby on i inni sprzymierzeńcy zachodni nie krępowali się stanowiskiem rządu rosyjskiego, gdyby się z nim poróżnili na gruncie kwestii polskiej, gdyby wynikiem tego był osobny pokój między Rosją a Niemcami, Polska sama najdrożej by za to zapłaciła.

W interesie państw zachodnich leżało jak najgłośniej podnieść i jak najmocniej postawić kwestię polską – był to wielki atut przeciw Niemcom. Ale było to w ich interesie – dodamy, i w interesie Polski – o tyle tylko, o ile by za to nie zapłacili utratą wschodniego sojusznika. Dlatego też przedstawiciele rządów państw zachodnich, jeśli dotyczyli sprawy polskiej, robili to bardzo ostrożnie i nieśmiało.

Wyzyskując ich trudne położenie, Niemcy ich w sprawie polskiej prowokowali.

W połowie listopada 1915 roku Bonar Law, odpowiadając w Izbie Gmin w imieniu rządu na pacyfistyczne wystąpienie jednego z posłów, zapytał: „Czy którykolwiek z członków Izby przypuszcza, że Niemcy, o ile nie będą pobite, zwrócą Alzację Francji lub zwrócą Polskę narodowości, do której ona należy?”.

Znamienne tu jest użycie wyrazu *nationality* (narodowość), zamiast *nation* (naród), który by tu był bardziej na miejscu. Wyraz wszakże *nation* w języku angielskim jest używany nie tylko w znaczeniu „naród”, ale i w znaczeniu „państwo”. Zwrócenie Polski państwu, do którego ona należy, byłoby zrozumiane jako zwrócenie Rosji; mówca zaś najwidoczniej nie chciał być tak rozumiany. Przy użyciu wyrazu *nationality* można było rozumieć tylko narodowość polską.

Bethmann-Hollweg wszakże udał, że nie rozumie, i w trzy tygodnie potem, polemizując w Reichstagu z ministrem angielskim, powiedział: „Nie jest całkiem jasne, czy według jego poglądu Polska ze swej narodowości należy do Rosji”. Kanclerz niemiecki prowokował rząd angielski do wypowiedzenia się wyraźniejszego, które by wywołało protesty ze strony rosyjskiej. Cel aż nadto wyraźny – pokłócenie aliantów z Rosją w sprawie polskiej.

Tak, od początku wojny, a zwłaszcza od końca roku 1915, odbywał się na terenie międzynarodowym wielki szantaż, którego przedmiotem była sprawa polska, a którego

⁴⁰ *Consulta* (wł.) – rada. [red.]

ofiarami były Francja, Anglia i Włochy. Niestety, pomagali i Polacy, często nawet tacy, którzy się uważali za sojuszników państw zachodnich. A przecież celem tego szantażu było, między innymi, zgubienie Polski.

Państwa zachodnie usiłują się przed tym szantażem bronić, ale mają ręce związane przez Rosję.

Tymczasem Niemcy występują jako zbawcy ujarzmionych ludów i dalej straszą Rosję, zapowiadając (Bethmann-Hollweg w Reichstagu w kwietniu 1916 roku), że „nie oddadzą z powrotem Rosji ludów od Bałtyku aż do błot wołyńskich – Polaków, Litwinów, Bałtów i Łotyszów”...

Jednocześnie doprowadzają zbyt rozgorączkowanych tymi deklaracjami aktywistów polskich do rozumu. Beseler, przyjmując organizatorów obchodu 3 Maja, wyklada im w kunsztownej formie niemieckiej, że Polska tak zanadto samodzielna nie będzie. Po profesorsku daje im lekcje o obowiązkach ludów, które będą wzięte w opiekę przez Niemcy: *die Völker verstehen müssen sich an die Völker oder Staatengesellschaft anzugliedern, der sie sich anschliessen und mit der sie zusammenarbeiten wollen*⁴¹. Wymowne, acz niedające się ściśle przetłumaczyć wyrażenie *sich angliedern*: zając swoje miejsce i umieć wykonywać swoją funkcję w układzie przez Niemcy stworzonym i przez nie prowadzonym.

Przygotowanie Rosji do osobnego pokoju idzie naprzód. Sazonow w początku lipca 1916 roku dostaje dymisję (której powodem miał być jego memoriał, żądający wyraźnego wypowiedzenia się w sprawie polskiej, w sensie szerokiej autonomii). Jego następca na stanowisku ministra spraw zagranicznych, Stürmer, wygłasza w Dumie charakterystyczną deklarację: wojna do szczęśliwego końca, poza tym niczym się nie należy zajmować, nawet kwestią słowiańską (czytaj: polską). Do oddziaływania na Mikołaja II, upierającego się przy prowadzeniu wojny, czującego zresztą, że wojna podtrzymuje jego pozycję w społeczeństwie rosyjskim, wynaleziono dziwną, jak na wiek XX, figurę Rasputina, którego wpływ staje się zatrwajająco silny.

Niemcy wszakże dmuchali w żar przysypany popiołem, w mylnym przekonaniu, że gdy płomień wybuchnie, będą go mogli regulować tak, jak im to będzie dogadzało. Prowadząc swą grę polską, nie przypuszczali, że pracują dla nas, nie dla siebie. Nic nam tak nie ułatwiło naszego zadania na Zachodzie, jak właśnie ta polityka niemiecka.

Na terenie zachodnim, na którym już od dawna przestano rozumieć kwestię polską, jak to już powiedziałem, musieliśmy uczyć jej na nowo, że tak powiem, od abecadła. Spotykaliśmy wielu ludzi, przyjaźnie zapatrujących się na dążenia Polaków do wolności, którzy często więcej nam przeszkadzali, niż pomagali. Bo byli to często sekciarze, doktrynerzy, traktujący sprawę polską powierzchownie i szablonowo. Nie znali oni Polski ani położenia w Europie Środkowej, umysły zaś ich były niedostępne dla

⁴¹ *Die Völker verstehen müssen sich...* (niem.) – Narody muszą zrozumieć swe miejsce wśród narodów i interesów państwowych, z którymi pragną się złączyć i współdziałać. [red.]

realnych koncepcji politycznych. Dla nich kwestia polska nie była niczym innym, jak częścią jednej ogólnej kwestii małych narodów, którym należy się dobrodziejstwo wolności. Nie przychodziło im nawet do głowy, że przy takim pojmowaniu rzeczy rozwiązanie kwestii polskiej było wprost niemożliwe.

– Dziwna rzecz – mówił jeden z profesorów w Anglii – że ze wszystkich kwestii małych narodów w tej wojnie, kwestia polska jest najmniej rozumiana i najniechętniej poruszana.

Odpowiedziałem mu na to:

– Przyczyna, panie profesorze, jest bardzo prosta. Polska to nie jest mały narodek, tylko wielki naród. I kwestia polska, to nie jest kwestia wolności jednego z małych narodków, ale wielka kwestia polityki międzynarodowej; od sposobu jej rozwiązania zależy w znacznej mierze przyszłość całej Europy. Gdy się chce wielką kwestię traktować jak jedną z kwestii małych, nie można sobie z nią dać rady i naturalnym wynikiem jest zniechęcenie.

Profesor mnie nie zrozumiał. Rozmawialiśmy w rezydencji wiejskiej Chestertona. Ten świetny pisarz, chodzący własnymi drogami, jak najdalej stojący od masońskiego doktrynerstwa, od razu mi przyklasnął. O ile łatwiej ludzie uczyliby się nowych rzeczy, gdyby nie zakucie myśli w kajdany sekciarskie...

Niemcy – którzy nas na swój sposób usiłowali sprowadzić do poziomu małego narodku – zrobiwszy kwestię polską przedmiotem wielkiego szantażu, ogromnie nam pomogli do wykazania jej znaczenia w Europie. Przy tej ich mimowolnej pomocy, zmusiliśmy ludzi na Zachodzie do myślenia o naszej sprawie nieco inaczej niż o sprawie jednego z małych narodów, które po wojnie będą obdarzone wolnością. Zaczęto rozumieć, że jest to kwestia jak najbardziej aktualna, od początku wojny grająca w niej ogromną rolę, mogąca na same losy wojny wywrzeć wpływ niemały, może nawet decydujący. Pomagało to zrozumieć, że i po wojnie Polsce przypadnie odrębna, niepoślednia rola w położeniu międzynarodowym.

Pokłócenie aliantów z Rosją w kwestii polskiej nie udało się. Nie udawało się również pokłócenie Rosjan z Polakami. Zmiany w rządzie rosyjskim odbywały się w duchu korzystnym dla Niemiec: zawarcie osobnego pokoju z Niemcami coraz wyraźniej było celem tego rządu. Opinia wszakże rosyjska, mająca swój oficjalny wyraz w Dumie, z całą siłą stała za wojną, manifestowała swe wrogie stanowisko względem Niemiec. Przepaść pomiędzy nią a rządem coraz bardziej się pogłębiała. Póki była zgoda z Polakami, można było mieć prawie pewność, że nie zmieni ona swego stanowiska względem Niemiec. Historia zaś Rosji uczyła, że o ile opinia ta miała niewielki wpływ na politykę wewnętrzną państwa, polityka zagraniczna Rosji nigdy nie śmiała wyraźniej się jej przeciwstawić, zawsze starała się być w zgodzie z opinią publiczną. Znając tę właściwość polityki rosyjskiej, przywiązywaliśmy tak wielkie znaczenie do stanu opinii publicznej w Rosji i takich używaliśmy wysiłków, ażeby nie osłabić poczucia solidarności polsko-rosyjskiej w tej wojnie.

Nie można też powiedzieć, żeby się Niemcom bardzo powodziło i w samej Polsce.

W Królestwie większość opinii, która od początku stała za naszą polityką i odpornie się zachowywała względem wszelkich kuszeń austriackich i niemieckich, wytrwale zachowywała swe stanowisko. Natomiast w kołach, które poddały się pod wpływ aktywistów, które zrazu, po „wyzwoleniu spod Moskala” ogarnął bezkrytyczny zapał, zaczęło się zjawiać rozczarowanie i zniechęcenie. Przybrało ono szerokie rozmiary, zwłaszcza w lecie i na jesieni 1916 roku, gdy Niemcy w swej polityce dążącej do osobnego pokoju z Rosją przeszli względem niej od metody zastraszania do kokieterii, a tym samym przerwali kokietowanie Polaków. Nowych obietnic już nie słyszano, o wykonaniu poprzednio danych nikt nie mówił...

To rozczarowanie i zniechęcenie miało swoje odbicie i w legionie polskim, walczącym po stronie państw centralnych. Znajdował się on na froncie rosyjskim, na odcinku słynnego ze swych pism pruskiego generała Bernhardiego.

Tragedia legionu w owym czasie doszła do swego apogeum. Z chwilą, kiedy po wybuchu wojny zawiódł pokładane w nim nadzieje i nie wywołał powstania w Królestwie, przestał on być Niemcom potrzebny, był raczej zawadą. W wypadku dojścia do skutku pokoju osobnego z Rosją, nie wiadomo by, co z nim zrobić, zwłaszcza że Rosja nie domagałaby się prawdopodobnie wydania w jej ręce walczących w nim poddanych rosyjskich. W razie ustanowienia jakiegoś państewka polskiego pod kuratelą niemiecką, trzeba by zorganizować armię tego państewka; dla Niemiec wszakże wcale nie było pożądane, żeby zaczątkiem armii był legion powstańców, bo nie powstańczy duch byłby im w takiej armii potrzebny. Najprostszym rozwiązaniem tej kłopotliwej kwestii było przeznaczyć legion na wybicie. Tak też zrobiono. W lipcu 1916 roku pułki legionowe nie liczyły już więcej jak po 300-400 ludzi. Nieszczęśliwi legioniści wreszcie zorientowali się, że są skazańcami. Zaczęło się szemranie, groźba buntu, wreszcie doszło do ostrego starcia między organizatorem i dowódcą legionu Piłsudskim a dowódcą odcinka Bernhardim. W rezultacie Piłsudski, nie mogąc opuścić służby z całym legionem, podał się do dymisji osobiście. W pozostającym na froncie legionie utworzyła się Rada Pułkowników legionowych, która wystąpiła do Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie z memoriałem, w którym oświadczyła, że legion chce być uważany tylko za wojsko polskie, bijące się za wolność Polski, że powinien mieć dowództwo polskie, odpowiedzialne przed współobywatelami i przed swym własnym rządem.

Wobec tego stanu niezadowolenia w legionie władze austriackie zdecydowały się na ustępstwo: legion został przemianowany na „korpus pomocniczy polski” przy armii austriackiej, obdarzono go sztandarem z Orłem Białym i Matką Boską⁴², wreszcie wycofano go z frontu dla skompletowania. Piłsudskiemu dano urlop, a potem dymisję.

⁴² Znamienna jest ta wspólna naszym rewolucjonistom, Niemcom i Austriakom skłonność do eksploatawania w polityce Matki Boskiej Częstochowskiej. Socjaliści w 1905 roku nosili w

Przy tym wszystkim ujawniły się w owym czasie silne tarcia w sprawie polskiej między rządem austriackim a niemieckim. Krótkowidzący mężowie stanu austriaccy ciągle jeszcze łudzili się, że ich program rozszerzenia Galicji ma widoki urzeczywistnienia. Dopiero latem 1916 roku dowiedzieli się, że Prusacy kwestię polską uważają za swoją wyłącznie domenę i że z planami austriackimi nie myślą się wcale liczyć. Berlin postanowił używać tej kwestii na własną rękę, jako przedmiotu gry z Rosją, decyzyje też co do przyszłości ziem polskich sobie wyłącznie rezerwował. Dla polityków wiedeńskich był to bolesny zawód, połączony z upokorzeniem: jeszcze raz się przekonali, jak trudno wmawiać w siebie, że ich sojusz z Niemcami jest sojuszem równego z równym. Przy tej sposobności Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie, który oparł swe nadzieje na wierze w Austrię, w jej samodzielność i w jej wielką rolę w sprawie polskiej, nareszcie dowiedział się, że to wszystko była fikcja i że on sam, ze swym szumnym tytułem, ze swą „naczelnością” nic nie znaczy.

Awanse Niemiec względem Rosji nie odniosły skutku... Mocne stanowisko opinii rosyjskiej i wysiłki państw zachodnich wystarczyły do sparaliżowania intryg rządu petersburskiego i rosyjskich sfer dworskich. Stosunki Rosji z aliantami nawet się poprawiły. Przyczyniła się do tego znacznie wizyta delegacji ciał prawodawczych rosyjskich, Dumy i Rady Państwa, w Londynie, Paryżu i Rzymie.

W delegacji tej brali udział i Polacy z Zygmuntem Wielopolskim na czele. Wielopolski ze swej trudnej roli wyszedł znakomicie. Nie znikł w gronie swych kolegów rosyjskich, wszędzie wysunął się na front, jako przedstawiciel Polski, i uczynił to z wielkim taktem, dzięki czemu nie doprowadził do zadrażnienia stosunków z Rosjanami. Jego przemówienia w Paryżu i Rzymie były aktami politycznymi wysokiego poziomu i stanowiły poważny krok naprzód w naszej akcji.

W owym czasie Niemcy zdobyli sobie nowego agenta w Rosji, w osobie członka Dumy, Protopopowa, który przewodniczył swoim kolegom w delegacji do państw zachodnich. Po powrocie delegacji do Rosji zaczęły chodzić głuche wieści o jego konszachtach z Niemcami w Sztokholmie, co, naturalnie, silnie osłabiło dodatni wpływ pobytu delegacji na Zachodzie. Jego intrygi, prowadzone bez żadnej wątpliwości w porozumieniu z głową rządu, Stürmerem, nie osiągnęły bezpośredniego skutku; pomimo wszakże, iż był to człowiek mały, sądzone mu było odegranie roli dużej, fatalnej w ostatnich chwilach okresu petersburskiego dziejów Rosji.

Pod wpływem nowego zawodu w nadziejach na Rosję nastąpił nagły zwrot w polityce berlińskiej. Zdecydowano się na krok radykalny w kierunku użycia Polaków przeciw Rosji, na stworzenie państwa polskiego i armii polskiej.

Austria musiała ustąpić i zgodzić się na ustanowienie na ziemiach będących pod okupacją nie tylko niemiecką, ale i austriacką, państewka polskiego pod faktyczną władzą

Królestwie sztandary czerwone z Matką Boską. Niemcy od początku wojny ogłaszali ją za swoją aliantkę, wreszcie znalazła się na sztandarach legionowych.

niemiecką. Zostawiono jej pozory równorzędnego z Niemcami współdziałania w tym akcie, rzecz cała wszakże była robiona przez Berlin i miała pozostać w jego rękach.

Krok był śmiały, bo sprzeczny z uznanymi zasadami prawa międzynarodowego, które nie pozwalały ani na jednostronne ustalanie nowego porządku politycznego, ani na pobór rekruta na ziemiach w ciągu wojny okupowanych. Nie pierwszy to raz Niemcy dowodziły, że się tymi zasadami niewiele krępują. Ma się rozumieć, nie do Polaków należało stać na straży tych zasad: układ międzynarodowy, którego one strzegły, był nam nienawistny, bo nie uznawał naszych praw narodowych i uświęcał ich pogwałcenie. Nas nie zapraszano na konferencje haskie, na których te zasady starano się kodyfikować. Niemcy wszakże tam były i brały udział w zobowiązaniach międzynarodowych...

Dla częściowego ratowania pozorów postanowiono ten krok zrobić na prośbę Polaków. W tym celu generał-gubernator Warszawy, von Beseler, wezwał do siebie kilku przedstawicieli obozu aktywistycznego, zakomunikował im o zamiarach rządu niemieckiego i zaproponował, ażeby pojechali jako delegacja z przedstawieniem odpowiednich życzeń polskich. Tak powstała delegacja polska do Berlina i Wiednia, która powiozła z sobą memoriał z życzeniami polskimi, przejrzany przedtem i aprobowany przez kanclerza Niemiec. Tworzyli ją pp. Brudziński, Chmielewski, Dickstein, Dzierzbicki, Łempicki, Franciszek Radziwiłł i Adam Ronikier.

Delegacja udała się najpierw do Berlina, gdzie została przyjęta uroczyście przez kanclerza. Bethmann-Hollweg w mowie swej oświadczył, że życzenia Polaków spotykają się z zamierzeniami rządów państw centralnych, które zdecydowały „ustanowić państwo polskie, pod władzą króla, z armią polską, mocno związane (*im festen Anschluss*) z państwami centralnymi, mianowicie także pod względem wojskowym”. W następstwie została ona przyjęta w podobny sposób w Wiedniu przez austriacko-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, Buriana.

W niecały tydzień po tych przyjęciach nastąpił znany akt 5 listopada 1916 roku. W tym dniu generalni gubernatorowie: warszawski (okupacja niemiecka) i lubelski (okupacja austriacka) ogłosili jednobrzmiący manifest o ustanowieniu z woli dwóch cesarzy na ziemiach polskich odebranych Rosji „samoistnego państwa z dziedziczną monarchią i ustrojem konstytucyjnym”. Określenie granic nowego państwa pozostawiono przyszłości. Manifest wskazywał, że nowe Królestwo znajdzie gwarancję swego rozwoju w związku (*Anschluss*) z obu państwami sprzymierzonymi. Wyrażał też nadzieję, że w armii polskiej odżyją sławne czyny wojenne polskie dawnych czasów.

Jednocześnie z tym aktem ogłoszony został z datą 4 listopada reskrypt cesarza Franciszka Józefa do prezesa ministrów austriackich, Körbera, o postanowieniu rozszerzenia autonomii Galicji.

Tak z ramienia państw centralnych zostało ustanowione państwo polskie na ziemiach zaboru rosyjskiego, bez określenia jego granic wschodnich. Na zachodzie poza jego granicami pozostały ziemie zaboru pruskiego, jako ziemie nieodwołalnie niemieckie, i Galicja z widokami na rozszerzoną autonomię w państwie austriackim.

Większość opinii polskiej, zarówno jak opinia państw sprzymierzonych, jako główny cel tego aktu wskazała chęć pociągnięcia do szeregów państw centralnych, pod postacią armii polskiej, niezużytkowanego materiału ludzkiego w zaborze rosyjskim. Austriacki sztab generalny oceniał ten materiał w samym Królestwie na milion ludzi. Była w tym przesada; gdyby wszakże przeprowadzono w Królestwie pobór tak ścisły, jak w państwach centralnych, dałby on niezawodnie w owym czasie cyfrę od pięciuset do siedmiuset tysięcy.

Zdobycie tego rekruta do walki z państwami sprzymierzonymi nie było jedynym celem. Chodziło o stworzenie faktu dokonanego, uprzedzającego inne rozwiązania kwestii polskiej, na wypadek, gdyby losy wojny wyrwały decyzję w tej sprawie z rąk niemieckich. To zaś zaczęto już w Niemczech poważnie przewidywać... Niemcy liczyli, że w razie nawet przegranej na froncie uda im się osiągnąć zwycięstwo polityczne, urzeczywistnić swój główny cel – niepodzielne zapanowanie w Europie środkowej. Nowe Królestwo Polskie pozostałoby jako jedna z części składowych niemieckiego systemu Europy Środkowej (*Mitteleuropa*) i nie miałyby żadnych widoków wyłamania się spod władzy niemieckiej.

Zawieszenie decyzji co do wschodnich granic Królestwa nie zrywało mostów w stosunku do Rosji, pozostawiało jej drogę do przesunięcia tych granic jak najdalej na zachód przez osobny pokój z państwami centralnymi. A do tego pokoju nawet popierająca wojnę opinia rosyjska mogła się skłonić na widok siedemsettyśięcnej armii polskiej, gotującej się do maszerowania na Rosję razem z Niemcami i Austriakami.

Dobrze byłoby wiedzieć, czy akt 5 listopada był zrobiony w porozumieniu ze Stürmerem i innymi germanofilami rosyjskimi...

Jeżeli akt 5 listopada był niejako zwrotem w polityce niemieckiej, nie znaczy to wcale, żeby to był krok nieobmyślany. Wiele danych przemawiało za tym, że posunięcie to na długo przed wykonaniem było przygotowane. Beseler musiał już o tym planie wiedzieć, kiedy pouczał organizatorów obchodu 3 Maja, jak Polska będzie musiała się *angliedern*⁴³ do układu niemieckiej Europy Środkowej. Tylko nadzieja na pokój z Rosją odwlekała wykonanie.

W przekonaniu właśnie, że Niemcy podobny krok przygotowują, na parę miesięcy już przed 5 listopada ostrzegaliśmy państwa sprzymierzone, że Niemcy, korzystając z ich bierności w sprawie polskiej, ubiegną je i zdobędą sobie tytuł dobrodziejów Polski. Ostrzeżenia nasze przyjmowano dość sceptycznie, a nawet byli tacy, którzy mówili, że to jest szantaż ze strony polskiej. Nie rozumiano, że nam chodziło nie tyle o zdobycie jakiegoś zobowiązania sprzymierzonych względem Polski, ile o to, żeby nie byli oni pobici w walce politycznej przez Niemcy. Dla przyszłości Polski ważniejsze było zwycięstwo sprzymierzonych niż ich deklaracje w sprawie polskiej.

⁴³ *Angliedern* (niem.) – przyłączyć. [red.]

Akt 5 listopada spadł na państwa sprzymierzone trochę jak piorun z jasnego nieba. Wywołał też zarówno w ich opinii, jak i w rządach niemałe poruszenie. Tylko rząd rosyjski się nie poruszał: zachowywał on taki spokój, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie stało, jak gdyby z góry wiedział, że to się stanie.

Tymczasem 9 listopada ogłoszona została odezwa gubernatorów generalnych okupacji niemieckiej i austriackiej, wzywająca ludność Królestwa Polskiego do zaciągania się w szeregi armii polskiej, odezwa, która uwydatniała główny cel aktu.

I tym razem wszakże Niemcy się przeliczyli. Akt 5 listopada przyjęty został dobrze tylko przez zdecydowanych aktywistów. Nikogo w Polsce dla sprawy niemieckiej nie zjednał. Przeważająca w kraju opinia przyjęła go jako nowe uświęcenie podziałów Polski. Werbunek do armii polskiej zawiódł, bo nikt nie uważał jej za polską. Rozumiano, że Niemcy chcą pod firmą polską zwiększyć szeregi samej armii do walki ze sprzymierzonymi. Do tego jeszcze przybyło oburzenie wśród najlojalniejszych Polaków austriackich, których cała polityka poszła *ad acta*.

Nie pomogło głośnie otrąbywanie przez aktywistów zdobytej niepodległości, triumfowanie, że mamy nareszcie własne państwo...

Natomiast akt 5 listopada oddał nam duże usługi w stosunku do państw zachodnich. Więcej niż cokolwiek przyczynił się on do pouczenia polityków europejskich o międzynarodowym znaczeniu sprawy polskiej. Był też silnym bodźcem dla nich do zajęcia się nią w sposób poważniejszy. Wzmocnił on bardzo nasze stanowisko na Zachodzie: przekonano się, że mieliśmy słuszość, gdyśmy ostrzegali państwa zachodnie, i rozumiano, że zachowanie się Polski względem Niemiec zależy w znacznej mierze od naszej postawy, od naszych wskazówek dawanych krajowi. Po raz pierwszy poczuliśmy, że w państwach zachodnich jesteśmy nie tylko informatorami, ale przedstawicielami jakiejś siły, z którą się liczą. Wiedziano, że nie możemy nic dać sprzymierzonym od Polski, ale patrzono na nas jako na tych, którzy mogą powstrzymać Polskę od dania żołnierza Niemcom.

Tak Niemcy, cokolwiek robili dla wygrania sprawy polskiej podczas tej wojny, chybiali celu i zamiast robić dla siebie, robili dla nas. *Sic vos non vobis*.

Muszę tu zauważyć, że nie wszędzie w państwach sprzymierzonych byli radzi z naszego odpornego stanowiska wobec aktu 5 listopada. Nie tylko miałem wrażenie, że rząd petersburski byłby rad z ogólnopolskiego akcesu do nowego Królestwa, ale i w pewnych kołach na Zachodzie jakby zachęcano nas do takiego akcesu, dawano nam do zrozumienia, że nie wzięto by nam wcale za złe, gdybyśmy teraz zmienili politykę i poszli z tymi, którzy nam dali nasze państwo. Widoczne było, że te koła chętnie by widziały podobnie skromne rozwiązanie sprawy polskiej i że skorzystałyby z niego dla skrócenia wojny.

Nadzieje na tę zmianę naszego stanowiska rozwiała nasza deklaracja lozańska z 11 listopada, podpisana przez dwudziestu Polaków działających w zachodnich państwach sprzymierzonych i w Szwajcarii. Wyszła ona z założenia, że „Polska jest jedna i

niepodzielna”, stwierdziła, że aspiracje nasze mogą być zaspokojone tylko w zjednoczonej Polsce, że państwa centralne, ustanawiając nowe Królestwo na ziemiach jednego zaboru, potwierdzają rozbiory Polski, tworzą państewko bezsilne, mogące być tylko ich narzędziem, że nie zaciągając żadnych określonych zobowiązań co do praw przyszłego Królestwa, kładą tylko nacisk na jego zależność od nich, wreszcie, żądają, ażeby Polska im dostarczyła wojska do walki za sprawę, która nie jest polską. Akt ich zatem – przeciwny zresztą zasadom prawa ludów – gotuje dla Polski jedynie klęskę⁴⁴.

Powstała kwestia, jak alianci na ten krok państw centralnych powinni reagować.

Wobec stanu rzeczy w Rosji, przy charakterze rządu petersburskiego, szukającego tylko sposobności do zdradzenia sprzymierzonych, nie mogło być mowy o jakiegokolwiek deklaracji z ich strony w sensie propozycji mego memoriału, złożonego Izwolskiemu, o proklamowaniu z ich strony niepodległego państwa polskiego. Żądanie tego w owej chwili prowadziłyby do niezawodnego rozłamu między państwami zachodnimi a Rosją. Próbowaliśmy wobec tego osiągnąć jedynie deklarację wszystkich państw sprzymierzonych, że nie złożą broni, dopóki nie zjednoczą ziem polskich. W treści deklaracji nie byłoby właściwie nic nowego w porównaniu z odezwą wielkiego księcia Mikołaja i oświadczeniami rządu rosyjskiego, ale mielibyśmy zobowiązanie co do najważniejszego punktu sprawy polskiej od wszystkich sprzymierzonych, a przez to i formalne uznanie międzynarodowego charakteru sprawy polskiej.

Postanowiliśmy propozycję w tym względzie znów skierować przede wszystkim do Rosji.

W tym celu Konstanty Plater umówił się z Izwolskim, że będziemy u niego obaj 7 listopada.

Rozmowa była znamienita.

Izwolski, który musiał ponieść nieprzyjemne dla siebie konsekwencje rozmowy ze mną w lutym, był widocznie zdenerwowany.

Na wstępie zapytał, czy nie mam nic przeciw temu, ażeby przy rozmowie był obecny radca ambasady p. Sewastopulo. Gdy nacisnął dzwonek, wszedł nie służący, ale sam Sewastopulo, który widocznie już czekał. Izwolski rozpoczął rozmowę niezgrabnym zapytaniem:

– Eh bien Monsieur Dmowski, vous rentrez en Pologne?⁴⁵

Odpowiedziałem mu, że nie zamierzam wracać, ale że chcę go zapytać, co alianci myślą zrobić wobec aktu dwóch cesarzy.

Spostrzegł się, że wziął ton niewłaściwy i zmienił go natychmiast. Zapytał, co, zdaniem moim, należałoby zrobić.

⁴⁴ Patrz: Aneks IV.

⁴⁵ *Eh bien Monsieur Dmowski...* (fr.) – A więc, panie Dmowski, wraca pan do Polski? [red.]

Uważałem, że już czas przestać wyrażać zdania osobiste i zacząłem mówić, czego żądają Polacy. Izwolski poprosił o dokładne zdefiniowanie, w jakim charakterze mówimy i w czyim imieniu.

Rozmowa stała się oficjalna. Oświadczyłem, że gotowi jesteśmy uniemożliwić zrekrutowanie armii w Królestwie, ale chcemy, ażeby alianci zawarli z sobą i ogłosili konwencję, mocą której zobowiązują się nie zakończyć wojny bez zjednoczenia ziem polskich. Powołałem się przy tym na analogiczną konwencję londyńską co do Belgii.

Izwolski zapytał, czy konwencja miałaby dotyczyć także i ustroju przyszłej Polski. Odpowiedziałem mu, że wtedy należałoby iść dalej od Niemców w zapowiedziach co do tego ustroju; ponieważ zaś to przy istniejących stosunkach w Rosji jest niemożliwe, konwencja winna się ograniczyć tylko do kwestii terytorialnej. Izwolski powiedział, że takie wyjście z sytuacji mogłoby Rosji dogadzać i zapytał Sewastopuła, czy, jego zdaniem, Francja i Anglia nie miałyby przeszkód konstytucyjnych, czy mogłyby zawrzeć podobną konwencję bez parlamentów. Ten wskazał, że przecież i konwencja londyńska była bez parlamentów zawarta.

Na tym rzecz stanęła. Izwolski oświadczył, że natychmiast telegrafuje do swego rządu. Przy sposobności poinformował nas, że ambasador francuski w Piotrogradzie już dostał instrukcje, by się porozumiał z rządem rosyjskim co do formy protestu przeciw aktowi 5 listopada.

Rząd rosyjski załatwił sprawę prosto. Jego przedstawiciele dyplomatyczni w państwach sprzymierzonych i neutralnych wręczyli rządowi dnia 15 listopada krótką notę, protestującą przeciw pogwałceniu konwencji międzynarodowych uroczystie zaprzysiężonych przez Niemcy i Austro-Węgry, kończąc oświadczeniem, że prowincje Królestwa Polskiego nie przestają stanowić integralnej części Cesarstwa Rosyjskiego, a ich mieszkańcy związani są przysięgą na wierność, złożoną cesarzowi. Tego samego dnia ukazał się w Piotrogradzie komunikat urzędowy zawierający protest przeciw pogwałceniu prawa międzynarodowego, przeciw pobieraniu rekruta w Królestwie, i deklarację, że zamiarem Rosji jest utworzenie Polski całej, złożonej ze wszystkich ziem polskich, i danie jej po zakończeniu wojny „prawa swobodnego budowania swego życia narodowego, kulturalnego i gospodarczego na zasadach autonomii pod berłem monarchów rosyjskich i przy zachowaniu jedności państwowej”.

Rząd rosyjski robił wszystko, żeby ułatwić Niemcom przeprowadzenie ich planu.

Istnienie w Rosji rządu, który był wrogiem państw z Rosją w wojnie sprzymierzonych, wrogiem Polski, względem której Rosja deklarowała życzliwe zamiary, a przyjacielem Niemiec, z którymi Rosja była w wojnie – wytworzyło w kwestii polskiej sytuację niesłychaną, nader niebezpieczną i dla Polski, i dla państw zachodnich, i dla samej Rosji.

Staliśmy przed dylematem: albo zachowania się biernego wobec stanowiska rządu rosyjskiego, który na ustanowienie państwa polskiego przez Niemcy odpowiadał, że ma zamiar kiedyś dać Polsce możliwość rozwoju „narodowego, kulturalnego i gospodarczego”

w jedności państwowej z Rosją; albo bezwzględnego wystąpienia przeciw jego stanowisku i starania się o także wystąpienie państw zachodnich.

W pierwszym wypadku groziło niebezpieczeństwo, że opinia polska, zachowująca się odpornie wobec polityki państw centralnych, zrażona deklaracjami rządu rosyjskiego nie wytrzyma zajętej postawy, uzna utworzone przez Niemcy Królestwo za swoje państwo, poprze rekrutację, co wywoła przewrót w stosunku opinii publicznej w Rosji do Polaków i do wojny, i da w rezultacie osobny pokój między Rosją a Niemcami.

W drugim wypadku ryzykowało się, że nadwrażliwa na punkcie swej godności narodowej opinia rosyjska uzna, że Polacy i państwa zachodnie robią zamach na prawa Rosji i jej godność, że w obronie praw i honoru Rosji połączy się z rządem i że znów wynikiem tego będzie pokój rosyjsko-niemiecki.

Nie mogąc wybrać żadnej z tych dwóch wyraźnych dróg, z których każda prowadziła do klęski sprzymierzonych i do naszej zguby – trzeba było pójść po linii pośredniej, mniej wyraźnej, mniej zdecydowanej: zrobić wszystko, ażeby sprawa polska zajęła należyte miejsce w polityce państw zachodnich, osiągnąć wystąpienia ich rządów, świadczące o tym, że postanowiły ją wziąć w swoje ręce, ale w formie nie przeciągać struny, żeby nie wywołać reakcji w Rosji.

Po tej trudnej, prowadzącej nad przepaściami ścieżce, udało się pójść dość pomyślnie. Z jednej strony nastąpiły względnie korzystne dla Polski oświadczenia rządów państw zachodnich, z drugiej – deklaracje polskie w Petersburgu zrobione zostały w atmosferze solidarności z opinią rosyjską, coraz bardziej wrogo występującą przeciw rządowi Stürmera.

Ustanowienie państwa polskiego i groźba pobrania polskiego rekruta przez Niemcy wywołały najsilniejsze poruszenie we Francji, które znalazło swój wyraz zarówno w prasie, jak i w zachowaniu się kół parlamentarnych.

Pomimo faktu, że akt 5 listopada poprzedziła jazda delegacji polskiej do Berlina i Wiednia, nikt nie czynił Polaków współuczestnikami aktu, nie dał się słyszeć ani jeden wyrzut w naszym kierunku. Prasa jednogłośnie zmanifestowała swe sympatie dla Polski. W owej to chwili rozległ się w prasie francuskiej głos, który miał w rozwoju sprawy polskiej przełomowe znaczenie. „Temps” przyniósł szereg artykułów, których autorem był jego długoletni kierownik polityczny, André Tardieu, późniejszy wysoki komisarz Francji w Stanach Zjednoczonych i jeden z pięciu delegatów francuskich na konferencję pokojową. Zetknąwszy się na krótko przedtem z tym pierwszorzędnym znawcą położenia międzynarodowego, napotkałem na umysł otwarty, bez uprzedzeń, łatwo wprowadzający nowe momenty w całość swych pojęć o sytuacji, na człowieka, który od dawna już śledził z daleka rozwój kwestii polskiej. Jego artykuły, zarówno ze względu na ich treść, jak i na autorytet pisarza, były aktem politycznym wielkiej doniosłości. Postawiły one sprawę polską na Zachodzie jako wielką sprawę europejską.

Izwolski wówczas telegrafował do Petersburga, że jest bezsilny, że o dalszym narzucaniu milczenia prasie francuskiej w kwestii polskiej nie ma już mowy.

W komisji spraw zagranicznych Izby Deputowanych sprawa polska zajęła na pewien czas pierwsze miejsce, stała się przedmiotem wyczerpującej dyskusji. Przewodniczącym komisji był Leygues, późniejszy minister marynarki w gabinecie Clemenceau, najpierwszy zapewne z polityków francuskich starszego pokolenia, w którym znaleźliśmy człowieka żywo interesującego się sprawą polską i uznającego jej wielkie znaczenie. Należy stwierdzić, że zasługa zainteresowania sprawą polską i zapoznania z nią kół parlamentarnych we Francji należała przede wszystkim do dwóch ludzi, którzy nam okazali wielką przyjaźń i pomoc na gruncie francuskim w zrozumieniu wspólności interesów Polski i Francji. Byli to Etienne Fournol i Henri Moysset; obaj znali nasz kraj, obaj byli w Polsce na kilka lat przed wojną w celu studiów politycznych; obaj zwracali już dawniej uwagę opinii francuskiej na Polskę w przeczuciu roli, jaka kwestii polskiej miała przyspaść. Moysset był autorem najpoważniejszego w obcych piśmiennictwach studium o stosunkach w zaborze pruskim.

Komisja spraw zagranicznych zanotowała porządek dzienny, kładący nacisk na międzynarodowe znaczenie sprawy polskiej, na konieczność zjednoczenia Polski, której podział akt 5 listopada utrwalał, na niebezpieczeństwo organizacji niemieckiej Europy Środkowej, której nowe Królestwo miało być składnikiem. Wysłała ona delegację do prezesa Rady Ministrów, Brianda, w celu pobudzenia rządu do szybkiego działania.

W chwili, gdy telegramy przyniosły słynny komunikat urzędowy rosyjski, będący odpowiedzią na akt 5 listopada, Asquith znajdował się w Paryżu na konferencji z Briandem. Obaj premierzy wysłali natychmiast (16 listopada) do Stürmera depezę, która między innymi zawierała ustęp:

„Cieszymy się szczerze ze szlachetnej inicjatywy powziętej przez rząd J.C.M. monarchy rosyjskiego na rzecz ludu, z którym nas łączą stare sympatie i którego odnowiona jedność stanowić będzie pierwszorzędny składnik przyszłej równowagi europejskiej”.

Kilka momentów dotyczących tej depezy zasługuje na uwagę.

Była ona reakcją nie na akt 5 listopada, tylko na komunikat urzędowy rosyjski, ogłoszony w przeddzień konferencji 15 t.m.

Ułożenie tej depezy przedstawiało ogromne trudności dla premierów: tekst jej, jak nas poinformowano, został ustalony po zniszczeniu całego mnóstwa brulionów.

Depeza zaczyna się od wzmianki, że premierzy zapoznali się z komunikatem z prasy, stwierdza zatem, że został ogłoszony bez porozumienia z nimi.

Formalnie, dla zachowania pozorów solidaryzuje się ona ze stanowiskiem Rosji, ale mówi o Polsce, jako o „pierwszorzędnym składniku przyszłej równowagi europejskiej”, przyznaje jej więc rolę, którą może odgrywać tylko niezawisłe państwo.

Autorom depezy tak zależało na natychmiastowym zneutralizowaniu wrażenia, jakie musiał wywrzeć komunikat rządu Stürmera o zapewnieniu Polsce „swobodnego rozwoju narodowego, kulturalnego i gospodarczego w jedności państwowej z Rosją”, iż

wysłali ją nazajutrz po ogłoszeniu komunikatu, nie czekając na przyłączenie się do niej Włoch.

Włoski premier, Boselli, wysłał nazajutrz depezę do Stürmera, którą przyłączył się do odezwy dwóch swoich kolegów.

Po raz pierwszy, w bardzo łagodnej, co prawda, formie, zachodni sprzymierzeńcy skorygowali oficjalnie Rosję w sprawie polskiej i zajęli stanowisko względnie samodzielne. Depesza ich inaczej by wyglądała, gdyby byli mogli w niej wypowiedzieć całe swe oburzenie na Stürmera, którego gra była dla nich jasna.

Polityka polska, jak już powiedziałem, zdobyła wówczas na Zachodzie mocny grunt pod nogami. W owym też czasie przybył jej nowy pierwiastek siły w Polakach amerykańskich, którzy zadeklarowali swoją z nią solidarność i którzy w następstwie odegrali w rozwoju sprawy polskiej ogromną rolę. 26 listopada Wydział Narodowy w Chicago, reprezentujący wielkie organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych, wysłał do Asquitha, Brianda i Bosellego energiczny protest przeciw aktowi 5 listopada i przeciw tworzeniu armii polskiej przez Niemcy.

Tymczasem Niemcy wzmacniali akt 5 listopada przez utworzenie w nowym Królestwie Rady Stanu i przez pozwolenie legionowi na wmaszerowanie uroczyste do Warszawy, a jednocześnie osłabiali jego efekt z konieczności przez dyskusję w Sejmie pruskim nad rezolucją Heydebranda, żądającą zapewnienia państwu niemieckiemu w nowym Królestwie Polskim „skutecznych i trwałych gwarancji militarnych, gospodarczych i ogólnopolitycznych”, robiącą zastrzeżenia co do jakichkolwiek zmian w położeniu „mówiących po polsku Prusaków”, i ostrzegającą, że Sejm pruski nie pozwoli na zmiany w marchiach wschodnich, które by w czymkolwiek naruszyły niemiecki charakter tych ziem, nierozzerwalnie z Niemcami związanych. Ani deklaracja posła Styczyńskiego, wniesiona w imieniu Koła Polskiego przeciw tej rezolucji, ani z drugiej strony mowa pruskiego ministra spraw wewnętrznych, Loebella, która uspokajała wnioskodawców i była wypowiedziana w stylu Bismarcków i Bülowów, ani wreszcie uchwalenie rezolucji znaczną większością głosów nie harmonizowały z głoszoną w Warszawie przyjaźnią polsko-niemiecką.

Niebawem nastąpił nowy, dla Niemiec niepomysłny zwrot w Rosji. Walka Dumy i Rady Państwa przeciw Stürmerowi doprowadziła do jego dymisji. Mianowanie Trepowa prezesem Rady Ministrów oznaczało niezłomną decyzję wytrwania w wojnie do końca.

Gra polityczna Niemiec w kwestii polskiej w ciągu roku 1916 miała wielkie znaczenie dla rozwoju naszej sprawy w wojnie europejskiej.

Dlatego to, w tym ogólnym zarysie zatrzymałem się na pewnych jej momentach, bez czego trudno byłoby należycie ją zrozumieć. Bilans tej gry w końcu roku 1916 był dla Niemiec smutny. Pokoju z Rosją nie osiągnięto, przeciwnie, przewagę w polityce rosyjskiej wziął program prowadzenia wojny aż do zwycięstwa. Widoki na zjednanie sobie większości w Polsce i na otrzymanie z Polski rekruta upadły. Natomiast sprawa polska na terenie międzynarodowym zdobyła już sobie mocne stanowisko. W sferach

politycznych zachodniej Europy już się krystalizowała myśl, że jeżeli ta wojna ma być naprawdę wygrana i zabezpieczyć Europę od przewagi niemieckiej, jednym z głównych jej celów musi być odbudowanie zjednoczonej Polski, a więc i oderwanie od Niemiec ziem zaboru pruskiego.

Niemcy niezawodnie ten bilans zrobiły. I niezawodnie pod wpływem tego około połowy grudnia 1916 roku wystąpiły z propozycją wszczęcia ogólnych negocjacji pokojowych.

Propozycja spotkała się z odmową. Między innymi bardzo kategorię odpowiedzi dał Mikołaj II w swym rozkazie dziennym do armii z dnia 25 grudnia 1916 roku.

Powiedziano tam między innymi:

„Czas na to [zawarcie pokoju] jeszcze nie nadszedł. Wróg jeszcze nie wypędzony ziem przez niego zagarniętych. Jeszcze niezapewnione osiągnięcie przez Rosję zadań stworzonych przez wojnę – opanowanie Konstantynopola i Cieśnin, również jak stworzenie wolnej Polski ze wszystkich jej ziem obecnie rozdzielonych”.

XII. OREĐZIE WILSONA

Kroki pokojowe Niemiec dały sposobność Stanom Zjednoczonym do interwencji politycznej w wojnie, która wysunęła na widownię osobę prezydenta Wilsona.

Stany Zjednoczone miały pozycję wyjątkową. Były jedynym z wielkich mocarstw świata nie biorących udziału w tej wojnie, nie poniosły żadnych ofiar, ale przeciwnie, wyciągały wielkie zyski jako dostawcy państw wojujących. To dało im ogromną przewagę gospodarczą i finansową nad wszystkimi mocarstwami.

Bierne przyglądanie się wypadkom w dalszym ciągu było dla nich na razie korzystne, ale kryło w sobie poważne niebezpieczeństwa na przyszłość, i to nie tylko polityczne. Interwencja, przy ich przewadze, przede wszystkim finansowej, dawała im widoki na odegranie roli pierwszorzędnej, na dyktowanie do pewnego stopnia swej woli całemu światu.

Trzeba sobie zdać sprawę przede wszystkim z tego, co ta interwencja, na razie polityczna tylko, wносиła do polityki wojennej.

Niezależnie od indywidualnych właściwości prezydenta Wilsona wdanie się Ameryki w sprawy wojny europejskiej wprowadzało do polityki wojennej większą prostolinijność, mniejszą zdolność do intryg, do subtelnych wybiegów, skłonność do regulowania spraw według ogólnych zasad. W parze z tym szło mniejsze doświadczenie polityczne, spora powierzchowność w pojmowaniu spraw europejskich, skłonność do łatwego upraszczania rzeczy trudnych i zawiłych, oraz upodobanie w operowaniu oderwanymi zasadami tam, gdzie wchodzi w grę realne interesy.

Dla polityki Stanów w sprawach europejskich niemałe znaczenie miał fakt, że naród amerykański jeszcze nie zakończył swego formowania się, że ogromna część Amerykanów jeszcze nie zdołała zerwać węzłów moralnych łączących ich z krajami europejskimi, z których sami oni lub ich ojcowie przyszli. Wojna europejska to uczucie przywiązania do starej ojczyzny pobudziła i wzmocniła. W stosunku do wojny europejskiej weszły w grę w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych obok dążeń i interesów amerykańskich aspiracje i interesy niemieckie, polskie, czeskie, włoskie itd.

W Ameryce, gdzie zasada wyborcza odgrywa znacznie większą jeszcze rolę niż w państwach europejskich, polityk nie zapomina i nie może na chwilę zapomnieć o swoich wyborach. Liczy się on nie tylko z ich stanowiskiem w sprawach amerykańskich, ale także z ich sympatiami i pragnieniami europejskimi.

Dlatego to, wobec interwencji amerykańskiej, ogromne dla naszej sprawy znaczenie miało istnienie trzech z górą milionów Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy, skupieni w pewnych okręgach, przedstawiali jako wyborcy niemałą siłę.

Obliczenie głosów po drugim wyborze Wilsona na prezydenta Stanów wykazało, że nie byłby on wybrany, gdyby odpadło kilka stanów środkowych, w których głosy polskie decydowały.

Prawda, że Niemcy w Stanach Zjednoczonych przedstawiają bez porównania większą siłę niż Polacy, jednakże w samym staroamerykańskim społeczeństwie tak silne były sympatie dla sprawy sprzymierzonych i wrogie względem państw centralnych stanowisko – zresztą Ameryka miała swoje ważne porachunki z Niemcami na terenie polityki światowej w ogóle i na terenie obu Ameryk w szczególności – że z czysto amerykańskim stanowiskiem popieranie Niemców trudno się godziło.

Natomiast wielkie dla naszej sprawy niebezpieczeństwo przedstawiała liczba i wpływ Żydów w Ameryce. Z tym niebezpieczeństwem mieliśmy w następstwie sposobność bliżej się zapoznać.

Dodać trzeba, że stronnictwo demokratyczne, z którego ramienia prezydentem był Wilson, silniej opierało się na nowych, nie całkiem zamerykanizowanych żywiołach niż współzawodniczące z nim stronnictwo republikańskie. W polityce też zewnętrznej republikanie silniej wysuwali interes amerykański, gdy demokraci więcej operowali ogólnymi, oderwanymi zasadami.

Sam Wilson był klasycznym przedstawicielem politycznego liberalizmu, z silnym dążeniem do regulowania stosunków na podstawie sprawiedliwości dla wszystkich, z wiarą w możliwość urządzenia świata na nowych zasadach, w których można będzie wykonywać sprawiedliwość między narodami.

Dość powszechna była opinia, że występując w końcu roku 1916 do stron wojujących z notą proponującą przedstawienie warunków, na których mogłyby być zawarty pokój, chciał on istotnie poprzeć inicjatywę niemiecką i doprowadzić do zakończenia wojny. To wszakże jest faktem, iż zależało mu na tym, jak świadczą późniejsze jego wynurzenia, żeby go uważano za niewątpliwego od samego początku przyjaciela sprawy sprzymierzonych. Do mnie samego jesienią 1918 roku powiedział w Waszyngtonie:

– Wiele mi czasu było potrzeba na przygotowanie opinii amerykańskiej do wystąpienia w tej wojnie.

Interwencja też jego nie nosiła charakteru nacisku na sprzymierzonych. Nie doprowadziła ona do żadnego wyniku, ale Wilson, raz wzięwszy udział w sprawach wojny, już z nich nie wyszedł.

Dla Niemiec, które, zdaje się, poważnie liczyły na jego poparcie w próbach osiągnięcia pokoju, był to nowy zawód.

Gdy chodzi o naszą sprawę, to ustanowienie Królestwa Polskiego aktem 5 listopada miało dla tych prób pokojowych wielkie w rachubach niemieckich znaczenie. Niemcy liczyły, że gdyby wówczas doszło do pokoju, ustanowienie tego Królestwa będzie w nim uznane jako rozstrzygnięcie kwestii polskiej; że skompletowana tym sposobem budowa Europy Środkowej pod ich władzą ocaleje; że zatem, poniosłszy przy zawarciu pokoju straty w innych punktach, wygrają na najważniejszym, na którym się oprze cała ich przyszła kariera i panowanie nad światem. Mieli nadzieję, że wyjdą z wykończoną konstrukcją *Mitteleuropy* i [osią] Berlin-Bagdad.

Wkrótce ze strony Wilsona spotkał ich nowy zawód. Dzień 22 stycznia 1917 roku przyniósł słynne jego orędzie do Senatu Stanów Zjednoczonych, w którym prezydent wypowiedział się, jak on sam rozumie pokój i w którym po raz pierwszy zostało jasno postawione rozwiązanie sprawy polskiej.

„Mężowie stanu wszędzie są zgodnego zdania, że winna powstać Polska zjednoczona, niepodległa i samoistna (*Statesmen every-where are agreed that there should be a united, independent and autonomous Poland*).”

Te słowa są niejako podsumowaniem postępów, jakie sprawa polska zrobiła na Zachodzie w ciągu roku 1916, i Wilson sam to stwierdza, głosząc, że mężowie stanu wszędzie są na tym punkcie zgodnego zdania. Jeżeli on, a nie inni, to zdanie tak jasno wypowiedział, to przede wszystkim dlatego, że nie będąc sprzymierzeńcem Rosji, miał w tym względzie całkowitą swobodę.

To, że Wilson tak poważne miejsce przeznaczył Polsce w swym orędziu, zawdzięczaliśmy nie tylko temu, że sprawa polska wówczas już dojrzała na terenie międzynarodowym, ale także pracy naszych rodaków amerykańskich, przede wszystkim zaś Paderewskiego, który wiele się do tego przyczynił organizowaniem Polaków w Ameryce dla poparcia polityki polskiej i swym wpływem osobistym u prezydenta i jego otoczenia.

Dwa wyrazy w tym oświadczeniu Wilsona o Polsce były dla Niemców ciosem: przede wszystkim wyraz „zjednoczona”, który godził w cały ich program polski; a następnie w związku z nim wyraz „wszędzie”, gdy mowa o zgodnym zdaniu polityków, świadczący o tym, że Wilson ignoruje polityków państw centralnych, że liczy się tylko ze zdaniem panującym w krajach sprzymierzonych.

Toteż urzędowe agencje niemieckie w doniesieniu o orędziu Wilsona wyraz „zjednoczona” zrećnie ukryły. Nie przeszkodziło to, że Warszawa natychmiast się dowiedziała o treści oświadczenia. Wywołało ono niesłychany entuzjazm, manifestacje na cześć Ameryki i telegramy dziękczynne do prezydenta. Wilson w jednej chwili stał się najpopularniejszym w Polsce człowiekiem.

Opinia polska w oświadczeniu Wilsona widziała inicjatywę w sprawie polskiej, narzucenie w pewnej mierze państwom sprzymierzonym zjednoczonej i niepodległej Polski jako celu wojny. Trzeba stwierdzić, że nie była to ani inicjatywa, ani narzucenie, tylko wypowiedzenie tego, czego przedstawiciele rządów państw zachodnioeuropejskich wypowiedzieć nie mogli, skrepowani swą polityką wojenną w stosunku do Rosji.

Jako takie, oświadczenie to miało ogromne znaczenie. Postawiło ono jasno sprawę polską wobec całego świata, a społeczeństwu polskiemu pod okupacją dodało wiary i siły wytrwania.

XIII. REWOLUCJA ROSYJSKA

Walka wewnętrzna w Rosji między obozami rosyjskim a niemieckim zaostrzała się coraz bardziej. W ostatnich dniach roku 1916 zamordowano w Petersburgu Rasputina, co było nowym ciosem dla polityki niemieckiej. Trudno było wszakże przypuszczać, że kryzys ten doprowadzi do rewolucji i do detronizacji cesarza.

Na kilka tygodni przed wybuchem rewolucji pewien cudzoziemiec, biorący żywy udział w sprawach rosyjskich, powiedział mi, że rewolucja jest pewna i że wkrótce wybuchnie. Nie wierzyłem temu. Według moich wiadomości, organizacje rewolucyjne w Rosji nie przedstawiały wielkiej siły, co zresztą było prawdą; nadto nie sądziłem, żeby rewolucja była możliwa podczas wojny w państwie mającym tylu ludzi pod bronią.

Usłyszałem wszakże na to, że armia jest zrewolucjonizowana i że ona właśnie zrobi rewolucję. I to mi się wydało przesadą. Wiedziałem o propagandzie rewolucyjnej w armii, ale nie przypisywałem jej takich rozmiarów, żeby mogła doprowadzić do powszechnego buntu. Powiedziałem też, że gdyby tak było, byłby to właściwy koniec Rosji.

Cudzoziemiec ów był wielkim przyjacielem Rosji, a jednocześnie zwolennikiem rewolucji. Był on mocno przekonany, że rewolucja ją zbawi. Widział po niej Rosję jako państwo konstytucyjne, liberalne, w którym młode siły i wielkie zdolności narodu rosyjskiego nareszcie się wypowiedzą i stworzą najświetniejszy okres w dziejach państwa.

Miał też pewność, że rewolucja poprowadzi Rosję do świetnego zwycięstwa w wojnie.

Było wielu takich ludzi, którzy mieli złudzenie, że armia może zrobić rewolucję i pozostać armią. Nie rozumieli tej prostej rzeczy, że zbuntowany żołnierz oznacza koniec dyscypliny, a tam, gdzie się kończy dyscyplina, kończy się armia.

Rewolucja przyszła, ale głównym jej źródłem nie było właściwie zrewolucjonizowanie armii.

Mój sceptycyzm co do możliwości wybuchu rewolucji pochodził stąd, że nie wzięłem pod uwagę jednego czynnika rewolucyjnego – rządu rosyjskiego.

Już w polityce Stürmera były pewne rysy, wskazujące na to, że rząd dąży do zaostrzenia walki wewnętrznej, jak gdyby mu chodziło o wywołanie buntu.

Trzeba tu przypomnieć, że w układzie Rosji ze sprzymierzeńcami, w którym wszystkie mocarstwa zobowiązywały się solidarnie doprowadzić wojnę do końca i nie traktować osobno z nieprzyjacielem, znajdowało się zastrzeżenie ze strony rosyjskiej, że rewolucja wewnątrz Rosji upoważniłaby ją do osobnego pokoju.

Wynikał stąd dla partii germanofilskiej – gdy ją zawiodła kwestia polska jako powód do osobnego pokoju z Niemcami – bardzo prosty program: wywołać wybuch

rewolucyjny, skorzystać z niego i zawrzeć pokój z Niemcami, a przy tłumieniu wybuchu zmiażdżyć przeciwników wewnętrznych i zapewnić sobie władzę na długi okres.

Stürmer nie miał czasu wykonać tego programu – zbyt wcześnie dostał dymisję. Po jego upadku wszakże wpływy niemieckie, tym razem, zdaje się, głównie idące przez Rasputina, osiągnęły to, że sprawy wewnętrzne pozostały w ręku człowieka nowego, którego Niemcy widocznie dobrze umieli sobie zjednać – członka Dumy, Protopopowa. Dziwne zachowanie się tego małego człowieka świadczyło, że jest on obarczony jakąś niezwykłą misją. Nikt nie przypuszczał, że jest to przyszły twórca rewolucji rosyjskiej.

Do misji wszakże bardzo trudnej, wymagającej nie byle kogo, wybrano człowieka mało inteligentnego, niezdarnego, przy tym, zdaje się, bez koniecznej w takich rzeczach odwagi. Umiał on rewolucję wywołać, ale nie miał sposobów na pokierowanie nią zgodnie z widokami obozu germanofilskiego. W pierwszych dniach wypuścił władzę z ręki i ta wlaźła sama w ręce przedstawicielstwu rosyjskiemu, bez wysiłku z jego strony.

Tego, że rewolucja nie była przygotowana z dołu, najlepszym dowodem łagodny jej przebieg. Była to właściwie nie rewolucja, tylko abdykacja rządu, za którą poszła abdykacja opuszczonego przez wszystkich monarchy. Rewolucja z dołu zaczęła się organizować dopiero potem, i, jak świadczą wypadki, nie mało na to potrzebowała czasu.

Bez przelewu krwi prawie, w ciągu tygodnia, między 8 a 16 marca

1917 roku, przestał istnieć rząd monarchiczny i monarcha, i stanął rząd prowizoryczny, wbrew swemu zamiarowi republikański.

Gdy po paru dniach – w ciągu których komunikacja z Piotrogiem była przerywana i tylko głuche wieści dochodziły o tym, że dzieje się tam coś niezwykłego – przyszły nareszcie dokładne wiadomości o przewrocie, na Zachodzie zapanował nieopisany entuzjazm. Wtedy dopiero się widziało, jaką zgorą dla państw zachodnich był ten rząd rosyjski, który w każdej chwili groził osobnym pokojem z nieprzyjacielem...

Niezawodnie, najwytrawniejsi mężowie stanu znaleźli się wobec nowej troski, zadawali sobie z niepokojem pytanie, co ten nowy rząd rosyjski zdolny będzie zrobić i jak długo się utrzyma. Opinia publiczna wszakże widziała tylko bezpowrotny upadek germanofilstwa w Rosji, zwycięstwo żywiołów solidarnych z państwami zachodnimi, obalenie reakcji, triumf zasad europejskich, liberalizmu, tolerancji itd., zachwycała się tą bezkrwawą rewolucją, tą idyllą nowego porządku, w którym rząd wychodzący z woli narodu nie ma potrzeby używać przymusu, a dobry naród rosyjski wszystko robi z własnej woli. Bezkrytyczny entuzjazm prasy wszystkich odcieni dosięgnął ostatnich niemal granic, miało się też wrażenie, że rządy nie tylko go nie hamują, ale jeszcze podsycają.

Uderzające to było w Anglii. Zdziwiony tym, zapytywałem urzędowych Anglików, czy chcą mieć rewolucję u siebie...

Rozumiałem, że trzeba okazać nowemu rządowi rosyjskiemu życzliwość. Ale przy niedoświadczeniu stanowiących go ludzi zdałyby mu się także przyjazne a trzeźwe rady.

Ta sielanka, w której nowy rząd rosyjski rządził bez przymusu, była bardzo niepokojąca.

We Francji entuzjazm był mniejszy niż w Anglii. Ale i tam, przybywszy wkrótce do Paryża i znalazłszy się w gronie francuskim, usłyszałem od jednego z wybitnych polityków:

- No, teraz nareszcie będziemy mieli w Rosji pewnego sojusznika!
- Czy na długo? - zapytałem.
- Co pan chce powiedzieć?
- Tylko to, że istnienie armii rosyjskiej obliczam na parę miesięcy, jeżeli nie na tygodnie. W tym czasie dyscyplina stopnieje i armia się rozleci. Nie radzę za wiele na nią liczyć.
- Wy, Polacy, jesteście niepoprawni - odpowiedział mi Francuz. Nawet mądrzy ludzie czasem nie lubią, gdy się im psuje złudzenia.

Tymczasem Rosja szybko się zaczęła toczyć po równi pochyłej ku piekłu, w którym się po kilku miesiącach znalazła. Pomagały jej w tym Niemcy, którym pilno było doprowadzić ją do całkowitego obojętnienia i tą drogą osiągnąć nareszcie pokój na Wschodzie. Przez pewien czas pracował dla nich - nie wiem, z jakich pobudek - Kiereński, później zastąpili go przesłani przez Niemców w zaplombowanych wagonach Lenin i towarzysze.

Rząd Tymczasowy uważał za możliwe istnieć obok drugiego rządu - Sowietu Delegatów Robotniczych i Żołnierskich - który w krótkim czasie zdobył większą od niego władzę; żeby zaś przyśpieszyć swój koniec, sprowadzał gorliwie z całego świata emigrantów rewolucji rosyjskiej, ludzi nieraz najlepszych chęci, ale na ogół nierealnych, doktrynerów, fanatyków, zdolnych uniemożliwić ustalenie jakiegokolwiek porządku.

Obok nich jechali masami i tacy, którzy mieli w planie porządek ustalony, ale daleki od pojęć Rządu Tymczasowego - porządek bolszewicki.

Okazało się, że autor słynnego memoriału, Durnowo, który dowodził, że Rosja nie może sobie pozwolić na wojnę z Niemcami, miał słuszość. Jego przepowiednia, że taka wojna będzie jej zgubą, sprawdziła się. Gdyby to była inna wojna, chociażby najcięższa i najdłużej trwająca, ale nie z Niemcami, nie towarzyszyłaby jej prawdopodobnie rewolucja i nie zakończyłaby się dla Rosji taką tragedią.

Wojna z Japonią 1904 roku wybuchła w chwili, kiedy napięcie rewolucyjne w Rosji było bardzo duże, jednak wybuchu podczas wojny nie było, przyszedł on dopiero po zawarciu pokoju, po przegranej wojnie. I rząd sobie z nim poradził. Od tego czasu Rosja weszła na drogę ewolucji konstytucyjnej, która zaczęła zaspokajać aspiracje umiarkowane a działające pod ziemią siły rewolucyjne wydobywała na światło dzienne i tym samym ostrze ich broni stępiała. Państwo miało widoki przekształcenia się w duchu zachodnioeuropejskim na drodze ewolucyjnej, z niewielkimi może wstrząśnieniami. W

chwili, kiedy wstępowało ono w wielką wojnę europejską, masy były dalekie od nastroju rewolucyjnego, napięcie patriotyzmu było wysokie, opinia publiczna zbliżyła się do monarchy – nic nie zapowiadało wybuchu walki wewnętrznej. Walka wewnętrzna podczas wojny nie wyszła z dołu; rozwinęła się ona z góry – między sferami rządzącymi a przedstawicielstwem narodu. Rozwinęła się na tle stosunku do wojny i do nieprzyjaciela. Walczyły przyjazne wrogowi sfery rządzące ze szczerze chcącym prowadzić wojnę przedstawicielstwem narodowym. Takie monstrualne zjawisko mogło wystąpić w Rosji tylko podczas wojny z Niemcami, dzięki temu, że ten sąsiad miał wewnątrz Rosji tak mocne stanowisko. Ten bezprzykładny w dziejach fakt tak głęboko zakorzenionych i szeroko rozgałęzionych wpływów sąsiada, nie w jakimś małym państewku, ale w wielkim, potężnym mocarstwie sprawił, że wojna z tym sąsiadem doprowadziła do niebywałej katastrofy.

Zdawałoby się, iż wniosek stąd jest prosty, i niezawodni są Rosjanie, którzy go wyprowadzają: że Rosja nie powinna wdawać się w wojnę z Niemcami, że gdyby była tej wojny uniknęła, ocalałaby swe państwo i jego potęgę.

Warto się nad tym wnioskiem zatrzymać i bliżej słuszność jego ocenić.

Przed wszystkim należałoby postawić pytanie: czy Rosja mogła uniknąć wojny z Niemcami?

Kierownikom polityki rosyjskiej można było stawiać rozmaite zarzuty, ale na ogół nie można im było odmówić inteligencji. Nie mogli oni być ślepi na to, co się działo w sferze najbliższych interesów Rosji i musieli zdawać sobie sprawę z tego, dokąd zmierzała szybkimi krokami polityka niemiecka. Musieli widzieć, że plan niemieckiej Europy Środkowej i ekspansji niemieckiej w kierunku Konstantynopola i Bagdadu to nie jest jakaś fantazja zawieszona w powietrzu, ale rzecz całkiem realna i w znacznej mierze już zrealizowana. Nie mogło się ukryć przed ich oczami, że Austria już weszła bezpowrotnie w orbitę niemiecką, że zaczęła już być czymś w rodzaju niemieckiego protektoratu i że starcie rosyjskich interesów na Bałkanach z austriackimi było właściwym starciem z Niemcami. Nie przyznawać tego mogli tylko ludzie w Rosji tak uzależnieni od Niemiec, że im przyznawać tego nie było wolno.

Chcąc za wszelką cenę uniknąć wojny z Niemcami, Rosja musiałaby biernie patrzeć na postępy budowy powiększonych Niemiec w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej oraz w Azji Zachodniej, na rozwój potęgi degradującej ją do roli państwa drugorzędnego i zmierzającej do zamienienia jej samej na rodzaj swojej kolonii.

W takim położeniu wojny absolutnie uniknąć nie można, tylko im później się ją przyjmie, tym większa jest pewność klęski.

Dziś, gdy się patrzy wstecz na wypadki, trudno się obronić myśli, że katastrofa Rosji była nieunikniona. Pozostaje tylko zagadnienie, skąd pochodziła ta straszna nieubłagana konieczność.

Zagadnienie to stanowi niesłychanie bogaty temat dla historyków, którzy by umieli *sine ira et studio*⁴⁶ zanalizować położenie Rosji okresu petersburskiego i wykryć w nim te momenty, które nieuchronnie prowadziły do fatalnego rozwiązania. Jest to rzecz bardzo pilna; bez tego myśl polityczna rosyjska, a w pewnej mierze także i polska, nie znajdzie swej drogi.

Póki się to nie stanie, niech mi wolno będzie, choć nie jestem historykiem, przy tym przedmiocie na chwilę się zatrzymać i pewne strony tej wielkiej kwestii wskazać.

O niebezpieczeństwach tkwiących w ustroju i charakterze państwa rosyjskiego pisałem już przed kilkunastu laty⁴⁷. Dziś, kiedy pesymizm mój znalazł potwierdzenie w faktach i kiedy, nie będąc członkiem Dumy rosyjskiej, tylko obywatelem państwa polskiego, mam pełną swobodę wypowiedzenia swych myśli, pozwolę sobie nieco uzupełnić moje, ogłoszone wówczas, poglądy.

Rosja, rozszerzywszy się w XVIII stuleciu na zachód, w swym dążeniu do Bałtyku, wcieliła do swego organizmu państwowego kraje nadbałtyckie, obce jej rasowo, a cywilizacyjnie znacznie wyżej od niej stojące. Kraje te posiadały silną szlachtę i mieszczaństwo niemieckie. Przeniesienie stolicy państwa nad Bałtyk i zwrócenie ku temu morzu ambicji rosyjskich dało ludności tych prowincji ogromne znaczenie w państwie, tym większe ze względu na jej przewagę cywilizacyjną.

Wzmacniał to znacznie jeszcze fakt, że jednocześnie zapanowała w Rosji dynastia niemiecka.

Szlachta krajów nadbałtyckich Rosji, nie tylko jako rasa, ale także jako formacja historyczna, nie różniła się właściwie niczym od znacznej części szlachty pruskiej. I jedna, i druga powstała z zakonów niemieckich, które osiadły na brzegach Bałtyku w celach podboju. Przedstawiała ona żywioł energiczny, przedsiębiorczy, z charakterem kondotierskim, który znalazł dla siebie pole z chwilą, kiedy się dostał do wielkiego, obcego państwa. Poszedł on na podbój Rosji z tą samą energią, z jaką jego ojcowie podbijali i ujarzmiali szczepy fińskie i litewskie. Jednocześnie zachował on tradycyjny związek ze szlachtą pruską, z którą się moralnie utożsamiał.

Asymilowanie tego żywiołu przez Rosję szło trudno ze względu zarówno na jego wyższość cywilizacyjną, jak i na moralne oparcie, które znajdował w Prusach. Posuwało się ono nieco, ale jednocześnie odbywał się i proces przeciwny, mianowicie, asymilowanie Rosjan wyższych sfer przez Niemców w stolicy, na obcym gruncie zbudowanej i obcym przepojonej duchem.

Ostatecznie mogło się to było skończyć zupełnym pochłonięciem owych nadbałtyckich Niemców przez olbrzymią Rosję, gdyby nie rozbiory Polski.

⁴⁶ *Sine ira et studio* (łac.) – bez gniewu i bez uprzedzenia, obiektywnie. [red.]

⁴⁷ *Niemcy, Rosja i kwestia polska*, rozdział: *Przyszłość Rosji*.

Rosja zaczęła od zagarnięcia części ziem Rzeczypospolitej daleko na wschód wysuniętych. Było to naturalnym wykorzystaniem słabości sąsiada, powiększeniem i zaokrągleniem swych posiadłości, dalszym ciągiem tego, czego przedtem dokonał pokój andruszowski. Przyłączono wszakże ziemie od państwa wyżej stojącego cywilizacyjnie, posiadającego ustrój polityczny biegunowo przeciwny ustrojowi rosyjskiemu, ziemie różniące się od Rosji mową, wiarą, duchem i typem życia. Wchłonięcie tych ziem w organizm rosyjski było trudnym zadaniem...

Nie zdawano sobie wówczas sprawy z tej trudności – w drugim i trzecim rozbiore Polski Rosja zagarnęła kraj olbrzymi, mogący sam w sobie stanowić niepośrednie państwo. I to jeszcze nie wystarczyło...

Po krótkim okresie istnienia złączonego z Rosją na kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego, i ten wielki kraj, serce Polski, wcielono do państwa rosyjskiego i zaczęto traktować jako ziemię rosyjską.

To niesłychane w dziejach nowoczesnych przywłaszczenie skłonny do złudzeń naród rosyjski uważał za swoje dzieło, był z niego dumny i był nawet przez jakiś czas pewny, że dzieła tego dokończy i na grobie Polski dalszy ciąg Rosji zbuduje. Za mało pamiętał o tym, że to jest wspólne dzieło Prus i Rosji i że w tym dziele Prusy, aczkolwiek posiadające względnie małą część Polski, mają nad Rosją przewagę.

Rosja nie doceniała Prus, bo nie zdawała sobie sprawy z wyjątkowego charakteru tego państwa w porównaniu z całą Europą.

Prusy były państwem, które całe powstało z podboju obcych ziem i ich kolonizacji. Było to społeczeństwo nowe, z względnie nieskomplikowanymi stosunkami społecznymi, co dawało wielką swobodę domowi Hohenzollernów w polityce zewnętrznej. Toteż nie było państwa w Europie, które by swą politykę zewnętrzną prowadziło z tak daleko sięgającym w przyszłość planem. Rozglądając się w dziejach rozrostu Prus, ma się wrażenie, że tam plany były kreślone na wiele pokoleń naprzód.

Rosja wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, że Prusy jej panowanie nad Wisłą uważają tylko za czasową dzierżawę i czekają cierpliwie, kiedy na nie przyjdzie kolej zadecydować o losach Polski. Ta czasowa dzierżawa była dla Prus dogodna.

Pisałem niegdyś, iż głównym kłopotem państw rozbiornych w kwestii polskiej jest, że każde z nich ma za mało ziemi polskiej, a za wiele polskiej ludności. Prusy nawet na tym skrawku Polski, który pozostał w ich posiadaniu po kongresie wiedeńskim, miały za wiele Polaków i kwestia polska wewnątrz ich państwa przedstawiała niemałą trudność. Rozumiały zaś, że dla zabezpieczenia swego wybrzeża bałtyckiego, sięgającego poza ujście Niemna, muszą posiadać znacznie więcej ziemi polskiej. Spieszyły się też z tępieniem polskości u siebie, nie spiesząc się z przesuwaniem granicy; tymczasem Rosja robiła dla nich robotę, osłabiając polskości na ziemiach, które Prusy uważały za przyszłą swoją własność.

Główny ciężar wynikający z wcielenia żywego i żywotnego narodu polskiego do swego państwa spadał na Rosję. Z tym ciężarem radzić sobie sama ona nie mogła, choć

zdawało jej się, że sobie radzi. Dla utrzymania w rękach Polski musiała zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, musiała na zewnątrz związać się ściśle z Prusami, żeby móc zawsze liczyć na ich pomoc przeciw Polakom; ten związek, w którym ona, jako główna posiadaczka ziem polskich, więcej potrzebowała Prus niż Prusy jej, coraz bardziej ją od Prus, a później od Cesarstwa Niemieckiego uzależniał. Po wtóre, wewnątrz państwa, niezdolna dławić Polski siłami wyłącznie rosyjskimi, musiała się uciec do pomocy nadbałtyckich Niemców, którzy jej chętnie w tej robocie służyli, zdobywając przy tym przodujące stanowisko w państwie i przywileje dla siebie na miejscu, w swych prowincjach. Aż do panowania Aleksandra III, za którego nacjonalizm rosyjski podniósł głowę, w czasie, kiedy Polska jęczała pod niebywałym uciskiem, Kurlandia, Inflanty i Estonia były krajami rządzonymi przez Niemców po niemiecku, a uniwersytet dorpacki, pozostający w ścisłym związku z uniwersytetami Niemiec, był twierdzą nauki i ideologii niemieckiej w Rosji. Tak silne mieli stanowisko Niemcy nadbałtyccy w Rosji i za tak naturalną rzecz uważano ich związek z Prusami, że za Mikołaja I, na skutek zabiegów baronów kurlandzkich, odcięto od Żmudzi jej skrawek wybrzeża morskiego z Połagą i przyłączono go do Kurlandii, ażeby dać Niemcom nadbałtyckim granicę z Prusami i bezpośrednią z nimi komunikację.

Nie ma wątpliwości, że gdyby nie pomoc Niemców nadbałtyckich, Rosja nie zasłaby tak daleko w swej smutnej robocie na ziemiach polskich; gdyby zaś nie potrzeba dławienia Polski, Niemcy nadbałtyccy nigdy by nie zdobyli tak silnego stanowiska w Rosji.

Tak, Rosja, ażeby utrzymać w swych rękach ziemie polskie i zdobyć pozory, że je robi rosyjskimi, musiała się oddać w podwójną niewolę niemiecką: na zewnątrz w niewolę Prus, wewnątrz w niewolę swych własnych Niemców.

W poczuciu tej niewoli tacy politycy, jak Durnowo, pisali, że Rosja nigdy sobie na wojnę z Niemcami nie może pozwolić, że taka wojna będzie jej zgubą.

Jeżeli się okazało, że mieli słuszność, to znaczy, że Rosja straszną cenę zapłaciła za rozbiór Polski, za swą ambicję wcielenia ziem wielkiego narodu do swego państwa.

Rosja panowała nad Polakami, ale Niemcy panowali nad Rosją. Swego znaczenia, swego wpływu w Rosji używali nie tylko do tego, żeby paraliżować jej wysiłki, ilekroć chciała coś przeciw Prusom przedsięwziąć, żeby podtrzymywać i rozwijać jej wrogą względem Polaków politykę, ale także, żeby hamować jej ewolucję polityczną, utrzymywać przy życiu przeżyty już autokratyzm. To ostatnie robili dla dwóch względów: po pierwsze, wiedzieli, że tylko pod osłoną autokratyzmu mogą rządzić Rosją, i bali się narodu rosyjskiego; po wtóre, autokratyzm u wschodniego sąsiada był potrzebny Hohenzollernom i junkrom pruskim, bo ułatwiał im rządy osobiste i kastowe w Prusach. Hamując zaś ewolucję polityczną Rosji, Niemcy ją prowadzili prostą drogą do rewolucji. I w końcu podarowali jej rewolucję, jakiej jeszcze świat nie widział.

Jestem przekonany, że Rosjanie, którzy mieli dość spokoju myśli, ażeby rozważyć wypadki ostatnich czasów i wszechstronnie je ocenić, widzą już, że rozbiór Polski z punktu widzenia interesów Rosji nie da się obronić, że stał się on źródłem jej nieszczęścia.

Ten straszny przewrót, którego Rosja mogła uniknąć, gdyby nie siła wpływów niemieckich, przyniósł koniec petersburskiego okresu dziejów Rosji.

Nowy okres rozpocznie się z chwilą na pewno niedaleką, kiedy miną i tymczasowe rządy rewolucyjne, nie odpowiadające warunkom ani czasu, ani miejsca. W tym nowym okresie będziemy już mieli do czynienia z Rosją rządzoną przez Rosjan, a nie przez Niemców i nie przez Żydów.

Myśmy mieli walki sąsiedzkie i z Rusią Kijowską, i z Carstwem Moskiewskim, walki, w których los sprzyjał bądź nam, bądź naszym sąsiadom. Byłoby rzeczą nietrzeźwą oczekiwać, że w przyszłości między nami a Rosją zapanuje idylla. Sprzeczne interesy i nieporozumienia zawsze będą. Ale to także jest pewne, że główne, istotne interesy Rosji nie leżą na granicy polskiej, tak jak główne zadania Polski nie prowadzą jej przeciw Rosji. Są zaś wielkie sprawy, dla których potrzebne jest współdziałanie obu narodów.

I dlatego wierzę w lepszą przyszłość naszych z Rosją stosunków. Trzeba tylko, żeby ludzie po obu stronach odzwyczaili się od myślenia pojęciami z czasów, które już bezpowrotnie minęły.

XIV. SPRAWA POLSKA PO REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

Rewolucja w Rosji usunęła za jednym zamachem od władzy rosyjsko-niemiecką sferę rządzącą. Nowo utworzony Rząd Tymczasowy składał się z przedstawicieli narodu, z liberalnych Rosjan.

Intrygi berlińsko-petersburskie zostały przecięte. O jakichkolwiek zakulisowych próbach doprowadzenia do osobnego pokoju nie było mowy. Natomiast powstała nowa troska: o ile nowy rząd będzie umiał rządzić i prowadzić wojnę? o ile propaganda rewolucyjna, prowadzona od dłuższego czasu, oraz nastrój wywołany przez przewrót, przez abdykację cesarza, pozwolą utrzymać ład w państwie i dyscyplinę w armii?

W naszych kołach, z małymi wyjątkami, panował pod tym względem duży pesymizm; ja osobiście byłem pewien, że to wszystko będzie miało rychły i bardzo smutny koniec. Bałem się, żeby to nie przyśpieszyło końca wojny, nie przyniosło, jak mówili Francuzi, „białego pokoju” (*une paix blanche*). Stąd nie należałem do entuzjastów rewolucji.

Ministrem spraw zagranicznych w nowym rządzie został Miliukow, człowiek inteligentny i wykształcony, ale mający dziwnie nieszczęśliwą rękę we wszystkim, co robił. Jego pojęcia polityczne były szczególną mieszaniną skrajnego rewolucjonizmu z ideologią rządową carskiej Rosji. W kwestii polskiej jego stanowisko było stanowiskiem działacza rządowego ubiegłego okresu, tylko liberalnie zabarwione. Godził się na autonomię Królestwa Polskiego, ale pojmował ją tak, że liberalna Rosja podyktuje autonomicznej Polsce, jak się ma rządzić.

Wiedziałem, że nie Rząd Tymczasowy będzie rozstrzygał kwestię polską, ale obawiałem się, że przez usta Miliukowa ten rząd zrobi w sprawie polskiej jakąś deklarację, która nam większą szkodę wyrządzi niż najmniej pomyślnie deklaracje dawnego rządu. Jak mówiłem wówczas, Miliukow nawet był zdolny ogłosić całemu światu, że o przyszłości Polski postanowi po wojnie Duma czy Konstytuanta rosyjska.

Można sobie wyobrazić, jaki by to efekt wywołało w całej Polsce i jak by to na rękę było Niemcom.

W celu uprzedzenia podobnie fałszywego kroku ze strony nowego rządu rosyjskiego udałem się 25 marca do Balfoura, stojącego u steru spraw zagranicznych w angielskim gabinecie koalicyjnym. Wyłożyłem mu swoje obawy i przedstawiłem niebezpieczeństwa, jakimi by groził błąd w kwestii polskiej nowego rządu rosyjskiego. Wskazałem, że opinia publiczna polska nie wybaczy rządowi złożonemu z przedstawicieli narodu rosyjskiego tego, z czym musiała czasowo się godzić ze strony dawnego, carskiego rządu. Niebezpieczeństwu tego rodzaju zapobiegłaby i wywarłaby zbawienny wpływ na umysły w Polsce wspólna z Rosją deklaracja rządów państw sprzymierzonych, że „Polska będzie zjednoczona i odbudowana jako państwo niepodległe, w warunkach, które

pozwołą jej przyczynić się wespół z innymi narodami do utrzymania równowagi europejskiej”. Powiedziałem, że ze strony ludzi w rodzaju Miliukowa rządy sprzymierzone napotkają w tym względzie opór, ale inne żywioły, zwłaszcza radykalniejsze, mające silny wpływ na Rząd Tymczasowy, poprą ten krok niezawodnie.

Jako warunki osiągnięcia celu wskazałem przedsięwzięcie natychmiastowych kroków w Piotrogradzie przez dyplomatycznych przedstawicieli mocarstw sprzymierzonych; nietraktowanie z przedstawicielami dyplomatycznymi Rosji za granicą, którzy by się nie czuli upoważnieni do tak poważnej zmiany w stanowisku Rosji; wreszcie szybkość i moc w działaniu, w rozumieniu, że losy wojny mogą zależeć od natychmiastowej decyzji.

Balfour, którego ta sprawa bardzo zainteresowała, odpowiedział mi, że podziela moje obawy i że jego zdaniem należy coś stanowczego przedsięwziąć. Zostawiłem mu krótkie *pro memoria* w tej sprawie⁴⁸.

Zamiarem moim było zrobić analogiczny krok u rządu francuskiego, a także i włoskiego, o ile by czas na to pozwolił. W tym celu francuski przekład złożonego Balfourowi *pro memoria* niezwłocznie wysłałem Erazmowi Piltzowi do Paryża z propozycją udania się w tej sprawie na Quai d'Orsay. Ten wszakże nasz kolega, który wyróżniał się spośród nas optymizmem co do nowego porządku rzeczy w Rosji, nie podzielił mego zdania, odpisał mi, że nie uważa podobnego kroku za właściwy i widzi w nim pewne niebezpieczeństwa.

O dalszych losach tej mojej inicjatywy miałem już tylko wiadomości poufne, przez przyjaciół angielskich. Według nich tegoż samego dnia, w którym z nim rozmawiałem, Balfour przedstawił sprawę z odpowiednim wnioskiem na posiedzeniu gabinetu wojennego, na skutek czego nocą wysłana została instrukcja do ambasadora w Piotrogradzie. W odpowiedzi na nią miało przyjść doniesienie ambasadora Buchanana, że Miliukow się nie zgadza, podając trzy powody: że to sprawa zbyt skomplikowana, ażeby o niej tak szybko decydować, że uznana przez mocarstwa niepodległa Polska może stanąć po stronie Niemiec przeciw Rosji, że wreszcie ta Polska może wystąpić z pretensjami do ziem rdzennie rosyjskich. Na to miało wyjść polecenie do ambasadora, żeby nie ustępował w żądaniu.

29 marca ukazał się znany manifest Rządu Tymczasowego do Polaków zapowiadający im niepodległą Polskę, złożoną ze wszystkich ziem posiadających większość polską, złączoną z Rosją wolnym związkiem wojskowym.

Poprzedziło ten manifest ogłoszone 28 marca oświadczenie Sowietu Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie, przyznające Polsce prawo do pełnej niepodległości, oraz memoriał wskazujący konieczność aktu ze strony rządu rosyjskiego, proklamującego niepodległość Polski i zapowiadającego jej zjednoczenie, który to

⁴⁸ Patrz Aneks V.

memoriał złożyła prezesowi rządu, ks. Lwowowi, deputacja polska, przyjęta przez niego tegoż dnia, 29 marca.

Manifest Rządu Tymczasowego nie był tym, co chciałem osiągnąć przez mój krok w Londynie. Był jednostronną deklaracją rządu rosyjskiego, podczas gdy mnie chodziło o deklarację wszystkich państw sprzymierzonych. Taka deklaracja miałaby i treść inną, i znaczenie jej byłoby o wiele większe.

W każdym razie miał on wielkie znaczenie, zwłaszcza dla polityki bieżącej w owym czasie. Usuwał niebezpieczeństwo jakiejś innej deklaracji, nam zaś otwierał drogę do zorganizowania oficjalnej reprezentacji polskiej w państwach sprzymierzonych, działającej z ramienia niezawisłej już w zasadzie Polski.

Niebawem wszystkie trzy rządy państw zachodnich w odezwach do rządu rosyjskiego zmanifestowały swą solidarność z nim w uznaniu niepodległości Polski.

Mieliśmy wtedy formalne uznanie zasady niepodległości Polski przez wszystkie państwa sprzymierzone, mieliśmy ponowioną zapowiedź jej zjednoczenia. Ogólne wszakże położenie polityczne przedstawiało się tak, że w owym właśnie momencie czuliśmy się dalej od swego celu niż poprzednio.

Poprowadzona wówczas przez Niemcy bezwzględna walka podwodna przeciw statkom handlowym dawała się czuć silnie sprzymierzonym, a zmiana w Rosji nie zapowiadała bardzo skutecznej z jej strony pomocy w wojnie lądowej. W powietrzu wisiał pokój, pokój fatalny dla przyszłości Polski.

Jednocześnie z manifestem rosyjskim o niepodległości Polski przysły deklaracje Bethmanna-Hollwega i Czernina o ich gotowości traktowania z przeciwnikami.

Jednak dzień 6 kwietnia 1917 roku przyniósł fakt, który więcej nam dał wiary w zwycięstwo naszej sprawy niż wszelkie deklaracje na rzecz Polski. Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom.

Moment ten oznaczał z punktu widzenia polskiego koniec jednej wojny, a początek drugiej. Kończyła się wojna między państwami rozbiorczymi – Rosja bowiem skutkiem rozkładu swej armii bardzo prędko przestała być stroną wojującą – a zaczynała się wojna wszystkich wielkich mocarstw świata przeciw państwom rozbiorczym.

Kończyły się trudności pierwszej wojny wypływające z polityki solidarności z jednym z mocarstw rozbiorczych, z trudnego dyplomatyzyzowania wobec nieszczerego stanowiska jego rządu. Zaczynały się trudności nowe, innej całkiem natury.

Mocarstwa sprzymierzone miały już względną swobodę polityki w sprawie polskiej. Nie pozostawiały one już wątpliwości, że ich zwycięstwo przyniesie odbudowanie państwa polskiego.

Gdyby wszakże nawet to zwycięstwo było pewne, to jeszcze najważniejsza dla nas sprawa, sprawa granic Polski, pozostała otwarta. W tej właśnie sprawie nowe występowały trudności do przezwyciężenia.

Po rewolucji rosyjskiej i po wejściu Ameryki w wojnę duch liberalnego doktrynerstwa nabrał siły i zaczął brać górę nad realizmem politycznym. Żadnemu z narodów w tej wojnie zainteresowanych to doktrynerstwo nie groziło takimi jak nam niebezpieczeństwami.

Dać Polsce właściwe granice, uczynić ją zdolną do życia w jej trudnym położeniu geograficznym, przy jej bardzo nieprawidłowym obszarze etnograficznym, mogła tylko myśl polityczna oceniająca realnie położenie międzynarodowe i nie kierująca się zanadto płytkimi doktrynami. Walka właśnie z doktrynerstwem, czy to szczerym, czy tylko służącym za płaszczyk dla wrogich nam interesów, staje się jednym z głównych zadań polityki polskiej w tej, że ją tak nazwę, drugiej wojnie.

CZEŚĆ CZWARTA

**WOJNA: OKRES DRUGI
(1917–1918)**

**POWSTANIE PAŃSTWA POLSKIEGO W OBOZIE
SPRZYMIERZONYCH**

I. WALKA PRZECIWIW POKOJOWI „BEZ ANEKSJI” I POSTAWIENIE PEŁNEGO PROGRAMU POLSKIEGO

Spółeczeństwo nasze wykazało w wojnie europejskiej wiele zdrowego instynktu narodowego, zrozumienia, gdzie leży dobro Polski, od czego jej przyszłość zależy. Objawiło się to w zwróceniu się jego dążeń przede wszystkim ku wielkiemu celowi zjednoczenia Polski, ku wydarciu ziem polskich Prusom, ku obaleniu potęgi niemieckiej. Pod tymi hasłami zszeregowało się w Polsce wszystko, co było niezależne od wpływów obcych, niezwiązane bezpośrednio czy pośrednio z Żydami lub z organizacjami międzynarodowymi.

Jednakże społeczeństwo – niedoświadczone politycznie, nienawykłe do kierowania swymi sprawami i nieznające mechanizmu polityki międzynarodowej, a natomiast bardzo wrażliwe na punkcie swych krzywd i swego poniżenia – za wiele uwagi zwracało na oświadczenia rządów w sprawie polskiej, a za mało na rozwój wypadków w tej wojnie, zwłaszcza na rozwój walki politycznej między mocarstwami, który o przyszłości Polski właściwie decydował.

Nie zdawano też sobie w Polsce sprawy z tego, że rewolucja rosyjska i wejście Ameryki w wojnę wytworzyły na pewien czas położenie dla naszej sprawy najniebezpieczniejsze, grożące nam absolutną klęską.

Jak już wspominałem, zarówno rewolucja rosyjska, jak interwencja amerykańska dodały śmiałości radykalnemu liberalizmowi i podniosły jego siłę w polityce państw wojujących. Nie trzeba zapominać, że radykalny liberalizm oznacza na ogół zarówno płytkie doktrynerstwo w polityce międzynarodowej, jak i niepolityczny pacyfizm. Toteż w początku tej nowej z naszego punktu widzenia wojny groźba przedwczesnego pokoju stała się o wiele poważniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Była obawa, że żywiły niezadające sobie właściwie sprawy z tego, o co się ta wojna toczy, a zdobywające o wiele większy niż poprzednio wpływ w państwach sprzymierzonych, swym naciskiem na rządy zmuszą je do zawarcia pokoju i to takiego pokoju, który będzie wielkim zwycięstwem politycznym Niemiec.

Niebezpieczeństwo wzrosło zwłaszcza wtedy, gdy żywiły socjalistyczne, które podniosły wówczas głowę w państwach sprzymierzonych, zaczęły, przy akompaniamencie towarzyszy krajów neutralnych, propagandę za pokojem „bez aneksji i bez odszkodowań”.

Nigdy nie wątpiłem, że zaszczyt wynalazku tego pokoju bez aneksji należy do socjalnej demokracji niemieckiej, jakkolwiek ta się do niego nie przyznawała i siedziała cicho. Po wojnie dopiero się nim pochwaliła. Trudno o jaskrawszy przykład roboty socjalistów wszystkich krajów dla Niemiec, pod komendą niemieckiej demokracji socjalnej.

Dla bezkrytycznych mas, zahipnotyzowanych hasłami socjalistycznymi, nie mogło być nic piękniejszego, sprawiedliwszego, bardziej prowadzącego do urzeczywistnienia ideału powszechnego pokoju, jak pokój „bez aneksji i bez odszkodowań”. Ale jakże się ten pokój przedstawiał ludziom myślącym nie hasłami, nie pustymi słowami – ludziom myślącym realnie i posiadającym choć odrobinę wyobraźni politycznej?...

Bez odszkodowań – to znaczy bez odszkodowań dla sprzymierzonych, bo Niemcy u siebie wojny prawie nie miały i prawie nic im nieprzyjaciel nie zniszczył. Tymczasem one same we Francji, w Belgii, w Polsce dokonały nie tylko zniszczenia, które z konieczności towarzyszy wojnie, ale niszczyły celowo, z planem, żeby byt gospodarczy przeciwnika podciąć, zwłaszcza zaś przemysł jego zlikwidować i uczynić te kraje na przyszłość niewolnikami przemysłu niemieckiego. Do tego przybyła jeszcze kampania łodzi podwodnych niemieckich, niszcząca flotę handlową innych krajów i przygotowująca po wojnie nieomal monopol dla niemieckiej. Łatwo zrozumieć, że takie zakończenie wojny smakowało socjalistom niemieckim: gdyby inne kraje zmuszone były żyć na przyszłość niemieckim przemysłem i niemieckimi środkami przewozowymi, byłby to nie tylko raj dla kapitału niemieckiego, ale i robotnik niemiecki nieźle by na tym zarobił. Zdobywszy te olbrzymie zyski, Niemcy nie potrzebowałiby nic płacić, bo pokój byłby bez odszkodowań. Pociągnęłyby to, naturalnie, za sobą ruinę innych krajów, nie tylko bankructwo ich kapitalistów, ale także, i to przede wszystkim, wygłodzenie ich mas robotniczych. A jednak socjaliści innych krajów, wojujących i neutralnych, szli na to, bo im to polecono z Berlina, i masy robotnicze tych krajów, posłuszne swym przywódcom, wołały o pokój „bez odszkodowań”, o własną śmierć głodową. Bardzo pouczający obraz...

Bez aneksji – a więc Niemcy zachowują nietknięte całe swoje terytorium: Alzacja i ziemie polskie pozostają w ich posiadaniu i dalej są przerabiane na kraje niemieckie. Austro-Węgry i Turcja pozostają też nietknięte terytorialnie, z komendą niemiecką nad nimi, która już nie cofnęłaby się z postępów zrobionych podczas wojny. Rosja pobita, przechodząca kryzys wewnętrzny prowadzący ją do rozkładu, a więc usunięta z pola współzawodnictwa mocarstw na czas dłuższy. To oznaczało ostateczne ujarzmienie przez Niemcy bezpośrednio czy pośrednio – za pomocą Austro-Węgier – państw bałkańskich. Wreszcie Polska, w postaci miniaturowego Królestwa Polskiego, *angegliedert*⁴⁹, przy największych nawet pozorach niezawisłości pozostająca pod ścisłą kontrolą Niemiec i służąca ich celom dopełniałaby całości. *Mittleuropa* gotowa, Niemcy panami połowy, a po nieuniknionym ujarzmieniu Rosji – dwóch trzecich Europy, droga do Zatoki Perskiej i do Kanału Sueskiego dla nich otwarta...

Któż by wtedy śmiał im się przeciwstawić? I gdzież by się znalazł wówczas tak naiwny Polak, żeby w podobnych warunkach marzyć o niepodległości swej ojczyzny, o ocaleniu bytu Polski jako wielkiego narodu?...

⁴⁹ *Angegliedert* (niem.) – wcielona, włączona. [red.]

A przecież dzięki wyteżonej akcji socjalistów całego świata niebezpieczeństwo takiego rozwiązania było bardzo bliskie. Pracowano dla niego i w samej Polsce.

Wiosna roku 1917 była jednym z najgroźniejszych dla naszej sprawy momentów w ciągu całej wojny.

W owym czasie obawa, ażeby nie wziął góry płytka radykalizm w krajach sprzymierzonych, wyzyskiwany umiejętnie przez Niemcy – których Socjalna Demokracja mobilizowała towarzyszy całego świata, a których katolicy usiłowali przez Watykan pozyskać dla sprawy pokoju opinię katolicką innych krajów – żeby bezmyślny pacyfizm nie narzucił pokoju, który byłby ogromnym zwycięstwem politycznym Niemiec, a klęską sprzymierzeńców, ta obawa męczyła nie tylko nas, ale wszystkich w Europie ludzi, którzy rozumieli istotę tej wojny. Politycy myślący realnie robili wówczas wszystko, żeby niebezpieczną propagandę sparaliżować. Niestety, mieli nieraz związane ręce przez działania zakulisowe tajnych organizacji, które politykę państw pod wpływami obcymi wykolejały.

Korzystając wówczas z tego, że na czele polityki zagranicznej Anglii stał Balfour – doświadczony mąż stanu, głęboko pojmujący położenie międzynarodowe i zadania wojny – starałem się jak najdokładniej naświetlić mu kwestię polską, jej istotę, jej położenie w tej wojnie, wykazać, jak wiele zależy od właściwego jej rozwiązania.

Wkrótce po rozmowie 25 marca w sprawie proklamowania niepodległości Polski, złożyłem mu memoriał wykazujący, że Rosja nie była zdolna do rozwiązania kwestii polskiej, że musi ono być dziełem państw zachodnich, że to jest największa kwestia polityki europejskiej, że wreszcie dla osiągnięcia celów tej wojny trzeba zbudować Polskę silną, zdolną do odgrywania roli samoistnej w położeniu międzynarodowym. W tym memoriale już postawiłem program terytorialny Polski (późniejszy program Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu), wykreśliłem w ogólnych zarysach granice Polski zarówno na wschodzie, jak na zachodzie. Dodałem do niego notatkę o postawie Rosji w kwestii polskiej od początku wojny.

Tu muszę jak najmocniej stwierdzić, że te i późniejsze akty z naszej strony nie były żadną zasadniczą zmianą w naszym stosunku do Rosji. Ludzie rozumni na Zachodzie, którzy zdawali sobie sprawę z położenia, widzieli, że jest to konsekwentny, zgodny z założeniami rozwój naszej polityki w zastosowaniu do zmian w położeniu ogólnym. Jeżeli starają się to przedstawić inaczej niektórzy ludzie w Polsce, to mamy tu do czynienia jedynie ze zwykłym przejawem płytkiego szachrajstwa politycznego, które, nie licząc się wcale z dobrem kraju, wysiła się tylko na wykazywanie dziur w znieawidzonej polityce⁵⁰.

Od początku tej wojny, przez cały czas jej trwania i podczas konferencji pokojowej polityka nasza ani chwili nie zwracała się przeciw Rosji jako takiej, ale też ani chwili nie służyła czy Rosji, czy komukolwiek innemu, służyła tylko Polsce. Duchem naszej polityki

⁵⁰ Patrz: Aneksy VI i VII.

od jej narodzenia się było to, co Balicki nazwał „niepodległością wewnętrzną” i o czym tak wiele i tak mądrze pisał. Nie mieliśmy państwa, aleśmy politykę polską pojmowali tak niezależnie, jak gdyby ono istniało. Bo istniało ono w naszych duszach.

Byłoby to wprost samobójstwem politycznym, gdybyśmy – w chwili, kiedy widzieliśmy początek rozkładu Rosji, który jej musiał uniemożliwić odegranie poważniejszej roli w drugiej połowie wojny – nie powiedzieli państwom zachodnim prawdy, nie ostrzegli ich przed tym, co im grozi na wschodzie Europy. Byłoby pracowaniem dla Niemców, gdybyśmy, widząc niewątpliwą w krótkim czasie (i nie wiadomo na jak długo) upadek Rosji, o nią się opierali przeciw Niemcom i nie starali się zdobyć dla Polski jak najsilniejszego stanowiska, ażeby się móc w tych nowych, niesłychanie trudnych warunkach Niemcom przeciwstawić.

Nasza polityka była od początku jedyną samoistną, od nikogo niezależną polityką polską, i taką pozostała. Dlatego żadne zwroty, żadne zmiany frontu nie były jej potrzebne; wystarczyło mieć oczy otwarte, widzieć, co się dzieje, i rozwijać swe działanie zgodnie z postępowaniem wypadków.

Dwa mówiące po angielsku narody – jeden europejski, ale w swych szerokich kołach mało obeznany ze sprawami środkowoeuropejskimi, drugi amerykański, nieznający tych spraw wcale – najbardziej podatne były na propagandę pokoju bez aneksji. Opinia tych narodów, zwłaszcza amerykańska, nie zdawała sobie sprawy z tego, że taki pokój byłby wielkim zwycięstwem Niemiec. Propaganda pacyfistyczna te dwa kraje za główny cel sobie wzięła.

Niebezpieczeństwo wynikające z nieznaności spraw środkowoeuropejskich i grożące przedwczesnym pokojem, podyktowanym przez powierzchowny liberalizm i źle ulokowany humanitaryzm, stało mi przed oczyma od chwili, kiedy zacząłem pracować na gruncie państw zachodnich. Po rewolucji wszakże rosyjskiej i po wstąpieniu Ameryki w szereg państw wojujących, stało się ono tak wyraźne, iż zrozumiałem, że jeżeli się wszystkich sił nie użyje do walki z nim, klęskowy pokój może bardzo łatwo stać się rzeczywistością. Zrozumiałem, że w tej walce Polacy muszą spełnić to, co do nich należy. Mając takie jak Polska stanowisko obserwacyjne w środkowej Europie, musieliśmy widzieć rzeczy niewidoczne dla innych; myśląc o przyszłości swej ojczyzny, musieliśmy przemyśleć wiele spraw z nią związanych, spraw, które się nie nasuwały uwadze polityków zachodnioeuropejskich, których oni skutkiem tego tak jak my nie przemyśleli. Naszym tedy obowiązkiem było pokazać w świetle rzeczywistych stosunków, czym byłby pokój przedwczesny, pokój bez aneksji, przedstawić istniejący stan rzeczy i widoki na przyszłość w Europie Środkowej, uwydatnić na tym tle znaczenie Polski, przekonać o konieczności przebudowy Europy i szerokiego, pełnego rozwiązania kwestii polskiej.

Potrzebne to było zwłaszcza dla opinii angielskiej i amerykańskiej.

Postanowiwszy zadośćuczynić tej potrzebie i spełnić polski obowiązek, zabrałem się zaraz po rewolucji rosyjskiej do pisania rzeczy *O zagadnieniach środkowo- i wschodnio-*

europjskich (*Problems of Central and Eastern Europe*)⁵¹. Nie chcąc budzić zawczasu czujności Niemców, postanowiłem tej rzeczy nie publikować w książce, tylko wydrukować ją na zasadach manuskryptu i rozpowszechnić poufnie między politykami i kierownikami opinii w Anglii i Ameryce.

Praca moja zbliżała się ku końcowi, kiedy wypadł wyjazd Balfoura do Ameryki. Głównym celem tej podróży najpoważniejszego polityka Anglii było niewątpliwie uświadomienie ludzi stojących u steru rządu Stanów Zjednoczonych co do istoty wojny europejskiej i jej zadań. Pospieszyłem tedy z ukończeniem mej rzeczy, ażeby ją dać do ręki angielskiemu mężowi stanu przed jego wyjazdem. Ostatnią część odbitego na maszynie tekstu zaledwie zdążyłem posłać mu na pokład statku.

Pospiech okazał się pożyteczny. Balfour po wylądowaniu w Ameryce kazał moją rozprawę odbić w odpowiedniej liczbie egzemplarzy i doręczyć najważniejszym ludziom w Stanach Zjednoczonych. Był to dobry znak. Świadczyło to, że polityka angielska nie tylko daleka jest od myśli o przedwczesnym pokoju, ale że uznaje potrzebę gruntownej przebudowy Europy Środkowej. Dla sprawy polskiej w szczególności było rzeczą niemałej wagi, że polski pogląd na zadania wojny wzięty został pod uwagę w porozumieniu angielsko-amerykańskim co do tych zadań.

Ja tymczasem przerobiłem i uzupełniłem rzecz w pośpiechu wykończoną i oddałem ją do druku. Znajdowała się ona w drukarni, gdy po powrocie Balfoura z Ameryki zapytano mnie z jego polecenia, czy zgadzam się na wydrukowanie jej przez *Foreign Office*. Odpowiedziałem, że nowy, poprawiony tekst jest już w druku i że dostarczę *Foreign Office* tyle egzemplarzy, ile mu będzie potrzeba.

W lipcu rozesałem moją rzecz kilkuset ludziom w Anglii i Ameryce, mającym wpływ na politykę lub na opinię publiczną w tych krajach. Było to rzeczą dla sprawy naszej bardzo pomyślną, że wielu ludzi wybitnych w Anglii uznało ją za najlepsze oświetlenie istoty tej wojny i sformułowanie jej zadań. W Ameryce, kiedy tam przyjechałem jesienią roku 1918, od niejednego z ludzi, którzy rozprawę moją czytali, usłyszałem, że dopiero po przeczytaniu jej zdali sobie dobrze sprawę z tego, o co się prowadzi wojnę w Europie. W tej rozprawie odezwał się po raz pierwszy szerzej głos polski o zagadnieniach ogólnych wielkiej wojny. I dobre było dla sprawy polskiej, że głos ten potraktowano jako jeden z najpoważniejszych.

Zaproponowano mi opublikowanie tej rzeczy jako książki przez Cambridge University Press, wolałem wszakże, żeby pozostała ona przez czas wojny dokumentem poufnym. Nie chciałem, ażeby Niemcy zanadto były przygotowane do walki z programem polskim, żeby za wcześnie puściły w ruch wszystkie swoje wpływy w krajach

⁵¹ Patrz: Aneks VIII.

sprzymierzonych dla przeciwdziałania naszemu programowi. Wpływy te bardzo wysoko szacowałem i, jak się potem okazało, nie myliłem się⁵².

Obserwowanie przebiegu kampanii za pokojem bez aneksji było niesłychanie pouczające. Jak powiedziałem, głównie liczyła ona na Anglię i Stany Zjednoczone. We Francji wszakże praca też była prowadzona bardzo intensywnie. Był to moment najwyższego napięcia defetyzmu, roboty agentów niemieckich, jak Bolo-pasza, Landau, Almereyda i inni, intryg pokojowych p. Caillaux...

Reakcja wszakże przeciw propagandzie pokojowej szybko rosła w siłę. We Francji gabinet Brianda – pod którego rządami defetyzm kwitł bujnie – padł. Jego miejsce zajął Ribot, ale już zaczęto mówić o przyjsciu Clemenceau, a z nim stanowczej decyzji prowadzenia wojny do zwycięstwa i ostrej akcji przeciw propagandzie pacyfistycznej. W Anglii i Ameryce szły przygotowania do większego udziału w wojnie na kontynencie.

Zaczęliśmy się czuć mocniej, mieć prawie pewność, że wojna jeszcze długo potrwa i zakończy się zwycięstwem, które będzie zarazem zwycięstwem Polski.

Ten zwrot na korzyść należytego zakończenia wojny przychodził w chwili, kiedyśmy już wystąpili z pełnym programem polskim, wykreślającym terytorium przyszłego państwa polskiego, i w znacznej mierze przygotowali umysły do jego przyjęcia przez mocarstwa. Największe wysiłki w tym zakresie zrobiliśmy w Anglii, bo tam najwięcej było to potrzebne. Ta praca na gruncie angielskim była niezbędnym warunkiem możliwości urzeczywistnienia naszego programu po zakończeniu wojny.

Rządy państw zachodnich miały już swobodę stosunków oficjalnych z nami i swobodę inicjatywy w kwestii polskiej. Staraly się one nie zrażać Rządu Tymczasowego w Rosji, powoływały się w wysokich terminach na jego manifest, ilekroć zabierały głos w sprawie polskiej, ale treść i ton wynurzeń świadczył już, że sprawa nasza stała się jednym z głównych punktów programu celów wojny, za którego wykonanie wszystkie mocarstwa biorą odpowiedzialność i którego przeprowadzenie w całości uważają za konieczne dla swego dobra i dla zapewnienia Europy pokoju.

Wobec tego czas już nadszedł na nowy z naszej strony krok – na zorganizowanie oficjalnego przedstawicielstwa polskiego w mocarstwach sprzymierzonych oraz na akcję zmierzającą do zdobycia dla Polski stanowiska państwa sprzymierzonego i

⁵² Próby przeciwdziałania wpływowi mej rozprawy były. Jak mnie poinformowali poufnie przyjaciele angielscy, ów depcący mi po piętach Żydek galicyjski, Namier, złożył w *Foreign Office* replikę. Jak mi mówiono, dano ją do oceny jednemu z wybitnych historyków angielskich, na czym Namier źle wyszedł, bo historyk w złożonym rządowi memoriale podzielił moje poglądy i dość wysoko je oszacował.

Mniej łaskaw jest na moją pracę inny „historyk”, p. Askenazy, o którym w jednym przypisie wspominałem i który widocznie stoi blisko owego Namiera. Jego uwagi o moich *Zagadnieniach Środkowo i wschodnio-europejskich*, zamieszczone w książce usiłującej być bardzo poważną, stoją na poziomie wycieczek dziennikarskich niższego rzędu, świadcząc zarazem niezbyt pochlebnie o inteligencji politycznej ich autora.

współwołującego, uczestniczącego w zwycięstwie, a tym samym do zapewnienia sobie udziału przy zawieraniu pokoju po skończonej wojnie.

Rzecz to była łatwiejsza dla pierwszego lepszego małego narodku niż dla nas. Trudność leżała w istnieniu Królestwa Polskiego ustanowionego przez Niemcy, w ogłaszaniu się jego Rady Stanu za prawowity rząd polski, wreszcie w organizowanej na gruncie tego Królestwa „armii polskiej”. Stwarzano pozory, że Polska oficjalnie stoi w obozie państw centralnych. Po zwycięstwie sprzymierzeńców logika musiała wskazać jej miejsce w szeregu zwyciężonych... Trzeba było szukać sposobu na obalenie całej tej fikcji i na umieszczenie oficjalne państwa polskiego w szeregu państw sprzymierzonych.

Ma się rozumieć, nie tego państwa, które stworzyli i którym rządzili Niemcy.

II. AKTYWIZM W POLSCE OD WIOSNY 1917 ROKU

Aczkolwiek wojna była wywołana przez zamach Austrii na Serbię, na który Rosja odpowiedziała mobilizacją – ani Austria, ani Rosja nie grały w niej głównej roli. O wiele większa rzecz była w grze niż starcie interesów rosyjskich z austriackimi na Bałkanach.

Od początku było widoczne, że to jest wojna o panowanie Niemiec nad światem i że głównymi mocarstwami przeciwstawiającymi się ambicjom niemieckim są Francja i Anglia. Od samego początku była to wojna przede wszystkim między Niemcami a Francją i Anglią. Drugorzędną w niej rolę grała zarówno Austria, która była właściwie narzędziem Niemiec, jak Rosja, która skutkiem charakteru sfer w niej rządzących nie była zdolna Niemcom należycie się przeciwstawić i której rząd, wbrew dążeniom opinii publicznej, ciągle szukał sposobności do zawarcia pokoju. Tak na tę wojnę patrzyli wszyscy, którzy mieli pojęcie o stanie rzeczy w Europie Środkowej i Wschodniej.

W tej wojnie, która się zaczęła od wielkiej ofensywy niemieckiej przez Belgię na Francję i która przez cały czas rozgrywała się głównie na polach Francji, o udziale innych narodów po jednej czy drugiej stronie decydował przede wszystkim ich stosunek do Niemiec i do dwóch mocarstw zachodnich. Państwa ciężące ku Niemcom lub od nich uzależnione bądź sprzymierzyły się z nimi, bądź, zachowując neutralność, wyraźnie z nimi sympatyzowały. Te zaś państwa, którym wzrost potęgi niemieckiej wyraźnie zagrażał lub które były w ten czy inny sposób związane z Francją i Anglią, stały w obozie przeciwnym.

Polityka polska, która od początku wojny wystąpiła wyraźnie przeciw Niemcom i oświadczyła swą solidarność z Rosją, z tą Rosją, która dążyła szczerze do zwycięstwa nad Niemcami – a więc nie z jej germanofilskim rządem – tym samym znalazła się w obozie angielsko-francuskim. Te zaś żywoły w Polsce, które oświadczyły się za Austrią, znalazły się w obozie niemieckim, przeciw Anglii i Francji.

Jeżeli nie posiadały one dość jasnego pojęcia o położeniu, żeby to widzieć od początku, jeżeli przez półtrzecia roku mogły wmawiać w siebie i w innych, że walczą tylko przeciw Rosji, to wiosna roku 1917 przyniosła takie wyjaśnienie sytuacji, że dalsze nieporozumienia były niemożliwe.

Rosja rozpoczęła u siebie rewolucję, która ją szybko rozkładała, dopóki jej całkiem nie wycofała z wojny; zresztą, wkrótce po upadku starego rządu oficjalnie uznała prawo Polski do posiadania własnego, niepodległego państwa. Austria ujawniła w całości swą zależność od Niemiec i swą bezsilność w kwestii polskiej; poza tym widząc, że tej wojny już długo nie wytrzyma, tęskniła za pokojem. Na równi z Turcją i Bułgarią, wlokła się ona za Niemcami jako wierny, pozbawiony głosu wasal. Wojnę prowadziły Niemcy. Po przeciwnej stronie walczyły Francja, Anglia, Włochy, Stany Zjednoczone, Japonia, Belgia itd.

I przedmiot wojny stał się już całkiem wyraźny. Niemcy usiłują ocalić i utrwalić swoją *Mitteleuropę*, pozostać panami w Europie Środkowej, z włączeniem do niej Polski,

na Bałkanach i w Azji Zachodniej; ich przeciwnicy dążą do zniszczenia tego planu, do wyzwolenia spod panowania Niemiec wszystkich ujarzmionych przez nie czy uzależnionych od nich narodów.

Zaczęła się jakby nowa wojna, wojna, o której dla Polski tylko poeci mogli marzyć. Główny wróg Polski, Niemcy, broni swego panowania nad nią, pomaga mu drugie państwo rozbiorcze, Austria, trzecie zaś, Rosja, zrzekłszy się panowania nad Polską, leży w bezwładzie. Przeciw Niemcom walczą o wolność narodów, między innymi o zjednoczenie i niepodległość Polski, wszystkie narody Zachodu, ku którym Polska zawsze się zwracała i w których pokładała swe nadzieje...

To już nie było jakieś zawikłane położenie, w którym tylko wytrawni politycy mogą się orientować: sprawa stała się prosta, jasna, przemawiająca do duszy ludzi najdalej nawet stojących od polityki.

Gdyby ktoś dawnym naszym marzycielom i bojownikom o wolność Polski przepowiedział taką wojnę, o jedno by tylko pytali: czy jej dożyją?... A na przepowiednię, że będą ludzie w Polsce, którzy w tej wojnie staną w imię ojczyzny po stronie jej morderców, przeciw wszystkim wielkim narodom świata, rzuciliby mu w oczy, że kłamie.

A jednak upadek aspiracji i myśli politycznej oraz rozrost obcych wpływów w Polsce i do tego doprowadził.

W rozwoju wypadków i sytuacji politycznych jest o wiele więcej logiki, niż się to przy powierzchownym patrzeniu wydawać może. Za często przypisujemy przypadkowi to, co jest tylko nieuniknionym skutkiem przyczyn, których nie umieliśmy dostrzec. Dopóki ludzie, którzy się znaleźli w tym potwornym położeniu, że stali po stronie największego wroga Polski przeciw narodom, wśród których jedynie mogliśmy znaleźć przyjaciół i sojuszników, nie rozumieją, że to nie przypadek ich w to położenie postawił, ale że ich postępowanie od początku prowadziło do niego nieuchronnie, dopóty nie będą uleczeni.

Polityka oparta na fałszywych przesłankach lub będąca wynikiem nielogicznego wnioskowania musi prędzej czy później dojść do oczywistego absurdu.

A ileż było tych fałszywych założeń, z których wynikł aktywistyczny absurd, tak jaskrawo uwydatniony od wiosny roku 1917. Po pierwsze: Polska nie ma żadnych widoków odzyskania swych granic na zachodzie i dotarcia z powrotem do Bałtyku – tylko ludzie nierealni, głupcy lub szalbierze polityczni mogą o tym mówić. Po wtóre: Polska nie może stać się całkowicie niezawisłym państwem – może ona zdobyć maksimum swej niezawisłości tylko w składzie monarchii habsburskiej lub przyczepiona do Niemiec i pod ich kuratelą. Po trzecie: najniebezpieczniejszym wrogiem Polski jest Rosja. Po czwarte: Austria ma swoją, niezależną, wielką politykę, do której należy rozwiązanie kwestii polskiej, i zdolna jest swoje plany urzeczywistnić. Po piąte: Prusom nie przeszkadza swobodny rozwój narodu polskiego i wzrost jego sił, o ile ten naród zrzeknie się Poznańskiego, Pomorza i Śląska. Po szóste: sojusz Niemiec i Austro-Węgieł jest taką potęgą, że żadna koalicja nie zdoła jej zwyciężyć. Po siódme: Polacy nie są już narodem,

który może sobie pozwolić na uczciwą politykę narodową, nakazującą sojusz z tymi, z którymi ich łączą interesy, a walkę z tymi, którzy najwięcej polskiemu dobru zagrażają – dla nich najlepsza jest polityka Żydów, która każe zawsze być po stronie zwycięzcy.

Można by tę litanię jeszcze dalej ciągnąć. Ta lista przesłanek, z których budowali swe polityczne sylogizmy rozmaitego typu stronnicy państw centralnych w Polsce, wystarczyła aż nadto na rodowód jednej z największych nedorzeczości politycznych, jakie świat widział.

Przeciętnemu, prostemu człowiekowi w Polsce, który wiedziony zdrowym instynktem narodowym od początku wojny zachowywał się odpornie względem orientacji austriackiej i aktywizmu – pomimo przyprawy „niepodległościowej”, w jakiej mu je podawano – od wiosny roku 1917 ten absurd polityczny tak się wyjaskrawił, że stracił on cierpliwość i przeszedł do ataku. Opinia publiczna zaczęła wywierać tak silny nacisk na żywo politykujące po stronie państw centralnych, że dla wytrwania na obranej drodze musiały się już zdobywać na niemały wysiłek. Czyniły to z uporem godnym niewątpliwie lepszej sprawy.

Starają się one przede wszystkim zdobyć ustępstwa ze strony Niemiec, które dałyby im silniejszy grunt pod nogami. A że Niemcy z ustępstwami się nie kwapią, więc psuć się zaczyna stosunek między władzami niemieckimi a polską Radą Stanu, która się spostrzega, że jej przeznaczono rolę figurantów.

Zaczął się od nieporozumień na gruncie sprawy „armii polskiej”. Niemcy do werbunku zaprosili Polaków, ale organizację armii wzięli całkowicie w swoje ręce. Według ich planu żołnierz miał być polski, ale armia niemiecka. Byli wśród działaczy polskich tacy, którzy się na to godzili i w tym planie gotowi byli współdziałać, ale szerszym kołom, nawet w obozie aktywistycznym, taka perspektywa się nie uśmiechała. Tym mniej, że przy takim charakterze tworzonej armii trudno było przy werbunku odwoływać się do patriotyzmu młodzieży. Był i tu sposób – pobór przymusowy, i tego niektórzy chcieli, ale kto wie, czym by się ten pobór skończył, gdyby do niego doszło.

Później przyszły sprawy kompetencji Rady Stanu, stworzenia narodowej reprezentacji z wyboru i opartego na niej rządu, wreszcie ustanowienia regenta do czasu, dopóki kraj nie będzie miał króla.

Niemcy wobec tych wszystkich żądań zachowywali się przez dłuższy czas bardzo odpornie. Jeden z powodów tego wskazał Wilhelm w rozmowie z Berchtoldem i Andrianem, gdy ci dyplomaci austriaccy przyjechali w początku maja powiedzieć mu, że cesarz Karol nic by nie miał przeciw temu, żeby regentem Królestwa Polskiego został arcyksiążę Karol Stefan.

Naiwność austriacka jeszcze wtedy przypuszczała, że Niemcy na to organizują Królestwo Polskie, żeby w nim posadzić na tronie Habsburga. Powiedział im wtedy cesarz

niemiecki, że żadnego nowego *fait accompli*⁵³ nie dopuści w Polsce, dopóki widzi możliwość dojścia do pokoju z Rosją.

I po rewolucji Niemcy szukali drogi do osobnego pokoju z Rosją, i wtedy jeszcze myśleli, żeby w tym pokoju sprawę polską pogrzebać.

Tymczasem w obliczu nowej wojny, w której kwestia polska tak jasno stanęła, Polacy nabierali nowej wiary w swą sprawę i aspiracje narodowe w kraju szybko rosły.

W drugiej połowie maja Koło Polskie w Wiedniu – na wniosek posła Włodzimierza Tetmajera, z najsilniejszego w Kole Stronnictwa Ludowego – uchwała, że kwestia polska jest międzynarodowa i że Koło solidaryzuje się z jedynym dążeniem narodu polskiego „do odzyskania Polski niepodległej, zjednoczonej, z dostępem do morza”. Uchwałę ponawia na zjeździe w Krakowie Koło sejmowe, złożone z posłów na Sejm i do Rady Państwa, a za uchwałami tymi idą adresy do Koła ze wszystkich stron Galicji i Księstwa Cieszyńskiego.

Tak w samej siedzibie Naczelnego Komitetu Narodowego odbył się wielki pogrzeb jego polityki przy entuzjastycznej manifestacji tłumu.

Najwcześniejszy w tej wojnie absurd polityczny został zlikwidowany.

Smutny był los czynnego wyrazu polityki Naczelnego Komitetu Narodowego – Legionów Polskich po stronie austriackiej. Zrezygnowawszy wcześniej z wielkiego tytułu: „Wojsko Polskie”, otrzymawszy w drodze ustępstwa nazwę „korpusu pomocniczego polskiego” przy armii austriackiej, pędziły one żywot, pełen przejść bardzo pouczających dla stronników państw centralnych w Polsce.

Państwa te nie chciały uznać legionów za zawiązek armii polskiej, którą Niemcy usiłowały stworzyć i której organizację postanowiły utrzymać w rękach niemieckich. Gdy wreszcie władze niemieckie doszły do przekonania, że niepodobna Polakom walczącym w legionach odmówić zaliczenia do armii polskiej, dowiedzieli się legioniści, że nie są wszyscy jednakowymi Polakami. Podzielono ich na *Nationalpolen* i po prostu *Polen*. Pierwsi, pochodzący z zaboru rosyjskiego, a więc przeznaczeni na obywateli nowo ustanowionego Królestwa, mieli prawo służyć w armii polskiej; drudzy, jako obywatele austriaccy, mogli być tylko czasowo w niej używani.

Ta nomenklatura, nawiasem mówiąc, była wymowna. Wyrażała ona przyszłość Polski, jaką jej gotują państwa centralne. Naród polski rozkawałkowany: Polacy dotychczasowego zaboru rosyjskiego, w granicach jeszcze problematycznych – to *Nationalpolen*, naród polski, posiadający własne państewko, z pozorami niezawisłości; w zaborze austriackim – to już *Polen*, którzy nie są *national*, to jedna z narodowości austriackich; w zaborze zaś pruskim – *Preussen polnischer Zunge*, Prusacy mówiący po polsku. Piękna przyszłość, za którą warto było krew polską przelewać!...

⁵³ *Fait accompli* (fr.) – fakt dokonany. [red.]

„Korpus pomocniczy polski” ponownie został przekazany pod komendę pruską, i postanowiono znów go wysłać na front, żeby nie zawadzał w kraju i żeby jak najmniej z niego zostało.

Nie mniej pouczające były losy organizatora legionów, Piłsudskiego. Po opuszczeniu legionów, z których na jego żądanie udzielono mu dymisji, został mianowany członkiem Rady Stanu. Tam spodziewał się zostać polskim ministrem wojny i wziąć w ręce armię polską. Trudno wszakże było odegrać tę rolę w rządzie, który nie rządził i któremu nie pozwolono dotykać spraw wojskowych. Po bezowocnych wysiłkach Rady Stanu zdobycia jakiegokolwiek wpływu na organizację armii, podał się i tu do dymisji. Mając drogę oficjalną do kierowania wojskiem zamkniętą, spróbował konspiracyjnej i powołał na nowo do tajnego działania Polską Organizację Wojskową (stworzoną przed wojną w celu wywołania po wstaniu w Królestwie), co widząc Niemcy, skorzystali z pierwszej sposobności i zamknęli go w Magdeburgu, gdzie przesiedział do końca wojny.

Tak Niemcy dokończyli likwidacji polityki z wielkim hałasem proklamowanej w Krakowie na początku wojny, polityki wzywającej rodaków w Królestwie do powstania dla zdobycia „niepodległości” ... w łonie monarchii habsburskiej.

Cała polityka polska oparta o Austrię przestała istnieć. Pozostawała tylko jeszcze likwidacja samej Austrii...

Bilans tej polityki krótki: rozdwojenie myśli politycznej i dążeń polskich w wielkiej, epokowej wojnie i osłabienie polityki polskiej w chwili, gdy się decydowały losy narodu na pokolenia; zużycie szeregu zdolnych sił, które w służbie sprawy polskiej mogły w tej doniosłej chwili przynieść niemały pożytek; wymarnowanie znacznej liczby patriotycznej młodzieży w walce za sprawę wroga. Całe szczęście, że nie przyniosła ona głównego rezultatu, którego po niej oczekiwano w Berlinie – pokoju Rosji z państwami centralnymi, a z nim śmiertelnego ciosu wymierzonego Polsce.

Ten koniec krakowskiego przedsięwzięcia politycznego nie był wynikiem okoliczności przypadkowych. To była konieczność dyktowana przez nieubłaganą logikę rzeczy. Wszelkie zamki budowane na lodzie taki los spotyka.

Politykę tę zrodziły: niebywałe zacieśnienie widnokągu politycznego, zarozumiałość i lekceważenie własnego narodu, traktowanie go jako stada, które wszędzie się da zapędzić. Te właściwości znamionowały dwa obozy, które się połączyły, by w tej wojnie politykę austriacką Polsce narzucić: stronnictwo konserwatywne krakowskie i Polską Partię Socjalistyczną. Pomimo odległości dzielącej ich dążenia społeczne, ich psychologia polityczna przedstawiała tyle wspólnego, że umożliwiło im to dokonanie razem niedorzeczności, która przy większych wpływach tych obozów mogła się okazać dla Polski zabójcza.

Polityka ta miała jedną rzecz wspólną z polityką Niemców – i jedna, i druga nie doceniały społeczeństwa polskiego, nie rozumiały jego psychologii; i jedna, i druga widziały to społeczeństwo takim, jakie było ono w pokoleniach już wymarłych: politycznie naiwnym, dającym się brać na wielkie słowa z małą treścią, na szumne hasła,

na tytuły, na pieczęcie. Niemcy operowali „wyzwalaniem ludów uciskanych przez Rosję”, „Królestwem Polskim”, „armią polską”, „Radą Stanu”, „Regencją” – akcja krakowska rzucała wielkie słowa: „niepodległość”, „wojsko polskie”, „Naczelny Komitet” w Krakowie, „Rząd Narodowy” w Warszawie... I jedni, i drudzy myśleli, że pokolenie polskie, z którym mają do czynienia, nie nauczyło się jeszcze szukać poza wyrazami właściwej ich treści. I jednych, i drugich spotkał zawód. Niemcy przy wszystkich „dobrodziejstwach”, jakimi obdarzyli Polskę, społeczeństwa polskiego nie pozyskali i nie zużytkowali do swoich planów; polityka austriacka w Polsce nie pociągnęła społeczeństwa do zabójczych głupstw, do których wzywała, i w połowie wojny doszła do ostatecznej likwidacji, skutkiem tego, że się oparła o Austrię, która sama na własnych nogach utrzymać się nie mogła.

Od Austrii było odwołanie tylko do jej potężnego sojusznika. Po ostatecznej likwidacji polityki austrofilskiej w Polsce pozostała na placu już tylko polityka germanofilska, szukająca oparcia w najniebezpieczniejszym wrogu Polski, przygotowującym nowe formy jej ujarzmienia i będącym w walce z narodami niosącymi nam wyzwolenie.

Pomimo wszystko, co się stało wiosną 1917 roku, pomimo całego wyjaśnienia sprawy polskiej, jakie wówczas nastąpiło, pozostała w Polsce grupa ludzi pracujących na rzecz rozwiązania sprawy polskiej przez Niemcy, współdziałająca z Niemcami do zwycięstwa nad sprzymierzonymi narodami – a jeżeli nie do zwycięstwa, to przynajmniej do zawarcia pokoju, który by pozostawił w rękach Niemiec środkową Europę włącznie z Polską – używającą różnych środków, ażeby politykę polską związaną z państwami zachodnimi zdeorganizować.

Historii działań tych ludzi nie mam zamiaru pisać. Celem moim jest uświadomić ogółowi polskiemu, jak została odbudowana zjednoczona i niepodległa Polska, jakie przyczyny ogólne na to się złożyły i jaka polityka polska do tego doprowadziła. O działaniach przeciwnych mówię na ogół tylko o tyle, o ile odgrywały one jakąś rolę, o ile w poważniejszej mierze utrudniały osiągnięcie celu, o ile wreszcie uważam to za pożyteczne dla przystosowania myśli politycznej polskiej przez unaocznienie jej zbroczeń. Unikam grzebania się w brudach, wyciągania i roztrząsania potworności, występków politycznych, załatwiania rachunków politycznych z ludźmi, którzy mi rzucali kamienie pod nogi. To wszystko mi jest niepotrzebne dla ogólnego celu, który sobie postawiłem.

O ludziach, którzy wytrwale stali przy Niemcach, pomimo że już nie było mowy o walce z Rosją, że cele niemieckie już były dla wszystkich jasne, że wreszcie państwa będące w walce z Niemcami równie jasno wypowiedziały swe dążenie do wyzwolenia Polski – można by napisać całe studium, będące pouczającym przyczynkiem do patologii politycznej społeczeństwa polskiego w ostatnich latach niewoli. Można by ich rozklasyfikować: można by wskazać jednych, którzy byli nierozzerwalnie związani z Niemcami, uzależnieni od nich bądź przez tajne stowarzyszenia, bądź na innej drodze; innych – którzy mało myśleli o tym, co będzie z Polską, a dużo o tym, kto w niej będzie rządził, i trzymali z Niemcami w nadziei, że Niemcy ich przy władzy utrzymają; innych –

którzy ani o Polsce nie umieli myśleć, ani o władzę nie byli zdolni walczyć, którzy jak dzieci cackami bawili się otrzymanymi tytułami i pozorami wielkiej roli, i obawiali się, żeby ta zabawa się nie skończyła; innych wreszcie – którzy we własnej ojczyźnie byli kondotierami, idącymi do osobistej kariery bez względu na to, że kraj za to zapłaci...

Ludzi podobnych typów można znaleźć w mniejszym lub większym odsetku wszędzie, tylko nie wszędzie warunki im pozwalają zejść tak daleko w niedorzeczności i wyrządzić tyle szkody. Jak na nasze fatalne warunki, to jeszcze trzeba dziękować Bogu, że większe zło z ich działania nie wynikło.

My, jako naród, mamy ogromną żywotność i wiele zdrowego instynktu samozachowawczego, ale nasze życie polityczne nie było zdrowe, w znacznej mierze skutkiem przyczyn od nas niezależnych, i były w nim pewne rysy nadzwyczaj niebezpieczne. Wskażę z nich trzy, które w zboczeniach politycznych tej wojny odegrały główną rolę.

Po pierwsze, nie byliśmy nigdy narodem umysłowo bardzo samodzielnym: zawsześmy łatwo przyjmowali to, co przychodziło z zewnątrz, i miało ono w naszych oczach zazwyczaj większą wartość niż to, co swoje. W polityce to się wyrażało w łatwym uleganiu obcym wpływom, obcym natchnieniom, nawet wtedy, gdy te nas pchały do działania na własną szkodę.

Po drugie, niewola nas zmuszała do myślenia o polskich krzywdach, o niedomaganiach polskiego życia, ale oduczała nas od myślenia o Polsce, odbierała nam odwagę myślenia o niej jak należy. Tylko niewielu ludzi u nas umiało się zdobyć na szerszą myśl polską i na polską politykę – inni nawet zrozumieć jej przeważnie nie mogli.

Wreszcie po trzecie – co najważniejsze – naród pozbawiony własnego państwa może się ratować tylko wysoką karnością wewnętrzną, surową opinią publiczną, która ludziom małym i łotrom nie pozwala działać na szkodę kraju. Otóż tę karność wewnętrzną udało się utrzymać na dość wysokim poziomie tylko w jednej dzielnicy, w zaborze pruskim, niezawodnie w znacznej mierze dlatego, że tam społeczeństwo polskie było czysto polskie, że nie weszli do jego wnętrza Żydzi, którzy we wszystkich krajach szybko rozkładają opinię publiczną. W pozostałych dwóch dzielnicach rozkład dyscypliny wewnętrznej w sprawach narodowych bardzo daleko się posunął. Zaczął się on w Galicji pod wpływem stronnictwa krakowskiego, które łamało dawną, patriotyczną etykę publiczną, żeby narzucić inną, wynikającą z wyrzeczenia się dążeń do niezawisłości; później poszedł szybko dalej pod wpływem żywiołów socjalistycznych, a sprzyjało mu wtargnięcie żydostwa na arenę życia publicznego. Ten sam proces odbył się w Warszawie, tylko z gorszym o wiele skutkiem, wobec gorszych warunków politycznych, przy braku własnych instytucji publicznych. I tu uczniowie szkoły krakowskiej wiele pracowali nad posunięciem naprzód tego rozkładu. Zbliżaliśmy się już do takiego ustroju naszego życia narodowego, w którym nie ma nic ogólnie obowiązującego, w którym za żaden czyn nie ponosi się odpowiedzialności, w którym każdemu wolno grasować po niwie politycznej polskiej w taki sposób, w jaki mu się to podoba, w którym najnikczemniejszy postępek uważa się za wyraz tylko odmiennych przekonań.

Wytworzyła się u nas liczna sfera ludzi, dla której wyrazy: „polski”, „narodowy” były wyrazami prawie pustymi, bez głębszej treści. To, co gdzie indziej uważa się za ogólnie obowiązujące pojęcia narodowe, w tej sferze należało do zakresu pojęć partyjnych: to, co powinni byli nazywać „narodowym”, „polskim”, nazywali „endeckim”...

Gdyby nie ten rozkład myśli polskiej i karność wewnętrznej, Polska inaczej wystąpiłaby w tej wojnie i inaczej by z niej wyszła. I nie bylibyśmy zmuszeni patrzeć na tyle nedorzeczności w działaniach politycznych Polaków, na tyle roboty przeciw dobru własnej ojczyzny.

III. ARMIA POLSKA WE FRANCJI I KOMITET NARODOWY POLSKI W PARYŻU

Zadanie zdobycia dla Polski miejsca wśród państw sprzymierzonych, które stanęło przed nami od wiosny roku 1917, nie było wcale proste.

Sprawa stopniowo dojrzewała. Wprawdzie zarówno państwa zachodnioeuropejskie, jak Stany Zjednoczone – starając się jeszcze wydobyć z Rosji jak największą pomoc w wojnie i licząc, że Rząd Tymczasowy zdoła związać na nowo szybko rozluźniające się węzły budowy państwowej i dyscypliny w armii – traktowały jeszcze ciągle sprawę polską, przy całym jej międzynarodowym charakterze, jako tę, w której głos przede wszystkim ma Rosja, jednakże objawy rozkładu Rosji szybko się mnożyły i wiara w utrzymanie jej jako czynnego sojusznika z dnia na dzień upadała.

Nagły cios tej wierze zadały bunty w oddziałach wojsk rosyjskich we Francji i w Salonikach, które to wojska na krótko przed rewolucją rosyjską przybyły na Zachód. Bunty te wywołały w opinii publicznej francuskiej nagły przewrót w stosunku do Rosji.

Sprawiedliwość nakazuje zaznaczyć, że odpowiedzialność za te bunty nie spada wyłącznie na Rosjan.

Z chwilą, kiedy te wojska wylądowały we Francji, okazała się potrzeba przydzielenia do nich tłumaczy francusko-rosyjskich. Tych tłumaczy zrekrutowano na ogół spośród Żydów rosyjskich, przebywających we Francji, i tym sposobem wydano żołnierza rosyjskiego na pastwę agitatorów rewolucyjnych, którzy celowo zupełnie pracowali nad wywołaniem buntu. Zapoznałem się mimo woli z tą sprawą przy rekrutowaniu Polaków z tych wojsk do armii polskiej we Francji. Tłumacze ci, wyzyskując ciemnotę żołnierza rosyjskiego, opowiadali mu najpotworniejsze baśnie w celu pobudzenia go do buntu. Gdy wojska przeznaczone do Salonik wsadzono na statki w Marsylii, tłumacze mówili żołnierzom, iż wiedzą na pewno, że rząd francuski w porozumieniu z rosyjskim postanowił ich potopić w morzu...

Wspominam o tym, bo dane zdobyte w tej sprawie były dla mnie w następstwie poważnym ostrzeżeniem przy organizacji armii polskiej we Francji.

Organizacja wojska polskiego na Zachodzie była ze względów politycznych koniecznością. Co prawda, widoki na stworzenie dużej armii istniały tylko w Rosji, ze względu na ogromną liczbę żołnierza polskiego w armii rosyjskiej. Tam pracowano nad wydzieleniem tego żołnierza w osobne formacje polskie, nad stworzeniem armii polskiej. Niestety, słabe były dane na to, żeby tam armia polska mogła się utrzymać, przy postępującym powszechnym rozkładzie i przy demoralizujących wpływach idących od kół aktywistycznych polskich, germanofilskich i rewolucyjnych. Ośmielone rewolucją rosyjską, rozpoczęły one robotę, która prostą drogą prowadziła do utopienia sprawy polskiej.

Dla armii polskiej na Zachodzie mieliśmy na razie jedno tylko większe źródło materiału ludzkiego, mianowicie młodzież polską w Ameryce. Panował tam duży zapał, młodzież rwała się do walki o wolność starej ojczyzny; część jej nawet już poszła na ochotnika – z początku do armii kanadyjskiej, później, po wypowiedzeniu wojny przez Stany Zjednoczone, do ich armii. Noszono się tam z myślą stworzenia ochotniczej armii polskiej pod opieką Stanów Zjednoczonych. Część młodzieży polskiej ze Stanów przechodziła krótki kurs oficerski w szkole kanadyjskiej.

Moim pragnieniem było utworzenie armii polskiej przy równoległym współdziałaniu wszystkich mocarstw sprzymierzonych i zapewnienie jej tym sposobem możliwie największej sumy niezawisłości. Jednakże osiągnięcie tego celu nie zapowiadało się jako rzecz łatwa.

Tymczasem sprawę przyspieszyła inicjatywa, która zjawiała się niezależnie od nas we Francji.

W maju 1917 roku otrzymałem od Erazma Piltza wezwanie do Paryża dla naradzenia się w sprawie utworzenia armii polskiej we Francji, która znajduje się na poważnej drodze i która ma poparcie szefa misji wojskowej rosyjskiej w Paryżu, hr. Ignatiewa. Wiadomość ta zaskoczyła mnie, a poparcie czy inicjatywa hr. Ignatiewa nieco mnie zdziwiła, nie zaliczałem go bowiem do ludzi życzliwych sprawie polskiej. Miałem raczej powody do uważania go za jednego z przedstawicieli tych sfer, którym Niemcy byli bliżsi od Polaków. Rzecz tedy nie obudziła we mnie zapału, a że parę pilnych spraw, między innymi wykończenie do druku rozprawy *O zagadnieniach środkowo- i wschodnio-europejskich* trzymało mnie w Londynie, więc nie spieszyłem się z wyjazdem do Paryża.

Okazało się, że źle zrobiłem, bo tam sprawa poszła bardzo szybko. Gdym przybył do Paryża, zastałem już fakt dokonany.

4 czerwca ukazał się dekret prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, którego artykuł pierwszy brzmiał:

„Tworzy się we Francji na czas wojny samoistną armię polską pozostającą pod rozkazami wysokiego dowództwa francuskiego i walczącą pod sztandarem polskim” (*il est erée en France pour la durée de la guerre, une armée polonaise autonome, placée sous les ordres du haut commandement français et combattant sous le drapeau polonais*).

Podpisany przez prezydenta Rzeczypospolitej, Poincarégo, kontrasygnowany przez prezesa Rady Ministrów i ministra spraw zagranicznych, Ribota, oraz przez ministra wojny, Painlevégo, dekret ten był wielkim aktem państwowym. Był on wszakże wewnętrznym aktem francuskim. Robił sprawę armii polskiej sprawą francuską, nie zaś sprawą wszystkich sprzymierzonych. To redukowało jej pozycję, nie dawało jej charakteru armii całkiem samoistnej, na którym nam zależało.

Francja wszakże, biorąc sobie zwierzchność nad armią polską, jednocześnie zapewniła organizację i utrzymanie tej armii, rozwiązując kwestię, której my przecież rozwiązać nie mogliśmy.

Motywy działania rządu francuskiego były całkiem zrozumiałe. Jako państwo głównie zainteresowane w położeniu na kontynencie europejskim i najwięcej zagrożone przez rozkład Rosji, Francja najściślej ze wszystkich sprzymierzonych była związana ze sprawą organizacji nowych państw w Europie Środkowej. Stąd jednocześnie wzięcie przez nią w ręce sprawy organizacji armii polskiej i czesko-słowackiej. Z drugiej strony, Francja – przez swą tradycję – ze wszystkich sprzymierzonych najbliższej była związana z Polską i z przeszłością nowoczesnej armii polskiej. Jeżeli więc organizacja armii polskiej miała nie być sprawą wszystkich sprzymierzonych, ale tylko jednego z nich, to niewątpliwie rola ta należała się Francji.

Nie można też było na tworzenie armii polskiej podczas wojny patrzeć wyłącznie jako na akt polityczny. Trzeba było myśleć o tym, żeby to było dobre wojsko, które by przyniosło chlubę imieniu polskiemu w wojnie i które byłoby zdrowym zawiązkiem armii przyszłego państwa polskiego. Żadne zaś z państw sprzymierzonych nie stało tak wysoko pod względem wojskowym jak Francja i organizacja nowego wojska pod kierunkiem armii francuskiej, w jej szkole i w jej duchu, dawała w tym względzie najlepsze widoki.

Jeden wszakże warunek był niezbędnym, mianowicie umiejętna i czujna rekrutacja, niepoświęcająca dla liczby jakości werbowanych ochotników, niewpuszczająca do szeregów młodej armii żywiołów niepewnych, wnoszących ducha rozkładu.

Należyta organizację i wyćwiczenie nowej armii mogła zapewnić tylko Francja i jej oficerowie, dobór wszakże materiału ludzkiego mógł być właściwie zrobiony tylko przez Polaków, przez organizację polską, mogącą wziąć na siebie odpowiedzialność za tę ważną sprawę.

Tu rząd francuski, działający w pośpiechu, popełnił błąd, który trzeba było w następstwie naprawiać. Wina była, ma się rozumieć, i po naszej stronie, żeśmy od początku sprawy tej należycie nie przypilnowali.

Bezpośrednio po wydaniu dekretu o armii polskiej ustanowiono Misję Wojskową Francusko-Polską, której zadaniem było zorganizowanie tej armii. Na czele Misji postawiony został generał Archinard, stary, zasłużony w kampaniach afrykańskich wojskowy, znajdujący się w stanie spoczynku. Wybór był dobry. Szef Misji przywiązał się do swej pracy, włożył w nią duszę i podołał zadaniu w najtrudniejszym punkcie, mianowicie okazał duże zrozumienie żołnierza polskiego, pomimo że nigdy przedtem nie miał z nim do czynienia. Pomocnikiem szefa musiał być, naturalnie, Polak. Na to stanowisko, nie wiem dotychczas, jakimi drogami – zdaje się, że z polecenia hr. Ignatiewa – dostał się niejaki p. Mokiejewski. Nie był to wojskowy: w początku wojny był urzędnikiem rosyjskiego ministerstwa rolnictwa przy ambasadzie w Paryżu. Zrobiwszy jakiś wynalazek wojskowy, został przydzielony do armii francuskiej w randze podpułkownika, odpowiadającej jego rosyjskiej randze cywilnej, i z tą rangą poszedł na pomocnika szefa Misji Wojskowej polsko-francuskiej.

Misja szybko się zorganizowała i energicznie wzięła się do pracy. Zaczątek armii stworzono z oficerów i żołnierzy armii francuskiej będących Polakami lub przynajmniej

potomkami Polaków. Było to bardzo szczęśliwe, bo tym sposobem nowa armia otrzymała od razu gotowych oficerów, podoficerów i żołnierzy dobrej szkoły, a wśród nich pewną liczbę gorących Polaków, acz przeważnie takich, którzy Polski nigdy nie widzieli, lub Francuzów z polskimi nazwiskami, zachowujących w pamięci ojczyznę swych ojców lub dziadów, emigrantów z 1863 i 1831 roku. W następstwie zwrócono się do Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy za aprobatą swego rządu zorganizowali zaciąg na szeroką skalę; zaczęto werbować ochotników polskich w Brazylii, w internowanych oddziałach rosyjskich z Francji i Salonik, wreszcie w Holandii, wśród licznych tam uchodźców z Niemiec, robotników, zagarniętych przez Niemców przeważnie na bruku warszawskim i łódzkim, i wywiezionych gwałtem do kopalń westfalskich.

Organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych zaciągały szybko ochotnika, ale nie spieszyły się z jego wysyłaniem: uzależniły to one od naszego stanowiska względem nowej armii. Ta lojalność organizacji polsko-amerykańskich, które w tej doniosłej sprawie, jak i w innych, uznały kierownictwo ludzi prowadzących politykę polską na zachodzie Europy, była jedną z głównych podstaw naszej pozycji, jednym z warunków powodzenia naszych usiłowań. Wynikała ona stąd, że jedyną ambicją ludzi stojących na czele organizacji polsko-amerykańskich, jak Jan Smulski, Żychliński, Piotrowski, ks. Zapała (obecny generał oo. zmartwychwstańców), biskup Rhode i inni, było zrobić jak najwięcej dla Polski, przyczynić się jak najskuteczniej do jej wyzwolenia. Twierdzę to z całą stanowczością, że w tej wielkiej chwili dziejowej żaden z odłamów naszego narodu nie spełnił lepiej swego obowiązku od rodaków naszych w Ameryce.

Rząd francuski od początku rozumiał, że równoległe z tworzeniem armii polskiej na Zachodzie musi powstać organizacja polityczna polska, która będzie współdziałała z nimi w tworzeniu tej armii i która będzie za nią przed Polską odpowiedzialna. Rozumiał też, że organizację taką możemy stworzyć tylko my, kierownicy polityki polskiej w państwach sprzymierzonych. Od chwili ogłoszenia dekretu o armii polskiej, mieliśmy zapewnione poparcie rządu francuskiego w sprawie oficjalnego uznania organizacji politycznej, którą stworzymy.

Najpilniejszym tedy zadaniem naszym w owej chwili stało się stworzenie oficjalnej organizacji i reprezentacji polityki polskiej w państwach sprzymierzonych, ujęcie przez nią ze strony politycznej spraw armii polskiej we Francji, wreszcie osiągnięcie formalnego stanowiska obywateli polskich dla przebywających w państwach sprzymierzonych Polaków, dotychczasowych poddanych państw rozbiornych.

15 sierpnia 1917 roku na zjeździe w Lozannie założyliśmy Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu. Zadaniem Komitetu było:

1. kierownictwo i reprezentacja polityki polskiej w państwach sprzymierzonych;
2. kierownictwo sprawami politycznymi armii polskiej we Francji oraz moralna i materialna opieka nad nią; wreszcie
3. opieka cywilna (konsularna) nad Polakami przebywającymi w państwach sprzymierzonych.

Komitet zatem miał funkcje rządu polskiego w zakresie ministerstwa spraw zagranicznych i częściowo ministerstwa wojny.

Założono Komitet w składzie możliwie najszczuplejszym, wprowadzając do niego tylko ludzi niezbędnych, z przewidywaniem możliwych uzupełnień w przyszłości.

Skład ten w początku był następujący:

Roman Dmowski, Erazm Piltz i Maurycy Zamoyski w oficjalnej siedzibie Komitetu, w Paryżu, przy czym Piltz z funkcjami delegata Komitetu do stosunków z rządem francuskim; Władysław Sobański, przedstawiciel Komitetu w Londynie; Konstanty Skirmunt, przedstawiciel w Rzymie; Marian Seyda z Poznania i Jan Rozwadowski ze Lwowa, przedstawiający w Komitecie zabory pruski i austriacki, przebywający na razie w Szwajcarii, potem w Paryżu; wreszcie Ignacy Paderewski w Stanach Zjednoczonych, jako przedstawiciel Komitetu przy rządzie waszyngtońskim oraz wobec organizacji polskich w Ameryce, mających na swym czele Wydział Narodowy w Chicago.

Wkrótce po założeniu Komitetu w skład jego weszli jeszcze: Stanisław Kozicki w Londynie, Józef Wielowieyski, przybyły z Petersburga, który został sekretarzem generalnym Komitetu, wreszcie wydelegowany przez Wydział Narodowy w Chicago dr Fronczak z Buffalo.

Na pierwszym swym posiedzeniu w Lozannie Komitet obrał mnie na mój własny wniosek swoim prezesem.

Zawiadomiwszy o powstaniu Komitetu Koło Międzypartyjne w Warszawie, Polską Radę Międzypartyjną w Rosji i Wydział Narodowy w Chicago, oraz wyjaśniwszy rolę, jaką mu przeznaczaliśmy, w odpowiednich komunikatach do tych trzech instytucji, na których się oparliśmy, przystąpiliśmy do załatwienia najpilniejszej sprawy, mianowicie osiągnięcia oficjalnego uznania przez rządy państw sprzymierzonych.

Ze strony Francji nastąpiło ono bez zwłoki. W innych państwach, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, napotkaliśmy na trudności wynikające z przeciwdziałania przedstawicieli ówczesnego rządu rosyjskiego, na którego czele stał Kiereński i który w tej sprawie działał pod natchnieniami pewnych kół polskich, mających na rząd wpływ przez Aleksandra Lednickiego. Trudności te wszakże zostały przezwyciężone dzięki energicznemu współdziałaniu dyplomacji francuskiej. Z kolei Anglia, Włochy i Stany Zjednoczone uznały Komitet Narodowy Polski w Paryżu, jego wyżej wyłuszczone kompetencje, jego władze oraz jego przedstawicieli przy rządach.

Gdy to nastąpiło, Komitet miał przede wszystkim do rozstrzygnięcia trzy kwestie: formę zainaugurowania swej działalności, stosunek do armii polskiej we Francji, wreszcie kwestię swych finansów.

Ogólne zdanie w Komitecie było, że trzeba zacząć od wydania odezwy do narodu. Formalnie rzecz biorąc, tak wypadało zacząć. Jeżeli to się nie stało, to skutkiem mego oporu. Wiedziałem z góry, że odezwa Komitetu wywoła wrzawę wśród naszych przeciwników, że z Warszawy wyjdzie oficjalny protest i że agenci aktywizmu na

Zachodzie i w Rosji odpowiedzą na nią skandalicznymi wystąpieniami, które więcej zaszkodzą sprawie polskiej, niżby nasza odezwa jej pomogła. Wiedziałem, do czego te żywioły są zdolne. Nie chcąc dawać obcym widowiska obrzydliwej kłótni polskiej, chcąc oszczędzić krajowi kompromitacji za granicą, postanowiłem osiągnąć od swych kolegów, żeby Komitet wszedł w swoją rolę cicho, bez żadnych manifestacji zewnętrznych. W planie moim leżało, żeby drogą faktów spełniał on zadania rządu polskiego za granicą, żeby umiejętną polityką stanowisko swoje u rządów państw sprzymierzonych umacniał, zadowolając się skromnym tytułem Komitetu Narodowego, przedstawiającego proaliantką opinię polską.

Była w tej przymusowej skromności słabość. Gdybyśmy byli mogli wystąpić jako reprezentacja całego narodu polskiego, jako jego rząd w stosunkach z państwami sprzymierzonymi, gdybyśmy byli mogli przemawiać i zaciągać zobowiązania w imieniu całej Polski, nie wywołując hałaśliwych protestów ze strony naszych przeciwników – sprawa polska od razu inaczej byłaby stanęła i inaczej byłaby w końcu rozstrzygnięta.

To było właśnie siłą Czechów, że ich przedstawicielstwo za granicą przybrało charakter rządu narodowego czeskiego, formalnie działało w imieniu całego narodu, przeciw czemu żaden obóz czeski nie protestował. Jako rząd czeski zawierało ono konwencje z rządami państw, dawało w imieniu narodu i w imieniu narodu otrzymywało zobowiązania. I sprawa cieszyńska inaczej by stała na konferencji, gdyby nie konwencja czesko-francuska, podpisana podczas wojny, w której Francja uznała nietykalność czeskich „granic historycznych”. Myśmy konwencji takich zawierać nie mogli, bo, przy stanie rzeczy w Polsce, do niczego w imieniu Polski całej nie mogliśmy się zobowiązywać. Gdybyśmy chcieli tylko przemówić w imieniu Polski całej, już byłaby się rozległa skandaliczna wrzawa w całej Europie.

Tak, nie trzeba sobie wyobrażać, że Polskę nic nie kosztowała polityka po stronie państw centralnych i nieliczenie się jej zwolenników ze względami na dobro sprawy polskiej. Zapłaciliśmy za nią nieobliczonymi stratami i bylibyśmy zapłacili bez porównania więcej, gdyby nie ostrożność i powściągliwość ludzi kierujących polityką polską.

Udało mi się w końcu przekonać moich kolegów i Komitet Narodowy w Paryżu rozpoczął swe działanie bez żadnego aktu publicznego ze swej strony.

Rząd francuski oczekiwał od Komitetu, że zacznie od poparcia całym swym autorytetem zaciągu ochotników do armii polskiej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Myśmy wszakże tego zrobić nie mogli, dopóki formowanie tej armii odbywało się niezależnie od Komitetu. Oświadczyliśmy, że będziemy popierali rekrutację do takiej armii, za którą będziemy mogli wziąć całkowitą odpowiedzialność, to znaczy, której skład od nas będzie zależał.

Muszę stwierdzić, iż rząd Rzeczypospolitej rozumiał nasze stanowisko i był skłonny zapewnić nam należyty wpływ na wojsko. Przeszkody pochodziły ze strony niedających się bliżej określić czynników, mających, zdaje się, główną siedzibę w

ministerium wojny. Dość, że sprawa się zanadto przewlekła, wywołując nawet przykre momenty w stosunkach moich z Quai d'Orsay.

Ja widziałem to, czego rząd francuski widzieć nie mógł, mianowicie, że nieopatrzna rekrutacja wprowadza do młodej armii żywioły bądź niepolskie, bądź moralnie niepewne, od których może się zacząć rozkład tego wojska, zanim będzie ono zorganizowane. Wreszcie, po niemałych trudach osiągnęliśmy to, o co nam chodziło. Decyzja co do nowych zaciągów, zwłaszcza co do każdego z osobna oficera przyjmowanego do armii polskiej, uzależniona została od zgody Komitetu. Komitetowi przyznane zostało prawo dozoru nad wewnętrznymi stosunkami w armii, otrzymaliśmy możliwość usuwania żywiołów niepożądanych. Ze swej strony Komitet uznał armię za swoje przedsięwzięcie i poparł całą siłą zaciąg ochotników. W końcu tych wysiłków, wiosną 1918 roku, została podpisana przez senatora Doumera – prezesa Komisji Wojsk Słowiańskich we Francji i przeze mnie umowa regulująca stosunek Komitetu Narodowego do armii i jego w tej dziedzinie uprawnienia, umowa, za której wykonanie wziął odpowiedzialność w imieniu rządu francuskiego minister spraw zagranicznych, p. Pichon, ja zaś w imieniu Komitetu Narodowego.

Włożyłem w sprawy armii polskiej we Francji sporo pracy i kosztowały mnie one niemało wysiłku. Każdy oficer zgłaszający się do tej armii w owym okresie stawał przed komisją, w której zasiadałem, i osobiście go badałem w celu wyrobienia sobie o nim zdania. Potem dopiero następowała decyzja, czy go przyjąć i jakie mu powierzyć funkcje. Odwiedzałem często rozrzucone po różnych punktach Francji koszary wojska polskiego, rozmawiałem wiele z żołnierzami i oficerami, załatwiałem nieporozumienia wynikające z różnorodności żywiołów, które się na tę niewielką armię składały, dawałem władzom wojskowym wskazówki co do wartości ludzi i sposobu ich traktowania, wreszcie powodowałem usunięcie żywiołów, które uważałem za szkodliwe. Zwłaszcza usilnie pracowałem nad tym, żeby wszelką politykę z szeregów usunąć, co w wojsku ochotniczym nie jest rzeczą łatwą.

Napotkałem na niemałe przeszkody, które jednak udawało się przewycięzać, w znacznej mierze dzięki dobrej woli i prawdziwej życzliwości dla Polski szefa Misji, generała Archinarda, a później – po przeniesieniu części wojska na front – wodzów armii francuskiej, którzy je mieli pod sobą. Szefowie armii francuskiej, z którymi mnie obowiązkowo w owym okresie zetknęły, Foch, Pétain, de Castelnau, Franchet d'Esperey, Gouraud, de Maistre – pozostawili w mej pamięci niezatarte wrażenie, nie tylko jako żołnierze, ale jako ludzie wysokiego typu moralnego i kulturalnego.

Najtrudniej szło z usuwaniem z armii polskiej Żydów, którzy się tam dostali jako Polacy, a którzy często nic wspólnego z Polską nie mieli. Tych się obawiałem najwięcej, pamiętając propagandę rozkładową w oddziałach wojsk rosyjskich we Francji prowadzoną przez tłumaczy. Uciekali się oni pod opiekę posłów socjalistycznych, skutkiem czego działalność moja była przedmiotem aż dwóch z kolei interpelacji w Izbie Deputowanych. Rząd francuski wszakże, w szczególności p. Pichon, dał tym interpelacjom należyty odpór.

Obok tego mieliśmy jeszcze robotę ze zwalczaniem propagandy rozkładowej, starającej się dotrzeć z zewnątrz do wojska, prowadzonej przeważnie pod wezwaniem legionów i Piłsudskiego. Nawoływała ona do dezercji i siała ziarna buntu.

Owoce tej współpracy naszej z władzami francuskimi była pod wiosną 1918 roku jedna dywizja w pełnym składzie wszystkich rodzajów broni, w organizacji swej wykończona, i druga zbliżająca się do ukończenia.

Warunkiem wykonania programu Komitetu Narodowego w Paryżu, a nawet jego istnienia, było zorganizowanie jego finansów, choćby na bardzo skromną skalę.

Dotychczasowa praca nasza na Zachodzie, poza niewielkimi sumami pochodzącymi z niewielkiej kasy Komitetu Narodowego założonego w Warszawie i przeniesionego następnie do Piotrogradu, czerpała środki z dwóch źródeł: pierwszym były fundusze gromadzone drogą składek w zaborze pruskim, drugim – prywatna kieszka jednego z naszych kolegów rozporządzającego jakimi takimi środkami osobistymi, Maurycego Zamoyskiego.

Te środki coraz mniej wystarczały, zwłaszcza że organizowanie składek i przesyłanie sum z zaboru pruskiego było coraz bardziej utrudnione, a kieszka naszego ofiarnego kolegi również się wyczerpywała. Z chwilą zaś utworzenia Komitetu i jego przedstawicielstw w państwach sprzymierzonych wydatki znacznie wzrosły. O wydobyciu jakichkolwiek funduszy z Królestwa mowy nie było. Bylibyśmy się znaleźli, w samym początku istnienia Komitetu, w położeniu bez wyjścia, gdyby nie Wydział Narodowy w Chicago, który wówczas pospieszył nam z pomocą i zaczął zaopatrywać kasę Komitetu w poważniejsze sumy. Ta pomoc rodaków naszych z Ameryki w pierwszych miesiącach istnienia Komitetu umożliwiła wprost jego istnienie.

Od początku wiedzieliśmy, że kwestii finansów Komitetu nie rozwiążemy inaczej, jak przez zaciągnięcie pożyczki u rządów państw sprzymierzonych. Nie chcieliśmy wszakże żadnych kroków w tej mierze czynić, dopóki nie zostaną rozstrzygnięte kwestie sporne między nami a tymi rządami, ażeby w traktowaniu tych kwestii swoboda nasza niczym nie była skrepowana. Taką była właśnie kwestia stosunku Komitetu do armii polskiej we Francji. Dlatego dopiero po dojściu do porozumienia w tej sprawie z rządem francuskim rozpoczęliśmy kroki o pożyczkę.

Obliczywszy budżet Komitetu w przybliżeniu na sumę 300 000 franków miesięcznie, zwróciliśmy się do rządów państw sprzymierzonych z propozycją rozebrania pożyczki między siebie i wypłacania nam powyższej sumy miesięcznie do chwili zawarcia pokoju. Ze swej strony ofiarowaliśmy oblię podpisany przez wszystkich członków Komitetu, mocą którego sumę dłużną, jaka wypadnie, zwróci rząd państwa polskiego, jeżeliby zaś to z jakichkolwiek przyczyn nie mogło nastąpić, podpisani zobowiązują się ją zwrócić osobiście. Co do drugiej części zobowiązania było ono tylko formą dla ogółu podpisanych z wyjątkiem jednego Zamoyskiego. Ten całkiem wyraźnie nam oświadczył, iż rozumie, że jeżeli przyjdzie do zwracania długu przez podpisanych, on ten dług zapłaci.

Propozycja nasza została przyjęta z tym wynikiem, że Francja wzięła na siebie połowę pożyczki, czyli 150 tysięcy franków miesięcznie, Anglia zaś czwartą część, czyli 75 tysięcy franków. Że zaś inne państwa udziału w pożyczce nie wzięły, Komitet do czasu zawarcia pokoju zapożyczał się miesięcznie na sumę 225 tysięcy franków.

Ordynat Zamoyski, jako osobiście zainteresowany w oszczędnej gospodarce Komitetu, wziął na siebie obowiązki jego skarbnika.

Było to wielkim szczęściem polityki polskiej, że miała w gronie ludzi, którzy nią kierowali, ludzi nieposiadających i nierobiących majątków – człowieka z magnacką fortuną, z poczuciem obowiązku obywatelskiego i z mądrą ofiarnością. Gdyby nie Zamoyski, nie wiem, czy polityka nasza zdołałaby wytrzymać walkę z przeciwnikami w okresie najtrudniejszym, w ciągu sześćdziesięciu poprzedzających wojnę, kiedy popularność naszego obozu zmalała, kiedy stali przy nas ludzie tylko mocnej wiary, niemający w polityce żadnych widoków osobistych, bo należenie do naszego obozu dawało wówczas jedynie sposobność do nadstawiania karku. W owym okresie główny nasz organ, „Gazeta Warszawska”, mógł wychodzić tylko dzięki temu, że Zamoyski pokrywał jego niedobory. I nie były to subwencje wyżebrane – sam się z nimi ofiarował w poczuciu doniosłości sprawy, o którą walczyliśmy.

W ogóle w dziele odbudowania Polski Zamoyski odegrał ogromną rolę. Arystokracja nasza, w której tyle było przez lat kilkanaście niechęci do niego za jego postawę polityczną, winna mu być wdzięczna, że dzięki niemu nie była w tym dziele nieobecna. I to nie dlatego tylko, że był ofiarny – bo byli inni wśród nich, co prawda w niewielkiej liczbie, którzy umieli składać ofiary na cele publiczne, zwłaszcza ofiary głośne, po których następowały głośne wyrazy uznania i wdzięczności – ale dlatego przede wszystkim, że był człowiekiem myślącym samodzielnie, nie chodził, jak prawie wszyscy oni na pasku szkoły krakowskiej, człowiekiem myślącym nowocześnie i rozumiejącym Polskę XX stulecia. Dlatego mógł nie tylko pomagać materialnie polityce polskiej, ale brał w niej czynny udział osobisty i w wielu rzeczach był wprost niezastąpiony. W tym, cośmy zrobili podczas wojny na Zachodzie, było wiele jego myśli i jego rzetelnej, wyteżonej pracy. Należy on do tej garści ludzi, którzy w wielkiej, rozstrzygającej dla naszego narodu chwili umieli tworzyć jego przyszłość, bo umieli myśleć i działać, i myśleli nie o sobie, nie o swoich ambicjach i planach osobistych, tylko o Polsce.

Na próżno usiłowano apelować do jego ambicji. Bezskutecznie zabiegano koło niego, żeby wrócił do Warszawy, przynoszono mu obietnice, że będzie mianowany członkiem Regencji. Jednocześnie próbowano go zastraszyć: gorliwsi aktywiści w kraju nawoływali do konfiskaty jego majątku...

Tak Komitet Narodowy w Paryżu ostatecznie zorganizował swą działalność. Obok przedstawicielstw politycznych przy rządach państw sprzymierzonych ustanowił konsulaty pod skromną nazwą „Biur Opieki Cywilnej”, które wkrótce otrzymały prawo wydawania paszportów polskich i ułatwiały egzystencję znacznej liczby Polaków przebywających na Zachodzie. Obok tego ustanowione w porozumieniu z Komitetem przez centralną Misję w Paryżu polskie misje wojskowe zajmowały się sprawami armii

polskiej poza granicami Francji. Rządy państw sprzymierzonych ustanowiły swoich attachés wojskowych przy armii polskiej w Paryżu, którzy pozostawali w bezpośrednich stosunkach z Komitetem. Sprawy dyplomatyczne Komitet w Paryżu załatwiał z ambasadorami mocarstw we Francji. Poufne depesze do przedstawicieli w innych stolicach i od nich do Komitetu zawsze chętnie przesyłały swymi szyframi ministerstwa i ambasady mocarstw.

Wśród zagadnień dotyczących armii polskiej jednym z najtrudniejszych była kwestia jeńców Polaków z armii państw centralnych. Ponieważ pozostałe państwa sprzymierzone długo się ociągały ze zgodą na werbowanie jeńców wziętych przez ich armie, kwestia na razie sprowadzała się do Polaków z armii niemieckiej, bo tych jedynie posiadała Francja.

Muszę się przyznać, że przez krótki czas wahałem się, czy zgodzić się na ten werbunek. Była to wielka odpowiedzialność. Gdyby wojna miała być zakończona pokojem pozostawiającym Poznańskie, Prusy Zachodnie i Śląsk Górny pod panowaniem pruskim, położenie tych ziem stałoby się jeszcze niebezpieczniejsze niż przedtem, a my byśmy się przyczynili do osłabienia tam polskości przez to, że nasi żołnierze nie mogliby wrócić do siedzib ojczystych. Z drugiej strony, dla naszego ogólnego celu – oderwania tych ziem od Niemiec – rzeczą pierwszorzędną wagi było mieć w szeregach naszej armii żołnierza z zaboru pruskiego. Był to najlepszy argument na rzecz naszej sprawy na konferencję pokojową. Przed tym względem wszystkie inne musiały ustąpić. Do niego zaś przybywał inny: był to żołnierz z najkulturalniejszej części Polski, z mocną, zaprawioną w walce o byt polskości świadomością narodową, wreszcie dobrze wyszkolony wojskowo w armii niemieckiej.

Werbunek został zorganizowany i dał świetne rezultaty, pomimo że niejednym z tych ochotników miał za sobą już parę lat strasznej wojny na zachodnim froncie i mógł mieć jej dosyć. Od tej chwili, przy odwiedzaniu oddziałów naszego wojska, co krok spotykałem Poznańczyków, Pomorzan i Ślązaków, i dusza mi się radowała na widok tego tęgiego żywiołu w naszym niewielkim wojsku. Przyczynił mi on, co prawda, trochę kłopotu. Jeżeli ja z nieufnością patrzyłem na Żydów, których nieopatrznie przyjęto do szeregów, i starałem się ich stopniowo usunąć, moi przyjaciele Poznańczycy buntowali się wprost przeciw ich istnieniu i gwałt robili, żeby ich natychmiast wypędzić. Z życia swojej dzielnicy wiedzieli, że wszyscy bez wyjątku Żydzi idą z Niemcami przeciw Polakom, logicznie więc wnioskowali, że Żyd w szeregach polskich może być tylko szpiegiem lub zdrajcą. Poza tym wytworzył się w szeregach w stosunku do Poznańczyków pewien antagonizm, którego głównym źródłem było to, że o wiele szybciej od innych awansowali na stopnie podoficerskie, jako bardziej oświeceni i wyszkoleni wojskowo. Od początku zresztą widziałem, że antagonizm ten jest podsycany przez jakąś podejrzaną propagandę, której nici, przy naszych środkach wywiadowczych, pomimo wszelkich usiłowań niepodobna było uchwycić.

Niemcy, które próbowały tworzyć armię polską przeciw państwom sprzymierzonym z mieszkańcami zaboru rosyjskiego, zaprotestowały przeciw

werbowaniu ochotników spośród jeńców z ich armii – Polaków z zaboru pruskiego. Ma się rozumieć, nie liczyły one na to, żeby ich protest odniósł skutek. Zdając sobie wszakże sprawę z tego, jakie ma znaczenie polityczne wystąpienie Polaków, ich poddanych, do walki przeciw nim w szeregach armii polskiej, szukały innych dróg, ażeby ten fakt uniemożliwić.

O rodzaju tych dróg świadczy zdarzenie następujące.

Było to w czasie wiosny 1918 roku. Pierwszy pułk polski pod dowództwem pułkownika Jasieńskiego za zgodą Komitetu Narodowego wysłany został na linię bojową i znajdował się na pierwszych pozycjach w okolicy Reims, w armii generała Gourauda. Zachowywał się dobrze, miał już trochę strat, duch w szeregach był znakomity, co sam stwierdziłem, odwiedzając go na pozycjach. Nagle otrzymuję w Paryżu raport, że paru żołnierzy pochodzących z Poznańskiego przeszło na stronę nieprzyjaciela i że, w obawie dalszych dezercji, pozwolono Poznańczykom, którzy nie chcą się bić, opuścić szeregi.

Rzecz przedstawiała się poważnie, łatwo było spostrzec niebezpieczeństwo polityczne, którym ta sprawa groziła. Zatelegrafowałem do generała Gourauda, prosząc go, żeby wstrzymał dalsze postępowanie, i zawiadamiając, że przyjeżdżam natychmiast i sam przeprowadzę śledztwo.

Śledztwo dało następujące wyniki.

W nocy odbył się wypad z okopów polskich przez okopy komunikacyjne na pozycje niemieckie. Z wypadu tego trzech żołnierzy nie wróciło. Jeden z nich pochodził z Ameryki, dwaj – ochotnicy spośród jeńców – z Poznańskiego.

W dwa dni potem Niemcy zaczęli strzelać do pozycji polskich proklamacjami. Zredagowane były one z żydowska po polsku i namawiały żołnierzy z zaboru pruskiego do dezercji na stronę niemiecką, obiecując im, że tą drogą wrócą prosto do domu, gdzie ich oczekują rodziny. Obietnice te popierały zdobiące odezwę fotografie, przedstawiające owych trzech zaginionych w dostatnym ubraniu cywilnym, z grubymi cygarami w ustach, wyglądających z okien wagonu, czyli odjeżdżających do domu...

Widząc w tym potwierdzenie faktu dezercji, pułkownik wysłał raport, w którym wyraził obawę co do pozostałych w szeregach byłych jeńców. Wobec tego dowódca armii rozkazał wycofać pułk z pozycji i każdego z byłych jeńców z armii niemieckiej zapytać, czy chce nadal służyć w szeregach, tych zaś, którzy odpowiedzą odmownie, usunąć na tyły.

W każdym z trzech batalionów piechoty tego pułku znajdowało się po 70–80 byłych jeńców z zaboru pruskiego. Wynik operacji był taki, że z pierwszego batalionu wystąpiło tylko siedmiu, ale w drugim i trzecim pozostało tylko po siedmiu, ośmiu, reszta zaś opuściła szeregi. Z konnicy i artylerii również Poznańczycy przeważnie wystąpili.

Z przeprowadzonego badania dowiedziałem się przede wszystkim, że ów „Amerykanin”, który zniknął razem z dwoma Poznańczykami, był socjalistą, że należał w Ameryce do tak zwanych „koniowców” (KON, o ile sobie przypominam: Komitet Obrony

Narodowej), amerykańskich zwolenników orientacji austriackiej i Piłsudskiego, i że od chwili wejścia do armii zaczął wśród żołnierzy prowadzić propagandę przeciw tejże armii. Najbliżej z nim żyli dwaj Poznańcy, którzy razem z nim zniknęli. Fakt planowanej dezercji był zatem niewątpliwy, a ów „Amerykanin” był niezawodnie agentem, umyślnie do naszego wojska wysłanym w celu jego demoralizowania.

Okazało się wszakże, iż robota jego nie zatoczyła szerszych kręgów.

Badanie tych żołnierzy, którzy wystąpili z szeregów, wykazało, iż uczynili to dlatego, że ich podejrzewano, że okazano im brak zaufania. Większość oświadczyła gotowość natychmiastowego powrotu do wojska, byle nie do tego pułku, w którym ich spotkała obraza. Tak się też stało.

Interesował mnie batalion, w którym byli jeńcy prawie wszyscy pozostali w szeregach. Zebrałem ich, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie poszli za przykładem innych. Wtedy wystąpił z szeregu sierżant, chłopak rosły, z dzielną, sympatyczną twarzą i powiedział mi:

– My także czujemy się obrażeni. Raz wstąpiliśmy do wojska i przysięgliśmy: dlaczego nas drugi raz pytają, czy chcemy służyć?... Ale ja powiedziałem do kolegów: „Bracia, tu idzie o honor Wielkopolski. Chociaż nas tu źle traktują, musimy pokazać, że chcemy się bić za Polskę”. I zostaliśmy, i pokażemy, że bijemy się lepiej od innych.

Tak jeden skromny człowiek czasem ratuje sytuację.

Zajęcie zostało załagodzone. Oficerowie, którzy zgrzeszyli nietaktem, zostali pouczeni, jak nadal postępować. Żołnierze z zaboru pruskiego, którzy wrócili do szeregów, zostali przeniesieni do dwóch pozostałych pułków tej samej dywizji. Niestety, nie udało mi się znaleźć dowódców roboty planowej, skierowanej na usunięcie Poznańczyków z armii, o którą podejrzewałem paru Żydków, służących w pułku, głównie w kancelarii. Byłoby lepiej, gdyby choć jeden łotr na skutek tego zajęcia został rozstrzelany.

Niewiele brakowało, ażeby ta sprawa fatalnie się skończyła. Gdyby żołnierze z zaboru pruskiego usunęli się z naszego wojska, Niemcy mieliby argument, że Polacy poddani pruscy nie chcą walczyć przeciw Niemcom, a tym samym nie chcą należeć do Polski. W tym celu rzecz była robiona. Kto tą robotą kierował? Niewątpliwie Niemcy. Interesującą rzeczą byłoby wiedzieć, o ile mieli w tym świadomą pomoc ze strony ludzi, uważanych za Polaków.

I tym razem się nie udało...

Sprawa polska, którą Niemcy postanowiły wziąć wyłącznie w swoje ręce i którą pewna liczba ludzi ze strony polskiej starała się w rękach niemieckich zachować, rozrastała się szybko po przeciwnej im stronie. Niemcy wespół z Austrią zajmowały cały obszar polski, urządzały na nim fikcję państwa polskiego, a tymczasem na Zachodzie, z dala od ziemi polskiej, państwo polskie obejmujące wszystkie ziemie polskie zdobywało sobie jedną pozycję po drugiej: polscy poddani Rosji, Prus i Austrii przestawali istnieć,

zjawili się obywatele polscy, podróżujący z polskimi paszportami Komitetu Narodowego; wojsko polskie złożone z Polaków wszystkich trzech zaborów walczyło przeciw Niemcom wespół z armiami państw sprzymierzonych; a przedstawicielstwo Polski w stolicach mocarstw zdobywało sobie krok za krokiem stanowisko przedstawicielstwa państwa sprzymierzonego. Mocarstwa ignorowały całkowicie robotę Niemiec w Polsce i z nią się nie liczyły.

Dla ludzi, którzy rozumieli, co się dzieje, było widoczne, że po zwycięstwie sprzymierzonych przy zawieraniu pokoju, wszystkie *faits accomplis* stworzone przez Niemcy w Polsce w rachubę wcale nie wejdą. Nie wiem, czy to było widoczne dla polityków berlińskich, to wszakże pewne, że ci politycy warszawscy, którzy ambicje swoje związali z ustanowionym przez Niemców Królestwem Polskim, tego nie widzieli. Im się zdawało, że niemiecki „fakt dokonany” jest naprawdę dokonany, że na nim w każdym razie oprze się rozstrzygnięcie sprawy polskiej w traktacie pokojowym.

To było wszakże możliwe tylko w razie przegranej państw sprzymierzonych, która już nie groziła, lub w razie przedwczesnego pokoju, który by Niemcom, nawet pobitym na froncie, zapewnił zwycięstwo polityczne. Niebezpieczeństwo takiego pokoju w okresie, który nastąpił po założeniu Komitetu Narodowego w Paryżu, nie znikło, bo nie znikło źródło tego niebezpieczeństwa – ignorancja w sprawach środkowej Europy, daleko idąca nawet u niektórych ludzi, wysuwających się na czoło w obozie państw sprzymierzonych.

Z tym niebezpieczeństwem łączyło się drugie, o którym już była mowa. Płytkie doktrynerstwo, usiłujące rozstrzygać najzawilsze zagadnienia polityki międzynarodowej bez wysiłku myśli, według raz przyjętego szablonu, starające się łatwo dedukować rozstrzygnięcia z ogólnych pryncypiów, jak lichy lekarz leczy wszystkich chorych na jedną chorobę jedną receptą, bez względu na ich fizjologiczną i patologiczną indywidualność. To doktrynerstwo, po rewolucji rosyjskiej i po przyłączeniu się Ameryki do państw wojujących, zajmowało coraz więcej miejsca w polityce sprzymierzonych. Ku końcowi roku 1917 zaczęło ono przybierać groźne dla nas rozmiary.

Gdyby niebezpieczeństwo tkwiło tylko we właściwościach umysłowych ludzi kierujących polityką, można by sobie z nim poradzić. Zetknięcie się z rzeczywistością bardzo szybko ludzi uczy. Największy ignorant, który rwąc się do steru spraw, przedstawiał je sobie jako proste i łatwe, z chwilą kiedy stanął u steru i zaczął dotykać spraw bezpośrednio, zaczyna się z nimi zapoznawać, uczyć się, a im więcej się uczy, tym staje się skromniejszy, mniej pewny siebie, skłonniejszy do liczenia się ze zdaniem tych, którzy więcej od niego wiedzą. Najupartszy doktryner, z chwilą kiedy bierze odpowiedzialność za losy państwa, zaczyna myśleć realniej, zaczyna więcej brać w rachubę procesy życia i jego interesy i zapominać o papierowych formułkach, którymi miał nabitą głowę.

Trudniej jest walczyć z ignorancją i płytkim doktrynerstwem, gdy za nimi stoi organizacja, sekta, gdy człowiek, który zajął odpowiedzialne stanowisko, nie jest wolny, gdy zamiast odpowiadać za swe postępowanie przed narodem, którego losy wziął w swe

ręce, i przed swym sumieniem, musi odpowiadać przed tajną władzą większych od niego ignorantów i doktrynerów.

Jeszcze zaś gorzej jest, gdy płytkie formułki doktrynerskie służą tylko za płaszczyk dla interesów realnych, które nie dość są czyste, ażeby mogły jawnie wystąpić i szczerymi argumentami się obronić.

Jeżeli w tej nowej fazie wojny, w której sprawa polska już stanęła jasno i Polska, uznana w zasadzie za państwo, w postaci Komitetu Narodowego w Paryżu posiadała swe urzędowe przedstawicielstwo w obozie państw sprzymierzonych, groziło niebezpieczeństwo przedwczesnego pokoju, który by pozostawił Niemcom panowanie nad Polską; jeżeli nawet w razie zwycięstwa sprzymierzonych istniało niebezpieczeństwo połowicznego rozstrzygnięcia kwestii polskiej, stworzenia państwa, które by nie posiadało warunków pełnej niezawisłości – to dlatego, że w tej właśnie nowej fazie wojny na politykę państw sprzymierzonych coraz silniejszy wpływ wywierało zorganizowane tajne sekciarstwo i że wtedy właśnie w obozie sprzymierzonych zjawił się niejako nowy czynnik z odrębnymi interesami, nieproklamowanymi całkiem wyraźnie, ale maskowanymi częściowo radykalnym liberalizmem.

Tym czynnikiem byli Żydzi.

IV. ŻYDZI WOBEC WOJNY

Dokładne wyświetlenie stanowiska Żydów w wielkiej wojnie wymagałoby osobnej i to obszernej pracy. Wykształcony ogół nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach posiada bardzo powierzchowne wiadomości o sprawach żydowskich. Należałoby więc dać mu przede wszystkim obraz stosunków wewnętrznych żydostwa w całym świecie; obozów, które się tam sobie nawzajem przeciwstawiają; dążeń, które się ścierają; wpływów, jakimi Żydzi rozporządzają w poszczególnych państwach; roli, jaką w nich odgrywają; wykazać węzły łączące Żydów rozmaitych krajów, przedstawić ich organizację – i na tym dopiero tle dać obraz polityki żydowskiej, wytknąć jej ogólne linie wraz z jej odchyleniami w tym czy innym kierunku.

Nie mam tu miejsca na tak szerokie traktowanie spraw żydowskich, zresztą nie czuję się do tego powołany. Nigdy nie miałem czasu zająć się specjalnie ich badaniem, jakkolwiek interesowały mnie one bardzo ze względu zarówno na ich stosunek do sprawy polskiej, jak na rolę, którą odgrywają w rozwoju cywilizacji europejskiej. O tyle, o ile sprawy żydowskie poznałem, doszedłem do przekonania, że przede wszystkim powierzchowność, z jaką się je traktuje, jest wielkim niebezpieczeństwem: następnie zaś, że ci, co w kwestii żydowskiej głos zabierają, popełniają na ogół jeden z dwóch błędów: albo nie doceniają znaczenia Żydów w dzisiejszej chwili dziejowej i charakter ich udziału w życiu narodów przedstawiają w fałszywym świetle, bądź mimo woli, bądź świadomie usypiając czujność opinii w tej ważnej sprawie; albo je przeceniają, przedstawiając Żydów jako wszechwładną, demoniczną potęgę, kierującą losami ludzkości, działającą z niesłychaną konsekwencją według jakiegoś bardzo mądrze obmyślanego planu i poruszającą, jak pionkami, wszystkimi innymi siłami w świecie.

Opierając się na swojej obserwacji i na swoim w tym względzie doświadczeniu, sądzę, że ta jednolitość i konsekwencja, jaką się widzi powszechnie w działaniach Żydów, jest wynikiem nie tyle jakiegoś mądrze obmyślanego i mądrze wykonywanego planu, ile jednolitości instynktów i spójności tego starego azjatyckiego ludu, która by nas mniej wprawiała w podziw, gdybyśmy w ogóle lepiej starą Azję znali. Żydzi pod tym względem wśród starych ludów nie stanowią wcale wyjątku. Różnica jest tylko ta, że gdy tamte siedzą w Azji, na swych obszarach rasowych i tworzą bądź państwa, bądź kolonie państw europejskich, oni swej siedziby ojczystej nie mają i koczują od niepamiętnych czasów po innych krajach, upodobawszy sobie, prawie od początku naszej ery, kraje cywilizacji europejskiej. Zresztą znaleźć można poza Europą ludy i pod tym względem do nich podobne, ludy żyjące w obcym środowisku, odznaczające się wyłącznością i stanowiące spójną całość, a nawet pod względem swej roli w życiu gospodarczym krajów do Żydów bardzo podobne.

Ta jednolitość instynktów i spójność, będąca wynikiem tresury niezliczonej liczby pokoleń w jednolitych instytucjach teokratycznych, ratuje Żydów przy ich wybitnej kłótności i znacznej rozbieżności ich świadomych dążeń, przy ich wreszcie znanej

próżności i pysze, która dyktuje im często bardzo nierozważne kroki polityczne, pociągające za sobą fatalne dla nich następstwa.

Gdy chodzi o dążenia polityczne Żydów, które odegrały rolę w wielkiej wojnie, trzeba stwierdzić, że choć nie były one całkiem jednolite, to jednak ewolucja tych dążeń w latach poprzedzających wojnę sprowadziła je w znacznej mierze do jednego mianownika.

Wiadomo wszystkim, że w XIX stuleciu głównym dążeniem Żydów było wejście do społeczeństw europejskich, zdobycie kultury i wiedzy europejskiej, przyjęcie zwyczajów i sposobu życia narodów, wśród których mieszkali, przerobienie się na Francuzów, Anglików, Niemców, Polaków itd. Jednolitość wszakże instynktów i spójność rasowa pozwalała im zachować przy tym węzły ścisłej łączności nie tylko między Żydami asymilującymi się i często wyzutymi z wierzeń religijnych a Żydami starego typu, tzn. ortodoksami, ale także pomiędzy Żydami wszystkich krajów. Jako wyraz ostatniej powstała nawet wielka organizacja, Alliance Israélite Universelle. Ten okres pozwolił Żydom zgromadzić w swych rękach wielkie bogactwa i zdobyć znaczną rolę w życiu społecznym i politycznym krajów. Trzeba dodać, że gromadzenie bogactw szybko zwiększało ich rolę skutkiem materialnego uzależnienia od nich szerokich sfer w społeczeństwach europejskich. Nastąpił wówczas okres, w którym silniej niż kiedykolwiek panowało dążenie do uczynienia hierarchii społecznej hierarchią wyłącznie majątkową, w którym pieniądź głównie pomagał we wspinaniu się po drabinie społecznej, w którym za pieniądź można było kupić zdolności i przekonanie ludzkie, w którym zatem ci, co rozporządzali pieniądzem, mieli na swoje usługi liczne szeregi ludzi dla nich pracujących. To tłumaczy te legiony obrońców żydostwa i bojowników o jego interesy, jakie powstały w XIX stuleciu we wszystkich krajach europejskich. Do tego przybyły tajne organizacje międzynarodowe, w których Żydzi mieli zawsze swych obrońców i w których od pewnego czasu zajęli kierownicze, według wszelkich danych, stanowiska, co im było ułatwione przez to, że nie należąc naprawdę do żadnego narodu, a żyjąc wśród wszystkich, niejako byli stworzeni do głównej roli we wszelkich przedsięwzięciach międzynarodowych.

Ostatnia ćwierć zeszłego stulecia przyniosła początki nowych dążeń wśród Żydów. W Europie Środkowej, będącej terenem najostrzejszych walk narodowych, panującym w życiu ludów prądem stał się nacjonalizm, i tu ideologia nacjonalistyczna osiągnęła najwyższy rozwój. Liczni w tej części świata Żydzi ulegli jej wpływowi i powstało wśród nich dążenie do stania się odrębnym na wzór europejski narodem. Ponieważ zaś naród w znaczeniu europejskim musi mieć przede wszystkim swoje terytorium, więc zjawilo się wśród Żydów dążenie do zdobycia swego terytorium narodowego. Wzrok ich padł przede wszystkim na Palestynę, gdzie raz już w dziejach panowali, i stąd prąd narodowy żydowski przybrał nazwę syjonizmu. Palestyna wszakże jest kraikiem niewielkim i odpowiednio do swych środków wytwórczych dość zaludnionym, trzeba dodać – nie przez Żydów. Emigracja więc do Palestyny nie miała widoków rozwoju na szerszą skalę i syjoniści zaczęli szukać obok niej innych obszarów, które by mogli skolonizować i opanować. Mówiono o Ugandzie, próbowano kolonizować Argentynę, to się wszakże nie powiodło.

Tymczasem rozwinęła się zacięta walka między ubogimi na ogół idealistami, jakimi byli syjoniści, a reprezentującymi potęgę finansową Anglikami, Amerykanami, Niemcami i Francuzami mojżeszowego wyznania, którzy nie myśleli opuszczać Paryżów, Londynów, Berlinów i Nowych Jorków ze wszystkim, co one dawały, i którzy syjonizm uważali za niedorzeczną mrzonkę.

Więcej im już trafiał do przekonania inny kierunek, który się z syjonizmu rozwinął, mianowicie nacjonalizm żydowski, organizujący Żydów tam, gdzie zamieszkują w większej masie, w celu wytworzenia z nich narodowości na miejscu i pozyskania dla nich praw jako dla narodowości odrębnej. Ponieważ Żydzi we wschodniej Europie, będący tam przeważnie przybyszami z Niemiec, mówią przekształconym narzeczem niemieckim, tzw. jidysz, a jak u nas, żargonem żydowskim, przeto wyodrębnienie ich w narodowość językową nie przedstawiało trudności. W tym języku zaczęli nawet rozwijać twórczość literacką i stworzyli dość znaczną prasę.

W ostatnich czasach zaczął brać górę prąd dążący do pogodzenia wszystkich dążeń żydowskich, a jednocześnie do pogodzenia dążeń nowoczesnych z tradycją biblijną „narodu wybranego”. Uznał on dążenie do opanowania Palestyny, nie po to wszakże, żeby tam skupić wszystkich Żydów i uwolnić od nich inne kraje, ale żeby tam odbudować ośrodek duchowy Żydów i stworzyć podstawę operacyjną do działania na całym świecie. Palestyna nigdy ojczyzną Żydów nie była, bo nigdy ojczyzny nie mieli, ale Jerozolimę uczynili oni swym ośrodkiem duchowym. Nowy prąd postawił Żydom za cel odzyskanie tego ośrodka i, co dla tego celu jest niezbędne, opanowanie Palestyny mającej ludność nieżydowską; jednocześnie wszakże kazał im nie zapominać, że mają „posiąść ziemię”, że zatem muszą być wszędzie, wszędzie zdobywać pozycję i organizować swe wpływy.

W tak pojętym zadaniu polityki żydowskiej wszystkie sprzeczne przedtem dążenia żydowskie znalazły dla siebie miejsce i mogły się pogodzić. I takie pojęcie zadania pozwalało zużytkować do wspólnego celu wszystkie siły żydowskie, działające we wszystkich krajach, w jakimkolwiek charakterze. Pozostawał raczej tylko spór między różnymi grupami żydostwa o pierwszeństwo, o rolę przewodnią. Spór ten zaznaczył się nawet w kwestii Palestyny, w której kierownictwo przypadło Żydom angielskim wbrew ambicjom amerykańskim.

Żydzi w tej wojnie wzięli bardzo liczny udział jako Anglicy, Francuzi, Amerykanie itd. Było ich wielu w wojsku i wielu poszło jako ochotnicy. Słyszałem od amerykańskiego Żyda, że w wojsku Stanów Zjednoczonych stanowili większy odsetek niż wśród ludności Unii. Pamiętam, jak mnie uderzyła po przyjeździe do Londynu ogromna na jego ulicach liczba Żydów w uniformach oficerskich. Co prawda później, podczas mojej wycieczki na front angielski, nie spotkałem tam ani jednego. Nie znaczy to, żeby ich tam wcale nie było; słyszałem nawet o takich, co się odznaczyli, ale ogromna większość odbywała służbę pozafrontową, i to we wszystkich armiach. Niewątpliwie też strat w ludziach ponieśli bardzo mało.

Biorąc wszakże udział w wojnie po stronie państw, których byli obywatelami, mieli Żydzi jednocześnie swoją politykę żydowską, która mniej się manifestowała w pierwszej

połowie wojny, później wszakże, w miarę jak wojna zbliżała się ku końcowi, działała coraz wyraźniej, występowała coraz jawniej. Działali oni przez swoje wpływy finansowe, przez swoich ludzi zajmujących stanowiska polityczne w państwach, przez oddanych im nie-Żydów na stanowiskach kierowniczych; wreszcie podczas konferencji pokojowej zjawił się w Paryżu komitet żydowski, odgrywający za kulisami konferencji dużą rolę. Nawet w wojskach państw wojujących umieli czasem prowadzić politykę żydowską, nie zawsze zgodną z polityką państw, którym służyli.

W sprawie polskiej polityka żydowska odegrała też niemałą rolę.

Od początku wojny było widoczne, że polityka żydowska pracuje na rzecz państw centralnych. Najlepiej widzieliśmy to my w Polsce, gdzie wszyscy Żydzi we wszystkich trzech zaborach bądź współdziałali bezpośrednio z Niemcami i Austrią, bądź też, o ile występowali jako Polacy, wzięli czynny udział w robocie austrofilskiej i w aktywizmie. Na szerszej arenie światowej wyraźnym w tym względzie wskaźnikiem było zachowanie się Żydów w Stanach Zjednoczonych i innych krajach neutralnych, gdzie obowiązek lojalności względem własnego państwa nie przeszkadzał im ujawniać właściwego ich stanowiska i gdzie dawali poparcie Niemcom i ich przedsięwzięciom politycznym. We wszystkich też krajach, czy to wojujących, czy neutralnych, obozy polityczne znane ze swych związków z Żydami i z uzależnienia od nich bądź wyraźnie stały po stronie państw centralnych, bądź szerzyły defetyzm i pracowały dla przedwczesnego pokoju, który by uratował interesy niemieckie.

To stanowisko Żydów było całkiem zrozumiałe.

Przede wszystkim, w obozie państw sprzymierzonych znajdowała się Rosja, posiadająca w swych granicach główną masę Żydów żyjących na kuli ziemskiej, a jednocześnie będąca jedynym z wielkich mocarstw usiłującym przy pomocy ustaw przeciwydowskich bronić się od zalewu żydowskiego. Nie było wątpliwości, że zniszczenie państwa rosyjskiego jest jednym z głównych celów polityki żydowskiej w tej wojnie.

W żadnym z państw europejskich Żydzi nie mieli tak mocnej pozycji gospodarczej i politycznej jak w Austro-Węgrzech. Na Węgrzech Madziarzy w walce ze Słowakami, Rumunami i Serbami uciekli się do pomocy Żydów i w szybkim tempie oddawali kraj w ich ręce. O ile dobrze pamiętam, 95% własności nieruchomości w Budapeszcie należało już do Żydów. W Austrii przy różnorodnym składzie narodowym państwa, Żydzi obecni we wszystkich jej krajach i to w znacznej liczbie, stawali się coraz bardziej cementem łączącym państwo w jedną całość, i co raz bardziej je opanowywali. Majątek krajów austriackich z ogromną szybkością przechodził w ręce żydowskie, liczba Żydów w urzędach, w sądownictwie i nawet w armii wzrastała z roku na rok, i w ich ręce przechodziło stopniowo kierownictwo polityczne. Widzieliśmy to z bliska w naszej Galicji, gdzie w ciągu okresu autonomicznego znaczna część majątku kraju przeszła w ręce żydowskie i gdzie wpływ polityczny Żydów zaczął już grać pierwszorzędą rolę nawet w krakowskim obozie konserwatywnym. Wiedeń i Budapeszt były najbardziej żydowskie ze stolic i z finansowych centrów Europy.

Nic więc dziwnego, że Żydzi uważali Austro-Węgry niejako za swoje państwo i że obrona tego państwa była jednym z głównych punktów polityki żydowskiej.

– Tu się uważa Austro-Węgry za państwo najbardziej katolickie – mówiłem w roku 1916 w Watykanie do jednego z tamtejszych dyplomatów. – Jest to państwo wszakże najbardziej żydowskie i coraz bardziej żydowskie się staje; o ile by przetrwało ono tę wojnę, rychło byśmy się w nim doczekali bardzo smutnych dla Kościoła czasów.

Dyplomacja wszakże watykańska nie uważała Żydów za niebezpieczeństwo dla Kościoła i okazywała im sympatię i poparcie.

W Niemczech Żydzi nie byli całkiem zadowoleni ze swego położenia, nie mieli bowiem szeroko otwartych wrót do urzędów, a tym mniej do armii. Ich wszakże pozycja finansowa była tam o wiele potężniejsza niż w państwach zachodnich.

Cel Bismarcka – zbudowanie wielkości Niemiec przy pomocy Żydów – aż nadto dobrze został osiągnięty. Stali się oni poważnymi współwłaścicielami Niemiec. Niemiecka bankowość, handel i przemysł były w o wiele większej mierze żydowskie, niż to się na zewnątrz wydawać mogło. Udziału Żydów w nich nie można było ocenić przez badanie rejestru firm – trzeba było na to zasiadać w radach zarządzających towarzystw akcyjnych. Tam dopiero można było widzieć, czym są Żydzi w życiu gospodarczym Niemiec. Jedną z ilustracji tej ich roli i ich znaczenia byli żydowscy potentaci finansowi, handlowi i przemysłowi, których cesarz Wilhelm zaliczał do swych osobistych przyjaciół.

Ekspansja gospodarcza i finansowa Niemiec w środkowej i wschodniej Europie była w ogromnej mierze ekspansją kapitału i wpływów żydowskich. Stąd w szerokich planach berlińskich całkowitego zapanowania w tej części świata, w konstrukcjach *Mitteleuropy*, Berlin-Bagdad, w próbach ostatecznego ujarznienia Rosji, Żydzi widzieli wielki dla siebie interes. Gotowali się do roli współgospodarzy tego systemu.

Obok tego cesarz Wilhelm dawał im do zrozumienia, że swych wpływów w muzułmańskim świecie użyje do zdobycia dla nich stanowiska w Palestynie.

Mieli więc Żydzi wszelkie powody do współdziałania w zwycięstwie państw centralnych i współdziałali gorliwie, dopóki to zwycięstwo było prawdopodobne.

W roku 1917 położenie radykalnie się zmieniło.

Rewolucja rosyjska obaliła państwo walczące z Żydami. Nastąpiły w Rosji rządy liberalne, którym Żydzi nic zarzucić nie mogli. Znali oni wszakże Rosję dobrze i wiedzieli, że to jest tylko początek rewolucji i że mają w swych rękach środki szybkiego doprowadzenia jej do końca, do katastrofy. Widzieli możliwość zniszczenia Rosji, podjęcia jej sił na dłuższy okres, wreszcie, co przy ich psychice jest zrozumiałe, pomszczenia swych krzywd krwawo.

Z drugiej strony, widoki zwycięstwa Niemiec znikły. Poinformowani dobrze o siłach wewnętrznych państw wojujących, zwłaszcza o ich stanie gospodarczym i finansowym, zdawali sobie lepiej niż ktokolwiek inny sprawę z niemożliwości tego zwycięstwa. Widzieli także całą trudność powstrzymania Ameryki od udziału w wojnie,

gdy z drugiej strony udział ten leżał w ich interesie, bo przy ich znaczeniu w Stanach Zjednoczonych, większym niż w państwach europejskich, dawał im widoki wielkiego wpływu na przyszły pokój.

Widząc, iż zanoszą się na to, że państwa sprzymierzone będą dyktowały pokój, i trzymając się ustalonej w polityce żydowskiej zasady, według której Żydzi zawsze muszą być po stronie zwycięzców, postanowili dać się kupić sprzymierzonym.

Transakcja nastąpiła, według wszelkich danych, w pierwszej połowie 1917 roku. Pierwszym widocznym jej wynikiem była deklaracja rządu angielskiego, zapewniająca Żydom poparcie w osiągnięciu jednego z celów ich polityki, w zbudowaniu swej narodowej siedziby, czy narodowego ogniska (*national home*) w Palestynie. Niewątpliwie cena kupna w tym się nie zamykała. Można się tylko domyślać, co im przyrzeczono więcej.

Dalszy bieg wypadków i treść zawartego po wojnie pokoju tę cenę określiły.

Tak Żydzi wtedy, kiedy spostrzegli konieczność dla siebie przerwania się formalnego na stronę sprzymierzonych, kiedy musieli to zrobić dla własnego interesu, umieli jednak za ten krok wziąć zapłatę. Udało im się to dzięki temu, że na najwyższych stanowiskach w polityce mocarstw mieli ludzi blisko ze sobą związanych, którzy im do tego pomogli.

Zwłaszcza imiona Lloyd George'a i Wilsona, jeżeli Żydzi umieją być wdzięczni, winny być w ich księgach złotymi zapisane głoskami.

Jeżeli Żydzi w roku 1917 przeszli formalnie na stronę sprzymierzonych, to nie znaczy, żeby opuścili całkiem Niemcy i Austrię, a tym samym poświęcili interesy żydowskie w tych dwóch państwach. Wszystkich swoich wpływów używali oni w dalszym ciągu, ażeby ocalić Austro-Węgry od rozbioru i uratować z planów niemieckich co można, przede wszystkim zaś nie dopuścić do wyzwolenia Polski spod władzy Niemiec. Alianci mogli wyjść zwycięzcami, ale *Mitteleuropa* winna być urzeczywistniona.

Nadto otwarta się dla nich w tej nowej fazie wojny nowa perspektywa dokonania przewrotu w Niemczech, który by usunął pozostałe przeszkody polityczne, jakie tam mieli na swej drodze, i utorował im drogę do władzy.

Odtąd polityka żydowska pracowała nad tym, żeby zwycięstwo sprzymierzonych nie doprowadziło do zgniecenia Niemiec i rozbioru Austrii, żeby system gospodarczy Niemiec nie został zachwiany, a ich panowanie w środkowej Europie żeby się nawet rozszerzyło, natomiast żeby owocem tego zwycięstwa była rewolucja w Niemczech i dojście tam Żydów do władzy.

Jeżeli chodzi o Polskę, to Żydzi, niezależnie od swoich interesów w Niemczech, mieli inny jeszcze bardzo ważny motyw do walki przeciw jej niepodległości.

Rzeczpospolita, przez swoją fatalną politykę w ciągu paru stuleci poprzedzających rozbiory, przez politykę, która doprowadziła do takiego zażydzenia kraju, że posiadał on ich więcej niż cały świat pozostały, zdobyła dla Polski niejako tytuł europejskiej ojczyzny Żydów. Tym samym w oczach Żydów podpisała na siebie wyrok. Patrzyli na nią jako na

nową Palestynę, i Polakom przeznaczali w niej na przyszłość rolę mniej więcej podobną do tej, jaką w czasach biblijnych miała nieizraelska większość ludności Chanaanu, jego odwieczni mieszkańcy. Osiągnięcie tego celu było najłatwiejsze przez doprowadzenie państwa polskiego do upadku i do przejścia ziem polskich pod władzę obcą, która by mogła korzystać z pomocy żydowskiej do panowania w Polsce. Dotychczasowa nasza historiografia jeszcze nam nie wyjaśniła roli Żydów w rozkładzie życia politycznego Rzeczypospolitej i w jej rozbiorach. To wszakże, co już wiemy, wskazuje, że była to rola niemała. Wiemy również, że w okresie niewoli siła Żydów w Polsce szybko rosła, a zachowanie się ich polityczne było często aż nadto wymownie przeciwne dążeniom polskim.

Otóż dla celu dalszego opanowywania Polski nie było w ich oczach pożądane, ażeby stała się ona samoistnym naprawdę państwem, w którym by się odbywał rozwój i organizacja sił narodowych polskich.

Tak w momencie, kiedy sprawa polska dojrzewała do rozstrzygnięcia na drodze zwycięstwa mocarstw niezainteresowanych w zniszczeniu Polski, w obozie tych państw wystąpił na widownię wróg bardzo niebezpieczny dzięki drogim i metodom swego działania, tym trudniejszy do pokonania, że nie walczył otwarcie, że sam nie występował na front ale wysuwał innych.

Walka z przeszkodami, stawianymi sprawie polskiej przez Żydów stała się odtąd, jak to w następstwie zobaczymy, najtrudniejszym zadaniem polityki polskiej.

V. NIEMIECKIE FAKTY DOKONANE NA WSCHODZIE EUROPY. ORGANIZACJA KRÓLESTWA POLSKIEGO. ROZKŁAD ROSJI. POKÓJ BRZESKI I UKRAINA

Byłoby rzeczą bardzo pouczającą przedstawić w szczegółach całą robotę polityki niemieckiej w tym nowym okresie wojny. Zanadto by to wszakże rozszerzyło obecną pracę i zbyt oddaliłoby nas od właściwego jej przedmiotu. W okresie, o którym mowa, środek ciężkości sprawy polskiej już tak widocznie znajduje się po stronie państw sprzymierzonych, że to, co się dzieje po stronie przeciwnika, ma znaczenie o tyle, o ile zbliża lub oddala zwycięstwo. Stąd uważam za właściwe zadowolić się ogólnym rzutem oka na bliżej nas obchodzące działania niemieckie i na wypadki z nimi związane.

Wobec szybko zmniejszającej się możliwości uzupełnienia szeregów swej armii, Niemcy ponawiali ofensywy pokojowe, ciągle jeszcze żywiąc nadzieję na taki pokój, który by im zapewnił urzeczywistnienie ich celów w środkowej i wschodniej Europie. Jednocześnie weszli na drogę szybkiego tworzenia tam „faktów dokonanych” w nadziei, że zawierany z przeciwnikami pokój te fakty uzna.

Pierwszym z tych faktów była organizacja Królestwa Polskiego: ustanowienie Rady Regencyjnej, złożonej z trzech członków (arcybiskup Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i Józef Ostrowski), ciała ustawodawczego i rządu. Państwo można było uważać za gotowe, jakkolwiek Niemcy nie przestawali nim rządzić i w sprawach zewnętrznych głosu mu nie dawali.

Sfery polskie, które do organizacji tego państwa powołano, wzięły je do tego stopnia na serio, że dążyły do poddania Radzie Regencyjnej i uzależnienia od niej wszystkich działań polskich nie tylko w nowo utworzonym Królestwie, ale także w Rosji i na Zachodzie. To dążenie doprowadziło między innymi do zniesienia wojska polskiego w Rosji, zorganizowanego pod dowództwem generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, który uznał zwierzchnictwo Rady Regencyjnej.

Dotychczas nie mogę zrozumieć, jakimi myślami kierowała się Rada Regencyjna, gdy wysłała do Szwajcarii ks. Eustachego Sapiechę, z propozycją do Komitetu Narodowego w Paryżu, ażeby ten również uznał jej zwierzchnictwo nad sobą. Jak sobie wyobrażano uzależnienie polityki prowadzonej przeciw Niemcom od organu mianowanego przez Niemców i istniejącego pod ich opieką?... Jak widziano Komitet Narodowy, współdziałający w doprowadzeniu do decydującego zwycięstwa sprzymierzonych, i armię polską we Francji, bijącą się przeciw Niemcom, i to wszystko na rachunek Rady Regencyjnej w Warszawie?... Inaczej tego sobie nie można wytłumaczyć, jak pragnieniem zlikwidowania polityki polskiej po stronie państw sprzymierzonych, w przekonaniu, że jest ona już niepotrzebna, że naród polski już swój cel osiągnął.

Życie mnie nauczyło nie dziwić się niczemu w polityce, ale wówczas osłupiałem.

Odpowiedzieliśmy grzecznie, że nie mamy nic przeciw temu, żeby Rada Regencyjna była organem zwierzchnim, miejscowym, na obszarze nowego Królestwa Polskiego, że jednak nie może być ona uważana za władzę całej Polski, bo to Królestwo tylko część Polski obejmuje, i że nie można polityki polskiej w tej wojnie od niej uzależnić, wobec tego, że sama ona uzależniona jest od jednej strony wojującej, od państw centralnych.

Nie myślałem, żeby w początku roku 1918, kiedy sprawa polska już tak daleko posunęła się naprzód na terenie międzynarodowym, były jeszcze w Polsce koła tak mało rozumiejące cele polityki polskiej i tak niezdarzące sobie sprawy z sytuacji ogólnej.

Drugim faktem dokonanym – i to, niestety, dokonanym naprawdę na czas dłuższy – było doprowadzenie do zwycięstwa bolszewizmu w Rosji i do zniszczenia tego państwa. To dzieło Niemcom powiodło się całkowicie. Rosja przestała istnieć w wojnie światowej i bezwład jej był na długo zapewniony.

Pozostawało trzecie dzieło, nad którym Niemcy, przy pomocy Austrii, pracowały na długo już przed wojną – stworzenie państwa ukraińskiego. Do budowy tego państwa cegła była krucha i piasek był zamiast cementu; cel wszakże był tak ponętny, że żadne trudności budowniczych nie odstraszały. Cóż mogło bardziej nęcić wyobraźnię narodu dążącego do panowania nad całą Europą Wschodnią? Rozbić Rosję, odciąć ją od Morza Czarnego, pozbawić ją najurodzajniejszych ziem, żelaza i węgla kamiennego, a w konsekwencji i nafty; okroić Polskę tak, żeby w najlepszym razie już mogła być tylko małym, słabym państwem; stworzyć państwo, które będzie nieprzejednanym wrogiem jednej i drugiej, a które, przy słabości swoich wiązań wewnętrznych, będzie musiało trzymać się opieki niemieckiej i pod komendą niemiecką maszerować.

Niezawodnie, pomysł stworzenia narodu ukraińskiego i zbudowania w następstwie ukraińskiego państwa Niemcy uważali za jeden z najświetniejszych wytworów swego politycznego geniuszu. Austriacy w połowie zeszłego stulecia zabrali się do hodowania narodowości ruskiej (*Ruthenen*). Było to przedsięwzięcie lokalne, na małą skalę, zmierzające do wytworzenia jednej więcej narodowości austriackiej i odebrania siły Polakom w państwie. Niemcy, naród wielkich ambicji i wielkich planów, zagarnęli szeroko: ku końcowi zeszłego czy w początku bieżącego stulecia powzięli myśl stworzenia nowego narodu na przestrzeni od Karpat do Kaukazu, Austria zaś i w tej, jak w wielu innych rzeczach, oddała im się na narzędzie. Robotą szła na kilkanaście już lat przed wojną, szła pośrednio przez Wiedeń i bezpośrednio z Berlina. Nikt nie miał sposobności tak blisko się jej przyglądać jak my, Polacy. I nikt nie miał możliwości tak jak my jej pomagać, o ile chciał Polskę gubić. Wielu też z naszych polityków z tej możliwości korzystało.

Trzeba by wszakże cudotwórców na to, żeby z niczego prawie stworzyć wielki naród w ciągu lat kilkunastu. Toteż wynik był ten, że narobiono w tym czasie dużo szkody Polakom w Galicji, ale pozytywnie zrobiono bardzo mało, i gdy przyszła wielka wojna, naród ukraiński na widowni się nie zjawił i na wypadkach nie zaważył.

Jednakże państwo ukraińskie było Niemcom dla ich planów potrzebne, i to natychmiast, zanim wojna się skończy, zanim dojdzie do pertraktacji pokojowych ze sprzymierzeńcami. Gdy państwo będzie faktem dokonany, to wobec głoszonej powszechnie zasady wolności ludów, przy istnieniu potężnych organizacji międzynarodowych nierozumiejących czy niechcących rozumieć, co to jest naród i skutkiem tego umiejących tę zasadę doprowadzać do absurdu, nikt nie będzie śmiał zrobić na nie zamachu, a może nawet kwestionować jego granic. Zdecydowano się więc zrobić państwo ukraińskie pośpiesznie, tandetnie, byle je zrobić, byle stworzyć fakt dokonany. Powstania państwa w taki sposób, jak to się stało w początku roku 1918 z Ukrainą, historia jeszcze nie widziała.

Niemcy zainauguowały pertraktacje pokojowe z bolszewicką Rosją. Do pertraktacji tych dopuszczono pod opieką delegacji bolszewickiej rosyjskiej delegatów Centralnej Rady Ukraińskiej, ludzi nic nieznających i niewiele rozumiejących. Tym ludziom przeznaczono rolę wielkich zdobywców, o jakiej się najambitniejszym politykom europejskim nie śniło. Bez trudu, bez prowadzenia przedtem wojny osiągnęli oni traktat pokoju – zawarty między Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgarią i Turcją z jednej strony a „Republiką ludu ukraińskiego” z drugiej – jako „pierwszy krok ku pokojowi światowemu, trwałemu i dla wszystkich stron honorowemu”. Pokój ten przyznał „Republice Ukraińskiej” na zachodzie granicę idącą od granicy austriackiej przez Biłgoraj, Krasnystaw, Radzyń, Mielnik, Wysokie Litewskie, Prużanę...

Terytorium austriackiego na razie nie ruszono, ale poufnie Austria oświadczyła gotowość przyłączenia do tego państwa w przyszłości wschodniej części Galicji i Bukowiny.

Delegaci ukraińscy dostali prawdopodobnie więcej niż chcieli. W każdym razie więcej by już przyjąć nie mogli. Od początku historii dyplomatycznej świata nikomu tak łatwo nie przyszło zrobienie nabytków terytorialnych przy pertraktacjach pokojowych. Łatwość ta wynikała stąd, że ci, których ziemie tak darowywano, Polacy, byli nieobecni. Królestwo Polskie miało suwerena w postaci Rady Regencyjnej, miało rząd, miało premiera i ministra spraw zagranicznych, miało nawet armię, ale ziemie jego rozdawano pod nieobecność jego przedstawicieli, i na traktacie, który rozporządzał jego obszarem, nie figurowało. Takiej farsy również świat jeszcze nie widział.

Niemcy umówili się z bolszewikami, że ci nie zgodzą się na udział delegacji polskiej w pertraktacjach. Trocki nie mógł uznać władz ustanowionych w Polsce przez obce państwa za prawowite władze polskie. Ta lojalność względem narodu czy ludu polskiego nie przeszkadzała dzielić ziemi polskiej wespół z tymi obcymi państwami.

Trzeba stwierdzić, że ludzie, którzy nosili tytuł rządu polskiego, robili wszystko, co można, żeby się do Brześcia Litewskiego dostać. Podczas słynnej wycieczki Rady Regencyjnej do Berlina i Wiednia zabiegano usilnie o dopuszczenie do pertraktacji delegatów polskich na tych samych zasadach co ukraińskich. Już wówczas wszakże premier Królestwa, p. Kucharzewski, tłumaczył prasie, że następują się w tym względzie

trudności z zakresu prawa międzynarodowego. Nie wyjaśnił on, jakie to prawo pozwalało na delegację ukraińską, a nie pozwalało na polską.

Dyplomata warszawski potem pisał, telegrafował do Berlina, szukał zetknięcia osobistego z delegatami niemieckimi, łapał ich w pociągach, które ich wiozły do Brześcia. Wszystkie te rozpaczliwe wysiłki były próżne.

Niemcy spokojnie, z zimną krwią zarzynali, jak im się zdawało, Polskę, jednocześnie bez ceremonii wystawiając na pośmiewisko tych Polaków, którzy w ich ręce złożyli losy swej ojczyzny, a którym w nagrodę za to dano puste tytuły i pozwolono przez pewien czas imaginować sobie, że są mężami stanu.

Pokój brzeski był ukoronowaniem polityki, która związała losy Polski z Austrią i z Niemcami, która się nazywała aktywistyczną, a której aktywność wyraziła się ostatecznie w roli barana na rzeź prowadzonego. Składany był na ofiarę bogu niemieckiemu, więc mu pozłożono rogi.

Dopiero wówczas rozmaici wytrawni politycy spostrzegli, że ich Austria i Prusy zdradziły, dowiedzieli się tego, co najprostszym ludziom było wiadome od roku 1772. Jak grad posypały się protesty. Pomimo wszakże, że Niemcy i Austriacy zeskamotowali Królestwu „gubernię chełmską”, która u naszych austrofilów i aktywistów figurowała jako jeden z głównych punktów oskarżenia przeciw Rosji – pozostali oni na stanowiskach, które otrzymali z rąk państw centralnych, i nie przestali pracować dla Niemiec przeciw mocarstwu sprzymierzonym...

Pokój z Ukrainą został podpisany 9 lutego 1918 roku. Był on dla Niemiec pilniejszy niż pokój z sowiecką Rosją. Ten podpisano dopiero 3 marca, również w Brześciu Litewskim. Losy wojny, a z nimi losy Polski rozgrywały się od tej chwili już tylko na polach Francji.

VI. AKCJA POLITYCZNA KOMITETU NARODOWEGO

Na koniec grudnia 1917 roku była zapowiedziana konferencja międzysojusznicza z udziałem Stanów Zjednoczonych dla porozumienia się co do celów wojny i planu dalszego jej prowadzenia.

Był to ważny moment w polityce wojennej państw sprzymierzonych – mógł być decydujący. Po raz pierwszy Ameryka miała wziąć udział w radzie mocarstw wojujących przeciw Niemcom. Jej prezydent, Wilson, i premier angielski, Lloyd George, byli ludźmi, na których zwracały się wszystkie oczy.

Wilsona ani nikogo z jego otoczenia wówczas nie znałem, gdyż dopiero jesienią 1918 roku odwiedziłem Amerykę. Nie zetknąłem się też do owego czasu osobiście z Lloydem George'em. Byłem w bliskich stosunkach z paru jego przyjaciółmi. Chcieli oni doprowadzić do mojej z nim rozmowy, ale to im się nie udawało. Widocznie premier angielski nie życzył jej sobie; natomiast dochodziły mnie wieści, że się niechętnie o mnie wyraża.

Nie żywiłem do niego zaufania, wiedząc, kim jest otoczony i jakim ulega wpływom.

To, co wiedziałem wówczas, potwierdziło się później całkowicie. Na konferencji pokojowej mieliśmy w nim niezmordowanego wroga naszej sprawy. O tym, jak życzliwi naszej sprawie Anglicy zapatrywali się na źródła jego polityki względem Polski, świadczy rozmowa, jaką miałem w roku 1919 z człowiekiem bardzo poważnym, zajmującym w Anglii wysokie stanowisko oficjalne.

– Niech mi pan powie – zapytałem go – dlaczego na tej konferencji w każdej nieomal sprawie, w której wchodzi w grę nasze najżywotniejsze interesy, od której cała nasza przyszłość zależy, mamy Anglię przeciw sobie.

– To nie Anglia – odpowiedział – to Lloyd George.

– Cóż może mieć Lloyd George przeciw Polsce? Przecież on jej wcale nie zna, nigdy z nią do czynienia nie miał, a przy swojej znajomości geografii może nawet o niej przed wojną nie słyszał.

– To wpływ otoczenia.

– Cóż to za otoczenie, tak nienawistnie do Polski usposobione? Kto to może być? Mój Anglik zamilkł na chwilę, wreszcie rzucił jedno słowo:

– Żydzi.

Człowiek ten był Anglikiem z krwi i kości, do ojczyzny swej gorąco przywiązanym i wiernie jej służącym. Widziałem, że mu przykrość sprawiało to powiedzieć, ale zbyt był uczciwy, żeby prawdę w tym wypadku zamilczeć. Zresztą, nie mówił mi nic nowego, potwierdzał to, co od dawna już wiedzieliśmy.

Wiedzieliśmy również o wpływach żydowskich w Ameryce i o dostępie, jaki Żydzi mieli do Wilsona.

Łatwo było przewidzieć, że wpływy te będą działały przede wszystkim w dwóch kierunkach: przeciw Polsce i na korzyść Austrii. Obawialiśmy się, żeby na zbliżającej się konferencji międzysojuszniczej nie zapadły decyzje, które by wykoleiły, a przynajmniej poważnie utrudniły dalszy rozwój sprawy polskiej, żeby zwłaszcza nie zaangażowano się w kierunku ratowania monarchii habsburskiej, co by ułatwiło Niemcom zniszczenie ich planów, a nam zagroziło drogę do istotnej niepodległości. Chcieliśmy też zrobić próbę dostania się na tę konferencję z tym tylko, żeby nas tam wysłuchano w sprawie położenia w środkowej Europie. Widoki na to były więcej niż słabe, bo kierownicy polityki wielkich mocarstw konsekwentnie nie dopuszczali do swych narad nikogo, nawet z głosem doradczym; najmocniej zaś upierali się przy tej wyłączności ci, co najmniej wiedzieli o położeniu politycznym w Europie. Przecież Lloyd George później, na konferencji pokojowej przeprowadził utworzenie Rady Najwyższej, w której byli nieobecni nawet ministrowie spraw zagranicznych mocarstw dyktujących pokój.

Nie chcąc czekać biernie, aż zło się stanie, postanowiliśmy zrobić to, co było w naszej mocy, ażeby do niego nie dopuścić. Poza przedstawieniami, któreśmy robili w rozmowach z kierownikami politycznymi mocarstw, Komitet Narodowy przesłał w połowie listopada 1917 roku rządowi państw zachodnich memorandum w sprawie środków walki politycznej z Niemcami, w szczególności w kwestii polskiej i austriackiej⁵⁴.

W piśmie tym wskazano, że dwa niepowodzenia, których doznali ostatnimi czasy sprzymierzeńcy, mianowicie rozkład Rosji i klęska na froncie włoskim były wynikiem wyteżonej akcji politycznej Niemców, popierających bolszewizm w Rosji i szerzących propagandę pacyfistyczną we Włoszech. Wielkie niebezpieczeństwo wynika stąd, że akcji tej aliansi nic ze swej strony nie przeciwstawiają, żadnej ofensywy politycznej nie prowadzą, w słabe punkty państw centralnych nie uderzają.

Tymczasem dla ofensywy takiej istnieje szerokie pole. Najsłabszymi punktami państw centralnych, w które nie zwlekając należy uderzyć, są: kwestia polska i kwestia narodowości w państwie austro-węgierskim. W tej dziedzinie można wytworzyć dla państw centralnych trudności nie do przewyciężenia, a to przez danie zachęty do walki z nimi zarówno Polakom, jak ludom monarchii habsburskiej. W tym celu Komitet Narodowy Polski proponuje, ażeby Wielka Brytania, Francja, Włochy i Stany Zjednoczone zawarły z sobą umowę, której treść byłaby ogłoszona, a która by włączyła do celów wojny:

1) odbudowanie niezawisłego państwa polskiego, obejmującego ziemie polskie, które przed wojną należały do Rosji, Niemiec i Austrii, posiadającego polską część Śląska i część wybrzeża bałtyckiego z ujściem Wisły i Niemna, mającego wreszcie dostateczny obszar i liczbę ludności, ażeby mogło stać się skutecznym czynnikiem równowagi europejskiej;

⁵⁴ Patrz niżej: Aneks IX.

oraz

2) wyzwolenie ludów Austro-Węgier: włączenie ziem polskich, włoskich, serbsko-chorwackich i rumuńskich do państw, do których należą przez swą narodowość, i utworzenie niezawisłego państwa czeskiego, obejmującego Czechy, Morawy, czeską część Śląska, wreszcie północną część Węgier, zaludnioną przez Słowaków.

W razie, gdyby na zbliżającej się konferencji międzysojuszniczej te sprawy miały być przedmiotem dyskusji, Komitet Narodowy Polski chętnie by służył dodatkowymi informacjami przez swego delegata.

Po rozesłaniu tego pisma dowiedzieliśmy się wkrótce, że wprawilo ono w gniew angielskiego premiera. Nie szło ono po linii polityki Lloyd George'a. Niebawem przyszło ostrzeżenie i z Ameryki.

Dnia 4 grudnia 1917 roku przy otwarciu sesji Kongresu Stanów Zjednoczonych prezydent Wilson wygłosił mowę, w której zaproponował wypowiedzenie wojny Austro-Węgrom. W tej mowie potwierdził on swoje, poprzednio ogłoszone zasady przyszłego pokoju i położył nacisk na potrzebę posiadania przez każde państwo pewnego i nieskrępowanego dostępu do morza. „Myślałem – dodał – i myślę teraz nie tylko o mniejszych i słabszych narodach, które potrzebują naszego poparcia, ale także o narodach wielkich i potężnych i o naszym obecnym przeciwniku, zarówno jak o tych, z którymi dziś jesteśmy stowarzyszeni w wojnie. Myślałem i myślę obecnie, między innymi, o samych Austro-Węgrach, zarówno jak o Serbii i Polsce”.

Mieliśmy pożądaną przez nas wypowiedzenie wojny Austro-Węgrom przez Stany Zjednoczone, mieliśmy ponowne zapewnienie poparcia w osiągnięciu „pewnego i nieskrępowanego” dostępu do morza – jak ten dostęp był rozumiany, okaże się później – ale usłyszeliśmy także zapowiedź obrony dostępu do morza Austro-Węgier, pojętych jako państwo „wielkie i potężne”.

Mowa ta poważnie nas zaniepokoiła. Nie wątpiliśmy o pierwszorzędnej roli, jaką odegrają Stany Zjednoczone, a w szczególności ich prezydent, przy zawieraniu pokoju.

Z mowy zaś jego wynikało, że nie myśli on o likwidacji Austro-Węgier, że widzi je nadal jako państwo wielkie i potężne, nieodcięte od Adriatyku.

Jako przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, przybył na konferencję międzysojuszniczą pułkownik House, przyjaciel i doradca Wilsona.

Skoro tylko stanął on w Paryżu, zwróciłem się do niego z prośbą o dłuższą rozmowę w celu wyjaśnienia mu naszego poglądu na położenie polityczne i na cele wojny. Nazajutrz potem na wczesną godzinę rano miałem już wyznaczone przyjęcie u pułkownika House'a.

Udałem się do hotelu Crillon, gdzie przedstawiciel Ameryki zajmował obszerny apartament na pierwszym piętrze. Na drugim piętrze, tuż nad nim stał Lloyd George. W przedpokoju House'a zastałem kilkunastu ludzi, przeważnie w uniformach wojskowych

amerykańskich i angielskich, odkomenderowanych widocznie do jego osoby. Zameldowano mnie i House natychmiast mnie przyjął.

Przywitał mnie bardzo życzliwie i, nie tracąc czasu, weszliśmy od razu *in medias res*⁵⁵.

Nie upłynęły bodaj dwie minuty, kiedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Na *come in* gospodarza drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Lloyd George.

– Pułkownik House – rzekł tonem zaaferowanym – muszę natychmiast odbyć z panem konferencję w bardzo pilnej sprawie.

House, nieco zdziwiony, wskazał mu fotel w przeciwnym rogu dużego salonu.

– To niech pan chwilę poczeka – rzekł – ja dokończę rozmowy z panem Dmowskim. Do mnie zaś się zwrócił:

– Bardzo pana przepraszam, ale prawdopodobnie nie będziemy już mieli czasu zobaczyć się przed rozpoczęciem konferencji, więc musimy dokończyć naszą rozmowę teraz.

W tych warunkach dałem mu tylko krótkie *resumé* tego, z czym przyszedłem, pożegnałem się i zostawiłem ich samych.

Potem poinformowano mnie, że w przedpokoju przedstawiciela Ameryki znajdował się jeden z przybocznych ludzi Lloyd George'a. Skoro tylko wszedłem do gabinetu House'a, tamten pobiegł na górę do swego szefa z wiadomością i Lloyd George natychmiast się zjawił, żeby naszej rozmowie przeszkodzić w sposób dość bezceremonialny.

Później dowiedziałem się poufnie, o co chodziło. Właśnie w przeddzień konferencji Lloyd George wysłał do Genewy generała Smutsa na rozmowę z Austriakami. Bojąc się zaś, żeby nie usposobił pułkownika House'a przeciw wszelkim planom ratowania Austrii, postanowił nie dopuścić do dłuższej między nami rozmowy przed zebraniem się konferencji międzysojuszniczej. Nie można było odmówić premierowi angielskiemu, że jest *propositi tenax*⁵⁶ i że ma rzadkie bogactwo metod działania.

Konferencja międzysojusznicza w końcu roku 1917 nie przyniosła żadnych zmian zasadniczych w sprawach bliżej nas obchodzących. Zamiary Lloyd George'a w stosunku do Austrii spełzły na niczym. Ale i w sprawie polskiej nie zrobiono żadnego poważnego kroku naprzód.

Mieliśmy wówczas deklarację we francuskiej Izbie Deputowanych, zrobioną 27 grudnia 1917 roku przez ministra spraw zagranicznych, Pichona, niezawodnie w celu

⁵⁵ *In medias res* (łac.) – do sedna. [red.]

⁵⁶ *Propositi tenax* (łac.) – wytrwale dążący do celu. [red.]

uspokojenia nas i opinii francuskiej, interesującej się sprawą polską. Wspomniawszy o Polsce, Pichon powiedział:

„Nie oddzielamy jej sprawy od swojej, utrzymujemy w całości zobowiązania względem niej powzięte, chcemy Polski jednej, niepodległej, niepodzielnej, z wszelkimi gwarancjami swobodnego rozwoju politycznego, gospodarczego, militarnego i z wszelkimi konsekwencjami, jakie stąd mogą wyniknąć”.

Te słowa, mające odcień polemiki z kimś, mogły być dla nas, gdybyśmy tego potrzebowali, wskazówką, że w obozie sprzymierzeńców nie panuje jedność poglądów na przyszłe państwo polskie. Na dalsze dowody w tym względzie nie trzeba było długo czekać. 5 stycznia 1918 roku Lloyd George, w mowie przedstawiającej delegatom Trade-Unions położenie międzynarodowe i cele wojny, powiedział między innymi:

„Sądzymy, iż niepodległa Polska, obejmująca wszystkie rdzennie (*genuinely*) polskie żywoity, które chcą wejść w jej skład, stanowi pilną konieczność dla trwałości bytu (*stability*) Europy Zachodniej”.

Niebawem, 8 stycznia, ukazał się słynny program pokojowy Wilsona w czternastu punktach. Punkt trzynasty brzmiał:

„Powinno być ustanowione niepodległe państwo polskie, które winno obejmować ziemie zamieszkane przez bezsprzecznie (*indisputably*) polską ludność, mieć zapewniony wolny i bezpieczny (*free and secure*) dostęp do morza, a którego niezawisłość polityczna, gospodarcza oraz całość terytorialna winna być zagwarantowana paktem międzynarodowym”.

Z powyższych oświadczeń wynikało, że pomiędzy sprzymierzeńcami, łącznie z Ameryką, nie było różnicy zdań co do potrzeby ustanowienia państwa polskiego, że było ono celem wojny dla wszystkich.

Natomiast widzimy, że nie doszli oni do porozumienia co do tego, jakie to ma być państwo. Duża odległość dzieli Polskę Pichona ze swobodnym rozwojem militarnym od Polski Wilsona z terytorium zagwarantowanym przez pakt międzynarodowy, Polskę rozwijającą się o własnych siłach od Polski istniejącej pod opieką mocarstw.

Mnie przede wszystkim uderzyło zjawienie się po raz pierwszy w oświadczeniach Lloyda George'a i Wilsona określeń *genuinely Polish* (rdzennie polska) i *indisputably Polish* (bezsprzecznie polska) w zastosowaniu do ludności, która ma stanowić przyszłe państwo polskie. Położenie nacisku na „rdzenność” i „bezsprzeczność” było wyraźnym przeciwstawieniem się naszemu programowi, wychodzącemu z założenia, że obszar narodowy polski jest znacznie większy od etnograficznego i że państwo polskie, jeżeli ma być istotnie niezawisłe, musi granicami swymi w różnych kierunkach znacznie sięgać

poza obszar etnograficzny. Znamienny był również dodatek w mowie Lloyda George'a: *who desire to form part of it*⁵⁷, będący niejako zapowiedzią plebiscytów.

Te dwa mające wspólny sens i jednocześnie zrobione zastrzeżenia co do terytorium przyszłej Polski musiały być podyktowane z jednego źródła. Źródłem tym mogły być tylko Niemcy. Leżały one [tzn. zastrzeżenia] w interesie zabezpieczenia ich panowania w środkowej Europie, a mogły się dostać do urzędowych oświadczeń dwóch mocarstw strony przeciwnej tylko przez silne w nich wpływy żydowskie, mające łatwy dostęp zarówno do Lloyda George'a, jak do Wilsona. Wpływy te wypowiedziały tą drogą walkę naszemu programowi państwa polskiego.

Walki tej nie można było przegrać, dla wygrania zaś jej trzeba było mieć po swej stronie siły i wpływy, które by nad tamtymi górę wzięły.

Ocena sytuacji przedstawiała się w ogólnych zarysach w sposób następujący.

Przede wszystkim możemy liczyć na Francję, w której interesie leży odbudowanie Polski samoistnej i czynnej na terenie międzynarodowym, a nie Polski słabej, biernej, będącej podnóżkiem Niemiec.

Co prawda, i we Francji istniały nieprzyjazne nam wpływy, wyrażające się w intrygach przeciw Komitetowi Narodowemu w sprawie armii polskiej, w wystąpieniach przeciw niemu, a zwłaszcza przeciw mnie osobiście, nie tylko w prasie, ale i w parlamencie, wpływy dające się na ogół sprowadzić również do żydowskich. Było sporo sekciarskiej względem nas niechęci. Byli ludzie, których umysły alians z Rosją tak ukształtował, że nie byli zdolni sprawy polskiej zrozumieć, związani z dawną urzędową Rosją, nie zdawali sobie sprawy z faktu, że panowanie nad Polską było najmocniejszym węzłem łączącym Rosję z Niemcami. Były wreszcie koła, często najlepszej woli, które z wyłuszczonej już poprzednio względów szukały sposobu uratowania Austrii, gdy dla nas rozbiór Austro-Węgier był postulatem istotnej niepodległości Polski. Z tymi wszystkimi czynnikami trzeba było walczyć, ale walka nie była beznadziejnie trudna, wobec tego, że w sferach rządzących i rząd popierających mieliśmy coraz wyraźniejsze poparcie naszych dążeń. Wśród szerokiego ogółu francuskiego obudziły się też stare sympatie polskie.

Ze strony Włoch nie mieliśmy poważniejszych powodów do obaw. W kwestii austriackiej dążenia włoskie były zgodne z naszymi. Dla Polski istniały tam dawne sympatie w szerokich kołach społecznych, a wrogowie nasi na terenie międzynarodowym mniej pracowali we Włoszech, biorąc pod uwagę, że Włosi byli zaabsorbowani swoimi celami w tej wojnie. Dopiero po wojnie, głównie za rządów Nittiego, wpływy przeciwpolskie zaczęły we Włoszech silnie działać.

Natomiast w Anglii, wobec potężnej pozycji, do jakiej doszedł Lloyd George skutkiem położenia wewnętrznego w państwie, wobec pracujących dla Niemiec silnych

⁵⁷ *Who desire to form part of it* (ang.) – które chcą stanowić jej część. [red.]

wpływów żydowskich i sekciarskich, sytuacja dla nas stawała się niebezpieczna. Wprawdzie mieliśmy i tam wiele sympatii w społeczeństwie, mieliśmy gorących przyjaciół naszej sprawy, i to w obozie najpatriotyczniejszym i najmądrzejszym w rzeczach polityki międzynarodowej – w obozie konserwatywnym, mieliśmy ludzi przekonanych, że odbudowanie silnej Polski jest niewątpliwym interesem Anglii; nie było wszakże nadziei, żeby te przyjazne nam wpływy wzięły górę, gdy przyjdzie czas decyzji.

Więcej można było liczyć na Amerykę. Tam wpływy żydowskie były silniejsze niż gdziekolwiek indziej, ale tam Polacy stanowili siłę, której politycy amerykańscy nie lekceważyli i która winna była w decyzjach o przyszłości Polski zaważyć. Do Ameryki też postanowiłem udać się przed końcem wojny, gdy tylko położenie w Europie pozwoli mi oddalić się na czas dłuższy.

W Ameryce, pomimo usiłowań Paderewskiego, największą rzeczą, jakąśmy mogli w sprawie polskiej osiągnąć, był zacytowany trzynasty punkt w programie celów wojny Wilsona. Dalej sprawa nie posuwała się naprzód. Natomiast w kwestii austriackiej Wilson wypowiedział się wkrótce w sposób świadczący o chęci uratowania Austro-Węgier przez osobny z nimi pokój.

W Anglii *Foreign Office* – w którego prace Lloyd George jeszcze nie tak silnie wkroczył jak później, podczas konferencji pokojowej – zrobił parę kroków posuwających sprawę polską naprzód. 18 lutego 1918 roku przedstawiciel Komitetu Narodowego w Londynie, W. Sobański, został poinformowany z polecenia Balfoura oficjalnym pismem, że przedstawiciel Anglii w Kijowie otrzymał polecenie oświadczenia, iż Anglia nie uznaje pokoju brzesko-litewskiego. Pismo kończyło się znamienym ustępem:

„Komunikuję niniejsze Panu, jako przedstawicielowi w Londynie Komitetu Narodowego Polskiego, i mam polecenie poinformowania Pana, że Wielka Brytania nie uznaje żadnego pokoju dotyczącego Polski bez uprzedniego porozumienia się z tym krajem (*Great Britain will not recognize any peace which involves Poland without previous consultation with that country*)”.

Znając ostrożność polityki angielskiej w składaniu oświadczeń i dawaniu przyrzeczeń, tym więcej oceniliśmy powyższy krok Balfoura, będący ważnym posunięciem naprzód naszej sprawy. Zaczęto nas traktować jako państwo, o którego interesach nie można bez niego postanawiać.

22 lutego Anglia uznała, że Polacy, dotychczasowi poddani niemieccy i austriaccy, przebywający w jej granicach, o ile otrzymają legitymacje Komitetu Narodowego, nie podlegają przepisom o poddanych państw nieprzyjacielskich. Legitymacjom Komitetu przyznano wartość paszportów, nawet do podróży za granicę, wreszcie Komitet pozyskał prawo poświadczania na aktach prawnych podpisów Polaków, posiadających jego legitymacje. Tym sposobem Anglia pierwsza spośród mocarstw sprzymierzonych przyznała faktyczne znaczenie konsulatów niezawisłego państwa Biurom Opieki Cywilnej Komitetu Narodowego.

We Francji dużym krokiem naprzód była wspomniana już wyżej, podpisana 20 marca umowa między mną, jako prezesem Komitetu Narodowego, a senatorem Doumerem, prezesem Komisji Wojsk Słowiańskich we Francji, oraz generałem Archinardem, szefem Misji Wojskowej Polsko-Francuskiej, określająca uprawnienia Komitetu w stosunku do armii polskiej we Francji. Osobnymi aktami za wykonanie tej umowy wziętą odpowiedzialność rząd francuski i Komitet Narodowy Polski.

Nie był to jeszcze ostateczny układ w sprawie armii; ażeby taki układ mógł być zawarty, trzeba było przedtem osiągnąć zbiorowe przez sprzymierzonych oficjalne uznanie państwa polskiego jako celu wojny. Ku temu zwróciliśmy nasze wysiłki przed konferencją międzysojuszniczą, mającą się odbyć w Wersalu w początku czerwca 1918 roku.

Po ciężkiej dla sprzymierzonych wiosnie 1918 roku, kiedy na froncie zachodnim obawiano się wielkich powodzeń niemieckich i kiedy rozmaitego typu defetyści zaczęli znowu nabierać śmiałości, położenie sprzymierzonych nagle się poprawiło, wiara w decydujące zwycięstwo armii sprzymierzonych, pozostających już teraz pod wspólnym dowództwem Focha, zaczęła być ogólna. W tej atmosferze sprawa polska zaczęła się posuwać pewniej naprzód, a jednocześnie papiery Austrii zaczęły szybko spadać. Czesi, Jugosłowianie, Rumuni rozwinęli energiczną akcję w duchu swoich programów, prowadzących do rozbioru Austro-Węgier. Akcja ta miała ogromne znaczenie dla nas, bo posiadała często poparcie tych kół, które naszemu programowi nie sprzyjały. Współdziałaliśmy z nią w miarę naszej możliwości, jakkolwiek nie zawsze było to łatwe.

Czerwcową konferencją międzysojuszniczą zbierała się w warunkach o wiele dla nas pomyślniejszych od grudniowej roku 1917.

W opinii publicznej narodów zachodnich już panowała pewność zwycięstwa – *On les aura!*⁵⁸ – słyszało się we Francji na każdym kroku. To poczucie wzmocniały instalacje wojenne Stanów Zjednoczonych, robione we Francji na niebywałą skalę, i napływ wojsk amerykańskich. Politycy państw sprzymierzonych, przewidując niedaleki a pomyślny koniec wojny, myśleli już coraz więcej o przyszłym pokoju i o nowej mapie Europy.

Akcja ludów monarchii habsburskiej, dążących do wyzwolenia się i do zjednoczenia narodowego, zrobiła ogromne postępy, uniemożliwiając coraz bardziej intrygi, mające na celu uratowanie Austro-Węgier. W łonie rządu francuskiego kwestia austro-węgierska była już zdecydowana: Francja szła na rozbiór monarchii habsburskiej.

Nasza pozycja poważnie się wzmocniła – trzeba dodać – przede wszystkim dzięki konsekwentnemu i mądrymu poparciu Francji. Kierownik francuskiej polityki zagranicznej, Pichon, i jego główny współpracownik, de Margerie, byli obaj ludźmi głęboko rozumiejącymi sprawę polską i nieszczędnymi wysiłków, by ją możliwie szybko naprzód posuwać.

⁵⁸ *On les aura* (fr.) – dobierzemy się do nich. [red.]

Armia polska we Francji, choć nieprzekraczająca liczby 16 tysięcy ludzi, była już wojskiem w całym tego słowa znaczeniu; część jej już brała udział w wojnie na zachodnim froncie. Faktycznie była ona armią Komitetu Narodowego. Polska była już stroną walczącą u boku sprzymierzonych, a Komitet Narodowy miał pozycję władzy politycznej, rozporządzającej siłą zbrojną. Ten charakter Komitetu uwydatniła Francja w uroczystości wręczenia sztandarów wojsku polskiemu. Miasta: Paryż, Nancy, Verdun i Belfort ofiarowały sztandary dla pułków polskich. Pierwszy pułk, który szedł wiosną 1918 roku na pozycję, otrzymał sztandar wcześniej. Wręczyłem mu go wspólnie z generałem Gouraud na froncie przy salwie dział nieprzyjacielskich. Później w Brienne, słynnym ze szkoły wojskowej, w której się uczył Napoleon I, odbyła się wielka uroczystość wręczenia sztandarów całej armii. Merowie składali sztandary Komitetowi Narodowemu w moje ręce, ja zaś wręczałem je prezydentowi Rzeczypospolitej, od którego otrzymywały je pułki. W tej uroczystości już istniało państwo polskie, jakkolwiek nie posiadało jeszcze swej władzy suwerennej; ta była reprezentowana przez prezydenta Francji. Komitet występował jako tymczasowy rząd polski.

Dziwny obraz stał przed myślami uczestników tej uroczystości: Polska w rękach nieprzyjaciela, na jej części ustanowiona przez wrogów karykatura państwa polskiego, z władzą suwerenną, armią, rządem – wszystko fikcja, pomimo realnych danych do stworzenia istotnego państwa, gdy tu z dala od kraju, na obcej choć przyjaznej ziemi, wyrastała naprawdę odbudowana Polska, państwo polskie stawało się rzeczywistością.

Dodać trzeba, że nie było zakątka Polski, który by wówczas na polu pod Brienne nie miał swego przedstawiciela; w tej niewielkiej armii znajdowała się cała Polska.

3 czerwca 1918 roku zebrani na konferencji międzysojuszniczej w Wersalu pierwsi ministrowie Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch postanowili ogłosić następujące oświadczenie:

„1) Utworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej z dostępem do morza stanowi jeden z warunków pokoju trwałego i sprawiedliwego oraz przywrócenia panowania prawa w Europie.

2) Sprzymierzeni przyjęli z zadowoleniem oświadczenie sekretarza stanu, p. Lansinga, że Stany Zjednoczone łączą się z tą myślą, wyrażając zarazem najżywszą sympatię dla aspiracji wolności, tylekroć słusznie manifestowanych przez Czechosłowaków i Jugosłowian.”

W tej postaci, niemającej – trzeba dodać – charakteru formalnego zobowiązania, alianci ogłosili swe porozumienie co do tego, że odbudowanie Polski jest celem wojny. Jeżeli to zrobili dopiero wtedy, kiedy już właściwie nie wątpili o swoim zwycięstwie, to nie można się dziwić tej ich ostrożności. Natomiast akt ten, zrobiony w takiej właśnie chwili, nie mógł być już przez nikogo uważany za manewr taktyczny.

Gdy mnie nazajutrz przedstawiciel jednego z rządów sprzymierzonych zapytał, czy jestem zadowolony z tej deklaracji, odpowiedziałem:

– Jeżeli chodzi o Polskę, to tak. Natomiast wolałbym, żeby Czechosłowacy i Jugosłowianie dostali więcej niż wyrazy sympatii.

Widoczne było, że nie wszyscy sprzymierzeni chcą się jeszcze angażować w sprawie rozbioru Austro-Węgier. Słowa dotyczące Czechosłowaków i Jugosłowian były wywalczone przez Francję. Nadto drugi punkt oświadczenia tak był zredagowany, że nie można było wyrozumieć, czy przedstawiciel Ameryki godzi się tylko na Polskę, czy także bierze udział i w wyrazach sympatii dla dążeń ludów monarchii habsburskiej.

Masaryk siedział w Stanach Zjednoczonych i pracował nad Wilsonem, z którym od dawnych czasów łączyły go stosunki. Widocznie jednak wpływy pracujące w Ameryce na rzecz Austrii miały nie być jaką siłą.

W każdym razie, nawet te, brzmiące platonicznie wyrazy sympatii dla dążeń czeskosłowackich i jugosłowiańskich były ważnym krokiem naprzód w kwestii austriackiej, która dla nas miała tak wielkie znaczenie.

Nawiasem wtrączę, że z powodu tego oświadczenia sprzymierzeńców o odbudowaniu Polski, ówczesny „rząd polski” w Warszawie ogłosił komunikat, w którym znalazły się następujące słowa:

„Nie wdając się w rozważanie tej uchwały, jako takiej, rząd polski nie może nie zwrócić (*sic*) uwagi na chwilę, w której ta uchwała doszła do skutku, i na okoliczności, jakie temu towarzyszyły. Zanadto boleśnie przypomina ona nam chwilę, gdy dopiero po opuszczeniu Królestwa Polskiego przez wojska rosyjskie rząd carski zdecydował się przystąpić do urzeczywistnienia jednego z tych samych praw, o któreśmy się przez sto lat bezskutecznie dopominali”.

Trudno powiedzieć, co sobie myślał polityk, spod którego ręki wyszły te słowa. To fakt, że „rząd polski” w Warszawie miał nie lepszy sens polityczny od swego stylu polskiego.

Od czerwcowej deklaracji Polska zaczyna już oficjalnie występować w szeregu państw sprzymierzonych.

4 lipca 1918 roku podczas uroczystego obchodu amerykańskiego *Independence Day* w Paryżu, urządzonego przez rząd francuski przy udziale wszystkich sprzymierzeńców, flaga polska zawisła po raz pierwszy pośród flag państw sprzymierzonych.

W dzień święta francuskiego, 14 lipca, odbyła się wielka parada wojsk sprzymierzonych w stolicy Francji. Wziął w niej udział batalion naszej piechoty. Pochód otwierał oddział francuski, potem szli w alfabetycznym porządku Amerykanie, Anglicy, Belgowie, Grecy, Włosi, Polacy, Portugalczycy, Rumuni, Serbowie, Czechosłowacy.

Ukazanie się oddziału polskiego, entuzjastycznie witanego przez zgromadzone tłumy okrzykami: *Vive la Pologne!* – wywarło silne wrażenie.

Na trybunie prezydenta Rzeczypospolitej w Avenue du Bois de Boulogne znajdował się rząd francuski i przedstawiciele państw sprzymierzonych. Gdy ukazał się oddział polski – rosłe, barczyste chłopcy, maszerujące znakomicie, z marsowym wyrazem na twarzach (oficerowie zakazali żołnierzom uśmiechać się do publiczności) – rozległy się wyrazy podziwu. Składano mi gorące powinszowania. Po przeglądzie jeden z wojskowych angielskich przyszedł do Komitetu z wyrazami uznania i zapewnił mnie, że Anglicy i Polacy najlepiej się przedstawiali. Dodać trzeba, że Anglia wysłała na przegląd swą gwardię.

Udział wojska czeskosłowackiego w paradzie świadczył o szybkim dojrzewaniu kwestii austriackiej do rozstrzygnięcia w pożądanym przez nas sensie.

W tym samym dniu, po uroczystości wojskowej, zjawił się w biurze Komitetu Narodowego generał Haller, który w przeddzień przybył przez Murmań do Paryża. Przybył w sam czas, w chwili właśnie, kiedy byliśmy w poszukiwaniu wojskowego, którego by można było mianować naczelnym wodzem armii polskiej.

Rzecz ta stawała się pilna. Ciągłe usiłowano buntować nam żołnierzy, ciągle szła agitacja, prowadzona głównie w imię Polski utworzonej aktem 5 listopada, w imię legionów i ich twórcy, Piłsudskiego. Starano się przekonać naszych żołnierzy, że nie są wojskiem polskim, że są czymś w rodzaju Legii Cudzoziemskiej w armii francuskiej. U żołnierzy, którym dokuczały nieco francuskie urządzenia, nieznaną im języka polskiego u pewnej liczby oficerów, a przede wszystkim francuski typ dyscypliny wojskowej, do której nie byli nawykli, ta propaganda spotykała często grunt podatny. Najlepszym na nią lekarstwem było mianowanie przez Komitet Narodowy wodza naczelnego armii, ma się rozumieć, Polaka. Niestety, nie mieliśmy na Zachodzie żadnego odpowiedniego oficera; z trudnością znajdowaliśmy ludzi na dowódców pułków.

Wodzowie armii francuskiej tę potrzebę na równi z nami rozumieli. Generał de Maistre, dowódca części frontu, na której walczyła armia generała Gouraud i w której znajdowało się wojsko polskie, podniósł, gdym był w czerwcu u niego, że trzeba niezwłocznie dać naszemu wojsku wodza Polaka, i namawiał mnie, żebym sam to stanowisko objął.

– Nie mogę się brać – odpowiedziałem – do nie swoich rzeczy; nie byłem nigdy wojskowym i na wojskowości się nie znam.

Uśmiechnął się:

– Damy panu sztab dobrych oficerów francuskich i będzie pan lepszym generałem niż niejeden z generałów w naszych armiach sprzymierzonych.

To mnie nie przekonało, tym bardziej że wobec zbliżającego się końca wojny trzeba było przede wszystkim przygotować politykę polską na konferencję pokojową, walkę o granice Polski.

W tych warunkach Haller spadł nam jak z nieba, zwłaszcza że od bitwy pod Kaniowem był już osobistością popularną.

Nawiasem mówiąc, znajdował się on wśród publiczności przyglądającej się paradzie armii sprzymierzonych, i przyznał, że po raz pierwszy widział wojsko polskie mające tak znakomity wygląd wojskowy.

Bez długiej dyskusji zapadła w Komitecie decyzja o mianowaniu Hallera wodzem naczelnym armii polskiej. Jednocześnie zaczęliśmy z rządem francuskim dyskutować sprawę konwencji wojskowej.

Konwencja ta została podpisana 28 września 1918 roku, już po moim wyjeździe do Ameryki⁵⁹.

Pierwsze trzy jej artykuły brzmiały:

„1. Siły zbrojne polskie wszędzie, gdzie będą utworzone do walki po stronie sprzymierzeńców przeciw mocarstwom centralnym, tworzyć będą jedną jedyną armię samoistną, sprzymierzoną i wojującą pod jednym jedynym dowództwem polskim.

2. Armia ta znajdować się będzie pod najwyższą władzą polityczną Komitetu Narodowego Polskiego, mającego swą siedzibę w Paryżu.

3. Naczelnym wodzą armii polskiej będzie mianowany przez Komitet Narodowy Polski, za zgodą rządu francuskiego (ewentualnie i innych rządów sprzymierzonych).”

Rychło potem Maurycy Zamoyski, sprawujący przez czas mojego pobytu poza Europą czynności prezesa Komitetu Narodowego, dokonał nominacji generała Józefa Hallera na wodza naczelnego armii polskiej.

Najważniejsze cele, któreśmy sobie na Zachodzie w swej akcji podczas wojny postawili, zostały urzeczywistnione. Zjednoczenie Polski i utworzenie państwa polskiego zostało przez sprzymierzeńców ogłoszone jako jeden z warunków pokoju. Polska już miała pozycję państwa sprzymierzonego; państwo to miało w Komitecie Narodowym organ z uznanymi oficjalnie atrybutami rządu w sprawach zewnętrznych i wojskowych; miała urzędowe przedstawicielstwo dyplomatyczne w mocarstwach sprzymierzonych; Komitet Narodowy miał pod swą władzą armię polską, uznaną za sprzymierzoną i współwojącą (*cobelligerante*). Mieliśmy tym samym zapewniony udział w konferencji pokojowej jako jedno z państw sprzymierzonych.

Trzeba tu zaznaczyć, że osiągnięcie tej pozycji byłoby niemożliwe bez utworzenia armii polskiej na Zachodzie, a więc bez tego, co dla tej sprawy zrobiła Francja. Posiadanie armii stojącej u boku sprzymierzonych było jedyną naszą legitymacją do tytułu państwa sprzymierzonego, a co za tym idzie, do udziału w konferencji pokojowej. Legitymacja ta była niezbędna. Dobrze, że była uznana za wystarczającą. Inaczej Polska ze swymi legionami walczącymi po stronie państw centralnych, ze swym królestwem

⁵⁹ Podpisali ją ze strony francuskiej: Doumer, Pichon i Clemenceau; z polskiej: Zamoyski, Piltz i Wielowieyski.

listopadowym, ze swą Radą Regencyjną, z rządem warszawskim i z jego ciągle ponawianymi deklaracjami musiałyby być przez państwa zachodnie uznana za sprzymierzeńca państw centralnych i w końcu znalazłaby się wśród zwyciężonych. Wtedy byłaby wezwana do podpisania traktatu, tak jak wezwano Niemców, Austriaków, Węgrów, Turków i Bułgarów.

Dla takiego wyniku pracowali zawzięcie wszyscy ci, którzy starali się u sprzymierzonych podkopywać pozycję Komitetu Narodowego, którzy działali przeciw armii polskiej we Francji i agitacją swą usiłowali rozkład do niej wprowadzić, którzy intrygami swymi doprowadzili do zniszczenia armii Dowbora-Muśnickiego, co chwilowo było wielkim dla naszej polityki ciosem.

Dziękować trzeba Bogu, że udało się to wszystko przemóc, że pomimo wszystko, co zrobiono w Polsce, żeby ją na Zachodzie skompromitować, uznano nas jednak za sprzymierzeńców. To był pierwszy warunek odbudowania naprawdę niepodległej Polski: tylko przy udziale w konferencji mogliśmy przeprowadzić walkę o granice naszego państwa.

Tę walkę trzeba było należycie przygotować.

Przygotowywaliśmy ją przez cały czas naszej działalności w państwach zachodnich i uszliśmy naprzód niemało. Praca ta ani na chwilę nie ustała. Jednakże wobec coraz to nowych czynników przeciwstawiających się naszemu programowi terytorialnemu, widzieliśmy całą niepewność jego losów. Francji byliśmy pewni. Na Włochy także liczyć było można. W Anglii można było spodziewać się poparcia, z warunkiem, żeby Lloyd George nie stał się wszechpotężny. Stanowisko Ameryki, pomimo wszystko, co myślał szeroki ogół, budziło w nas poważne obawy. Przewidywaliśmy wielką rolę, jaką odegra Wilson, oświadczenia zaś jego co do Polski, przede wszystkim zaś co do Austro-Węgier, były dalekie od tego, do czego dążyliśmy. Były i inne oznaki niepokojące.

Za zgodą Komitetu postanowiłem jechać do Stanów Zjednoczonych, ażeby się zorientować w położeniu; usunąć co można z przeszkód, które tam stoją nam na drodze, a przynajmniej dowiedzieć się dobrze, z czym będziemy musieli walczyć; wreszcie poznać ich prezydenta, który tak wielkie zdobył sobie stanowisko wśród tych, którzy o losach Polski mieli decydować.

Miałem też obowiązek pojechać do naszych rodaków w Ameryce, którzy tak wielką rolę w naszej pracy odgrywali, takie nam dawali poparcie i tak wielkim obdarzali nas zaufaniem. W początku września

1918 roku miał się odbyć wielki zjazd, jak w Ameryce nazywano, sejm wychodźstwa polskiego, w Detroit, na który mego przybycia oczekiwano. Byłem przekonany, że Polacy w Stanach Zjednoczonych mogą duży wpływ wywrzeć na stanowisko Ameryki w czasie zawierania pokoju, i koniecznością było porozumieć się co do ich akcji.

Raporty kolegi naszego, Mariana Seydy, który latem wyjechał z ramienia Komitetu do Ameryki, stwierdzały pod wielu względami niepomyślny stan rzeczy. Nie przedstawiał go również optymistycznie przedstawiciel Komitetu w Ameryce, Paderewski, który, pomimo swych wybornych stosunków z Wilsonem, przyjaźni z pułkownikiem House'em, stwierdzał wielkie niebezpieczeństwa, wynikające z działania silnych, wrogich nam wpływów.

Koniec wojny obliczaliśmy na pierwsze miesiące roku 1919. Był więc jeszcze czas na moją podróż do Ameryki i nawet dalej.

Wśród wielkich mocarstw prowadzących wojnę przeciwko Niemcom, obok Francji, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych, znajdowała się jeszcze Japonia. Nie posiadaliśmy przedstawiciela w Tokio, nie pozostawiliśmy w oficjalnym stosunku z rządem japońskim, nie mieliśmy kontaktu z japońską opinią publiczną. Uważałem to za wielki brak naszej akcji, rozumiejąc, że Japonia na konferencji pokojowej będzie miała głos wielkiego mocarstwa, zainteresowanego, co prawda, bezpośrednio w sprawach pozaeuropejskich, niemogącego wszakże całkiem obojętnie traktować przyszłości Europy.

Nie było wszakże sposobu zaradzenia złemu. Nie mieliśmy ani człowieka na Japonię, ani funduszków na reprezentację i działalność w tym dalekim kraju. Spotykaliśmy się z dyplomatami japońskimi w Europie, ale to nie mogło zastąpić bezpośrednich stosunków z rządem i z kierownikami opinii.

Zdecydowaliśmy więc, że jeżeli sprawy amerykańskie nie zajmą mi zbyt wiele czasu i jeżeli koniec wojny nie przyjdzie wcześniej, niż liczyliśmy, udam się i do Tokio. Daleka ta podróż tym bardziej była pożądana, że sprawy wojska polskiego na Syberii wymagały również interwencji bezpośredniej Komitetu.

Według przygotowywanej wówczas konwencji wojskowej z Francją, wszystkie siły zbrojne polskie po stronie sprzymierzeńców stanowiły jedną armię, pod jednym dowództwem naczelnym i pod władzą polityczną Komitetu Narodowego. Dwa były względy, dla których pożądaną było, żeby ta armia była jak największa; po pierwsze, dla podniesienia znaczenia Polski podczas konferencji pokojowej; po wtóre, dla należytego rozpoczęcia egzystencji państwa niezawisłego, które, znajdując się w wyjątkowo niebezpiecznym położeniu geograficznym, winno było od początku posiadać poważną siłę zbrojną.

Armia nasza na zachodzie Europy miała widoki znacznego powiększenia, mianowicie przez zaciągnięcie jeńców Polaków w Anglii i we Włoszech. Zwłaszcza Włochy posiadały znaczną ich liczbę w armii austriackiej. O zgodę na zaciąg tych jeńców Komitet traktował z rządami angielskim i włoskim. Później, po otrzymaniu jej, armia nasza na Zachodzie z dwóch dywizji urosła do siedmiu. Zorganizowaniem tych nowych dywizji zajął się już Haller, naturalnie, wespół z francuskim ministerstwem wojny i przy udziale oficerów francuskich.

Poza tym, wobec zmarnowania armii Dowbora-Muśnickiego, jedyne widoki mieliśmy na wojska polskie na Syberii, które się tam zorganizowały w dość dużej liczbie. Stosunki z tymi wojskami i z Komitetem polskim na Dalekim Wschodzie – który pod zwierzchnictwem Komitetu Narodowego działał – przy odległości, jaka nas dzieliła, nie mogły być dość ściśle. Nie można było w Paryżu nawet zdać sobie sprawy należycie z tamtejszego położenia i jego potrzeb. Dlatego, niezależnie od misji wojskowej, którą tam postanowiliśmy wysłać, pragnąłem osobiście przyjrzeć się skomplikowanym wówczas, a mającym niemałe znaczenie sprawom polskim na Dalekim Wschodzie, zwłaszcza zaś sytuacji, w jakiej się wojsko polskie znajduje, i ustalić linię naszego na tamtejszym terenie postępowania.

Polska miała na Syberii i w Chinach dzielnych ludzi, którzy organizowali tam Polaków politycznie i wojskowo, którzy rozumnie normowali stosunki swych organizacji z rządami na Dalekim Wschodzie i z przedstawicielami państw europejskich. Ludzie ci oczekiwali interwencji Komitetu Narodowego tam, na miejscu.

Byliśmy w momencie ostatecznego centralizowania w Komitecie Narodowym polskiej akcji po stronie państw sprzymierzonych. Akcja ta rozwijała się autonomicznie w paru ośrodkach, związanych wspólnością myśli i dążeń i komunikujących się z sobą w miarę możliwości. Poza ludźmi, którzy współdziałali z nami w kraju i mieli swą główną organizację w warszawskim Kole Międzypartyjnym, główne ośrodki, poza naszą grupą na zachodzie Europy, znajdowały się w Rosji i w Ameryce.

W Rosji przez długi czas kierował akcją polityczną przeniesiony z Warszawy do Piotrogradu Komitet Narodowy. Jego miejsce zajęła w następstwie Polska Rada Międzypartyjna, której w nowym, rewolucyjnym okresie przypadła bardzo ważna rola. Była to rola trudna, wobec tego że, jak już wspomniałem, w owym okresie koła aktywistyczne w Rosji się rozzuchwały i nie przebierały w środkach walki, obok tego zaś propaganda rewolucyjna i w polskim środowisku robiła podboje. Wśród rosnącego szybko chaosu rewolucyjnego, w walce z napaściami i intrygami przeciwników, występujących pod sztandarem polskim, w końcu zaś w walce z bolszewikami i z Niemcami, zaczynającymi gospodarzyć w Rosji, organizowano liczne masy Polaków w Rosji i spieszono im z pomocą, szła syzyfowa praca nad tworzeniem wojska polskiego, obrona interesów polskich w coraz bardziej wikłających się stosunkach z rządami rosyjskimi, wreszcie organizacja współdziałania z przedstawicielami i misjami państw zachodnich. Praca ta wymagała większej ilości sił niż nasza akcja na Zachodzie i miała ich też więcej. Tam pracował główny zastęp działaczy naszego obozu, jak zmarły jesienią 1917 roku jeden z głównych twórców naszej polityki Zygmunt Balicki, dalej: Gościcki, Jaroński, Wasiutyński, Załuska, S. Grabski, S. Zieliński, Zdziechowski, Nowodworski, ks. Lutosławski, Harusewicz, Wasilewski, Niklewicz, Jasiukowicz, Sadzewicz, Hłasko, Bartoszewicz, Michejda, Raczkowski i inni. Z nimi współdziałali bądź politycznie, bądź w zakresie pomocy Polakom: Szebeko, S. Wojciechowski, W. Grabski, Czetwertyński, Spiess, Rabski, że wymienię tylko najgłówniejszych. Dokładna historia tych prac i walk, które miały dla naszej sprawy wielkie znaczenie, powinna być napisana, zanim szczegóły zatra-

się w pamięci uczestników. Byli tacy, co za tę pracę zapłacili życiem, jak zamordowani przez bolszewików bracia Marian i Józef Lutosławscy.

Po zapanowaniu ostatecznym bolszewizmu i po pokoju brzeskim rychło przyszedł nieunikniony koniec tej akcji. Ludzie zaczęli wracać do kraju. W przeddzień mego wyjazdu do Ameryki przybył na Zachód Stanisław Grabski i wszedł w skład Komitetu Narodowego.

W drugim z głównych ognisk naszej działalności, w Ameryce, nie mogło być mowy o formalnym uzależnieniu od nas Wydziału Narodowego w Chicago, wyłonionego do akcji w czasie wojny przez wielkie organizacje polskie. Tam stali na czele Polacy – obywatele amerykańscy. Byłoby nietaktem żądać od nich poddania się władzy spoza granic Stanów Zjednoczonych. Uznali dobrowolnie nasze polityczne kierownictwo w sprawach polskich i było to najwięcej, co mogli ze swego stanowiska zrobić.

Przedstawiciel nasz w Stanach Zjednoczonych, Ignacy Paderewski, mający przy swoim boku biuro Komitetu Narodowego, z konieczności, ze względu na odległość działał też w znacznej mierze autonomicznie. W miarę wszakże, jak się zbliżał koniec wojny, występowała potrzeba ściślejszego związania tamtejszej pracy z naszą, co było między innymi celem mojej podróży.

Zadania, które mnie czekały w Ameryce, okazały się tak ważne i wymagały tyle pracy, że musiałem tam zabawić nadspodziewanie długo. Planów dalszej podróży zaniechałem, a przedwczesny koniec wojny zastał mnie w Waszyngtonie.

VII. AMERYKA

Gdy znalazłszy się w Nowym Jorku, zapytałem Paderewskiego, jak stoją sprawy polskie w Ameryce, odpowiedział mi, że źle: źle zarówno w rządzie, jak w opinii publicznej. Główne źródło zła widział w tym, że jesteśmy zwalczani przez Żydów, rozporządzających olbrzymimi wpływami. Powiedział mi, że Żydzi żądają ode mnie ogłoszenia odpowiedniej deklaracji w sprawie żydowskiej i że jej ogłoszenie uważa za konieczne, że od tego trzeba zacząć.

Nie godziłem się ze zdaniem mojego kolegi. Gdy mam do czynienia z wrogimi wpływami, skłonny jestem przede wszystkim szukać innych wpływów, które by je mogły przeciwważyć. Pozyskiwanie sobie wroga jest ostatecznością i wątpliwe zazwyczaj daje skutki. Postanowiłem przede wszystkim rozejrzeć się w położeniu i zobaczyć, czy nie ma możliwości walki z wpływami żydowskimi. Dużo mi to zawsze pomagało w mej działalności, ztem starał się potęgi Żydów nie przeceniać.

Zresztą już poprzednio na żądanie Paderewskiego Komitet Narodowy wysłał był do Ameryki na jego ręce uspokajające oświadczenie o stosunku Polski do Żydów. Żydzi wszakże nie uznali go za wystarczające. Ja, co prawda, uważałem i tamto za zbyt uczynne i zgodziłem się na nie jedynie, ażeby nie utrudniać pracy naszemu koledze w Ameryce.

Udałem się przede wszystkim na sejm wychodźstwa polskiego do Detroit. Był to dobry początek.

Polaków amerykańskich i ich życie od dawna znałem. Od dwudziestu kilku lat pozostawaliśmy z tamtejszymi działaczami polskimi w stosunkach organizacyjnych. Byłem w Stanach Zjednoczonych na dziesięć lat przed wybuchem wojny. Teraz uderzył mnie olbrzymi postęp w rozwoju tamtejszych organizacji, a przede wszystkim zapał do sprawy polskiej i uderzająca jedność dążeń. Z wyjątkiem niezbyt licznych odłamów wspomnianych już przedtem tzw. koniowców stojących po stronie państw centralnych, zwolenników polityki legionowej i Piłsudskiego, na ogół socjalistów, całe społeczeństwo polskie w Ameryce stało z nami, pod hasłem zjednoczenia Polski, a przede wszystkim walki o zabór pruski, o dostęp do morza, o Gdańsk. Trzeba dodać, że najstarsze wychodźstwo nasze do Ameryki wysłał zabór pruski i że ludzie stojący tam na czele polskiego życia są przeważnie dziećmi Poznańskiego.

Miałem przed oczyma wielką, zorganizowaną siłę i widziałem, że to jest armia, z którą można coś wygrać. Ludzie, którzy tą armią dowodzili z prezesem Wydziału Narodowego, Janem Smulskim, człowiekiem wielkiej zasługi na czele, byli całkowicie oddani sprawie, gotowi do wszelkich wysiłków, by do zwycięstwa pomóc.

Zjazd powziął rezolucje polityczne w duchu naszego programu, na wniosek zaś Paderewskiego uchwalił zebranie kilku milionów dolarów na akcję polityczną polską.

Ze Smulskim i jego kolegami z Wydziału zaczęliśmy kreślić plany akcji w Ameryce, do której przywiązywałem wielką wagę. Chodziło mi o zmobilizowanie Polaków we

wszystkich środowiskach amerykańskich, o publiczne zmanifestowanie przez nich ich dążeń i ich żądań w sprawie polskiej, o oddziaływanie tą drogą na opinię amerykańską. Do tej pracy zabrano się natychmiast. Sejm w Detroit ze swymi uchwałami był pierwszym doniosłym krokiem naprzód. Drugim takim krokiem był Sejm największej organizacji tamtejszej, Związku Narodowego Polskiego, w Pittsburghu.

Po powrocie z Detroit, Paderewski poprosił dla nas dwóch o audiencję u prezydenta, i udaliśmy się do Waszyngtonu.

Pierwsza rozmowa z Wilsonem trwała blisko półtorej godziny. Znalazłem w nim człowieka dużej kultury umysłowej, miłych form, bardzo chętnie dyskutującego, uważnie słuchającego argumentów strony przeciwnej, starającego się w dyskusji wyrobić sobie właściwe zdanie o przedmiocie. Zarazem wszakże stwierdziłem, że sprawy polskiej nie zna, polityki europejskiej nie rozumie, że zbyt upraszcza sobie skomplikowane jej pojęcia i stosunki, że ma daleko idącą wiarę w możliwość regulowania stosunków międzynarodowych na podstawie obowiązującego wszystkie narody prawa.

Już mnie w Europie uprzedził jeden z ludzi znających go osobiście, że z Wilsonem nie można mówić o polityce międzynarodowej przyjętym u nas językiem. Ostrzegał mnie:

– Niech pan czasem nie wspomina o „równowadze europejskiej”, bo on tego wyrazu nie znosi...

Wiedząc jak Wilson rozumie „wolny dostęp do morza”, położyłem w rozmowie główny nacisk na ten przedmiot, przedstawiając mu nasze aspiracje i nasze prawa do wybrzeża morskiego.

– Czyż wam nie wystarczy – odrzekł Wilson – neutralizacja dolnego biegu Wisły i wolny port w Gdańsku?

– Panie prezydencie – odpowiedziałem – to tak jakby pan powiedział: będziecie mieli całkowitą swobodę oddychania, tylko Niemcy będą ciągle trzymali rękę na waszym gardle.

Tu zacząłem mu tłumaczyć nierealność takiego rozstrzygnięcia ze względów politycznych i gospodarczych, wreszcie zacząłem mówić o strategicznych.

– Ależ panie Dmowski – przerwał Wilson – któż po tej wojnie będzie mówił o względach strategicznych? Przecież będziemy mieli Ligę Narodów...

– Panie prezydencie – odpowiedziałem – ja w Ligę Narodów wierzę, wierzę tak samo, jak w sprawiedliwość w Stanach Zjednoczonych. Na to żeby tu się działa sprawiedliwość, pan musi mieć nie tylko prawa i sądy, ale także policję i więzienia.

– Przecież my będziemy mieli policję międzynarodową...

– Któż ją będzie stanowił? Czy będzie pan trzymał w Europie wojska amerykańskie? Tą policją mogą być tylko siły zbrojne państw na miejscu. Jeżeli chodzi o Niemcy, to zabezpieczeniem od nadużyć z ich strony mogą być tylko armie ich sąsiadów. Francja na to nie wystarczy wobec dysproporcji między liczbą ludności jej i Niemiec. Z

pozostałych zaś sąsiadów największą siłę będzie przedstawiała Polska. Pan wie dobrze, że jeżeli w mieście jest jakaś zła, niespokojna dzielnica, to się tam gęściej stawia policję, a nawet często policjanci nie chodzą pojedynczo, tylko po dwóch razem. Otóż środkowa i wschodnia Europa to bardzo niespokojna dzielnica, i Polska dla ochrony pokoju, dla bezpieczeństwa swych granic będzie się musiała zdobywać na wielkie wysiłki. Nam o względach strategicznych zapominać nie wolno. Musimy być silni i postawieni w dobre warunki obrony, jeżeli Liga Narodów ma zdobyć sobie powagę i znaczenie.

Starałem się uprzytomnić prezydentowi stan rzeczy w Europie Środkowej, rolę i plany Niemiec, niebezpieczeństwa pochodzące z przewrotu w Rosji, położenie i znaczenie Polski i wynikające stąd nasze wymagania co do granic.

Rozmowa, prowadzona w tonie bardzo przyjaznym, zakończyła się tym, że Wilson zaproponował mi, ażebym mu dostarczył mapy państwa polskiego, takiego jakie mieć chcemy, wraz z notą wyjaśniającą, w której o każdej prowincji byłoby powiedziane, dlaczego nam jest potrzebna, jakie ma znaczenie dla przyszłego państwa i jakie mamy do niej prawa.

Miała nasza rozmowa momenty lżejsze. Kiedy Paderewski zwrócił uwagę, że w programie pokojowym Wilsona Polska znajduje się w punkcie 13, robiąc aluzję do liczby feralnej, Wilson odpowiedział, że trzynastka jest najszcześniejszą cyfrą w jego życiu. Wyliczył parę dat: nie przypominam sobie dobrze, ale zdaje się, że się urodził trzynastego i że trzynastego został prezydentem.

Nie studiowałem kalendarza i nie wiem, czy historia powstania Ligi Narodów nie jest związana z jakąś trzynastką.

Zabrałem się natychmiast do przygotowania mapy i memoriału dla Wilsona. Zresztą szkic mapy, zgodny z uchwałami Komitetu Narodowego, przywoziłem był ze sobą. Ogromnie pomocny w tej pracy był mi Aleksander Znamięcki, przebywający od paru lat w Ameryce. Ofiarował mi się on po przyjacielsku za sekretarza na cały czas mego pobytu w Stanach i umiejętną pracą swoją oraz dużymi stosunkami, jakie posiadał w amerykańskich kołach wpływowych, ogromnie mi ułatwił zadanie.

Wkrótce po rozmowie z Wilsonem dowiedziałem się poufnie rzeczy dla mnie nowej, a trzymanej w tajemnicy. Mianowicie istniała już w Stanach utworzona pod patronatem pułkownika House'a komisja ekspertów, przygotowująca materiał dla delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową. W tej, krótko tak zwanej Komisji House'a istniała sekcja polska, na której czele stał profesor Lord, autor książki o rozbiórce Polski. W tej sekcji pracowało dwóch Polaków, profesorowie: Zwierzchowski i Arctowski.

Obawialiśmy się, że sprawa nasza w Ameryce stoi źle, ale nie przypuszczaliśmy, że tak źle, jak się okazało. Sekcja polska komisji House'a miała z góry instrukcję, ażeby się ziemiami zaboru pruskiego wcale nie zajmować. Znaczy to, że ci, od których instrukcja wyszła, nie mieli wcale zamiaru poruszać na konferencji pokojowej sprawy oderwania ziem zaboru pruskiego od Niemiec i spodziewali się, że ta sprawa nie wejdzie wcale pod dyskusję.

Trzeba było działać szybko i energicznie.

Zwróciłem się do Wydziału Narodowego w Chicago, który wydał natychmiast komendę, ażeby we wszystkich środowiskach polskich organizować wiece i na nich uchwalać żądanie Polski z Poznańskiem, Śląskiem, Prusami Zachodnimi i Gdańskiem.

Pułkownik House używał jeszcze wywcześniejszych letnich w Nowej Anglii na północ od Bostonu. Spotkawszy jednego z przedstawicieli rządu angielskiego, którego znałem z Europy, a który właśnie jechał do House'a, poprosiłem go, żeby zaraz po przyjeździe zapytał gospodarza, czy mogę go odwiedzić. Otrzymałszy nazajutrz telegraficzne zaproszenie na śniadanie, udałem się do Nowej Anglii.

Na śniadaniu prócz pana i pani domu był tylko ów mój znajomy Anglik i profesor Thayer z Harvard University, jeden z najwybitniejszych badaczy dziejów nowoczesnych, autor słynnego dzieła o Cavourze. Po śniadaniu angielski gość wyjechał, my zaś z pułkownikiem House'em i z prof. Thayerem zasiedliśmy na werandzie do rozmowy.

House prawie cały czas milczał, tylko przysłuchiwał się uważnie rozmowie między mną a historykiem. Przedyskutowaliśmy całą środkową i wschodnią Europę i całą sprawę Polską. Trafiłem na człowieka mądrego i rozumiejącego Europę. Miałem wrażenie, że zdaje on sobie dobrze sprawę ze znaczenia kwestii polskiej.

Po południu wyjechałem z powrotem do Nowego Jorku; miałem poczucie, że dwie noce i jeden dzień poświęcone na wycieczkę nie były zmarnowane.

Po tej rozmowie, poprzedzonej rozmową z Wilsonem i sekretarzem stanu, Lansingiem, uważałem, że trzeba sferom rządzącym dać na pewien czas pokój. Teraz główną rzeczą była akcja wiecowa naszych rodaków amerykańskich, no i szukanie poparcia w prasie.

Dużą pomoc w należyтым postawieniu naszej sprawy w Stanach Zjednoczonych okazała nam prasa amerykańska. Uskarżano mi się na nią, że jest ona w części obojętna, w części – pod wpływem Żydów i Niemców – nieżyczliwa. Mnie się wszakże zdawało, że wina leżała przede wszystkim po stronie polskiej, że nie umiano jej informować. I miałem słuszną rację. Wybitni publicyści amerykańscy, z którymi się zbliżyłem, okazali bardzo wiele żywego zainteresowania naszą sprawą i wielu z nich dało naszym dążeniom silne poparcie. Poczytuję sobie za obowiązek wspomnieć tu przede wszystkim redaktora politycznego „New York Timesa”, Millera, jednego z najstarszych i najpoważniejszych dziennikarzy w Ameryce. Poznawszy się ze mną przez jednego z moich amerykańskich przyjaciół, sam prosił mnie, żeby mu wyjaśnić kwestię polską i jej znaczenie międzynarodowe, a potem napisał w swym dzienniku całą serię pierwszorzędnych artykułów, wykazujących, że wojna ta będzie przez aliantów politycznie przegrana, jeżeli po zwycięstwie na froncie Polska nie będzie odbudowana w należytych granicach, jeżeli między innymi nie będzie posiadała ujścia Wisły i Gdańska. Artykuły te odegrały dużą rolę, wiele się przyczyniły do przełomu, jaki zaszedł w stosunku opinii amerykańskiej do naszej sprawy.

W ogóle w prasie amerykańskiej napotkałem wiele życzliwości, o wiele więcej niż przeciwdziałania, które się sprowadzało do kilku niezdarnych podjazdowych wycieczek – w których odczuwało się rękę bądź Żydów, bądź nawet polskich intrygantów – i do głupich żydowskich dowcipów, w rodzaju zawiadomienia jednego z wielkich dzienników nowojorskich, że przybył do Ameryki p. Romanoff Dmowski.

W chwili, gdy przesyłałem Wilsonowi mapę projektowanego państwa polskiego, wraz z notą motywującą nasze żądania terytorialne – akcja naszych rodaków w Ameryce i artykuły w prasie amerykańskiej przygotowały już znacznie lepszy grunt dla naszej polityki.

W październiku komisja House'a otrzymała polecenie opracowania ziem polskich należących do Niemiec dla delegacji na konferencję pokojową.

Sekcja polska komisji zabrała się natychmiast do pracy. Żmudną i długą robotę wziął na siebie profesor Zwierzchowski, Poznańczyk, który na podstawie danych pruskiego *Gemeindelexikon*⁶⁰ zabrał się do przygotowania ogromnej, zajmującej pół dobrego pokoju mapy pogranicza niemiecko-polskiego. Na mapie tej unaoczniony został barwami stosunek liczebny Polaków i Niemców w każdej gminie. Wykazywała ona w sposób niezbity, na podstawie urzędowej statystyki pruskiej, gdzie leży granica między Polską a Niemcami, i dla ludzi, których przedtem informowali Niemcy, była wprost rewelacyjna. Zwłaszcza na polski Śląsk Górny patrzyli, jak na odkrycie geograficzne. Trzeba to przyznać prof. Lordowi, że uczciwie, bez uprzedzeń kierował pracą sekcji i tym okazał nam poważną pomoc.

Mieliśmy w Ameryce trochę kłopotu z naszymi mniejszymi sprzymierzeńcami. Zainicjowano tam wielką organizację dążących do wyzwolenia narodów pod nazwą Liga Środkowo-Europejska (*Mid-European League*). Była ona dość dziwnie pomyślana, bo obok prezesa, którym był Masaryk, miała dyrektora, Amerykanina, jakiegoś profesora Millera (który mi wyglądał trochę na Müllera). Włączono do niej Czechosłowaków, Jugosłowian, Rumunów, Ukraińców, Litwinów, a w końcu ofiarowano miejsce i Polakom. Dodać trzeba, że Ukraińców reprezentował w niej zabójca namiestnika Galicji, Andrzeja Potockiego, Siczyński, którego – ile że był wykonawcą wielkich planów berlińskich – w swoim czasie nie powieszono, tylko ułaskawiono i tak zamknięto w więzieniu, że uciekł z niego do Ameryki. Na żądanie Paderewskiego owego Siczyńskiego Liga schowała w cień.

Rzecz była już prawie gotowa, gdy organizatorzy zwrócili się do mnie w sprawie naszego udziału w Lidze.

Poczuwałem się do solidarności z Czechami, Rumunami i Jugosłowianami i czynem okazywałem swe sympatie dla ich sprawy, ale nie mogłem dla nich tego zrobić, żeby zasiąść w jednej orkiestrze z Ukraińcami, i to pod batutą jakiegoś nieznanego, amerykańskiego dyrektora. Odpowiedziałem krótko, że Polacy udziału w Lidze nie wezmą. Na to otrzymałem list od owego dyrektora Millera, zawiadamiający mnie, że jeżeli

⁶⁰ *Gemeindelexikon* (niem.) – Rocznik statystyczny Królestwa Prus [red.]

Polacy nie wezmą udziału w Lidze, to Polski niepodległej nie będzie. Miller tak przemawiał, jak gdyby był rozdzielną niepodległości pomiędzy narodami. Uważając ten list za nieprzyzwoity, poszedłem do *State Department* (Ministerstwo Spraw Zagranicznych) i zapytałem, kto upoważnił p. profesora Millera do posyłania mi podobnych listów. Podobno na skutek tego doprowadzono p. dyrektora do porządku.

Tymczasem Liga zorganizowała wielką manifestację w Filadelfii, gdzie Masaryk wobec licznych tłumów uderzył w historyczny „Dzwon Wolności”, który swego czasu po rewolucji obwieścił był Amerykanom niepodległość. Przedstawiciele Polaków amerykańskich, uznając za niemożliwe usuwanie się od „święta wolności”, wzięli w tej manifestacji udział, ale wobec tego, żeśmy odmówili stanowczo wejścia do organizacji, Liga krótki swój żywot rychło zakończyła. Narodom sądzone było zdobywać niepodległość bez jej pomocy.

W ogóle grunt amerykański tym się różnił od europejskiego, że tam sprawy polityczne załatwiano się w sposób mniej skomplikowany. Prościej, bardziej bezpośrednio okazywali swą życzliwość i poparcie przyjaciele, i prostsze, mniej wyszukane były metody walki ze strony przeciwników. Czasem ta prostota była wprost zabawna.

Na wystawie w Chicago zorganizowano na szeroką skalę agitację za pożyczką wojenną, *Liberty Loan*. Każda z narodowości Stanów Zjednoczonych miała swój dzień, przeznaczony na agitację wśród swoich. Na Dzień Polski tamtejsi rodacy nasi zaprosili mnie, żebym przemawiał na wystawie za pożyczką, co chętnie uczyniłem. Otóż, kiedym mówił z trybuny, umieszczonej pod gołym niebem, prawie przez cały czas mego przemówienia krążył dziesięć metrów nad moją głową przeraźliwie furkocący dwupłatowiec. Dotychczas nie wiem, czy to miała być owacja dla Polaków, czy też chodziło o to, żeby zebrani nie słyszeli nic z tego, co mówiłem.

W Ameryce ludzie idą prosto do celu, nie tracąc czasu na obmyślanie zbyt wyrafinowanych sposobów działania. Pewnego razu poważny człowiek, nie Polak, uprzedził mnie po przyjacielsku, ażebym się liczył z faktem, że istnieje w Nowym Jorku zorganizowana akcja przeciw mnie osobiście, że w łonie wielkiej organizacji amerykańskiej Ligi Obywatelskiej (*Civic League*) grupa Żydów i nie-Żydów, prowadzona przez rabina nowojorskiego, Wise'a, przyjaciela Wilsona, postanowiła sobie z góry nie dopuścić mnie, jako delegata polskiego, na konferencję pokojową. Miałem nawet w ręku jeden z dowodów pracy tej grupy w postaci listu rabina Wise'a z Waszyngtonu, w którym ostrzega swych nowojorskich przyjaciół, ażeby się nie łudzili, że moja pozycja w Białym Domu jest już całkiem podcięta; pozostaje jeszcze wiele do zrobienia.

Wiadomości podobne mnie nie dziwiły. Na „życzliwe współdziałanie” przyjaciół wyznania mojżeszowego i ich popleczników byłem przygotowany.

Nie łudziłem się, żeby ich można było czymkolwiek przejednać, i nie szukałem ich, choć wiedziałem, że w Nowym Jorku znajduje się główny sztab ich armii. Niemniej przeto miałem aż nadto sposobności do rozmówienia się z nimi i dowiedzenia się, co myślą o Polsce.

Wkrótce po moim przyjeździe zgłosił się do mnie znany powszechnie przywódca Żydów w Ameryce, adwokat i finansista nowojorski, p. Louis Marshall. Przyjąłem go i rozmawialiśmy aż dwie godziny. Powiedział mi bez ogródek, że Żydzi są wrogami Polski, bo Polska prześladowuje ich współwyznawców. Gdy mu zwróciłem uwagę, że w Polsce pogromów nie było i nie ma, usłyszałem znamienne odpowiedź, że Żydzi wolą pogromy od bojkotu. Zawsze to myślałem. Gdy się skarżył na to, że Żydzi w Polsce są wygładzani, wskazałem mu, że Polska, uciśniona i wyzyskiwana przez obcych, jest sama głodna i że jeżeli Żydzi chcą, ażeby ich współwyznawcom w Polsce lepiej się działo, powinni na równi z nami starać się o to, ażeby Polska była niezawisła, silna i bogata. To wszakże p. Marshallowi nie trafiało do przekonania. Rozmowa nasza nie dała żadnych określonych wyników⁶¹.

Później wspólnie z Paderewskim wzięliśmy udział w obiedzie politycznym z przywódcami żydowskimi, urządzonym przez jednego z działaczy nowojorskich. Byli tam Żydzi-Amerykanie, którzy mieli w swej przeszłości nawet stanowiska w dyplomacji amerykańskiej, i przywódcy syjonistów. Tam już stawiano nam żądania, z tym, że jeżeli je spełnimy, możemy otrzymać ich poparcie dla sprawy polskiej.

Jedno z żądań było, żebyśmy wprowadzili do naszego Komitetu Narodowego Żyda cieszącego się ich zaufaniem. Okazało się wszakże natychmiast, że nie ma takiego Żyda, który by posiadał jednocześnie nasze i ich zaufanie. Ważniejsze było żądanie, zwrócone już do mnie osobiście, ażebym wystosował odezwę do społeczeństwa polskiego, wzywającą je do zaprzestania bojkotu Żydów. Nie chciałem im dać na to odpowiedzi kategorycznej, ażeby jej nie wyzyskali do hałaśliwej kampanii przeciw Polsce. Powiedziałem im więc, że dobrze, że wydam taką odezwę, ale pod warunkiem, że oni przedtem wydadzą odezwę do Żydów w Polsce, wzywającą ich do wiernej służby Polsce, do tego, by pracowali i walczyli o zjednoczenie i niepodległość Polski. Dali mi odpowiedź, której byłem z góry pewny – że to jest niemożliwe. Tak i ta konferencja skończyła się bez żadnego wyniku.

Gdy się zbliżał ku końcowi mój pobyt w Stanach Zjednoczonych, wiedziałem w tym punkcie to samo, com wiedział, gdy do Ameryki jechał – mianowicie, że podczas konferencji pokojowej najzazartszych wrogów naszej sprawy będziemy mieli w Żydach.

⁶¹ Podczas konferencji pokojowej ktoś z przyjaciół przysłał mi z Ameryki angielską broszurę p. Marshalla pt. *Moja rozmowa z p. Dmowskim*. Lider żydowski, wbrew przyjętym zwyczajom, nie zapytał mnie, czy zgadzam się na ogłoszenie naszej rozmowy, i nie przysłał mi spisanego tekstu do przejrzania i dania swego OK, jak się mówi w Ameryce. Zajęty wówczas czym innym, zaledwie zdążyłem rzucić okiem na tę publikację i dostrzec od razu różne niedokładności. Później ktoś mi broszurę zabrał i nigdy jej nie przeczytałem.

VIII. ROZEJM

W drugiej połowie października 1918 roku zwycięstwo sprzymierzonych nad Niemcami było już faktem. Pozostawało tylko pytanie, jak z nieprzyjacielem skończyć. Naturalny, logicznie narzucający się koniec – po złamaniu nieprzyjaciela, który nie zaznał prawie wojny u siebie, a dał ją innym silnie odczuć na ich ziemi, pójść w głąb jego kraju, wkroczyć do jego stolicy i tam dyktować pokój – oznaczał trwanie jeszcze przez jakiś czas operacji wojennych. Dobrych kilka tygodni trzeba by było na przemaszerowanie sprzymierzonych pod dowództwem Focha do Berlina i armii generała Francheta d'Esperey z południa na Budapeszt do Wiednia, Pragi i Warszawy.

Takiego końca wojny chciała Francja, taki koniec wojny rychlej przyniósłby ostateczny pokój, oszczędzając wielu niepotrzebnych komplikacji, między innymi i Polsce.

Szła wszakże wytężona robota, żeby do takiego końca wojny nie dopuścić. Widoczne były wysiłki skierowane ku temu, żeby miast wielkiego zwycięstwa sprzymierzonych nad Niemcami osiągnąć wewnętrzny przewrót polityczny w Niemczech, zwycięstwo, jak mówiono, demokracji. Głównym terenem tej roboty były Stany Zjednoczone.

Jeden z moich znajomych, zajmujący wybitne stanowisko w Ameryce, a sprawie polskiej życzliwy, radził mi w owym czasie poznać się z Brandeistem, wielkim dygnitarzem amerykańskim, zasiadającym w Sądzie Najwyższym, a zarazem znanym syjonistą. Mówiono o nim, że jest w bliskich stosunkach z Wilsonem i należy do głównych jego doradców. Uważając, że to może być interesujące, zgodziłem się pójść z moim znajomym do sędziego najwyższego. Umówiliśmy się na popołudnie najbliższej niedzieli.

Właśnie w ową niedzielę rano gazety przyniosły słynną notę Wilsona do Niemców, w której, na żądanie pokoju z ich strony, prezydent Stanów Zjednoczonych zapytywał, w czym imieniu przemawiają (czy w imieniu rządu, czy ludu niemieckiego), czy gotowi są natychmiast ustąpić z cudzych ziem przez nich zajętych i wynagrodzić szkody przez nich wyrządzone. Nota owa była złym zwiastunem: wyglądała z niej zapowiedź natychmiastowego, przedwczesnego pokoju, o ile lud niemiecki przemówi.

Gdyśmy weszli po południu do Brandeisa, leżał przed nim na biurku rozłożony dziennik. Powitał nas promieniejąco.

– To już koniec wojny! – zawołał, stukając palcem w kolumnę dziennika, zawierającą notę Wilsona.

Miałem przed sobą triumfującego zwycięzcę.

Gdy zauważyłem, że to niekoniecznie jeszcze jest koniec wojny, odpowiedział:

– Nie, panie, po tej nocy dalsze trwanie wojny jest niemożliwe...

Brandeis miał słuszość. Później, po powrocie do Europy, rozmawiałem z jednym z młodszych oficerów francuskich, bohaterem ozdobionym licznymi odznaczeniami.

– Nota wilsonowska – mówił mi – odebrała ducha armii. Myśmy wszyscy gotowi byli zginąć, nie liczyliśmy, że żywi z tej wojny wyjdziemy, uważaliśmy śmierć w boju niejako za konieczność, ale byliśmy z tą koniecznością pogodzeni i nie odbierała nam ona dobrego humoru. Z chwilą, gdy się ukazała ta przekłeta nota, każdy sobie powiedział: a więc to już kwestia kilku dni czy paru tygodni; głupio byłoby właśnie w tych kilku dniach zginąć. I każdy zaczął myśleć o tym, żeby wyjść żywym. Byliśmy zdemoralizowani...

Tak, Brandeis miał słuszość. Dobrze wiedzieli, co robią ci, którzy Wilsonowi tę notę doradzili.

Zacząłem szukać najkrótszej drogi dostania się z powrotem do Europy. Statki pasażerskie chodziły rzadko i wlokły się dziesięć dni z Nowego Jorku do Bordeaux. Do Ameryki dostałem się szybko, dzięki uprzejmości Hoovera, który mnie zaprosił, żeby z nim popłynąć na „Mauretanię”, będącej wówczas transportowcem amerykańskim. Tym razem wybawił mnie z kłopotu p. Tardieu, zajmujący stanowisko wysokiego komisarza francuskiego w Stanach Zjednoczonych. Ofiarował mi wspaniałą apartament na jednym z najlepszych statków, „La France”, który również służył Amerykanom za transportowiec i który w krótkim czasie odpływał do Brestu.

Tymczasem byłem w Nowym Jorku świadkiem ciekawego widowiska. Dzienniki przyniosły fałszywą wiadomość, że rozejm z Niemcami już zawarty. Natychmiast zmobilizowano manifestację na cześć pokoju. Przez ulice ciągnął tłum, złożony w głównej masie z Żydów, brudny, uzbrojony w patelnie, pokrywy od garnków i rondli i wszelkie inne możliwe blachy, bijący blachami w blachy i wydający dzikie okrzyki. To już nie była Ameryka ani Europa, tylko co najmniej Afryka.

– Czy to tak ma wyglądać triumf demokracji i pacyfizmu? – zapytałem siebie...

Pojechałem ostatni raz do Waszyngtonu, by pożegnać się z prezydentem.

Tam mi pokazano tekst konwencji rozejmowej z Niemcami, mającej być niebawem podpisaną.

Wojna kończyła się już faktycznie, kończyła się w ten sposób, że Europa Środkowa, którą zwycięzcy mieli przebudowywać, nie znajdowała się w ich rękach.

Konwencja zawierała dwa artykuły dotyczące Polski.

Jeden zapewniał sprzymierzeńcom komunikację z Polską przez Bałtyk i ujście Wisły, czyli przez Gdańsk. Była to jedyna logiczna rzecz w tym całym nielogicznym położeniu, w jakie rozejm Polskę postawił. I dlatego prawdopodobnie nie została potem wykonana...

Drugi zobowiązywał Niemców do natychmiastowego ewakuowania wszystkich zajętych podczas wojny terytoriów.

Stanęło mi przed oczyma położenie Polski. Wojska polskiego właściwie w kraju nie ma, alianci ze swoim wojskiem nie przyszli, wojsko niemieckie usuwa się do Niemiec, a na jego miejsce wlewa się fala bolszewicka ze wschodu.

Udałem się natychmiast do Lansinga i zażądałem uzupełnienia tego artykułu zastrzeżeniem, że na wschodzie ewakuacja wojsk niemieckich nastąpi dopiero wtedy, gdy państwa sprzymierzone tego zażądają. Chodziło mi o zyskanie na czasie dla uzbrojenia Polski jako tako. Przecież mieliśmy zapewnioną komunikację przez Gdańsk...

Wiedziałem, że tym sposobem ułatwiam na razie opanowanie kraju żywiłom, które w ciągu wojny szły przeciw nam i przeciw państwom sprzymierzonym. Jednakże lepsze było to niż zalew bolszewicki. I zdaje mi się, że zrobiłem dobrze. Przez pewien czas Polska była odgradzona od sowieckiej Rosji pasmem ziemi zajętych przez wojska niemieckie, co dało krajowi możliwość zrobienia pierwszych kroków organizacyjnych. Inna rzecz, że można było z tego czasu lepiej skorzystać.

Zaproszono przedstawicieli państw sprzymierzonych do Senatu, na posiedzenie, na którym prezydent Wilson miał przedstawić warunki rozejmu. Gdy siedział tam wśród senatorów amerykańskich i słuchał mowy prezydenta, przychodziły mi smutne refleksje. Wśród tych poważnych mężów wielkiej republiki wyjątkami byli ludzie zdający sobie sprawę z tego, co się dzieje w Europie. Ja wśród nich znałem tylko jednego takiego, sędziwego senatora Partii Republikańskiej, Lodge'a. Ta partia miała kilku ludzi realnie patrzących na położenie międzynarodowe, jak Elihu Root, jak wreszcie były prezydent Roosevelt, z którym o tej wojnie rozmawiałem na krótko przed jego śmiercią. Ale ona teraz nie miała wpływu na politykę zewnętrzną Stanów Zjednoczonych. Głos ma Wilson. Ten idzie do ustanowienia pokoju powszechnego i sprawiedliwości między narodami pod egidą Ligi Narodów, a tymczasem sprowadził przedwczesne zakończenie wojny i wynikający stąd zamęt, z którego Europa nieprędko się wydobędzie. Myślałem o tych, co stoją za kulisami i pociągają za sznurki w tym przedstawieniu, i starałem się zrozumieć, do czego dążą.

W pół godziny po zamknięciu posiedzenia Senatu prezydent Wilson przyjął mnie w Białym Domu na audiencji pożegnalnej.

Po krótkim omówieniu konwencji rozejmowej skierowałem rozmowę na naszą sprawę, na kwestię granicy niemiecko-polskiej, chcąc otrzymać od niego wyraźne zapewnienia. Wilson wszakże teraz niechętnie o tym mówił, robił ciągle zastrzeżenia, myśl jego zdawała się iść raczej przeciw naszym żądaniom. Widziałem, że w Białym Domu pracowano przeciw nam wiele. Nie chciałem rozstać się z nim, pozostawiając sprawę w tym stanie. Użyłem więc ostatniego argumentu.

– Panie prezydencie – rzekłem – wie pan niezawodnie, jak tą sprawą przejęci są wasi amerykańscy Polacy. Ludzie stojący na ich czele przeważnie pochodzą z ziem polskich zagarniętych przez Prusy. Otóż jeżeli my nie otrzymamy należytej granicy z Niemcami, jeżeli nie dostaniemy nie tylko Poznania, ale i Śląska, i naszej ziemi nadbałtyckiej z Gdańskiem, żaden z nich nie zrozumie, dlaczego to się stało. A to są ludzie, którzy dziś mocno w pana wierzą.

Wilson spojrział na mnie bystro i rzekł głosem stanowczym:

– Mam nadzieję, że się nie zawiodą.

Nie było to słowo rzucone na wiatr. Na konferencji pokojowej nieraz je sobie przypomiąłem, widząc, jak Wilson broni naszych praw przeciw Lloydowi George'owi.

Przy naszym drugim rozstaniu, w Paryżu, kiedy odjeżdżał z konferencji z powrotem do Ameryki, i kiedyśmy ostatni raz rozmawiali, po obiedzie, w Pałacu Elizejskim, powiedział mi:

– Pamięta pan, kiedym pana prosił w Waszyngtonie o mapę przyszłej Polski. Nie dostaliście, co prawda, wszystkiego, ale musi pan przyznać, że to, co macie, nie jest tak dalekie od tego, czego pan żądał. Zrobiłem wszystko, co można było zrobić.

Wiem, że chciał zrobić więcej.

CZEŚĆ PIĄTA

**POKÓJ
(1918–1919)**

WALKA O GRANICE

I. EUROPA ŚRODKOWA PO ROZEJMIĘ

Zwycięstwo Prus nad Francją w roku 1871 doprowadziło do przewrotu we Francji. Paryż miał Komunę, pokój ze zwycięzcą zawierało już nie Cesarstwo, tylko Trzecia Rzeczpospolita. Prusacy wszakże nie odmówili sobie wejścia do Paryża i warunki pokoju zostały podyktowane w Wersalu.

Zwycięstwo sprzymierzonych nad Niemcami również dało w wyniku przewrót w państwach zwyciężonych: trony Hohenzollernów i Habsburgów upadły, w Niemczech i Austro-Węgrzech zapanował zamęt rewolucyjny. Tylko zwycięzcy nie poszli ani do Berlina, ani do Wiednia, skazując na paranie się z wytworzonym chaosem nie tylko wrogów, ale i zaprzyjaźnione narody środkowej Europy.

Ci, którzy dążyli do takiego właśnie końca wojny i którzy swój cel podstępem, w pewnej mierze, osiągnęli, używszy Wilsona na narzędzie – bo nie można inaczej patrzeć na ową słynną notę wydaną przez prezydenta Stanów Zjednoczonych na własną rękę i krzyżującą plany, jeżeli nie wszystkich mocarstw europejskich, to w każdym razie Francji – może się i zastanawiali nad tym, w jakie położenie stawiają kraje nie niemieckie Europy Środkowej. Jeżeli się wszakże zastanawiali, to chyba im zależało na tym, żeby w odmęcie rewolucyjnym utonęły.

Można było przewidywać, że w tym szaleństwie znajdzie się metoda, że tę metodę da potężna organizacja, mająca nawiązane nici z ruchami rewolucyjnymi wszystkich krajów, a zwłaszcza ościennych, mianowicie Socjalna Demokracja niemiecka. Liczono może na to, że ona obejmie komendę nad wszystkimi ruchami w środkowej Europie, że jej metoda pokieruje szaleństwem innych i że koniec końców powstanie zorganizowana tym razem przez socjalistów niemieckich *Mittleuropa*, z którą zwycięzcy będą musieli się pogodzić. W Niemczech natychmiast po rozejmie powstały „sowiety” (*Arbeiter- und Soldatenräthe*), które winne były posłużyć za wzór organizacji wszystkim sąsiednim ludom...

Jeżeli tak się nie stało, to dlatego, że: z jednej strony – społeczeństwo niemieckie, wystawione w ciągu czteroletniej z górą wojny na niebywałe próby, było zbyt wyczerpane i niezdolne do wydobycia z siebie większej energii; z drugiej zaś – narody, którym zwycięstwo sprzymierzonych przynosiło wyzwolenie spod obcego jarzma, miały psychologię zwycięzców i entuzjazm narodowy brał wśród nich górę nad dążeniami rewolucyjnymi. Nadto w Polsce nieprzyjaźń szerokich mas do Żydów uniemożliwiała odgrywanie roli politycznej tym urodzonym organizatorom i kierownikom „sowieców”.

Rewolucyjne dążności wzięły górę tylko wśród zwyciężonych, wśród Niemców, Austriaków, Węgrów i Bułgarów. Wysiłki innych ludów skierowały się ku wydobyciu się z chaosu, ku stworzeniu podstaw swej nowej organizacji państwowej. Były i wśród nich próby rewolucyjne, usiłowania pójścia w ślad Niemców, pochodzące stąd, że ich autorowie, trzymający z Niemcami w ciągu wojny, bądź uważali się także za zwyciężonych, bądź słuchali komendy berlińskiego sztabu socjalistycznego. I Polska

zaczęła od tego, że miała republikę lubelską z wysłużonym socjalistą austriackim, Ignacym Daszyńskim na czele, no i w Warszawie miała rząd socjalistyczny Moraczewskiego. Te wszakże próby musiały ustąpić przed psychologią narodu urzeczywistniającego swe zjednoczenie i niepodległość.

Niemcy wiedzieli, że nie uratują swych planów, swego panowania w środkowej Europie. Potrzebna im była pomoc z zewnątrz i, nie zwlekając, zaczęli tej pomocy szukać.

Wieczorem 23 listopada 1918 roku w rzęście oświetlonym gmachu wielkiej loży masońskiej przy Dorotheenstrasse w Berlinie panował ruch niebywały. Zwołano zjazd wolnomularzy z całych Niemiec; wezwania podpisane były przez szereg wielkich osobistości, takich między innymi, których przedtem o udział w masonerii nawet nie posądzano. Nazajutrz po tym zjeździe rozeszły się po Berlinie wieści, że stanął na nim pakt między masonerią niemiecką a Żydami, mocą którego Żydzi otrzymują całkowitą swobodę działania wewnątrz Niemiec i szereg naczelnych stanowisk w ich życiu politycznym, a za to zobowiązują się do tego, że żydostwo międzynarodowe będzie broniło interesów niemieckich przy zawieraniu pokoju. Żydzi znowu zrobili dobry handel: bronili interesów niemieckich od dawna i bronić musieli, bo w znacznym odsetku były to ich interesy, zobowiązywali się więc do rzeczy, którą byliby bez wszystkiego robili; za darmo więc kupili sobie rządy polityczne w Niemczech. Naturalnie, z chwilą kiedy już i politycznie Niemcy opanowali, sprawa niemiecka stała się dla nich tym bliższa. Cały koszt tego paktu mieli ponieść Niemcy w postaci dezorganizacji wewnętrznej i rozkładu ich sił narodowych, i narody, które uda się na konferencji pokojowej skrzywdzić na rzecz Niemiec, przede wszystkim Polska.

Pakt ten nie napotkał ze strony niemieckiej trudności. Socjaliści i liberałowie niemieccy zawsze byli związani z Żydami i pracowali dla zwiększenia ich politycznej roli; żywioły zaś nacjonalistyczne miały w ciągu wojny i w chwili końcowej katastrofy oczy zwrócone przede wszystkim na zewnątrz, przejęte były strachem przed utratą tego, co do niedawna wydawało im się zdobyczą na wieki pewną, i wszystko były gotowe sprzedać, byle kupić sobie obronę interesów zewnętrznych. Obrona zaś żydowska była nie do pogardzenia: Żydzi mieli duże wpływy w państwach zwycięskich, doszli, zwłaszcza za rządów Wilsona, do ogromnej roli w Stanach Zjednoczonych, a przede wszystkim mieli całkowicie oddanego sobie człowieka w osobie premiera angielskiego, Lloyd'a George'a. Położenie zwyciężonych Niemiec nie było więc beznadziejne.

Wielkim ciosem dla nich była likwidacja monarchii habsburskiej, która z chwilą zawarcia rozejmu rozpadła się bez niczyjej pomocy.

Rozbiór Austro-Węgier, któryśmy sobie postawili jako jeden z celów polityki polskiej w tej wojnie, nie był tym samym, co rozbiór Polski swojego czasu – krajanem żywego ciała narodu. Był tylko politycznym usankcjonowaniem tego, czego życie samo dokonało. Austro-Węgry dawno już utraciły rację bytu, trzymały się tylko jako protektorat niemiecki, trzymały się dopóty, dopóki nie przyszła ogniowa próba. Jeżeli dojrzała śmierć naddunajskiej monarchii była nieoczekiwanym ciosem dla pewnej liczby ludzi w Galicji, jeżeli pogrzyżała ich w żałobie, to sami winni sobie przez to, że związali swe

ambicje i swe nadzieje z trupem. Nie wiedzieli tego, że ich prawowita ojczyzna, Polska, rozdarta na trzy części, uciśniona i wyzyskiwana przez obcych, ma stokroć pewniejszą przed sobą przyszłość, przyszłość bliską, niż potężna, figurująca w szeregu wielkich mocarstw rozdawczyni łask, Austria.

Program przebudowy środkowej Europy, będący programem naszej między innymi polityki, wszedł w fazę szybkiej realizacji w chwili, kiedy jeszcze padały ostatnie strzały armatnie w kończącej się wojnie. W wielkiej retorce środkowoeuropejskiej milionowe grupy ludności, wyzwalając się z dawnego, przymusowego związku państwowego, łączyły się na podstawie powinowactwa z sąsiednimi państwami lub tworzyły nowe, nie czekając, aż kongres pokoju rozstrzygnie o ich losach. Tworzyły się fakty dokonane w kierunku wręcz przeciwnym temu, w jakim szły podczas wojny fakty dokonane polityki niemieckiej, budującej swoją Europę Środkową. Powstawało państwo czeskie, łączyła się w jedną całość Jugosławia, zajmowała swe terytoria Rumunia, ziemie włoskie Austrii znalazły się w rękach Włoch. Ziemie polskie odchodziły do Polski.

Nie było w Austro-Węgrzech siły, która by mogła temu wszystkiemu przeszkodzić.

W chwili konania zdobyła się stara Austria na jeden tylko czyn. Resztką ginących sił spełniła jeszcze obowiązek względem berlińskiego protektora – stworzyła przeciw Polsce armię ukraińską w Galicji Wschodniej, dając jej ludzi, zapasy broni i amunicji. Był to ostatni gest państwa znikającego z karty Europy, państwa, które sprowokowało nieszczęsną dla siebie wojnę, które zaczęło ją od prowokowania Polaków do powstania przeciw Rosji.

Dzięki temu gestowi, do zamętu w Europie Środkowej – wywołanego przez pokój przedwczesny, pokój sprzyjający rewolucji – przybył jeszcze jeden czynnik: wojna Rusinów przeciw Polsce w Galicji Wschodniej. Polsce, którą ten pokój wtrącił w położenie najkrytyczniejsze, przybyło jeszcze jedno niebezpieczeństwo.

II. POŁOŻENIE POLSKI

W całej polityce zwycięzców trudno znaleźć jaskrawszy przykład braku logiki, jak w ich stosunku do Polski.

Postanowili oni odbudować państwo polskie. Uczynili to zarówno ze względów zasadniczych, jak i praktycznych. Wojna prowadzona pod hasłem wolności narodów, prawa każdego narodu do rządzenia się we własnym państwie, musiała przede wszystkim powołać do życia państwowe Polskę, która była najjaskrawszym przykładem pogwałcenia tych zasad. Pierwszym warunkiem zatamowania groźnego rozrostu potęgi niemieckiej we wschodniej Europie było odbudowanie państwa polskiego, możliwie silnego, zdolnego do obrony swej niezawisłości. Zresztą, po rozkładzie Rosji przez rewolucję bolszewicką i po rozpadnięciu się Austrii, najwięksi przeciwnicy Polski w obozie zwycięzców nie mogliby sobie wyobrazić Europy bez państwa polskiego, o ile by nie chcieli oddać Polski Niemcom lub nie pragnęli rozszerzenia się władzy „sowietów” aż do środka Europy.

Z tych wszystkich względów odbudowanie państwa polskiego nie tylko stało się koniecznością, ale było właściwie sprawą najważniejszą w przyszłym pokoju. Jako taka, winna była ona skupić na sobie szczególną uwagę zwycięzców.

Tymczasem, żaden kraj po zakończeniu wojny nie znalazł się w tak niebezpiecznym położeniu, nie był do takiego stopnia pozostawiony własnym siłom; żadnemu tak nie utrudniano wśród sprzymierzeńców organizacji i zużytkowania sił, które posiadał.

Rozejm pozostawiał Polskę i ziemie na wschód od niej leżące pod okupacją niemiecką. Usunięcie wojsk niemieckich mogło w każdej chwili na rozkaz sprzymierzonych nastąpić, ale nie było wątpliwości, że z ich ustąpieniem Polska stanie się przedmiotem ataku ze strony „sowietów”. Wobec tego, że jak najrychlejsze usunięcie wojsk niemieckich z ziem okupowanych na wschodzie było polityczną koniecznością, że zresztą rozkład armii niemieckiej postępował szybko i bez interwencji z zewnątrz, była ona skazana na szybkie zniknięcie z ziem okupowanych – pierwszą kwestią było zorganizowanie obrony Polski, jeżeli już nie przy pomocy wojsk sprzymierzonych, to przynajmniej jej własnymi siłami.

Tymczasem, jakże się w tej sprawie zachowały rządy państw sprzymierzonych?...

Pierwszym krokiem, który zrobiłem natychmiast po powrocie z Ameryki, było zwrócenie się w imieniu Komitetu Narodowego do rządów państw sprzymierzonych o zgodę na natychmiastowy przewóz znajdującej się we Francji armii polskiej przez Gdańsk do Polski. Odpowiedziano mi, że to jest niemożliwe, bo Niemcy będą stawiali opór wylądowaniu wojska polskiego i wybuchnie nowa wojna, polsko-niemiecka. Zaproponowałem wtedy, żeby obsadzić parę dywizjami alianckimi – którym Niemcy nie będą przecie śmieli stawiać oporu – Gdańsk i linię kolejową do Torunia, i pod ich osłoną dokonać przewozu wojska polskiego. Rzecz była prosta, ile że konwencja rozejmowa

zapewniała zwycięzcom komunikację tą drogą z Polską. Dowiedziałem się wtedy, że Anglia nie zgadza się dać ani jednego żołnierza na tę ekspedycję, gdy zaś wskazałem, że to może zrobić sama Francja, powiedziano mi, iż wojska francuskie i opinia francuska już tak mają dosyć wojny, że próba wysłania paru dywizji na nową wyprawę wywołałaby silny protest. Mieliśmy w tej sprawie silne poparcie marszałka Focha, który lepiej od innych położył Polskę rozumiały; pod jego niezawodnie wpływem i rząd francuski zaczął popierać nasze żądanie wysłania wojsk polskich do Gdańska, ale bezwzględny opór Anglii sprawę udaremnił. Później już, w początku konferencji pokojowej, całe jedno posiedzenie Rady Najwyższej strawiono na dyskusji w tym przedmiocie między Fochem a przedstawicielami Anglii, bez żadnego pozytywnego wyniku.

Szukając źródeł takiego zachowania się mocarstw – które miały ustanawiać nowy porządek w Europie, na których odpowiedzialności leżało urządzenie jej tak, żeby na dłuższy czas miała zapewniony pokój – można było znaleźć wiele: i niemożność u ludzi odpowiedzialnych podołania ogromowi spraw, które po zakończeniu wojny domagały się natychmiastowego załatwienia, i niezdolność objęcia całości nowej sytuacji europejskiej, i wstręt do nowych wysiłków, po kilku latach napięcia nerwów, i występujący natychmiast po wojnie antagonizm między Anglią a Francją, i pracę żywiołów, ratujących interesy niemieckie, w szczególności Żydów, i wpływy tajnych organizacji, obawiających się, żeby Polska nie popsuła w Europie harmonii rewolucyjnej i nie stała się ogniskiem „nacionalistycznej reakcji” ... Tylko nie można było znaleźć rozumu stanu i poważnej myśli o powojennej przyszłości Europy.

Żywotność naszego narodu została wystawiona na wielką próbę. Musiał on organizować swoje nowe państwo wśród otaczającego go ze wszech stron chaosu rewolucyjnego, sam zarażony w silnej mierze wpływami rewolucyjnymi, nadto w walce z sąsiadem bolszewickim, usiłującym rozszerzyć rządy „sowieców” w Europie...

Dążenia rewolucyjne burzą państwa, ale budują je dążenia narodowe. Polska musiała wykazać silne instynkty narodowe i niemałą jedność wysiłku, ażeby sprostać swemu trudnemu położeniu.

Byliśmy do spełnienia zadań, które przed nami stanęły, bardzo źle przygotowani. Prawda, że narodowy, antyrewolucyjny sposób myślenia miał w społeczeństwie ogromną przewagę, że znaczna większość narodu stała za polityką polską, za programem zjednoczenia Polski i odbudowania niezależnie od sąsiadów państwa – ale obóz narodowy w Polsce był na pewien czas silnie okaleczony. Przez ostatnich lat kilkanaście wpływ jego na młodzież ogromnie osłabł – ta młodzież zwiększała szeregi socjalistyczne lub radykalne. Stało się to z dwóch przyczyn. Przez te lat kilkanaście myśmy organizowali politykę polską, wykonywali plan budowy przyszłości Polski, zmagając się z realnymi warunkami położenia międzynarodowego. Nie psuliśmy sobie pracy wygłaszaniem szumnych frazesów, zapowiadaniem z góry wielkich wyników, których z tej pracy oczekujemy, daniem pokarmu skłonnościom niedojrzałych politycznie żywiołów, zmuszeni byliśmy tym skłonnościom się przeciwstawiać. Tego rodzaju działanie do serc młodzieży nie trafia, ona go nie rozumie. Skutkiem tego młodzież się od nas w tym okresie

oddaliła – nawet w Poznańskim znaczna jej część poszła w kierunku radykalnym. Drugą przyczyną był strajk szkolny w Królestwie Polskim, który od roku 1905 wyrzucał masy młodzieży za granicę lub za kordon, wyrwał ją spod bezpośredniego wpływu środowiska, oddawał na pastwę wpływów emigracyjnych i czynił wielu spośród niej zdobyczą tajnych organizacji, które ich wiązały na całe życie, robiły z nich narzędzia polityki niepolskiej.

To właśnie pokolenie zostało podczas wojny zaprzęzione do służby polityce niemieckiej i, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, pracowało na zgliszcza Polski w jedynej chwili, kiedy się przed nami otwały widoki wyzwolenia.

Skutkiem strat tego pokolenia, w trudnej chwili po zakończeniu wojny, w obozie narodowym ujawnił się brak sił młodszych, bojowych. W tych warunkach wypowiedzenie bezwzględnej walki dążeniom rewolucyjnym, bez widoków decydującego i rychłego zwycięstwa, pogrążyłoby kraj w anarchię, a w konsekwencji otwarło wrota do Polski „sowietom”.

Szczęściem dla Polski okazało się, że obóz rewolucyjny u nas nie tyle był przywiązany do swych rewolucyjnych ideałów, ile do władzy. Dostawszy się raz do niej, po pierwszych próbach stosowania swych zasad w rządzeniu Polską, wobec reakcji narodowej na te próby, rychło poszedł na kompromisy, byle rządów nie utracić. Tą drogą Polska osiągnęła względną jedność wysiłku w walce z bolszewicką Rosją i sprawiła zawód tym, którzy oczekiwali, że zniknie ona z powierzchni Europy, zanim traktat pokoju zdąży usankcjonować jej byt państwowy.

Polska zaczęła się organizować na sposób, na jaki ją było stać w owej chwili.

W „Królestwie 5 listopada” ostatni gabinet, powołany z przedstawicieli Koła Międzypartyjnego, wyrażającego większość opinii stojącą po stronie sprzymierzonych, w chwili przełomu wywołanego przez zakończenie wojny nie mógł podołać zadaniu. Złożony z ludzi zdolnych do pracy w spokoju, z ludzi niemających temperamentu bojowego, nierozporządzający siłami do walki z podnoszącymi głowę żywiołami rewolucyjnymi, podał się do dymisji. Rada Regencyjna również zrozumiała, że rola jej się skończyła, i zrezygnowała. Ustępując, oddała władzę dyktatorską w ręce wypuszczonego właśnie z Magdeburga i odesłanego do Polski organizatora legionów, Piłsudskiego.

Tym sposobem żywioły rewolucyjne i radykalne zostały zadowolone w głównym swym odłamie, który razem z Piłsudskim doszedł do rządów. Dyktator, przybrawszy tytuł Naczelnika Państwa, powołał gabinet socjalistyczny pod prezydencją Moraczewskiego i wkrótce zaczęto robić przygotowania do wyborów w celu ulegalizowania nowej władzy w kraju już uwolnionym od wojska niemieckiego, które dało się łatwo rozbroić, byle mu pozwolono wrócić do domu.

Galicja, wobec rozpadnięcia się Austrii, automatycznie złączyła się z Królestwem, mając we wschodniej części kraju armię ukraińską i walkę z nią o posiadanie Lwowa.

Zabór pruski, pozostając jeszcze częścią państwa niemieckiego, przygotowywał się systematycznie do odpadnięcia. W Poznaniu pod przewodnictwem socjalnego demokracji

przysłanego z Berlina utworzona została „rada żołniersko-robotnicza”. Polacy, którzy wzięli w niej udział w swoich celach, uniemożliwili wkrótce pozycję niemieckiemu socjaliście i prezesem „sowietu” został nasz od dawna towarzysz pracy, dr Celestyn Rydlewski, który planowo usuwając z tej rzekomo socjalistycznej organizacji Niemców i starając się o posiadanie jak największej liczby Polaków, uzbrojonych żołnierzy, przygotowywał siły do powstania narodowego przeciw Niemcom.

Komitet Narodowy w Paryżu, mając przed sobą konferencję pokojową, na której musiały być zdobyte granice państwa polskiego i na której jednym z warunków powodzenia było pokazanie możliwie jednolitego frontu polskiego, z drugiej zaś strony, przewidując dla kraju nieuniknioną walkę z sowiecką Rosją, postanowił za wszelką cenę nie dopuścić do wojny domowej i dążyć do zgrania wszystkich sił, które w Polsce wystąpiły na widownię, w możliwie jednolitą akcję polską. W tym celu wysłał najpierw do Warszawy Stanisława Grabskiego z instrukcją do swych politycznych przyjaciół, ażeby nie zwalczali rządów Piłsudskiego, tylko usiłowali dojść z nimi do porozumienia. Następnie zaś wyjechał do kraju Paderewski, który, jako człowiek korzystający z wielkiej popularności, a niebiorący nigdy udziału w wewnętrznych walkach partyjnych, miał widoki skupienia w jednolitej akcji ludzi najróżniejszych obozów.

Paderewski udał się na krążowniku angielskim do Gdańska, a stamtąd przede wszystkim do Poznania. Tam manifestacje na cześć jego, Komitetu Narodowego i sprzymierzeńców wywołały czynny protest Niemców; zaczęła się walka na ulicach Poznania, która stała się hasłem do powstania przeciw Niemcom w całym Poznańskim.

Tym sposobem, ta najbardziej zasłużona w walce narodowej dzielnica miała jedyną w całej Polsce piękną chwilę wyzwania się własnymi siłami w walce zbrojnej, w jedynym powstaniu polskim, które nie zakończyło się klęską.

Współdziałanie z rządami warszawskimi nie było rzeczą łatwą. Piłsudski, którego zwolennicy zadęli w głośnie trąby reklamy osobistej dla swego przywódcy i obdarzać go zaczęli hołdami, mającymi charakter nieomal wiernopoddańczy, uwierzył w swoją opatrnościową rolę, zaczął traktować siebie jako zwycięzcę. Uznał za wyzwolenie kraju akt rozbrojenia Niemców, którzy oddawali broń chłopczykom z niższych klas gimnazjalnych na ulicach Warszawy, a siebie za wskrzesiciela Polski. Obóz jego usiłował wewnątrz zorganizować wyłączne rządy swoich, rządy socjalistyczne, na zewnątrz zaś wystąpić jako jedyna władza mająca prawo do reprezentowania Polski. To było niebezpieczne, bo ani Polska nie wytrzymałaby długo eksperymentów rządowych w stylu Moraczewskiego, ani obrona przeciw inwazji sowieckiej nie byłaby pewna, gdyby oddana została wyłącznie zwolennikom Piłsudskiego, wśród których zresztą nie brakowało ludzi grawitujących ku komunizmowi. Co zaś do ostatecznego załatwienia kwestii polskiej na terenie międzynarodowym, kwestii granic państwa przede wszystkim, to cała nasza praca podczas wojny zostałaby zmarnowana, gdyby Piłsudski i obóz stojący za nim dostali wpływ na te sprawy. Znaliśmy dobrze ich niechętny stosunek do ziem zaboru pruskiego, ich gotowość oddania Ukraincom większej części Galicji Wschodniej, wreszcie ich

niedorzeczne pomysły federacyjne na wschodzie. Gotowi byliby zrealizować Polskę 5 listopada 1916 roku, powiększoną o zachodnią Galicję.

Tymczasem fakt, że rządy w Warszawie łatwo wpadły w ich ręce, tak im zawrócił w głowach, że im się wydało, iż są panami całej Polski i że kierowanie jej losami do nich już wyłącznie należy. Myśleli nawet o usunięciu z widowni Komitetu Narodowego w Paryżu, nie zadając sobie znów pytania, jak sprawa polska na tym wyjdzie.

W parę tygodni po rozejmie marszałek Foch pokazał mi radio od Piłsudskiego, żądające wysłania armii polskiej z Francji do kraju pod jego rozkazy.

– Co mam na to odpowiedzieć? – zapytał marszałek. – Przecież ta sprawa należy przede wszystkim do Komitetu Narodowego...

Myśmy walczyli o to, żeby nam pozwolono wysłać wojsko przez Gdańsk do Polski, wojsko, nad którym władzę polityczną Komitetu uznali sprzymierzeńcy, ale Naczelnik Państwa z Warszawy zwracał się o to wojsko tak, jak gdyby władza nad nim należała do państw obcych.

W następstwie wyjechała za granicę specjalna misja w celu notyfikowania głowom państw zachodnich objęcia stanowiska Naczelnika Państwa Polskiego przez Józefa Piłsudskiego.

Po pewnych trudnościach paszportowych, które ją zatrzymały w Szwajcarii, misja ta nareszcie dostała się do Paryża i zgłosiła się o audiencję u prezydenta Rzeczypospolitej. Z polecenia ministra spraw zagranicznych odpowiedziano jej, że Polskę reprezentuje w Paryżu Komitet Narodowy i że audiencję mogą otrzymać tylko te osoby z Polski, dla których Komitet o nią poprosi. Po tej odpowiedzi misja parę dni się namyślała, wreszcie zgłosiła się do Komitetu.

Zapytaliśmy ich, co ma być celem audiencji u prezydenta, której żądają. Gdy powiedzieli, że chcą notyfikować objęcie władzy przez Piłsudskiego, zwróciliśmy im uwagę, że to jest niemożliwe. Według przyjętych zwyczajów tylko monarchowie, wstępując na tron, notyfikują to przez osobne misje i nie można Polski ośmieszać tą niewłaściwą ceremonią; wystarczy zupełnie zawiadomienie rządów państw sprzymierzonych przez Komitet Narodowy. Dosyć trudno było przekonać członków misji, że wyprawa ich nie ma sensu.

Próba zamachu stanu w Warszawie, która Polskę trochę ośmieszyła – bawiło niezmiernie ludzi politycznych to przedstawienie, w którym ministrowie byli poaresztowani, potem wypuszczeni, a w którym wszystko się odbyło bez krwi przelewu i bez pociągnięcia kogokolwiek do odpowiedzialności – wykazała, że jeżeli słabe w działaniu były żywioły niezadowolone z rządu, to nie mniej słabi byli stojący przy rządzie razem z Piłsudskim. W takim położeniu najlepiej nie walczyć, ale się pogodzić. Tak się też stało. Miejsce Moraczewskiego zajął gabinet Paderewskiego. Polska, mając Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa, dostała premiera – członka Komitetu Narodowego i tym sposobem wytworzył się względnie normalny stosunek do państw zwycięskich, konieczny wobec nadchodzącej konferencji pokojowej.

Tymczasem na Zachodzie szła kampania przeciw Polsce ze strony Żydów. W prasie zaczęły się ukazywać najpotworniejsze wieści o pogromach Żydów w Polsce, o barbarzyńskim znęcaniu się nad nieszczęśliwymi itd. Komitet Narodowy był w trudnym położeniu, bo nie posiadał tak szybkiej komunikacji z krajem, ażeby móc każdy fałsz dokładnie prostować. Przy środkach propagandy, które posiadają Żydzi, zaczęto wytwarzać sztucznie atmosferę oburzenia na naród, który dla siebie woła o wolność, a innych dziko prześladuje. Doszło do tego, że rząd angielski wystosował notę do Komitetu Narodowego z remonstracjami. Na podstawie otrzymanych z kraju wiadomości odpowiedzieliśmy na tę notę, iż nie można zaprzeczyć, że zaszły w Polsce wypadki, w których ucierpieli Żydzi, że wszakże rozruchy były skierowane czy to przeciw handlarzom ukrywającym żywność, czy przeciw manifestującym bolszewikom; jeżeli tymi handlarzami i tymi bolszewikami okazali się Żydzi, to już ich wina. W każdym razie władze polskie starają się do żadnych rozruchów nie dopuszczać.

Znamienne było, że na pogromy robione przez Rusinów, na rozruchy przeciw Żydom w Czechach i na Węgrzech „humanitarna” prasa nie reagowała.

Ataki przychodziły czasem z całkiem nieoczekiwanej strony. Zdarzyło mi się być na obiedzie wojskowym francusko-polskim, na którym przemawiał p. Władysław Mickiewicz, syn nieśmiertelnego Adama, uskarżając się na nacjonalizm polski, który urządza pogromy żydowskie. Uczułem się tym wybrykiem zmuszony do zabrania głosu i zwróciłem się do obecnych Francuzów:

– Właśnie, proszę panów, otrzymałem wiadomość o nowym „pogromie” w Polsce. W Kielcach paruset młodych Żydów, wyszedłszy z kinematografu, ciągnęło przez ulice z okrzykami: „Niech żyje Lenin! Niech żyje Trocki! Precz z Polską!”. Tłum się rzucił na nich i padły ofiary. Co by panowie zrobili, gdyby w którym mieście francuskim ukazała się na ulicach banda z podobnymi okrzykami, wołająca: „Precz z Francją!”?

– To samo – odpowiedzieli jednogłośnie obecni.

Niepowołany oskarżyciel Polski dostał naukę.

Muszę zauważyć, że pierwszym kanałem, przez który wieści o pogromach szły na Zachód, była prasa niemiecka.

Był to jeden z punktów współdziałania niemiecko-żydowskiego po wojnie.

Tym pierwszym chwilom samorządnego jednoczenia się Polski i powstawania państwa należałoby więcej poświęcić miejsca. Jeżeli tak krótko o nich piszę, to jedynie dlatego, że znajdowałem się wówczas z dala od kraju i, mając na swej odpowiedzialności sprawę polską na konferencji pokojowej, nie mogłem wypadkom w Polsce poświęcać tyle, ile bym pragnął, uwagi. Stąd mniej od innych jestem powołany do pisania o nich.

Wiele momentów w tym, co się działo naówczas we wszystkich trzech zaborach, wymaga oświetlenia. Mnie osobiście, a może nie tylko mnie, najmniej jest znane to, co się działo w zaborze austriackim, a są to rzeczy wielkiej wagi, zarówno gdy chodzi o walkę z Ukraińcami na wschodzie, jak i organizowanie się porządku polskiego na zachodzie, w

Krakowie. Znamienną jest rzeczą, iż żywiły rewolucyjne, które w Krakowie miały swą główną siedzibę, nie tam robiły eksperyment socjalistycznej republiki, tylko w Lublinie. Społeczeństwo polskie w Galicji wykazało o wiele więcej instynktu narodowego i świadomości swoich zadań, niż to można było sądzić z pozorów w pewnych momentach wojny.

Wielką rolę w wypadkach galicyjskich, w pokierowaniu nimi tak, jak nakazywała miłość Polski i rozum polityczny, odegrał nieżyjący już Aleksander Skarbek.

Zaczynając od rozwiązania legionu wschodnio-galicyjskiego w początku wojny, a kończąc na organizacji polskich władz w Krakowie w chwili rozpadania się Austrii i na walce o Lwów, wszędzie występuje przede wszystkim wola i czyn tego człowieka wielkiego naprawdę charakteru i rzadkiego w dzisiejszej dobie męstwa.

III. POCZĄTKI KONFERENCJI POKOJOWEJ

W Paryżu czyniono przygotowania do otwarcia konferencji pokojowej. W porozumieniach między mocarstwami ustalono liczby delegatów państw wielkich i mniejszych. Ogólna liczba uczestników zapowiadała się ogromna, wobec tego, że imperium brytyjskie, prócz pięciu delegatów angielskich, postanowiło mieć po dwóch z każdego ze swych wielkich dominiów i że nawet drobne republiki amerykańskie, jak Kuba, Gwatemala, Panama, które po wystąpieniu Stanów Zjednoczonych wypowiedziały wojnę Niemcom, ale żadnej w wojnie roli nie odegrały, na żądanie Wilsona miały być także reprezentowane. Polsce przyznano dwóch delegatów.

Tymczasem odbywał się szereg uroczystości: przyjęcia w Paryżu monarchów z państw sprzymierzonych, króla angielskiego, włoskiego, królewskiej pary belgijskiej, królowej rumuńskiej, wreszcie prezydenta Wilsona; podróż prezydenta Poincarégo w towarzystwie rządu Izby, Senatu i przedstawicieli państw sprzymierzonych do Alzacji i Lotaryngii dla objęcia w posiadanie tych odzyskanych prowincji. Wszystko odbywało się składnie, logicznie, pięknie, jak to tylko Francuzi umieją urządzać. Wśród tych obiadów, śniadań, w Pałacu Elizejskim, na Quai d'Orsay, w ambasadach, przyjęć w paryskim Hôtel de Ville, przesuwiał się świat polityczny państw sprzymierzonych, odświeżały się znajomości i nawiązywały nowe, przygotowywała się współpraca i walka na konferencji. I myśmy korzystali z tego okresu dla dalszego przygotowania sobie gruntu do ciężkiej walki, która nas czekała.

Na krótko przed otwarciem konferencji rząd francuski zwrócił się do Komitetu Narodowego o mianowanie dwóch delegatów polskich. Komitet mianował na razie tylko jednego, mnie, zawiadamiając, że nominacja drugiego delegata nastąpi później w porozumieniu z rządem warszawskim. Tym sposobem zarezerwowaliśmy drugie miejsce dla Paderewskiego, którego obowiązki zatrzymywały w Warszawie. Sekretarzem delegacji polskiej mianowany został członek Komitetu, Stanisław Kozicki.

Gdy prezydent Poincaré, otwierając konferencję pokojową, wyliczał tytuły każdego z państw do udziału w konferencji, jego zasługi dla wspólnej sprawy sprzymierzonych, zapytywałem siebie, co powie o Polsce. Istotnie, gdy się myślało o czynach głośnych, to można było raczej wyliczać, co Polska zrobiła przeciw sprawie sprzymierzeńców i co jej daje tytuł do tego, żeby stanęła w szeregu zwyciężonych... Gdy przyszła kolej na Polskę, Poincaré powiedział, że pospieszyła ze swoją armią na pomoc Francji na froncie zachodnim. Niech mu Bóg da zdrowie, pomyślałem sobie, ale wstyd mi było, że taki skromny, właściwie formalny tylko przyczynek mamy do wylegitymowania się z naszego udziału w zwycięstwie. Zapytywałem siebie, czy tej słabej naszej legitymacji, przeciw której stoją nadto legiony Piłsudskiego, deklaracje Rady Stanu i Rady Regencyjnej, próby organizowania armii polskiej dla Niemców itp., nie będą wyczyszczeni przeciwnicy na konferencji dla odmówienia nam prawa do stawiania żądań. Istotnie, Lloyd George wszedł później na tę drogę: zapytywał, co Polacy zrobili dla zwycięstwa,

żeby stawiać tak daleko idące żądania, wskazywał, że działali raczej przeciw sprzymierzonym.

Jestem przekonany, że nasze, z taką trudnością utrzymywane stanowisko względem Rosji w pierwszym okresie wojny stokroć więcej pomogło sprawie sprzymierzonych, niż jej zaszkodziła cała hałaśliwa akcja naszych austrofilów i aktywistów. To wszakże można było wykazać tylko ludziom myślącym, gdy po tamtej stronie były fakty, łatwe do zrozumienia dla każdego.

Rozumiałem to dobrze, że wobec naszej przeszłości w czasie wojny, wobec głośnej reklamy, którą robiła swej polityce orientacja austriacka i aktywiści, położenie nasze na konferencji jest bardzo delikatne. Musimy uparcie dążyć do urzeczywistnienia swego programu, ale ton musimy przybrać skromny, żeby się nie narazić na przypominanie nam wszystkiego, co robiono ze strony polskiej przeciw sprzymierzeńcom. Trzeba było cierpliwością, zaparciem się siebie naprawiać zło, któremuśmy nie umieli w Polsce przeszkodzić. Nie powiem, żeby mi ta rola smakowała; wolałbym z podniesionym czołem iść śmiało przed siebie, mocno żądać tego, co się nam należy, powołując się na czyny polskie, które ułatwiły zwycięstwo. Jeżeli mi kto zazdrościł zaszczytu reprezentowania Polski na konferencji pokojowej, to nie miał czego. Trzeba było mego dużego zdrowia do spełnienia tego obowiązku, a i ono w końcu nie wystarczyło...

Właściwą konferencją pokojową stanowiła Rada Najwyższa, złożona z przedstawicieli pięciu wielkich mocarstw: Francji, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Z początku było ich po dwóch, na ogół premierzy i ministrowie spraw zagranicznych, i zwano ją Radą Dziesięciu. Potem zamieniła się w Radę Pięciu, Lloyd George bowiem – którego pozycja robiła się coraz mocniejsza, a który chciał zarówno sam się usunąć spod kontroli *Foreign Office*, jak i w innych mocarstwach nie mieć do czynienia z ludźmi gruntowniej znającymi sprawy międzynarodowe – zrobił ją radą samych premierów z prezydentem Wilsonem, pod pozorem, że większe grono nie zapewnia należytej tajemnicy obrad i szybkości decyzji. Smutne to było świadectwo polityczne dla mocarstw, że się na podobne horrendum zgodzono. Był to pierwszy wielki kongres państw demokratycznych. Na każdym z poprzednich kongresów jednostki nie miały pozostawionej sobie takiej niekontrolowanej decyzji o losach narodów. Nie mieli tego nawet autokratyczni monarchowie. Czyżby z tego należało wywnioskować, że demokracja prowadzi do autokracji demagogów?...

Posiedzenia plenarne konferencji nie miały właściwie znaczenia. Odbyło ich się zaledwie parę. Na jednym z nich Wilson wniósł swój projekt Ligi Narodów. Wszystkie decyzje zapadały w Radzie Najwyższej, bez komunikowania ich na plenum konferencji. Było to zresztą całkiem logiczne, gdyż: po pierwsze – przy takim tłumnym składzie konferencji i przy udziale w niej państw dalekich od sprawy, o których na niej decydowano, nie można było wymagać od pewnej części uczestników posiedzeń plenarnych, ażeby nawet rozumieli, o co chodzi; po wtóre – wielkie mocarstwa prowadziły wojnę, one swymi wysiłkami ją wygrały i słusznie, że do nich należała decyzja. Powiedział to na posiedzeniu plenarnym prezes konferencji, Clemenceau, w odpowiedzi

delegatowi jednej z republik amerykańskich, który wyraził swe niezadowolenie z tego, że wielkie mocarstwa same o wszystkim decydują.

Państwa mniejsze miały udział w komisjach, z wyjątkiem komisji terytorialnej, złożonej wyłącznie z przedstawicieli wielkich mocarstw.

Przy obsadzaniu komisji ekonomicznej, finansowej itd., Rada Najwyższa wpadła na dziwny pomysł. Mianowicie przeznaczywszy po pięć miejsc w każdej z najgłówniejszych komisji dla państw większych, postanowiła ona, żeby wyboru państw, które mają brać udział w tej lub innej komisji, dokonano na ogólnym zebraniu delegatów państw mniejszych. Gdy takie zebranie zwołano pod przewodnictwem Cambona, zwróciłem uwagę, że procedura ta jest całkiem niewłaściwa, że wybierać przedstawicielstwo spośród siebie mogliby tylko ci, których łączy jakakolwiek wspólnota interesów; fakt zaś, że dane państwa zaliczają się do państw mniejszych, nie wytwarza między nimi żadnej łączności. Uważałem, że już logiczniej będzie, jeżeli Rada Najwyższa sama zdecyduje, które z mniejszych państw są powołane do udziału w tej lub innej komisji. Przewodniczący odpowiedział mi, że musi wykonać postanowienia Rady Najwyższej i wyboru dokonano.

Wynik wyboru do najważniejszych komisji najlepiej wykazał niedorzeczność takiej procedury. Delegaci republik Ameryki Środkowej i Południowej zmówili się z Portugalczykami i obsadzili komisje swoimi ludźmi, zbojkotowawszy mniejsze państwa europejskie. Wobec takiego skandalu Rada Najwyższa wybór skasowała i sama wyznaczyła powołane do udziału w owych komisjach państwa, między którymi znalazła się i Polska.

Zaraz na początku konferencji Rada Najwyższa zadokumentowała swe zainteresowanie się położeniem naszego kraju przez wysłanie do niego misji międzysojuszniczej pod przewodnictwem senatora Noulensa, dawniejszego ambasadora francuskiego w Petersburgu.

Polska zmagiała się ze swym trudnym położeniem zewnętrznym, w którym nie najłatwiejszą rzeczą była walka z utworzoną przez Austriaków armią ukraińską w Galicji Wschodniej. Walkę tę prowadzono siłami ochotniczymi, w głównej masie miejscowymi; rząd warszawski nie miał wojska do rozporządzenia i nie miał serca do walki o ziemię, której chętnie się zrzekał. Obok tego, co najważniejsze, wisiąca w powietrzu wojna z bolszewicką Rosją.

Domagaliśmy się uporczywie wysłania z Francji do Gdańska armii polskiej, która byłaby zbawieniem dla nowego państwa w jego niebezpiecznym położeniu. Domagaliśmy się bez skutku – Polsce nie dawano skorzystać z siły zbrojnej, którą posiadała na Zachodzie. Natomiast ofiarowano jej pokrzepienie moralne przez wysłanie politycznej misji międzysojuszniczej.

Przypominała się legenda grecka, w której Sparta w ciężkich opałach prosi o pomoc zbrojną Ateńczyków. Wysłaniec ateński powiada Spartanom, że wojska nie dostaną:

*A najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie siostrze
Śle mnie, poetę Tyrteusza...*

Wysłanie misji nie dało, co prawda, tak wielkich wyników, jak wyprawa Tyrteusza; niemniej była ona pożyteczna, przede wszystkim przez to, że ujawniła istotne usposobienie polityczne społeczeństwa polskiego – przez nią alianci dowiedzieli się, co to jest powojenna Polska.

Pierwszym zadaniem misji, jeszcze przed wyjazdem z Paryża, było załagodzenie sporu między dwoma sojusznikami, Polakami i Czechami, o Cieszyn. Chodziło o uniknięcie walki zbrojnej na miejscu, na którą się zanosilo i która mogła fatalnie oddziaływać na losy zarówno sprawy polskiej, jak czeskiej na konferencji, wywołując pesymizm co do możliwości osiągnięcia pokoju przez wykonanie stojącego na porządku dziennym programu przebudowy środkowej Europy.

Z wielkim trudem udało się doprowadzić do ustanowienia tymczasowej linii demarkacyjnej między dwiema okupacjami spornego obszaru, pomimo że, w poczuciu ważności pokoju między dwoma narodami w czasie konferencji, staraliśmy się ułatwić zadanie komisji. Czesi, mianowicie mój dawny przyjaciel polityczny Kramarz, występowali bardzo namiętnie, wywołując nawet nieprzyjemne dla siebie uwagi ze strony przedstawicieli mocarstw.

– Jak to – wołał Kramarz – więc my, którzyśmy tyle zrobili dla sprawy aliantów podczas wojny, tak jesteśmy dziś traktowani?...

– Może pan przyzna – zauważył Sir Esme Howard – że i alianci cośkolwiek dla was zrobili...

IV. SPRAWA POLSKA NA KONFERENCJI

Głównym i najpilniejszym zadaniem konferencji było przygotowanie traktatu pokoju z Niemcami. To wymagało rozstrzygnięcia kwestii polskiej w najważniejszym jej punkcie – wykreślenia granicy niemiecko-polskiej. Pojęcie granicy między Polską a Niemcami ściśle zależało od całego pojęcia państwa polskiego i jego przyszłej roli.

Myśląc uczciwie i logicznie, dążąc istotnie do położenia trwałych podstaw pokoju na przyszłość, opartego na względnej chociażby równowadze sił w Europie – bo opieranie go na czym innym jest mrzonką lub szalbierstwem – należało tworzyć takie państwo polskie, które by miało wszelkie warunki zewnętrzne niezawisłości od sąsiadów, bo wewnętrzne od samych już Polaków zależały. A w takim razie należało całkowicie przeprowadzić program delegacji polskiej, program Komitetu Narodowego.

Jeżeli politycy mocarstw zwycięskich, przytłoczeni ogromem zagadnień, które stały przed nimi w tej wojnie, nie przemyśleli tej sprawy gruntownie, to jednak w ogólnych zarysach przedstawiała im się ona mniej więcej w naszym sensie. Czasami myśl ich nie miała odwagi iść w konsekwencjach do końca, ale na ogół zajmowali stanowisko sprzyjające naszym dążeniom.

Trzeba to powiedzieć przede wszystkim o Francji, której sprawa w stosunku do Niemiec ściśle się wiązała z naszą. Przyjazne było również stanowisko Włoch – zmieniło się ono dopiero znacznie później, kiedy wzięła tam górę polityka popierania interesów niemieckich. Na poparcie prezydenta Wilsona, jakkolwiek pochodzące z innych motywów, również można było liczyć. Co do Anglii to, dopóki jej polityką kierował *Foreign Office* z Balfourem na czele, program nasz stał wcale mocno. Ale z tamtej strony groził wzrost wpływu Lloyda George'a, a tym samym daleko idące uzależnienie polityki angielskiej od Żydów. Japonia nie miała swej polityki w sprawach europejskich – delegacja jej postawiła sobie za zadanie popierać we wszystkim Anglię.

Zauważę w nawiasie, iż bodajże cała polityka japońska na konferencji pokojowej była chybiona, skutkiem tego, iż japońscy mężowie stanu zanadto myśleli o zaspokojeniu opinii publicznej swego kraju. Opinia ta głównie się roznamiętniała sprawą równouprawnienia Japończyków za granicą z innymi narodami – chodziło tu o ich położenie prawne w Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii. Sprawa ta z punktu widzenia mocarstwowych interesów Japonii nie miała tak wielkiej wagi, jeżeli chodzi o honor narodowy, to także ją fałszywie rozumiano. Ograniczenia stosowane do Chińczyków i Japończyków w Ameryce nie pochodziły stąd, żeby ich uważano za niską rasę – bo bardzo niskie rasy korzystają tam z równości przed prawem – tylko stąd, że obawiają się ich tam jako synów starych, mocno scementowanych społeczeństw, którzy nie poddają się asymilacji i związani są z sobą mocną solidarnością, nawet wtedy, gdy od kilku pokoleń rodzą się poza granicami swej ojczyzny. Otóż delegacja japońska, zdaje się, liczyła na to, że wobec wielkich hasel wilsonowskich, przy poparciu Anglii, uda jej się osiągnąć zniesienie raz na zawsze tych ograniczeń. Dla tego, nie tak znów ważnego celu poświęciła ona swą samodzielność na konferencji. Tymczasem Wilson, przy całej swej

pryncypialności, w tej sprawie był twardy. Anglia zaś, gdyby chciała Japończyków szczerze poprzeć, wywołałaby burzę w Australii i w Kanadzie, gdzie ich się tak samo boją jak w Stanach Zjednoczonych, i naderwałaby węzły łączące w całość brytyjskie imperium. Cel okazał się chimera, pogoń zaś za nim uniemożliwiła Japonii wyzyskanie i umocnienie swego stanowiska mocarstwowego na konferencji i osiągnięcie tych zysków, jakie osiągnąć mogła.

Dwie okoliczności w pierwszym okresie konferencji były dla nas pomyślne.

Po pierwsze, międzynarodowe żydostwo widocznie dużo czasu potrzebowało, żeby się z sobą porozumieć i ustalić program zakulisowego działania na konferencji pokojowej. Musiało ono niezawodnie dostosować ten program do paktu zawartego, jak powiadano, w loży na Dorotheen Strasse, a nadto załagodzić rozmaite współzawodnictwa, wśród których najważniejsza bodaj była walka między Żydami angielskimi a amerykańskimi o rolę przewodnią w Palestynie, wygrana, jak się okazało, przez Żydów angielskich. Tak czy owak, cichy podczas konferencji, a później głośno otrębujący swe zasługi komitet żydowski ściągnął do Paryża dopiero, zdaje się, na wiosnę. W pierwszych więc miesiącach konferencji powietrze w Paryżu było względnie czyste, nie tak zatrute intrygami.

Po drugie, główny rzecznik polityki żydowskiej na konferencji, Lloyd George, musiał po zakończeniu wojny zająć się przede wszystkim umocnieniem swej władzy w Anglii, przeprowadzić wybory, zwyciężyć, a następnie zapanować nad starą, mocnymi tradycjami stojącą organizacją *Foreign Office*, odebrać jej kierownictwo spraw na konferencji.

Wybory przeprowadził genialnie. obrońca najmniej zasługujących na obronę interesów kapitalistycznych pociągnął otumanionych socjalizmem robotników, rzucając im zapowiedź sądu międzynarodowego nad Wilhelmem. Dziwnie, co prawda, wyglądał szef rządu Wielkiej Brytanii, rzucający skrajnie rewolucyjne hasło odpowiedzialności głowy państwa przed jakimś forum międzynarodowym, jeszcze dziwniej minister króla angielskiego, stawiający królów przed trybunał... Hasło to demoralizowało masy angielskie, podkopywało zasady, na których stoi Anglia jako państwo, ale interesom, których bronił Lloyd George, nic nie szkodziło. Z jego stanowiska nic ono nie kosztowało, tym bardziej iż ten sam Lloyd George z równie głębokim przekonaniem później dowodził, że taki sąd nad Wilhelmem jest niemożliwy. Ale wybory zostały wygrane. Ramsay MacDonald musiał jeszcze kilka lat czekać na swoją kolej.

Później, w roku 1920, kiedy byłem przez długą chorobę usunięty z konferencji, stałem z dala od spraw politycznych, znalazłem się w gronie poważnych Anglików, którzy narzekali na brak ludzi mocnych zasad w polityce.

– No – powiedziałem – wy przecież nie możecie się skarżyć. Nie widziałem człowieka mocniejszych zasad jak wasz premier.

Anglicy spojrzeli na mnie zdziwieni. Jeden z nich, admirał floty brytyjskiej, tak wyglądał, jakby chciał się rzucić na mnie.

– Prawda – dodałem – że zasady jego są co dzień inne, ale zawsze są mocne.

Wtedy przyznali mi słusność.

Praca nad wzięciem dyktatury w Anglii i nad usunięciem *Foreign Office* na plan drugi widocznie dużo mu zajęła czasu, bo w pierwszych miesiącach konferencji Lloyd George zbyt się nie zaznaczał. A może nie miał jeszcze dokładnych instrukcji od Żydów, którzy nie zdążyli dojść z sobą do porozumienia.

Na dzień 29 stycznia 1919 roku delegacja polska wezwana została na posiedzenie Rady Najwyższej (wówczas Rady Dziesięciu). Z Quai d'Orsay doradzono mi, ażebyśmy przyszli we dwóch, z Piltzem, wobec tego, że nie ma jeszcze drugiego delegata polskiego. Nie zawiadomiono nas, co będzie na porządku dziennym – trzeba było być przygotowanym na wszystko.

Gdyśmy weszli na salę, zastaliśmy wszystkich członków Rady z wyjątkiem Lloyd George'a. I tym razem nawet, pomyślałem sobie, nie udaje mi się go spotkać. Poza tym w sali było mnóstwo obecnych: sekretarze delegacji każdego z pięciu mocarstw, tłumacze, eksperci, członkowie komisji terytorialnej. Istotnie nie były to posiedzenia bardzo zamknięte.

Gdyśmy, po przywitaniu się z członkami Rady, zasiedli, Clemenceau swym rąbiącym głosem otworzył posiedzenie i rzekł krótko:

– Panie Dmowski, ma pan głos.

Zdziwiony tym udzieleniem mi głosu bez powiedzenia słowa o porządku dziennym – zapytałem, w jakim przedmiocie mam mówić.

– Niech pan mówi o kwestii polskiej.

Tu znów zauważyłem, że chciałbym mieć bliższe wyjaśnienie co do tego, jaki punkt kwestii polskiej znajduje się na porządku dziennym. Wtedy zabrał głos Wilson:

– Myśmy postanowili p. Dmowskiego poprosić, ażeby nam przedstawił obecne położenie Polski i wskazał, czym jej możemy pomóc.

Nareszcie dowiedziałem się, po co mnie wezwano.

Zacząłem więc od dwóch artykułów konwencji rozejmowej, dotyczących Polski i wykazałem, że artykuły te pozostają dotychczas martwą literą, że wykonanie ich, tj. ustalenie komunikacji z Polską przez Gdańsk, przesłanie tą drogą armii polskiej i opróżnienie ziem wschodnich z wojsk niemieckich, jest nagłą koniecznością. Na poparcie tego dałem obraz położenia Polski we wszystkich trzech dotychczasowych zaborach i polskich wysiłków ku zorganizowaniu państwa. Unikałem wspomnienia o walce wewnętrznej w Polsce, co było dosyć trudne wobec istnienia rządów socjalistycznych w Warszawie. Załatwiłem się z nimi dowcipem.

– Jesteśmy – powiedziałem – otoczeni ze wszystkich stron przez rewolucje: rosyjską, węgierską, niemiecką. Nie mamy zaś armii. Zrobiliśmy więc z konieczności to, co

w przyrodzie robią zwierzęta słabe, pozbawione kłów i pazurów: przybraliśmy zabarwienie ochronne.

To wytłumaczenie zrobiło nawet spory efekt.

Mówiłem po francusku. Po jakichś dziesięciu minutach mego przemówienia Clemenceau przerwał, zwracając się do tłumacza o przełożenie mych słów na język angielski. Wtedy zapytałem, czy mogę sam przetłumaczyć⁶². Mówiłem na przemian w dwóch językach, tłumacząc bądź z francuskiego na angielski, bądź odwrotnie, co sprawiło, że przemówienie moje trwało podwójną ilość czasu⁶³.

Na kilka dni przed tym posiedzeniem Rada Najwyższa wydała odezwę wzywającą Polaków i Niemców w Poznańskim do zaprzestania walki zbrojnej. Podałem krytykę tę odezwę, wykazując, że stosunek Polaków i Niemców do Rady Najwyższej nie jest jednakowy, że kiedy Polacy będą sobie uważali za obowiązek jej usłuchać, Niemcy mogą dalej wojować i tym sposobem odezwa będzie zabójcza w skutkach dla Polaków. Jeżeli Rada Najwyższa zajęła to stanowisko, że walka musi ustać, to nie wystarczy wydać odezwę, ale trzeba narzucić rozejm, wysłać komisję, która ustanowi linię demarkacyjną między walczącymi stronami.

Na szczęście propozycja moja została przyjęta i rozejm pod naciskiem sprzymierzonych stał się faktem.

Gdy się zbliżał ku końcowi mego przemówienia, Clemenceau zapytał mnie, czy gotów jestem w dalszym ciągu przedstawić żądania terytorialne Polski. Skwapliwie się na to zgodziłem, choć widziałem, że niektórzy z członków Rady niechętnie przyjęli tę inicjatywę przewodniczącego. Niezwłocznie przeszedłem do wykładu i uzasadnienia programu granic Polski.

Po krótkiej przerwie na śniadanie, Rada Najwyższa schodziła się na dalszy ciąg posiedzenia. Rozmawialiśmy z Balfourem, stojąc w sali, gdy nareszcie ukazał się Lloyd

⁶² Przedtem na posiedzeniu plenarnym konferencji, na którym Wilson wniósł swój projekt Ligi Narodów, zabrałem był głos, ażeby z kolei powitać ten projekt w imieniu Polski. W przemówieniu moim znalazły się słowa: „Kraj mój leży w tej części Europy, w której największe niebezpieczeństwa zagrażają przyszłemu pokojowi”. Mówiłem tylko po francusku. Otóż generalny tłumacz konferencji, p. Mantoux (Żyd), bardzo zresztą zdolny człowiek i znakomicie władający obu językami, przełożył te słowa na angielski: „Kraj mój przedstawia największe niebezpieczeństwo dla przyszłego pokoju”. Jak to widać, sens nieco zmieniony. Chcąc więc uniknąć na przyszłość potrzeby prostowania tłumacza, postanowiłem sam przemawiać w obu językach. My, Polacy, nie mieliśmy szczęścia nawet do tłumaczy...

⁶³ Wobec tego, ekspert amerykański, prof. Isaiah Bowman, który mi przycina w książce House'a o konferencji pokojowej, że mówił aż pięć godzin, powinien był powiedzieć, że tylko dwie i pół, co jest bardzo mało dla przemówienia, w którym przedstawione zostało położenie Polski po wojnie, a następnie wyłożony cały polski program terytorialny. Kto jak kto, ale profesor powinien był to zrozumieć.

George. Gdy przechodził koło nas, Balfour go zatrzymał, zmuszając tym do przywitania się z nami, i zaczął mówić o moim *exposé*.

Premier jednak wykręcił się na pięcie i poszedł dalej.

Po otwarciu posiedzenia ciągnąłem dalej przemówienie o granicach Polski, popierając swe argumenty mapami. Pamiętam, jak szeroko otworzył oczy Wilson, gdy położył przed nim niemiecką mapę zaboru pruskiego, przedstawiającą zdobycze Komisji Kolonizacyjnej, ze słowami:

– Jak to wygląda, panie prezydencie, z punktu widzenia pańskich zasad?...

W ogóle w przemówieniu swoim najwięcej robiłem wysiłku w kierunku Wilsona, wiedząc, jak silnie pracują u niego wrogię nam wpływy.

Kolega mój, Piltz, który go bacznie obserwował, powiedział mi potem, że choć niechętnie przyjął wszczęcie sprawy polskich żądań terytorialnych, później słuchał bardzo sympatycznie, często przytakując ruchami głowy.

W jednym miejscu paru moich dostojnych słuchaczy się namarszczyło, mianowicie, kiedy przedstawiając sprawę Pomorza i Prus Wschodnich, powiedział:

– Kwestia niemiecko-polska nad Bałtykiem została przez historię tak zawikłana, że nie można jej dziś rozstrzygnąć bez niczyjej krzywdy. Albo dwumilionowa blisko wyspa niemiecka w Prusach Wschodnich będzie odcięta od swej ojczyzny niemieckiej, co sobie będzie uważała za krzywdę; albo sięgająca brzegu morskiego ludność polska w Prusach Zachodnich będzie wystawiona na zagładę, a z nią cały dwudziestopięciomilionowy naród polski – na niemożność stworzenia prawdziwie niezawisłego państwa i w konsekwencji na zalew niemiecki. A to będzie krzywda, z którą tamta nie może się mierzyć. Co prawda są ludzie, którzy gdy mają do wyboru między krzywdą polską a niemiecką, wolą, żeby się stała krzywda Polakom: oni tak długo już byli krzywdzeni, że się mieli czas do tego przyzwyczaić...

Gdym skończył swoje *exposé*⁶⁴, Clemenceau zwrócił się do Piltza z zapytaniem, czy nie chce czego dodać. Towarzysz mój oświadczył, że przyłącza się całkowicie do tego, com powiedział.

Po zamknięciu posiedzenia Clemenceau, żegnając się ze mną, powiedział:

– Pańskie *exposé* było znakomite, ale w kwestii cieszyńskiej nie ma pan słuszności.

Potwierdziło mi to tylko, co wiedziałem od dawna, że jedyna kwestia terytorialna, w której będziemy musieli walczyć z Francją – to Cieszyn.

⁶⁴ Nie mam możliwości załączenia tu tego *exposé* jako dokumentu. Wygłosiłem je w takich warunkach, że byłem zmuszony je improwizować, a stenografów na posiedzenia Rady nie dopuszczano. Dostałem potem streszczenia, zrobione przez sekretariaty delegacji francuskiej i angielskiej, ale były one bardzo niezadowolające.

Po tym posiedzeniu prezydium konferencji poleciło komisji terytorialnej zająć się wytknięciem granic Polski, przede wszystkim zachodnich, prezes zaś komisji, Jules Cambon, zażądał od naszej delegacji not w sprawie granic: najpierw zachodniej, a następnie i wschodniej⁶⁵.

Zaczęła się teraz praca z komisją terytorialną, której prezesem był, jak wspominałem, Jules Cambon, były ambasador francuski w Berlinie, wiceprezesem zaś specjalista geograf, generał Le Rond. Ten przeważnie prowadził posiedzenia w komisji. Ze strony francuskiej zasiadał w niej nadto baron Degrand, podczas wojny referent spraw polskich na Quai d'Orsay. Przedstawicielem Anglii w komisji był Sir William Tyrrell; Włoch – margrabia delia Torretta (późniejszy minister spraw zagranicznych), Ameryki – prof. Lord.

Tymczasem po otwarciu komunikacji z krajem, przez Szwajcarię, Austrię i Czechosłowację, zaczął się okres bliższych z nim stosunków. Przychodziły listy i przyjeżdżali ludzie.

W tym czasie nastąpiło porozumienie między Paderewskim a Piłsudskim, mocą którego Paderewski został prezesem Rady Ministrów. Jednym z warunków porozumienia było wprowadzenie do Komitetu Narodowego w Paryżu dziesięciu, o ile sobie przypominam, kandydatów proponowanych przez Piłsudskiego.

W zasadzie postanowiliśmy to zrobić, żeby ułatwić kompromis w kraju. Po wojnie już nie miało takiego znaczenia utrzymywanie naszej pracy w zamkniętym gronie, zapewniającym ścisłą konsekwencję działania i bezwzględną poufność. Już środek ciężkości naszej akcji przeniósł się do delegacji kongresowej, która oficjalnie reprezentowała sprawę polską. Nie mogliśmy wszakże zaakceptować wszystkich przedstawionych kandydatów, znajdowały się bowiem wśród nich nazwiska wysoce kompromitujące, znane organom wywiadowczym państw sprzymierzonych nie już z fałszywej polityki podczas wojny, ale z robót noszących charakter służby u rządów państw centralnych. Wprowadzenie tych ludzi zniszczyłoby całkowicie dobre imię, jakie sobie Komitet na Zachodzie wyrobił.

Wkrótce potem mogliśmy zawiadomić prezydium konferencji, że drugim delegatem polskim jest prezes Rady Ministrów, Ignacy Paderewski. Wobec tego, że nierychło jeszcze mógł on do Paryża przybyć, wyznaczył swego zastępcę, którym był mąż zaufania Piłsudskiego, dr Kazimierz Dłuski. Szanowny ten weteran, głośny działacz socjalistyczny w swojej młodości, z którym znałem się od bardzo dawna, miał niemało zalet osobistych, niepotrzebnie wszakże zaniedbywał medycynę dla tak małej korzyści, jak przekonanie się, że konferencja pokojowa jest czymś całkiem innym, niż sobie wyobrażał.

Kończył się komfort naszej pracy na Zachodzie, polegający na tym, że odcięci od kraju murem prusko-austriackim byliśmy zabezpieczeni przed przyjazdem rozmaitych

⁶⁵ Patrz niżej: Aneksy XI i XII.

pomocników. Pracowaliśmy w gronie ludzi, zwróconych ku jednemu celowi, związanych wzajemnym zaufaniem, poddających się dobrowolnie ścisłej dyscyplinie. Nie mieliśmy potrzeby tracić czasu i energii na próżne dyskusje. Tylko dzięki temu tak niewielka liczba ludzi mogła wykonać tyle pracy.

Teraz już bywały posiedzenia Komitetu Narodowego, na których dyskutowano długo kwestie, czy Polska nie powinna być państwem federacyjnym, czy trzeba walczyć o całą Galicję Wschodnią itp. – dyskusje płonne, bo przecież nowi przybysze do Komitetu nie mogli się łudzić, że my dla nich będziemy zmieniali swój przemyślany od lat dwudziestu plan państwa polskiego. Mojemu nowemu koledze, Dłuskiemu, który myślał, że w tych sprawach będzie mógł zabierać głos na konferencji w duchu przeciwnym naszemu programowi terytorialnemu, zmuszony byłem na posiedzeniu Komitetu kategorycznie oświadczyć, że ja, jako pierwszy delegat polski, jestem przed krajem odpowiedzialny za wyniki naszej działalności na konferencji i że, dopóki to stanowisko zajmuję, tylko to na konferencji będzie z naszej strony powiedziane, na co ja się zgodzę. Było to mi bardzo przykre, ale sprawy były zbyt ważne, żeby się bawić w ceremonie.

Wreszcie z Warszawy zjechało biuro kongresowe, pod przewodnictwem p. Franciszka Pułaskiego, które przywiozło z sobą dwa kufry referatów. Wszystko można wytrzymać – ale dwa kufry referatów! Gdym się dowiedział, co w referatach jest – a było tam wszystko, co można o Polsce pomyśleć, prócz tego, czego nam w naszych materiałach brakowało – prosiłem, żeby przynajmniej tych kufrów, na miłość Boską, nie otwierać. Z biura była ta korzyść, że w liczonym jego składzie znalazło się kilku ludzi kompetentnych, zdolnych do pracy w charakterze ekspertów i członków komisji.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, co sobie myśleli ludzie zamawiający przed konferencją u kogo się dało referaty na wszelkie możliwe tematy polskie, niemające często żadnego związku ze sprawą naszą na konferencji. Czy spodziewali się, że Lloyd George to będzie czytał?... Bo nam to było niepotrzebne i nie mieliśmy na to czasu. Jednym z najważniejszych warunków skutecznej pracy jest nie robić rzeczy niepotrzebnych, a dobrego gospodarstwa – nie wydawać pieniędzy na rzeczy zbyteczne.

Komisja terytorialna pracowała rzetelnie i bezstronnie. Zachowywała ona życzliwe względem Polski stanowisko, broniąc się jednak przed popadnięciem w stronniczość na naszą korzyść. Nie mówiąc już o Francuzach, którzy nam dawali silne poparcie, wielkie znaczenie dla decyzji, które w niej zapadły, miało poparcie ze strony angielskiej. Sir William Tyrrell okazywał się czasami bardziej zdecydowany od francuskich członków komisji w poparciu postulatów polskich.

Nietrudno zrozumieć, jak ułatwione było właściwe rozstrzygnięcie kwestii granicy niemiecko-polskiej przez poważne i bezstronne stanowisko przedstawiciela Anglii. O ile inaczej, mądrzej i uczciwiej byłaby sprawa polska zakończona, gdyby prowadzenie polityki angielskiej na konferencji pozostało było w rękach ludzi kompetentnych i myślących, wychowanych w surowym poczuciu odpowiedzialności...

Miał wszakże przyjść rychło czas, kiedy takich ludzi usunięto na plan drugi, ich zaś miejsce zajął sztab małych intrygantów otaczających Lloyda George'a, idących pod jego komendą i zaopatrujących go w wiedzę o sprawach zagranicznych, której były adwokat prowincjonalny w Walii za wiele nie posiadał. Co prawda, w dzisiejszych czasach kompetencja w polityce należy do rzeczy ostatnich.

Były chwile w komisji terytorialnej, kiedy i nasza wiedza nie wystarczała, kiedy na stawiane pytania nie byłem w możności dać odpowiedzi. Gdym dyskutował z komisją propozycję naszą odcięcia od Prus Wschodnich kraju z ludnością litewską po obu stronach Niemna (Tylży i Kłajpedy), komisja zainteresowała się stopniem spławności różnych odnóg Niemna przy jego ujściu. Niestety, w tym przedmiocie nie posiadałem żadnych wiadomości i nie miałem źródła, z którego mógłbym ich zaczerpnąć. Nic by nie pomogło, gdybym nawet był sięgnął do dwóch kufrów referatów warszawskiego biura kongresowego.

Na długo jeszcze przed zwołaniem konferencji pokojowej trapiła mnie myśl, że nie mamy człowieka, któremu by można było powierzyć prowadzenie z naszej strony na konferencji spraw ekonomicznych i finansowych. Sam na tych sprawach tak się nie znałem, ażeby móc wziąć za nie odpowiedzialność, a gdyby nawet było inaczej, to sprawy polityczne, przede wszystkim zaś walka o granice Polski, tak pochłaniały moją energię, że jej na wiele więcej starczyć nie mogło. Szukałem więc myślą człowieka, w którego ręce można by te sprawy złożyć, który by dawał gwarancję z jednej strony odpowiedniego znawstwa w tej dziedzinie, z drugiej – przejęcia się interesem Polski i niezależności od wszelkich innych interesów. Myśl moja szczęśliwie zatrzymała się na Władysławie Grabskim, dawnym moim towarzyszu pracy z rosyjskiej Dumy. Zwróciłem się więc do prezesa Rady Ministrów, Paderewskiego, o ofiarowanie Grabskiemu stanowiska trzeciego delegata polskiego na konferencji, z tym, ażeby natychmiast wyruszył do Paryża. Istnienie trzeciego delegata było możliwe, tylko na raz nie mogło więcej niż dwóch występować. Kamień mi spadł z piersi, gdy Grabski wkrótce przybył do Paryża i wziął się do pracy z właściwą sobie znajomością rzeczy, energią i sumiennością. Mogłem już o sprawach gospodarczych i finansowych nie myśleć. Był to ogrom spraw, wymagający wielu ludzi do pracy. Pod kierunkiem też Grabskiego powstało duże biuro, w którym szła intensywna praca przez cały czas konferencji.

Nie mieliśmy człowieka, którego by można było z czystym sumieniem wydelegować do komisji Ligi Narodów, jednej z najważniejszych na konferencji. Tam potrzebny był tęgi prawnik, mogący jednocześnie wziąć na siebie odpowiedzialność polityczną. Wielki błąd popełniła i wiele, zdaniem moim, zapłaciła za to Francja, że do tej komisji posłała dwie wielkie powagi akademickie – Léona Bourgeois i profesora Larnaude, bardzo wybitnego prawnika – ale nie miała w niej człowieka, który by się orientował w politycznej robocie, jaka szła w komisji, w której zasiadali Wilson, lord Robert Cecil, Orlando, Hymans, Venizelos i inni. Delegaci Francji często nie rozumieli wcale, o co chodzi. Zwracałem na to niebezpieczeństwo uwagę francuskich sfer rządowych; dowiedziałem się, iż p. Léon Bourgeois ma taką pozycję, że gdyby nie był członkiem komisji Ligi Narodów, musiałby być jednym z delegatów francuskich na

konferencji, a wtedy byłby z nim większy kłopot. Lepiej jest nie mieć w kraju takich niewygodnych papieży...

Zmuszony byłem wejść sam do komisji Ligi Narodów, która pracowała szybko, czasami wieczór po wieczorze, do północy.

Brakowało mi tam bardzo tego, że nie jestem prawnikiem, ale udział w tej komisji ogromnie mi pomógł w orientowaniu się w całej konferencji.

Zaimponował mi wówczas lord Robert Cecil, któremu Anglia przed konferencją jeszcze powierzyła sprawę Ligi Narodów. Można było na nim obserwować tradycyjną szkołę polityki angielskiej. On więcej prowadził komisję i on więcej robił Ligę Narodów niż jej projektodawca i przewodniczący komisji, Wilson. I po dziś dzień Anglia z jego pracy zbiera owoce.

Interesujące było obserwowanie faz, przez które przechodziła w ciągu tego krótkiego czasu myśl polityczna Wilsona. Wspomnę tu tylko dwa momenty pośrednio dotyczące Polski.

Gdy była mowa o mandatach Ligi Narodów, udzielanych państwom na zarządzanie bezpieczeństwa obszarami, Wilson zauważył, że tu może chodzić nie tylko o dawne posiadłości nieprzyjaciela, o byłe kolonie niemieckie, ale że może też zająć potrzeba udzielenia poszczególnym państwom mandatów na niektóre ziemie państwa rosyjskiego, których ludy nie chcą należeć do Rosji, a nie dojrzały do tego, żeby same rządzić się mogły. Nie pamiętam, czy wyraźnie wymienił Litwinów i Ukraińców, ale mi zostało w świadomości, że o nich mu chodziło. Jako o mandatariuszu, Wilson myślał o Polsce.

Innym razem wywiązała się gorąca dyskusja w sprawie bezpieczeństwa Francji przed nową napaścią ze strony Niemiec. Bourgeois bronił myśli wytworzenia jakiejś armii międzynarodowej z jednym sztabem i pod jednym dowództwem, myśli, którą przedstawiciel Anglii traktował wcale słusznie jako nierealną.

Przypomniała mi się moja rozmowa z Wilsonem w Waszyngtonie o Lidze Narodów i czekałem z zainteresowaniem, co on powie. Prezydent Stanów Zjednoczonych sprawił mi niespodziankę.

– Ależ, panie Bourgeois – rzekł – jak pan może wymagać, żeby armia jakiegoś państwa oddała się pod komendę innego? Przecież to jest kwestia bardzo drażliwa, kwestia wprost honoru narodowego. Mówi pan o niebezpiecznym położeniu Francji... Wszak Francja nie będzie sama – będą i inne państwa sąsiadujące z Niemcami. Będzie przede wszystkim Polska – tu zwrócił się gestem do mnie – która przecież chętnie wytworzy poważną siłę zbrojną do obrony przeciw napaści niemieckiej.

Już myślałem, że Wilson nawróci się na realizm polityczny. Może by to było i nastąpiło, gdyby dłużej zabawił w Europie i został odosobniony od działających nań wpływów.

W owym też czasie nastąpił korzystny zwrot w stosunku Wilsona do naszych zagadnień terytorialnych.

Do samego końca pracy komisji terytorialnej nad wykreśleniem granicy niemiecko-polskiej najważniejsze kwestie tej granicy, między innymi kwestia Gdańska, pozostawały w zawieszeniu. W tych kwestiach członkowie komisji nie mogli, naturalnie, dać swego ostatecznego głosu bez upoważnienia ludzi odpowiedzialnych za politykę ich państw. W kwestii Gdańska zwłaszcza szła uporczywa walka poza komisją. Duży bodaj opór względem przyznania nam Gdańska stawiano ze strony amerykańskiej.

Pewnego wieczora otrzymuję telefon od pułkownika House'a z zaproszeniem, żeby wpaść do niego nazajutrz rano. Czekala mnie dobra nowina.

– No, panie, Gdańsk jest wasz – rzekł House na powitanie. – Wczoraj wieczorem prezydent powiedział mi, iż doszedł do przekonania, że trzeba wam Gdańsk przyznać i że będzie w tej sprawie po waszej stronie.

Podziękowawszy mu za dobrą wiadomość, wychodzę i w przedpokoju spotykam jednego z potentatów Wall Street, wielkich bankierów żydowskich Nowego Jorku. Obecności jego w Paryżu nie przypuszczałem. Uśmiechnął się do mnie i rzekł:

– Przyjechaliśmy.

Ten *pluralis*⁶⁶ mi się nie podobał. Zapytałem, kto to przyjechał i w jakim charakterze.

– My, od Ligi Narodów – usłyszałem w odpowiedzi. Jaki ci goście mieli związek z Ligą Narodów, która jeszcze nie istniała, dotychczas nie wiem. Przyszła mi wszakże wówczas refleksja: czy aby Gdańsk jest już na pewno nasz?...

Zdawałoby się, że tak. Komisja terytorialna niebawem uchwaliła zachodnią granicę Polski: po naszej stronie znalazł się cały obszar polski Górnego Śląska, polskie skrawki Śląska Średniego, Poznańskie z odcięciem ziemczonych części na zachodnim krańcu, wreszcie Prusy Zachodnie z Gdańskiem, z pozostawieniem na zachodzie po stronie niemieckiej okręgów, uznanych za ziemczone. Na północy komisja przyznała nam powiaty na prawym brzegu Wisły (Kwidzyna) wraz z zachodnim skrawkiem kraju mazurskiego (Działdowo), tak że linia kolejowa z Gdańska do Warszawy przez Mławę cała szła przez terytorium polskie; na Mazurach wszakże uchwaliła plebiscyt, robiąc tym nieszczęśliwy początek szeregu innych plebiscytów. Na wschodzie Prus Wschodnich odcięto tylko prawy brzeg Niemna (Kłajpedę), reszta zaś prowincji, acz izolowana od Niemiec, pozostała częścią państwa niemieckiego.

Komisja zachowała dużą rezerwę wobec naszych żądań, wykreśliła granicę bardzo dla państwa trudną. Jednakże przyznawała nam nasz Śląsk Górny i Gdańsk. Nie uważałem tej decyzji za nasz triumf, jakkolwiek Polacy w Paryżu byli na ogół uradowani.

⁶⁶ *Pluralis* (łac.) – liczba mnoga. [red.]

Jeden z nich wyszukał i przysłał mi z powinszowaniami butelkę gdańskiej wódki, tej samej, którą pił Sędzia w *Panu Tadeuszu*. Odpowiedziałem mu, że stawiam ją na półkę, i że wypijemy ją razem wtedy, kiedy Gdańsk naprawdę do nas będzie należał.

Lloyd George zaczynał już na dobre gospodarzyć na konferencji. Wódki tej nigdy nie skosztowałem...

W drugiej połowie marca decyzje komisji terytorialnej w sprawie granicy niemiecko-polskiej poszły do zatwierdzenia Rady Najwyższej.

Zdawałoby się, iż wobec tego, że członkowie komisji porozumiewali się w ważniejszych sprawach z kierownikami polityki swych państw, zatwierdzenie żadnych poważniejszych trudności nie napotka. Tak, ale w komisji było reprezentowanych pięć mocarstw, gdy w Radzie Najwyższej znalazło się już obok nich reprezentowane przez Lloyd George'a szóste – żydowskie.

Już w Paryżu byli działacze żydowscy, już Lloyd George wiedział, do czego ma dążyć, i już zdołał zdobyć taką w Anglii pozycję, że on jeden tylko miał głos w jej imieniu. *Foreign Office* zszedł do roli ekspertów.

Stosunek Lloyd George'a, premiera i pierwszego delegata na konferencji, do stanowiska angielskiego w komisji terytorialnej wyraził się przede wszystkim w tym, że przedstawiciel angielski w komisji terytorialnej, Sir William Tyrrell, odjechał do Anglii. Jego miejsce w komisji zajął jakiś nieznany, wcale młody człowiek, nie bardzo zresztą wyglądający na Anglika.

Wielkim to było naszym szczęściem, że komisja tak rychło ukończyła swą najważniejszą w naszej kwestii pracę. Zawdzięczaliśmy to prezesowi konferencji, Clemenceau, który wywołał moje zaimprovizowane *exposé* w Radzie Najwyższej 29 stycznia, skutkiem czego komisja mogła już pracować od początku lutego. Gdyby to się było nie stało, gdyby jej praca przeciągnęła się była o parę tygodni, jestem przekonany, że dojście w niej do porozumienia okazałoby się o wiele trudniejsze i decyzje komisji byłyby o wiele mniej dla nas korzystne. Lloyd George miałby już plan gotowy, miałby jeszcze czas zmienić przedstawiciela angielskiego w komisji przed ostatecznymi jej uchwałami i wyrzeć wpływ na te uchwały. Teraz zaś miał zadanie trudniejsze: musiał w Radzie Najwyższej odrabiać robotę komisji terytorialnej.

V. ANGLIA A SPRAWA POLSKA

Już stanowisko Anglii wobec tak oczywistego postulatu bezpieczeństwa Polski po wojnie, jak zajęcie Gdańska, ustanowienie przez ten port stałej komunikacji między Polską a państwami zachodnimi i przesłanie tą drogą do kraju armii polskiej z Francji – nie świadczyło o jej przyjaźni dla Polski. Jednocześnie jednak w komisji terytorialnej przedstawiciel Anglii popierał program polski, umożliwiając przez to jej uchwały dla Polski korzystne, tenże sam Gdańsk między innymi jej przyznające. Można było stąd wnosić, że w polityce angielskiej na konferencji walczą, gdy chodzi o Polskę, dwa przeciwne sobie kierunki.

Z chwilą wszakże, kiedy premier angielski zaatakował w Radzie Najwyższej wnioski komisji terytorialnej, polityka angielska ustala się w jednym kierunku. Najpotężniejsze mocarstwo świata jest już odtąd konsekwentnym wrogiem Polski. Anglia pracuje nad tym, żeby Polska była mała, słaba, żeby nie miała żadnych widoków stania się prawdziwie samoistnym państwem. Jednocześnie polityka angielska najwidoczniej usiłuje ratować interesy niemieckie.

To ustalenie kierunku polityki angielskiej jest dziełem Lloyda George'a, za którym stoją Żydzi. Ani wszakże Lloyd George, przy wszystkich swoich talentach, ani silne zresztą wpływy żydowskie nie byłyby zdolne nadać tego kierunku angielskiej polityce, gdyby nie znajdował on gruntu w samym narodzie angielskim.

Ażeby zrozumieć, co w Anglii takiej polityce sprzyjało, trzeba sięgnąć nieco w przeszłość, do pierwszej połowy XVIII wieku.

Nie czuję się do tego powołany i nie mam tu miejsca, ażeby pisać studium o polityce angielskiej w ostatnich dwóch stuleciach. Muszę się zadowolić pobieżnym rzutem oka, wskazaniem kilku momentów, które w moich oczach decydują o stosunku Anglii do Polski.

Po ostatecznym wycofaniu się z Calais w końcu XVI wieku Anglia jest państwem niemającym żadnych bezpośrednich interesów politycznych na kontynencie europejskim. Cała jej energia zwraca się ku morzom, ku dalekim obszarom zaoceanowym. Walczy ona z państwami, które na tym nowym terenie stoją jej na drodze, niszczy potęgę morską Hiszpanii i Holandii. W drugiej wszakże połowie XVII wieku Anglia staje wobec współzawodnika, z którym zmierzyć się nie może. Francja Ludwika XIV była nie tylko potęgą dominującą w Europie, ale pod kierownictwem Colberta zajęła pierwszorzędne stanowisko na morzach i stała się wielkim mocarstwem kolonialnym. Posiadała ogromne obszary oraz rozwinęła stosunki handlowe i polityczne za oceanami, i to właśnie tam, dokąd zwracały się przede wszystkim ambicje angielskie – w Ameryce Północnej (Kanada i Luizjana) i w Indiach Wschodnich. Jakkolwiek słońce Francji przyćmiło się pod koniec panowania Ludwika XIV i za jego następcy, to jednak nie przestawała ona być groźną dla Anglii na morzach i za morzami. Za Ludwika XV była ona na drodze do opanowania Indii

i wyrzucenia z nich Anglików, co prawdopodobnie byłoby się stało, gdyby dążący do tego niepospolity człowiek, Dupleix, znalazł był poparcie w swoim kraju.

Na szczęście Anglii wyrosła wówczas na kontynencie europejskim potęga Fryderyka Wielkiego. Prusy i Anglia były stworzone na sojuszników. Anglia nie miała bezpośrednich interesów w Europie. Prusy ich nie miały poza Europą. Nie było zatem punktu, w którym by się interesy angielskie z pruskimi zetrzeć mogły. I na żadnym sojuszniku w swych dziejach Anglia nie zrobiła takiego interesu, jak na Fryderyku Wielkim. W wojnie siedmioletniej Francja, zaprzątnięta nieszczęśliwą walką z królem pruskim, nie mogła użyć swych sił na obronę kolonii: za jednym zamachem straciła Kanadę, Luizjanę i stanowisko w Indiach, została nieomal zlikwidowana jako mocarstwo kolonialne. Anglicy stali się panami Indii i Ameryki Północnej, co zdecydowało o bogactwie i potędze Anglii i o świetnym rozroście rasy anglo-saskiej. Nie dziw, że Fryderyk Wielki zajął niemałe miejsce w sercach narodu angielskiego, że rozwinął się niejako kult jego osoby, podsycany przez pisarzy tej miary, co Carlyle.

Od tego czasu zaczyna się ścisły związek polityki angielskiej z pruską. Związek ten wzmacniają węzły tajne. Około roku 1720 dokonano w Anglii ostatecznej organizacji nowoczesnego wolnomularstwa, a potem zaczęto szerzyć organizację na kontynencie.

Była ona pierwszorzędnym narzędziem polityki angielskiej. Zrozumiał jej wartość dla swoich celów Fryderyk, którego polityka nie ścierała się z angielską, ale szła z nią równolegle, i postanowił jej również do swoich celów używać. Sam został w Prusach wielkim mistrzem.

W interesie Anglii leżał wzrost potęgi sojusznika, takiego sojusznika, który nie miał ambicji na morzach, sprzyjała więc planom króla pruskiego i w niemałej mierze finansowała jego politykę.

Jeżeli poza Prusami, Rosją i Austrią jakiegokolwiek mocarstwo pomogło w rozbiórce Polski, to była nim Anglia. Nie można było jej się dziwić: jej najniebezpieczniejszą przeciwniczką była Francja i silne Prusy były jej potrzebne.

Nawiasem mówiąc, wynikająca z politycznego bezwładu bierność Polski wobec wojny siedmioletniej rozbiory przygotowała. Po pierwszym rozbiórce Polska zaczyna wychodzić ze swego odosobnienia, zawiązywać stosunki z Europą, wchodzimy w okres doniosłych reform. Nasi reformatorzy końca XVIII stulecia należą z reguły do organizacji wolnomularskiej i z niej czerpią ideową siłę do swego dzieła. Wysiłki te wszakże kończą się tragicznie: jest rzeczą do zbadania, w jakiej mierze do tego tragicznego końca przyczynił się fakt, że kierownictwo łóż całej Europy znajdowało się w Anglii i że Prusy, zaczynając od Fryderyka Wielkiego, zajmowały tak silne w wolnomularstwie stanowisko. Ważną byłoby rzeczą wiedzieć, w jakiej mierze loże pruskie wywierały wpływ, bezpośredni czy pośredni, na robotę naszego wolnomularstwa i w jakiej mierze użytkowały ten wpływ dla celów polityki pruskiej. Gdyby archiwa wielkich łóż z owych czasów były otwarte, wiele by niezawodnie światła rzuciły na najważniejsze dla nas wypadki z owej epoki.

Prawie do końca zeszłego stulecia warunki, które wytworzyły ścisły związek interesów między Anglią a Prusami, nie uległy żadnej istotnej zmianie. Epoka napoleońska nie przyczyniła się do załagodzenia antagonizmu francusko-angielskiego. Po kongresie wiedeńskim, na którym stanowisko Anglii, między innymi w stosunku do Polski, było zgodne z jej polityką XVIII stulecia – Prusy w dalszym ciągu są mocarstwem, ograniczającym swe interesy do kontynentu europejskiego, Francja zaś na nowo występuje jako potęga morską i rozwija wkrótce niemałą energię w polityce kolonialnej. Już w roku 1830 usadawia się ona w Algierze, zaś w 1861–1862 w Kochinchinie. Jeszcze szybciej idzie ona tą drogą za Trzeciej Rzeczypospolitej, staje się i jest dziś w dalszym ciągu drugą obok Anglii wielką potęgą kolonialną. Toteż polityka angielska w stosunku do Francji i Prus nie podlega istotnym zmianom: w latach 1870–1871 Anglia nie przeszkadza Prusom rozbić Francji i uwieńczyć dzieło utworzeniem zjednoczonego Cesarstwa, a na kongresie berlińskim, po wojnie rosyjsko-tureckiej, dyplomacja angielska pracuje solidarnie z Bismarckiem.

Wkrótce po tym kongresie, Niemcy, wyrósłszy szybko na potęgę przemysłową, stawszy się pierwszym mocarstwem w Europie, wchodzi całą parą na teren polityki światowej.

Zaczyna się rozwijać z niesłychaną szybkością ich handel zamorski, równoległe z tym rośnie ich marynarka handlowa, zaczynają szukać nabytków kolonialnych, biorą żywy udział w rozbiórce Afryki, wreszcie budują potężną flotę wojenną. Już pod koniec XIX stulecia Anglia spostrzega, że z dotychczasowego protegowanego wyrósł jej najniebezpieczniejszy współzawodnik. Niemcy zaczynają zabierać jej rynki zamorskie, nawet we własnych jej koloniach – na samym nawet rynku angielskim zaczynają być groźnym konkurentem dla wytwórczości krajowej; linie okrętowe niemieckie zaczynają pokrywać swoją siecią wszystkie morza, a Hamburg zabiera Londynowi znaczną część handlu światowego; jednocześnie polityka niemiecka staje się w jaskrawy sposób antyangielska – dąży najwidoczniej do obalenia angielskiej potęgi.

W opinii angielskiej wszczyną się alarm. Idzie on tak daleko, że zaczyna się mówić o niebezpieczeństwie inwazji niemieckiej na wyspę. Anglia wykonuje zwrot w swej polityce – zbliża się z Francją, następnie z Rosją – zwrot, w którego konsekwencji przyszła wielka wojna światowa. O tym zresztą już mówiliśmy. Tu ważną rzeczą jest zwrócić uwagę na walkę wewnątrz opinii angielskiej, jaka się odbywa w tym okresie.

Widzimy tam w szerokich kołach narodowych angielskich, głównie konserwatywnych, pełną świadomość niebezpieczeństwa zewnętrznego, silne dążenie do nadania polityce angielskiej linii konsekwentnie przeciwniemieckiej, a jednocześnie do uzbrojenia państwa, do zwiększenia floty, do stworzenia poważnej armii lądowej. Tym wszakże dążeniom przeciwstawiają się żywioły liberalne i socjalistyczne, głoszące hasła powszechnego rozbrojenia, uparcie zapewniające opinię angielską, że Niemcy do wojny nie dążą, że są ożywione pragnieniami jak najbardziej pokojowymi, że z ich strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Brednie, wypowiedane wówczas na ten temat przez takich ludzi, jak Lloyd George, Asquith, Haldane, są czymś wprost niesłychanym w

dziejach politycznych narodów. Ludzie ci, gdy dochodzą do władzy, pracują nad rozbrojeniem Anglii.

Powstaje pytanie: czym się ci ludzie kierowali? Czy możliwa jest taka ślepotą polityczną?...

Zdarzyło mi się podczas wojny znaleźć w towarzystwie dwóch Anglików dyskutujących na ten temat. Jeden z nich wykazywał, że Haldane, ów słynny minister wojny, który rozbrajał Anglię w przeddzień wojny światowej, łudził się co do Niemiec, nie zdawał sobie sprawy z grożącego Anglii niebezpieczeństwa. Drugi – wybitny przedstawiciel obozu liberalnego, minister w gabinecie rządzącym Anglią w czasie tej rozmowy – bronił atakowanego w długim wywodzie. Między innymi twierdził, że Haldane wiedział o przygotowaniach niemieckich, zdawał sobie całkowicie sprawę z niebezpieczeństwa, i dlatego właśnie był przeciwnikiem uzbrojeń. Miał bowiem pewność, że jeżeli Anglia zacznie się zbroić, Niemcy wydadzą jej natychmiast wojnę.

Obrona ta wprowadziła mnie w osłupienie.

Minister potężnej Anglii, odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa, jest przeciwnikiem zbrojeń z obawy, żeby inne państwo, do wojny całkowicie przygotowane, nie uznało tego za powód do napaści, i dlatego uspokaja opinię publiczną, że państwu żadne niebezpieczeństwo nie grozi. I taką obronę wygłasza członek gabinetu rządzącego Anglią podczas wojny...

Nasza opinia publiczna zazwyczaj popełnia jeden wielki błąd w ocenie polityki wielkich mocarstw, przez to, że przypisuje jej często wyższe i głębsze motywy, niż to jest w istocie. Zwłaszcza, gdy mowa o Anglii, skłonni jesteśmy w każdym akcie jej polityki zewnętrznej szukać jakiejś głębszej myśli państwowej, daleko sięgającego planu.

Zapominamy, że i tam rozum stanu zmagają się z płytką demagogią, nie zawsze z powodzeniem, że i tam żądza władzy pcha ambitnych polityków do schlebienia niższym instynktom, do wygrywania w walce politycznej haseł popularnych, choćby najszkodliwszych dla państwa, że i tam na politykę państwową mają wpływ interesy, często nic wspólnego niemające z dobrem państwa, że i tam wreszcie człowiek niezależny, mający swobodę kierowania się swym rozumem i swym sumieniem, nie należy w polityce do zjawisk najczęstszych.

Zapominamy, że dzisiejsza Anglia jest krajem pozbawionym w znacznej mierze równowagi społecznej; że cierpi od dawna na zanik ludności rolniczej; że po rozszerzeniu praw wyborczych o charakterze rządu decyduje tam głos ruchomych, nieposiadających mas robotniczych; że wreszcie siłę majątkową jej i wynikające stąd wpływy reprezentują prawie wyłącznie sfery przemysłowo-handlowe. Prawda, że interesy tych sfer ściślej są związane z zewnętrzną potęgą państwa niż interesy rolników, głównym jednak momentem w ich psychologii jest pogoń za natychmiastowym zyskiem i dla chwilowej koniunktury gotowe są poświęcać najważniejsze podstawy przyszłości. I w Anglii zresztą w tych sferach ostatnimi czasy ogromnie się rozrósł żywioł kosmopolityczny, niezwiązany z krajem, niemyślący o jego przyszłości, gotowy wszystko sprzedać w

bezwzględnej spekulacji. Nie znajduje on tam przeciwwagi, jaką w innych krajach stanowi warstwa rolnicza, rodzima na ogół, związana z krajem od pokoleń.

Wszystko to złożyło się na ów nedorzeczny pacyfizm angielski w przededniu wojny światowej. Nie był to jedynie pacyfizm – było to wyraźne germanofilstwo.

Masy robotnicze angielskie – dawniej zorganizowane w *Trade Unions*, będących samoistnym wytworem angielskim – w ostatnich czasach uległy w większości propagandzie socjalistycznej idącej z Niemiec i dostały się, na równi z socjalistami całej Europy, pod wpływ niemieckiej demokracji socjalnej. Wśród sfer przemysłowo-handlowych widziano niebezpieczeństwo współzawodnictwa niemieckiego na rynkach światowych, ale wiedziano także, iż Niemcy same są wielkim rynkiem dla przemysłu angielskiego, że kupują więcej jego wytworów niż jakikolwiek inny kraj w Europie. Obok tego nie mała część kapitału angielskiego była umieszczona w niemieckim handlu i przemyśle i była bezpośrednio zainteresowana w pomyślnym jego rozwoju.

Wielu ludzi na wpływowych stanowiskach w Anglii było z pochodzenia Niemcami lub Żydami niemieckimi, i to nawet takimi, którzy osobiście, w pierwszym pokoleniu z Niemiec przyszli. Miała Anglia ludzi pochodzenia niemieckiego, którzy byli najlepszymi Anglikami, jak chociażby lord Milner, jeden z filarów partii przeciwniemieckiej, z którym jeszcze w początku 1916 roku dyskutowałem kwestię odbudowania Polski i oddzielenia Prus Wschodnich od Niemiec – ale miała i wielu takich, którzy w Anglii pracowali dla Niemiec, często nie przebierając w środkach. Niektórzy, nawet na wysokich stanowiskach, w chwili wybuchu wojny byli poważnie skompromitowani.

Kto wie, czy nie największą tu rolę odegrał tradycyjny związek Anglii z Prusami w wolnomularstwie. Wzajemne położenie obu państw się zmieniło, ale związek pozostał, i mnóstwo ludzi pod rozkazami łóż musiało pracować w kierunku dla Prus przyjaznym, w myśl starych i już anachronicznych, z punktu widzenia interesów państwa, zobowiązań. Inaczej tej fanatycznej obrony Niemiec, tego upartego zapewniania o ich tendencjach pokojowych w chwili, kiedy się przygotowywały do wielkiej wojny, niepodobna zrozumieć. Już wtedy mogły przychodzić refleksje, czy wolnomularstwo, które w przeszłości oddało tyle usług polityce angielskiej, dziś nie stanie się dla Anglii źródłem klęski.

W roku 1914 Anglia, choć pod rządami gabinetu liberalnego, pacyfistycznego, musiała się na wojnę zdecydować. Musiała to zrobić, jeżeli nie chciała zginąć. Najelastyczniejszy z liberałów, Lloyd George, przedzierzgnął się w chorążego wojny, odsunął od władzy niezdecydowanego Asquitha i razem z konserwatystami, ze wszystkimi reprezentującymi angielską myśl narodową państwową, poszedł do zwycięstwa. Położył niemałe zasługi w dziele zorganizowania sił bojowych Anglii, co prawda zbyt wielkim może kosztem. Za wielkie bodaj pieniądze wydano i na wojnę, i na kupowanie mas robotniczych, żeby chciały tolerować wojnę; natomiast nie zrobiono nic, żeby zaapelować do instynktów narodowych robotnika angielskiego, jakby umyślnie pozostawiając je w uspieniu, żeby nie wzmocnić czasem wewnątrz politycznego przeciwnika.

Sfery narodowe angielskie, te, które od lat usiłowały przygotować państwo do walki z Niemcami, wzrosły podczas wojny w moralną siłę. Opinia widziała, że one miały słuszność.

Miejsce gabinetu liberalnego zajął gabinet koalicyjny, który nie tylko miał wyrażać jedność wysiłku narodowego w wojnie, ale świadczył o niewypłacalności politycznej pacyfistycznych liberałów, tych najniebezpieczniejszych konserwatystów myśli, nieumiejących nigdy podążyć za wypadkami w ocenie położenia własnego państwa.

W znanym z konserwatyzmu, trudno zmieniającym nałogi i poglądy społeczeństwie angielskim postępowała rewizja pojęć o Europie, urobionych przez pokolenia na tle przyjaźni dla Prus. Otworzyła ona wdzięczne pole do naszej pracy, do której, niestety, za mało sił posiadaliśmy. Niemniej przeto szybko zdobywał grunt nowy pogląd na sprawę polską, dzięki pracy całego szeregu polityków i pisarzy, rozumiejących, że dobro Anglii nakazuje poparcie Polski.

Zjawiała się nawet inicjatywa nowego stronnictwa, stronnictwa narodowego, którego głównym promotorem był generał Page Croft, podzielający całkowicie nasz pogląd na położenie europejskie i na kwestię polską. W Anglii wszakże założenie nowego dziennika jest rzeczą niesłychanie trudną, a cóż dopiero nowego stronnictwa... Po pierwszym, nieudanym zjeździe stronnictwa sprawa upadła.

Przyczyny, które wywołały niebezpieczeństwo niemieckie dla Anglii, które na przełomie dwóch stuleci zrobiły Niemcy jej najzaciętszym wrogiem, nie należały do chwilowych, nie tkwiły w jakiejś przemijającej koniunkturze politycznej. Źródłem antagonizmu niemiecko-angielskiego były: zjednoczenie narodu niemieckiego w znakomicie zorganizowane potężne państwo, żywotność i przedsiębiorczość tego narodu, jego zdolność do wytworzenia pierwszorzędnej organizacji gospodarczej, świetne warunki naturalne dla rozwoju przemysłu, położenie geograficzne sprzyjające rozwojowi handlu, wreszcie charakter polityczny narodu niemieckiego. To są wszystko czynniki niezmiennające się w jednym czy w paru pokoleniach. Żadne zapewnienia ze strony niemieckiej nic tu nie znaczą; nikt uczciwie nawet nie może dawać zapewnień, obietnic co do pokierowania działaniem czynników żywiołowych, wymykających się spod kontroli indywidualnej woli ludzkiej. I dziś można powiedzieć, że wprawdzie Niemcy przegrały wojnę i ponoszą smutne tego dla siebie następstwa, ale nie są one przecież narodem upadłym czy wyczerpanym, prędzej czy później się podźwigną, wrócą do roli pierwszorzędnej potęgi, a wtedy znów staną w ostrym współzawodnictwie z Anglią i znów będą przedstawiały dla niej największe niebezpieczeństwo.

Stąd logicznie wynikało, że zmiana tradycyjnego stanowiska względem Prus i we wszystkich sprawach międzynarodowych z pruską polityką związanych narzucała się Anglii nie na czas wojny tylko, ale i na dalszą, dosyć daleką przyszłość. Odbywająca się w myśli angielskiej rewizja pojęć o Europie winna była prowadzić do pożegnania się raz na zawsze z pojęciami ubiegłej doby. Tak tę rzecz pojmowali w Anglii ludzie najmądrzejsi, kierujący się myślą o przyszłości narodu i państwa.

Nowy też, wytwarzający się podczas wojny pogląd na kwestię polską miał widoki utrwalenia się, stania się na dłuższy czas jednym z niezmiennych elementów angielskiej polityki zewnętrznej.

I myślę, że tak byłoby się stało, gdyby wojna zakończyła się prostym zwycięstwem narodu angielskiego nad niemieckim. Ale wojną pokierowano tak, żeby doprowadziła raczej do zwycięstwa idei rewolucyjnych, nie tylko u wroga, ale i w państwach zwycięskich, a przede wszystkim w Anglii. Politycy w stylu Lloyd George'a nawet w tak tragicznych chwilach dziejowych myślą więcej o przyszłości swojej i swego obozu niż o przyszłości kraju.

Anglia skutkiem tego znalazła się po wojnie w bardzo niebezpiecznym położeniu wewnętrznym, wobec stanu umysłów warstwy robotniczej. Te same sfery, które nienawidziły Lloyd George'a zmuszone były patrzeć nań jako na męża opatrnościowego: tylko polityk tak zręcznie żonglujący hasłami mógł działać na zrewolucjonizowane umysły mas i wytworzyć jaką taką większość rządzącą. To go uczyniło w najważniejszej chwili, w czasie konferencji pokojowej, panem położenia.

Lloyd George, jak już powiedziałem, był rzecznikiem polityki żydowskiej. Ale nie tylko to. Nie trzeba zapominać, czym był, jaką ideologię reprezentował przed wojną. Był jednym z najgłośniejszych pacyfistów i germanofilów, jednym z najuparciej zapewniających Anglię, że jej ze strony Niemiec wojna nie grozi. Wojna ani jego, ani jego przyjaciół nie przerobiła. Minęła ona dla nich jak zły sen: obudzili się z niego tym, czym byli przedtem – germanofilami. Stare węzły przyjaźni z Niemcami, węzły mocno zaciśnięte, nie zostały przez wojnę zerwane, ale przetrwały ją w stanie utajonym. Natychmiast po zakończeniu wojny wystąpiły na jaw, zjawiły się warunki do ich nowego zacieśnienia. Sprzyjał temu stan umysłów w warstwie robotniczej, będącej już w polityce angielskiej czynnikiem decydującym; ogromnie pomagało wzmocnienie roli Żydów. Przy tym wszystkim teraz już łatwo było dowodzić, że nie ma niebezpieczeństwa niemieckiego: Niemcy są pobite, nie mają floty, nie mają kolonii, dawne ich stosunki handlowe zostały przez wojnę zerwane; od wpływu na Turcję zostały odcięte, nie zagrażają więc w kierunku Bagdadu czy Suez. A te Niemcy przecież były takim rynkiem dla Anglii – jeżeli będą zrujnowane, rynek się nie odrodzi. Natomiast dziś niebezpieczną współzawodniczką jest Francja, którą wojna wzmocniła, która, między innymi, stała się panią całej północno-zachodniej Afryki.

Wobec tego i Polska jest Anglii niepotrzebna, a jako nieunikniona, skutkiem swego położenia geograficznego, sojuszniczka Francji – nawet szkodliwa.

Tak, Lloyd George i czynniki za nim stojące nastawiły na powrót politykę angielską na dawne, tradycyjne tory. Przyszłość pokaże, jak Anglia na tym wyjdzie.

Tymczasem na konferencji pokojowej dowiedzieliśmy się w aż nadto dobitny sposób, że Anglia jest wrogiem Polski.

VI. GRANICA NIEMIECKO-POLSKA. TRAKTAT WERSALSKI

Gdyby nawet zwrot w polityce angielskiej w stosunku do sprawy polskiej na konferencji pokojowej był nieunikniony, ale gdyby polityką angielską kierował kto inny, a nie Lloyd George, nie stałaby nam się tak wielka krzywda. Gdyby zwrotu tego dokonywał poważny mąż stanu, szanujący siebie i Anglię, nie działałby tak przewrotnie, z taką cyrkową elastycznością zawodowego krętacza, z taką wreszcie zawziętością, godną lepszej sprawy. Anglia mogłaby być niechętna Polsce; ale tak zajadłymi wrogami Polski mogli być tylko Żydzi. Anglia mogła nie godzić się z Francją w poglądzie na to, czym Niemcy powinny za przegraną wojnę zapłacić, ale z taką gorliwością i takimi karkołomnymi sztukami bronić interesów niemieckich mógł tylko człowiek mający zobowiązania czy to względem Niemców bezpośrednio, czy względem Żydów, którzy obronę interesów niemieckich na siebie wzięli.

Lloyd George, zabierając się do obalenia uchwał komisji terytorialnej w sprawie granicy niemiecko-polskiej, nakreślił sobie ciekawą taktykę. Po pierwsze, postanowił nie atakować wszystkiego naraz, żeby nie wywołać wielkiego skandalu – zaczął od rzeczy mniejszych, łatwiejszych do zaatakowania, a zdobywszy jedną pozycję, natychmiast sięgać po drugą, większą. Po drugie, postanowił być bardziej Wilsonem niż sam Wilson.

Zaczął od tego, że zakwestionował Kwidzynę, tj. cztery powiaty na prawym brzegu Wisły. Jak można dawać Polsce okręg z tak przeważającą liczbą ludności niemieckiej? Jest to, po pierwsze, niesprawiedliwe, niezgodne z zasadami wilsonowskimi, które mają leć u podstaw przyszłego pokoju; po wtóre, nie wiadomo, czy słaby, niejednorodny naród polski będzie umiał się zorganizować państwowo na rdzennie polskich ziemiach, a już na pewno, gdy dostanie tyle ziemi niemieckiej, nie będzie mógł sobie z nią poradzić.

Zaznaczam, że przebieg dyskusji podaję z drugiej ręki, gdyż delegacja polska nie została wezwana na Radę Najwyższą, w tych najważniejszych dla Polski sprawach.

Trzeba dodać, że w samej Radzie Najwyższej siły były nierówne. Było to wielkie zwycięstwo Lloyd George'a, że mu się udało zamienić ją na Radę Pięciu, usunąć z niej ludzi kompetentnych. Politykę wrogą Polsce reprezentował w niej buchający energią, bezwzględny i przebiegły adwokat walijski, gdy obrona Polski przypadała z natury rzeczy premierowi francuskiemu, tęgiemu, co prawda, ale zawsze starcowi, który w swej karierze politycznej nigdy sprawom zagranicznym szczególnie się nie poświęcał, skrzepowanemu nadto rolą prezesa konferencji. Obok Wilsona, zajmującego stanowisko przyjazne Polsce, ale zmuszonego do liczenia się z czynnikami stojącymi za Lloydem George'em, pozostawali: Orlando, premier Włoch, życzliwy, ale nieangażujący się zbytnio w sprawie polskiej, wreszcie bierny, wiążący swą politykę z angielską, przedstawiciel Japonii. Wprawdzie z nich wszystkich premier angielski najmniej bodaj posiadał wiedzy o sprawach międzynarodowych i o Polsce w szczególności, ale ten w kwestiach granicy niemiecko-polskiej przychodził na posiedzenia nauczony przez swoich adiutantów,

którzy mieli wśród siebie nawet eksperta polskiego, wspomnianego już Żydka galicyjskiego, Namiera.

Wilson bronił Kwidziny przeciw Lloydowi George'owi. Wskazywał, że jeżeli się daje Polsce Gdańsk, to trzeba jej dać najprostszą drogę z Gdańska do Warszawy. Lloyd George i wtedy o Gdańsku milczał, tylko upierał się przy swoim w sprawie Malborka i Kwidziny. Obrona widocznie nie była zbyt twarda – pogodzono się, postanawiając plebiscyt dla czterech powiatów na prawym brzegu Wisły. Eksperci Lloyda George'a widocznie pracowali tandetnie, bo zapomnieli o przyznanym Polsce skrawku ziemi mazurskiej, o Działdowie.

Załatwiwszy się z Kwidzyną, premier angielski poszedł do ataku na wielką pozycję, mianowicie na Gdańsk. Argumenty jego były te same, co w poprzednim punkcie, ale sprawa była o wiele trudniejsza ze względu na znaczenie Gdańska dla Polski i Polski dla Gdańska. Walka była długa. Zarówno Wilson, jak Clemenceau, naszych praw bronili.

Okazali się jednak nie dość mocni, żeby upór Lloyda George'a przełamać. Uznali za konieczne pójść na ustępstwa. Lloyd George zgodził się na wolne miasto w nadziei widocznie, że przyszłość pomoże pójść dalej. Zadano nam ranę w najżywotniejszym punkcie budowanego przez nas ustroju państwowego.

Zdawało się, że na tym wielkim zwycięstwie premier angielski się zatrzymał. Śląska nie ruszył, choć to była najboleśniej dla Niemców strata, choć niezawodnie Żydzi wyrwanie Polsce tej ziemi postawili mu za pierwsze zadanie. Ale jakże tu było atakować Śląsk? Wilsonowskie zasady na nic się tu nie zdały. Urzędowa statystyka pruska świadczyła, że to najbardziej polska z ziem polskich pod panowaniem niemieckim. Nie było oczywiście sposobu. Przyszłość atoli pokazała, że genialny premier angielski miał sposób, tylko na później, na inny moment.

Okaleczona na punkcie Kwidziny i Gdańska, wykreślona w komisji terytorialnej granica niemiecko-polska weszła do projektu traktatu z Niemcami.

– Dobrze, żeśmy w tej sytuacji więcej nie stracili – mówiono w kołach polskich w Paryżu.

Można było się tak pocieszać. Na myśl wszakże, ile Polskę będzie kosztowało w przyszłości to bezsensowne załatwienie kwestii gdańskiej, ile będzie tarć niepotrzebnych, ile sporów, jeżeli już nie gorzej, trudno było opędzić się poczuciu ogromnej krzywdy. Tym bardziej że tak bliscy byliśmy uczciwego rozwiązania.

Przedstawiciele angielscy w komisjach mieli już instrukcje co do obrony interesów niemieckich. Wszędzie występowali przeciw naszym żądaniom. Czy gdy chodziło o likwidację roboty Komisji Kolonizacyjnej i w ogóle sztucznie rozszerzanej na ziemiach polskich własności niemieckiej, czy o przejście majątku państwowego niemieckiego w ręce państwa polskiego, czy o warunki nabywania obywatelstwa polskiego – wszędzie pracowali nad tym, żeby przyszłemu państwu polskiemu jak najbardziej utrudnić położenie. Widoczne było, że posiadają dokładne wskazówki co do potrzeb i interesów niemieckich od kogoś, kto dobrze wiedział, czego sobie Niemcy życzą.

Przeciw nam przemawiał pośpiech, z jakim przygotowywano traktat. Wytworzono atmosferę niezadowolenia z tego, że roboty konferencji za długo się ciągną, że traktat się opóźnia. Rada Najwyższa naciskała o pośpiech. W tej atmosferze upór przedstawicieli angielskich pociągał za sobą ustępstwa ze strony innych.

Wreszcie wezwano delegację niemiecką, ażeby jej wręczyć w Wersalu projekt traktatu, który szybko, do ostatniego dnia wykańczano.

Trzeba stwierdzić, że ta chwila podania Niemcom warunków pokoju była w ciągu całej konferencji jedyną, w której znalazł odbicie rozgrywający się w naszym pokoleniu dramat dziejowy.

Do sali, w której cały skład konferencji zasiadł za stołem, wprowadzono delegację niemiecką. Na czele jej stał Brockdorff-Rantzau, przedstawiciel nie tych żywiołów, które wyniosła na czoło rewolucja, ale Niemiec cesarskich, tych, które prowadziły wojnę. Widać było, jak wiele go kosztuje ta rola zwyciężonego. Wyglądał na człowieka, który wstał z łóżka po ciężkiej chorobie, ręce mu się trzęsły, na nogach ledwie się trzymał. Wprowadzono ich jak podsądnych przed trybunał, zajęli swoje miejsca w milczeniu.

Clemenceau powstał i zwracając się do Niemców, zaczął swoje przemówienie:

– Panowie, jest to drugi pokój zrobiony w Wersalu...

W tych słowach naród francuski wymierzał sobie satysfakcję za upokorzenie roku 1871, przez usta człowieka, który w młodych latach był świadkiem i uczestnikiem walki z najeźdźcą. Przemówienie było aktem oskarżenia przeciw Niemcom, którzy wojnę wywołali i prowadzili ją w bezwzględny, okrutny sposób.

Nastąpiła odpowiedź Rantzaua. Mówił siedząc, bo ustać na nogach nie mógł. Mówił po niemiecku, biorąc sobie dla języka niemieckiego takie samo prawo, które miał francuski i angielski na konferencji. Po każdym zdaniu przerywał, dając głos tłumaczowi, którego delegacja miała z sobą. Trzymał się z godnością, dumnie. Na wszystkie oskarżenia Niemców odpowiadał analogicznymi oskarżeniami sprzymierzonych... Występował jako zwyciężony wróg, który nakazuje szacunek dla siebie. Muszę przyznać, że w tej roli budził we mnie osobistą sympatię.

Nigdy, jak w owej sali, nie odczuwało się historycznej powagi chwili, dla nas, Polaków, poważniejszej niż dla kogokolwiek. Na stole leżał tekst traktatu, który Niemcy mają podpisać, traktatu, który uznaje niepodległe państwo polskie, mocą którego Niemcy zwracają Polsce nie wszystko wprawdzie, co jej zagarnęli w przeszłości, ale prawie wszystko to, czego nie zdołali zniemczyć. Po długim okresie niewoli, w którym ziemia z roku na rok spod nóg nam się usuwała, w którym przebiegły i uparty wróg wynajdywał coraz nowe sposoby podważenia naszego bytu, karta dziejów się odwraca: odbieramy główną część tego, co nam Prusy wydarły w rozbiorach, odzyskujemy kolebkę Polski, Poznań, przez Pomorze wracamy do Bałtyku, łączy się wreszcie znów z Polską ziemia śląska, którą utraciliśmy przed pół tysiącem lat z górą, a która polska pozostała... W ciągu swego wiekowego zmagania się z zachodnim sąsiadem nie miała Polska takiej chwili od Kazimierza Jagiellończyka, od drugiego pokoju toruńskiego.

Zapomniałem wówczas o rzeczach i ludziach małych, o sporach i utarczkach codziennych, o marnych ambicjach i marnych intrygach, które stawały na drodze dążeniu do wielkiego celu – myśl biegła po wielkich szlakach dziejowych, sięgała w odległą przeszłość, szukała odpowiedzi na zagadnienia przyszłego bytu państwa i narodu.

A jednak nie można było zamykać oczu na fakt, żeśmy osiągnęli tylko połowiczne rozstrzygnięcie kwestii naszego rozgraniczenia z Niemcami. Ten projekt traktatu – oddający nam całą prawie część Śląska, której mieliśmy cel i prawo żądać, niewielkie względnie wyłomy robiący w należnej nam zachodniej granicy Poznańskiego i Pomorza – przez ustanowienie Wolnego Miasta Gdańska i z góry skazanych w danych warunkach na przegraną plebiscytów w Kwidzynie i na Mazurach, przez pozostawienie tym sposobem w rękach Niemiec okrojonych nieco przy ujściu Niemna, a powiększonych na zachodzie Prus Wschodnich, wytwarzał dla naszego państwa położenie bardzo trudne. Nie osiągnęliśmy tego, do czegośmy dążyli, cośmy uważali za konieczne dla bezpieczeństwa Polski, dla jej pomyślnego rozwoju, dla utrwalenia jej niezawisłego bytu – i do czego mieliśmy prawo. To prawo przyznać by nam musiał każdy bezstronny, głębiej patrzący mąż stanu – zabrała je nam polityka przeciw nam, a na korzyść Niemiec świadomie pracująca, posiłkująca się argumentami płytkiego doktrynerstwa.

Tyle w poprzednich częściach tej pracy mówiłem o sprawie naszych granic zachodnich, o znaczeniu dla Polski ziem przez nią objętych, że tu nie mamy potrzeby nic dodawać dla unaocznienia wartości tego, cośmy w tym traktacie zdobywali i cośmy tracili. Czy można było w istniejących warunkach osiągnąć więcej? Jeżeli mowa o walce na samej konferencji, w warunkach, w których się ona odbywała, to może się mylę, ale sądzę, że nie. Natomiast jestem przekonany, że gdybyśmy byli inaczej przygotowali się przed wojną, lepiej, z większym wysiłkiem, z większą jednością wysiłku poprowadzili naszą sprawę podczas wojny, wynik byłby bez porównania większy.

Do tego momentu biorę całkowitą odpowiedzialność za politykę polską. Jeżeli nie dość pomyślne rozwiązanie tej wielkiej dla naszego bytu państwowego kwestii ziem zachodnich pochodzi w tej czy innej mierze z naszej nieumiejętności, czy zaniedbania – ja przede wszystkim jestem za to odpowiedzialny. Czy jako kierownik tej polityki przed wojną i w pierwszym okresie wojny, czy później jako przewodniczący Komitetu Narodowego w Paryżu, czy wreszcie jako pierwszy, a przez dłuższy czas jedyny, delegat polski na konferencji pokojowej – przez cały czas odpowiedzialność na siebie brałem i powiększałem ją przez to, iż starałem się nie dopuścić, ażeby cokolwiek z naszej strony było robione wbrew mojej woli, wbrew temu, co uważałem za dobre.

Całe życie byłem przeciwnikiem odpowiedzialności zbiorowej, działania w ten sposób, że nigdy dobrze nie wiadomo, kto jest winien zła. Uważałem, że za każdą pracę jej kierownik musi odpowiadać i że do władzy kierowniczej ma prawo tylko ten, kto gotów jest ponosić odpowiedzialność za wszystkie następstwa. Wódz, który zwycięstwa przypisuje sobie, a na innych zwała klęski, jest człowiekiem moralnie niedojrzałym i jako taki – na swoim odpowiedzialnym stanowisku nieuczciwym.

W momencie wszakże, o którym mowa, kończy się moja rola jako pierwszego delegata polskiego na konferencji pokojowej. Przechodzi ona do rąk głowy rządu polskiego, prezesa Rady Ministrów, Paderewskiego, który zjechał do Paryża i z tytułu swego stanowiska zajął moje miejsce jako pierwszy delegat.

Przybył on w momencie bardzo trudnym i niebezpiecznym. Wprawdzie rzecz najważniejsza, granica niemiecko-polska, już była zrobiona, projekt traktatu z Niemcami przygotowany, ale traktat nie był podpisany. Niemcy się jeszcze nań nie zgodziły. Wrogie zaś względem Polski stanowisko Anglii kryło niebezpieczeństwa, któreśmy wszyscy przeczuwali.

Paderewski miał dobry stosunek osobisty nie tylko z Wilsonem, ale i z Lloydem George'em. To, poza jego stanowiskiem oficjalnym, ułatwiało mu zbliżenie się do Rady Pięciu. Mógł rozmawiać osobiście z premierem angielskim, co mnie się nigdy nie zdarzyło.

Przez cały czas pobytu w Paryżu delegację polską wobec Rady Najwyższej reprezentował Paderewski, on z jej członkami konferował, on prowadził politykę polską. Porozumiewaliśmy się od czasu do czasu, ale ster był w jego ręku. Były nawet posiedzenia Rady, na których z naszej strony on tylko był obecny, bo zaproszenie na jego ręce przychodziło nagle i nie miał czasu mnie zawiadomić. Później już to się nie zdarzało, gdy prezydium konferencji zaczęło przysyłać zaproszenia każdemu z nas osobno.

Znalazłem się nieco na boku spraw najważniejszych. Tymczasem dokoła naszej sprawy wytwarzała się atmosfera coraz cięższa, cięższą jeszcze czułem dokoła siebie. Przychodzili do mnie ludzie z przyjaznymi radami, żebym się jak najbardziej w cień usunął, gdyż będąc znienawidzony przez Żydów, którzy za kulisami wywierają wpływ duży, niemile widziany przez premiera angielskiego, który rządzi na konferencji, nie mogę w tych warunkach nic dla sprawy polskiej zrobić. Rady te nie trafiały mi do przekonania, bo nie wierzę w polityce w rzeczy robione dla pięknych oczu, ale w cień do pewnego stopnia zeszedłem przez to samo, żem przestał być pierwszym delegatem, że formalne kierownictwo sprawy już nie do mnie należało. Premier zaczął nawet używać do pomocy nowych ludzi, jak p. August Zaleski, przedstawiciel aktywistów w Londynie podczas wojny, pożytecznych, jak uważał, ze względu na stosunki z otoczeniem Lloyd'a George'a.

Delegacja niemiecka przygotowywała tymczasem swe obiekcje przeciw projektowi traktatu. Ma się rozumieć, najważniejsze miała przeciw wytkniętej w traktacie granicy niemiecko-polskiej. Na jej pisemny elaborat, który nam zakomunikowano, nastąpiła pisemna, również obszernie motywowana, zredagowana przez Mariana Seydę odpowiedź delegacji polskiej, którą przesłaliśmy do prezydium konferencji.

Wówczas to Lloyd George uznał, że przyszedł czas na zaatakowanie Śląska. Wszczął sprawę w Radzie Pięciu, powołał się na opinię Niemców, że ludność Górnego Śląska nie chce do Polski należeć, i oświadczył, iż wie na pewno, że Niemcy traktatu nie podpiszą, jeżeli zwycięzcy w tym punkcie nie ustąpią. W owym momencie już panowała nad wszystkim chęć doprowadzenia sprawy jak najszybciej do końca. Wilson denerwował się, że może za długo siedzieć w Europie.

Premier angielski zaproponował plebiscyt. Wilson bronił Śląska dla Polski, ale w końcu uległ, tym bardziej iż Lloyd George powiedział, że plebiscyt na pewno wypadnie na korzyść Polski, i na to właśnie trzeba go ustanowić, żeby Polacy tym mocniejszy tytuł mieli do posiadania tej ziemi!...

Premier angielski i prezydent Stanów Zjednoczonych doszli do porozumienia: jeden miał tę satysfakcję, że obdzierał Polskę, drugi – że jej bronił. Plebiscyt został postanowiony.

Dopiero po zapadnięciu decyzji w Radzie Pięciu wezwano oficjalnie delegację polską.

W odróżnieniu od Paderewskiego, po raz pierwszy miałem rozmawiać z członkami Rady o zmianie granicy, wytkniętej w projekcie traktatu.

Gdyśmy weszli z Paderewskim do niewielkiej sali, w której zasiadało pięciu ludzi decydujących o losach świata, Clemenceau siedział w kącie, w roli biernego świadka – rolę przewodniczącego wziął na siebie Wilson. Wobec tego, że w dyskusji zabierali głos tylko Wilson, Lloyd George i my dwaj, toczyła się ona po angielsku.

Rozpoczął Wilson, zawiadamiając nas, że wytkniętą w traktacie linię graniczną Rada Najwyższa skorygowała, ściśle przestrzegając zasady, żeby granica polityczna odpowiadała granicy narodowej, i że wobec tego, iż Niemcy twierdzą, że ludność śląska nie chce do Polski należeć, Rada zdecydowała plebiscyt.

Gdy skończył, zabrał głos Paderewski i w wymownych słowach oświadczył, że to będzie bolesny cios dla Polski.

Na to Wilson powiedział, że i jego to bardzo martwi, ale niestety, jest to konieczne.

Po nim Lloyd George powiedział, że i jemu jest przykro, wobec tego, że to przykrość sprawia p. Paderewskiemu, bo ma wielką przyjaźń dla p. Paderewskiego, ale plebiscyt jest konieczny.

Jakkolwiek rzecz była widocznie przesądzona, gdy przyszła kolej na mnie, usiłowałem wykazać niesprawiedliwość tej decyzji i jej nielogiczność z punktu widzenia celów, które sobie stawiali twórcy tego pokoju. Główną część tego wystąpienia już wyżej przytoczyłem. Naturalnie, moja krytyka skutku żadnego już mieć nie mogła.

W końcu przeszedłem do kwestii granicy w Poznańskim i na Pomorzu i zwróciłem uwagę, że nie tak znów ściśle przestrzegano zasady zgodności granicy politycznej z narodową, bo w szeregu punktów pozostawiono mniejsze lub większe przestrzenie z niewątpliwą większością polską poza granicą Polski.

– W jakich punktach? – zapytał Lloyd George. Wyliczyłem mu szereg okręgów. Gdym wymienił babimojski, premier zawołał:

– Jak? Bomst?

– Bomst.

- Bomst?

- Bomst.

Ładnie przerobiły te Niemcy polski Babimost, jeżeli nawet Lloyd George tego przełknąć nie mógł.

- Niech pan pokaże na mapie.

Położył na stół nową, skorygowaną mapę Rady Najwyższej. Wskazałem mu punkty, gdzie barwa błękitna, oznaczająca większość polską, wyraźnie się przelewała poza linię graniczną.

- To będzie naprawione! - rzekł.

Nigdy nie było naprawione.

Ponieśliśmy wielką klęskę. Zachowanie się późniejsze Anglików na Śląsku i postępowanie Lloyd George'a przed i po plebiscycie aż nadto wyraźnie wskazywało, że nie chodziło mu o to, żeby nam dać „mocniejszy tytuł do posiadania tej ziemi”, jak powiedział na Radzie Pięciu.

Prawdopodobnie ta klęska była nieunikniona. Wolałbym ją wszakże ponieść po zaciętej walce. Niesłychana metoda działania Rady Pięciu nie dała nam do niej sposobności.

Górny Śląsk oddany został na pastwę eksperymentu plebiscytowego, przeprowadzonego następnie w sposób, który dawał Niemcom ogromną nad nami przewagę.

Te zmiany, które Rada Najwyższa konferencji pokojowej zaprowadziła najpierw w uchwałach komisji terytorialnej, a potem w przyjętym przez nią samą projekcie traktatu, były tak wielkim dla Polski ciosem, na taką odległość cofnęły nas od właściwego rozwiązania kwestii naszej granicy z Niemcami, od celu, który w głównej części był już prawie osiągnięty, że ilekroć wracam myślą do tej sprawy, mam uczucie zwyciężonego, który doznał krzywdy i upokorzenia. Tym większe upokorzenie, że, jak już powiedziałem, ponieśliśmy te straty prawie bez walki, byliśmy niejako biernym przedmiotem operacji.

Prawda, że pole do walki było bardzo niewielkie.

Na konferencji pokojowej głos miały wielkie mocarstwa i traktat pokoju był wypadkową starcia przede wszystkim ich interesów i dążeń. Państwa mniejsze nie były pozbawione dróg do wywierania wpływu, ale drogi te były bardzo wąskie i najeżone przeszkodami. Energia i rozum polityczny ludzi mniejsze państwa reprezentujących umiały sobie te drogi torować i rozszerzać; zależało to wszakże nie tylko od ludzi, ale także, i to przede wszystkim, od pozycji, jaką poszczególne państwa zajmowały w obozie sprzymierzonych. Im mocniejsza była pozycja państwa, tym bardziej stanowczy ton mogli przybierać jego przedstawiciele.

Niebezpieczną było rzeczą przeholować w tonie, bo to narażało na upokarzającą odprawę, która obniżała powagę delegacji danego państwa, a tym samym i jej wpływ

musiała osłabiać. Przykłady takiej odprawy już wyżej przytoczyłem: otrzymał ją z ust prezesa konferencji delegat jednej z republik południowoamerykańskich, gdy wystąpił z pretensją do wielkich mocarstw, że same o wszystkim decydują; dał ją przedstawiciel Anglii w komisji Noulensa Kramarzowi, gdy ten zbyt mocno przypominał, co Czesi zrobili dla sprzymierzonych...

Państwa mniejsze, które już istniały przed wojną, które w wojnie wzięły udział na podstawie umów z mocarstwami, miały pozycję bez porównania silniejszą od tych, które, jak Polskę i Czechosłowację, wojna dopiero powołała do życia i które, dzięki dobrej woli mocarstw, na konferencji debiutowały.

Z pierwszych najmocniejszą pozycję miały te, które najwięcej walczyły w wojnie, najcięższe poniosły ofiary i najwięcej się przyczyniły do zwycięstwa, a więc przede wszystkim Belgia, następnie zaś Serbia. Z dwóch nowych państw europejskich, Czechy wytworzyły na Zachodzie organ, mający niekwestionowane przez kraj stanowisko rządu narodowego i zawierający konwencje, mocą których zobowiązywał się do świadczeń na rzecz aliantów i otrzymywał w zamian zobowiązania. Słabsza o wiele była pozycja Polski.

Komitet Narodowy w Paryżu, jak już powiedziałem, nie miał tytułu rządu polskiego, a gdyby go chciał przybrać, byłby wywołał takie protesty ze strony polskich zwolenników państw centralnych, że to by stanowisko jego tylko osłabiło. Skutkiem tego nie mógł zawierać żadnych umów w imieniu całego narodu i Polska, formalnie rzecz biorąc, nie przystąpiła do przymierza z państwami zachodnimi⁶⁷. Jedyny organ, który miał tytuł rządu polskiego, rząd Rady Regencyjnej, był faktycznie podwładnym państw centralnych, a formalnie pozostawał z nimi w przymierzu. Przypomnieć tu także trzeba, że ze strony polskiej, gdy mowa o rzeczach widocznych, więcej bez porównania zrobiono dla państw centralnych niż dla ich przeciwników. Jeżeli które państwo miało pozycję dopuszczonego z łaski mocarstw na konferencję pokojową, to miała ją przede wszystkim Polska. Taka pozycja nie jest mocna i nie upoważnia do przemawiania tonem stanowczym. Trzeba było wielkiego taktu, wielkiej powściągliwości i ostrożności, żeby się nie narażać na przypominanie, co Polacy robili podczas wojny, a może i na złośliwą uwagę, iż powinniśmy być zadowoleni, że nie traktują nas jako zwyciężonych. W tych warunkach żądać swego zbyt kategorycznie było rzeczą niebezpieczną.

Cała siła pozycji polskiej polegała na znaczeniu Polski dla przyszłości Europy, dla przyszłego pokoju – i do tego tylko można było apelować. Ale to nie wszyscy z tych, co decydowali o losach świata, należycie rozumieli i nie wszyscy chcieli rozumieć.

Ba, gdyby nie było legionów, Rady Stanu, Rady Regencyjnej i jej rządu, armii Królestwa Polskiego itd., gdybyśmy mieli podczas wojny rząd narodowy na Zachodzie, gdyby armia nasza po stronie sprzymierzeńców była jedynym dobrowolnym czynem zbrojnym Polaków, gdybyśmy na tej podstawie mogli byli wchodzić w umowy, dawać w

⁶⁷ Tylko armia polska utworzona we Francji została uznana za sprzyjającą i współwojującą.

imieniu całej Polski zobowiązania i otrzymywać je od mocarstw – inaczej byśmy pewnie, ja i Paderewski, w Paryżu przemawiali. Ale w polityce nigdy nie powinno się mówić „gdyby”...

Z tej naszej słabej pozycji na konferencji pokojowej znakomicie sobie zdawał sprawę Lloyd George i gdy mu brakowało innych argumentów, umiał przypomnieć, że Polacy podczas wojny walczyli raczej przeciw sprzymierzonym, że zatem nie zasługują tak dalece, ażeby się z ich żądaniami liczyć. Jeżeli niektórzy nasi aktywiści mieli dobre stosunki z otoczeniem Lloyd George'a, to prawdopodobnie dlatego, że ich obóz zasłużył się, ułatwiając premierowi angielskiemu jego zadanie w sprawie polskiej na konferencji.

W okresie istnienia Rady Pięciu Lloyd George systematycznie dążył do tego, żeby z delegacją polską jak najmniej rozmawiano, jak najmniej pytano o jej zdanie, żeby jej wprost dyktowano warunki pokoju w sprawach polskich, tak jak się je dyktuje zwyciężonym.

W tych warunkach położenie nasze na konferencji stawało się z dnia na dzień niebezpieczniejsze, i radzi byliśmy, że się zbliża moment podpisania traktatu, który położy kres zwycięskiemu pochodowi premiera angielskiego i jego zdobyczom na rzecz Niemców.

Na krótko przed tym momentem, w drugiej połowie czerwca, dowiedzieliśmy się, że oprócz głównego traktatu przygotowywany jest jeszcze dodatkowy – między wielkimi mocarstwami a mniejszymi państwami środkowej Europy, którym ostatnie mają być związane w sprawie mniejszości narodowych u siebie. Łatwo było domyślić się, że tu chodzi przede wszystkim o Żydów i że konwencja jest wymierzona przede wszystkim przeciw Polsce. Tę konwencję przygotowywano pośpiesznie, ażeby była gotowa jednocześnie z traktatem wersalskim, ażeby mniejszym państwom, które wiązała, można ją było narzucić bez dyskusji: chcecie mieć traktat wersalski z jego korzyściami, podpiszcie konwencję...

Przygotowywano ją po cichu, nie dyskutowano jej z zainteresowanymi. W ostatniej chwili zakomunikowano jej treść pierwszym delegatom zainteresowanych państw mniejszych. Ja osobiście nie byłem wezwany na żadną dyskusję w tej sprawie. Tylko od mego kolegi, Paderewskiego, dowiedziałem się, że z nim w tym przedmiocie rozmawiają.

Z przedstawicieli państw mniejszych jeden tylko premier rumuński, Bratianu, chciał się oprzeć tej konwencji, wkraczającej w wewnętrzne sprawy państwa i naruszającej jego suwerenność. Miał on nawet żal do nas, że zbyt łatwo się na nią godzimy. Rozumiałem go i żałowałem bardzo, że nie znalazł w nas sojuszników do walki.

Nie można wszakże zapominać, że Rumunia znajdowała się w o wiele lepszym od nas położeniu. Ona była państwem, my zaś mieliśmy się nim stać dopiero na mocy traktatu wersalskiego; ten traktat obejmował najżywoźniejsze dla nas sprawy, gdy jej bezpośrednio nie dotyczył; odwleczenie podpisania traktatu wersalskiego lub pozostawienie w zawieszeniu niektórych spraw, które znajdowały w nim ostateczne rozstrzygnięcie, w warunkach, które wyżej przedstawiłem, mogło być dla nas groźne.

Jakkolwiek zdawałem sobie sprawę z trudności, które nam ta konwencja na przyszłość gotuje, jakkolwiek uważałem ją za bardzo szkodliwy nonsens polityczny, nie zachęcałem naszego premiera do oporu. Uważałem za główną rzecz w owej chwili mieć jak najprędzej podpisany traktat wersalski.

Nareszcie przyszedł dzień 29 czerwca 1919 roku, w którym odbyło się podpisanie traktatu w Wersalu.

Kładąc swój podpis pod tym traktatem, a jednocześnie pod leżącą na sąsiednim stoliku konwencją dodatkową, miałem jedynie uczucie ulgi, że proces o granicę niemiecko-polską na konferencji pokojowej już się skończył. To, co ocalało po najeździe Lloyd'a George'a na naszą granicę, jest już nieodwołalnie nasze. Wzięty za to odpowiedzialność wszystkie wielkie mocarstwa, a wśród nich Anglia; położyły pod traktatem swój podpis Niemcy.

Teraz trzeba było myśleć o pozostałych granicach. W komisjach już przygotowywano traktat regulujący spadek po monarchii habsburskiej.

VII. TRAKTAT W SAINT-GERMAIN. CIESZYN I GALICJA WSCHODNIA

Traktat mający usankcjonować rozbiór Austrii przedstawiał trudności, których przy traktacie wersalskim nie było. Tamten rozstrzygał kwestie między zwycięzcami a głównym zwyciężonym – tu występował cały szereg sporów wewnątrz obozu sprzymierzonych, pomiędzy państwami biorącymi udział w podziale spuścizny austriackiej: między Włochami a Jugosławią, między Jugosławią a Rumunią, między Czechami a Polską. Rada Najwyższa, chcąc wyrokować w tych sprawach, musiała się uczyć rzeczy dla siebie nowych, badać stosunki, o których członkowie jej nie mieli przedtem żadnego pojęcia.

– Któż z was słyszał przedtem o Cieszynie? – zawołał na jednym wiecu w Anglii Lloyd George głosem człowieka, który zrobił odkrycie geograficzne.

To wszystko wymagało wiele czasu. Tymczasem Wilson spieszył się z powrotem do Ameryki i chciał podpisać traktat jak najprędzej.

Niewiele pomogło to, że Węgry wyłączono i osobny traktat z nimi odłożono na później. Na terytorium dawnej Austrii pozostawały kwestie, w których Rada Pięciu wyjścia znaleźć nie mogła.

Najtrudniej jej było załatwić sprawę, zdawałoby się najprostszą, mianowicie przyznać Polsce to, co się jej należało. To każdy przecież wiedział, co Austria zagarnęła przy rozbiórce Polski i co do Polski musiało wrócić. Pozostawało rozgraniczenie pomiędzy Polską a Czechami na Śląsku, które zgodnie z przyjętymi na konferencji zasadami winno być pójść po granicy językowej, w tym wypadku wyraźnej i nie bardzo poplątanej. Takiemu wszakże łatwemu rozstrzygnięciu stanęła na przeszkodzie polityka przedstawicieli dwóch głównych mocarstw europejskich. Clemenceau chciał koniecznie zdobyć Cieszyn dla Czechów, Lloyd George za żadną cenę nie chciał wschodniej części Galicji oddać Polakom.

W Cieszyńskim była ludność polska, świadoma narodowo, wyraźnie wypowiadająca swą wolę, i kraj ten był niegdyś integralną częścią państwa polskiego; ale były tam także późniejsze, co prawda kwestionowane przez nas, prawa historyczne czeskie, była kolej z Bogumina do Czacy, a więc od granicy morawskiej do słowackiej, i był przede wszystkim węgiel.

W Galicji Wschodniej Polacy mieli niezaprzeczone prawa historyczne za sobą, mieli znaczną część ludności polskiej z jej rolą przodującą cywilizacyjnie i gospodarczo; ale obok Polaków byli tam Rusini, no i była... nafta.

Gdyby nie węgiel i nie nafta, rozstrzygnięcie tych kwestji nie nastroczyłoby tak wielkich trudności. Te dwa martwe minerały miały wielką wymowę; jeden przemawiał przeciw nam u Clemenceau, drugi u Lloyd George'a.

Nasze słuszne, poparte niezbitymi argumentami żądania i w jednym, i w drugim punkcie natrafiały na nieprzełamany opór. Argumentacja przeciw nam nie była dość silna, ażeby doprowadzić do rozstrzygnięcia na naszą niekorzyść. Znalezione zatem wyjście: pozostawiono obie sprawy w zawieszeniu.

Traktat w Saint-Germain, który ustanowił granice wszystkich państw na terytorium dawnej Austrii, granic Polski nie określił: kwestię ziem mających przypaść Polsce pozostawił otwartą. Galicja i Cieszyn po tym traktacie formalnie pozostały w rozporządzeniu mocarstw.

Ma się rozumieć, ten stan zawieszenia długo trwać nie mógł. Pracowano więc w dalszym ciągu na konferencji nad doprowadzeniem tych kwestji do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Historia zarówno Cieszyna, jak Galicji Wschodniej na konferencji pokojowej jest wcale pouczająca.

W pierwszej z tych spraw, jako grożącej walką zbrojną między dwoma państwami należącymi do obozu sprzymierzonych, Czechami a Polską, Rada Najwyższa już w końcu stycznia 1919 roku zdecydowała się na interwencję. Jak już wspomniałem, powierzyła ona misji Noulensa przeprowadzenie tymczasowej linii demarkacyjnej między Polakami a Czechami, co zostało w Paryżu z wielką trudnością, wobec uporu Czechów, uskutecznione.

Gdy przyszedł okres przygotowania traktatu w Saint-Germain, zaczęły się dyskusje między nami a Czechami w komisji terytorialnej. W dyskusjach tych myśmy mieli górę, co zresztą nie było trudne, wobec oczywistej słuszności naszej sprawy. Członkom komisji terytorialnej, nie wyłączając Francuzów – generała Le Ronda i barona Degrandy – trzeba oddać sprawiedliwość, że zachowywali się w tej sprawie bezstronnie. Jednakże wobec tego, że premier francuski miał w kwestii cieszyńskiej z góry urobione zdanie, a raczej podczas wojny już zaciągnięte zobowiązania, dyskusje te nie doprowadziły do określonego wyniku. Skutkiem tego traktat w Saint-Germain granicy między Polską a Czechami nie ustanowił.

Konieczność wszakże rychłego rozstrzygnięcia tej kwestii była tak oczywista, że Rada Najwyższa postanowiła wziąć ją w swoje ręce. Postawiła ją na porządku dziennym i wezwała na swe posiedzenie delegację polską i czeską.

Tym razem była to znów Rada Dziesięciu. Pośpiechu już nie było. Lloyd George już swoje najgłówniejsze zadanie spełnił, ludzie kompetentni już mu nie zawadzali.

Przy rozpoczęciu posiedzenia ze strony polskiej byłem tylko ja, Paderewski bowiem, zajęty gdzie indziej, przybył znacznie później. Czechów reprezentowali Benesz i Kramarz.

Przewodniczący Clemenceau dał pierwszy głos Beneszowi, który w obszernym przemówieniu motywował stanowisko czeskie. Opierał się on nie tyle na prawach czeskich do Cieszyna, ile starał się wykazać, że Czechosłowacja bez tej ziemi istnieć nie

może. Kolej z Bogumina do Czacy, jak twierdził, jest właściwie jedyną komunikacją między Czechami a Słowaczczyzną, przemysł zaś czeski, stanowiący podstawę bytu gospodarczego kraju, cierpi na brak węgla i bez węgla cieszyńskiego żyć nie może.

Po nim zabrał głos Kramarz, który mówił dość namiętnie, kładł mocny nacisk na prawa czeskie, wreszcie wskazywał na podniecenie ludności czeskiej na miejscu, która nie zniesie krzywdy.

Swym tonem i swą argumentacją ułatwił mi on znacznie zadanie.

Gdy po nim przewodniczący mnie udzielił głosu, zacząłem od powołania się na moją przyjaźń dla Czechów, której dowiodłem podczas wojny, pracując dla ich sprawy jak dla swojej. Pochodziła ona z głębokiego przekonania, że położenie obu narodów, niebezpieczeństwa, które im grożą, nakazują im solidarność i zgodne pożycie. Zgodne to pożycie wszakże będzie możliwe tylko wtedy, gdy nie będzie Czechów pod panowaniem polskim, a Polaków pod czeskim. Dlatego koniecznością jest przeprowadzić granicę polityczną możliwie najściślej po linii granicy narodowej. Sami proponujemy przyłączenie do Czech tego kawałka Księstwa Cieszyńskiego, na którym większość ludności jest czeska; reszta wszakże musi należeć do Polski. My chcemy, żeby państwo czesko-słowackie miało wszelkie warunki pomyślnego rozwoju i nie zamykamy oczu na jego potrzeby, ale delegacja czeska przesadza, gdy mówi o konieczności posiadania Cieszyna przez Czechy. Kolej przez Jabłonków nie jest dla nich jedyną komunikacją ze Słowaczczyzną, a połączenie w tym kącie Moraw z dalszym ciągiem tej kolei na terytorium słowackim będzie wymagało zbudowania bardzo niewielkiego dystansu nowej linii. My wiemy, że przemysłowi czeskiemu brak węgla, ale cieszyńskie kopalnie tego braku nie zaspokoją. Czechy zawsze sprowadzały węgiel z Górnego Śląska pruskiego i będą musiały brać go nadal od Polski, a im lepsze będą między nami stosunki, tym większe będziemy im robili w tym względzie ułatwienia. Natomiast kopalnie cieszyńskie dają węgiel koksowy, którego Czechy mają dość u siebie, a którego Polska nie posiada. Węgiel cieszyński jest o wiele potrzebniejszy Polsce niż Czechom.

Załatwiwszy się z prawami historycznymi Korony św. Wacława, która razem ze Śląskiem utonęła w morzu niemieckim i której ziemie potem odradzały się narodowo, czeskie po czesku, a polskie po polsku, ostatnie wracając do swej prastarej macierzy – Polski, zatrzymałem się na sprawie nastroju ludności miejscowej.

– Przecież ta ludność – zwróciłem się do delegatów czeskich – po wojnie okazała żywą chęć zgody i sprawiedliwego rozgraniczenia. Przecież Polacy i Czesi na miejscu zawarli między sobą układ, rozgraniczający sfery czeską i polską po linii bardzo bliskiej tego, czego my dziś żądamy. Jeżeli usposobienie ludności czeskiej się zmieniło, to kto temu winien? Wy, panowie delegaci. Wyście im pisali, że cały Cieszyn będzie czeski, że alianci są za wami, że Polacy nic nie dostaną...

W chwili, kiedy to mówił, na salę wszedł mój kolega, Paderewski. Widziałem, że mój ostry ton w stosunku do delegatów czeskich nieco go przeraził. I mógł przerazić

człowieka, który nie słyszał całego mego przemówienia. Tymczasem był on bardzo w tym miejscu potrzebny, nie tylko dla naszych przyjaciół Czechów, ale i dla Rady Najwyższej.

Gdy skończył, jeden z delegatów wielkich mocarstw rzekł do mnie półgłosem:

– Benes leży na obie łopatki. Jeżeli sprawa będzie dziś zdecydowana, otrzymacie wszystko, czego żądacie.

Po mnie zabrał głos Paderewski, który mnie poparł w nadzwyczaj pięknym przemówieniu. Niepotrzebnie tylko zastrzegł na początku, że się nie godzi z tonem mojego przemówienia, co wywołało nawet wyraz zdziwienia na twarzach słuchaczy, którym ten ton, przeciwnie, do przekonania trafił.

Wszyscy przyznawali, że tego dnia odnieśliśmy walne zwycięstwo nad Czechami. Rozumiał to i Clemenceau i dlatego zamknął dla spóźnionej pory posiedzenie, odkładając decyzję Rady Najwyższej na później. Czy był to sposób wywarcia nacisku, żeby decyzja nastąpiła bez długiej zwłoki? Doprawdy nie wiem...

Sprawa została właściwie odłożona *ad acta*. Warunki do takiego rozstrzygnięcia, jakiego chciał premier francuski, przewodniczący konferencji, popsły się. Trzeba było czekać pomyślniejszych. Znalaziono je w roku 1920, kiedy Polska po wyprawie kijowskiej pokornie musiała błagać na Zachodzie o pomoc. Rozstrzygnięto sprawę w warunkach najniekorzystniejszych, jakie można było dla nas wymyślić. Czy można było zapobiec wprowadzeniu kwestii cieszyńskiej na porządek dzienny w owej chwili? Na to odpowiedź mogłoby dać tylko nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Jeszcze bardziej pouczający przebieg miała sprawa Galicji Wschodniej.

Jeżeli w pierwszej połowie wojny groziło nam niebezpieczeństwo, że, w razie zwycięstwa państw sprzymierzonych, po tę ziemię sięgnie Rosja, to od roku 1917, od rewolucji rosyjskiej i wstąpienia Ameryki w szereg państw wojujących, prawo nasze do niej zaczęto kwestionować z przeciwnego bieguną, ze stanowiska liberalno-doktrynerskiego. Słabym punktem naszych przeciwników było, że Rusini byli całkiem oddani państwu centralnym i niepodobna było w obozie sprzymierzonych zaprezentować ich przedstawicieli, którzy by wystąpili z rewindykacjami „narodu ukraińskiego”.

Pracujące na ich rzecz organizacje wolnomularskie usiłowały wydobyć ich na wierzch w Ameryce, w owej Lidze Środkowo-Europejskiej, o której już mówiłem. Gdyby się to przedsięwzięcie udało, mielibyśmy jeszcze przed końcem wojny oficjalną reprezentację ukraińską na Zachodzie, co by walkę przeciw nam w sprawie Wschodniej Galicji znakomicie ułatwiło. Nasza wszakże odmowa wzięcia udziału w tej organizacji położyła całemu przedsięwzięciu rychły koniec.

Niemniej robota na rzecz oderwania Galicji Wschodniej od Polski szła i w Stanach Zjednoczonych, i w Anglii, i nawet we Francji, ile że gorliwie w tym kierunku pracowali także Czesi.

Z chwilą, gdy Radę Najwyższą konferencji opanował Lloyd George i gdy stanowisko doktrynerskie w tej sprawie znalazło realną podstawę w punkcie widzenia naftowym, niebezpieczeństwo ogromnie wzrosło.

Nasze stanowisko bardzo osłabiał fakt walki zbrojnej z Rusinami. Prawda, że bohaterska obrona Lwowa, prowadzona przez dłuższy czas własnymi siłami, przy neutralnym zachowaniu się rządu warszawskiego, świadczyła, że ta Galicja Wschodnia nie jest znów tak zupełnie ziemią ruską, skoro miejscowi Polacy zdolni są wytrzymać walkę z Rusinami; niemniej przewlekanie się tej walki nie przemawiało ostatecznie na naszą korzyść. Pozwalało ono wnioskować, że albo Rusini przedstawiają tak wielką i tak dobrze zorganizowaną siłę, że Polska jako całość nie może sobie z nimi poradzić; albo że dla znacznej części Polaków wynik tej walki jest obojętny, że im na posiadaniu Galicji Wschodniej wcale nie zależy. Ostatnie, gdy mowa o ludziach stojących wówczas u władzy w Warszawie, nie było bardzo dalekie od prawdy, jak świadczyły wynurzenia na posiedzeniach Komitetu Narodowego, robione przez zastępcę delegata na konferencję, dr. Dłuskiego, męża zaufania Naczelnika Państwa.

Nietrudno było widzieć, że losy Galicji Wschodniej zależą przede wszystkim od wyniku walki na miejscu, że praw naszych do tej ziemi będziemy mogli bronić o tyle tylko, o ile ją będziemy faktycznie posiadali, o ile będzie się znajdowała niepodzielnie w naszych rękach. Zdawałem sobie z tego sprawę od początku i to tłumaczy całe moje w tej sprawie postępowanie.

W pierwszych miesiącach konferencji przyszła do mnie z kraju prośba, ażeby wyjednać zajęcie Galicji Wschodniej przez wojska alianckie. Odmówiłem stanowczo zrobienia jakiegokolwiek kroku w tym względzie: byłem pewien, że gdyby taka okupacja raz nastąpiła, my byśmy już do tego kraju nie wrócili. Później przyjechała do mnie delegacja ze Lwowa, która prosiła, żeby przy pomocy mocarstw przeprowadzić rozejm z Rusinami. Byli to ludzie zacni, patriotyczni, którzy boleli nad ofiarami walki, nad dziećmi ginącymi w obronie Lwowa, którzy chcieli przerwać tę tragedię. Mieli łzy w oczach, gdy ze mną mówili. I tym razem, jakkolwiek wiele mnie to kosztowało, zmuszony byłem odmówić. Rozejm przeprowadzić nie byłoby trudno, ale Rusini, raz uznani w konwencji rozejmowej na zajętych przez nich obszarze, uznani przez Polskę i przez mocarstwa, znaleźliby tylu nieproszonych nawet protektorów, że już nie dopuszczono by do ich zlikwidowania. Sprawa Galicji Wschodniej poszłaby do rozstrzygnięcia drogą procesu między nami a nimi przed Radą Najwyższą, procesu, którego adwokat walijski nie pozwoliłby im przegrać.

– Tam dzieci giną! – powiedzieli mi moi zacni rodacy.

– Mnie to tak samo, jak was boli – odpowiedziałem. – Ale nie ma ofiar, których nie należy ponieść, żeby się utrzymać w posiadaniu tej naszej ziemi, bez której Polska nie będzie niepodległa. Jeżeli chcemy ją posiadać, musimy własnymi siłami tę wojnę ruską zlikwidować.

Premier angielski widoki swoje opierał na niepomysłnym dla nas przebiegu tej walki.

Wreszcie Lwów dostał trochę pomocy. Obrona jego poszła rażniej, zwłaszcza gdy przybył jeden z pułków poznańskich, który na prośbę Paderewskiego pośpieszył do Galicji Wschodniej. Niektórzy politycy na Zachodzie zaczęli się niepokoić.

W owym to czasie, już po traktacie wersalskim, zaczął się przejazd armii polskiej z Francji do Polski, nie przez Gdańsk, temu Anglia stanowczo się oparła, ale drogą lądową, przez Niemcy. Obawiano się, żeby ta armia nie pomogła do uspokojenia Galicji Wschodniej. Wilson wymógł na Paderewskim przyrzeczenie, że nie będzie ona użyta do walki z Rusinami.

Armia ta w liczbie siedmiu dywizji dobrze uzbrojona i zaopatrzona, stała się tak poważnym zasiłkiem wojskowym dla naszego młodego państwa, że, pomimo zajęcia naszych wojsk walką na froncie bolszewickim, położenie nasze w Galicji Wschodniej zaczęło się szybko poprawiać. Z postępów naszych było widoczne, że idziemy szybko do zlikwidowania całej awantury.

Nie uszło to uwagi premiera angielskiego. Był dobrze informowany o przebiegu walki. Postanowił za wszelką cenę ratować armię ukraińską od ostatecznej katastrofy.

Na Radzie Najwyższej przeprowadził ustanowienie komisji pod przewodnictwem delegata południowoafrykańskiego, generała Bothy, dla przeprowadzenia rozejmu między Polską a Rusinami.

Zauważę tu, że Lloyd George chętnie się posługiwał delegatami Afryki Południowej, dwoma Burami, którzy w wojnie transwalskiej walczyli przeciw Anglii, generałami Smutsem i Bothą. Ludzie ci, wykształceni na Starym Testamencie, stosunki europejskie słabo znający, bardzo się nadawali do nierozumienia rzeczy, których dla celów premiera angielskiego lepiej było nie rozumieć.

Komisja ta natychmiast zaczęła działać. Wezwała delegację polską na pierwsze posiedzenie.

Jadąc na to posiedzenie z Paderewskim, prosiłem go, żeby tę sprawę całkowicie pozostawił w moich rękach, na co premier chętnie się zgodził.

Botha otworzył posiedzenie komisji, złożonej z przedstawicieli wszystkich wielkich mocarstw, w tonie bardzo uroczystym. Zawiadomił nas, że Rada Najwyższa nie mogąc patrzeć dłużej obojętnie na przelew krwi we Wschodniej Galicji, postanowiła doprowadzić do rozejmu między stronami walczącymi. Następnie zaś oświadczył, iż wie dobrze, że armia ukraińska z chwilą, gdy rozejm będzie zawarty, stanie razem z Polską do walki przeciw bolszewikom rosyjskim. W końcu zapytał, czy delegacja polska podziela te dążenia Rady Najwyższej i czy godzi się na zawarcie rozejmu.

Paderewski odpowiedział na to w terminach ogólnych i zakończył oświadczeniem, że, wobec bliskiego swego wyjazdu do kraju, sprawę tę mnie pozostawia do załatwienia.

Wobec tego Botha zwrócił się z zapytaniem do mnie.

Odpowiedziałem, że w dążeniu do przerwania przelewu krwi w Galicji Wschodniej, łączymy się całkowicie z Radą Najwyższą. Nas ta sprawa więcej boli, wobec tego, że musimy tu walczyć z ludnością, z którą przez sześć stuleci żyliśmy zgodnie i pod jednym dachem, a którą wrogowie nasi przeciw nam podszczuli i uzbroili.

– Więc panowie godzą się na zawarcie rozejmu? – zapytał Botha.

– Naturalnie.

– I przyjmą panowie warunki rozejmu podyktowane przez Radę Najwyższą? – wtrącił przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

– Nie – odpowiedziałem – warunki my podyktujemy.

– Mam obowiązek przypomnieć panu – rzekł Botha – że przyszłość Galicji Wschodniej jest w rękach Rady Najwyższej i nie zależy od przebiegu walki na miejscu.

– Wiem to dobrze, panie generale. Moim wszakże obowiązkiem jest poinformować panów, że walka tocząca się w Galicji Wschodniej jest walką o byt i bezpieczeństwo całej Polski, a może i o przyszłość całej Europy. Panowie wiedzą dobrze, iż Polska znajduje się w walce z bolszewizmem rosyjskim, który przez nią usiłuje się wdrzeć na Zachód. Również panowie wiedzą, że bolszewizm panuje na Węgrzech. Bolszewicka Rosja od bolszewickich Węgier oddzielona jest pasem ziemi, który się nazywa Galicją Wschodnią. My tę przegrodę musimy utrzymać, żeby nie być zalanymi przez bolszewizm, co, zresztą, otwarłoby dla niego całą Środkową Europę. Również panowie wiedzą, że w walce z bolszewizmem jesteśmy pozostawieni sobie. Stąd łatwo panowie zrozumieją, że do nas należy dyktowanie warunków rozejmu, który ma nam bezpieczeństwo zapewnić.

– Jakież są panów warunki? – zapytał Botha.

– Główne są trzy – odpowiedziałem – po pierwsze zajęcie całej Galicji Wschodniej przez wojska polskie; po drugie – zreformowanie armii ukraińskiej przez misję wojskową aliancko-polską, tak ażeby była zdalna do walki przeciw bolszewikom, to znaczy usunięcie z niej wszelkich żywiołów bolszewickich, austriackich i niemieckich; po trzecie – natychmiastowe wzięcie pod kontrolę rządu polskiego wszystkich źródeł ropy, dla przecięcia handlu bronią, do którego ona służy.

– A jeżeli Rada Najwyższa nie zaakceptuje warunków, które pan stawia? – zapytał znów przedstawiciel Ameryki.

– To my je zrealizujemy, z bronią w ręku.

Botha oświadczył, że przedstawi nasze warunki Radzie Najwyższej i tym pierwsze posiedzenie komisji zostało zakończone.

Dodać trzeba, że w Paryżu bawiła jakaś delegacja ukraińska, gotowa do podpisania rozejmu, z którą to delegacją komisja Bothy, równie jak z nami, rozmawiała.

Na następne posiedzenie komisji poszedłem w towarzystwie eksperta wojskowego, generała Rozwadowskiego, naówczas szefa Misji Wojskowej Polskiej w Paryżu.

Botha zakomunikował nam, że Rada Najwyższa nie zgadza się na nasze warunki rozejmu i proponuje swoje. Warunki te obejmowały podział kraju na sfery okupacji polskiej i ruskiej. Linia demarkacyjna między tymi dwiema sferami, w kształcie litery S, pozostawiała Lwów po naszej stronie, ale Drohobycz i Borysław po przeciwnej. Stanowczo autorowie tych warunków odmawiali nafcie narodowości polskiej.

Ja ze swej strony odmówiłem dyskusowania szczegółów tej propozycji, stojąc niezmiennie przy naszych warunkach.

Po krótkiej dyskusji, w której jeszcze raz powtórzyliśmy nasze motywy i w której mój towarzysz uzasadniał z punktu widzenia wojskowego nasze stanowisko, posiedzenie skończyło się na niczym.

Wreszcie zaproszono nas po raz trzeci.

Botha oświadczył, że Rada Najwyższa nie zmieniała swego stanowiska i żąda, ażebyśmy jej warunki przyjęli.

Odpowiedziałem, że my swego stanowiska zmienić nie możemy i kategorycznie odmawiamy przyjęcia warunków Rady Najwyższej.

Wtedy przewodniczący przeszedł znów na ton uroczysty, od którego na pierwszym posiedzeniu zaczął. Powiedział, że Rada Najwyższa, w przewidywaniu odmowy z naszej strony, poleciła mu postawienie mi szeregu pytań.

Wyraziłem gotowość odpowiedzi na wszystkie pytania.

Po kilku pytaniach niezbyt interesujących, na które udzieliłem takiej odpowiedzi, jaka była możliwa, generał burski, coraz bardziej wpadający w styl luterańskiego kaznodziei, rzekł głosem tragicznym:

– A teraz ostatnie pytanie. Wielkie mocarstwa, zgromadzone w Paryżu, ażeby zapewnić światu pokój, pragną przerwać przelew krwi, gdziekolwiek on się odbywa. Czy Polacy, odmawiając podpisania rozejmu na innych warunkach jak te, które sami postawili, biorą na siebie odpowiedzialność za dalszy przelew krwi i za wszystkie jego następstwa?

Obserwowałem Francuzów, generała Le Ronda i barona Degrandę, jak im ten styl kaznodziejski do ich smaku francuskiego przypada. Nie chcąc psuć harmonii, wpadłem w ton generała burskiego i odrzekłem:

– Umysł ludzi jest słaby. Być może, że my się mylimy, że nie widzimy jasno. Ale w naszym przekonaniu dla nas przelew krwi się nie przerywa i nie przerywa nawet w tym miejscu, o którym mowa. Jesteśmy pewni, że gdybyśmy zawarli rozejm na warunkach proponowanych przez Radę Najwyższą, gdybyśmy przyjęli jej linię demarkacyjną, to nazajutrz mielibyśmy wojnę na tej linii, tylko już nie z Rusinami, tylko z najazdem bolszewickim. Otóż, jeżeli wielkie mocarstwa zgromadzone w Paryżu, ażeby zapewnić

świata pokój, gotowe są swoimi środkami zapewnić nam pokój i bezpieczeństwo od najazdu bolszewickiego – ja gotów jestem dyskutować warunki, które one proponują.

Na to Botha rzekł:

– W takim razie, nie widzę nic innego, jak zakomunikować Radzie Najwyższej rezultat negatywny.

– Panie prezesie – odpowiedziałem uprzejmie – myślę, że to jest jedyna rzecz do zrobienia.

Tak skończyła swą rolę komisja generała Bothy.

Zdawałoby się, że sprawa rozejmu w Galicji Wschodniej została pogrzebana.

Jednak nazajutrz przyszedł do mnie poważny dyplomata angielski, człowiek, którego znałem i dla którego miałem wielki szacunek.

– Przychodzę do pana – rzekł – w sprawie tego rozejmu w Galicji.

– Jak to – zapytałem – przecież to sprawa już skończona.

– Nie. Wielkie mocarstwa stanowczo żądają, żeby pan ten rozejm podpisał.

Tego już miałem za wiele.

– Wielkie mocarstwa czy Anglia? – zapytałem.

– Przychodzę do pana w imieniu mocarstw.

Widziałem, jak temu uczciwemu człowiekowi ciężko było spełniać misję, którą mu narzucono, niezawodnie wbrew jego chęci.

– Proszę pana – rzekłem – wielkie mocarstwa od chwili wybuchu wojny popełniły na wschodzie Europy szereg błędów, które się dziś mszczą na nas i na wszystkich sprzymierzonych. Jest to ich rzecz, robiły to one na swoją odpowiedzialność. Dziś wszakże chcąc popełnić błąd może największy ze wszystkich i chcąc, żebyśmy my na tym swój podpis położyli. Otóż mnie moje sumienie nie pozwala i oświadczam panu jak najbardziej stanowczo, że tego rozejmu nie podpiszę.

– Panie Dmowski, mam polecone powiedzieć panu, że jeżeli pan odmówi podpisania rozejmu na warunkach proponowanych przez Radę Najwyższą, wielkie mocarstwa mogą zadać sobie pytanie, czy warto jest robić poświęcenia, ażebyście na zachodniej waszej granicy dostali to, co wam traktat wersalski przyznaje.

Była to groźba, że Pomorze, Bydgoszcz i inne części zaboru pruskiego, które znajdowały się jeszcze w rękach niemieckich, jakkolwiek na mocy traktatu należały już do Polski, mogą być przy Niemcach pozostawione. Usiłowano mnie zastraszyć – uderzono w mój nerw najczulszy. Musiało komuś bardzo zależeć na tym rozejmie, skoro się uciekł do metody mającej wcale brzydką nazwę w języku pospolitym.

Zza pleców dżentelmena angielskiego, który ze mną rozmawiał, wyrzał mi sprytny adwokat walijski, którego bogactwo metod już miałem sposobność poznać.

– Proszę pana – rzekłem – w tej sprawie ja nie mam głosu. Jest to rzeczą wielkich mocarstw wiedzieć, co jest wart ich podpis i ich honor. Niech mi pan wierzy – dodałem po chwili – że zbyt pana osobiście szanuję, ażeby mi nie sprawiało wielkiej przykrości prowadzenie tej rozmowy właśnie z panem. Dlatego proszę pana, skończmy ją. Dalsze jej trwanie nie doprowadzi do żadnego innego rezultatu, jak ten, że ja podpisu swego odmawiam. Natomiast byłbym panu wdzięczny, gdyby pan zechciał pomówić ze mną o niektórych innych rzeczach.

Rozmowa nasza trwała dalej, aleśmy już do sprawy rozejmu nie wracali.

W trakcie jej zwróciłem się do mego gościa:

– Chciałbym u pana sprawdzić jedną wiadomość. Doszło mnie z Polski, że oficer ukraiński, który brał udział w poprzednich pertraktacjach rozejmowych we Lwowie, przy udziale oficerów państw sprzymierzonych, chwalił się, jakoby obecny oficer angielski podał mu za plecami innych kartkę ze słowami: „Nie ustępujcie – Anglia was poprze”. Czy to może być prawdą?...

Mój Anglik blado się uśmiechnął.

– Jeżeli oficer ukraiński to mówił, nie jest to jeszcze dowodem, żeby to była prawda.

– Ma pan słuszność – rzekłem – byłoby to raczej dowodem, że to nieprawda. Dlatego też pana zapytałem. Szkoda, że ta wiadomość rozeszła się po całej Polsce, budząc w kraju nieufność względem Anglii...

Tym razem Lloydowi George'owi się nie udało.

W krótkim czasie wojska nasze zlikwidowały podarowaną nam przez konającą Austrię armię ukraińską i zajęły resztę kraju do granicy rumuńskiej.

Ta historia rozejmowa na gruncie paryskim wskazuje, ile to czasem pracy i wysiłku trzeba użyć dla powiedzenia jednego „nie”. Wysiłku tego wszakże szczerzyć nie należy, bo to małe słówko w pewnych położeniach ma ogromną wartość.

Po zlikwidowaniu awantury ruskiej w Galicji Wschodniej ci, którzy chcieli wydrzeć ją Polsce, znaleźli się w tym przykrym położeniu, że nie było jej komu podarować. Nie było do tej ziemi pretendenta, którego by można było oficjalnie zaprodukować.

Wobec tego zaczęto w komisji terytorialnej konferencji dyskutować warunki, na których można Polsce tę ziemię przyznać. Ze strony prezydium komisji wysunięto projekt rodzaju autonomii dla części Galicji na wschód od Przemyśla. Dyskusje te przeciągały się i nie doprowadziły do żadnego pozytywnego wyniku. Myśmy się nie spieszyli, zdając sobie sprawę z tego, że faktyczne posiadanie przez nas kraju, przy nieobecności pretendenta do niego, usuwa niebezpieczeństwo poważnego zamachu dyplomatycznego na nasze posiadanie.

Można było mieć obawy, że władze warszawskie nam wychowają pretendenta do Galicji Wschodniej, że Petlura wyrośnie na potencję która potem tej ziemi zażąda. Jednakże, bliżej przyglądając się robocie ukraińskiej Piłsudskiego i znając cokolwiek stan

rzeczy na Ukrainie rosyjskiej, można było widzieć, że z tego nic nie będzie. Robota ta kosztowała nas wiele, ale ziemią czerwieńską za nią nie zapłaciliśmy. Pozostała ona naszą i jest integralną częścią państwa polskiego w jego uznanych przez mocarstwa granicach.

Kosztowało to wiele ciężkich ofiar. Lwów zapisał wielką kartę swych dziejów, taką, jakiej żadne inne miasto polskie od dawna nie miało. W obronie jego padło wiele młodzieży, z której wyrosłoby najdzielniejsi dla Polski ludzie. Ale ta młodzież uratowała dla państwa ziemię polską, na której tyle pokoleń Polskę budowało i bez której o niezawisłej naprawdę Polsce nie ma mowy.

VIII. GRANICA WSCHODNIA. WYNIKI WALKI O GRANICE POLSKI I ICH ZNACZENIE

Poza względnie drobną, niemającą poważniejszego dla państwa znaczenia sprawą zmian granicznych w Tatrach, na Spiszu i Orawie – rozstrzygniętą w następstwie połowicznie, skutkiem zbyt gorliwej interwencji francuskiej na rzecz Czechów – pozostawała wielka kwestia granicy wschodniej, kwestia, zasadniczo rzecz biorąc, najtrudniejsza.

Stanęła przede wszystkim poważna wątpliwość, czy konferencja pokojowa może ustanawiać granicę między Polską a Rosją pod nieobecność Rosji. Rosja nie była państwem zwyciężonym, przeciwnie, należała do koalicji wojującej z państwami centralnymi. W ciągu wojny została usunięta spośród państw wojujących przez rewolucję, która trwała w dalszym ciągu i która uniemożliwiała jej udział w konferencji.

Rewolucyjnej Rosji sprzymierzeńcy nie uznawali, tej, która przyjdzie po rewolucji, nie widzieli. Wobec tego, nie pozostawało im nic innego, jak czekać, trzymając w zawieszeniu tak bezpośrednio obchodzące Rosję sprawy jej przedwojennego terytorium państwowego.

Trzymając się wszakże zbyt ściśle tego stanowiska, niepodobna byłoby ustanowić państwo polskie, główną bowiem, środkową część Polski, dawne Królestwo Kongresowe, Rosja także zaliczała za milczącą zgodą mocarstw do swego terytorium państwowego. Wprawdzie Rząd Tymczasowy rosyjski w roku 1917 uznał niepodległość Polski, ale granicy między nią a Rosją nie przeprowadził...

Kwestia zatem przedstawiała się w postaci bardzo skomplikowanej.

Prezydium konferencji wprawdzie zażądało od delegacji polskiej przedstawienia jej żądań w sprawie granicy wschodniej, cośmy uczynili (znana powszechnie linia Komitetu Narodowego), ale dyskusji z nami w przedmiocie tych żądań nie podejmowano. Myśmy też rozumieli, że tę sprawę zdecyduje przyszłość, zależnie od tego, jakie będą dalsze losy Rosji, że musi być ona załatwiona przede wszystkim między nami a Rosją. Później dopiero mocarstwa zrobiły próbę ustanowienia minimalnej granicy polskiej na wschodzie, w postaci tzw. linii Curzona, próbę zupełnie niepotrzebną, bo niemogącą mieć żadnego znaczenia.

Granicę między Polską a Rosją wykreślił dopiero w roku 1920 traktat ryski pomiędzy Polską a Republiką Sowiecką. Tę granicę w końcu uznały mocarstwa, bez powoływania się zresztą na ów traktat, co daje jej znaczenie granicy ustanowionej przez mocarstwa niezależnie od faktu istnienia traktatu ryskiego.

Na północnej części naszej granicy wschodniej powstało nowe państwko – Republika Litewska. Nieuznane formalnie przez mocarstwa, miało ono jednak poparcie wszystkich tych, którzy przeciwdziałali utworzeniu silnej, samoistnej Polski. Wpływy

zakulisowe protegujące Litwę były tak duże, że żadne właściwie z mocarstw nie usiłowało im się przeciwstawić.

Nasze stanowisko w kwestii litewskiej było jasne. Wobec istnienia wśród Litwinów od lat blisko pięćdziesięciu ruchu w kierunku odrodzenia narodowego, nie odmawialiśmy im prawa do odrębnej organizacji politycznej. Polsce istnienie odrębnego narodu litewskiego nie przeszkadza i nie grozi żadnymi niebezpieczeństwami pod warunkiem, żeby nie był używany przez jej wrogów za narzędzie. Trzeba tylko określić, co to jest terytorium litewskie i jak się przedstawiają warunki samoistności politycznej tego terytorium.

Litwa, przez krótki okres duże państwo, od czasu unii z Polską poddała się wpływowi cywilizacji polskiej, stała się krajem polskim. Na tej jednak części dawnego państwa litewskiego, która była zaludniona przez szczep litewski, mowa litewska wśród ludu się zachowała i na gruncie tej odrębności językowej zjawiał się w ostatnich czasach ruch narodowy litewski. Otóż naród, odradzający się na gruncie odrębności językowej, posiada takie terytorium, jakie obejmuje jego język. Uznając więc Litwinów jako odrębny naród, można go uznać tylko na obszarze, na którym większość ludności jest z języka litewski. Wszelkie inne stanowisko jest nielogiczne.

Ludności mówiącej po litewsku, żyjącej w dość zwartym skupieniu jest niecałe dwa miliony. Obszar zaś, na którym ta ludność jest w większości, liczy mniej więcej dwa i pół miliona mieszkańców. Powstaje pytanie, czy taki mały kraj posiada warunki do stania się całkowicie samoistnym państwem, zwłaszcza w położeniu geograficznym Litwy, leżącej w punkcie krzyżowania się interesów niemieckich, rosyjskich i polskich.

Naszego stosunku do Litwy nie można utożsamiać ze stosunkiem innych jej sąsiadów. Jest on uwarunkowany następującymi faktami:

1) dążenie Litwinów do rozwinięcia i utrwalenia swego bytu jako odrębnego narodu, które to dążenie uznajemy, nie widząc w nim, jako takim, niebezpieczeństwa dla siebie;

2) fakt, że Litwa jest krajem cywilizacji polskiej, związana bowiem kościelnie i państwowo z Polską, od początku XV wieku weszła szybko w sferę naszej cywilizacji i w niej się wychowała;

3) istnienie na obszarze językowym litewskim znacznej liczby Polaków, nie tylko z języka, ale z myśli, uczuć i dążeń – którzy, dodać tu trzeba, nie są świeżymi lub nawet dawniejszymi kolonistami, tylko odwiecznymi mieszkańcami kraju;

4) dla północno-wschodniej części obszaru polskiego, leżącej w dorzeczu Niemna, dostęp do morza jest możliwy tylko przez Litwę;

5) Niemcy, dążący do zniszczenia samoistnego bytu państwowego i narodowego Polski i do opanowania Rosji, patrzą na Litwę jako na przedłużenie Prus Wschodnich, traktują ją jako bazę operacyjną przeciw Polsce i jako most do Rosji.

Trzeba nadto stwierdzić, że warunki przyrodzone i wynikający z nich ustrój gospodarczy Litwy nie przedstawiają finansowej możliwości trwałego utrzymania odrębnego państwa.

Z tych wszystkich faktów wychodząc, w programie naszym, z którym wystąpiliśmy podczas wojny i na konferencji pokojowej, uznaliśmy za konieczną odrębną organizację polityczną Litwy (na obszarze językowym litewskim), zapewniającą jej rozwój narodowy, złączoną jednak konstytucyjnie z państwem polskim. To rozwiązanie kwestii litewskiej było jedynie sensownym z punktu widzenia interesów zarówno litewskich, jak polskich, najbardziej zbliżającym nas do warunków trwałego pokoju w naszej części Europy.

Nie widząc zasadniczej sprzeczności między interesami naszymi a Litwinów, staraliśmy się zdobyć dla Litwy to, czego ona sama, będąc w obozie sprzymierzeńców nieobecna, zdobyć dla siebie nie mogła. Oderwanie Kłajpedy od Prus Litwini zawdzięczają naszej akcji podczas wojny i na konferencji pokojowej. Dążeniem naszym było oderwać i Tylżę, tj. i lewy brzeg Niemna, posiadający ludność litewską: udało nam się obronić tylko połowę naszego w tym punkcie programu.

Niestety, przywódcy ruchu litewskiego uważają, że ruch ten przede wszystkim przeciw Polsce kierować trzeba, wobec tego, że mają do czynienia na miejscu z polskością i jej wpływami, że lud litewski, acz odrębny językowo, ma tradycyjne poczucie związku z Polską. To ich oddaje w ręce każdego, kto chce ich przeciw Polsce zużytkować.

Program polski w kwestii litewskiej był zwalczany w obozie sprzymierzeńców przy ich pomocy przez wszystkie te wpływy, które usiłowały nie dopuścić do wytworzenia dla Polski warunków trwałego bytu i pomyślnego rozwoju.

Niemcy od chwili okupacji Litwy zabrali się do organizowania Litwinów przeciw Polsce. Jednocześnie na Zachodzie polityka wolnomularska systematycznie wyodrębniała sprawę litewską od polskiej, starając się przeciąć wszelki między jedną a drugą związek. Wpływy żydowskie bardzo energicznie przeciwstawiały Litwę Polsce i dosyć wcześnie już zaczęły działać na rzecz rozszerzenia Litwy poza obszar językowy, kosztem Polski. Program wcielenia do Litwy Wilna był szczególnie przez Żydów popierany. Liczyli widocznie, że stanowiąc dużą siłę liczebną i majątkową w samym Wilnie, pozyskają w nowym państwie litewskim pierwszorzędną rolę.

Z chwilą, kiedy Lloyd George zdobył na konferencji rolę kierowniczą, punkt widzenia niemiecki i żydowski musiał w kwestii litewskiej zwyciężyć. Wszystko zrobiono, ażeby Litwa stała się narzędziem niemieckim przeciw Polsce. Państwu polskiemu pozostała walka o słuszną granicę z Litwą, o polskie Wilno, które przy pomocy wszelkich możliwych intryg usiłowano Litwie podarować. Ta walka została w następstwie ostatecznie rozstrzygnięta. Wilno pozostało przy Polsce w jej uznanych przez mocarstwa granicach; niemniej przeto pretensje Litwinów do Wilna, podsycane przez tajne czynniki za granicą, nie przestają dawać tytułu rządowi Republiki Litewskiej do oporu przeciw legalnym, opartym na traktatach stosunkom z Polską.

W rozstrzygnięciu sprawy naszych granic wschodnich osobiście udziału nie brałem. Nawet dyskusji w tej sprawie na konferencji pokojowej nie miałem możliwości przeprowadzić. Pozostawała ona długo w zawieszeniu, moja zaś rola, jako przedstawiciela Polski na konferencji, nagle się skończyła jesienią 1919 roku. Zapadłem na ciężkie, skutkiem ogólnego wyczerpania sił, zapalenie płuc, które mnie trzymało blisko dwa miesiące w łóżku, po czym musiałem wyjechać na dłuższy czas do północnej Afryki. Od tego czasu cała polityka polska skupiła się w naszym ministerstwie spraw zagranicznych.

Pojęcie terytorialne państwa polskiego, które znalazło wyraz w programie Komitetu Narodowego, w walce, którąśmy o jego granice prowadzili, w głównej swojej treści ocalało. W obszarze jednak, któryśmy uważali za konieczny dla Polski XX stulecia i do którego w naszym przekonaniu mieliśmy prawo, porobione zostały ważne wyłomy, co przez długi czas będzie państwu utrudniało jego położenie.

Historia ustalenia granic Polski i ich uznania przez mocarstwa jest jedyna: przykładu czegoś podobnego nie było. Po traktatach zawartych w roku 1919 przez państwa zwycięskie ze zwyciężonymi ustaloną i uznaną naszą granicą była tylko linia od Górnego Śląska do Bałtyku i część granicy z Prusami Wschodnimi. Reszta granicy z Niemcami miała być zdecydowana przez plebiscyty, a całość granic państwa poza tym zostawała formalnie w zawieszeniu. Ustaliły się one następnie drogą faktu.

Cztery lata upłynęły od otwarcia konferencji pokojowej do uznania granic Polski przez mocarstwa.

Ten wyjątkowy przebieg sprawy ustalenia granic Polski pochodził nie tylko stąd, że Rosja, która przed wojną posiadała główną część ziem polskich, była na konferencji nieobecna, ale także, i to przede wszystkim stąd, że przeciw naszemu pojęciu obszaru nowej Polski zszeregowały się potężne czynniki, które przez cały czas toczyły z nami zaciętą walkę.

Z kim o tę Polskę walczyliśmy?...

Ażeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba przede wszystkim uprzytomnić sobie, jakie pojęcie Polski naszemu przeciwstawiono.

Była to Polska bez dostępu do Bałtyku, bez Pomorza, bez Śląska a nawet, jak to chwilami przeglądało, bez Poznania, bez Galicji Wschodniej i bez Wilna, na wschodzie kończąca się gdzieś koło Brześcia Litewskiego – Polska, złożona z niecałego Królestwa Kongresowego i Galicji Zachodniej.

Czyż to koncepcja Polski? Kto był jej autorem?...

Przypomnijmy sobie, że taką Polskę przygotowywano już na długo przed wybuchem wojny. Idąca równolegle robota przyśpieszonej germanizacji ziem zaboru pruskiego, budowania Ukrainy w Galicji Wschodniej, wreszcie wzmocnionego ataku rosyjskiego na ziemie wschodnie, do których zaliczono nawet nową gubernię chełmską, miała właśnie za cel wykrajanie takiej miniaturowej Polski z ziem rozległej niegdys

Rzeczypospolitej. Już wskazywałem, że ta równoległość roboty trzech państw nie była przypadkowa, że było to właściwie wykonywanie jednego planu nakreślonego w Berlinie.

Podczas wielkiej wojny mieliśmy możliwość przekonać się, że autorstwo tego planu istotnie do Berlina należy. Widzieliśmy, że te żywioły w Polsce, które się uzależniły od państw centralnych, dla tej, a nie dla innej koncepcji Polski pracowały. Zrzeczenie się ziem zaboru pruskiego, zrzekanie się Galicji Wschodniej (nawet po zwycięstwie sprzymierzonych), pomysły federacyjne na Wschodzie – wszystko to nie było niczym innym, jak zamykaniem Polski w granicach niecałego Królestwa i zachodniej Galicji.

Brutalnie odsłonił ten plan Niemiec pokój brzeski.

Taką koncepcję nowej Polski napotkaliśmy w rozmaitych miejscach i w państwach wojujących przeciw Niemcom. Znamienną było rzeczą, że amerykańska komisja ekspertów prawie do końca wojny miała instrukcję, żeby się ziemiami zaboru pruskiego nie zajmować. Wilson przez długi czas rozumiał dostęp Polski do morza jako neutralizację dolnego biegu Wisły i wolny port w Gdańsku, a nie był w tym względzie odosobniony, bo nawet we Francji trudno było ludziom uwierzyć, żeby Polska mogła terytorialnie sięgnąć do Bałtyku. Przeciw naszemu posiadaniu Galicji Wschodniej bardzo silnie pracowano nie tylko w Anglii i w Ameryce, ale także i we Francji. Litwa miała silnych protektorów we wszystkich państwach sprzymierzonych i wszędzie spotykaliśmy się z robotą na rzecz oddania jej Wilna. Wreszcie cofnięcie nas na wschodzie do Brześcia Litewskiego było dążeniem ujawnianym na całej linii.

Wojna nie pozrywała sieci wpływów niemieckich, rozciągniętej po całym świecie. Trzeba było być ślepym, żeby nie widzieć ich działania podczas wojny w państwach sprzymierzonych. Dla Niemiec pracowali tak czy inaczej zamaskowani Niemcy i inni agenci będący w służbie ich państwa, dla nich pracowali Żydzi, ich koncepcje polityczne szerzyły związane z nimi odłamy wolnomularstwa, im wreszcie pomagali nawet niektórzy Polacy na Zachodzie. Tymi drogami zdołali oni infiltrować do obozu sprzymierzonych swoje pojęcie Polski, swój w sprawie polskiej program, który w rozmaitych punktach znalazł równie gorliwych, jak sami Niemcy, bojowników.

Na konferencji pokojowej Lloyd George walczył już świadomie o uratowanie, co się da, z programu niemieckiego.

Niewielu było w Europie ludzi, którzy sobie zdawali sprawę z głębokiego znaczenia walki między tymi dwoma pojęciami Polski, między programem polskim a niemieckim.

Do czego prowadziło stworzenie Polski zgodnie z pojęciem niemieckim?

Państwo zamknięte w granicach Królestwa kongresowego i zachodniej Galicji, liczące jakieś kilkanaście milionów mieszkańców, odcięte od morza, otoczone nieprzerwanym półkolem granicy niemieckiej, z wrzynającą się w jego ziemie silną bazą niemiecką na Górnym Śląsku nie miałyby najmniejszych danych ani do gospodarczej, ani do politycznej samoistności i musiałyby się uzależnić całkowicie od Niemiec. Jedyne państwo w Europie Środkowej mające przyrodzone dane do poważniejszego

przeciwstawienia się Niemcom byłby sparaliżowany. Niemcy po przegranej wojnie mieliby wszystkie dane do panowania nad środkową Europą i lepsze jeszcze niż przed wojną warunki do ujarznienia Rosji. Stworzenie wielkiego kontynentalnego imperium gospodarczego, a co za tym idzie, i politycznego, imperium najpotężniejszego na świecie, byłoby dla Niemiec tylko kwestią krótkiego czasu. Polska w tej wielkiej maszynie byłaby podrzędnym kółeczkiem – *angegliedert*, według wyrażenia Beselera – pod kierownictwem Niemiec, im służąca, przez nie systematycznie wyzyskiwana, coraz bardziej stająca się krajem niemieckim.

My, walcząc o nasze pojęcie Polski, szliśmy do stworzenia w środkowowschodniej Europie nowego państwa całkiem samoistnego zarówno gospodarczo, jak politycznie, państwa mającego dane do zdobycia roli mocarstwowej, mogącego służyć za oparcie dla mniejszych narodów Europy Środkowej, oddzielającego Niemcy od Rosji, wreszcie mającego wartość cennego sojusznika dla wielkich narodów, którym przerost potęgi niemieckiej zagraża, państwa zatem stanowiącego poważny czynnik równowagi europejskiej.

Rozumieliśmy, że przy najszcześniejszym nawet rozstrzygnięciu kwestii obszaru Polski do tej roli od razu ona nie dojdzie, że musi się wychować przedtem nowe pokolenie, z nowymi pojęciami, z poważniejszym obliczem moralnym niż ludzie wyrosli w niewoli – pokolenie zdolne podołać wielkim zadaniom niezawisłego państwa.

Walka o nasze terytorialne pojęcie Polski, to nie tyle była walka o ten czy inny kawałek ziemi, ile o całą przeszłość środkowej i wschodniej Europy.

Ta walka – między nami a Niemcami – toczyła się od dawna. Czyśmy walczyli przeciw germanizacji ziem zaboru pruskiego, czy przeciw polityce rosyjskiej w Polsce, czy przeciw ukrainizacji Galicji Wschodniej – była to ta sama walka naszego pojęcia Polski przeciw niemieckiemu.

Na konferencji pokojowej to także nie była walka z Anglią, tylko z Niemcami, których Lloyd George był rzecznikiem.

Ta walka, w tym pojęciu, nie została rozstrzygnięta. To, cośmy zdobyli, ma tę wartość, że posiadamy poważne dane do pomyślnego prowadzenia jej dalej. Toczy się ona nieustannie, z dnia na dzień, toczy się o to, czy Polska będzie państwem naprawdę niezawisłym, czy też przy pozorach niepodległości sprowadzona zostanie do roli prowincji wielkiego imperium niemieckiego.

Jakkolwiek wiele czynników na ostateczne rozstrzygnięcie tej walki będzie się składało, „to jednak zadecyduje o nim wartość narodu polskiego, jego żywotność, jego twórczość i charakter jego politycznych ludzi”.

ZAMKNIĘCIE

Półtora stulecia dzieli odbudowanie państwa od pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej – półtora stulecia prób najpierw ratowania państwa od ostatecznego upadku, później wyzwolenia się spod jarzma. Próby te były bezowocne, kończyły się klęskami. Cel, ku któremu były zwrócone, coraz bardziej się oddalał, Polska politycznie spadała coraz niżej. Dopiero naszemu pokoleniu, w dobie, w której się zdawało, że jak najdalsi jesteśmy od powrotu do własnego państwa, dane było święcić zwycięstwo sprawy, dla której ojcowie nasi tyle wycierpieli, tyle ofiar ponieśli.

Czemu to zawdzięczamy? Czy temu, żeśmy poświęcili więcej od poprzednich pokoleń, żeśmy lepiej od nich się bili?...

Wartość bojowa naszej rasy w wielkiej wojnie, poprzedzającej odbudowanie państwa, okazała się wysoka. Żołnierz polski ujawnił wielkie zalety. W legionie bajończyków, który po bohatersku poszedł w ogień na polach Francji, w legionach walczących po stronie państw centralnych, w legii puławskiej po stronie rosyjskiej, w korpusie Dowbora-Muśnickiego, w armii polskiej we Francji, w powstaniu poznańskim, w szeregach obrońców Lwowa, w dywizji białorusko-litewskiej, w wojsku polskim na Syberii, w szeregach obcych, do których zaciągnął się jako ochotnik, w armiach państw rozbiorczych, w których służył przymusowo, wreszcie w armii nowego państwa polskiego – wszędzie okazał się pierwszorzędnym żołnierzem, wszędzie bił się znakomicie. Takie karty, jak Arras, Krechowce i wiele innych zawsze należeć będą do najpiękniejszych w dziejach polskiego bohaterstwa.

Ale w przededniu odbudowania państwa nasz wysiłek bojowy był rozproszony, Polacy walczyli i przymusowo, i dobrowolnie, w równej prawie sile po obu stronach. Co po jednej zrobili, po drugiej odrobili. Skutkiem tego nasz wysiłek bojowy nie wpłynął na losy wojny i nie mógł zdobyć niepodległości dla ojczyzny.

Innych ofiar, ofiar dobrowolnych na rzecz wielkiej sprawy, ponieśliśmy mało.

Można z całą pewnością powiedzieć, że nasze pokolenie wykazało o wiele słabszą ofiarność od poprzednich pokoleń porozbiorowych.

Czyż zatem całego naszego powodzenia nie należy przypisać pomyślnemu układowi warunków zewnętrznych, a zwłaszcza faktowi, że po raz pierwszy mocarstwa, które rozebrały Polskę, starły się między sobą w wojnie?

Tak, przede wszystkim temu. Ale, jak to widzieliśmy, w tych, tak pomyślnie dla nas ułożonych warunkach, mogliśmy uzyskać własne państwo w takich granicach, przy których nie miałyby ono żadnych widoków na istotną niezawisłość; więcej jeszcze, był niejeden moment, kiedy nam groziło całkowite pogrzebanie naszej sprawy, i to za naszym znów przyczynieniem się, jak to już bywało.

Czemu zawdzięczamy, żeśmy uniknęli tych niebezpieczeństw i że wyszliśmy, nie chcąc powiedzieć, zwycięsko – bo za wiele wydarto nam tego, co nam się należało – ale z własnym państwem, jednoczącym trzy zabory i mającym dane do tego, ażeby przy męskim, konsekwentnym wysiłku narodu zdobyć sobie godne miejsce w świecie i być samoistnym twórcą swoich losów?...

Zawdzięczamy to głębokim przemianom, które zaszły w samym naszym narodzie.

Spółeczeństwo polskie w dobie wojny światowej a to samo społeczeństwo czasu rozbiorów lub nawet czasu powstania styczniowego – to dwa bardzo odległe od siebie światy.

Często słyszymy narzekania na to, że się tyle zmieniło na niekorzyść w Polsce, że dzisiejsze społeczeństwo jest o wiele gorsze od dawniejszego. U jednych jest to powszechnie znane idealizowanie przeszłości, u innych, mianowicie w tych warstwach, które w swej roli społecznej zostały zdegradowane, jest to przenoszenie własnych odczuć na cały naród, inni wreszcie mają o tyle słuszość, że wskazują cały szereg ujemnych zjawisk naszego życia, których dawniej nie było, a które przedstawiają dla naszego bytu narodowego poważne niebezpieczeństwa i wartość naszą, jako narodu, obniżają.

Wszelki typ życia społecznego ma swoje dodatnie i ujemne strony, wszelki rozwój jego w tym czy innym kierunku wytwarza jednocześnie i źródła siły, i źródła słabości. Szybkie przeobrażenie się wewnętrzne naszego społeczeństwa w ciągu ostatniej połowy stulecia, odbywające się w wyjątkowo nieprzyjaznych warunkach politycznych, wytworzyło wiele zjawisk niezdrowych, na które w tej książce zwracałem już uwagę. Ale ileśmy uszli naprzód, ile nabrali siły, której dawniejsze pokolenia nie posiadały, jak poważnie zmniejszyła się odległość między nami a wyżej od nas cywilizowanymi narodami Europy!...

Polska XX wieku już nie jest tym krajem z zabójczo uproszczoną budową społeczną, którego ludność składa się prawie wyłącznie z narodu szlacheckiego i z biernej masy poddanych chłopów, krajem zabitym deskami od świata, niewiedzącym, nierozumiejącym, co się naokoło niego dzieje, w którym nieliczna sfera, oświecona po europejsku i utrzymująca z Europą stosunki, więcej związana jest moralnie i umysłowo z zagranicą niż z krajem. Nie jest to już owo społeczeństwo naiwne, żyjące urojeniami i złudzeniami, niezdające sobie sprawy ze współczesnej rzeczywistości, z własnego położenia, dające sobie wmawiać najniedorzeczniejsze pojęcia i pomysły. Nie jest to wreszcie ów pozbawiony wewnętrznej organizacji naród, niezdolny do przejawienia swego instynktu samozachowawczego, któremu organizację przynoszono z zewnątrz i z zewnątrz wytykano drogi działania.

Jesteśmy dziś o wiele bardziej, niż byliśmy jeszcze pięćdziesiąt lat temu, narodem. W ciągu tego ostatniego pięćdziesięciolecia świadomość narodowa w szerokich masach zrobiła olbrzymie postępy. Twarda walka o byt narodowy, a jednocześnie wytężona walka o byt gospodarczy, wydobyla już dużo uśpionej energii z narodu, nauczyła go mierzyć się z rzeczywistością, liczyć się z faktami, patrzeć prawdzie w oczy, wykształciła niemały już realizm w sposobie myślenia. Przemiany polityczne w państwach, do których należeliśmy, wciągnęły społeczeństwo w życie polityczne – w ścieraniu się z zagadnieniami tego życia polityka przestawała być funkcją oderwaną, poezją, literaturą, zaczęto rozumieć jej związek z życiem. Udział w parlamentach pociągnął za sobą organizację społeczeństwa w stronnictwach politycznych.

Na tym tle kształciła się samoistna myśl polityczna, krytyczna ocena położenia narodu, krytycyzm w stosunku do haseł i programów, wytwarzała się zdolność do tworzenia planu działania i do zorganizowanego czynu.

W tych słowach maluję nie proces, który się zakończył, ale który odbywał się szybko, który, zależnie od warunków, w różnych częściach Polski różne zrobił postępy, który najdalej zaszedł w zaborze pruskim, gdy na przeciwnym krańcu Polski, w Krajach Zabrzanych, dopiero początkował.

Skutkiem postępów tego procesu naród polski coraz zdutniejszy się stawał do nowoczesnego życia, do pracy, której to życie wymaga, i do walki o własne dobro, którą ono narzuca. W polityce polskiej coraz bardziej zacieśniało się pole do fantazji, do pomysłów jednostek i grup, do narzucanych z zewnątrz obcych dążeń – polityka musiała coraz bardziej stawać się wyrazem instynktu samozachowawczego narodu.

W tragicznej chwili naszych niedawnych dziejów, kiedy z ust zawiedzionego polityka polskiego padły słowa: „dla Polaków można coś zrobić, ale z Polakami nigdy!” – rozpoczęły się głębokie i szybkie przemiany w ustroju społeczeństwa, które musiały doprowadzić do tego, że coś dobrego w Polsce można zrobić tylko z Polakami.

Wojna światowa zastała ten proces w połowie drogi.

Gdyby on był dalej zaszedł przed jej wybuchem, bylibyśmy w niej zdobyli się na więcej o wiele wysiłku, wykazali o wiele większą jego jedność i wyszli z niej z o wiele lepszą Polską.

Temu, kto umiał wejrzeć dobrze w życie naszego narodu we wszystkich dzielnicach, kto rozumiał duszę społeczeństwa, głębokie przemiany w tej duszy nie mogły być obce. Musiał widzieć, jak dawne pojęcia polityczne, dawne sposoby działania szybko bankrutują, jak bezwzględny opór to społeczeństwo zaczyna stawiać narzucanym mu hasłom i programom, gdy te nie godzą się z jego pojęciami, nie odpowiadają jego instynktowi samozachowawczemu.

Polska porozbiorowa znała dwa właściwie programy polityczne: jeden – program spisków przygotowujących powstania, program walki zbrojnej przeciw Rosji przede wszystkim, jako głównemu wrogowi Polski, ostoji reakcji w Europie; drugi – program rezygnacji, pogodzenia się z państwami rozbiornymi, zdobycia w ich granicach łatwiejszej egzystencji. I jeden, i drugi był narzucony społeczeństwu. Pierwszy czerpał natchnienie, zachętę, wskazówki z tajnych organizacji międzynarodowych; drugi zdawał się wytworem rodzimym, wytworem pewnych nielicznych grup naszego społeczeństwa, coraz więcej wszakże danych przemawia za tym, że i on brał natchnienia z zewnątrz.

Pierwszy zbankrutował już w zeszłym stuleciu. Reakcja przeciw niemu wytworzyła na razie pomyslnie warunki dla drugiego, dla programu tzw. ugodowców, który zaczął święcić triumfy w zaborze austriackim, a potem i w rosyjskim. W początku wszakże obecnego stulecia i ten drugi już był bankrutem. Zaczęła się krystalizować myśl nowa, torująca sobie drogi z trudem – w walce z dawnymi pojęciami, w zmaganiu się z rozbiciem społeczeństwa przez surowe dążenia klasowe.

Początek stulecia miał wszystkie znamiona okresu przejściowego, w którym myśl twórcza, myśl przyszłości stopniowo wyłania się z chaosu, ale w którym dla umiejących patrzeć przyszłość zarysowuje się już wyraźnie.

Polityka, którą w tej książce wyłożyłem, zrodziła się z tych przeobrażeń wewnętrznych narodu, wyrosła samorzutnie z gruntu rodzimego, była w istocie swej wyrazem nowo kształtującej się myśli polskiej. Kierownicy jej wyprzedzali rozwój tej myśli zarówno w metodach działania, jak przede wszystkim w aspiracjach, w dalej sięgających planach, ale wiedzieli, że to nie jest przeciwstawieniem się dążeniom narodu, tylko wyprzedzeniem myśli ogółu narodowego, że społeczeństwo w krótkim czasie dojść musi do tych aspiracji i do tego zrozumienia dróg walki o przyszłość.

Skutkiem tego, żeśmy wyprzedzali myśl społeczeństwa, nie zawsze nas ono rozumiało, ale skutkiem tego, żeśmy ją wyprzedzali po prostej drodze – po której ono posuwało się samo, parte koniecznościami rozwojowymi – żeśmy nie próbowali sprowadzić go na manowce, nawet wtedy, gdy nas nie rozumiało, instynktownie czuło, że to, co robimy, jest robotą polską. I dawało nam takie poparcie, na jakie je stać było w danym momencie rozwoju jego energii politycznej.

Bez tego oparcia o społeczeństwo, o to, co było szczerze i mocno polskie w Polsce, nigdy byśmy nie zdołali przeprowadzić tej polityki, której wszystkie stadia w ogólnym zarysie przedstawiłem i której owoce zbieraliśmy po zakończeniu wojny.

Dzięki temu, że ogół nasz w ostatnich dziesięcioleciach już jako tako rozumiał położenie Polski, że zdawał sobie już sprawę z roli Niemiec w stosunku do Polski, że widział w nich główne dla swej przyszłości narodowej niebezpieczeństwo – nie przeszkodził on nam w naszej polityce w stosunku do Rosji i, choć nieraz była ona ciężka dla jego uczuć, nie odmówił nam swego zaufania. Dlatego w chwili, gdy się zarysowała możliwość starcia zbrojnego między Rosją a Niemcami, naród nasz nie zrobił fałszywego kroku, który by zastraszył Rosję niebezpieczeństwem polskim i na powrót ją – jak to było przed rokiem

1863 – ze współzawodnikiem zbliżył. Dlatego, gdy wybuchła wojna, my idąc z Rosją przeciw Niemcom, mieliśmy ogromną większość społeczeństwa za sobą.

Zbliżanie się wojny, która musiała z konieczności postawić na porządku dziennym sprawę polską w całej pełni, wyprowadziło na widownię próby dawnej roboty, stare hasła porozbiorowe i stare sposoby, obliczone na społeczeństwo nie takie, jakim jest, ale jakim było niegdyś, i prowadzące do tego samego co niegdyś skutku – do klęski. Znów wpływy obce, znów operowanie wielkimi tytułami i pieczęciami, znów liczenie na naiwność społeczeństwa, które wszystkiemu uwierzy... Po dawnemu zwróciły się one przeciw Rosji, jako głównemu wrogowi Polski i ostoi reakcji, po dawnemu przygotowywały grunt do rzucenia Rosji z powrotem w objęcia Niemiec.

Znamienne było, że tym razem oba walczące z sobą w ciągu dziejów porozbiorowych przeżyte już kierunki, powstańczy i ugodowy, zlały się w jeden ruch.

Hasła powstańcze, oddanie się pod komendę Austrii i Niemiec, związanie Polski z jednym lub drugim z tych mocarstw – wszystko to się godziło w jednym prądzie.

Skutkiem tego, że proces przeobrażenia wewnętrznego Polski, o którym wyżej była mowa, daleki był jeszcze od końca, że wszystko, co dalej stało od nowego życia narodu, słabo było nim dotknięte, ta stara, przeżyta polityka znalazła pewien grunt w kraju. Zagarnęła ona naiwniejsze, pozbawione poczucia rzeczywistości żywioły polskie i znalazła poparcie żywiołów od obcych czynników uzależnionych.

Tak, skutkiem tego, że wojna zastała naród polski w okresie przejściowym, w którym jedni przeszli już wiek XX, a drudzy tkwili jeszcze w XIX, a nawet i XVIII – naród polski w czasie tej wojny, w której cała jego przyszłość się ważyła, przedstawiał niesłychanie niebezpieczny obraz walki wewnętrznej, wyprowadzonej na zewnątrz: jedni stanęli po jednej, drudzy po drugiej stronie wojującej.

Dojrzewanie myśli polskiej szło szybciej niż rozwój polskiej energii politycznej. Gdyby ostatnia dorastała do myśli narodu, byłby on sobie szybko poradził i z reminiscencjami fatalnej przeszłości, i z obcymi wpływami. Niebezpieczna, prowadząca do zguby naszej sprawy polityka przetrwała całą wojnę. Powstańczy jej charakter rychło się zatracił, hasła walki z Rosją, z upadkiem Rosji również upadły – pozostała ugoda, ugoda już nie z Austrią, tylko z Niemcami.

Skutkiem tego jednak, że instynkt samozachowawczy narodu, dzięki organizacji, umiał znaleźć dla siebie wyraz, polityka polska nawet wtedy, gdy działała z dala od kraju, nie zawisała w powietrzu. Społeczeństwo polskie stało za nią i dawało jej moralne poparcie.

Dzięki temu zwyciężyliśmy. Brak jedności wysiłku polskiego wiele nas kosztował, ponieśliśmy bardzo ciężkie – przede wszystkim terytorialne – straty, ale istota Polski, państwa polskiego zdolnego do niezawisłego bytu, ocalała.

Jeżeli ogół narodowy nie zawsze nas, kierowników polityki polskiej, rozumiał, nie zawsze myślą z nami podążał, to żywioły, które nam się przeciwstawiły, ze swymi przeżyтыми pojęciami o Polsce i o polityce polskiej, nigdy, w najmniejszej mierze zrozumieć nas nie mogły. Tak samo, jak w dobie naszego wystąpienia na widownię polityczną kraju ugodowcy widzieli w nas obóz przygotowujący nowe powstanie, bo nie rozumieli, żeby poza akcją ugodową mogło istnieć co innego prócz spisków powstańczych – w przededniu wojny światowej i po jej wybuchu przeciwnicy nasi w Polsce wyobrazili sobie, że nasz stosunek do Rosji jest taki sam, jak ich stosunek do Austrii lub Niemiec, bo nie rozumieli, żeby mogła istnieć polityka polska stojąca na własnych nogach, niewisząca przy rządzie żadnego z państw rozbiornych.

Nie rozumieli tego, bo nie rozumieli społeczeństwa polskiego i głębokich przemian, jakie zaszły w jego stosunku do polityki.

Myśmy z tego społeczeństwa czerpali siłę, braliśmy żywy udział w jego pracy i walce we wszystkich trzech zaborach, trzymaliśmy rękę na pulsie jego życia, staraliśmy się w jego duszę jak najgłębiej wniknąć, zrozumieć, dokąd je prowadzą zachodzące w nim

przeobrażenia. To sprawiło, że polityka rychło przestała być dla nas literaturą, że widzieliśmy w niej funkcję życiową narodu. Z tego naszego związku z życiem narodu wyrosła nowoczesna polityka polska, szukająca dla wielkich aspiracji narodowych wyrazu konkretnego, realnego; polityka, która przez patriotyzm rozumiała nie gotowanie Polsce klęsk i kształcenie jej w męczeństwie, ale tworzenie i organizację jej sił i prowadzenie jej do zwycięstwa.

Dzięki temu przede wszystkim po raz pierwszy od bardzo dawnych już czasów zjawił się w polityce polskiej konkretny, ściśle określony cel. Polityka już nie była protestem przeciw uciskowi, nieokreślonym pragnieniem zrzucenia jarzma, ale pozytywnym dążeniem do stworzenia państwa polskiego, obejmującego Polskę XX stulecia; państwa ze ściśle określonym obszarem, odpowiadającym sile narodu i zapewniającym mu byt istotnie niezawisły.

To był pierwszy warunek. Gdybyśmy nie posiadali ściśle określonego celu, do niczego byśmy nie doszli. Gdybyśmy nie wiedzieli, jaką Polskę trzeba zbudować, nikt by tego w Europie nie wiedział.

Dzięki temu, żeśmy byli dziećmi Polski nowoczesnej, uczącej się realnie patrzeć na swe położenie, i na swe zadania, w wyborze dróg nie szukaliśmy tego, co malownicze, co może stworzyć kawałek literatury, chociażby lichej, melodramatycznej, ale tego, co istotnie prowadzi do celu, bez względu na to, jak dla niewprawnych oczu wygląda.

Dzięki temu, że wydało nas pokolenie dojrzewające w pracy i walce, nie zajmowaliśmy się oglądaniem swojej pozy w lustrach, ale na każdym kroku zastanawialiśmy się, jaki będzie skutek z tego, co robimy.

Tak, polityka, która doprowadziła do zjednoczenia Polski w niezawisłym państwie, w którym naród sam jest twórcą swoich losów, sam za te losy odpowiedzialny, to przeobrażenie, to dojrzewanie narodu idzie w o wiele szybszym, niż wczoraj, tempie. Polska będzie inna, niż była i jest jeszcze w znacznej mierze, ale będzie Polską i będzie silna.

Polityka, która była świadomym wyrazem zmian zaszłych w narodzie, jego dojrzałości do rządzenia się we własnym państwie, która w aspiracjach, w postawionych sobie celach, współczesne pokolenie wyprzedzała, nie była doskonała, bo naród doskonały nie jest. Względne zwycięstwo jej dał wyjątkowo pomyślny zbieg warunków zewnętrznych. Jednakże fakt, że nie zmarnowała tych warunków, co jej wielokrotnie groziło, że wyzyskała je tyle, ile, zdaje się, wyzyskać było można, zawdzięczała ona sile obozu, który tę politykę prowadził.

Na siłę tę składał się cały szereg czynników.

Był to obóz ogólnopolski, mający mocne podstawy we wszystkich dzielnicach. Nie był związany z interesami żadnej klasy społecznej, wyłącznie interesowi Polski służył. Nie był uzależniony w najmniejszej nawet mierze od żadnych czynników obcych. Posiadał dużą, dobrowolnie sobie przez ludzi nałożoną karność wewnętrzną. Miał ludzi, którzy nie bali się myśleć i samoistną myślą torować polityce polskiej dróg nowych. Miał ludzi,

którzy nie bali się walczyć o swoją wiarę – którzy nie schlebiali społeczeństwu, nie szukali taniej popularności, którzy umieli przeciwstawić się utartym pojęciom. Miał wreszcie ludzi i rozumnych, i dzielnych, ale cichych, niewysuwających się na arenę publiczną, nieszukających niczego dla siebie, dla swoich ambicji, mających jedyne zadowolenie, że spełniają swój obowiązek. Ci właśnie ludzie, którzy ciężko pracując na chleb swój i swoich rodzin, umieli w cieniu, bez rozgłosu poświęcać swe wysiłki pracy nad podźwignięciem narodu, stanowili największą bodaj siłę obozu. Myśl o nich tym, którzy szli w pierwszym szeregu, dodawała siły moralnej, oni organizowali społeczeństwo, w którym tamci szukali oparcia, oni tworzyli atmosferę bezinteresowności, to środowisko, w którym rosło i krzepło pojęcie obowiązku i poczucie odpowiedzialności.

Ci głównie ludzie, którzy tylko dawali ojczyźnie, a nic od niej nie brali, budowali Polskę. Tylko pokolenia, które takich ludzi mają, tworzą przyszłość narodu.

Polityka narodów w pewnej tylko, niewielkiej na ogół mierze, jest wyrazem indywidualnego charakteru jej kierowników. Cele, które sobie stawia, kierunek, który przybiera, metody, którymi się posługuje, wynikają z istoty samego narodu, z jego siły, z jego ustroju społecznego, stanu gospodarczego, z jego psychologii politycznej, z jego wreszcie położenia zewnętrznego. O tyle, o ile te czynniki są stałe, i polityka narodu nie zmienia się z pokolenia na pokolenie, utrzymuje się w swych tradycyjnych liniach, wykazując zadziwiającą nieraz trwałość kierunku i nawet metod działania. W miarę przeobrażania się stanu wewnętrznego narodu i jego położenia zewnętrznego polityka się przekształca, podąża za życiem, często nie dość szybko, niezdolna przemyśleć nowych faktów i nowych procesów, które życie przynosi. Rządziej, nowe żywioły dochodzące do kierownictwa politycznego, nierozumiejące przeszłości, nieposiadające perspektywy dziejowej, przeceniają doniosłość zmian zachodzących w danej epoce, wyobrażają sobie, że od nich dzieje ludzkości pójdą nowymi całkiem drogami, i skutkiem tego zbaczają z drogi politycznej, którą narodowi wytyka jego położenie.

Polityka narodów nie jest w głównej swej istocie szeregiem czynności przypadkowych lub dowolnych – jest ona systemem budowanym przez pokolenia, systemem, do którego każde pokolenie mniej lub więcej wnosi i który stopniowym tylko ulega przemianom. Każde prowadzące ją pokolenie korzysta z doświadczeń szeregu pokoleń poprzednich.

Polska w tym względzie znajdowała się w położeniu wyjątkowym. Państwo polskie przez parę stuleci miało politykę, która doprowadziła je do upadku. Ściślej mówiąc, ustrój polityczny i społeczny Rzeczypospolitej zdeorganizował jej politykę, odebrał jej plan, konsekwencję, doprowadził nawet do zaniku organów państwowych, do których kierownictwo polityczne należy. Po upadku państwa narodowi pozostała w spuściznie jego wielka tradycja dziejowa, jego cywilizacja i religia, jego etniczna indywidualność; systemu wszakże polityki polskiej nie odziedziczył, bo go pod koniec bytu państwowego nie było. Miał tylko aspiracje i instynkty polityczne, jedne zbawienne, inne bardzo niebezpieczne.

Pchane tymi aspiracjami, kierowane tymi instynktami pokolenia porozbiorowe usiłowały bądź zrzucić jarzmo, bądź ciężar jego zmniejszyć. Polityki porozbiorowej wszakże nie stworzyły: i stan wewnętrzny narodu temu nie sprzyjał, i sami kierownicy sprawy polskiej do planowego działania nie byli zdolni...

Nasze pokolenie, wstępujące w XX stulecie, nie miało właściwie politycznej spuścizny. Doświadczenie pokoleń poprzednich nauczyło nas wiele, ale uczyło głównie, czego nie należy robić, żeby Polski nie gubić. Co robić, jakimi drogami iść, żeby zbliżyć odzyskanie państwowego bytu, tego nam ojcowie nasi nie powiedzieli.

Gdyśmy, rozejrzawszy się w położeniu Polski, doszli do przekonania, że rozwój wewnętrzny narodu i rozwój położenia w Europie wytwarza szybko warunki dla odbudowania naszego państwa, zdaliśmy sobie jednocześnie sprawę z tego, że my do skorzystania z najprzyjaźniejszych nawet warunków jesteśmy politycznie całkiem nieprzygotowani. Widzieliśmy, że nie mamy żadnych nie tylko uutorowanych, ale nawet wytkniętych dróg działania, żadnych ustalonych pojęć co do możliwych i koniecznych sojuszków, ba, nawet nie mamy wyraźnego celu, nie wiemy, jakie państwo, w jakich granicach mamy odbudować. Tej pracy pokolenia poprzednie dla nas nie wykonały.

Natomiast ciążyła na nas spuścizna samobójczych aktów, szkodliwych nałogów, spuścizna narodu, który przez trzy stulecia nie miał tego, co by można było nazwać państwową i narodową polityką.

Trzeba było wielkiego wysiłku, myśli i woli, żeby wyjść z tej politycznej nicości.

Przede wszystkim potrzebny był wysiłek moralny. Trzeba było zerwać z tradycją polityczną okresu porozbiorowego. Trzeba było przeciwstawić się dogorywającemu romantyzmowi politycznemu jednych i szerzącej się na tle jego upadku rezygnacji innych. Jednocześnie trzeba było wydać walkę krótkowzrocznemu materializmowi nowej doby, wymieniającemu w polityce wielką sprawę narodu na drobne interesy miejscowe, klasowe i osobiste.

W twardej, upartej walce, w pracy bez wytchnienia, zdobywając pojęcia polityczne prawie od abecadła, szliśmy szybko naprzód i w ciągu jednego pokolenia zdołaliśmy stworzyć w głównych rysach system polityki polskiej. Gdy przyszła chwila rozstrzygająca, byliśmy do niej względnie przygotowani, świadomi miejsca Polski w wojnie światowej, mający jasny cel i wytknięte drogi działania. Nie mieliśmy chwil wątpliwości i wahania, nie traciliśmy czasu na orientowanie się, nie graliśmy na ślepo w loterię. Dzięki temu naszymi małymi siłami udało nam się wielkie osiągnąć rzeczy. Wynik był daleki od tego, czegośmy pragnęli, ale i tak to cud Boży, że pokolenie takie mierne, jak my, zdobyło to, co zdobyło.

Chcę tu położyć silny nacisk nie na to, że wynikiem naszej pracy jest zjednoczona Polska, ale że ta praca stworzyła system polityki polskiej, że dała jej zrąb, który musi pozostać, musi być podstawą, na której będą rozwijali politykę polską nasi następcy. Trzeba, żeby ludzie u nas zrozumieli, że ta Polska, którą mamy, nie jest dziełem przypadku, nie wynikała jedynie ze szczęśliwego zbiegu okoliczności zewnętrznych, że nie

mielibyśmy jej, gdybyśmy nie mieli polityki polskiej. I trzeba, żeby zrozumieli, że w polityce narodu nie można sobie stawiać celów dowolnych i dowolnymi drogami do nich zmierzać; jej cele i drogi są dyktowane przez stan wewnętrzny narodu i jego położenie zewnętrzne. Te czynniki nie ulegają wielkim zmianom z dnia na dzień i dlatego polityka narodu nie może być chorągiewką, która za lada wiatrem zmienia kierunek. Jeżeli ta polityka, którą nasze pokolenie stworzyło, przeszła próbę ogniową, w tej próbie nie zginęła, ale wykazała swą wartość – nie może ona zginąć i w przyszłości. Znaczy to, że zorganizowana przez nas polityka, która doprowadziła do odbudowania zjednoczonej Polski, musi być polityką państwa polskiego, rozwijaną w dostosowaniu do warunków i ulepszaną z pokolenia na pokolenie.

By tę politykę stworzyć, myśmy musieli zerwać z tradycją bezpośredniej przeszłości, z tradycją klęsk i postępującego poniżenia Polski, musieliśmy ponad głowami dziesiątka pokoleń nawiązywać do tradycji jagiellońskiej i piastowskiej – bo bez tradycji nie ma polityki narodowej. Oparci na tej odległej, ale żywej w naszych duszach tradycji narodowej mocy i rozumu państwowego, nie zgotowaliśmy ojczyźnie nowej klęski. Po wielu, wielu latach Polska miała pierwsze i to niemałe zwycięstwo. I dlatego właśnie, że to było zwycięstwo, że w nim polityka polska wytrzymała próbę, musimy w niej widzieć podstawę, na której politykę odzyskanego państwa dalej należy rozwijać. Te pokolenia, które po nas przyjdą, nie będą już zmuszone tworzyć polityki polskiej na nowo – otrzymają już w spuściźnie jej podstawy, mające za sobą tradycję polityczną jednego przynajmniej pokolenia.

Mówić o tym w Polsce nie jest rzeczą zbyteczną. Za małośmy zawsze wykazywali zdolności do pracy ciągłej z pokolenia na pokolenie, do prowadzenia dalej i stopniowego ulepszania w nowym pokoleniu tego, co zaczęły robić pokolenia poprzednie. Ucierpiała na tym przede wszystkim nasza cywilizacja, która niesłychanie mało wytworzyła rzeczy oryginalnych, naszych własnych, które by i nam lepiej służyły, i stały się naszym do cywilizacji powszechnej przyczynkiem. To, że nie mamy swego stylu w architekturze i w urządzeniu wnętrza naszych domów, można wytłumaczyć upadkiem miast w Polsce, a stąd upadkiem rzemiosł i sztuki zdobniczej. Ale czymże wytłumaczymy, że będąc narodem rolniczym, uprawiającym z upodobaniem myślistwo, słynnym jako jeźdźcy, nie wytworzyliśmy polskich ras bydła, koni lub psów?... Tylko tym, że tych rzeczy w jednym pokoleniu się nie robi, do tego trzeba, żeby każde pokolenie ciągnęło dalej pracę, zaczęta przez poprzednie. U nas jednym się nie chciało nic robić, inni zaś mieli za wiele fałszywej ambicji zrobienia czegoś całkiem nowego, a częściej zmałpowania z zagranicy tego, czego kraj jeszcze nie widział.

Dlatego tam, gdzie geniusz jednego człowieka tworzy dzieła wielkie, jak w poezji, mamy dorobek, z którym możemy stanąć obok najpierwszych w Europie narodów, w dziedzinach zaś twórczości narodowej, na którą musi się składać nieprzerwana praca pokoleń, należymy do najuboższych.

Prawda, mało jest narodów, których pracę tak często burzyły katastrofy polityczne, najazdy wrogów...

System polityki narodu, który nie może pochodzić ze ślepego naśladownictwa wzorów obcych, stworzonych przez inne narody, w innych żyjących warunkach, musi być dziełem samoistnej twórczości narodu. Należy on wszakże do tych dzieł, które z pracy pokoleń powstają. W tej pracy musi być ciągłość, każde pokolenie musi dopełniać i ulepszać to, co zrobiły pokolenia poprzednie.

W naszym odbudowanym państwie fałszywa ambicja robienia za wszelką cenę inaczej niż robili poprzednicy, odegrała niemałą rolę. Wysiłano się nieraz na to, żeby polityka państwa polskiego miała jak najmniej podobieństwa do polityki Komitetu Narodowego w Paryżu, żeby szła innymi drogami, nawiązywała inne sojusze, inaczej nawet samą Polskę pojmowała. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że to nie są rzeczy dowolne, które każdy może pojmować po swojemu, że naród nie ma dziesięciu polityk do wyboru. Rzeczywistość jest jedna i jedna tylko może być w głównych liniach polityka narodu, która z rzeczywistością się liczy.

Rzeczywistość ma na szczęście silną wymowę i szybko uczy ludzi rozumu, ale ta nauka zazwyczaj drogo kosztuje. Toteż i w polityce naszego państwa to, co nie wynikało ze zrozumienia rzeczywistości, szybko musiało ustępować z pola, i nawróciła już ona wiele na drogi, po których szła nasza polityka prowadząca do zjednoczenia i niepodległości. Za próby wszakże oddalenia się od tych dróg kraj za wiele zapłacił.

Tę politykę zrobiliśmy nie my, tylko życie. Cała rzecz w tym, żeby życie rozumieć. Myśmy nie robili wynalazków, tylko staraliśmy się mieć oczy otwarte i logicznie myśleć.

Nie z naszej fantazji zrodziło się przekonanie, że Polska nie może być małym narodem i małym państwem. To tkwi w samej istocie Polski, w jej przeszłości, w liczbie i sposobie rozsiedlenia się Polaków, w budowie gospodarczej kraju i w ustroju duchowym narodu; na tę rolę małego państwa wreszcie nie pozwala nam nasze położenie geograficzne.

I nie myśmy wymyślili, że głównym wrogiem naszego samoistnego bytu są Niemcy. Świadomość tego w narodzie była silna. Myśmy tylko z oczywistego faktu wyciągnęli wszystkie konsekwencje dla naszej polityki. Fakty również dowiodły, że te konsekwencje były wyciągnięte logicznie. Ten więc, kto je chce odrzucać, prowadzi walkę z rzeczywistością – walkę, która zawsze skazana jest z góry na przegraną.

Z chwilą, gdy polityka narodu wie, gdzie leży główne niebezpieczeństwo, ma już wytkniętą drogę do szukania sojuszków. Nasze sojusze nie były dowolną improwizacją. Podyktowała je konieczność. I ta konieczność była mniej lub więcej uświadomiona w społeczeństwie. Nawet to, co nas kosztowało najwięcej wysiłku, co w wykonaniu napotykało na najwięcej wysiłku, co w wykonaniu napotykało na największe trudności – wejście na nową drogę w stosunku do Rosji – nie było naszym wynalazkiem. Potrzebę zmiany tego stosunku w społeczeństwie naszym odczuwano nie od wczoraj, a próby w tym względzie mają już dość długą historię. Myśmy to realniej pojęli, oparli nasz stosunek do Rosji na względnie ścisłej ocenie położenia ogólnego.

Istotą naszej polityki względem Rosji nie były kombinacje z jakimikolwiek czynnikami przemijającymi – widzieliśmy konieczność porozumienia z tym, co jest trwałe w Rosji, z narodem rosyjskim, rozumieliśmy znaczenie tego porozumienia i dla nas, i dla Rosji. Zrządzeniem losu urzeczywistnialiśmy ostateczny cel naszych wysiłków bez udziału Rosji. Skutkiem tego w świadomości polskiej zbyt zatarło się poczucie, że ułożenie na przyszłość naszego stosunku do Rosji jest najważniejszym zadaniem całej naszej polityki. I w tej dziedzinie podstawą dalszej polityki naszego państwa musi być to, co myśmy zapoczątkowali.

Rządy sowieckie w Rosji przeminą, ale Rosja zostanie i stosunek do tego, co w niej trwa, do narodu rosyjskiego, jest ważniejszy od stosunku do przemijających rządów.

Myśmy zrobili zaledwie początek. Wejście na równą drogę z Rosją przyszłości to praca wymagająca wielkiego wysiłku myśli i energii. Jest to najtrudniejsze z zadań naszej polityki, nie tylko ze względu na przeszłość, ale także i dlatego, że wobec jego wagi dla naszej przyszłości najwięcej tu napotykamy przeszkód ze strony obcych, wrogich wpływów zarówno u nas, jak w Rosji.

Stanowisko zajęte przez nas względem Rosji w tej wojnie, współdziałanie z nią przeciw Niemcom, zdecydowało o losach sprawy polskiej, doprowadziło nas do zjednoczenia i niepodległości ojczyzny. Nasz dalszy stosunek do Rosji, to co w tej dziedzinie zrobimy, będzie więcej niż cokolwiek innego sprawdzianem naszej wartości politycznej, naszej zdolności do kierowania losami własnego państwa.

Trzeba głębiej wmyślić się w to, jak odbudowano Polskę, jakimi drogami doszliśmy do wielkiego celu, o którym marzyli nasi ojcowie i dla którego tyle ofiar ponieśli – wtedy łatwiej zrozumiemy, co czynić należy, żeby byt odbudowanego państwa utrwalić i zapewnić mu pomyślny rozwój.

W pierwszych miesiącach wojny, odwiedzając w Warszawie lazaret, w którym leżeli ranni jeńcy, usiadłem przy łóżku rodaka, żołnierza z armii pruskiej. Zapytałem go o jego ranę.

– Mam kulę w żołądku – odpowiedział smutnie. – Doktor powiada, że tylko do jutra dożyję...

Wspomniał o żonie i dwojgu dzieciach zostawionych na wsi, pod Gnieznem.

– Panie – zapytał cichym głosem – niech mi pan powie, jak się ta wojna skończy. Kto zwycięży?...

– Niemcy na pewno będą pobite – odpowiedziałem – i będzie Polska.

Oczy biedakowi zajaśniały, złożył ręce jak do modlitwy i szepnął:

– Chwała Bogu!...

Myśmy w tej wojnie przeżyli największą tragedię: synowie naszej ziemi przymusowo walczyli w szeregach wroga, czując, że walczą przeciw sprawie własnej ojczyzny.

Zjednoczenie i niepodległość Polski kupiliśmy życiem setek tysięcy Polaków, walczących w obcych szeregach, brat przeciw bratu. Nie była i to ofiara dobrowolna, ale najboleśniej, jaką można sobie wyobrazić.

Nam, którzy kosztem tej ofiary żyjemy we własnym państwie, nie wolno o tym ani na chwilę zapominać. Wtedy będziemy wiedzieli, jak wielki ciężar na nas obowiązek zabezpieczenia przyszłych pokoleń od przeżycia kiedykolwiek tego samego nieszczęścia, zapewnienia im, że gdy Polak będzie zmuszony do walki, to jedynie za swoją sprawę, za Polskę.

ANEKSY

I.
DEKLARACJA WIKTORA JAROŃSKIEGO, POSŁA KIELECKIEGO
ZŁOŻONA W IMIENIU KOŁA POLSKIEGO W ROSYJSKIEJ DUMIE,
DNIA 8 SIERPNI 1914 ROKU
(przekład z rosyjskiego)

W chwili historycznej, gdy świat słowiański ze światem germańskim – prowadzonym przez odwiecznego wroga Polski, Prusy – staje do rozstrzygającego starcia, położenie narodu polskiego, pozbawionego samoistności i możliwości odegrania swej roli, jest tragiczne. Tragizm ten dla kraju, będącego teatrem wojny, potęguje się przez to, że naród polski, rozdarty na trzy części, ujrzy swych synów we wrogich sobie nawzajem szeregach.

Rozdzieleni wszakże terytorialnie, my, Polacy, w uczuciach swych, w sympatiach dla Słowian musimy stanowić jedno. Skłania nas do tego nie tylko słuszna sprawa, o którą ujęła się Rosja, ale i rozum polityczny. Wszechświatowe znaczenie chwili obecnej musi usunąć na plan dalszy wszelkie porachunki między nami.

Daj Boże, by Słowiańszczyzna pod przewodem Rosji odparła Teutonów, jak odparła ich przed pięciu wiekami Polska i Litwa pod Grunwaldem.

Oby krew przez nas przelana i okropności bratobójczej dla nas wojny przyniosły połączenie rozdartego na trzy części narodu polskiego.

II.

ODEZWA KOMITETU NARODOWEGO POLSKIEGO W WARSZAWIE Z DNIA 25 LISTOPADA 1914 ROKU

Rodacy!

Gdy wybuchła obecna wojna, naród nasz w jednej chwili odczuł, że w dziejach jego odwraca się wielka karta, że waży się cała jego przyszłość.

Najstraszniejszy wróg Polski – który poprzysiągł jej zagładę doszczętną, a który dotychczas z wypróbowaną przebiegłością wpływy swe szeroko roztaczał i wszelkie siły przeciwko nam uzbrajał – naraz stanął otwarcie, jako wróg już nie tylko nasz, ale całej niemal Europy. I my, cośmy dotąd w rozpaczliwej walce codziennej bronili przed nim siedzib naszych ojców, ujrzelśmy nagle podniesiony przeciw niemu oręż wielkich potęg świata – Rosji, Francji, Anglii.

Rozumieliśmy zawsze, po której stronie nasze miejsce. Wskazała je bez wahań myśl wszystkich warstw narodu, zdrowy instynkt piastowego ludu.

Kłeska Niemiec w tej walce – to nasze zwycięstwo!

Na naszą postawę Rosja odpowiedziała odezwą zwierzchniego wodza armii, odezwą zapowiadającą ziszczenie najświętszych naszych pragnień, zjednoczenie rozdartego ciała narodu, jego byt i rozwój swobodny. Zapowiedź ta odbiła się silnym echem u zachodnich Rosji sprzymierzeńców: zjednoczenie Polski uznano za jedno z wielkich zadań tej krwawej wojny, zadań, które spełnione być muszą. Z tym większym zapalem przyjął ją nasz naród. Głośno przed całym światem wyrażony został cel, który przed nami zajaśniał od chwili wybuchu wojny.

Wobec tego celu, wobec wysiłków i ofiar, które do jego urzeczywistnienia prowadzą, wszystkie nasze walki i męczarnie dnia wczorajszego odeszły w przeszłość. Jedna tylko przed narodem stanęła sprawa: rozbitcie złowrogiej potęgi niemieckiej i zjednoczenie Polski pod berłem monarchii rosyjskiej.

Dokoła tej sprawy zjednoczył się nasz naród, ku temu celowi swe wysiłki zwrócił.

Od początku też ogół nasz uznał, że jeżeli ta jedność myśli w zgodnym działaniu ma znaleźć swój wyraz, działanie to w jedno kierownictwo ujęte być musi. Zrozumieliśmy, że ta wielka chwila dziejowa odsuwa na bok wszelkie programy, o których urzeczywistnienie walka się toczyła lub toczyć będzie w przyszłości, że na czas wojny muszą zamilknąć stronnictwa. Naród działający jako całość musi wydać jedną narodową organizację, zdolną dać czynny wyraz ujawnionej woli olbrzymiej jego większości. Zadanie stworzenia tej organizacji, tego kierownictwa, musiało być podjęte przez tych, którzy przede wszystkim za politykę kraju są odpowiedzialni.

Podpisani posłowie Królestwa Polskiego do obu ciał prawodawczych państwa, byli posłowie oraz kierownicy pracy społecznej w kraju połączyli się w celu skupienia około

wspólnej sprawy wszystkich rodaków bez różnicy przekonań i poglądów, zgodnych tylko w pojęciu tej jednej sprawy i przeto wyrażających dziś ujawnioną wolę narodu. Nie mogąc, ze względu na warunki chwili, skupić wszystkich, których by w swym gronie widzieć pragnęli, i zakładając sobie uzupełnianie swych kadr w miarę postępu pracy, rozumieją oni, że dalsza zwłoka w rozpoczęciu tej pracy pociągnęłaby wielką dla sprawy naszej szkodę. Dlatego podpisani łączą się dziś w Komitet Narodowy Polski, tworząc tym podstawę do organizacji politycznej narodu, wyrażającej jego naczelną dążenie, jednoczącej go w myśli i czynie.

Naród nasz dziś wszystkimi siłami stara się do zwycięstwa nad Niemcami przyczynić. Młódź nasza pośpieszyła z zapałem do szeregów armii rosyjskiej, w której za wielką sprawę walczą setki tysięcy synów naszej ziemi; ludność polska okazała gorące współdziałanie tej armii, uczyniła wszystko, by jej pomóc w walce z potężnym wrogiem; a gdy wojna wniosła na ziemie nasze nieuniknione spustoszenie, ruinę mienia i nędzę, znosimy te klęski ze spokojem, ufni w jasne jutro ojczyzny. Wróg nie zatrwożył nas swą potęgą, nawet gdy stanął u wrót stolicy kraju, ani nie złudził nas swymi obietnicami; wobec pierwszej ogół nasz zachował niewzruszony spokój, na drugie odpowiedział pogardą.

I tę niezachwianą postawę zachowaliśmy nie tylko w części kraju, do której wróg nie wtargnął, ale i tam, gdzie przez dłuższy czas przebywał i posiadanie swoje za utrwalone ogłaszał.

Zawiodły go również nadzieje na utworzone w Austrii polskie oddziały zbrojne, do których pociągnięto część nieświadomej, złudzonej narodowymi hasłami młodzieży. Oddziały te, przeznaczone do przeciągnięcia ludności Królestwa na stronę Austrii i Niemiec, napotkały niechęć i opór we wszystkich warstwach społeczeństwa, mającego jasną świadomość swych celów w tej wielkiej dziejowej chwili.

Nie pomogła zręczna intryga rządu austriackiego, która na krótki czas wytworzyła pozory poparcia tej akcji zbrojnej przez wszystkie żywioły polityczne Galicji. Dziś jest rzeczą jawną, że oddziały strzeleckie miały i mają przeciwko sobie nie tylko opinię Królestwa i zaboru pruskiego, ale także i większości rodaków naszych w dzielnicy austriackiej.

Nawet dla najmniej świadomych umysłów stało się zrozumiałe, że ci nieliczni, którzy łączyli nadzieje swe z Austrią, jako jedynym państwem, w którym nasze prawa narodowe znalazły w pewnej mierze uznanie, przecenili jej samodzielność, nie dostrzegli tego, że zesłała ona do roli powolnego jedynie narzędzia polityki pruskiej.

Dziś – wobec ujawnionej woli narodu polskiego, który całą siłą swej duszy przeciw Niemcom stanął, wobec faktu, że po przeciwnej stronie jako świadoma swych celów, samoistna siła stoją jedynie Niemcy, wszystko zaś, co obok nich walczy, to tylko narzędzia ich planów – wszelka dobrowolna pomoc okazywana Niemcom i ich sojusznikom ze strony polskiej musi być uważana za przestępstwo przeciwko Polsce.

Armia rosyjska wstąpiła już na rdzenną ziemię polską należącą do Austrii i oczekiwać należy jej wkroczenia do odwiecznych siedzib naszego narodu pozostających pod panowaniem pruskim.

W takiej chwili przed rodakami naszymi w tych ziemiach staje wielki obowiązek stwierdzenia, że ich myśli i uczucia są ściśle zespolone z resztą Polski. Wszystkich sił winni oni dołożyć, ażeby wróg nie narzucił im nawet pozorów czynu przeciwnego dążeniom naszego narodu. Takim czynem byłoby jakiekolwiek wystąpienie ludności przeciw armii rosyjskiej, wystąpienie, jakie Niemcy niezawodnie będą usiłowali na niejednym miejscu wywołać.

Rodacy! Od stu lat dzielą nas nietknięte przez kolej dziejów granice; synowie naszej ziemi zmuszeni są dziś do przelewania krwi bratniej, walcząc we wrogich sobie szeregach. Ta wielka epokowa wojna granice te znosi, otwiera przed nami promienne jutro zjednoczenia narodu, który w duchu swym nigdy podzielić się nie dał. Tę naszą jedność potwierdzimy dziś niezbitcie, gdy postawa naszego narodu zaświadczy, że Polacy we wszystkich dzielnicach swej wielkiej ojczyzny jedną myśl mają, jeden cel – zjednoczenie Polski i założenie podwalin swobodnego rozwoju narodu.

Warszawa, 25 listopada 1914 roku

Komitet Narodowy Polski:

Zygmunt Balicki, Stefan Bądziński, Stanisław Czekanowski, Seweryn Czetwertyński, Henryk Dembiński, Roman Dmowski, ksiądz Marceł Godlewski, Jerzy Gościcki, Władysław Grabski, Jan Harusewicz, Wiktor Jaroński, Walenty Kamocki, Czesław Karpiński, Stanisław Leśniowski, Zdzisław Lubomirski, Marian Lutosławski, Józef Nakonieczny, Franciszek Nowodworski, Konstanty Plater, Maciej Radziwiłł, Jan Rudnicki, Jan Stecki, Ignacy Szebeko, Zygmunt Wielopolski, Józef Wielowieyski, Stanisław Wojciechowski, Maurycy Zamoyski.

III.

MEMORIAŁ W SPRAWIE UZNANIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI ZŁOŻONY PRZEZ R. DMOWSKIEGO RZĄDOWI ROSYJSKIEMU NA RĘCE AMBASADORA W PARYŻU, IZWOLSKIEGO, W MARCU 1916 ROKU *(przekład z francuskiego)*

Wojna obecna była przygotowana przez Niemcy od dawna i jedynym jej celem było urzeczywistnienie ambicji narodu niemieckiego. Dlatego to państwa, które się zszeregowały u ich boku, grają tylko rolę drugorzędną i są jedynie, że tak powiemy, narzędziami w ich rękach. Tę rolę grają w pierwszym rządzie Austro-Węgry.

Po wojnach roku 1866 i 1870, które przeniosły środek ciężkości świata niemieckiego do Berlina, Austria bardzo rychło ze stanowiska rywala Prus zeszła na ich sprzymierzeńca. Przymierze to szybko nabrało takiego znaczenia, że stało się czynnikiem dominującym położenia międzynarodowego.

Ażeby móc ocenić istotną wartość tej zmiany, trzeba sobie zdać sprawę z ewolucji, która nastąpiła w umysłowości politycznej XIX wieku w Europie, a w szczególności w Europie Środkowej. Był to proces szybkiego rozwoju poczucia narodowego, opartego na wspólności języka, którego następstwem stały się walki różnych narodowości pomiędzy sobą. Ten proces, który wyprowadził na widownię szereg nowych narodowości, dotychczas nieznanych lub zapomnianych, zaczął zagrażać poważnie supremacji niemieckiej i madziarskiej w Austro-Węgrzech. Z drugiej strony cementował on coraz bardziej ludność rasy niemieckiej uczuciem solidarności przeciw innym ludom i, prowadząc do wspólnego ideału większych Niemiec, znosił stopniowo partykularyzmy przeszłości, pochodzące z politycznego rozczłonkowania świata niemieckiego. Na skutek tejże ewolucji Niemcy austriaccy przestali się uważać za odrębny naród, rosło wśród nich poczucie, że należą do wielkiego narodu niemieckiego i, czując się zagrożonymi w swym panowaniu przez inne narodowości, zaczęli patrzeć na państwo Hohenzollernów jako na oparcie, które zapewni im supremację w Austrii. Również Madziarzy zrozumieli, że ich interesy są wspólne z interesami Niemiec w walce przeciw ludom podlegającym ich panowaniu na Węgrzech i w ich rywalizacji z ludami bałkańskimi.

Tym sposobem przymierze między Austro-Węgrami i Niemcami, wywołane przez motywy polityki międzynarodowej, zamieniło się w coś więcej niż przymierze, stało się prawie nierozzerwalnym związkiem.

Rola kierownicza w tym związku przypadła Niemcom, nie tylko ze względu na wyższość ich sił, ale także na skutek narodowego charakteru imperium niemieckiego. Austro-Węgry stawały się coraz bardziej wasalem Niemiec, państwem, w którym naród niemiecki, nie mogąc panować nad innymi narodowościami, ujrzał się zmuszonym do

wejścia w kompromis z nimi, posługując się ich siłą dla ekspansji swoich wpływów i dla rozrostu swej potęgi.

Ci, którzy nie widzieli tego charakteru związku austriacko-niemieckiego i patrzyli nań jako na przymierze, które może być prędzej czy później zerwane, popełniali wielki błąd, jeden z tych, które przyniosły największą szkodę narodom zagrożonym przez rosnącą potęgę Niemiec.

Jakkolwiek ambicje i interesy Austriaków i Węgrów, równie jak ambicje dynastyczne Habsburgów, grały pewną rolę w polityce monarchii, ta polityka musiała się podporządkowywać coraz więcej duchowi dominującemu nad polityką przymierza, który miał swą podstawę w ambicjach i interesach narodu niemieckiego. Berlin inspirował i kierował nie tylko polityką zewnętrzną dwóch cesarstw, ale do pewnego stopnia i polityką wewnętrzną Austrii.

Jednocześnie wpływ niemiecki przenikał systematycznie do Turcji, a następnie i do Bułgarii i zdołał w krótkim czasie objąć w tych dwu krajach rolę równie przeważającą, jak w Austrii.

Wynika stąd, że wojna obecna nie jest dziełem tych czterech państw, tylko Niemiec, których polityka zręczna i przewidująca zdołała zaprząć do swego rydwanu szereg ludów, podporządkować ich interesy swoim za cenę pewnych kompromisów i użyć ich siły dla swoich podbojów.

Ambicje polityki niemieckiej były zwrócone w dwu kierunkach: ekspansja kolonialna i ekspansja kontynentalna w kierunku południowo-wschodnim, tj. w kierunku Konstantynopola, Azji Mniejszej i Bagdadu. Pierwsza prowadziła do wojny z potęgą morską Anglii, druga do wojny przeciw Rosji.

Niemcy, nie czując się zdolnymi do walki z angielską potęgą morską, zwróciły się przede wszystkim do podboju kontynentalnego.

W początku obecnego stulecia dyplomacja berlińska usiłowała osiągnąć od Rosji zrzeczenie się jej roli w Europie i ześrodkowanie interesów jej polityki zewnętrznej w Azji, w szczególności na Dalekim Wschodzie. Tym sposobem Niemcy spodziewały się otworzyć sobie drogę do Konstantynopola, Azji Mniejszej i Zatoki Perskiej, nie wywołując oporu ze strony Rosji. Gdy te wysiłki nie powiodły się i gdy Rosja, opierając się na przymierzu z Francją, a następnie na porozumieniu z Anglią, wznowiła swą ruchliwość na Bałkanach, wojna stała się nieunikniona. Polityka agresywna Austro-Węgier względem krajów bałkańskich była powodem, który prędzej czy później musiał doprowadzić do starcia.

Niemcy rozumiały, że ich ekspansja w kierunku południowo-wschodnim sprowadzi rolę Rosji do roli mocarstwa drugorzędного i do tego właśnie celu skierowane były od dawna wysiłki dyplomacji berlińskiej. Wojna obecna jest przede wszystkim wojną rosyjsko-niemiecką. Nienawiść Niemców do Anglii należy rozumieć jako nienawiść do mocarstwa, które swoją interwencją przeszkodziło Niemcom zatriumfować nad Rosją i urzeczywistnić swe plany podboju kontynentalnego.

Jeżeli świeżo otrzymujemy wiadomości z Berlina, według których Niemcy w razie zwycięstwa zrobiłyby wszystko możliwe, żeby zbudować „złoty most” między sobą a Francją, i starałyby się szukać kompensaty na wschodzie kosztem Rosji, to tylko potwierdzają one słuszną koncepcję tej wojny, jako wojny rosyjsko-niemieckiej. W razie zwycięstwa lub klęski właśnie Rosja zyskałaby lub straciłaby więcej niż inne mocarstwa.

W tej wojnie, która ma sprowadzić rozwiązanie kwestii wschodniej tak, jak się ona dziś przedstawia bądź w sensie niemieckim przez ustanowienie sfery wpływu niemieckiego poprzez Bałkany aż do Zatoki Perskiej, bądź w sensie rosyjskim, otwierając Rosji wyjście na Morze Śródziemne, w tym starciu dwóch niedających się pogodzić dążeń, które się spotykają w Konstantynopolu, największą wagę ma obszar zaludniony przez szereg większych lub mniejszych narodowości osiadłych między Rosjanami a Niemcami od Morza Śródziemnego do Bałtyku.

Mocarstwo, które zdoła sobie zapewnić wpływ na tym obszarze, będzie jedynie zdolnym do urzeczywistnienia głównego celu swej polityki.

Austro-Węgry wobec wartości, jaką przedstawiają one dla Niemiec, dają im ogromną wyższość nad Rosją. Państwo Habsburgów służyło i służyć będzie dalej, jeżeli będzie istniało po tej wojnie, jako most dla Niemców w ich pochodzie na Bałkany. Wciągnąwszy z początku Turcję, a następnie Bułgarię w sferę swej polityki, Niemcy usunęły ostatnią przeszkodę, która im zagrażała drogę do Konstantynopola, przez swe zwycięstwo nad Serbami. Jednocześnie przez podbój Polski dążą do rozciągnięcia swego wpływu na Wschód.

Zastawszy w Polsce ducha wrogiego niemczyźnie, wystrzegali się oni prowokowania uczuć narodowych Polaków: przeciwnie, zrobili wielkie wysiłki dla uspokojenia ich obaw, uśpienia ich nieufności dla zdobycia gruntu pod koncepcję, że przyszłość Polski zależy od wielkości Niemiec. Wreszcie zrobili wszystko dla zdyskredytowania Rosji w oczach Polaków.

Jest rzeczą widoczną, że Niemcy, gdy im się powiodło z Austro-Węgrami, myślą dziś o rozszerzeniu sfery swego bezpośredniego lub pośredniego panowania na wszystkie narodowości środkowej i południowo-wschodniej Europy. Rozumieją one, że jest to droga, po której dojdą do celu swych ambicji i wyrzucą Rosję, że tak powiemy, poza Europę.

Oto dlaczego jest rzeczą ogromnej wagi zająć się bliżej tym obszarem zaludnionym przez różne narodowości. Są to od południa ku północy: Grecy, Albańczycy, Bułgarzy, Rumuni, Serbo-Kroaci, Słoweńcy, Madziarzy, Czecho-Słowacy, Polacy, wreszcie Litwini i Łotysze. Narodowości te różnych ras, w większości słowiańskie, przedstawiają cyfrę 80 milionów ludności, a po włączeniu enklaw niemieckich i tureckich należących do tego obszaru, otrzymujemy w całości około 100 milionów. Niemcy dodają tu jeszcze narodowość ukraińską, która stanowi jedynie odłam Małorusinów i została zorganizowana przez Austrię przy pomocy Berlina.

Każdy z tych ludów ma bardzo wyraźną indywidualność narodową, mniej lub więcej rozwinięty język literacki, poczucie narodowe bardzo silne, i wszystkie są bardzo zazdrosne o swą niezawisłość. Biorąc pod uwagę stopień rozwoju narodowego, do którego już doszły, nie ma siły, która by mogła nad nimi panować wbrew ich woli. I jedynie mocarstwo, które znajdzie sprawiedliwy kompromis pomiędzy swymi interesami zewnętrznymi a aspiracjami i interesami narodowymi tych ludów, a przynajmniej ich znacznej większości, zdoła sobie zapewnić trwały wpływ na tym obszarze.

Rosja miałaby tu więcej widoków powodzenia niż Niemcy, przede wszystkim dlatego, że te ludy zdają sobie sprawę, że ich przyszłość narodowa i gospodarcza jest mniej zagrożona przez Rosję niż przez Niemcy, następnie zaś dlatego, że należą one w większości do rasy słowiańskiej, co czyni solidarność z Rosją całkiem naturalną. Tymczasem Niemcy właśnie są na drodze do zorganizowania tych narodowości w zamiarze uczynienia ich sferą swego wpływu i jedną z podstaw swej supremacji nad całym światem.

Żywioły, które się opierały najsilniej planom Niemiec na tym obszarze, mianowicie Serbowie, Czesi i Polacy, są dziś osłabione.

Serbowie byli bezpośrednio zagrożeni przez postępy Austro-Węgier na Bałkanach; położenie geograficzne Czechów, otoczonych z trzech stron krajami niemieckimi, jest najbardziej niebezpieczne i jedynie wielkie zalety tego ludu pozwoliły mu nie tylko stawić opór inwazji niemieckiej, ale nawet odzyskać część swego zgermanizowanego obszaru; wreszcie, ponieważ Niemcy posiadają brzegi Bałtyku z ujściami Wisły i Niemna i ponieważ dla zapewnienia sobie tych posiadłości uważają się za zmuszonych nie tylko do germanizowania polskich ziem Poznańskiego i Prus Zachodnich, ale mają na widoku w przyszłości postęp niemczyzny na Wschodzie ku sercu Polski, walka Polaków przeciw niemczyźnie staje się walką na śmierć i życie.

Jedynie Serbowie dzięki swej niepodległości mogli rozwinąć wszystkie siły swego niewielkiego królestwa w tej wojnie; z chwilą wszakże, kiedy kraj ich został podbity, a ich armia prawie zniesiona, utracili oni wielką część znaczenia, jakie posiadali w tej wojnie. Czesi, którzy od początku wojny musieli ulec prześladowaniom ze strony Austrii i którzy czerpali swą siłę [z] nadziei, że ujrzą wyswobodzenie swego kraju przez armię rosyjską, widzą dziś, jak oddała się urzeczywistnienie tej nadziei. Jednocześnie rząd austriacki, zachęcony powodzeniami swych wojsk, zwiększył prześladowanie w Czechach. Wreszcie Polacy – którzy zrobili wszystko, żeby ułatwić zadanie armii rosyjskiej i przyczynić się do jej powodzenia – zniechęceni antypolskim zachowaniem się władz rosyjskich w Królestwie, postępowaniem polityki rosyjskiej w Galicji i wahaniem się rządu rosyjskiego w sprawie przyszłości Polski, wreszcie zrozpaczeni ewakuacją w połowie Królestwa i sposobem, w jaki została ona przeprowadzona, stracili w znacznej mierze entuzjazm, którym byli ożywieni dla sprawy sprzymierzonych w początku wojny.

Od czasu, jak Polska została zajęta przez Niemców i Austriaków, stan umysłów w kraju pozostaje wrogi dla zwycięzców, ale zachowuje bardzo smutne wspomnienie

rządów poprzednich i nie ma nawet odwagi życzyć sobie powrotu armii rosyjskiej do Polski.

Takie jest położenie trzech żywiołów, które się najwięcej opierały planom niemieckim w części Europy, położonej między Morzem Śródziemnym a Bałtyckim, będącej polem współzawodnictwa rosyjsko-niemieckiego. Korzystając z tego położenia, Niemcy spodziewają się, że zdołają zmusić Serbów do poddania się, zapanować nad Czechami siłą i znaleźć kompromis z Polakami.

Skutkiem tego zbiegu okoliczności kwestia polska, która przedstawiała zawsze największe trudności zarówno dla Niemiec, jak dla Rosji, wysuwa się obecnie na plan pierwszy.

Trzeba stwierdzić, że Polska stanowi żywioł najważniejszy na tym obszarze i że Polacy zajmują tam pierwsze miejsce zarówno przez swą liczbę, jak przez stopień swej cywilizacji i przez swe tradycje polityczne.

Jest to naród w pełnym znaczeniu tego słowa, i jeżeli rola polityczna Polski jest ostatnimi czasy umniejszona, to przyczyna tego leży w rozbiórce Polski przez trzy mocarstwa oraz w solidarności Niemiec i Rosji w dziele niszczenia jej bytu narodowego.

Ten stan rzeczy mógł trwać tylko przy warunku przyjaźni rosyjsko-niemieckiej. Konflikt rosyjsko-niemiecki, nieunikniona konsekwencja wzrostu potęgi i ambicji niemieckich, musiał sprowadzić gruntowną przemianę w kwestii polskiej. Niestety, sposób patrzenia na tę kwestię nie odpowiada ewolucji, która zaszła.

Znów Niemcy pierwsi pozbywają się pojęć przeżytych i zaczynają stosować nowy punkt widzenia w kwestii polskiej.

Bezpośrednio po zajęciu Polski Niemcy zabrali się do studiowania kraju. Zrobili spis ludności (który dał dla części Królestwa zajętej przez Niemców cyfrę 7 600 000 mieszkańców, gdzie przed wojną było 8 500 000) i opracowali cały szereg referatów o stanie gospodarczym kraju, o rolnictwie, przemyśle i handlu, o oświacie publicznej, o różnych organizacjach polskich, a wreszcie o politycznym stanie umysłów. Przyszli oni do wniosku, że poziom cywilizacji Polski rosyjskiej jest wyższy, niż myśleli, że życie gospodarcze jest lepiej zorganizowane, że naród jest pełen żywotności i znajduje się w pełni postępu. To bardzo ochłodziło zapał tych Niemców, którzy projektowali aneksję Polski. Zrozumieli oni, że znaczne powiększenie liczby poddanych polskich państwa niemieckiego miałyby za pierwszy skutek wzmocnienie żywiołu polskiego nawet w ziemiach polskich Prus, gdzie germanizacja zrobiła już pewne postępy. Z drugiej strony przyjęli oni punkt widzenia, że Polska przedstawia siłę, która mogłaby stanowić niebezpieczeństwo dla sprawy niemieckiej, gdyby nie była dla niej pozyskana. Dlatego to, nie tracąc z widoku celu wiekowej polityki Prus, którym jest zniszczenie Polski, Berlin zaczął przygotowywać kompromis z Polakami. Ten kompromis polegałby, według programu cesarza niemieckiego i kanclerza państwa, na utworzeniu Królestwa Polskiego, złożonego z Polski rosyjskiej i austriackiej, a związanego z Cesarstwem Niemieckim unią celną i konwencją wojskową, która by oddała armię polską pod dowództwo niemieckie

na wypadek wojny. Ten program pozyskał aprobatę większości ludzi wpływowych w Niemczech, przeciw programowi prostej aneksji, podtrzymywanemu przez nacjonalistów i przez sfery wojskowe z kronprincem i marszałkiem Hindenburgiem na czele.

Istnieje między Berlinem z jednej strony a Wiedniem i Budapesztem z drugiej różnica opinii w tym przedmiocie. Austria chciałaby złączyć to Królestwo z monarchią Habsburgów, jako trzecią część składową państwa austriacko-węgiersko-polskiego, gdy Niemcy pragnęłyby widzieć na tronie tej nowej Polski księcia niemieckiego, Austrię zaś odszkodować na Bałkanach za stratę Galicji. Ażeby się zabezpieczyć od zbliżenia się tego nowego państwa z Rosją, Niemcy zamierzają ustanowić jego granicę dosyć daleko na wschodzie, żeby tym wytworzyć stałe źródło antagonizmu rosyjsko-polskiego. Dla przygotowania właśnie tej przyszłości polityka niemiecka popiera obecnie żywioł polski w guberniach: grodzieńskiej, wileńskiej i mińskiej, więcej niż w Warszawie, podczas gdy w sferze etnograficznej litewskiej (gubernie: suwalska, kowieńska i część wileńskiej) faworyzuje Litwinów na szkodę Polaków.

Niemcy zaczynają nawet dopuszczać dyskusję nad przyszłością Poznańskiego, mówią o neutralizacji dolnego biegu Wisły i ustanowieniu wolnego portu w Gdańsku, żeby dać Polsce ujście do morza.

Jednocześnie robią wszystko co możliwe, żeby zdyskredytować Rosję w oczach Polaków, wykazują, że już im przyznali to, czego im Rosja zawsze odmawiała, nawet po odezwie wielkiego księcia Mikołaja. Kładą nacisk na to, że otwarli uniwersytet polski w Warszawie, gdy Rosjanie takież zamknęli we Lwowie. Przedstawiają nawet ewakuację Królestwa podczas odwrotu wojsk rosyjskich jako wykonanie planu, według którego kwestia polska byłaby uregulowana przez wyniszczenie Polaków. Krótko mówiąc, przedstawiają się jako oswobodziciele, którzy uwolnili Polskę od jarzma rosyjskiego.

Puścili oni w obieg nawet teorię, że jeżeli umysły w Polsce są wrogi Niemcom, to dlatego, że władze rosyjskie pozwalały zawsze prasie polskiej potępiać politykę niemiecką w Poznańskim, zabraniając robić to samo w stosunku do polityki rosyjskiej w Królestwie Polskim. Spodziewają się oni, że ten wrogi duch zmieni się pod wpływem prasy, kontrolowanej przez cenzurę niemiecką. Działają oni w zajęтым kraju w ten sposób, żeby wytworzyć przekonanie o niemożliwości powrotu wojsk rosyjskich, składają tego dowody, między innymi polecając wypracowanie projektu kanału łączącego Wartę z Wisłą i asygnując sumę

22 milionów marek na przedwstępne roboty do tego przedsięwzięcia.

Tym sposobem po powodzeniach wojennych Niemcy usiłują zręczną dyplomacją, opartą na nowej koncepcji położenia w Europie Środkowej, pozyskać Polaków dla swej sprawy. I ta dyplomacja w stosunku do Bułgarii, do Polski i do innych krajów na obszarze dzielącym Niemcy od Rosji jest może niebezpieczniejsza jeszcze dla sprawy sprzymierzonych niż niemieckie powodzenia wojenne.

Odezwy wielkiego księcia do Polaków nie poprzedzała, niestety, ani nie nastąpiła po niej polityka, która by mogła wzbudzić zaufanie, że polityka Cesarstwa uznaje prawa narodowe Polski.

Przed wojną odmawiano Polakom w Rosji zadośćuczynienia ich najelementarniejszym aspiracjom narodowym. Podczas wojny, po odezwie, system prawie się nie zmienił, a oświadczenia rządu co do przyszłości Polski były zawsze mgliste i spóźnione, wywołując wrażenie wymuszonych przez okoliczności.

Dotychczas rząd rosyjski nie oświadczył w sposób wyraźny, że przyznaje Polakom prawo rządzenia się samym w ich kraju. W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy wojny Rada Ministrów, wypracowująca podstawy przyszłości politycznej Polski, odmawiała nawet zasięgnięcia zdania Polaków w tym przedmiocie. Opinia polska zatem zrozumiała, że bardzo trudno jest w Rosji wyrzec się dawnych pojęć politycznych w stosunku do Polski.

Tymczasem są tu w grze nie sami tylko Polacy.

Jeżeli polityka rosyjska w Polsce przed wojną oddalała od Rosji duszę innych ludów słowiańskich, to tym smutniejszą rolę odegrała ona podczas wojny. Wszystko, co zrobiono przeciw Polakom w Królestwie i w Galicji podczas okupacji rosyjskiej, było wyzyskane przez nieprzyjaciela dla wzbudzenia nieufności do Rosji i jej sprzymierzeńców w Bułgarii, w Rumunii i wśród innych narodowości. Ta to polityka pozwoliła Bethmannowi-Hollwegowi powiedzieć w mowie, którą wygłosił we wrześniu 1915 roku w parlamencie, że okupacja Polski przez wojska niemieckie oddalała niebezpieczeństwo rosyjskie od krajów bałkańskich, a w mowie następnej, iż deklaracje sprzymierzeńców, jakoby podejmowali w tej wojnie sprawę narodowości, są tylko bluffem; także wobec tej tylko polityki król Ferdynand bułgarski ośmielił się powitać cesarza Wilhelma w swej lichej łacinie jako „*Redemptorem ferentem oppressis prosperitatem at que salutem*” (Nisz, 18 stycznia 1916).

Skutkiem tej właśnie polityki Rosja i jej sprzymierzeńcy stracili wielki *prestige*, który posiadali w początku wojny wśród narodowości Europy Środkowej i Bałkanów, skutkiem niej upadł zapał dla ich sprawy, a jego miejsce zajęła atmosfera obojętności, w której intrygi niemieckie mają wszelkie widoki powodzenia, tak jak się powiodły w Bułgarii.

Dziś narzuca się po prostu poważna rewizja kwestii polskiej, która powinna być zrobiona w Rosji od początku wojny.

Rewizja ta, przeprowadzona sumiennie, musi dojść do wniosków następujących:

- idea narodowa, oparta na wspólności języka, całkiem zmieniła położenie polityczne w Europie Środkowej i panuje w Polsce, tak jak i w innych krajach;
- pod wpływem tej idei współzawodnictwo rosyjsko-polskie w ziemiach, gdzie mowa polska nie przeważa, nie może wpływać na Rosję w jej polityce względem Polski;

- pod wpływem tej samej idei Polacy skupili swą uwagę na niebezpieczeństwie niemieckim, zagrażającym krajowi języka polskiego - który się składa nie tylko z Poznańskiego i Prus Zachodnich, ale także z Górnego Śląska i z południowej części Prus Wschodnich - i w swym pragnieniu ocalenia tych ziem, wsławionych oporem przeciw niemczyźnie, naród polski stał się pierwszorzędnym czynnikiem antyniemieckim.

W interesie wszystkich narodów zagrożonych przez potęgę niemiecką leży zjednoczenie części podzielonej Polski w jedno państwo i danie mu całkowitej swobody w zorganizowaniu jego sił do walki przeciw niebezpieczeństwu niemieckiemu.

Polacy, którzy są narodem liczebniejszym i bardziej rozwiniętym niż wszystkie inne narodowości Europy Środkowej i Bałkanów, posiadają te same co one prawa do niepodległego państwa narodowego i nie mogą w swym sumieniu zrzec się tego prawa, które im zresztą przyznają wszystkie inne narody. Przyznając to prawo Polakom, Rosja i jej sprzymierzeńcy obudziliby wśród nich zapał, usuwając równocześnie nieufność innych narodowości, przywiązanych do swej niezawisłości, które by wtedy przeciwstawiły się Niemcom.

Polacy wobec niebezpieczeństwa niemieckiego będą musieli szukać oparcia w państwie rosyjskim, wiążąc się z nim w sposób, który by im zapewnił obronę ich granic, a nie wystawił na niebezpieczeństwo ich narodowej niezawisłości.

Jeżeli rewizja kwestii polskiej i położenie w Europie Środkowej prowadzi nas do tych wniosków, interes Rosji wymaga gruntownej zmiany jej polityki. Programem tej nowej polityki byłoby dojście do sprawiedliwego kompromisu z interesami i aspiracjami narodowości Europy Środkowej i Bałkanów i powołanie odbudowanej Polski do współpracy w organizacji tego świata mniejszych narodowości przeciw Niemcom.

Stwierdziwszy, że entuzjazm dla sprzymierzeńców prawie wygasł wśród narodowości Europy Środkowej i Bałkanów, nie można zamykać oczu na fakt, że sami sprzymierzeńcy prawie utracili wiarę w wielkie zwycięstwo. Zdają oni sobie sprawę z tego, że środki, którymi rozporządzają, czynią podobne zwycięstwo mało prawdopodobnym.

Jeżeli zaś sprzymierzeńcy nie uzyskają decydującego zwycięstwa, czyż nie należy się obawiać, że w niezbyt odległej przyszłości stanie się nieunikniona nowa wojna, w której narody zagrożone przez Niemcy mogą się znaleźć w warunkach o wiele mniej przyjaznych?

Naród niemiecki, który organizacją swą przewyższył wszystkie inne, którego siły rosną z większą szybkością niż siły innych narodów europejskich, znajduje się jednocześnie u szczytu swego egoizmu narodowego; ponieważ idee wolności indywidualnej i niezawisłości jednostki wobec państwa nie są tam tak rozwinięte jak w Anglii lub Francji, można przewidywać, że po tej wojnie łatwiej przyjdzie otrzymać głosy za kredytami wojskowymi w Berlinie niż w Londynie lub Paryżu. Ciężar więc przyszłej wojny spadłby o wiele więcej na Rosję. I jeżeli w obecnej wojnie nie pozbawi się Niemiec możliwości posługiwania się, jak to dziś robią, siłami innych narodowości, jest rzeczą

prawie pewną, że w wojnie przyszłej żadna potęga nie zdoła im przeszkodzić w zdobyciu panowania nad światem.

Wyższość Niemiec nie polega jedynie na ich siłach wojskowych i na ich środkach gospodarczych, ale także na potędze ich woli narodowej. Cały naród jest opanowany ideą panowania nad światem.

Sprzymierzeni zrozumieli od początku wojny, że tej idei mogą przeciwstawić tylko ideę wolności i niepodległości wszystkich narodów, ale proklamowali tę ideę z pewnym wahaniem i ze zbyt wielkimi restrykcjami; przede wszystkim ich zachowanie się w kwestii polskiej pozwoliło Niemcom podać w wątpliwość szczerłość ich oświadczeń i ogłosić się samym za protektorów narodowości uciśnionych.

Te wahania, ten brak decyzji, obniżyły *prestige* sprzymierzonych i dla przywrócenia go, dla odbudowania siły moralnej wszystkich żywiołów, których połączenie jest konieczne dla zwycięskiej walki przeciw Niemcom, trzeba, żeby wszyscy sprzymierzeni w swym postępowaniu wykazali zgodność z zasadą, którą proklamowali, przez akt, który by nie pozostawił żadnej wątpliwości co do przyszłego tej zasady urzeczywistnienia. Tędy prowadzi droga do decydującego zwycięstwa i do zredukowania potęgi niemieckiej do granic obszaru czysto niemieckiego.

Przykład Bułgarii wykazuje, jak na sytuację wojskową może wpłynąć wstąpienie w wojnę armii jednego ludu, nawet małego. Dziś dyplomacja niemiecka, wyzyskując położenie polityczne, szuka sposobów zorganizowania armii polskiej dla użycia jej do walki po swej stronie. Austriacki Sztab Generalny ocenił w Polsce rosyjskiej liczbę ludzi zdolnych do noszenia broni na 1 milion – cyfra niezawodnie przesadzona, ale nie tak daleka od prawdy.

Przedstawiciele rządu rosyjskiego w Polsce przed okupacją kraju przez Niemców stale kładli nacisk na to, że ich zadaniem jest rozczarowywać Polaków co do ich przyszłości politycznej. Czy przypuszczali wówczas, że to rozczarowanie, wywołane przez nich, przygotowuje grunt przyjazny dla intryg niemieckich?

Potrzebny przeciw tym intrygom punkt oparcia byłby osiągnięty przez akt sprzymierzonych, który przyznałby Polsce jej miejsce wśród narodów Europy i napełnił znów inne narodowości Europy Środkowej i Bałkanów wiarą w Rosję. Dowiódłby on całemu światu, że celem sprzymierzonych w obecnej wojnie jest wolność i niepodległość ludów, gdy celem Niemiec jest panowanie nad ludami Europy.

IV.
DEKLARACJA LOZAŃSKA
OGŁOSZONA PO AKCIE 5 LISTOPADA 1916 ROKU
(przekład z francuskiego)

5 listopada władze okupacyjne w Królestwie Polskim ogłosiły odezwę, zapowiadającą rozstrzygnięcie losów Polski przez porozumienie cesarzów Niemiec i Austrii. Aczkolwiek odezwa ta zapowiada utworzenie państwa polskiego, podpisani, przebywający za granicą Polacy ze wszystkich części Polski uważają za swój obowiązek, zarówno w swoim imieniu, jak w imieniu wszystkich rodaków, którzy swobodnie wypowiedzieć się nie mogą, oświadczyć co następuje:

Naród polski jest jeden i niepodzielny. Jego dążenie do własnego państwa obejmuje wszystkie trzy części Polski i bez zjednoczenia ich nie może być zaspokojone. Tego przede wszystkim zjednoczenia oczekują Polacy od obecnej wojny, od tej wojny, która postawiła zasadę wolności i niepodległości ludów. Zapowiedź utworzenia państwa wyłącznie z jednej części Polski nie tylko nie zaspokaja tych dążeń, lecz tworzy nowy fakt podziału. Niemcy i Austro-Węgry, dzieląc siły narodu polskiego, skazują to przyszłe państwo na niemoc i czynią je narzędziem swojej polityki.

Nie składając ścisłych zobowiązań co do podstawowych warunków istnienia przyszłego państwa, którego jednak zależność od siebie akcentują, Niemcy i Austro-Węgry żądają od Polaków wystawienia armii. Armia ta, jako siła pomocnicza obcych wojsk, ma być podporządkowana obcym celom, ma walczyć za cudzą, nie za własną sprawę. Pomimo wszelkich pozorów, które się nadaje temu faktowi, cel jego jest jasny: obejście prawa międzynarodowego.

W tych wojskowych planach Niemiec i Austro-Węgier widzimy sprowadzenie na naród polski nowej klęski, w ich zaś akcie politycznym nowe potwierdzenie rozbiorów Polski.

Lozanna, 11 listopada 1916 roku

Roman Dmowski, Kazimierz Marian Dzierżykraj-Morawski, Stanisław Filasiewicz, Wacław Gąsiorowski, Hipolit Korwin-Milewski, Jan Jordan Rozwadowski, Józef książ z Kozielska Puzyna, Zygmunt Laskowski, Jan Modzelewski, Stefan Natanson, Jan Perłowski, Erazm Piltz, Andrzej hr. Zyberk-Plater, Konstanty hr. Plater, Jan Rosen, Marian Seyda, Leszek Tarnawa-Malczewski, Gustaw baron Taube, Kazimierz Woźnicki, Maurycy hr. Zamoyski.

V.

PRO MEMORIA ZŁOŻONE PRZEZ R. DMOWSKIEGO SEKRETARZOWI STANU BALFOUROWI PO ROZMOWIE DNIA 25 MARCA 1917 ROKU W LONDYNIE W SPRAWIE UZNANIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI PRZEZ MOCARSTWA SPRZYMIERZONE WESPÓŁ Z ROSJĄ (przekład z angielskiego)

Niemiecki plan zrekrutowania armii na terytorium Królestwa Polskiego ustanowionego aktem 5 listopada 1916 roku⁶⁸ zawiódł widocznie na skutek stanowczego oporu większości kraju. Niemcom udało się zorganizować rząd polski kraju pod nazwą Rady Stanu, którego głównym zadaniem miało być, według wskazówek niemieckich, powołanie armii polskiej; najbardziej atoli wpływowe stronnictwa polskie, przedstawiające większość kraju, odmówiły współdziałania z Radą Stanu. Sama Rada Stanu wiedząc, że nie jest poparta przez większość, wahała się ze zrobieniem kroku stanowczego i udało jej się przekonać władze niemieckie, że byłoby rzeczą niebezpieczną przystąpić do poboru przymusowego. Natomiast zaciąg dobrowolny całkiem się nie udał.

Jednakże, w ciągu ostatniego miesiąca niektóre wydatne osobistości, zachowujące rezerwę w stosunku do nowego rządu (ks. Z. Lubomirski, hr. J. Tarnowski, kanonik Chełmicki), zaczęły się wahać, i dzienniki donoszą, że mają wejść do Rady Stanu. To by znacznie wzmocniło nowy rząd.

Jednogłośnie opinia wszystkich Polaków, którzy przybywają do Szwajcarii lub Szwecji, mówi, że ten niekorzystny zwrot pochodzi z rozczarowania do zachodnich sprzymierzeńców Rosji. Nie ma żywiołów w Polsce, które by oczekiwały czegoś dobrego dla swego kraju od Rosji, i wszystkie nadzieje przeciwniemieckiej większości zwracały się do państw zachodnich. Oczekiwano na próżno stanowczej deklaracji tych państw co do przyszłości Polski. Odpowiedź sprzymierzonych prezydentowi Wilsonowi była wyzyskana przez agitatorów na rzecz Niemiec, jako dowód, że państwa zachodnie pozostawiają całkowicie Rosji rozstrzygnięcie kwestii polskiej. Sens tego oświadczenia został przeinaczony, a znaczenie jego przesadzone, co przyczyniło się do wzmocnienia wpływu niemieckiego.

Położenie to, już poważne, staje się bardzo niebezpieczne po rewolucji w Rosji.

Opozycja przeciw planom niemieckim w Polsce składa się z dwojakich żywiołów: z nieprzejednanych wrogów Niemiec, ze Stronnictwem Demokratyczno-Narodowym na czele, oraz z żywiołów niemających wyraźnej postawy politycznej, które uważały, że prawnie, aż do końca wojny pozostają poddanyymi cesarza rosyjskiego – nie chciały one w

⁶⁸ Materiał ludzki do tej armii oceniany jest na 700 000–1 040 000 ludzi.

żadnym wypadku kompromitować swej formalnej lojalności i narażać się na odpowiedzialność.

Teraz, po abdykacji cesarza rosyjskiego, kwestia lojalności już nie istnieje, toteż wspomniane żywioły mogą radykalnie zmienić postawę i pogodzić się z nowym stanem rzeczy, stworzonym przez Niemców. Tego należy się obawiać ze strony części arystokracji i wyższego duchowieństwa, mogących się dziś poczuć wolnymi, a nadto czujących wstręt do anarchii rosyjskiej; a także ze strony ciemniejszych i politycznie biernych żywiołów pośród włościan, które dotychczas obawiały się, że cesarz rosyjski wróci ze swym wojskiem i ze swą policją.

Niebezpieczeństwo jest tym większe, iż nie jesteśmy wcale zabezpieczeni przed jakąś deklaracją nowego rządu rosyjskiego, że kwestia polska będzie zdecydowana przez rosyjską Dumę – bo takie jest stanowisko pewnych wybitnych liberałów, a w szczególności p. Miliukowa.

Tego rodzaju deklaracja spowodowałaby wybuch oburzenia wszystkich Polaków bez wyjątku i bardzo prawdopodobną odpowiedzią na nią byłoby tworzenie armii polskiej pod auspicjami Niemiec dla obrony niezawisłości Polski przeciw Rosji.

Jest wszakże możliwość uprzedzenia tego niebezpieczeństwa. Deklaracja rządów państw sprzymierzonych, że Polska będzie zjednoczona i odbudowana jako niezawisłe państwo, w warunkach pozwalających jej przyczynić się wraz z innymi narodami do utrzymania równowagi europejskiej – zadowoliliby nie tylko większość Polaków, którzy pokładają swe nadzieje w sprzymierzeńcach, ale z pewnością wywarłaby silne wrażenie na wielu z tych, którzy przez nienawiść do Rosji stanęli po stronie państw centralnych.

Dotychczas warunki dla takiej deklaracji były bardzo trudne: stary rząd rosyjski był bardzo uparty w utrzymywaniu teorii, że kwestia polska jest kwestią wewnętrzną Rosji. To stać się może również teorią nowego rządu, gdy nowy porządek rzeczy w Rosji mniej więcej się ustali. W obecnym wszakże momencie przejściowym, w pierwszym wybuchu rewolucyjnego entuzjazmu, w atmosferze wielkich pryncypiów z przeważającą dążnością do radykalnego rozstrzygnięcia wszelkich zagadnień, Rząd Tymczasowy rosyjski byłby dostępniejszy. Nie przedstawiałoby wielkiej trudności osiągnięcie od Rosji akcesu do deklaracji sprzymierzonych, że Polska będzie niepodległym państwem, a jej przyszłość będzie określona na konferencji międzynarodowej. Z pewnością p. Miliukow i niektórzy inni nie zgodzą się na to bardzo chętnie, ale z drugiej strony, krok ten spotka się z poparciem żywiołów bardziej radykalnych, które wywierają teraz silny nacisk na nowy rząd.

Główne warunki osiągnięcia tego są, jak mi się zdaje, następujące:

- 1) powziąć kroki bezpośrednio w Piotrogradzie u nowego rządu Rosji przez przedstawicieli państw sprzymierzonych;
- 2) nie traktować z przedstawicielami dyplomatycznymi Rosji za granicą, którzy mogą być skłonni do utrzymania postawy dawnego rządu i obawialiby się wziąć odpowiedzialność za zmianę w tej postawie, wreszcie;

3) działać szybko i stanowczo, wychodząc z założenia, że od szybkiej decyzji losy wojny w znacznej mierze zależą.

Ostatni wzgląd jest realniejszy, niż to może się zdawać. Jednym ze skutków rewolucji może być rozkład dyscypliny w armii rosyjskiej, który znacznie obniży jej wartość. Gdyby w tym samym czasie utworzono armię polską do walki po stronie państw centralnych, równowaga sił walczących znacznie by się naruszyła na korzyść państw centralnych.

Jest tu kwestia nie tylko sił fizycznych – *prestige* nowej Rosji wymaga z jej strony uznania zasady wolności narodów. Naród rosyjski, który zrzucił jarzmo starych rządów, nie chcąc być rządzony wbrew swej woli, nie może utrzymywać stanowiska, że naród polski ma być rządzony wbrew swej woli przez Rosjan i że jego losy mają być zdecydowane przez Rosję.

Jest tu także kwestia moralnego *prestige* wszystkich sprzymierzonych. Ich stanowisko w kwestii polskiej, przeciwne dotychczas zasadzie wolności narodów, było usprawiedliwione przez trudności, jakie mieli oni ze starym rządem rosyjskim. To usprawiedliwienie dziś znika i będą narażeni na oskarżenie o brak szczerości przez opinię krajów neutralnych i małych narodowości.

Trzeba dodać, że proaliantcy przywódcy Polaków utrzymywali dotychczas wśród swych rodaków wiarę w sprzymierzonych, wykazując, że alianci byli zmuszeni postępować ostrożnie z reakcyjnym i germanofilskim rządem rosyjskim, ażeby nie utracić współdziałania Rosji w wojnie. Teraz, po rewolucji rosyjskiej, tracą oni ten argument i są zagrożeni utratą wpływu w kraju, który może dostać się pod władzę żywiołów germanofilskich.

Rosjanie muszą zrozumieć, że deklaracja o niepodległości Polski nie będzie żadną miarą aktem przeciwrosyjskim. Dla Rosji w tym krytycznym okresie jej dziejów, w którym leży przed nią wielkie i trudne dzieło przebudowy, praca – może być, na parę pokoleń – jest rzeczą wielkiej wagi mieć możliwość przeprowadzenia tego dzieła bez interwencji potężnego sąsiada niemieckiego. Ustanowienie państwa polskiego pomiędzy Rosją a Niemcami będzie w znacznej mierze zabezpieczeniem od takiej interwencji. Z drugiej strony, wielka reforma konstytucyjna jest trudniejsza, gdy ją komplikują zagadnienia narodowe, zaś wśród zagadnień narodowych Rosji kwestia polska była największa i najniebezpieczniejsza. Nie ma wątpliwości, że w tym okresie przejściowym Rosja okazałaby się całkiem niezdolna do poradzenia sobie ze swymi zagadnieniami narodowymi, gdyby Polska należała do państwa rosyjskiego.

Dodam w końcu, że jakkolwiek dyskusja w sprawie granicy między Polską a Rosją, która mogłaby być proponowana ze strony rosyjskiej, dziś niepotrzebnie komplikowałaby sprawę i winna być odłożona do końca wojny.

VI. MEMORIAŁ O TERYTORIUM PAŃSTWA POLSKIEGO ZŁOŻONY SEKRETARZOWI STANU BALFOUROWI W LONDYNIE W KOŃCU MARCA 1917 ROKU

(przekład z angielskiego)

Z postępem wojny szanse rosyjskiego rozwiązania kwestii polskiej stopniowo znikają. Główną przyczyną tego nie było zajęcie Polski przez armię niemiecką i austriacką. Przyczyna tkwiła w samej polityce rosyjskiej, w jej charakterze i w jej brakach (*limitations*).

Po pierwsze, w czasie pokoju Rosja okazała się niezdolna do skutecznego radzenia sobie z kwestią polską, jej zaś polityka po wybuchu wojny stała się wprost niezrozumiała, wykazując uderzający brak konsekwencji.

Po drugie, wobec tego, iż jak to powszechnie rozumiano, celem tej wojny było sprowadzenie potęgi niemieckiej do granic, które by pozwoliły na przywrócenie równowagi europejskiej, zagadnienie Europy Środkowej stało się głównym zagadnieniem wojny. Powstała kwestia, czy Europa Środkowa stanie się niemiecka, czy też znaczna jej część będzie zorganizowana jako przeciwwaga dla Niemiec. Kwestia polska, związana w znacznej mierze z innymi zagadnieniami środkowoeuropejskimi i największa spośród nich, nie może być traktowana jako całkiem odosobniona. Tymczasem polityka rosyjska nie wykazała żadnej inicjatywy w sprawie przyszłości Europy Środkowej. Nie wysunęła ona żadnego planu przeciw niemieckiemu planowi *Mitteleuropy*. W tej wielkiej chwili historycznej Rosja traktowała kwestię polską wyłącznie jako swoją sprawę domową, przez co wykazała całkowitą niezdolność do sprostania wymaganiom czasu.

Dziś w Polsce nikt nie wierzy, w Rosji zaś raczej nieznaczna mniejszość wierzy w urządzenie przyszłości Polski przez Rosję.

Gdy niemieckie rozwiązanie kwestii polskiej z punktu widzenia sprzymierzonych jest niedopuszczalne – oznaczałoby bowiem najważniejszy krok w podboju całej Europy Środkowej przez Niemcy – pozostaje jedynie ustanowienie niezawisłego państwa polskiego. To państwo musi przyczyniać się do utrzymania równowagi europejskiej, do czego konieczne są warunki następujące:

1) musi ono być dostatecznie duże i silne;

2) musi posiadać warunki gospodarczej niezawisłości od Niemiec, z których najgłówniejszymi są dostęp do morza oraz posiadanie bogatych śląskich pokładów węgla, położonych na obszarze narodowym polskim, lecz podzielonych przed wojną granicami Rosji, Austrii i Niemiec;

3) musi to być państwo suwerenne ze swą własną polityką zewnętrzną, ażeby mogło działać na rzecz organizacji narodowości Europy Środkowej i ich wyzwolenia spod niemieckiego wpływu.

Określić terytorium przyszłego państwa nie można ani na podstawie ściśle historycznej, ani też czysto lingwistycznej. Odbudowanie Polski w jej granicach historycznych z roku 1772 nie jest bodaj możliwe dzisiaj i nie dałoby bardzo silnego państwa. Podstawą siły Polski jest obszar, na którym masa ludności mówi po polsku, jest świadoma swej narodowości polskiej i przywiązana do polskiej sprawy. Ten obszar nie zamyka się w granicach Polski 1772 roku. Są ziemie polskie w Niemczech i Austrii, które nie należały do Polski w czasie rozbiorów, ale w których masa ludności mówi po polsku, jest polska w swych myślach i uczuciach. Są to: Górny Śląsk i południowy pas Prus Wschodnich – w Niemczech, oraz część Śląska austriackiego (Księstwo Cieszyńskie). Ich posiadanie dla państwa polskiego jest sprawą wielkiej wagi:

1) ze względów geograficznych – gdyż da normalniejszą granicę państwa;

2) ze względów gospodarczych – gdyż posiadają obfite pokłady węgla, których utrata przez Niemców, a pozyskanie przez Polskę zmieni poważnie względną siłę ekonomiczną obu narodów;

3) ze względów politycznych – gdyż ich ludność, posiadająca wysoką kulturę i świadoma swej narodowości, ogromnie wzmocni ciało narode polski, wyzwolenie zaś jej spod Niemiec ocali ją od niebezpieczeństwa wynarodowienia i nie dopuści do wzmocnienia narodu niemieckiego przez jej pochłonięcie.

Z drugiej strony, w państwie rosyjskim, na wschód od obszaru językowego polskiego leży ogromny kraj z ludnością dwudziestopięciomilionową, który należał do dawnej Polski (w roku 1772) i gdzie Polacy są w mniejszości od 35 do 5%. Masa ludności mówi po litewsku lub po białorusku na północy, po małorusku zaś na południu. Prawda, że mniejszość polska przedstawia tam kulturę i zamożność; że cywilizacja polska wbrew wrogim wysiłkom rządu rosyjskiego przeważa na tym obszarze; że cywilizacja rosyjska jest bezsilna i niezdolna do prowadzenia kraju po drodze postępu – jedynym czynnikiem postępu jest polskość; wreszcie, że masa ludności nie jest przywiązana do Rosji. Niemniej przeto, masy w tym kraju stanowiłyby pole dla agitacji przeciwpolskiej i skutkiem swej liczby mogłyby się stać niebezpieczeństwem dla spójności państwa polskiego. Nie wynika stąd, żeby cały ten obszar miał pozostać w granicach państwa rosyjskiego. Północno-zachodnia jego część z Wilnem – gdzie Polacy są silniejsi niż w innych częściach (gubernia wileńska posiada 35% ludności polskiej i jest reprezentowana w Dumie wyłącznie przez Polaków) i gdzie masa ludności składa się z trzech żywiołów: Polaków, Litwinów (rzymskich katolików) oraz Biało- i Małorusinów (wcielonych do Cerkwi rosyjskiej dopiero w połowie XIX stulecia po zniesieniu przez Mikołaja I Kościoła unicko-katolickiego) – wcielona do państwa polskiego stałaby się krajem szybko postępującym i powiększyłaby znacznie siłę państwa polskiego. Po tej inkorporacji Rosja pozostałaby w posiadaniu blisko dwóch trzecich tego dawnego kraju polskiego: zachowałaby w przybliżeniu to, co zabrała w pierwszym i drugim rozbiorze (1772 i 1793).

Tak najbardziej pożądane terytorium przyszłego państwa polskiego obejmowałoby:

- 1) Polskę austriacką – Galicję i połowę Śląska austriackiego (Cieszyn);
- 2) Polskę rosyjską – Królestwo Polskie oraz gubernie: kowieńską, wileńską, grodzieńską, część mińskiej i Wołyńia;
- 3) Polskę niemiecką – historyczne ziemie: Poznańskie i Prusy Zachodnie z Gdańskiem; następnie Górny Śląsk i południowy pas Prus Wschodnich.

Najtrudniejszym bodaj zadaniem jest oderwanie od Niemiec ich części Polski. Wyzwolenie ziem polskich spod Niemiec oznacza dla nich zniszczenie wielkiego dzieła historycznego założonego przez Fryderyka Wielkiego, rzeczywistego autora rozbioru Polski, przez co spodziewał się stopniowo zniszczyć cały naród polski, uczynić Wisłę rzeką niemiecką i podwoić tą drogą obszar nowych Niemiec, będących główną podstawą współczesnej potęgi niemieckiej. Trudność jest zwiększona przez fakt, że w Prusach Wschodnich, w prowincji królewieckiej, istnieje obszar niemiecki (z niemczony) z dwoma milionami blisko ludności mówiącej po niemiecku. Ta wyspa niemiecka, otoczona na północy przez Bałtyk, na wschodzie przez narodowość litewską, na południu zaś i zachodzie przez polską, która dosięga Morza Bałtyckiego na lewym brzegu Wisły – gdyby była oddzielona od Niemiec, drogą całkiem naturalnego procesu byłaby stopniowo wchłonięta przez Polskę. Jest to dziś prowincja ekonomicznie martwa; jest to dziś najbardziej zacofana prowincja w całym państwie niemieckim, z rzadką ludnością (144 mieszkańców na milę⁶⁹ kwadratową, gdy Polska ma 260 mieszkańców na milę kwadratową). Zniesienie granicy celnej, która ją dzieli od Polski, i praw antypolskich, które przeszkadzają imigracji polskiej, powołałoby ten kraj do nowego życia, przy silnej imigracji z Polski. Niemieccy mężowie stanu zawsze rozumieli to niebezpieczeństwo i, zaczynając od Bismarcka, otwarcie stwierdzali, że trzeba przeszkadzać wskrzeszaniu kwestii polskiej ze względu na przyszłość Prus Wschodnich. Książę Bülow w swej książce o polityce niemieckiej mówi, że wszystkie wysiłki germanizacji Poznańskiego i Prus Zachodnich są dyktowane przez konieczność zapewnienia przyszłości wschodniopruskich Niemców, co może być osiągnięte tylko przez zniszczenie narodowości polskiej w Poznańskim i Prusach Zachodnich.

Z drugiej wszakże strony, musimy zrozumieć, że gdyby Prusy Wschodnie nie zostały oddzielone od terytorium niemieckiego, to znaczy, gdyby Prusy Zachodnie z Gdańskiem pozostały w rękach niemieckich – Polska, pozbawiona dostępu do morza, otoczona na północy i zachodzie przez posiadłości niemieckie, byłaby ekonomicznie i militarnie na łasce Niemiec, nie byłaby zdolna do stawiania oporu polityce niemieckiej, a tym samym nie miałaby znaczenia dla równowagi europejskiej.

Trzeba dodać, że Gdańsk – jakkolwiek jest w ogromnej większości swych mieszkańców miastem niemieckim (z niemczonym), jakkolwiek w przeszłości należał do

⁶⁹ Angielską.

ligi hanzeatyckiej – był we wczesnych wiekach średnich polski, a później, po odwojowaniu go od zakonu teutońskiego, w roku 1468, był aż do drugiego rozbioru wielkim portem polskim, jego zaś mieszkańcy najlojalniejszymi poddanymi królów polskich, walczącymi przeciw najazdowi pruskiemu. Kraj na zachód od Gdańska jest silnie polski aż do brzegu bałtyckiego. Obecnie Gdańsk jest miastem martwym ekonomicznie ze 150 000 mieszkańców; po wcieleniu do Polski, szybko stałby się on najbogatszym miastem na Bałtyku z co najmniej pół milionem mieszkańców, a cała imigracja do niego byłaby polska.

VII.

STANOWISKO ROSJI W KWESTII POLSKIEJ W CIĄGU OBECNEJ WOJNY. NOTATKA INFORMACYJNA DLA RZĄDU ANGIELSKIEGO Z KOŃCA MARCA 1917 ROKU

(przekład z angielskiego)

Po znanym manifeście wielkiego księcia do Polaków kwestia polska stała się w Rosji przedmiotem szerokiej dyskusji. Różne grupy polityczne wyrażały różne poglądy na sposób urzeczywistnienia danych obietnic. Stronnictwa liberalne formułowały program szerokiej autonomii dla Polski, podczas gdy rząd usiłował sprowdzić wykonanie obietnic do pewnych ustępstw w zakresie języka polskiego, do pewnego zakresu wolności religijnej, wreszcie do ustanowienia ciał miejscowego samorządu w Polsce.

Już wszakże w marcu 1915 roku, tj. na cztery miesiące przed ustąpieniem armii rosyjskiej z Polski, bardzo poważna grupa starych konserwatystów w Moskwie, prowadzona przez Samarina, ks. Oboleńskiego, ks. Golicyna, Tichomirowa i innych, przedstawiła cesarzowi memoriał, w którym oświadczyli oni stanowczo, że jedynym sposobem urzeczywistnienia obietnic wielkiego księcia jest ustanowienie niepodległego państwa polskiego pod własnym monarchą. Dowodzili oni, że dwa narody, rosyjski i polski, nie mają nic wspólnego, że są niezdolne do życia na zasadach równych praw pod jednym berłem, że ani autonomia dla Polski, ani nawet unia osobista Polski z Rosją nie może mieć warunków trwałości, że w rozwiązaniu kwestii polskiej istnieje tylko alternatywa: albo dyktatura rosyjska w Polsce, taka jaką sprawowano aż do ostatnich czasów, albo całkowicie niepodległe państwo polskie. Memoriał ten, wydrukowany na zasadach rękopisu, szeroko rozpowszechniono w kierujących kołach Rosji.

Po odwróceniu rosyjskim z Polski rząd stał się bardziej liberalny w stosunku do kwestii polskiej, zachował wszakże postawę mniej więcej nieokreśloną. W tym czasie zaczęły się ukazywać w prasie rosyjskiej artykuły wysuwające ideę niepodległej Polski. Zainteresowanie wszakże rosyjskie w sprawie Polski szybko słabło; widoczne było, że znaczna część opinii publicznej stopniowo pogodziła się z myślą utraty tego kraju na zawsze.

Zainteresowanie odżyło po akcie cesarzów niemieckiego i austriackiego, ustanawiającym państwo polskie na terytorium odebranych Rosji. Niebezpieczeństwo utworzenia armii polskiej do walki z Rosją wywołało szereg oświadczeń z sympatią dla Polski. Cenzura dała prawie pełną swobodę dyskusji o kwestii polskiej, wiele też dzienników wypowiedziało się na korzyść niepodległej Polski na jej zjednoczonym obszarze narodowym.

W grudniu zeszłego roku cesarz w swym rozkazie dziennym do armii oświadczył, że Polska musi być zjednoczona i wolna. Wkrótce potem przyjął on hr. Zygmunta Wielopolskiego i oświadczył mu, iż przez te słowa rozumiał, że Polska ma być

ustanowiona jako państwo z własnymi izbami prawodawczymi i z własną armią narodową, i upoważnił go do ogłoszenia w prasie tego oświadczenia.

Po deklaracji prezydenta Wilsona w jego orędziu do Senatu, że „winna powstać zjednoczona, niepodległa i samorządna Polska”, rosyjski pierwszy minister dał przedstawicielowi zagranicznego dziennika wywiad, w którym oświadczył, że prezydent Wilson ściśle wyraził stanowisko rosyjskie w kwestii polskiej.

W ostatnich paru miesiącach nie mówiono więcej w Rosji o autonomii dla Polski. Idea państwa polskiego ogólnie się przyjęła. Jedynymi kwestiami spornymi były: po pierwsze, czy państwo polskie winno być całkowicie oddzielone od Rosji, czy też złączone z nią pewnymi węzłami, w szczególności osobą wspólnego monarchy; po wtóre, kwestia, do kogo winna należeć decyzja o przyszłości Polski: do konferencji międzynarodowej, do cesarza rosyjskiego, czy do rosyjskiej Dumy.

Jedynym dziennikiem, który mocno bronił praw rosyjskiej Dumy do stanowienia o przyszłości Polski, była „Riecz”, organ p. Miliukowa. Niektóre pisma w polemice z „Rieczą” przypominały fakt, że kongres wiedeński nie zrobił Królestwa Polskiego prowincją rosyjską, tylko przyznał je cesarzowi rosyjskiemu jako odrębne państwo; wobec tego twierdziły one, że rosyjska Duma nie ma tytułu do jurysdykcji nad tym krajem.

Jedyną znaną deklaracją dotyczącą Polski zrobioną po wybuchu rewolucji jest deklaracja p. Kiereńskiego, ministra sprawiedliwości, w wywiadzie z korespondentem „Daily Chronicle”, dr. Haroldem Williamsem. Dr Williams mówi, że Kiereński jest za niepodległą Polską.

„Daily Chronicle”, 22 III 1917

VIII. ZAGADNIENIA ŚRODKOWO- I WSCHODNIOEUROPEJSKIE

(przez R. Dmowskiego)

LONDYN, LIPIEC 1917 ROKU, DRUKOWANE NA PRAWACH RĘKOPISU

(przekład z angielskiego)

PROBLEMS OF CENTRAL AND EASTERN EUROPE

LONDON, JULY 1917, PRIVATELY PRINTED

WSTĘP

Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że wojna obecna, największa w dziejach świata, wywołała obfitą literaturę poświęconą przebudowie Europy, kreślącą granice, które nigdy nie istniały, rozwalającą całe państwa i budującą nowe. Również zrozumiałe jest, że wytrawni mężowie stanu patrzą na te próby przerobienia karty Europy podejrzliwie, uważając je za roboty nieodpowiedzialne, wykonane przy biurku przez ludzi, którzy się zajmowali w życiu tylko pisaniem i którzy o warunkach istnienia państw nie mają pojęcia. Doświadczenie uczy mężów stanu konserwatyzmu, nie dowierzają oni temu, czego nie znają; wiedzą mniej więcej, czego można oczekiwać od państw, które istniały przed wojną, i wiedzą również, że nowe formacje według wszelkiego prawdopodobieństwa staną się źródłem nowych a nieoczekiwanych zawiązań. Z drugiej strony, widzą oni, że ta wojna, po upływie blisko trzech lat, jest ciągle jeszcze daleka od osiągnięcia momentu decydującego, że wszelka zmiana radykalna *status quo* mogłaby być sprowadzona tylko przez znaczne przedłużenie wojny, przez nowe, olbrzymie wysiłki, przez więcej przelewu krwi, i budzi się w nich wątpliwość, czy można wziąć odpowiedzialność za tak wiele ludzkiego cierpienia.

Wielkie katastrofy nie zawsze pociągały za sobą wielkie zmiany w budowie. Po wojnach napoleońskich, które wstrząsnęły o wiele silniej niż obecna wojna istniejącymi stosunkami międzynarodowymi, kongres wiedeński przywrócił w znacznej mierze dawne granice – nie należy pomijać faktu, że usankcjonował jeden z największych przewrotów, jakiego na krótko przed wojnami napoleońskimi dokonano na mapie Europy: rozbiory Polski. Łatwo przeto wyobrazić sobie, że wojna obecna mogłaby się zakończyć powrotem do granic przedwojennych, z tym pozornym skutkiem, że międzynarodowy porządek rzeczy nie uległby zmianie na korzyść żadnego z mocarstw.

Dwa wielkie cele agresywnej polityki niemieckiej, o których tak wiele mówiono ostatnimi czasy – zniszczenie supremacji Wielkiej Brytanii na morzach i rozstrzygnięcie kwestii Bliskiego Wschodu w sensie niemieckim przez wprowadzenie w życie systemu objętego nazwą Berlin-Bagdad – jak się zdaje, nie mają żadnych widoków urzeczywistnienia. Niemcy od początku wojny zostały wymiecione z wielkich mórz,

utraciły swoje posiadłości kolonialne, ich środki wojny morskiej zostały sprowadzone do piraterii podwodnej i według wszelkiego prawdopodobieństwa po zakończeniu wojny zjawia się one ponownie na morzach ze znacznie ograniczoną potęgą. Co zaś do ich planów kontynentalnych, to Bagdad jest już w rękach brytyjskich i wojska brytyjskie posuwają się naprzód w Palestynie. Powodzenie wojenne Wielkiej Brytanii już dziś udaremnia plan wschodni, przy którego pomocy Niemcy spodziewały się w przyszłości zadać imperium brytyjskiemu cios śmiertelny w dwóch punktach żywotnych: w Zatoce Perskiej i w Kanale Sueskim.

Wobec takiego bankructwa wielkich ambicji niemieckich w wojnie obecnej, przywrócenie granic przedwojennych na kontynencie europejskim mogłoby być uważane za wynik całkiem zadowalający.

Z drugiej strony, wielu przywódców socjalistycznych w krajach sprzymierzonych – uważając, iż ta wojna została narzucona ludzkości przez rządzący kapitalizm, i żywiąc nadzieję, że nigdy się ona nie powtórzy, gdy rządy demokratyczne zostaną zaprowadzone we wszystkich krajach – okazuje zniecierpliwienie w doprowadzeniu wojny do końca przez ustalenie zasady pokoju „bez aneksji”, zasady, która po raz pierwszy została sformułowana w państwach centralnych.

Jeżeli te tendencje opanują opinię publiczną w krajach sprzymierzonych, wojna bardzo łatwo może się zakończyć; jest rzeczą prawdopodobną, że Niemcy, wobec stracenia widoków na aneksję ze swej strony, rychło zaproponują, pozornie pod naciskiem swych własnych socjalistów, zawarcie pokoju „bez aneksji”.

Wtedy wszelkie plany przebudowy Europy, przerobienia jej mapy politycznej pozostałyby na papierze ku wielkiemu zadowoleniu tych, którzy w obecnej dobie poczytują je za pług wyobraźni i temperamentu pisarzy politycznych, niezrodzony z konieczności realnego życia.

Pozwolimy sobie wszakże na przepowiednie, że jeżeli taki będzie los planów zajmujących dzisiejszych pisarzy politycznych, ich autorzy jeszcze przed końcem swego życia będą mieli smutną satysfakcję, że oddana im będzie sprawiedliwość. Jeżeli po tej wojnie Europa nie będzie przebudowana na nowych zasadach, bardzo rychło uświadomimy sobie, że Niemcy osiągnęły wielkie zwycięstwo polityczne, że pokój zawarty po tylu wielkich wysiłkach i po tak wielu poświęceniach, pozostawił je w położeniu dającym im możliwość prowadzenia dalej z powodzeniem ich polityki podboju, na szkodę i zgubę innych narodów.

Prawdę mówiąc, nie możemy sobie nawet wyobrazić możliwości takiego pokoju. Gdyby przerwano wojnę i rozpoczęto negocjacje na zasadzie pokoju „bez aneksji”, jest więcej niż prawdopodobne, że mężowie stanu, raz wniknąwszy w szczegóły położenia, spostrzegliby, że zawarcie pokoju jest niemożliwe i wojna rozpoczęłaby się na nowo. Niech eksperci wojskowi osądzą, dla której strony taka przerwa okazałaby się korzystna.

Przypuszczenie, że ta wojna sprowadzi radykalną zmianę ducha Niemiec, położy koniec ich polityce podboju i uczyni z nich naród miłujący pokój, nie ma żadnych

poważnych podstaw. Nadzieje pokładane w tym względzie w demokracji niemieckiej są nieco złudne. Pacyfizm demokracji jeszcze nie został dowiedziony. Jeżeli lekcje historii są coś warte, to pożytecznie będzie przypomnieć sobie, że demokratyczna Francja, nazajutrz po rewolucji, została poprowadzona na podbój Europy. W naszych już czasach demokracja amerykańska uznała za konieczne wypowiedzieć wojnę Hiszpanii i zaanektować kolonie hiszpańskie. Można się spierać o to, czy ostatni bodziec decydujący do rozpoczęcia kroków wojennych dany był przez Niemcy, ale głębokich przyczyn tej wojny bez żadnej kwestii nie należy szukać ani w charakterze cesarza Wilhelma, ani w duchu militarystycznym junkrów pruskich, tylko w dążeniach ekspansywnych całego narodu niemieckiego – tego *Strebervolk*, jak sami siebie nazywają. Szybki postęp ekonomicznego podboju świata przez Niemcy był dziełem niemieckich żywiołów demokratycznych; nawet w kołach niemieckiej demokracji socjalnej rozumiano, że ten podbój leży w interesie wszystkich Niemców, włączając klasę robotniczą. Niemcom potrzebne było stanowisko mocarstwowe, które by im umożliwiło dyktowanie warunków handlowych świata i budowanie bogactwa narodowego Niemiec kosztem innych narodów. Czyż możemy wierzyć, że demokracja niemiecka nie dba o te rzeczy, że zrzeknie się ona przemysłowego i handlowego rozrostu Niemiec w tym celu, by ocalić od zagłodzenia bratni proletariats Anglii i innych krajów? Nikt jeszcze nie usiłował postawić ubóstwa między ideałami demokracji. Nadto Niemcy i Austro-Węgry są obecnie w swoim ustroju najmniej demokratycznymi krajami w całej Europie i nie mamy żadnych danych do przypuszczenia, że przy całym możliwym postępie po tej wojnie przestaną one w tym względzie zajmować ostatnie miejsce. Nie należy nam także zapominać, że w narodzie niemieckim w obecnym stadium jego ewolucji walka jednostki przeciw państwu jest o wiele słabsza niż w Anglii i Francji.

W pewnych kołach pokłada się wielkie nadzieje w organizacjach międzynarodowych, które, jak się przypuszcza, zwiążą demokrację całej Europy we wspólnej polityce pokoju. Czy jednak doświadczenie nie wykazało, że narody silne szanują więzy międzynarodowe tylko dopóty, dopóki uważają je za użyteczne? Te same tajne więzy międzynarodowe, które miały wiązać Niemcy z krajami zachodnimi, po okazaniu się nieskutecznymi w przeszkodzeniu wojnie, są obecnie zużytkowane przez Niemcy – na Węgrzech, w Turcji, a w pewnej mierze także w Polsce i Szwecji – przeciw narodom zachodnim.

Wojna obecna jest najlepszym dowodem, że równowaga europejska znikła od dawna. Naród niemiecki stawia czoło połączonym siłom wszystkich największych narodów świata i, po trzech blisko latach walki, jeszcze nie jest pokonany. Może tu ktoś zrobić obiekcję, że Niemcy nie walczą odosobnione, że zdołały one pozyskać bardzo sprawnych sprzymierzeńców w Austro-Węgrzech, Turcji i Bułgarii, że wśród ich wrogów Rosja w tym, co zdołała, nie stanęła na wysokości swych przyrodzonych sił i środków. Na to możemy odpowiedzieć, że węzły między Austro-Węgrami i Niemcami są czymś więcej niż zwykłym przymierzem – jest to *de facto* związek nierozzerwalny, w którym monarchia naddunajska jest podporządkowana państwu Hohenzollernów; żadna dyplomacja nie jest zdolna zerwać węzłów łączących te dwa państwa. W ciągu ostatnich

dziesięcioleci Austro-Węgry już nie były przypadkowym sprzymierzeńcem, stały się one nieoddzielną częścią potęgi niemieckiej – fakt, któremu przypisać należy ostatecznie zniszczenie równowagi europejskiej. Połączone zaś siły Niemiec i Austro-Węgieł zbyt zaciążyły nad Turcją, ażeby ta mogła posiadać politykę niezawisłą; musiem było dla niej poddanie się kierownictwu państw centralnych. Duża prawda będzie w powiedzeniu, że po stronie Niemiec walczą nie sprzymierzeńcy, lecz podwładni.

Co do Rosji, to wielki błąd popełniano, mierząc jej siły cyframi, bez brania w rachubę imponderabiliów. Potęga narodu zależy nie tylko od jego siły liczebnej i od jego środków, ale także od jego budowy społecznej, organizacji, od stopnia i typu jego politycznej psychiki itd. W istocie Rosja nie rozwinęła całej swej siły w walce, czemu przeszkodziły wpływy niemieckie wewnątrz imperium carów. Wpływy te, trzeba to stwierdzić, były częścią składową potęgi niemieckiej, gdyż w nowej Rosji nie przestały one działać, tylko zmienił się sposób ich działania.

Trzeba to sobie uświadomić, że groźba niemiecka dla innych narodów tkwi nie tyle w niemieckich ambicjach i w ideach wszechniemieckich, ile w stanowisku faktycznie osiągniętym przez Niemcy przed i w ciągu wojny obecnej. Szybko się one już przed wojną posuwały po drodze osiągnięcia panowania nad całą Europą Wschodnią, teraz zaś posiadają wszelkie widoki, nawet bez aneksji, zdobycia tego panowania w pełnym tego słowa znaczeniu.

Stanowisko Niemiec przed wojną da się w krótkich słowach tak określić.

Mając posiadłości na brzegu bałtyckim, sięgające aż na wschód od ujścia Niemna, korzystając nadto ze słabości Rosji na morzu, Niemcy panowały na Bałtyku, pozbawiając państwa skandynawskie, zwłaszcza Szwecję, znaczenia międzynarodowego i budząc w nich przekonanie, że istnieją one na łasce Niemiec. Niemieckie wpływy polityczne głęboko przesiąkały do Rosji i posuwał się jej podbój handlowy przez Niemcy (wwoz niemiecki do Rosji przed wojną wynosił około 53% całego wwozu do tego państwa).

Jakkolwiek tylko względnie mała część Polski należała do Niemiec, kwestia polska jako całość faktycznie znajdowała się w ich rękach – Rosja i Austria coraz więcej naginały swą politykę polską do życzeń Berlina. Podczas gdy Rosja, która posiadała największą część Polski, traktowała kwestię polską jako czysto wewnętrzną i nie robiła żadnych prób znalezienia jej rozwiązania, niemieccy mężowie stanu oświadczyli otwarcie w Reichstagu, że obchodzi ich Polska jako całość i że Niemcy są w walce przeciw całemu narodowi polskiemu.

Przez podporządkowanie sobie Austro-Węgieł Niemcy zbliżyły się do Bałkanów i Turcji. Ich handlowe przenikanie na Bliski Wschód zaczęło się późno, ale postępowało szybko, idąc w ślad za penetracją austro-węgierską. Z ich wpływami politycznymi, zwłaszcza w Turcji, współzawodnictwo stało się niemożliwe. Były one przeważające za starych rządów w państwie otomańskim. Po rewolucji, gdy młodoturcy przyszli do władzy, spodziewano się, że Anglia i Francja odzyskają swój dawny urok nad Bosforem,

tymczasem stało się całkiem przeciwnie: przy nowych rządach wpływy niemieckie stały się jeszcze silniejsze.

Ten stały wzrost wpływu niemieckiego w całej Europie Wschodniej, niepowstrzymywany przez żadne zmiany polityczne w krajach, do których przenikał, postępujący wbrew wszelkim przeciwdziałającym wysiłkom innych mocarstw, nie był oczywiście dziełem jakiejś szczególnej zręczności niemieckiej. Był on logicznym wynikiem potęgi Niemiec i ich położenia geograficznego.

Państwo niemieckie z jego sześćdziesięciu ośmiu milionami mieszkańców, z których tylko pięć do sześciu milionów było nie-Niemcami, z jego wysoko rozwiniętą organizacją polityczną, ekonomiczną i wojskową przedstawiało samo przez się największą potęgę kontynentalną. Tę wagę swoją powiększyło ono przez przymierze z Austro-Węgrami, z ich pięćdziesięciu milionami mieszkańców, a węzły między dwoma państwami wkrótce stały się o wiele ściślejsze niż węzły przymierza, ponieważ posiadały one swe źródło nie tylko w położeniu międzynarodowym, ale i w wewnętrznym położeniu monarchii habsburskiej. Gdy przymierza i porozumienia między innymi mocarstwami były zależne od fluktuacji położenia międzynarodowego, przymierze między Niemcami i Austro-Węgrami przekształcało się szybko w związek nierozzerwalny. Tym sposobem wytworzona została potęga przedstawiająca ludność stu osiemnastu milionów, na północy panująca nad Bałtykiem, na południu zaś rozciągająca swój obszar – zwłaszcza po aneksji Bośni i Hercegowiny – w samo serce Bałkanów. Urok tej potęgi w całej Europie Wschodniej musiał być ponad wszelkie współzawodnictwo.

Pozycja, osiągnięta tym sposobem przez Niemcy na długo przed wojną, świadczy, że plany tzw. *Mitteleuropy* i linii Berlin-Bagdad, tak szeroko dyskutowane w prasie i literaturze politycznej, nie są ani czczą gadaniną wszechniemiecką, ani też pomysłami tylko, czekającymi swego urzeczywistnienia w przyszłości, ale że są one już w znacznej mierze polityczną rzeczywistością. Na długo przed wybuchem obecnej wojny cały obszar tego, co się chrzci mianem *Mitteleuropa*, albo systemu Berlin-Bagdad, znajdował się już w znacznej mierze pod kontrolą polityki niemieckiej. Jednocześnie na północnym wschodzie władza niemiecka dawała się silnie czuć w Sztokholmie i Petersburgu. Nie trzeba zapominać, że chociaż Rosja była członkiem potrójnego porozumienia, wewnętrzna polityka państw carów aż do wybuchu wojny obecnej była przyjazna Niemcom.

W ciągu wojny Niemcy dokonały w omawianej sferze dalszego postępu. Armie Austro-Węgier, Turcji i Bułgarii stopniowo wzięte zostały pod komendę niemieckiego Sztabu Generalnego i zeszyły prawie do roli części składowych jednej olbrzymiej armii niemieckiej. Z tą konsolidacją szedł w parze postęp kontroli Niemiec nad sprzymierzeńcami w dziedzinie politycznej i ekonomicznej. Przez podbój Polski, Serbii, a później większej części Rumunii, wszystkie terytoria, które według planu niemieckiego stanowią integralną część systemu *Mitteleuropy*, wpadły w ręce Niemiec. Nie ograniczyły się one do okupacji wojskowej tych krajów, nie czekały zawarcia pokoju z postanowieniami dotyczącymi ich przyszłości, ale wśród wojny już zaczęły dzieło ich organizacji politycznej.

Pierwszy krok został uczyniony przez ogłoszenie (5 listopada 1916 roku) aktu cesarzy niemieckiego i austriackiego, ustanawiającego państwo polskie jako dziedziczne królestwo konstytucyjne. Alianci na ogół widzieli w tym kroku jedynie manewr wojenny, mający na celu utworzenie wojska polskiego do walki po stronie niemieckiej. Niewątpliwie ten cel miano na widoku. Poza tym wszakże leżał plan polityczny – uczynienia faktem dokonany organizacją jednej z przyszłych części składowych systemu *Mitteleuropy*. Są dane na to, że podobne kroki przygotowuje się względem innych krajów okupowanych.

Tymczasem pracują czynniki prowadzące do całkowitego podporządkowania Austrii Niemcom. Jednocześnie z proklamowaniem państwa polskiego na okupowanym obszarze Polski rosyjskiej poczyniono przygotowania do autonomii Polski austriackiej (Galicji). Głównym motywem tego kroku było uwolnienie parlamentu austriackiego od posłów polskich i zapewnienie sobie w ten sposób silnej większości niemieckiej, zdolnej narzucić rządy niemieckie Czechom, z niemczyzną jako jedynym językiem urzędowym. Prawda, że po wstąpieniu na tron cesarza Karola wystąpiły silne przeszkody na drodze tej polityki. Nowy cesarz znalazł doradców w tych samych kołach, które wpływały na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, mianowicie w arystokracji i wyższych kołach wojskowych, strzegących zazdrośnie swej niezależności przeciw supremacji niemieckiej. Władza tych kół wszakże może trwać tylko dopóty, dopóki trwa wojna. Z chwilą powrotu normalnego życia wejdą w grę istotne siły kraju, a wiemy już, jaka będzie ich polityka. W początku minionego lutego dwa potężne stronnictwa austriackie, które w latach poprzedzających wojnę na przemian rządziły austriacką połową monarchii – Unia Narodowa (liberałowie) i Chrześcijańscy Socjaliści – doszły z sobą do bardzo ważnego porozumienia i powzięły uchwały o związku celnym między Austrią a Niemcami, o uczynieniu niemczyzny jedynym językiem urzędowym całej Austrii i o przyznaniu prawa obywatelstwa austriackiego wszystkim Niemcom (poddanym niemieckim) mieszkającym w Austrii. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że te dwa stronnictwa – z których jedno prowadzone przez Żydów i judofilskich antyklerykałów, drugie zaś przez klerykałów i antysemitów – pozostawały zawsze z sobą w zacieklej walce, a teraz połączyły swe siły dla osiągnięcia germanizacji Austrii i jej całkowitego podporządkowania Niemcom, zbliżymy się do zrozumienia, jak silne są dążności niemieckie wśród Austriaków. Nadto, pamiętając, że te dwa stronnictwa, obecnie związane, przedstawiają główne siły polityczne Austrii, nie możemy oczekiwać, żeby mogło im się nie powieść osiągnięcie ich celów.

Ze wszystkich przemian, jakie nastąpiły w ciągu wojny, największą jest rewolucja w Rosji. Potęga rosyjska od dawna była podminowana przez kryzys konstytucyjny i przez kwestię narodowości w państwie. Dopóki trwał stary system rządów, państwo działało jako jedna całość i przedstawiało przynajmniej wielką potęgę wojskową. Z upadkiem tego systemu ujawniła się słaba organizacja oraz brak politycznego doświadczenia u narodu rosyjskiego i – co ważniejsza – różne rasy wchodzące w skład państwa wystąpiły na widownię ze swymi dążnościami odśrodkowymi. Nawet Małorusini (Ukraińcy), których poprzednio określano jako Rosjan mówiących narzeczem języka rosyjskiego, wystąpili

jako odrębna narodowość dążąca do ustanowienia swego stosunku do Rosji na zasadach federacji – dążenie, znajdujące aprobatę żywiołów rosyjskich, będących obecnie u władzy. Że zaś wątpliwą jest rzeczą, czy ci aspiranci do odrębnej narodowości zdolni będą w dostatecznej mierze pojąć zasadę kompromisu, bez którego żadnej trwałej federacji zbudować nie można, dążności te mogą doprowadzić do całkowitego rozpadnięcia się dawnego państwa rosyjskiego. Wynik taki jest tym bardziej prawdopodobny, że ludy zamieszkujące różne części Rosji, nie są wcale zabezpieczone od wpływów obcych, które niezawodnie działają będą przeciw jedności.

Cały południowy obszar Rosji na północ od Morza Czarnego, jest małoruski, nie należy zaś zapominać, że Niemcy na długo przed wybuchem wojny powzięli myśl zorganizowania Małorusinów w państwo ukraińskie i że dawali otwarte poparcie ukraińskiemu ruchowi narodowemu. Na pobrzeżu bałtyckim ludność państwa rosyjskiego składa się ze szczepów niemających nic wspólnego z Rosjanami. Finlandia jest zaludniona przez Finów i Szwedów, w Estonii, Inflantach i Kurlandii żyją Estowie, Łotysze i Niemcy – wszyscy luteranie, wszyscy należący do Zachodu przez swą cywilizację, wyżsi od Rosjan kulturą i rozwojem ekonomicznym. Nowa zatem Rosja jest zagrożona redukcją do tzw. wielkoruskiego obszaru językowego, która odcięłaby ją zarówno od Bałtyku, jak od Morza Czarnego.

Nietrudno uprzytomnić sobie, jakie by podobne przemiany miały znaczenie dla Niemiec. Byłyby one jedynym wielkim mocarstwem na Bałtyku, który by stał się jeziorem niemieckim. Skandynawia i drobne państewka na wschodnim wybrzeżu bałtyckim weszłyby tak całkowicie w ich orbitę, że stałyby się po prostu narzędziami polityki niemieckiej. Ponadto ujarzmienie Polski umożliwiłoby Niemcom rozciągnięcie ich władzy poprzez Ukrainę na Morze Czarne. W tych warunkach Rosja właściwa nie byłaby niczym innym jak niemieckim *Hinterlandem*, a rynek rosyjski dostałby się całkowicie w ręce Niemiec.

Tym sposobem bez aneksji Niemcy są na drodze do osiągnięcia niepodzielnego panowania w całej wschodniej Europie i do podwojenia swej potęgi w stosunku do innych narodów. Nie da się pomyśleć, ażeby przy takiej pozycji mogło im się nie powieść opanowanie ogółu państw bałkańskich i Turcji; to oznacza urzeczywistnienie systemu *Mittleuropy* i Berlin-Bagdad.

Niechybnym następstwem osiągnięcia tych celów musi być degradacja wszystkich innych narodów europejskich.

Francja, w porównaniu z Niemcami, byłaby wtedy małym państwem, niezdolnym do prowadzenia samoistnej polityki zagranicznej. Włochy, stojąc wobec *Mittleuropy* na Morzu Śródziemnym, a w szczególności na Adriatyku, nie miałyby innego wyboru, jak stać się wasalem tej potęgi. Imperium zaś brytyjskie, na miejsce słabych sąsiadów swych posiadłości kontynentalnych w Egipcie i Indiach, weszłoby w bezpośrednie zetknięcie z największą potęgą lądową, jaka kiedykolwiek istniała, z potęgą dążącą do posiadania Kanału Sueskiego – to znaczy do przecięcia aorty imperium i do zniszczenia brytyjskiego panowania w Indiach.

Ci socjaliści, którzy w Anglii są dziś kuszeni przez ponętą ideę pokoju „bez aneksji”, wkrótce by ujrzeli wygłodzenie i wyludnienie Wielkiej Brytanii i usłyszeli przekleństwa jej klas pracujących. Inne części świata niedługo też byłyby pozostawione w wątpliwości co do znaczenia potęgi Niemiec zarówno na polu ekonomicznym, jak na politycznym.

Dlatego to propaganda socjalistyczna pokoju „bez aneksji” spotyka się z przychylnością Niemiec; dlatego to Austro-Węgry już się oświadczyły za takim pokojem – niewątpliwie za cichą ze strony Niemiec aprobatą – i prawdopodobnie nie będziemy długo czekali na oficjalną propozycję pokoju „bez aneksji”, pochodzącą od samych Niemiec.

Jedna jest tylko strona (to właśnie Niemcy) istotnie zainteresowana w pozostawieniu karty Europy bez zmiany, z wyjątkiem tego, co ta wojna na nieodwołalnie zniszczyła. Nie ma już mowy o powrocie rosyjskiego panowania w Polsce, o całkowitej odbudowie jedności rosyjskiej i o rosyjskiej potędze militarnej. Nic nadto nie może powstrzymać postępu rozplywania się Austro-Węgier w Niemczech.

Niemcy mogą być pobite militarnie, ale to nie znaczy, żeby były politycznie pobite. Użyły one i używają ciągle wszelkich środków dla osiągnięcia zwycięstwa w polu, ale przygotowują się do zwycięstwa dyplomatycznego w razie klęski militarnej. Ich zwycięstwo polityczne musi być uważane za więcej niż prawdopodobne z następujących względów:

1. Niemcy zdołały osiągnąć wielką władzę polityczną nad swymi sprzymierzeńcami, podczas gdy ich nieprzyjaciele są w ogromnej mierze nawzajem od siebie niezależni – mają oni różne cele i dążności polityczne i mogą być wygrywani jeden przeciw drugiemu.

2. W kołach politycznych niemieckich nie czuć obcego wpływu; natomiast w krajach sprzymierzonych stwierdza się objawy wskazujące, że agenci państw centralnych nie działali bez powodzenia.

3. Europa Środkowa, której przyszłość jest osiowym punktem tej wojny, zawsze była polem działalności politycznej niemieckiej, wskutek tego niemieccy mężowie stanu posiadają gruntowną i szczegółową wiedzę o położeniu środkowoeuropejskim i o składających się na nie zagadnieniach. Ta wiedza, jak sądzą oni, pozwoli im osiągnąć pożądane rozstrzygnięcia pod pozorami ustępstw dla innych mocarstw.

Niemcy mogą się dziś zgodzić na unicestwienie ich planów na peryferiach ich sfery wpływów: mogą się wycofać z Belgii, oddać mniejszą lub większą część Alzacji i Lotaryngii, zgodzić się na aneksję austriackiego Trentina przez Włochy, nie opierać się odbudowaniu Serbii i Czarnogóry, wyzwoleniu Arabii i Armenii spod Turcji, nawet utracie Bagdadu przez cesarstwo osmańskie; ale wiedzą oni, że jeżeli ich stanowisko w Europie Środkowej i Wschodniej pozostanie nienaruszone – w takim zaś razie nie będzie ono tylko tak mocne jak było przed wojną, ale taktycznie wzmocnione przez postęp ujarzmania Austro-Węgier, przez władzę nad pozornie wyzwoloną Polską i przez rozpadnięcie się Rosji – to ich peryferyjne niepowodzenia będą tylko czasowe. Nowa wojna w niezbyt

odległej przyszłości stałaby się wówczas nieunikniona, wojna prowadzona z nierównie większymi widokami zupełnego zwycięstwa niemieckiego.

Tej fatalnej przyszłości można zapobiec, jedynie uderzając dziś w samo serce potęgi niemieckiej. Rozstrzygnięcie wielkich zagadnień tej wojny nie leży ani na Bałkanach, ani w Azji Mniejszej, tylko w samej Europie Środkowej. Gruntowna przebudowa Europy, która by sprowadziła potęgę niemiecką do naturalnych granic niemieckiej rasy i powołała do niepodległego bytu narody ujarzmione przez Niemcy i zmuszone do służenia ich celom podboju jest niezbędna dla przywrócenia równowagi europejskiej; nie ma innego sposobu położenia tamy ekspansji niemieckiej na Wschodzie, ocalenia wolności wszystkich narodów, zabezpieczenia ich przed degradacją i ruiną.

Zniszczenie równowagi europejskiej na korzyść Niemiec wynika częściowo z przyczyn, których żadna siła ludzka usunąć nie jest zdolna – z faktu, że Niemcy są liczebnie najsilniejszą rasą na kontynencie europejskim, że ta rasa w ciągu XIX stulecia rozwinęła się w zwarty naród, złączony silnymi więzami solidarności, że w obecnym stadium swego rozwoju naród ten jest pchany naprzód przez silne dążenia napastnicze i że zdołał on zorganizować się w potężne imperium. Zniszczyć naród niemiecki lub sprowadzić go z powrotem do stanu dezintegracji, rozbić go na szereg drobnych państweczek jest rzeczą niemożliwą, tak niemożliwą, jak pozbawić Niemców tych zalet i wad, które czynią z nich wielką potęgę napastniczą.

Jakkolwiek wielka jest siła narodu niemieckiego, nie uczyniłaby ona Niemiec zdolnymi do przeciwważenia połączonych sił innych narodów, których interesy leżą nie po stronie niemieckiej, ale po przeciwnej, i dla których utrzymanie równowagi europejskiej jest kwestią życia. Jeżeli Niemcy tak dalece zdołały osiągnąć przewagę nad innymi narodami, to stało się to skutkiem faktu, że potęga niemiecka nie pozostaje w żadnym stosunku do istotnej siły niemieckiej rasy, że budowa polityczna Europy w XIX stuleciu pozostawiła szereg innych szczepów na łasce Niemiec, że dała Niemcom całkowitą możliwość wyzyskiwania ich sił i środków dla własnych celów: połowa niemieckiej potęgi pochodzi ze źródeł nieniemieckich. To położenie może i winno być zmienione przez wojnę obecną. Tę zmianę dyktują interesy wszystkich narodów wciągniętych dziś w wielką walkę historyczną przeciw Niemcom, sprawiedliwość należna masom ujarzmionym, wreszcie stulecie ewolucji, która uczyniła obecną budowę polityczną Europy przestarzałą i nieodpowiadającą dłużej wymaganiom życia narodów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tę ewolucję łącznie z jej wynikami, musi nam się rzucić w oczy prawda, że przebudowa Europy na nowych zasadach jest wielką koniecznością rzeczywistości współczesnej, warunkiem *sine qua non* mniej lub więcej trwałego pokoju i postępu naszej cywilizacji.

I. ROZWÓJ NARODOWY EUROPY OD CZASU KONGRESU WIEDEŃSKIEGO

Ostatnie wielkie urządzenie Europy przeprowadzone zostało na kongresie wiedeńskim w roku 1815. Od tego czasu Europa przeszła wielki proces ewolucji politycznej, który podstawowo zmienił postać jej najważniejszych zagadnień. Należy jasno zrozumieć tę ewolucję w przededniu nowego urządzenia. Inaczej grozi nam niebezpieczeństwo, że, jakiegokolwiek rozstrzygnięcie mamy stojącym przed nami rozlicznym zagadnieniom, osiągnięte skutki będą całkiem nieoczekiwane i sprzeczne z naszymi zamiarami.

Przy końcu XVIII stulecia patrzono na państwo jako na coś istniejącego dla samego siebie: ludność była tylko narzędziem państwa. Kierowniczą zasadą polityki była tzw. racja stanu (*raison d'état*). Te pojęcia panowały na kongresie wiedeńskim, jakkolwiek już występowały na widownię nowe siły prowadzące do ich obalenia. Rewolucja francuska i era wojen napoleońskich obudziła do życia politycznego i powołała do władzy masy narodowe, w szczególności klasę średnią. Kultura tych mas była o wiele mniej kosmopolityczna aniżeli arystokracji, która była żywiołem rządzącym przy *ancien régime*. Z drugiej strony rola gospodarcza klasy średniej, reprezentującej przemysł i handel, sprowadziła – w przeciwieństwie do naturalnych skłonności posiadającej ziemię arystokracji – nieuniknione dążenie do ekspansji, która, robiąc z klasy średniej energiczną współzawodniczkę odpowiednich żywiołów w innych krajach, wzmocniła antagonizmy narodowe. Jednym z głównych skutków rewolucji francuskiej był rozwój idei narodowości i interesu narodowego jako zasady kierowniczej w polityce. Nastąpiła w ciągu XIX stulecia szybka zmiana ról Państwa i Narodu. Teraz Naród stał się istotą kierującą, Państwo zaś jego narzędziem, służącym do obrony interesów narodu. Tym sposobem głównym rysem politycznym XIX stulecia stopniowo stała się gra sił narodowych: narody rozczłonkowane dążyły do zjednoczenia i dały początek nowym państwom narodowym, jak Królestwo Włoskie i Cesarstwo Niemieckie, w państwach niejednolitych rasowo narodowość przeważająca liczbą wyzyskiwała, a nawet usiłowała zniszczyć swych współobywateli innej rasy; ujarzmione narodowości ze swej strony dążyły do wyzwolenia, do politycznej niepodległości. Tym sposobem wystąpił nowy rys wybitny tego okresu: odrodzenie narodowości, które były znikły z widowni europejskiej. W życiu politycznym Europy w dobie obecnej – jakkolwiek podczas wojny przymus państwowy sprawia, że ludy ujarzmione walczą wbrew swej woli za sprawę swoich wrogów – istotnymi ścierającymi się potęgami nie są Państwa, lecz Narody i mąż stanu ignorujący ten fakt nie byłby zdolny ocenić właściwego stosunku sił walczących.

Siła narodów nie da się tak ściśle oceniać jak siła państw: granice narodowe nie są tak określone; uległy one znacznym zmianom w ciągu XIX stulecia i ciągle jeszcze się zmieniają. Nawet samo pojęcie tego, co stanowi naród, jest nieco mgliste i dotychczas nie znaleziono na nie ścisłego określenia.

Pomiędzy licznymi węzłami łączącymi ludzi w jeden naród dwa są szczególnej wagi: (1) wspólne dzieje, współżycie w ciągu pokoleń pod jedną władzą i we wspólnych instytucjach, wiekowa walka przeciw wspólnym wrogom; (2) wspólność życia duchowego oparta na wspólnym języku. Zgodnie z różnymi warunkami historycznymi różnych części Europy bądź pierwszy, bądź drugi z tych dwóch czynników odgrywa rolę przeważającą.

W Europie Zachodniej granice oddzielnych państw zostały już w wiekach średnich mniej lub więcej ustalone, i mieszkańcy ich – jakkolwiek różni rasą, mówiący różnymi narzeczami, a nawet różnymi językami – żyli przez szereg pokoleń jako członkowie jednego państwa we wspólnych instytucjach. Wskutek tego tu się silnie rozwinęło pojęcie narodowości państwowej. Cała ludność Francji jest dziś narodowości francuskiej nie tylko prawnie, ale w swym własnym poczuciu, chociaż mówi różnymi narzeczami języka francuskiego, a nawet różnymi językami, jak bretoński, baskijski lub flamandzki. Mieszkaniec Walii w Zjednoczonym Królestwie mówi swoim własnym językiem celtyckim i nawet uprawia go w poezji. Podobne przykłady mamy w Galicji hiszpańskiej, gdzie ludność mówi narzeczem portugalskim i drukuje w nim książki i czasopisma. A jednak Walińczyk jest tak dobrym Brytyjczykiem, a Gallego tak gorącym Hiszpanem, jak jakikolwiek inny mieszkaniec tego państwa. Trzeba tu stwierdzić dwa wyjątki: ruchy separatystyczne wśród Irlandczyków w Zjednoczonym Królestwie i wśród Katalończyków w Hiszpanii.

Wręcz przeciwny proces odbywał się w Europie Środkowej (włącznie z Półwyspem Bałkańskim), gdzie granice państw nigdy nie były ustalone i zmieniały się ze stulecia na stulecie aż do obecnej chwili. Ludy całych krajów zmieniały panów, popadały pod nowych władców, którzy burzyli dawne instytucje i wprowadzali na ich miejsce swoje. Wiele państw, które istniały w przeszłości, zniknęło z mapy w tej części Europy: Polska, Czechy, Węgry, Chorwacja, Serbia, Bułgaria, księstwa naddunajskie, Rzeczpospolita Wenecka; z tych Polska została zniszczona zaledwie pod koniec XVIII stulecia. Skutkiem tego w Europie Środkowej więzy moralne łączące państwo z ludnością są w wielu razach bardzo słabe: lud patrzy na swych władców tylko jako na panów czasowych. W pewnych wypadkach żadne więzy faktycznie nie istnieją – mianowicie w trzech częściach rozczłonkowanej Polski, gdzie naród pozostał niezmiennie przywiązany do ideału swego utraconego państwa.

Wobec tego więc, że państwo i jego instytucje zapuściły tu bardzo słabe korzenie w duszach ludu, wspólność języka stała się tu najsilniejszym czynnikiem w kształtowaniu się narodowości. Za najlepszy przykład mogą służyć Czechy, gdzie mówiąca po niemiecku mniejszość są to Niemcy we wszystkich swych myślach i uczuciach, gdy większość mówiąca po czesku to Czesi i nieprzejednani wrogowie Niemców: organizują oni swe narodowe życie i narodowe instytucje, rozwijają swą własną literaturę, sztukę i naukę i aspirują do posiadania państwa narodowego. Z postępem czasu nawet szczepy, które nigdy nie posiadały niezawisłego bytu politycznego, jak Słoweńcy w południowo-zachodniej Austrii lub Słowacy w północnych Węgrzech, rozwinęły się w odrębne narodowości i uważają za wrogów swych panów niemieckich lub madziarskich.

Tak w dwóch zonach Europy, w zachodniej i środkowej, mamy do czynienia z dwoma całkiem przeciwnymi pojęciami narodowości. W pierwszej przeważa pojęcie narodowości państwowe, w drugiej rozwinęło się pojęcie narodowości językowe, czyli etnograficzne.

Pośrednie stanowiska zajmują dwa kraje położone między zoną zachodnią a środkową: Włochy i Niemcy. Na zachodniej granicy Włoch panuje pojęcie narodowości państwowe: nie ma żadnego ruchu narodowego włoskiego wśród mówiącej po włosku ludności Francji (Nicea i Korsyka), mówiący zaś po francusku mieszkańcy włoskiej prowincji Aosty należą do najlepszych patriotów włoskich. Przeciwnie, na granicy wschodniej mamy do czynienia z pojęciem narodowości językowym: wszyscy mówiący po włosku mieszkańcy austriackich prowincji Trentina, Gorycji, Triestu, Istrii i Dalmacji są gorącymi Włochami, walczącymi o swój byt narodowy przeciw Niemcom, Słoweńcom, Chorwatom i Serbom. W Niemczech na granicy zachodniej mieszkańcy wybrzeża Morza Północnego mówiący językiem dolnoniemieckim są Niemcami, podczas gdy inni mówiący bardzo podobnym językiem są Holendrami w Holandii, Flamandami w Belgii, Francuzami we Francji. Wbrew temu na wschodzie i południu Niemiec oraz w krajach sąsiednich wszyscy mówiący po niemiecku uważają się za Niemców, bez względu na to, czy żyją w Niemczech, czy w Austrii, czy na Węgrzech, czy w Polsce, lub Rosji; mówiący zaś innymi językami są wrogami Niemców, choć są poddanymi Cesarstwa Niemieckiego.

Rosja, pozostawszy poniekąd poza sferą politycznej i kulturalnej ewolucji Europy w XIX stuleciu, przedstawia zonę oddzielną, którą można nazwać zoną wschodnią: tu masy są jeszcze mniej lub więcej obojętne w sprawie narodowości. Z postępem wszakże oświaty ludu i z rozwojem kulturalnej warstwy średniej (inteligencji), szybko grunt zdobywa pojęcie narodowości językowej.

W Polsce położonej pomiędzy zoną środkową a wschodnią na granicy zachodniej panuje pojęcie narodowości językowe: tu każdy mówiący po polsku jest Polakiem, cała zaś ludność mówiąca po niemiecku w prowincjach polskich uważa się za Niemców; natomiast na wschód od Królestwa Polskiego, w dawnych ziemiach, zabranych od Polski i wcielonych do Rosji pod koniec XVIII stulecia, ludność jest po większej części obojętna, w każdym zaś razie nie posiada jasnej świadomości narodowej.

Ewolucja Europy w kierunku narodowym w ciągu XIX stulecia nie odbiła się wiele na położeniu krajów zachodnich – wobec panowania pojęcia narodowości państwowej w Europie Zachodniej, Państwo i Naród mają tu granice identyczne. Natomiast w Europie Środkowej, a do pewnego stopnia i we Wschodniej, idea narodowości językowej doprowadziła do radykalnej zmiany położenia. Gdy Anglia, Francja, Hiszpania w dobie obecnej poza tym, co uczynił postęp życia, pojęć, instytucyj, są mniej więcej identyczne z Anglią, Francją, Hiszpanią z czasów kongresu wiedeńskiego – Niemcy, Austro-Węgry, Polska i Rosja są bardzo dalekie od tego, co rozumiano przez te nazwy w początkach XIX stulecia. Dawne pojęcia o tych krajach, sprzed lat stu lub nawet pięćdziesięciu, nie mają żadnej wartości w chwili obecnej i mogą prowadzić do bardzo niebezpiecznych

nieporozumień. Trzeba przeprowadzić nową ocenę położenia i wziąć przy niej w rachubę wszystkie zmiany wywołane przez ewolucję polityczną w ciągu ostatniego stulecia.

II. NIEMCY

Jednym z najważniejszych wyników narodowej ewolucji Europy w XIX stuleciu było scalenie rasy niemieckiej w jeden naród. W okresie, który nastąpił po kongresie wiedeńskim, Niemcy składały się z szeregu państw rozdzielonych współzawodnictwami i antagonizmami, ale już w drugiej połowie stulecia zjawilo się Cesarstwo Niemieckie, obejmujące w swoich granicach główną masę niemieckiego szczepu; niemieccy zaś obywatele Cesarstwa dowiedli swym zachowaniem się, że są członkami jednego narodu, uważającymi za swój obowiązek walczyć wspólnie za narodową sprawę.

Cesarstwo Niemieckie nie jest ustrojem sztucznym, a jedność niemiecka, urzeczywistniona przez jego ustanowienie, nie może już być zniszczona. Niebezpiecznym złudzeniem byłaby wiara w istnienie w Niemczech sił rozbieżnych, dość znacznych, ażeby rozbić je na drobniejsze, niezależne państwa. Jedność niemiecka jest dziełem samego narodu niemieckiego, dążenie do niej zjawilo się już za czasów wojen napoleońskich. Geniusz Bismarcka polegał nie na powzięciu idei jedności, ale na urzeczywistnieniu jej i na postanowieniu nowego Cesarstwa w warunki zapewniające mu równowagę wewnętrzną i potęgę.

Głównym z tych warunków było przodownictwo Prus, najbardziej zdyscyplinowanej części narodu niemieckiego – przodownictwo niezbędne w ciągu pierwszego pięćdziesięciolecia, w którym zamalgamowanie Niemiec jeszcze niedostatecznie naprzód się posunęło i tradycje politycznego separatyzmu nie były jeszcze zniszczone. W ciągu tego pięćdziesięciolecia dwa czynniki uzupełniły dzieło Bismarcka: jednostajny system wychowania publicznego, który wychował nowe pokolenia w duchu idei jedności niemieckiej i ogólnoniemieckiego patriotyzmu państwowego, i ów szybki rozwój przemysłowy i handlowy, który wysunął na czoło narodowego życia liczną i silną warstwę przemysłowo-handlową, opierającą całą swoją karierę na jedności i potędze imperium.

Dziś jedność Niemiec odpowiada nie tylko uczuciom i ideałom ogromnej większości Niemców, ale także ekonomicznym, a zwłaszcza przemysłowym i handlowym interesom ludności wszystkich, dawniej niezależnych, państw niemieckich. Szlachcic bawarski może z żalem wspominać dni, kiedy dwór Wittelsbachów nie był zaćmiony przez Hohenzollernów, kiedy jego własne stanowisko nie było zepchnięte w cień przez junkra pruskiego, ale bawarski lub saski przemysłowiec czy kupiec dobrze wie, że nie mógłby istnieć bez Hamburga i Bremy, bez handlowej, politycznej, militarnej i morskiej organizacji Cesarstwa; inteligencja zaś wszystkich krajów niemieckich, będąc wytworem wielkiego zjednoczenia życia umysłowego niemieckiego, wydaje najbardziej zapalonych apostołów jedności niemieckiej i wszechniemieckich ambicji.

Prawdopodobną jest rzeczą, iż wojna obecna sprowadzi koniec hegemonii pruskiej w Cesarstwie. Cesarstwo Niemieckie jest już bardzo silną budową, cały naród niemiecki został wydyscyplinowany w jego służbie i nie ma już dalszej potrzeby przodownictwa pruskiego. Separatyzmy miejscowe zostały sprowadzone do rozmiarów niemających wielkiej wagi, nawet religijne niezgody między protestantami a katolikami, które grały tak ważną rolę w pierwszym piętnastoleciu istnienia Cesarstwa, nie tylko znikły z życia politycznego, ale katolicy niemieccy zbliżyli się do protestantów duchowo skutkiem rozwoju tzw. modernizmu, który opanował wszystkie fakultety rzymskokatolickie na uniwersytetach niemieckich.

Jedność niemiecka została także wzmocniona przez szybki wzrost przemysłowej klasy robotniczej, która obecnie zajmuje bardzo ważne miejsce w życiu politycznym Niemiec. Klasa ta, zorganizowana w potężne stronnictwo socjalno-demokratyczne, nie zna miejscowych rozróżnień: jest ona zarówno niemiecka w Prusach, Saksonii, jak w Bawarii – gdzie najdłużej zachowała swą odrębną organizację – a nawet w Alzacji, gdzie stała się najskuteczniejszym czynnikiem wpływu niemieckiego. Prawda, że cele klasy pracującej przeciwstawiają się w wielu punktach klasie średniej i że partia socjalno-demokratyczna często protestuje przeciw napastniczemu charakterowi polityki niemieckiej.

Demokraci socjalni walczą w interesie pracy przeciw kapitałowi i o reformę demokratyczną w państwie niemieckim; przenoszą oni tę walkę poza granice Niemiec; podtrzymują jej organizację w innych krajach; wszędzie ogłaszają za obowiązek socjalistów obronę pracy i walkę za ideały demokratyczne. Bliższa wszakże obserwacja polityki niemieckich demokratów socjalnych odślania nam fakt, że jej przywódcy posiadają swoją własną wiedzę ezoteryczną, którą zachowują dla siebie; o której nigdy nie mówią za granicą i której nigdy nie dyskutują na kongresach międzynarodowych. Ta mądrość uczy, że wzrost klasy pracującej niemieckiej i potęga niemieckiej demokracji socjalnej są wynikiem wzrostu przemysłu niemieckiego, że z kolei rozwój przemysłowy Niemiec zależy od podboju rynków światowych, opartego o potęgę Cesarstwa, że wobec tego interesem i obowiązkiem niemieckiej demokracji socjalnej jest przyczyniać się do potęgi Niemiec i do ekonomicznego podboju świata przez naród niemiecki. Mądrość ta, jakkolwiek prosta, wydaje się niedostępna dla wielu obrońców pracy w innych krajach, wyznawców oficjalnej nauki niemieckich demokratów socjalnych.

Cesarstwo Niemieckie jest uderzająco jednolite w składzie swej ludności. Wśród sześćdziesięciu ośmiu milionów jego mieszkańców nie więcej jak pięć do sześciu milionów używa mowy nie niemieckiej (polskiej, duńskiej lub francuskiej).

Jedyną istotnie trudną i niebezpieczną kwestią narodową w Cesarstwie jest kwestia polska. Jest ona trudna i niebezpieczna: 1) skutkiem położenia geograficznego polskiego obszaru narodowego, który oddziela Prusy Wschodnie od Niemiec; 2) skutkiem siły liczebnej polskich poddanych Niemiec, których jest powyżej czterech milionów; 3) skutkiem tego, że cztery miliony stanowią część wielkiego narodu, podzielonego między trzy państwa i walczącego o swoją jedność i niepodległość.

Potęga narodowa niemiecka nie zamyka się w granicach Cesarstwa Niemieckiego. Po osiągnięciu ostatniego stadium zjednoczenia (1871) miliony Niemców pozostały poza granicami Cesarstwa Niemieckiego. Większość ich żyje na obszarze narodowym niemieckim bezpośrednio przylegającym do granic Cesarstwa – w austriackich prowincjach Tyrolu, Salzburga, Górnej i Dolnej Austrii, Styrii, Karyntii i w północnych okręgach Czech. Reszta jest bądź rozproszona, bądź żyje w drobnych odosobnionych grupach, w innych częściach monarchii habsburskiej – na Morawach, na Węgrzech – oraz w państwie rosyjskim. Dwanaście milionów Niemców w Austro-Węgrzech posiada pełną świadomość swej przynależności do wielkiego narodu niemieckiego. Prawda, rozróżniamy wśród nich rozmaite stopnie niemieckości, od Niemców czeskich, którzy są wprost Prusakami w swych dążnościach i silnie ciążą ku Berlinowi, do arystokracji austriackiej, najgorliwszej w strzeżeniu niezawisłości Austrii od Niemiec. Pozostaje wszakże faktem, że u wszystkich Niemców austriackich klasa średnia – obecnie główna siła polityczna we wszystkich krajach europejskich – okazuje coraz wyraźniejszą dążność do ścisłego związku politycznego i ekonomicznego z Cesarstwem Niemieckim, a co za tym idzie, do germanizacji całej Austrii.

Należałoby dodać, że propaganda niemiecka pracowała od lat w niemieckiej Szwajcarii i pomiędzy ludami mowy dolnoniemieckiej, w szczególności między belgijskimi Flamandami – szczególny wysiłek ku obudzeniu poczucia niemieckiego wśród Flamandów był jednym z najwybitniejszych działań rządu niemieckiego w Belgii od czasu zajęcia tego kraju przez armię niemiecką.

Tak ewolucja narodowa Europy wyprowadziła na widownię historyczną wielki naród niemiecki, który nie tylko zbudował potężne imperium, ale którego odłamy, pozostawione poza granicami imperium, pracują dla wspólnej sprawy niemieckiej w innych państwach, zwłaszcza w Austrii, którą faktycznie rządzą Niemcy. Potęga narodu nie ogranicza się do sześćdziesięciu dwóch milionów Niemców państwa Hohenzollernów, ale jest reprezentowana przez siedemdziesiąt z górą milionów Niemców żyjących na nieprzerwanym obszarze narodowym w Niemczech i Austrii, a [...] ponadto przez kilka milionów Niemców żyjących wśród innych ludów w Austro-Węgrzech, Rosji i innych krajach.

Potężny naród niemiecki, złączony uczuciami, ambicjami i celami politycznymi, zajmuje stanowisko wyjątkowe wśród innych narodów.

- 1) Jest on liczebnie najsilniejszym narodem na kontynencie europejskim.
- 2) Geograficznie jest on położony w środku Europy, w bliskim zetknięciu ze wszystkimi prawie krajami europejskimi.
- 3) Jest on zorganizowany w państwo będące największą potęgą na kontynencie nie tylko dzięki liczbie mieszkańców, ale dzięki bogactwom przyrodzonym, dzięki kulturze, wysokiemu stopniowi rozwoju ekonomicznego, sprawności instytucji państwowych, wreszcie dzięki dyscyplinie, jakiej dotychczas nie osiągnął żaden inny naród.

4) Siła jego nie zamyka się w granicach narodowego państwa niemieckiego: miliony Niemców pracują i walczą poza granicami Cesarstwa dla wspólnej sprawy niemieckiej.

Trudno byłoby wykryć, jak dalece to pomyślnie położenie jest wynikiem mądrej polityki niemieckich mężów stanu, a w jakiej mierze złożył się na nie szczęśliwy zbieg okoliczności historycznych. Ale trudno sobie wyobrazić położenie pomyślniejsze. Główna masa narodu niemieckiego jest zorganizowana w państwo narodowe, rasowo jednolite i pozostające pod kierownictwem najbardziej wydyscyplinowanego z jego państw składowych; szczepy zaś nieniemieckie wchodzące niegdyś w skład Cesarstwa Niemieckiego są wyłączone z Niemiec właściwych, a włączone do Austro-Węgier, gdzie pozostała dostateczna liczba Niemców, ażeby rządzić monarchią habsburską zgodnie z niemieckimi interesami narodowymi.

Tą drogą Cesarstwo Niemieckie stało się wolne – z wyjątkiem niemieckiej Polski – od trudności i walk rasowych, które mogłyby sparaliżować jego potęgę, szczepy zaś zależne od Niemiec nie zostały wyzwolone, ale ciągle pozostają pod hegemonią niemiecką w monarchii habsburskiej – zostały one zmuszone przez stopniowe wzmocnienie więzów łączących tę monarchię z państwem Hohenzollernów do służby sprawie narodowej niemieckiej w wojnie światowej. Łatwo zrozumieć, dlaczego niemiecka myśl polityczna, bez względu na postępującą świadomość niemieckiej jedności narodowej, nie dążyła do zmiany tego położenia przez wcielenie niemieckich prowincji Austrii do Cesarstwa Niemieckiego. Wszyscy Niemcy rozumieją, że ich sprawa narodowa więcej zyskuje przez to, że austriaccy Niemcy pozostają poddanymi monarchii habsburskiej, niżby mogła zyskać przez proste wcielenie niemieckiej Austrii, które by zwiększyło ludność Cesarstwa Niemieckiego o jakieś osiem milionów, gdy obecne położenie pozwala Niemcom zaprząć całą pięćdziesięciomilionową ludność Austro-Węgier do swej służby.

Stosunek Austro-Węgier do Niemiec, to przymierze z Hohenzollernami, które stopniowo rozwinęło się w podporządkowanie Cesarstwu Niemieckiemu, służy za wzór dla niemieckich planów w stosunku do innych krajów, które Niemcy zamierzają uzależnić od swej władzy. Metody rozwinięte i udoskonalone w stosunkach Berlina z Wiedniem i Budapesztem zostały w następstwie zastosowane w Konstantynopolu, Sofii i ostatnio w Warszawie.

Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że metody te nie są nowe, że mają one swoje korzenie w starych tradycjach Niemiec. Średniowieczne Cesarstwo Niemieckie było zbudowane na drodze federacji zrazu z szeregu państw niemieckich, a później i państw założonych przez inne szczepy, jak Czechy i Węgry, które świat niemiecki stopniowo wchłaniał. Nowoczesne Cesarstwo Niemieckie również zostało zbudowane na zasadzie federacyjnej (*Bundesstaat*); dzięki rozwojowi nacjonalizmu niemieckiego dało to w wyniku zamalgamowanie. Ta metoda federacji w luźniejszej postaci jest obecnie stosowana do Austro-Węgier, Polski, państw bałkańskich i Turcji.

Musimy również uświadomić sobie, że pomyślnie rozszerzenie sfery wpływu niemieckiego za pomocą systemu federacyjnego jest bardzo ułatwione przez jednolity

rasowo charakter samego państwa niemieckiego. W tym względzie Rosja znajduje się w położeniu całkiem odwrotnym. Rosja, w stosunku do zagadnień Bliskiego Wschodu, budowała swego czasu wielkie nadzieje na swym pokrewieństwie i wspólności wiary ze Słowianami południowymi. Rasowe trudności wewnątrz państwa czyniły dla niej niemożliwe zastosowanie zasady federacyjnej w polityce zewnętrznej. Jakikolwiek kompromis z narodowościami nierosyjskimi byłby stworzeniem przykładu dla różnorodnych szczepów wcielonych do państwa rosyjskiego i pobudzeniem ich dążeń do autonomii.

Natomiast Cesarstwo Niemieckie, będące rasowo jednolitym, ma wszelką swobodę wchodzenia w kompromisy na zewnątrz państwa i możliwość stosowania systemu federacyjnego, którego celem jest poddanie niemieckiej władzy całego obszaru Europy Środkowej, Bałkanów i Azji Mniejszej.

Oczywistą jest rzeczą, że położenie narodu niemieckiego w Europie i jego zorganizowanie w dwa państwa – Cesarstwo Niemieckie i Austro-Węgierskie – przedstawiało najpomyślniejsze warunki dla rozstrzygnięcia kwestii Bliskiego Wschodu przez Niemcy zgodnie z niemieckimi interesami i ambicjami. Warunki te okazałyby się jeszcze pomyślniejsze, gdyby zachowany został *status quo* na Wschodzie po tym, co osiągnęły Niemcy w ciągu operacji wojennych, które im dały władzę nad Polską i całym prawie Półwyspem Bałkańskim.

Wielka przemiana, wprowadzona świeżo w Rosji przez rewolucję – która na miejsce zdobywczego i napastniczego państwa carów wyprowadziła na widownię naród rosyjski, pochłonięty swymi trudnościami wewnętrznymi, które niezawodnie sparaliżują jego energię na zewnątrz – ułatwia urzeczywistnienie ambicji niemieckich.

W tych warunkach rozwiązanie kwestii Bliskiego Wschodu przez naród niemiecki, co oznaczałoby wielką katastrofę dla wszystkich innych narodów, wydaje się nieuniknione. Nawet taka klęska Niemiec w obecnej wojnie, która by zmusiła je do zwrócenia wszystkich nowych zdobyczy, nie zapobiegłaby tej katastrofie w bliskiej przyszłości. Zapobiec jej można tylko w razie takiego zwycięstwa sprzymierzonych, które by umożliwiło im zniszczenie przedwojennego *status quo*, radykalne przekształcenie mapy i danie nowej organizacji politycznej całemu niemieckiemu obszarowi Europy Środkowej.

III. KWESTIA AUSTRO-WĘGIERSKA

Ze wszystkich państw europejskich wobec największego niebezpieczeństwa stanęła na skutek wejścia Europy w fazę ewolucji narodowej monarchia habsburska – ta resztką dawnego Cesarstwa Niemieckiego, pozostawiona na obszarze rasowo przeważnie nieniemieckim. Odrodzenie drobnych narodowości w Austrii zaczęło się z ruchem narodowym czeskim i szybko się rozszerzyło. To rozszerzenie się ruchów narodowych musiało prowadzić do rozkładu państwa, do zaprzeczenia mu wprost prawa bytu.

Wskutek tego państwo austriackie było i pozostało siłą rzeczy najsilniejszym wrogiem ducha czasu: w osobie Metternicha wydało ono najwybitniejszego przedstawiciela legitymizmu i racji stanu. Nawet po roku 1866, kiedy pobita Austria była wreszcie zmuszona uznać w ograniczonej mierze prawa narodowości, przestarzałe zasady racji stanu i praw dynastii pozostały podstawą istnienia Austro-Węgier.

Dopóki Austrią rządził absolutyzm biurokratyczny, jej słabość była mniej widoczna. Absolutyzmem wstrząsnęła rewolucja 1848 roku, w której wzięły udział wszystkie szczepy zamieszkujące państwo, ale której przewodzili austriaccy Niemcy. Gdy wszakże w innych krajach wprowadzenie systemu reprezentacyjnego dało państwu charakter narodowy, a tym samym nową siłę, w Austrii ten system wyprowadził na widownię polityczną zorganizowane narodowości nieniemieckie, posiadające wydatną większość nad Niemcami. Zgodnie z ewolucją pozostałej Europy austriaccy Niemcy dążyli: 1) do wysunięcia praw parlamentu przeciw koronie i biurokracji; 2) do rządzenia państwem w swym własnym interesie narodowym i utrzymania jego charakteru niemieckiego. Te dwie dążności nie dawały się pogodzić nawzajem z sobą ze względu na rasowy skład państwa. W miarę jak rosły prawa parlamentu, większy stawał się wpływ nieniemieckiej większości zaludnienia państwa. To położenie zmusiło austriackich Niemców do kompromisu z narodem zajmującym pod względem swej siły drugie miejsce w państwie, mianowicie z Madziarami.

Monarchia została podzielona na dwa odrębne państwa: Austrię, przeznaczoną pod rządy Niemców, i Węgry pod rządami Madziarów. Ale nawet w austriackiej części państwa szczepy nieniemieckie znajdowały się w większości i jakkolwiek prawa wyborcze dawały krajom niemieckim stosunkowo większe przedstawicielstwo niż innym częściom państwa, stronnictwa niemieckie w parlamencie austriackim okazały się w mniejszej liczbie w stosunku do przedstawicieli innych narodowości. Rozwinęła się zaciekle walka narodowa w szczególności między Czechami a Niemcami, grożąca rozsadzeniem Austrii. Bez wątplenia Niemcy austriaccy pierwsi by rozbili państwo, gdyby nieniemieckim narodowościom udało się pozbawić ich hegemonii.

W ciągu względnie długiego okresu ratowali położenie Polacy, którzy, uciśnieni w Rosji i w Niemczech, otrzymali od Austrii pewne uznanie swych praw narodowych i uważali jej istnienie za konieczność ze swego narodowego punktu widzenia. Przybrali więc rolę pośredników między Czechami a Niemcami. Ta polityka kompromisu, prowadzona przez Polaków, była jedynym środkiem zachowania równowagi życia politycznego monarchii. Jednakże Niemcy austriaccy rozumieli, że ten stan rzeczy nie może trwać długo.

W Polsce austriackiej występowały na widownię nowe żywioły demokratyczne, ożywione nieprzejednanym duchem antyniemieckim. Nadto wpływ czeski w państwie wyraźnie wzrastał. Austriaccy Niemcy przeto zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że ich jedyny ratunek leży w ścisłym związku z Cesarstwem Niemieckim i w zapewnieniu sobie poparcia Berlina w domowych sprawach państwa austriackiego.

W węgierskiej części monarchii położenie było nieco odmienne. Tam także rasa rządząca znajdowała się w mniejszości, ale niemadziarskie szczepy Węgier były mniej posunięte w rozwoju i wskutek tego mniej czynne politycznie aniżeli nieniemieckie narodowości Austrii. Wśród szczepów podległych Koronie Węgierskiej jedynie Chorwaci przedstawiali silną indywidualność narodową. Chorwaci zachowali strukturę historyczną swego narodu; wszystkie warstwy w Chorwacji były narodowo i kulturalnie od Madziarów niezależne.

Posiadali oni nadto tradycję dziedzicznej walki przeciw Węgrom; walczyli po stronie Austrii przeciw węgierskiej rewolucji 1848 roku. Ale Chorwacja otrzymała autonomię z własnym sejmem w Zagrzebiu, delegacja zaś chorwacka w parlamencie budapeszteńskim ograniczona w głosowaniu do spraw dotyczących Chorwacji, nie miała możliwości wywierania wpływu na domowe sprawy węgierskie. Pozostałe Węgry były złożone z obszarów należących w ciągu tysiąclecia do Królestwa Węgierskiego, których ludność wyrosła w tradycjach węgierskiego panowania; w całym kraju szlachta była madziarska, a także i w znacznej mierze klasa średnia, wzmocniona przez Żydów, których liczba skutkiem imigracji, w szczególności z austriackiej Polski, stale wzrastała; wszyscy oni zaliczyli się do narodowości madziarskiej i stali się najjaskrawszymi agentami skrajnego madziarskiego nacjonalizmu. Niemadziarskie szczepy Węgier były dotychczas słabo reprezentowane w parlamencie węgierskim, ale ich dążności narodowe stają się coraz silniejsze i madziarscy mężowie stanu zdają sobie sprawę z tego, że stanowisko narodowe Madziarów na Węgrzech jest poważnie zagrożone. Rozumieją oni, że przewaga ich nie da się utrzymać bez podtrzymania z zewnątrz i że jedyne podtrzymanie, na jakie mogą liczyć, może przyjść od Niemców. Dlatego to madziarscy mężowie stanu Austro-Węgier byli najwybitniejszymi twórcami przymierza z Niemcami i nigdy nie przestawali pracować nad wzmocnieniem więzów łączących monarchię habsburską z Cesarstwem Niemieckim.

Cesarstwo austro-węgierskie jest związkiem dwóch państw, z których każde jest rządzone przez mniejszość w interesie tej mniejszości. Można z całą pewnością powiedzieć, że większość ludności jest antyaustriacka i antywęgierska. Jest to jedyna sytuacja w całej Europie. Państwo pozbawione tym sposobem swej najistotniejszej podstawy – przewagi narodowej – utrzymuje swe istnienie sztucznie: szczuciem jednej części ludności przeciw drugiej, uciekaniem się w chwilach trudności do zawieszenia praw parlamentu (na mocy słynnego artykułu 14 Konstytucji austriackiej), terroryzmem i korupcją. Nie ma kraju w Europie, gdzieby pieniądze rządowe były bardziej jawnie i bez skrupułów wydawane na wybory, na przekupstwo prasy itp. Nigdzie nadto nie są tak częste oskarżenia o zdradę stanu przeciw osobom i stronnictwom, stojącym na drodze rządowi.

Tym sposobem monarchia habsburska jest moralnie najbardziej niezdrowym państwem w Europie i najmniej zdolnym do pogodzenia z nowoczesnymi podstawami europejskiego życia politycznego; jest ona obok tego – i pozostanie dopóty, dopóki w ogóle istnieć będzie – rodzajem niemieckiego protektoratu, narzędziem w rękach niemieckiej polityki. Nie ma wątpliwości, że państwo znajdujące się w takim położeniu

nie może długo istnieć i że rozkład jego w bardzo bliskiej przyszłości jest nieunikniony, o ile Niemcy nie będą posiadały dostatecznej potęgi do zachowania go nieco dłużej w całości, jako niezbędnej siły pomocniczej w swych postępkach na Bliskim Wschodzie.

Cesarstwo austro-węgierskie podległo w XIX stuleciu tej samej ewolucji, co reszta Europy. Postęp idei narodowej był tu tak wyraźny jak w innych krajach i dążność do uczynienia państwa narzędziem narodu była tu tak samo silna. Ale Austro-Węgry składały się ze zbyt wielu szczepów, ażeby którykolwiek z nich miał dość siły do rządzenia państwem w swym interesie narodowym. Kompromis między Niemcami a Madziarami umożliwił tym dwóm narodowościom – z poparciem, trzeba dodać, Cesarstwa Niemieckiego – utrzymanie dominacji; wobec tego wszakże, iż oba te szczepy przedstawiają mniejszość, ich dominacja prędzej czy później musi być zniszczona. Z pewnością byłaby ona już zniszczona, gdyby nie to, że Austria jest sąsiadem Niemiec, związanym z nimi bardzo ścisłymi więzami. Koniecznością jest uprzytomnić to sobie, że nieuniknionym następstwem upadku hegemonii niemieckiej i madziarskiej byłoby rozpadnięcie się całego państwa. Niemcy austriaccy są jedynie dopóty zainteresowani w istnieniu Austrii, dopóki mogą nią rządzić i ją wyzyskiwać; inaczej widzieliby dla siebie o wiele większą karierę w przyłączeniu się do Cesarstwa Niemieckiego i związku z resztą wielkiej rasy niemieckiej.

Innymi słowy, państwo austro-węgierskie, które skutkiem ewolucji i zróżnicowania narodowego nie posiada dziś równowagi wewnętrznej, jest zachowywane przy życiu przez siłę zewnętrzną, mianowicie przez Cesarstwo Niemieckie, ponieważ jego trwanie jest potrzebne w interesie niemieckiej rasy.

Przyszłość Austro-Węgier po obecnej wojnie będzie najlepszym sprawdzianem całego wyniku samej wojny. Jeżeli Austro-Węgry będą zachowane przy życiu – a mogą być zachowane tylko na podstawie hegemonii niemieckiej i madziarskiej – Niemcy osiągną zwycięstwo polityczne, które im umożliwi prowadzenie w dalszym ciągu ich polityki ujarznienia narodowości środkowoeuropejskich i podbojów na Bliskim Wschodzie. Istotna porażka Niemiec – taka, która by stanowczo sparaliżowała ambicje niemieckie i zapobiegła wybuchowi nowej wojny w bliskiej przyszłości – musi za sobą pociągnąć nieunikniony koniec państwa austro-węgierskiego.

W streszczeniu: ewolucja narodowa Europy wyprowadziła na widownię potęgę rasy niemieckiej – która, zawsze liczbą silna, od końca wieków średnich była politycznie rozbita – bo wytworzyła jedność niemiecką i ustanowienie Cesarstwa Niemieckiego, potężnego proporcjonalnie do siły narodu. Ale wzrost potęgi Niemiec miał również źródło w fakcie, że ewolucja narodowa nie znalazła dotychczas wyrazu w politycznej organizacji reszty Europy Środkowej: że pozostał tam w postaci Austro-Węgier przeżytek okresu, w którym różne szczepy nieniemieckie i niemające nic wspólnego z Niemcami żyły pod niemieckim panowaniem, złączone ścisłym związkiem z Cesarstwem Niemieckim, zmuszone nawet walczyć za cele Niemiec. Przywrócenie równowagi europejskiej będzie możliwe dopiero wtedy, gdy potęga Niemiec będzie sprowadzona do granic właściwych sile rasy niemieckiej, gdy będą one pozbawione możliwości wyzyskiwania sił i środków

innych narodów dla swych celów podboju. To może być uskutecznione jedynie przez zniszczenie państwa austro-węgierskiego i przez dokończenie politycznej organizacji Europy na podstawie narodowej.

Jeżeli mówimy o rozbiści Austro-Węgier, to nie dlatego, żebyśmy sobie nie zdawali sprawy z niezmiernej trudności zadania, ale dlatego, że rozumiemy, iż na żadnej innej drodze Europa nie może być zabezpieczona przed powtórzeniem tej strasznej wojny w warunkach dających zwycięstwo Niemcom i umożliwiającym im urzeczywistnienie ich szerokich ambicji. Zniszczenie Austro-Węgier może nastąpić tylko po wielkim i stanowczym zwycięstwie sprzymierzonych. Dla osiągnięcia tego wyniku wysiłki muszą być zdwojone i wojna musi się znacznie przewlec. Z drugiej strony, reorganizacja polityczna narodowości wchodzących dziś w skład państwa austriackiego i ich całkowite wyzwolenie spod Niemiec przedstawia tak olbrzymie zadanie, że europejscy mężowie stanu nigdy chyba nie stali wobec większego.

Wszelkie wysiłki ku uniknięciu tego zadania służą jedynie interesom niemieckim. Wsuwane koncepcje, że Austria może stać się państwem niezależnym od Niemiec, a nawet rywalką Niemiec, są całkiem złudne. Ci, którzy do podobnych koncepcji szukają podstawy w rywalizacji istniejącej między Habsburgami a Hohenzollernami, zapominają, że ludy nowoczesnej Europy nie kierują się interesami i ambicjami dynastycznymi i że w przyszłości interesy te stracą nawet ten wpływ, jaki jeszcze mogą posiadać, na rozwój wypadków. Ci, którzy opierają swoje nadzieje na antagonizmie między Niemcami katolickimi a protestanckimi, nie zdają sobie sprawy widocznie z tego, że tam, gdzie istnieje jedność narodowa, różnice religijne przestały grać ważniejszą rolę w polityce; widzimy katolików i protestantów zjednoczonych w swych narodowych celach w Anglii, Francji, Polsce, na Węgrzech, w Szwajcarii⁷⁰ – skądże mamy oczekiwać, że różnice religijne między katolikami, a protestantami rozbiją Niemcy na dwa współzawodniczące z sobą kraje.

Państwo austro-węgierskie składa się obecnie z trzech części: 1) cesarstwo austriackie, 2) królestwo węgierskie i 3) anektowane prowincje Bośni i Hercegowiny, pozostające we wspólnym posiadaniu obu państw powyższych. Urzędowa statystyka narodowości jest następująca (1910):

1) w Austrii:	
ogół ludności	28 571 934
Niemcy	9 950 266
Czesi	6 435 983
Polacy	4 967 984
Rusini	3 518 854

⁷⁰ Szwajcaria, jeśli chodzi o stanowisko względem stron wojujących w obecnej wojnie, przedstawia interesujący przykład: katolicy i protestanci języka francuskiego sympatyzują ze sprzymierzeńcami, gdy w mówiących po niemiecku kantonach zarówno katolicy, jak i protestanci skłaniają się raczej ku państwu centralnym.

Słoweńcy	1 252 940
Serbowie i Chorwaci	783 334
Włosi	768 422
Rumuni	275 115
Madziarzy	10 974

2) Na Węgrzech:

ogół ludności	20 886 487
Madziarzy	10 050 575
Rumuni	2 949 032
Chorwaci	1 833 162
Serbowie	1 106 471
Niemcy	2 037 435
Słowacy	1 967 970
Rusini	472 587

3) w Bośni i Hercegowinie:

ogół ludności	1 893 044
---------------	-----------

Ta cała ludność jest językowo serbska; dzieli się ona na 3 grupy pod względem wyznaniowym: prawosławni greccy 856 158; rzymscy katolicy (Chorwaci) 451 686 i mahometanie 626 649⁷¹.

Ludność Austro-Węgier składa się głównie z odłamów narodów posiadających ośrodki swego narodowego bytu poza granicami państwa, jak Niemcy, Polacy i Rusini, Serbowie, Włosi, wreszcie Rumuni. Żywiły te, przedstawiające się w sumie 30 000 000, ciężą wszystkie do swych narodowych ośrodków, z którymi ich ostateczne zjednoczenie jest nieuniknione. Każdy, kto się uważnie zastanawiał nad nowoczesną ewolucją Europy i nad stopniowym jednoczeniem się na powrót rozbitych politycznie szczepów europejskich, musi zdawać sobie sprawę z tego, że posiadanie tych odłamów narodowych przez Austro-Węgry może być tylko czasowe. Już obecnie Włochy domagają się od Austrii całego włoskiego obszaru narodowego w Trentynie i na pobrzeżu adriatyckim; Rumunia żąda Siedmiogrodu od Węgier, i Bukowiny od Austrii; Polska – Galicji i połowy Śląska austriackiego (Cieszyna); Serbia – całego obszaru zaludnionego nie tylko przez Serbów, ale przez Chorwatów i Słoweńców, a więc Bośni i Hercegowiny, Dalmacji, Krainy, Kroacji i Sławonii, wreszcie Banatu. Jeżeli Niemcy nie występują z pretensjami do niemieckich prowincji Tyrolu, Salzburga, Górnej i Dolnej Austrii, wreszcie Styrii i Karyntii, to tylko dlatego, że istnienie państwa austriackiego w całości pod hegemonią niemiecką jest potrzebne dla ich celów podboju.

⁷¹ Powyższe liczby, w szczególności gdy chodzi o Węgry, nie zasługują na zaufanie: liczba Madziarów jest ogromnie przesadzona kosztem innych narodowości. W spisie ludności roku 1900 liczba ludności słowackiej była podana na 2 019 641, więcej niż w roku 1910. Wynikałoby stąd, że proces czy to madziaryzacji, czy też emigracji z kraju był tak szybki, że pochłoniął więcej niż cały naturalny przyrost ludności. Jeśli to fałsz – Madziarzy w roku 1900 liczyli 8 742 300.

Jeżeli wojna obecna zakończy się stanowczym zwycięstwem sprzymierzonych, wszystkie powyższe żądania zawołają o zadośćuczynienie. Dwa są tylko ważne szczepy, których byt narodowy całkowicie się zamyka w granicach państwa austro-węgierskiego, mianowicie Madziarzy i Czesi. Madziarzy żyją w swym królestwie węgierskim; Czesi – w Czechach, na Morawach i w części Śląska austriackiego (Opawa); Czesi również występują z żądaniami do północnych Węgier zamieszkanymi przez Słowaków, których język jest blisko pokrewny czeskiemu i polskiemu, a których odrodzenie narodowe pod wpływem czeskim robi szybkie postępy.

Czesi, jeżeli przyłączyć do nich Słowaków, przewyższają Madziarów liczbą. Są od nich wyżsi pod względem poziomu kultury ogólnej i oświaty mas, rozwoju ekonomicznego i zorganizowanej energii narodowej. Trzeba dodać, że przedstawiają oni w Europie Środkowej żywioł wybitnie antyniemiecki; osiągnęli oni całe swe odrodzenie narodowe w twardej walce z niemieczyzną i stanowią jedną z głównych przeszkód do ujarznienia Europy Środkowej przez Niemcy. Jedyna wyższość, do której Madziarzy mogą nad nimi pretendować – to ciągłość rozwoju historycznego. Ku końcowi wieków średnich Królestwo Czeskie, przedtem niezawisłe, zaczęło podlegać silnemu naciskowi niemieckiemu i w końcu XVII stulecia zostało pochłonięte przez cywilizację niemiecką. Klasy wyższe i średnie zostały albo wytępione w wojnie, albo całkowicie zniemczone, i tylko ludność wieśniacza zachowała swą indywidualność szczepową. Odrodzenie czeskiej świadomości narodowej i czeskiej kultury zaczęło się dopiero w pierwszej połowie XIX stulecia, osiągnęło wszakże wyniki zdumiewające, które dają świadectwo żywotności narodu czeskiego. Madziarzy natomiast od czasu założenia swego Królestwa nie przestali się rozwijać niezależnie i utrzymali przewagę swej kultury narodowej w całym Królestwie – nie tylko na obszarze językowym madziarskim, ale także w ziemiach zamieszkanymi przez Rumunów, Słowaków, Serbów i Rusinów. Trzeba tu z naciskiem stwierdzić, że Madziarzy skutkiem swego konfliktu z Czechami o kraj słowacki i skutkiem swego położenia zagrożonego przez inne szczepy, przeważnie słowiańskie, są potężnym żywiołem germanofilskim w Europie Środkowej i najwierniejszymi sprzymierzeńcami Niemiec.

Zadośćuczynienie żądaniami narodów sąsiednich co do różnych części obszaru austro-węgierskiego sprowadziłoby monarchię habsburską do rozmiarów, w których składałaby się tylko z Niemców, Czechów i Madziarów. Niemcy byłiby najsilniejsi, a Czesi, uciśnieni przez połączoną siłę dwóch pozostałych narodów, stopniowo by ulegli przemocy i zostali wydziedziczeni. Wynikłaby nie tylko wielka niesprawiedliwość względem narodu czeskiego, ale także zniszczenie najcenniejszej twierdzy antyniemieckiej w Europie Środkowej.

Państwo austro-węgierskie, takie jakie istnieje obecnie, nie posiada podstaw bytu odpowiadających wymaganiom politycznym nowoczesnego świata; ale takie Austro-Węgry, jakieśmy narysowali powyżej, byłyby po prostu potwornością. Jedyne normalne rozstrzygnięcie tego zagadnienia na zasadach nowoczesnych – to całkowite odseparowanie od siebie tych trzech szczepów: Niemców, Czechów i Madziarów.

To może być osiągnięte jedynie przez przywrócenie niepodległych Królestw Czeskiego i Węgierskiego: Czech, obejmujących cały kraj czeski, tj. Czechy, Morawy i część Śląska austriackiego (Opawę), wraz z północnymi Węgrami (krajem słowackim); i Węgier, sprowadzonych do swych granic szczepowych przez zaspokojenie słusznych żądań Rumunii, Czech i Serbii co do różnych części ich obecnego obszaru. Taka redukcja byłaby z pewnością bardzo bolesna dla narodu węgierskiego, ale gdy się weźmie pod uwagę postępy nacjonalizmu językowego w Europie Środkowej, Węgry są skazane na utratę prędej czy później wszystkich tych ziem obecnie posiadanych, które są zaludnione przez szczepy niemadziarskie; obok tego nie można nigdy zapominać, że Madziarzy, dopóki będą mieli możliwość panowania nad innymi szczepami, pozostaną wiernymi sprzymierzeńcami Niemiec i nieprzezwykłą przeszkodą do wyzwolenia spod Niemiec Europy Środkowej.

Pozostaje jedno wielkie zagadnienie, mianowicie przyszłości niemieckich prowincji Austrii, tego obszaru, który przylega do Cesarstwa Niemieckiego i posiada zwartą ludność niemiecką, tj. Dolnej i Górnej Austrii, Salzburga, Tyrolu i północnych części Styrii i Karyntii – przedstawiających sumę ludności 7 300 000. Ten kraj jest niewątpliwie krajem niemieckim, jego mieszkańcy są integralną częścią narodu niemieckiego i – w razie upadku monarchii austro-węgierskiej – żadna siła nie mogłaby przeszkodzić jego połączeniu z państwem narodowym niemieckim. Żadne inne urządzenie polityczne tego obszaru nie może być trwałe. Przez taką inkorporację Cesarstwo Niemieckie, jakkolwiek zwyciężone, otrzymałoby kompensatę za utratę swych nieniemieckich obszarów – pruskiej części Polski, północnego Szlezwiugu oraz Alzacji i Lotaryngii – które byłoby zmuszone zwrócić Polsce, Danii i Francji.

Wykazaliśmy, że na skutek ewolucji narodowej Europy państwo austro-węgierskie utraciło główne warunki usprawiedliwiające jego byt niezawisły. Jeżeli ta ewolucja będzie posuwała się naprzód, żadne siły nie będą w stanie zapobiec szybkiemu rozpadnięciu się monarchii, a jeżeli historyczna konieczność tego wymaga, właściwą chwilą dla likwidacji jest chwila obecna, w której Europa nawiedzona została przez wielką katastrofę. Jeżeli wszakże naród niemiecki okaże się dość potężny, by powstrzymać tę ewolucję w Europie Środkowej, wtedy Austro-Węgry będą stopniowo pochłonięte przez Niemcy. W żadnym razie ciągłość istnienia niezawisłego państwa austro-węgierskiego nie ma najmniejszych widoków.

Likwidacja tego przeżytku minionego okresu politycznego, przeżytku pozbawionego wszelkich warunków niezbędnych dla nowoczesnego istnienia państwowego, jest, jak widzimy, konieczną nie tylko w interesie wszystkich narodów zagrożonych przez potęgę niemiecką, ale także w interesie Europy jako całości: bez rozbicia Austro-Węgier zdrowa ewolucja Europy nie może być doprowadzona do końca i nie ma mowy o położeniu podstaw nowych ustosunkowań międzynarodowych.

IV. ROSJA

Rosja, jakkolwiek stojąca nieco na boku od współżycia narodów europejskich, niemniej przeto uległa silnemu wpływowi ewolucji politycznej Europy w XIX stuleciu.

Ażeby sobie zdać sprawę z wpływu, jaki ta ewolucja wywarła na Rosję, konieczną rzeczą jest uprzytomnić sobie pewne fakty z przeszłości, dotyczące państwa carów.

1. Wschodni Słowianie, którzy później otrzymali miano Rusinów i Rosjan, pierwotkowo (okres kijowski) otrzymali organizację polityczną od Skandynawów, a wiarę chrześcijańską z Bizancjum. Skandynawscy Waregowie wprowadzili pierwiastki feudalizmu, które wiązały budowę społeczności ruskiej z europejską, gdy z drugiej strony wpływy bizantyjskie działały w duchu wschodnim w kierunku rozwoju rządów despotycznych – co czyniło Ruś krajem na pół europejskim, na pół wschodnim.

2. W ciągu XII i XIII stulecia napady plemion koczowniczych ze stepów południowych zniszczyły potęgę Kijowa i kraj wyludniły. Mieszkańcy jego uchodzili w dwóch kierunkach: na północny zachód – do ziem polskich, i na północny wschód – do nowej krainy, położonej między Wołgą a jej dopływem Oką, gdzie osiedlali się wśród krajowców mowy turańskiej, głównie Finów. Złanie się wschodnich Słowian z tymi krajowcami wytworzyło nową rasę tzw. wielkoruską: skandynawski dom Ruryka w dalszym ciągu rządził księstwami założonymi w nowym kraju; w XIII stuleciu te księstwa zostały pobite przez Tatarów i przez dwa stulecia pozostawały pod tatarskim jarzmem. W ciągu okresu władzy tatarskiej na ich czoło wysunęło się księstwo moskiewskie, którego władcy byli głównymi zbieraczami daniny z całego kraju z ramienia hordy tatarskiej.

Od tego czasu historia Rusi popłynęła dwoma różnymi łożyskami: Ruś wschodnia (Wielkoruś czyli Moskwa), odosobniona od wpływów europejskich, rozwinęła się w państwo orientalne; Ruś zachodnia została podbita przez książąt litewskich i po unii Litwy z Polską została stopniowo wcielona do państwa polskiego i tą drogą poddana silnym wpływom zachodnim. Znaczna część ludności, w tym cała szlachta, przyjęła od Polski jej religię (rzymskokatolicką), jej język, jej zwyczaje i pojęcia i, wzmocniona przez kolonizację z Polski, stała się częścią narodu polskiego.

3. Ustanowienie despotyzmu wschodniego w Moskwie miało dwa źródła: złanie się Słowian ruskich z turańskimi krajowcami w nowym kraju i wpływ dwóch stuleci jarzma tatarskiego. Książęta ruscy od samych początków osiedlenia się w kraju między Wołgą a Oką łamali opór szlachty (bojarów), wysuwając przeciw nim warstwy niższe (ludzi czarnych, jak ich nazywano), i tym sposobem ustanawiali swe rządy despotyczne. Rządy te w następstwie wzmocnił okres jarzma tatarskiego, ile że tatarscy panowie kraju uznawali za jedyną w nim władzę książąt – zbieraczy danin. Po upadku panowania tatarskiego despotyzm władców moskiewskich w dalszym ciągu wzrastał, aż wreszcie osiągnął swój najwyższy wyraz w osobie Iwana Groźnego (wiek XVI). Sąsiedztwo państwa polskiego z jego swobodami ożywiło w następstwie ambicje słabej szlachty moskiewskiej, co zaczęło podważać despotyzm władców. Jak to się wszakże ma rzecz ze wszystkimi

państwami wschodnimi, osłabienie despotyzmu pociągnęło za sobą niebezpieczeństwo nierządu: Moskwa przeszła przez dwa okresy anarchii, jeden w początku, drugi w końcu XVII stulecia. Od tego niebezpieczeństwa ocalał Moskwę geniusz Piotra Wielkiego.

4. Piotr Wielki odnowił stary despotyzm moskiewski drogą organizacji rządu biurokratycznego, opartej na wzorach zachodnich i wprowadzenia do rządu wielu cudzoziemców, zwłaszcza Niemców, zrazu sprowadzanych z zagranicy, a później dostarczanych głównie przez przyłączone do Rosji prowincje bałtyckie. Od czasu Piotra Wielkiego rząd imperium rosyjskiego był na pół niemiecki, nie tylko w typie swych instytucji, ale także w swym osobistym składzie. Wschodnie, despotyczne podwaliny państwa, skombinowane z administracją niemiecką, nadały rządowi imperium w wysokim stopniu giętkość i sprawność i uczyniły Rosję wielką potęgą, rosnącą drogą podboju. Zazdrość prawdziwych Rosjan, którzy się znaleźli odsuniętymi na drugorzędne miejsce w rządzie swego własnego kraju, była zawsze źródłem niezadowolenia; tymczasem rozbiór Polski zacieśnił węzły między Rosją a Prusami i wzmocnił stanowisko Niemców w państwie rosyjskim. Rosjanie zaczęli się w znacznej mierze godzić z potęgą Niemców w kraju, widząc, że dają oni bardzo skuteczne podtrzymanie w walce przeciw Polakom⁷².

5. Europejska organizacja rządu państwa wywołała potrzebę ludzi wykształconych na sposób europejski i spowodowała założenie uniwersytetów w pierwszej połowie XIX stulecia. Przez uniwersytety rozpowszechniły się w Rosji prądy myśli zachodniej. Zjawił się na widowni nowy w społeczeństwie rosyjskim żywioł – oświecona warstwa średnia (inteligencja), przepojona ideami liberalizmu, a w następstwie socjalizmu. Tą drogą Rosja w XIX stuleciu została wystawiona na wpływy ewolucji politycznej, odbywającej się w Europie.

W Europie Zachodniej i Środkowej postęp ewolucji politycznej zaznaczył się dwoma wielkimi ruchami: walką o rządy parlamentarne i wzrostem dążeń narodowych – przy czym pierwszą coraz bardziej z czasem zaczęła komplikować walka pracy z kapitałem. Wszystkie te zjawiska znalazły swe odbicie w Rosji.

Walka o reformę konstytucyjną, która postawiłaby Rosję w szeregu państw zachodnich, zaczęła się już w pierwszej połowie zeszłego stulecia i przechodziła przez rozmaite fazy, dopóki nie sprowadziła całkowitego zniszczenia starego systemu rządów.

Rewolucja rosyjska jest tak świeża, że umysły nasze nie miały jeszcze czasu na poddanie analizie nowego stanu rzeczy i ocenienie całej jego doniosłości dla przyszłych losów samej Rosji i całej Europy. Zniszczenie absolutyzmu, a nawet monarchii, jak to się rzecz ma dzisiaj, ma w Rosji całkiem inne znaczenie, aniżeli wprowadzenie rządów demokratycznych w krajach zachodnich.

⁷² Nawet w naszych czasach często powtarzano w Dumie – w mowach posłów z prawicy, a także i członków rządu – że Niemcy są godnymi zaufania patriotami rosyjskimi, a jedynymi wrogami wewnętrznymi są Polacy.

Współczesna myśl polityczna w Europie jest opanowana duchem nieco sekciarskim. Posiada ona pewne dogmaty, których czepia się z nieomal religijną wiarą. Jednym z tych dogmatów jest, że jedynym zbawieniem każdego kraju, czy to będzie Turcja, Persja czy Chiny, jest wprowadzenie instytucji demokratycznych Europy Zachodniej. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że instytucje zachodnie są wytworem historii Zachodu i że posiadają one swoje korzenie w odległej przeszłości Europy. Jeżeli narody europejskie są zdolne do rządzenia sobą w instytucjach demokratycznych, to dlatego, że były wychowane przez długi szereg pokoleń przez instytucje przeszłości, które rozwinęły w nich pojęcia i instynkty niezbędne do skutecznego samorządu.

Państwo rosyjskie w przeszłości było oparte na zasadach wschodnich. Zarówno w dawnej Moskwie, jak w imperium Piotra Wielkiego naród rosyjski nie miał żadnych instytucji i nie brał w najmniejszej mierze udziału w sprawach publicznych. Istniał tylko rząd centralny i jego organy wykonawcze w prowincjach. Rząd patrzył na ludność z punktu widzenia wschodniego: uznawał tylko oddzielnych poddanych; wszelka z ich strony próba organizacji, działania zbiorowego, była prześladowana jako przestępstwo polityczne. Prawo w kraju, jak we wszystkich państwach wschodnich, było uznawane tylko dla pożytku rządu; nie było ono szanowane przez samych prawodawców i było gwałcone przez władzę, gdy jej to dogadzało. Wskutek tego poddani nie patrzyli na prawo jako na obronę przeciw nadużyciom urzędników, ani nie nauczyli się prawa szanować; słuchali go o tyle tylko, o ile siła zmuszała ich do tego. Ten brak poszanowania prawa stał się jedną z głównych przeszkód do postępu politycznego społeczności rosyjskiej.

Gdy Rosja przez swoje zdobycze zachodnie zbliżyła się do Europy, kiedy wcieliła do swego imperium szereg krajów, jak Polska, prowincje bałtyckie i Finlandia, które miały swe własne instytucje zachodnie, kiedy sama ona weszła w ściślejsze stosunki z narodami Europy, świątlejsi mężowie stanu rosyjscy zrozumieli, że rząd kraju nie może się dłużej opierać na podstawach wschodnich.

Te myśli zaczęły brać górę po klęsce w wojnie krymskiej i dały początek reformom Aleksandra II: zniesieniu poddaństwa, wprowadzeniu samorządu miejscowego w postaci ziemstw i rad miejskich, sądu przysięgłych itd. Wzrost wszakże opozycji przeciw rządowi w ziemstwach i ruchu rewolucyjnego wywołał reakcję; prawa nowych instytucji zostały obcięte, co pozbawiło je w niemałej mierze znaczenia. System wschodni nie przestawał panować w Rosji aż do ustanowienia Dumy, a nawet potem rząd nie przestawał się trzymać jego metod.

Tak więc historia narodu rosyjskiego nie przygotowała go do swobód, nie umie on jeszcze robić z nich właściwego użytku i obawiamy się, że obalenie starego systemu oznacza początek długiego okresu braku równowagi politycznej. Nie należy przez to rozumieć, ażeby dalsze trwanie starego systemu rządów leżało w interesie Rosji i Europy. Nie miał on podstaw długiego istnienia.

Absolutyzm rosyjski, jak go zreorganizował Piotr Wielki, bardzo rychło wyrodził się w rządy nieodpowiedzialnej oligarchii. Z biurokracji wprowadzonej przez wielkiego władcę, wyrosła nowa arystokracja, złożona z bardzo różnorodnych, w znacznej części

nierosyjskich żywołów, które trzymały w rękach rząd i osobę samego monarchy. Niekontrolowana władza dawała im bogactwo i zachęcała do nieuczciwości. Współzawodnictwo o władzę wśród tej kasty było źródłem intryg i walk osobistych – członkowie rządu rosyjskiego zużytkowywali więcej czasu i energii na przeciwdziałanie intrygom współzawodników, aniżeli na spełnianie swych obowiązków urzędowych. Właściwie mówiąc, w ostatnich latach w Rosji nie było rządu; byli tylko poszczególni ministrowie, którzy nawzajem z sobą walczyli. Stary system rządów podlegał coraz to większej dezorganizacji i było widoczne, że jest skazany na zagładę.

Upadł on właściwie sam przez się: jeżeli rewolucja rosyjska została przeprowadzona z tak małym przelewem krwi, to dlatego, że nie istniała poważna organizacja sił rewolucyjnych i że rząd był tak słaby, iż najłżejszy cios wystarczył do jego obalenia.

Nowy rząd nie jest ciałem, które by posiadało władzę drogą wielkiego zorganizowanego wysiłku i po ciężkiej walce – zapełnił on po prostu puste miejsce, spowodowane przez nieoczekiwane zniknięcie starej władzy. Dlatego to rewolucja była łatwa i dlatego organizacja nowego porządku rzeczy nie robi wyraźnych postępów.

Jeżeli nie chcemy żywić złudzeń, za które w przyszłości moglibyśmy bardzo drogo zapłacić, musimy być przygotowani na fakt, że Rosja jako wielkie mocarstwo zniknie z widowni historycznej na okres, być może, wielu pokoleń. Mamy dane do obaw, że wiele czasu musi upłynąć, zanim ta wielka i zdolna masa, zdezorganizowana przez stulecia rządów wschodnich, zdoła wytworzyć mniej więcej trwałą formę rządu na nowych podstawach. To zadanie jest tym trudniejsze, że przewrót polityczny jest zagrożony komplikacjami socjalnymi: masa narodu, złożona z mało oświeconego włościństwa, ma tylko jedną ambicję i jeden cel na widoku – zdobycie ziemi drogą wywłaszczenia wielkich właścicieli.

Tak ewolucja polityczna Europy w XIX stuleciu, która dała narodom zachodnim rządy demokratyczne, nie odbijając się silnie na ich potęgze zewnętrznej, Rosji przyniosła w tej chwili próby początek długiego okresu przejściowego, w ciągu którego prawdopodobnie rewolucja i reakcja będą po sobie kolejno następowały, bardzo niepomyślnie odbijając się na działalności i potęgze Rosji na zewnątrz.

W stosunku do ewolucji narodowej, która się odbyła w Europie po kongresie wiedeńskim, Rosja znalazła się w położeniu biegunowo przeciwnym do Niemiec. Gdy rasa niemiecka w pierwszej połowie XIX stulecia była jeszcze rozbita na szereg państw i gdy ewolucja narodowa sprowadziła jej połączenie w jedno narodowe imperium – przeciwnie, Rosja, która istniała jako wielkie imperium, złożone z różnych szczepów, skutkiem rozwoju dążeń narodowych była skazana na rozsypanywanie się. Ekspansja terytorialna Rosji zaczęła się już w okresie moskiewskim i posuwała się dalej po reorganizacji państwa przez Piotra Wielkiego. Gdy wszakże Moskwa rozszerzyła się po dzikich przestrzeniach północnego wschodu Europy i Syberii, słabo zaludnionych szczepami, wśród których Rosjanie zjawiali się jako pionierzy kultury, cesarstwo rosyjskie od Piotra Wielkiego – dzięki zwycięstwom nad Szwedami i Turkami, zwłaszcza

zaś dzięki rozbiorom Polski – przyłączyło na zachodzie i na południu szereg krajów gęściej zaludnionych od Rosji właściwej, rasowo obcych, odmiennych religią i typem cywilizacji, a gdy chodzi o przyłączone kraje zachodnie – wyższych od Rosjan kulturą, rozwojem ekonomicznym i pojęciami politycznymi.

Tego rodzaju ekspansja pociągała za sobą wielkie niebezpieczeństwa dla przyszłości państwa.

Dla krajów przyłączonych na zachodzie rządy rosyjskie były jarzmem wschodnim, hamującym ich postęp i niszczącym same podstawy życia cywilizacyjnego. Nigdy się one szczerze nie pogodziły z tymi rządami. Samo w sobie było to wielkie niebezpieczeństwo, a stało się ono większe, gdy pod wpływem ewolucji narodowej Europy uwydatniły się wśród Rosjan silne dążności nacjonalistyczne i gdy jednocześnie szereg nierosyjskich szczepów w państwie zaczął się rozwijać w odrębne narodowości.

W pierwszej połowie XIX stulecia polityka rosyjska miała do czynienia tylko z narodami historycznymi, które swego czasu panowały na podbitych przez Rosję obszarach zachodnich: z Polakami w Królestwie polskim i w zabranych wschodnich ziemiach Polski; z Niemcami w prowincjach bałtyckich, wreszcie ze Szwedami w Finlandii. Rasy te albo szukały kompromisu z Rosją, jak Szwedzi finlandzcy, a zwłaszcza jak Niemcy bałtyccy; albo też, jak Polacy, walczyli przeciw niej w powtarzających się próbach odzyskania niepodległości. Nacjonalizm rosyjski z chwilą, gdy raz się zjawił i stał się zasadą kierowniczą rządu, musiał przeprowadzić linię rozgraniczającą pomiędzy Rosjanami a wszystkimi innymi szczepami, składającymi się na wielkie imperium. W miarę postępu oświaty mas i rozwoju kulturalnej warstwy różnych szczepów zjawiała się nowa świadomość narodowa. Pojęcie narodowości językowej zaczęło w Rosji grunt zdobywać tak samo, jak w Europie Środkowej. W drugiej połowie XIX stulecia zjawily się ruchy narodowe wśród Finów, Litwinów, Łotyszów i Estów na zachodzie; wśród Ormian, Tatarów i Gruzinów na wschodzie; nawet na południu wśród Małorusinów zjawiała się wyraźna dążność ku wytworzeniu odrębnej narodowości małoruskiej czyli ukraińskiej. Po wprowadzeniu systemu reprezentacyjnego te nowe dążności wystąpiły na widownię państwową i nabrały charakteru bardziej czynnego. W drugiej Dumie, gdy przedstawicielstwo polskie wystąpiło z wnioskiem o autonomii Królestwa Polskiego, przykład ten szybko znalazł naśladownictwo ze strony innych szczepów: w ciągu kilku tygodni utworzyły się cztery grupy narodowe – litewska, łotewska, ormiańska i małoruska, ostatnia złożona aż z czterdziestu posłów – wszystkie z programami autonomii dla właściwych prowincji. Tylko rozwiązanie drugiej Dumy i zmiana prawa wyborczego, ukrócająca prawa szczepów nierosyjskich, przeszkodziła dalszym postępom organizacji grup narodowych w parlamencie rosyjskim.

Rozwój tych odrębnych ruchów narodowych groził Rosji rozbiciem. Nie mieli silnych obaw w tym względzie liberałowie rosyjscy, którzy widzieli, że różne szczepy zaludniające Cesarstwo brały czynny udział w rosyjskim ruchu rewolucyjnym 1905 roku na tych samych zasadach co Rosjanie, i w doskonałej solidarności z nimi. Nie należy wszakże zapominać, że w rewolucji austriackiej 1848 roku różne szczepy Austrii również

walczyły solidarnie w jednych szeregach z liberałami niemieckimi, co nie przeszkodziło zacieklej walce narodowej, która wybuchła wkrótce między szczepami ujarzmionymi a austriackimi Niemcami.

Według danych urzędowego spisu ludności, przeprowadzonego w roku 1897, szczerp wielkoruski, przedstawiający rosyjską narodowość, stanowił 48% ogółu ludności imperium. Pozostałe 52% dzieliły się na trzy grupy prawie równe sobie liczbą:

1) Biało- i Małorusini, których języki, pokrewne rosyjskiemu, są uważane za dialekty rosyjskie. Większość ich w przeszłości należała do państwa polskiego i przez szereg stuleci pozostawała pod wpływem instytucji polskich i polskiej cywilizacji. Znaczna ich część, przyjąwszy unię, należała do Kościoła katolickiego i dopiero około połowy XIX stulecia została przyłączona do Cerkwi rosyjskiej. Są wśród nich, zwłaszcza wśród Małorusinów, silne żywioły, pracujące nad rozwojem separatyzmu narodowego.

2) Szczepy azjatyckie Kaukazu, wschodniej Rosji i Syberii. Te szczepy są albo asymilowane bez trudności przez Rosjan, albo – jak to ma miejsce z Ormianami, Gruzinami i Tatarami – posiadają poczucie swej odrębnej narodowości i dążą do zaznaczenia jej w życiu politycznym państwa.

3) Szczepy należące przez swą cywilizację do Zachodu (katolicy lub protestanci), mianowicie: Polacy, Litwini, Łotysze, Estowie, Finowie i Szwedzi. Pochłonięcie tych szczepów przez Rosję okazało się całkowicie niemożliwe. Doświadczenie dowiodło, że na zachodniej granicy imperium, w krajach posiadających kulturę zachodnią, cywilizacja rosyjska nie wykazuje żadnej siły konstrukcyjnej; wszystkie próby jej narzucenia nie dały żadnego wysiłku prócz powstrzymania postępu tych krajów. W czasie ich przyłączenia do państwa rosyjskiego kraje te były znacznie wyżej cywilizowane od samej Rosji i są po dziś dzień bardziej cywilizowane niż Rosja właściwa; każdy wszakże krok ich postępu w ciągu ostatniego stulecia osiągnany był w ciężkiej walce przeciw polityce rosyjskiej. Nie należy zapominać, że takie kraje jak Polska, położona w bezpośrednim sąsiedztwie Niemiec, są wystawione na poważne niebezpieczeństwo w razie niezdolności do dostatecznie szybkiego postępu; im większa jest różnica poziomu cywilizacyjnego pomiędzy nimi a Niemcami, tym słabszą przedstawiają one przeszkodę dla ekspansji niemieckiej i tym bardziej są zagrożone przez niemiecki podbój. Należy dodać, że administracja rosyjska okazała się nedorosła do wymagań życia społecznego i ekonomicznego w tych ziemiach skutkiem tego, że urzędnicy rosyjscy są wychowani w mniej skomplikowanych warunkach życia Rosji właściwej, gdzie zagadnienia administracji są o wiele prostsze.

Język masy ludności w tych ziemiach zachodnich nie ma nic wspólnego z rosyjskim: fiński i estoński należą do grupy fińskiej języków turańskich; litewski i łotewski – do gałęzi bałtyckiej języków indoeuropejskich. Jedynym szczepem słowiańskim są Polacy, naród historyczny, który – wychowany w instytucjach zachodnich, zachodni przez swą religię (rzymskokatolicką), zachodni przez swą cywilizację – posiadał własne państwo w przeciągu tysiąclecia. Od czasu zniszczenia państwa polskiego życie umysłowe Polski, jej literatura, sztuka i nauka nie przestały się rozwijać po całkowicie odrębnej linii narodowej i są faktycznie bogatsze niż u wielu narodów niepodległych.

Z postępowaniem ewolucji narodowej wśród mas, kresy zachodnie Rosji stawały się coraz większym niebezpieczeństwem dla państwa zarówno w zakresie polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Dążności narodowe antyrosyjskie rosły szybko, stanowiąc przykład do naśladowania dla wschodnich kresów państwa. Jeszcze poważniejsze jest to, że ta nierosyjska, przeważnie antyrosyjska, a skutkiem tego najsłabsza część państwa rosyjskiego, położona na jego granicy zachodniej, znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie z najpotężniejszym wrogiem Rosji – Niemcami. To ułatwiało napad na Rosję z zachodu i dało Niemcom sposobność do wystąpienia w chwili wybuchu wojny w roli oswoobodziciela narodowości uciśnionych. Prawda, że większość Polaków od pierwszej chwili stanęła po stronie Rosji przeciw Niemcom, tu wszakże nie kierowało nimi uczucie lojalności względem Rosji, ale nadzieja odebrania od Niemiec ziem zaboru pruskiego, które ze wszystkich ziem podzielonej Polski są najbardziej zagrożone w swym bycie narodowym i terytorialnym, najniezbędniejsze dla narodowej przyszłości Polski. Gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, Rosja miałaby bardzo małe widoki na znalezienie jakiegokolwiek poparcia ze strony ludności swych kresów zachodnich.

Myśl polityczna rosyjska stopniowo zaczęła brać w rachubę niebezpieczeństwo tkwiące w różnorodnym składzie ludności państwa. Nie omieszczało to wywołać radykalnej zmiany w panujących dążnościach polityki rosyjskiej. Na miejsce owej dążności do ekspansji terytorialnej, która była tak charakterystyczna dla Rosji w czasie przeszłym, ostatnie lata – zwłaszcza po ustanowieniu Dumy – przyniosły politykę, dążącą do skonsolidowania imperium i do wzmocnienia jego charakteru narodowego. Duma we wszystkich prawie składających ją żywiołach wykazała w wyższym nawet stopniu niż biurokracja ducha dążącego do unifikacji imperium przez jednostajność podstaw organizacji na całym jego obszarze. Nadto rosyjscy mężowie stanu stopniowo zrozumieli, że dalsza ekspansja, zwłaszcza na zachodzie, zwiększając liczbę ludności nierosyjskiej, zwiększyłaby tym samym grożące państwu niebezpieczeństwo rozkładu.

Ta zmiana myśli politycznej tłumaczy bankructwo ruchu panslawistycznego w Rosji. W miarę jak szczepy słowiańskie Austro-Węgier i Bałkanów zaczęły wyrastać na samodzielne narodowości, zazdrosne o swą indywidualność i niezawisłość narodową, słabło wyraźnie rosyjskie zainteresowanie się nimi. Panslawiści starej szkoły, którzy żywili nadzieję, że, z wyjątkiem Polaków, uważanych za współzawodników Rosji w świecie słowiańskim, wszyscy Słowianie mogą być zjednoczeni w jednej religii prawosławnej, w jednym języku rosyjskim i pod jednym samowładztwem – spostrzegli, że z nadziejami tymi trzeba się raz na zawsze pożegnać. Nowi sławofile, sympatyzujący z samodzielnym rozwojem narodowości słowiańskich i marzący o federacji słowiańskiej w przyszłości, znaleźli się w słabej mniejszości wobec Rosjan twierdzących, że zasada federalistyczna jest niebezpieczna dla państwa z różnolitą ludnością, że zawiera w sobie zarodki rozkładu imperium.

Bankructwo ruchu panslawistycznego pociągnęło za sobą szybkie osłabienie ruchliwości rosyjskiej na Bałkanach i w Europie Środkowej. Gdy w drugiej połowie XIX stulecia agenci rosyjscy byli bardzo czynni wśród mniejszych narodowości zachodnio- i

południowosłowiańskich, ku początkowi bieżącego stulecia cała zorganizowana propaganda znikła, a zostali tylko na tym polu nieliczni działacze – wolontariusze. Nacisk austriacko-niemiecki na te narodowości już nie napotykał oporu we wpływie rosyjskim, ale w samodzielnych ruchach narodowych wśród tych szczepów. Jedynym krajem słowiańskim, w którym dyplomacja rosyjska zdołała zachować wpływ niejaki, była Serbia, która, położona między dwoma niebezpiecznymi wrogami – Austro-Węgrami a Bułgarią – widziała ratunek w opiece rosyjskiej.

Trzeba w dodatku zauważyć, że ekspansja rosyjska różni się charakterem od nowoczesnej ekspansji europejskiej, której towarzyszy podbój ekonomiczny. Rosja w swym rozwoju przemysłowym jest jeszcze bardzo zacofana; sama ona jest rynkiem dla wyrobów obcych i nie ma potrzeby szukać ujścia dla wytworów swego przemysłu, gdyż cały jej wywóz składa się niemal wyłącznie z produktów przyrody. Kraje podbite przez Rosję na zachodzie – Polska, prowincje bałtyckie i Finlandia – są przemysłowo więcej rozwinięte od Rosji właściwej; tu skutkiem tego w dziedzinie ekonomicznej widzimy rolę panów i podbitych odwrócone przez to, że Rosja jest wielkim rynkiem dla wywozu przemysłowego z tych krajów, zwłaszcza z Polski.

Tu leży źródło słabego współzawodnictwa Rosji z Niemcami na Bałkanach; nie miała ona żadnych interesów ekonomicznych w tych krajach, gdy Austro-Węgry i Niemcy panowały na rynkach bałkańskich.

Polityka rosyjska, cofając się z pola kwestii Bliskiego Wschodu, które było główną sferą jej działalności, skierowała w początku obecnego stulecia ambicje rosyjskie na Wschód Daleki, a po porażce w wojnie japońskiej ku Persji. Pewne ożywienie działalności rosyjskiej na Bliskim Wschodzie, które wystąpiło w latach bezpośrednio poprzedzających wielką wojnę i wyrażało się głównie w zajmowaniu się Serbią, nie stanowiło wcale części planu rozwiązania kwestii wschodniej. Była to tylko polityka obronna przeciw państwom centralnym, których szybkie postępy na Bliskim Wschodzie groziły Rosji zamknięciem w pierścieniu wpływów niemieckich i sprowadzeniem w ten sposób na stanowisko mocarstwa drugorzędne. Trzeba dodać, że nawet tej obronnej polityce ze strony Rosji brakowało stanowczości na skutek silnych wpływów niemieckich, działających wewnątrz samego państwa.

Fakty powyższe są mniej lub więcej związane ze źródłami wielkiej wojny europejskiej. Podczas gdy połączona potęga austro-niemiecka groziła światu rozstrzygnięciem kwestii Bliskiego Wschodu na korzyść Niemiec, Rosja, niegdyś główny czynnik na Bliskim Wschodzie, została sprowadzona do słabej polityki obronnej. Było to wynikiem wewnętrznego położenia Rosji. Miała ona związane ręce przez swoje własne zagadnienie narodowości, które czyniło niebezpieczną wszelką ekspansję na zachodzie, a zbliżający się kryzys konstytucyjny – najtrudniejszy jaki świat kiedykolwiek widział – paraliżował energię jej polityki zewnętrznej.

Od chwili wybuchu rewolucji obecnej rozwój Rosji i jej rozbicie na części zrobiły szybkie postępy. Z jednej strony, kraj nie posiada właściwie rządu, a ludność, żyjąca z dnia na dzień spuścizną po starym systemie, zbliża się do stanu zupełnej anarchii. W

niektórych miejscach ukazały się już niezależne rządy, które otwarcie odmawiają uznania rządu pietrogradzkiego. Z drugiej strony, różne rasy imperium wykazują rosnące dążności do wyodrębnienia się politycznego. Pośród tych, ruch małoruski, dążący do utworzenia państwa ukraińskiego, jest najważniejszy, gdy się zważy, że szczep małoruski zajmuje całe południe Rosji i Polski od Gór Karpackich do Kaukazu i że państwo ukraińskie utworzone na tym obszarze pozostawiłoby Rosję bez dostępu do Morza Czarnego. Nie mniej ważne jest zagadnienie pobraża bałtyckiego (Estonia, Inflanty i Kurlandia), gdzie masa ludności złożona jest z Estów i Łotyszów – jednych i drugich mówiących językami Rosji obcymi, a z wyznania luteranów – gdzie nadto posiadająca ziemię arystokracja i zamożniejsi mieszkańcy miast są Niemcami. Wyzwolenie polityczne tych ziem oznaczałoby cofnięcie się Rosji od Bałtyku i przyczyniłoby się do jej odcięcia od Europy.

Zdaje się rzeczą trudną przypuścić, ażeby wielki naród chrześcijański pozostał na długo w stanie rozstroju, dotknięty paraliżem energii wewnątrz i na zewnątrz. Mamy więc wszyscy nadzieję, że bliska przyszłość przyniesie ustanowienie jakiegokolwiek rządu, który choć może nie posiadać zapewnionej trwałości, zdoła wprowadzić porządek w tej, lub innej określonej formie.

Niemniej przeto, cokolwiek przyszłość przyniesie, musimy to przyjąć za fakt, że dzieło Piotra Wielkiego jest już w znacznej mierze zniszczone, że Rosja nie ukaże się ponownie na widowni dziejowej jako państwo zorganizowane do podboju, zużytkowujące ludność i bogactwa kraju dla ekspansji terytorialnej. Katastrofa, na którą dziś patrzymy, była spowodowana przez zaniedbanie położenia wewnętrznego w Rosji i składających się na nie wielkich zagadnień. Zagadnienia te, dosięgnąwszy fazy bardzo niezdrowej, wystąpiły obecnie na czoło i wątpliwą jest rzeczą, ażeby naród rosyjski, zajęty ich rozwiązaniem, mógł wykazać wiele energii w polityce zewnętrznej.

Jest rzeczą równie pewną, że Rosja już nie wróci do swych dawnych granic na zachodzie. Ogłoszenie niepodległości Polski przez rosyjski Rząd Tymczasowy jest nie tylko ruchem impulsywnym zapału rewolucyjnego, ale rozumnym uznaniem konieczności historycznej. Jak widzieliśmy powyżej, istnieje kwestia nie tylko Polski i obszarów, które Polska może objąć w swych granicach, ale także Finlandii, prowincji bałtyckich i nawet Ukrainy, która, tak jak ją pojmują ukraińscy nacjonałiści, jest krajem rozległym z ludnością od 35 do 40 milionów.

Państwo rosyjskie ze względu na swe niepewne stanowisko na kresach zachodnich zawsze miało świadomość swej słabości wobec Niemiec. Były chwile, jak w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, kiedy Rosja czuła się całkowicie na łasce Niemiec we względzie bezpieczeństwa swej granicy zachodniej. Takie było położenie imperium, które poczytywało za swe główne zadanie utrzymanie potęgi zewnętrznej, które zużytkowało do tego celu środki kraju z zaniedbaniem najżywotniejszych zagadnień wewnętrznych, które wreszcie umiało zdusić odrębne dążności narodowe swych szczepów nierosyjskich, zmuszając je wszystkie do pracy i walki na rzecz rosyjskiej potęgi. Rewolucja gruntownie zmieniła położenie Rosji. Gdy szczepy nierosyjskie mają obecnie możliwość działania na

rzecz swych własnych celów narodowych, sam naród rosyjski jest zmuszony do skupienia swej energii na zagadnieniach wewnętrznych, których po długim zaniedbaniu jedno pokolenie nie rozstrzygnie. To oznacza zniknięcie wielkiej potęgi rosyjskiej z pola międzynarodowego.

Niemcy po tej wojnie nie będą już miały przed sobą wielkiego imperium z obszarem ciągnącym się od Wisły do Oceanu Spokojnego, z ludnością wynoszącą 170 milionów, czerpiącego swą potęgę zewnętrzną z połączonych sił tej ludności i z różnorodnych zasobów tego obszaru; będą one miały prawdopodobnie do czynienia z Rosją zmniejszoną co do obszaru i ludności, pochłoniętą załatwianiem trudnego i przewlekłego kryzysu wewnętrznego. Pomiędzy Niemcami a Rosją zjawia się na widowni inne narody, większe i mniejsze, ze swymi rozbieżnymi celami i dążnościami. Niemcy będą pracowały nad wciągnięciem tych narodów w sferę swego wpływu, nad odsuwaniem Rosji zarówno od Bałtyku, jak od Morza Czarnego, nad jej ekonomicznym podbojem, nad wyciskaniem handlu innych narodów z rynku rosyjskiego. Nie możemy zaprzeczyć, że przy zamianie Bałtyku na jezioro niemieckie i przy wystawieniu Morza Czarnego na los mniej więcej podobny, Niemcy posiadają ogromne widoki powodzenia zamierzeń swej polityki.

Niemcy były najbardziej wpływowym mocarstwem w Europie Wschodniej w czasie istnienia państwa carów; zniszczenie tego imperium – które było prędzej czy później nieuniknione – otwiera obecnie Niemcom widoki całkowitego panowania w tej sferze. Jeżeli im się to uda, staną się one potęgą bez współzawodnictwa, a wiemy dobrze, jakie by to miało znaczenie dla innych narodów.

To skrajnie niebezpieczne położenie jest wynikiem faktów, z których w innych krajach nawet mężowie stanu nie zdają sobie dostatecznie sprawy, mianowicie: że naród rosyjski nie jest i nigdy nie był sąsiadem Niemiec; że obszary narodowe rosyjski i niemiecki położone są od siebie w wielkiej odległości; że ziemie zachodnie wchodzące w skład imperium rosyjskiego są nierosyjskie rasą, językiem, wiarą, cywilizacją, pojęciami i uczuciami. Na skutek tych faktów:

1) zachodnia część państwa carów, wysunięta ku Niemcom, była zawsze bardzo słabo związana z państwem i dzierzona przez nie tylko przy pomocy więzów przymusowych;

2) narodu rosyjskiego, nieznajdującego się w bezpośrednim zetknięciu i w bezpośredniej walce narodowej z Niemcami, nigdy nie znamionował istotny antagonizm względem Niemców;

3) między Rosją a Niemcami wytworzył się silny węzeł na skutek wspólnej walki przeciw Polsce, a po rozbiorach na skutek posiadania wspólnego celu: zniszczenia narodu polskiego.

Z tych przyczyn Rosja, jeżeli była przeciwniczką Niemiec, to tylko połowiczną, a nawet gdyby chciała wystąpić z nimi do walki *à outrance*, była za słaba na zachodzie, ażeby taką walkę zaryzykować. Z tych przyczyn również obalenie absolutyzmu w Rosji w

jakichkolwiek okolicznościach pociągało za sobą jej cofnięcie się od zachodu. Zachodnie obszary państwa rosyjskiego, zaludnione przez szczepy cywilizacyjnie od Rosji wyższe, tylko siłą mogły być utrzymane pod jej panowaniem. Ostateczne zniesienie absolutyzmu musiało pociągnąć za sobą w tych zachodnich częściach imperium wprowadzenie autonomii, która nieuniknienie prędzej czy później rozwinęłaby się w całkowitą niepodległość.

Tak doniosła rola, odgrywana w polityce europejskiej przez Rosję dzięki jej ekspansji na zachodzie, nie miała widoków trwałości. Ponadto, ze wzrostem Niemiec wartość Rosji jako czynnika naczelnego równowagi europejskiej, zdolnego przeciwważyć potęgę niemiecką, stawała się coraz bardziej wątpliwa.

Po obecnej wojnie równowaga europejska będzie zależała nie tyle od położenia, w jakim może znaleźć się Rosja, ile od przyszłości politycznej krajów położonych między Rosją a Niemcami. Jeżeli te kraje podpadną pod wpływ niemiecki, jeżeli staną się one bezpośrednimi narzędziami polityki niemieckiej, sama Rosja będzie pośrednio ujarzmiona przez Niemcy i jedyny pokój możliwy w przyszłości dla Europy przybierze postać *pax germanica*.

Dlatego to zagadnienie krajów położonych między Rosją a Niemcami posiada dziś pierwszorzędą wagę.

Kraje te są od północy:

Finlandia – z ludnością trzymilionową, złożoną w znacznej większości z Finów i w słabej mniejszości ze Szwedów, którzy wszyscy są luteranami i posiadają wysoką kulturę (Finlandia należy do krajów europejskich z najwyższą rozwiniętą oświatą mas). Posiada ona odrębną konstytucję i znajduje się obecnie na drodze do osiągnięcia całkowitej niepodległości. Finlandia, równie jak Szwecja, skutkiem antagonizmu względem Rosji, zwracała się raczej sympatiami ku Niemcom. Przy całkowitym panowaniu niemieckim na Bałtyku niepodobna oczekiwać, ażeby Finlandia przeciw Niemcom walczyła.

Kraj Bałtycki (Estonia, Inflanty i Kurlandia) – z czterema milionami mieszkańców; masę ludności na północy (Estonia i część Inflant) stanowią Estowie, należący do rasy fińskiej, na południu (reszta Inflant i cała Kurlandia) – Łotysze, należący do szczepu litewskiego. Szlachta i zamożna klasa średnia jest niemiecka. Cała ludność jest luterkańska. Część tego kraju (prawie cała Kurlandia) jest obecnie zajęta przez Niemcy. Przyszłość polityczna Kraju Bałtyckiego jest bardzo niepewna. Znaczna część tego kraju może po wojnie pozostać przy Rosji, w tym wszakże wypadku niezawodnie wprowadzono by tam autonomię. To pewne, że rozwinię się tam ostra walka wśród Estów i Łotyszów przeciw wyższym klasom niemieckim wobec tego, że nienawiść do Niemców, zwłaszcza wśród Łotyszów, jest bardzo silna. Sami Niemcy bałtyccy obawiają się pozostać sam na sam z Łotyszami i szukają podtrzymania z zewnątrz. Dlatego to w Kurlandii, obecnie okupowanej przez Niemców, zjawiała się wśród wyższych klas niemieckich myśl wcielenia kraju do Polski. W każdym razie nie można patrzeć na mały Kraj Bałtycki, w razie uzyskania przezeń niezawisłości, jako na przyszłą przeszkodę dla polityki niemieckiej; z

drugiej strony, gdyby pozostał on częścią państwa rosyjskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa byłby tym, czym był w przeszłości – kanałem wpływu niemieckiego w dawnym państwie carów.

W południowej części imperium widzimy rozległy obszar mowy małoruskiej, który na zachodzie sięga daleko w posiadłości austriackie i węgierskie (wschodnia Galicja, północna Bukowina i wschodnie Węgry), a na wschodzie w głąb Kaukazu. Ten obszar jest dziś coraz częściej zwany Ukrainą (co znaczy „kraj kresowy”) – nazwa dana w przeszłości przez Polskę jej małoruskim kresom na południowym wschodzie. Rosja obecnie ma do czynienia z silnym ruchem separatystycznym na tym obszarze.

Ruch narodowy małoruski, czyli ukraiński ma swoje pierwsze początki w dwóch ośrodkach: w Rosji na wschód od Dniepru (gubernia połtawska, czernihowska i charkowska), gdzie był on głównie ruchem literackim; i w Polsce austriackiej, gdzie był on głównie ruchem politycznym i socjalnym, zwróconym zarówno przeciw Polakom, jak przeciw Rosji. Trzeba dodać, że był on podtrzymywany z Wiednia, a później także z Berlina. Literatura wszechniemiecka buduje wiele nadziei na ustanowieniu państwa ukraińskiego, które by rozpołowiło Rosję, odcięło ją od Morza Czarnego, a jednocześnie służyło Niemcom za sprzymierzeńca przeciw Polsce. Obecny program nacjonalistów ukraińskich jest ustanowienie państwa ukraińskiego w federacji z Rosją. Przewidzieć nawet w przybliżeniu przyszłość zagadnienia ukraińskiego jest dziś rzeczą niemożliwą.

Rozległe obszary zaludnione przez Małorusinów (zwanym także Rusinami lub Ukraińcami) nigdy nie były złączone wspólnymi dziejami. Zachodnia ich część, należąca obecnie do Austrii (wschodnia Galicja), była od XI stulecia przedmiotem sporu między Polską a Kijowem; później stała się ona na krótki okres odrębnym królestwem; wreszcie w XIV wieku, wcielona do Polski, została prowincją polską.

Obszary leżące między granicą austriacką a Dnieprem (Wołyń, Podole i gubernia kijowska) były prowincjami polskimi od XV stulecia, po czym zostały przyłączone do Rosji w rozbiorach Polski (1793, 1795). Kraj na wschód od Dniepru (gubernia czernihowska, połtawska i charkowska) był ustąpiony Moskwie przez Polskę w XVII stuleciu. Na pozostałym obszarze ku wschodowi i południu, położonym na pobrzeżu Morza Czarnego, szczerp małoruski osiedlał się dopiero od połowy XVIII stulecia, kiedy – po ostatecznym upadku Tatarów i po wypędzeniu Turków z północnego pobrzeża czarnomorskiego – te stępy południowe pod panowaniem rosyjskim zostały otwarte dla osadnictwa.

Te rozmaite części obszaru małoruskiego są bardzo różne w swym charakterze politycznym i kulturalnym, a jedyny węzeł, jaki dotychczas między nimi istnieje to wspólna mowa ludu, uważana przez jednych filologów za gwarę rosyjską, a przez innych za odrębny język. Rozwój literacki tego języka zaczął się zaledwie w połowie XIX stulecia i czyni bardzo słabe postępy. Główną linią demarkacyjną na tym obszarze jest rzeka Dniepr, czyli ściśle mówiąc granica dawnej Polski (1793). Na zachód od Dniepru kraj posiada cywilizację polską, wyższa klasa jest polska, a między ludnością miejską i wiejską znajduje się znaczny odsetek Polaków. Na wschód od Dniepru i na pobrzeżu Morza Czarnego panuje cywilizacja rosyjska: masa ludności jest małoruska (ku południowi ze

znaczną domieszką Rosjan, Tatarów, Greków, Ormian, Rumunów i osadników niemieckich); gdy mowa wszakże o warstwie oświeconej, trudno tu przeprowadzić obecnie linię między narodowością rosyjską a ukraińską. Ukraiński wszakże ruch narodowy, raz poczęty, prawdopodobnie będzie szybko wzrastał i torował sobie drogę ku niezawisłości politycznej.

Wobec tego, że Małorusini przedstawiają szczerp bez historii, ruch ten musi wytworzyć zagadnienie bardzo trudne, zwłaszcza ze względu na fakt, że Niemcy pozują na protektorów aspiracji ukraińskich. Wpływy niemieckie w tej dziedzinie mogą się stać bardzo silne, zwłaszcza jeżeli Niemcy zdołają opanować Polskę, co by ich wprowadziło w bezpośrednie zetknięcie z Ukrainą.

Głównym żywiołem nierosyjskim w zachodnim pasie państwa rosyjskiego i głównym źródłem słabości Rosji wobec Niemiec była Polska, położona pośrodku tego pasa, między Morzami Bałtyckim i Czarnym. Rosja tu miała do czynienia z narodem historycznym, który posiadał swoje własne państwo w ciągu tysiąclecia, który wytworzył swą własną bogatą cywilizację, rozwijającą się bez przerwy na samoistnych podstawach narodowych, i który nigdy nie uległ dobrowolnie obcemu panowaniu, oczekując sposobności do odzyskania swego miejsca w Europie.

Przy wyższości cywilizacyjnej Polski nad Rosją jej pochłonięcie przez Rosję było niemożliwe. Rosja nie zdołała nawet zniszczyć pozycji Polaków w ziemiach litewskich, biało- i małoruskich. Wobec stałego postępu sił narodowych Polski Rosja nigdy się nie czuła pewna w swych posiadłościach zachodnich i czyniła rozpaczliwe wysiłki ku zniszczeniu cywilizacji polskiej i polskiego wpływu politycznego. To z jednej strony wiązało Rosję z Niemcami, jej sprzymierzeńcami w walce przeciw Polakom, z drugiej zaś – hamowało normalny rozwój i postęp polityczny samej Rosji, przygotowując katastrofę, której dziś jesteśmy świadkami.

Zniszczenie państwa polskiego było głównym źródłem dzisiejszego, skrajnie niebezpiecznego położenia międzynarodowego, a przyszłość Polski jest zagadnieniem, od którego rozwiązania zależy cała przyszłość środkowej i wschodniej Europy.

V. KWESTIA POLSKA

Jedną z wielkich przemian, którym przeznaczono dokonać się w położeniu międzynarodowym na skutek obecnej wojny, jest ponowne zjawienie się Polski jako państwa niepodległego. Łatwo było przewidzieć, że starcie pomiędzy mocarstwami, które rozebrały były Polskę, uczyni nieuchronnie kwestię polską jednym z głównych zagadnień wojny.

Kwestia polska została wysunięta prawie nazajutrz po wybuchu wojny przez odezwę wielkiego księcia, naczelnego wodza armii rosyjskiej, później stale wysuwała się ona na czoło, nabierając wielkiej wagi w chwili okupacji Polski przez armię niemiecką i austriacką, i następnie, gdy cesarze niemiecki i austriacki proklamowali ustanowienie

Królestwa Polskiego. W ostatnią fazę weszła ona, gdy nowy rząd rosyjski swą deklaracją z 30 marca 1917 roku uznał konieczność niepodległego państwa polskiego, a inne rządy sprzymierzone do tego oświadczenia się przyłączyły.

Polska jako państwo znikła z karty Europy 122 lata temu (1795). Krążąca powszechnie opinia przypisuje los Polski wadom konstytucji Królestwa, słabości jego rządu i niezgodom wewnętrznym. Ta raczej zbyt uproszczona i jednostronna teoria zawdzięcza swą popularność wpływowi mocarstw, które zniszczyły Polskę i które uważały za korzystne dla siebie dowodzić, że Polska nie posiadała kwalifikacji do niezawisłego istnienia.

Wszystkie państwa europejskie przechodziły w swych dziejach przez okresy, w których wady ich konstytucji dawały się silnie odczuwać, kiedy rząd był słaby, kiedy kraj był rozdzierany przez niezgody wewnętrzne i wojny domowe – okresy, które prowadziły do mniej więcej wyraźnej anarchii. Szczególnie znamienne jest [to] dla bardziej wschodnich państw europejskich, jak Czechy, Węgry, Polska, i jeszcze dalej ku wschodowi – Rosja. Państwa te miały słabsze podstawy od państw zachodnich, ponieważ zbudowane zostały na gruncie mniej przygotowanym historycznie do instytucji europejskich. Polska przeszła przez okres rozstroju, który trwał względnie długo – około 150 lat; zniszczenie wszakże państwa polskiego nie nastąpiło w ciągu tego okresu, przyszło ono wtedy, gdy rozstrój miał się ku końcowi, w chwili gdy w sejmie polskim przeszły wielkie reformy, reformy usuwające wszystkie główne wady konstytucji.

Słabość państwa polskiego w ciągu drugiej połowy XVII i większej części XVIII stulecia była tylko jedną z przyczyn zniszczenia Polski.

Głównych przyczyn szukać należy w międzynarodowym położeniu ówczesnej Europy.

Zarówno po stronie wschodniej, jak zachodniej Polski wystąpili na widownię dwaj wielcy monarchowie autokratyczni: w Rosji Piotr Wielki, który zużytkował swą władzę autokratyczną do dzieła reformy i zorganizował swe państwo według wzorów absolutyzmu europejskiego, zaopatrując je w wielką stałą armię; w Prusach Fryderyk Wielki, który uczynił swe Królestwo największą potęgą militarną na kontynencie europejskim. Polska starała się przystosować do nowego położenia, ale będąc państwem parlamentarnym, z konieczności była powolniejsza w przeprowadzaniu reform, które były możliwe dopiero po przygotowaniu opinii publicznej i po zorganizowaniu większości w sejmie. W tymże czasie dwa wielkie mocarstwa zachodnie, Anglia i Francja, w których interesie leżałoby niedopuszczenie do zniszczenia Polski, stały przeciw sobie w ostrym współzawodnictwie. Fryderyk Wielki, właściwy sprawca zniszczenia Polski, był najbardziej użytecznym sprzymierzeńcem Anglii w jej walce z Francją. Wreszcie rewolucja francuska pochłonęła uwagę świata zachodniego do tego stopnia, że dwa ostatnie rozbiory Polski, które gruntownie zmieniły położenie europejskie, przeszły jako wypadki znaczenia drugorzędnego. Te okoliczności odosobniły Polskę i pozostawiły ją bez sprzymierzeńców, jako łatwy łup dla jej trzech potężnych sąsiadów w tej właśnie

chwili, kiedy – przeprowadzając reformy wewnętrzne – przygotowywała się ona do odegrania nowej roli w życiu międzynarodowym i postępie Europy.

Położenie europejskie było równie niepomyślne w czasie wysiłków Polski ku odzyskaniu niepodległości. Polacy sprzymierzyli się z Napoleonem, prowadzącym wojnę przeciw mordercom ich państwa: klęska Napoleona była ich klęską i na kongresie wiedeńskim Polska znalazła się na łasce swych wrogów. Następnie Polacy sprzymierzyli się z demokracją europejską i wzięli udział w rewolucji zachodniej, która głosiła wojnę przeciw reakcyjnym państwom wschodnim. Jednakże demokracja zachodnia, jakkolwiek dość silna do osiągnięcia swych celów na zachodzie, nie miała władzy do zmiany położenia na wschodzie Europy. Święte Przymierze, które zostało zawarte nie tylko dla obrony przeciw siłom rewolucyjnym, ale także dla uciskania Polski, nie zdołało stłumić działania demokracji na Zachodzie, ale trzymało Polskę w swych żelaznych szponach. I choć później rozwinęły się między tymi trzema państwami antagonizmy, które miały swoje źródło w kwestii wschodniej, wspólny interes w uciskaniu Polski i w zabezpieczeniu się przed ponownym wystąpieniem kwestii polskiej pozostał silnym węzłem solidarności między nimi, a w szczególności między Rosją a Prusami. Wznowienie tej wielkiej kwestii dzisiaj zostało właśnie spowodowane przez wojnę między państwami, które rozebrały Polskę.

Położenie Polski – tragiczniejsze od położenia jakiegokolwiek narodu w dziejach – zmusiło Polaków do wycofania się z pola polityki międzynarodowej. W ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia ześrodkowali oni swą energię w kraju, pracując nad postępowaniem jego życia ekonomicznego, jego kultury i nad organizacją narodowych sił w walce o byt narodowy.

Trzeba to sobie uprzytomnić, że wojna obecna jest konsekwencją rozbiórów Polski. To zniszczenie państwa polskiego dało Prusom wystarczającą potęgę do zapanowania nad Niemcami i do założenia wielkiego imperium napastniczego, które stało się niebezpieczeństwem dla wszystkich narodów. Od bitwy pod Grunwaldem (1410), kiedy Polska rozgromiła zakon krzyżacki – odzyskując w następstwie pobraże bałtyckie z ujściem Wisły i Gdańskiem – aż do rozbioru Polski w końcu XVIII stulecia postęp niemieczyzny na Wschodzie był zatrzymany. Zniknięcie Polski otwarło wolne ujście dla ambicji pruskich, których urzeczywistnienie tak szybko poszło naprzód, że Niemcy okazały się ostatecznie zdolne do dokonania próby wchłonięcia całego obszaru polskiego i całej reszty Europy Środkowej w orbitę swego bezpośredniego wpływu oraz do postawienia sobie za cel narzucenia światu swego własnego rozwiązania kwestii wschodniej. Jest zatem jasne, że odbudowanie Polski jako państwa niepodległego jest jednym z głównych warunków przywrócenia równowagi europejskiej.

Sama logika nadto dyktuje, że ta wojna, w której ambicjom niemieckim do panowania nad Europą przeciwstawiono zasady wolności i niezawisłości narodów, powinna się zakończyć zastosowaniem tych zasad do narodu, który pod względem siły liczebnej zajmuje szóste miejsce wśród ludów europejskich i który, chociaż utracił swą niepodległość przed 122 laty, nigdy się nie pogodził z obcym panowaniem i bez przerwy

rozwijał swą własną, niezawisłą kulturę, przyczyniając się swą twórczością umysłową do postępu ludzkości.

Rosja nigdy nie miała bezpośredniego interesu w posiadaniu tej części polskiego obszaru, która jej została przyznana przez kongres wiedeński pod nazwą Królestwa Polskiego. Geograficznie było ono odległe od Rosji właściwej, a wysunięte na zachód między posiadłości Prus i Austrii niełatwe było do obronienia w razie wojny. W istocie przedstawiało ono bardziej niebezpieczną pozycję strategiczną. Jego ludność stanowiła zwartą masę z języka polską, z religii rzymskokatolicką, niemającą nic wspólnego z ludem rosyjskim. Polska była cywilizacyjnie wyższa od Rosji i skutkiem tego całkowicie zabezpieczona przed rosyjskim wpływem. Będąc gęściej zaludniona niż jakakolwiek inna część państwa rosyjskiego i posiadając korzystne warunki przemysłowego rozwoju, Polska zawojowała rynki rosyjskie dla swego przemysłu i rosyjscy przemysłowcy patrzyli na nią jako na niedogodnego współzawodnika. Dla państwa różnorodnego w swym składzie, bardzo poważnie zagrożonego kwestią narodowości, posiadanie tego obszaru przedstawiało wzrost niebezpieczeństwa, bo Polacy dawali moralne oparcie mniejszym i słabszym narodowościom, widząc w nich sprzymierzeńców przeciw uciskowi rosyjskiemu. Toteż myśl pozbycia się przynajmniej znacznej części Królestwa Polskiego i ustąpienia jej Prusom zjawiała się kilkakrotnie w umysłach rosyjskich w ciągu ostatniego stulecia.

Bezpośredni interes rosyjski w kwestii polskiej ześrodkował się na obszarach dawnej Polski leżących na wschód od Królestwa. Obszary te, zwane w języku administracji rosyjskiej Krajem Północno- i Południowo-Zachodnim (gubernie kowieńska, wileńska, grodzieńska, mińska, mohylowska, witebska, wołyńska, podolska i kijowska), stanowią dawne prowincje polskie Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy. W tych prowincjach, posiadających około 25 milionów mieszkańców na obszarze około 181 000 mil kwadratowych⁷³, masa ludności jest bądź litewska, bądź biało- i małoruska, Polacy zaś są w mniejszości, której stosunek liczebny do reszty mieszkańców różny jest w różnych guberniach. Ludność mówiąca po litewsku jest rzymskokatolicka; biało- i małoruska jest urzędowo prawosławna, ale większość jej należała do katolickiego kościoła unickiego i została przyłączona do Cerkwii rosyjskiej w połowie XIX stulecia.

Większa część tego obszaru miała duże znaczenie geograficzne dla państwa, które posiadało brzegi Mórza Bałtyckiego i Czarnego z Rygą i Odessą. Biało- i Małorusinów, chociaż różniących się od Rosjan kulturą i nawet językiem, uważano za część narodu rosyjskiego i pochłonięcie ich od dawna było jednym z głównych wysiłków narodowych Rosji. Przewaga cywilizacji polskiej i wpływu polskiego w tych prowincjach była jedną z głównych pretensji Rosji do Polaków i w żadnej dziedzinie działalności rządu rosyjskiego nie robiono większych wysiłków, jak w walce przeciw wpływowi polskiemu na Litwie, gdzie w celu wytępienia polskości użyto sposobów bardzo stanowczych.

⁷³ Angielskich.

Wobec tego, że Polska właściwa (Królestwo Polskie) była wyżej cywilizowana i gęściej zaludniona niż te przylegające do niej obszary – niegdyś część państwa polskiego – ekspansja w ich kierunku z centrum polskiego leżała w naturalnym porządku rzeczy; rosyjscy mężowie stanu doszli do wniosku, że najlepszym sposobem zabezpieczenia sobie posiadania tych prowincji będzie zniszczenie cywilizacji polskiej w samym jej źródle, nad Wisłą.

Stąd wyrosła potworna polityka antypolska, prowadzona w Królestwie Polskim, polityka używająca wszelkich środków do powstrzymania postępu kraju, czyniąca zamachy na jego kulturę, na oświatę ludu, na wszelki przejaw polskiego życia umysłowego – polityka niekierowana żadną nadzieją na wchłonięcie rasy polskiej, ale jedynie pragnieniem obniżenia Polski, zniszczenia jej cywilizacji, podkopania jej siły narodowej. W ostatnich latach wysunięto silny zarzut przeciw tej polityce, że podkopując siłę Polski, wystawia ją na niebezpieczeństwo niemieckiego podboju. Niemniej przeto rosyjskie widoki na ziemię północno- i południowo-zachodnie wzięły górę i rząd trwał w swej polityce antypolskiej. Miał on w tym poparcie znacznej części narodu rosyjskiego, i to nie tylko tych, którzy byli osobiście zainteresowani w utrzymaniu systemu antypolskiego. Opinia publiczna w Rosji była wprowadzona w błąd fałszywymi danymi statystycznymi – sporządzanymi dowolnie przez agentów rządowych – z których się okazywało, że mniejszość polska na Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie jest bardzo nikła⁷⁴.

⁷⁴ Do jakiego stopnia te dane statystyczne były sporządzane bez skrupułu, okazało się to po okupacji znacznej części tego kraju przez armie niemiecką i austriacką. W guberni wileńskiej np. rządowa statystyka rosyjska wykazywała, że Polacy tworzą nie więcej nad 10% ludności. Zdawało się niepojęte, jakim sposobem gubernia wileńska jest reprezentowana w Dumie wyłącznie przez Polaków. Przypisywano to jakimś przebiegłym machinacjom polskim. Obecnie, gdy większa część tej guberni znajduje się w okupacji niemieckiej, niemieckie władze cywilne, które wcale nie są stronnice na korzyść Polaków i faktycznie podtrzymują przeciw nim Litwinów, zrobiły spis ludności (marzec 1916), który daje następujące cyfry:

Cała ludność okupowanej części guberni wileńskiej	478 753
Niemcy	1 256
Litwini	118 188
Rosjanie	4 150
Białorusini	8 083
Polacy	263 149
Żydzi	83 127

Okazuje się stąd, że Polacy tworzą obecnie około 55% ludności, Litwini około 25%, pozostałe zaś 20% składa się głównie z Żydów. Cyfry statystyki wyznaniowej są następujące:

Rzymscy katolicy	384 058
Prawosławni	9 173
Protestancie	1 404

Pozostali głównie Żydzi. Uderzającym jest faktem, że armia niemiecka w swym pochodzie, sądząc, że kraj na wschód od Bugu i Niemna będzie rosyjski, przygotowała sobie zastęp tłumaczy rosyjskich. Przekroczywszy wszakże te rzeki, przekonała się, że była w błędzie; tłumacze rosyjscy zostali wycofani jako bezużyteczni, i przywrócono tłumaczy polskich, gdyż tylko przy ich pomocy armia mogła posuwać się dalej.

Wielu więc Rosjan, którzy nie znali tego kraju, było przekonanych, że to kraj rosyjski, który przebiegła intryga polska oderwała od Rosji. Rosjanie wszakże, którzy pracowali na miejscu, jasno widzieli, że Polacy są głównym czynnikiem postępu na całym tym obszarze i zdawali sobie sprawę z tego, że stłumić wpływ polski można tylko przez powstrzymanie ogólnego postępu tych prowincji⁷⁵.

Po wybuchu obecnej wojny uwaga rządu rosyjskiego ciągle pozostawała skupiona na prowincjach północno- i południowo-zachodnich. Ludzie rządzący Rosją patrzyli na odezwę wielkiego księcia do Polaków jedynie jako na manewr strategiczny; nie życzyli sobie oni ani zjednoczenia Polski, ani autonomii dla niej. Obawiali się warunków przyjaznych dla rozwoju cywilizacji polskiej i nowych sił narodowych, które by wzmocniły wpływ polski na Litwie. Mieli nadzieję, że Polska pozostanie podzielona i że jej część należąca do Rosji otrzyma co najwyżej pewne nieznaczne ustępstwa, które można będzie cofnąć w przyszłości; że w najgorszym razie Królestwo Polskie będzie przyłączone do Niemiec lub Austrii, że tym sposobem Rosja pozbędzie się Polski właściwej i jej zadanie wytopienia Polaków w Kraju Północno- i Południowo-Zachodnim stanie się łatwiejsze. Takie rozumowanie tłumaczy dwuznaczne oświadczenia starego rządu rosyjskiego w przedmiocie przyszłości Polski i jego upartą obronę teorii, że kwestia polska jest wewnętrzną sprawą rosyjską. Deklaracje rosyjskie stały się bardziej liberalne dopiero po zajęciu Polski przez armie niemiecką i austriacką, kiedy rząd stracił nadzieję odwojowania tego kraju dla imperium.

Wielki krok naprzód w rozstrzygnięciu trudnej kwestii rosyjsko-polskiej został zrobiony przez rewolucję w Rosji. Nowy rząd rosyjski uznał konieczność ustanowienia niepodległego państwa polskiego.

Pozostaje teraz kwestia granicy między Rosją a Polską. Kwestia ta przedstawia wielkie trudności. Są Polacy, którzy bronią prawa Polski do jej granic historycznych na wschodzie; to by oznaczało posiadanie całego obszaru Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy aż do Dniepru. Natomiast niektórzy Rosjanie, opierający swe pretensje na fałszywej statystyce i na fałszywych teoriach, chcieliby przeprowadzić linię demarkacyjną poprzez terytorium samego Królestwa Polskiego. Nie zdają sobie oni sprawy z tego, że po cofnięciu się armii rosyjskiej na jej obecną pozycję na froncie wschodnim krótki okres ich nieobecności okazał się wystarczający do zmiecienia wszelkiego śladu wpływu rosyjskiego na całym obszarze na zachód od linii bojowej. Wpływ ten opierał się wyłącznie na ustawach przeciw polskich i na terrorze władz rosyjskich.

Rozstrzygnięcie kwestii granicznej między Rosją a Polską, sprawiedliwe i dogodne dla obu narodów, nie może być osiągnięte ani przez oparcie się na zasadzie historycznej wysuwanej przez pewnych Polaków, ani drogą zadośćuczynienia pretensjom chciwych nacjonalistów rosyjskich. Znaczna część Polski historycznej musi pozostać poza

⁷⁵ Poniższe szczere wyznanie uczynił przed niewielu laty urzędowy dziennik rosyjski wydawany w Wilnie: „W tym kraju stajemy wobec alternatywy: mamy do wyboru albo postęp polski, albo żadnego postępu. Z naszego punktu widzenia lepiej, żeby nie było postępu wcale”.

granicami państwa polskiego, które jednakże musi obejmować te prowincje, gdzie zachodnia (polska) cywilizacja zapuściła głębokie korzenie, gdzie odsetek Polaków jest bardzo znaczny, lub gdzie większość ludności jest katolicka. Żadne państwo prócz polskiego nie byłoby zdolne dać tym prowincjom sprawnego zarządu i zapewnić im postępu.

Jeżeli przy kreśleniu granicy wschodniej Polski te warunki będą spełnione, państwo polskie obejmie na północnym wschodzie cały obszar językowy litewski i kraj na południe od niego aż do wschodniego krańca Galicji, tj. obecne gubernie: kowieńską, wileńską, grodzieńską, większą część mińskiej i Wołynia. Ten sprawiedliwy podział obszaru spornego najlepiej odpowiedziałby potrzebom mieszkańców i byłby najlepszym zabezpieczeniem przyjaznych stosunków pomiędzy Polską a Rosją w przyszłości.

O wiele trudniejsza, a zarazem o wiele ważniejsza jest kwestia granicy między Polską a Niemcami. Granica ta była przedmiotem wiekowych walk i korzenie zagadnienia tkwią w odległej przeszłości średniowiecznej.

Rasa niemiecka, należy to przypomnieć, w ciągu swych dziejów podwoiła swe siły drogą podboju nowych obszarów na wschodzie i pochłonięcia ludów nieniemieckich, głównie słowiańskich. Prusy, najpotężniejsza część składowa dzisiejszych Niemiec, zostały zbudowane na ziemi nieniemieckiej.

Średniowieczne cesarstwo niemieckie patrzyło na ziemie wschodnioeuropejskie jako na pole swej nieograniczonej ekspansji, prowadzonej drogą nawracania i podboju. W tym celu zakładano marchie wschodnie i osadzano zakony między ludnością pogańską. Podbój niemiecki został jednakże zatrzymany przez postęp polityczny ras wschodnioeuropejskich i przez powstanie nowych państw chrześcijańskich, wśród których najpotężniejszym była Polska.

Założone nad Wartą, dopływem Odry, i posiadające swój ośrodek w Poznaniu państwo polskie szybko rosło, rozszerzając się ku swoim granicom naturalnym, Góróm Karpackim i Morzu Bałtyckiemu i obejmując całe dorzecze Wisły. Już w X stuleciu niemieccy margrafowie Miśni i Marchii Północnej (później Brandenburgii) zetknęli się z potęgą polską i zostali nie tylko zatrzymani w swych postępkach podbojowych, ale odepchnięci ku zachodowi. Pokojem budziszyńskim (1018, pomiędzy cesarzem a królem polskim, Bolesławem Chrobrym) granica polska na zachodzie została ustanowiona na Elbie i na Sali. Królowie polscy tego okresu walczyli również przeciw wojowniczym szczepom na pobrzeżu bałtyckim. Na zachód od Wisły Polska wcieliła ziemie Pomorzan, szczepu bliskiego Polakom; na wschód od Wisły prowadziła dalej walkę z pogańskimi Prusami, szczepem litewskim, do których kraju na próżno posyłała misjonarzy.

Dokończenie wielkiego zadania Polski, zdobycia granicy naturalnej, brzegu bałtyckiego, zostało jednak zatrzymane w XII stuleciu przez podział Polski na drobne księstwa zgodnie ze zwyczajem średniowiecznym. W ciągu okresu tych podziałów, który trwał przez dwa stulecia, potęga Polski była w rozkładzie i niemczyzna posuwała się naprzód. Polska straciła swoją starą ziemię, Śląsk, na rzecz Czech. W następstwie

został on wcielony razem z Czechami do Cesarstwa Niemieckiego i znaczna jego część uległa zniemczeniu; tylko ludność południowo-wschodniej części Śląska pozostała polska. Na pobrzeżu bałtyckim, pomiędzy ujściami Wisły i Niemna, osiadł zakon teutoński, który stopniowo wytepił szereg Prusów i zbudował twierdzę niemczyzny daleko na północnym wschodzie. Kiedy Polska w XIV stuleciu zjednoczyła się i skonsolidowała, znalazła się odcięta od Bałtyku, a jej główne zadanie przybrało postać walki przeciw Krzyżakom. W tej walce osiągnęła ona zwycięstwo już w połowie XIV stulecia, ale dopiero po połączeniu się z Litwą udało jej się zmiażdżyć potęgę zakonu. W bitwie pod Grunwaldem (1410) zjednoczone siły Polski i Litwy zniszczyły potężną armię zakonu teutońskiego; później drugi traktat toruński w roku 1466 wcielił na powrót do Polski połowę posiadłości krzyżackich z ujściem Wisły i Gdańskiem.

Pochód niemczyzny został tym sposobem odepchnięty i jej postępy na wschodzie zatrzymane na trzy stulecia. Ale w ciągu tych trzech stuleci (1466–1772) nie przestawała istnieć, chociaż oddzielona od właściwych Niemiec, niemiecka twierdza na pobrzeżu bałtyckim ze swym centrum w Królewcu⁷⁶.

W XVI stuleciu zakon się sekularyzował, a jego terytorium stało się Księstwem Pruskim, wasalem Polski. Były próby, posiadające wielu zwolenników w samym Księstwie, zmierzające do wcielenia go do Polski, ale Polska w XVII stuleciu weszła już w okres trudności wewnętrznych i jej słaby rząd nie był zdolny do urzeczywistnienia tego ważnego zadania.

Kiedy Hohenzollernowie drogą dziedziczenia połączyli pod swym berłem margrafstwo brandenburskie i Księstwo Pruskie, podnosząc w następstwie te dwa księstwa – podzielone obszarem polskim – do godności Królestwa Pruskiego, pozycja Polski na Bałtyku została silnie zagrożona. Celem Hohenzollernów było związanie oddzielonych od siebie części ich Królestwa, to zaś było możliwe tylko drogą aneksji polskiej prowincji bałtyckiej, Prus Królewskich – dzisiejszych Prus Zachodnich – co, wobec tego, że obejmowały one ujścia Wisły, odcięłoby Polskę od morza i byłoby równoznaczne ze zniszczeniem jej niezawisłości. Było oczywistą rzeczą, że jednoczesne istnienie potęgi Hohenzollernów i niezawisłej Polski jest niemożliwe. Albo Prusy miały pozostać drobną jednostką składową świata niemieckiego, a Polska państwem niepodległym, albo też Prusy miały stać się mocarstwem europejskim i panami Niemiec – czego nieuniknionym warunkiem było zniszczenie Polski. Historia w XVIII stuleciu rozstrzygnęła na korzyść Prus.

Fryderyk Wielki po zagarnięciu Śląska od Austrii zdołał przeprowadzić pierwszy rozbiór Polski, na skutek którego prowincja bałtycka Polski – Prusy Królewskie – została przyłączona do jego państwa, Odosobnione zaś miasto Gdańsk pozostało na krótki czas w

⁷⁶ Niemniej wpływ cywilizacji polskiej czynił tam poważne postępy. W XVII i XVIII stuleciu wiele domów szlachty wschodniopruskiej przyjęło język polski. Działanie tego wpływu zostało powstrzymane przez rozbiory Polski i junkrowie wschodniopruscy stali się najsilniejszymi podporami polityki przeciwpolskiej.

rękach polskich. Tym sposobem wielka kwestia ujścia Wisły otrzymała rozwiązanie pruskie i Prusy osiągnęły pozycję polityczną, wojskową i gospodarczą, która im umożliwiła dokończenie zniszczenia Polski, wznowienie niemieckiego pochodu na wschód i stanie się najpotężniejszą częścią składową świata niemieckiego.

Przez ostatni rozbiór Polski połowa dorzecza Wisły z Warszawą przypadła Prusom. Ustanowienie Księstwa Warszawskiego przez Napoleona i utworzenie w następstwie przez kongres wiedeński Królestwa Polskiego zredukowało panowanie Prus na obszarze polskim. Niemniej pozostały one w posiadaniu Prus Królewskich, Zachodnich i Poznańskiego, dwóch prowincji, które zagarnęły przez rozbiory Polski. Obok tego zachowywały panowanie nad ludnością języka polskiego na Górnym Śląsku i w południowej części Prus Wschodnich. Posiadały one najstarsze i najkulturalniejsze ziemie polskie, ziemie geograficznie najważniejsze, jako dające Polsce dostęp do morza; później zaś, gdy na Górnym Śląsku odkryto bogate pokłady węgla, znalazły się w posiadaniu na ziemiach polskich jednej z wielkich podstaw swego rozwoju przemysłowego.

Twierdza niemczyzny w Prusach Wschodnich, z Królewcem, była złączona z resztą politycznie, ale pozostała oddzielona od Niemiec ziemiami zamieszkanymi przez ludność polską z mowy, polską z myśli i uczuć. Przyszłość jej przeto nie była zabezpieczona. Zjawienia się ponownego niepodległego państwa polskiego zawsze należało się obawiać, a wtedy pierwszym celem dążeń Polski byłoby pobrzeże bałtyckie i ujście Wisły. Według formuły Bismarcka wyrażonej w jego *Myślach i wspomnieniach (Gedanken und Erinnerungen)* wielkim zadaniem polityki pruskiej było odsuwać w jak najdalszą przyszłość ponowne wystąpienie kwestii polskiej na widownię europejską, a jednocześnie użyć wszelkich możliwych środków ku zniemczeniu polskich prowincji Prus, ażeby tym sposobem zbudować nieprzerwany most między Prusami Wschodnimi a obszarem narodowym niemieckim. Gdyby polska ziemia nadbałtycka była raz całkowicie zniemczona i Prusy Wschodnie związane silnymi więzami z resztą Niemiec, Polska nigdy nie byłaby w możności stać się silnym państwem, niezależnym od Niemiec i zdolnym przeciwstawić się polityce niemieckiej.

Polacy wszakże w Poznańskim i Prusach Zachodnich zorganizowali tak upartą obronę swej narodowości, że pomimo niesłychanych prześladowań, najbardziej wymyślnych praw przeciwpolskich i olbrzymich sum wydawanych przez rząd pruski na politykę przeciwpolską, zachowali oni polski charakter kraju i nawet w znacznej mierze wzmocnili swą pozycję. Nadto zdołali oni obudzić świadomość narodową polską wśród ludności polskiej od dawna utraconej ziemi śląskiej i przeniknęli ze swą propagandą narodową do polskich z języka mieszkańców Prus Wschodnich, żyjących wśród jezior mazurskich. Tym sposobem polskie siły narodowe walczące przeciw niemczyźnie zostały zdwojone. Bezsilna wściekłość nacjonalistów niemieckich, którzy myśleli o podboju świata, a nie byli zdolni złamać oporu 4 milionów polskich poddanych państwa, popychała do nowych ustaw przeciwpolskich, które ukazywały się prawie corocznie w Sejmie pruskim i parlamencie niemieckim i do nowych kredytów na obronę Marchii Wschodniej (*Ostmark*).

Wybuch wojny obecnej zastał polskość we wschodnich prowincjach Prus w pełnej mocy, a Polaków w posiadaniu silnie uzasadnionych pretensji nie tylko do Poznańskiego, ale także do Górnego Śląska z jego bogatymi pokładami węgla i, co najważniejsza, do tej części pobraża bałtyckiego, która obejmuje ujście Wisły i port w Gdańsku.

Kwestia graniczna pomiędzy Polską a Niemcami nie może być rozstrzygnięta wyłącznie ani na zasadzie etnograficznej (językowej), ani na historycznej. Nie ma tu również wyraźnej granicy geograficznej, nie ma pasma górskiego ani granicy rzecznej. Trzeba brać w rachubę względy wszelkiego rodzaju.

Historyczne ziemie polskie, tj. te, które zostały zagarnięte przez Prusy przy rozbiorach Polski, są: Poznańskie, Prusy Zachodnie – z wyjątkiem niewielkiej ich części wschodniej, która należała do Prus Książęcych – i Warmia, zachodnia część Prus Wschodnich.

Etnograficznie najsilniejszą prowincją polską jest Górny Śląsk, gdzie

80 do 90% ludności mówi po polsku. Drugą pod względem siły prowincją jest Poznańskie, gdzie Polacy stanowią 62% ludności, który to odsetek po odcięciu paru powiatów zachodnich faktycznie zniemczonych wzrasta do cyfry pomiędzy 75 a 90%. Zatem następuje południowa i północno-zachodnia część Prus Zachodnich – ciągnąca się do Morza Bałtyckiego po lewym brzegu Wisły – gdzie Polacy stanowią 50 do 80%, wreszcie południowy pas Prus Wschodnich z ludnością polskiego języka stanowiącą 55 do 70%.

Trzeba to zauważyć, że cyfry powyższe są oparte na pruskiej statystyce urzędowej, która, aczkolwiek prowadzona dokładnie, nie oddaje istotnego stanu rzeczy. Pomędzy uboższą ludnością tych ziem liczni Polacy, zatrudnieni bądź przez rząd, bądź przez prywatnych Niemców, są zmuszeni przy spisie ludności do deklarowania narodowości niemieckiej pod grozą wypędzenia z miejsca. Nadto odsetek Niemców w tym kraju jest sztucznie podniesiony przez fakt, że wszystkie państwowe władze, szkoły, koleje, urzędy pocztowe i telegraficzne zatrudniają prawie wyłącznie Niemców, którzy są sprowadzani w tym celu z Niemiec w wielkiej liczbie. Nadto niemiecka Komisja Kolonizacyjna w ciągu ostatniego trzydziestolecia osadziła tu wielu kolonistów niemieckich, utrzymywanych przy pomocy środków rządowych. Pod rządami polskimi ci Niemcy, pozbawieni dotychczasowych przywilejów, wyjadą do Niemiec w wielkiej liczbie i tym sposobem odsetek ludności niemieckiej znacznie spadnie. Zgodnie z obliczeniami polskimi odsetek ludności polskiej w parę lat po zwróceniu tych ziem Polsce będzie sięgał 80–100%. Jeżeli, przeciwnie, ziemie te całkowicie lub w części zostaną przy Niemcach, wysiłki Prus w celu zapewnienia im niemieckiej przyszłości zmuszą je do prowadzenia dalej wyrafinowanej i nieludzkiej polityki, wyrażającej się w skrajnych środkach, stosowanych w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia, które kompromitowały Niemcy w oczach całego cywilizowanego świata.

Największa trudność z etnograficznego punktu widzenia leży w istnieniu odosobnionej grupy niemieckiej między ujściami Wisły a Niemna. Tu mamy znaczny

szmat ziemi zamieszkały przez ludność języka niemieckiego, w liczbie około 2 milionów, oddzielony od Niemiec przez obszar narodowy polski. Niemiecki charakter tego kraju został zachowany w znacznej mierze dzięki jego zastojowi ekonomicznemu. Położony na brzegu morza i oddzielony od swego *Hinterlandu*, dorzecza Wisły, granicą celną, kraj ten od rozbiorów Polski był ekonomicznie martwy i posiada bardzo słabe zaludnienie. Gęstość zaludnienia Prus Wschodach wynosi 144 mieszkańców na milę kwadratową⁷⁷, podczas gdy Polska ma ich 260 na milę kwadratową, to znaczy prawie dwa razy tyle. Zniesienie granicy celnej i ustaw powstrzymujących imigrację polską otworzyłoby ten kraj dla szybkiego rozwoju ekonomicznego, któremu by towarzyszył stały napływ osadników polskich. Trzeba to sobie uprzytomnić, że Polska posiada bardzo gęste zaludnienie (o 37% gęstsze niż Francja) i że obok tego jest ona jednym z krajów wykazujących największy przyrost ludności w Europie. Ludność ta – sztucznie zamknięta w ciasnych terytorialnych granicach przez ustawy antypolskie, które nie tylko istnieją w Polsce pod panowaniem niemieckim, ale istniały także do ostatnich czasów w tzw. Kraju Północno- i Południowo-Zachodnim państwa rosyjskiego – była zmuszona do emigrowania w nienormalnie wielkiej liczbie do innych krajów europejskich i za ocean. Po odbudowaniu Polski znaczna część nadmiaru ludności osiadłaby w tych właśnie ziemiach powołanych do nowego życia gospodarczego przez zmianę granicy.

Gdańsk w owych czasach, kiedy szedł przezeń cały handel Polski, był największym i najbogatszym miastem na Bałtyku. Po rozbiorach Polski handel jego został zniszczony i, pomimo wszelkich wysiłków rządu pruskiego dla zapobieżenia upadkowi miasta, ludność jego nie przekracza dziś 150 tysięcy. Wrócony Polsce, stanie się on znów głównym portem wielkiego i bogatego kraju, a jego ludność szybko będzie rosła drogą imigracji polskiej. Gdańsk dzisiejszy jest niemiecki, ale w warunkach normalnych – to jest w warunkach naturalnego rozwoju ekonomicznego – nieuniknienie stanie się miastem polskim.

Względy ekonomiczne nie pozwalają wyobrazić sobie niepodległego państwa polskiego bez dostępu do morza, to znaczy bez ujścia Wisły i Gdańska. Pozbawione komunikacji ze światem zewnętrznym byłoby ono całkowicie uzależnione od Niemiec. Gdyby nadto pobrzeże bałtyckie pomiędzy ujściami Wisły i Niemna pozostało w rękach niemieckich, odcięte od swego polskiego *Hinterlandu*, pozostałoby ono krajem ekonomicznie martwym i droga postępu byłaby przed nim zamknięta.

Zwróćmy się teraz do względów strategicznych. Jeżeli Niemcy zachowają w swym posiadaniu brzeg bałtycki z Gdańskiem i Królewcem, przyszła Polska będzie otoczona posiadłościami niemieckimi od północy i od zachodu, otwarta dla napadu od jezior mazurskich i od Śląska. Wobec takiego niebezpieczeństwa Polska nie będzie miała siły do przeciwstawienia się polityce niemieckiej, będzie widziała jedyną drogę utrzymania swego bytu w dojściu do porozumienia z Niemcami i staniu się wasalem niemieckim. Jakakolwiek będzie międzynarodowa organizacja Europy po obecnej wojnie, możliwość starcia między sąsiednimi narodami nie może być całkowicie usunięta. Z tego względu

⁷⁷ Angielską.

granice państwowe muszą być zastosowane do jak najkorzystniejszych warunków skutecznej obrony.

Z powyższego względu jedyną możliwą granicą między Polską a Niemcami jest linia przeciągnięta od zachodniego krańca Gór Karpackich do Bałtyku, mniej więcej prosta, tylko wyginająca się na zachód pośrodku. Taka linia będzie mniej więcej odpowiadała zachodniej granicy etnograficznej Polski i pozostawi ją w posiadaniu całego obszaru językowego, który ciągnie się bez przerwy od Karpat do Bałtyku. To by dało Polsce: Górny Śląsk (z wyjątkiem niewielkiego niemieczonego obszaru na południowym zachodzie); niewielką część wschodnią Średniego Śląska; Poznańskie (z wyjątkiem pewnego niemieczonego obszaru na zachodzie, który mógłby pozostać w posiadaniu Niemiec); Prusy Zachodnie (z wyjątkiem paru niemieczonych powiatów południowo-zachodnich); wreszcie powiaty lęborski i bytowski na Pomorzu, utracone przez Polskę w XVII stuleciu. Taka granica byłaby nie tylko najracjonalniejsza z punktu widzenia geograficznego, ekonomicznego i strategicznego, ale także byłaby istotną granicą rasową między dwoma narodami. Na zachód od niej leżałby kraj niemiecki z drobnymi w pewnych okręgach mniejszościami polskimi; na wschód – kraj polski z niewielkimi mniejszościami niemieckimi.

Jedynie istotnie trudne zagadnienie przedstawia odosobniona grupa niemiecka nad Bałtykiem pomiędzy ujściami Wisły i Niemna. Ta wyspa niemiecka – otoczona od północy przez Morze Bałtyckie, od zachodu i południa przez obszar narodowy polski, od wschodu zaś przez obszar litewski – byłaby w razie pozostania w rękach niemieckich stałą groźbą dla pokoju. Nieuniknioną jej rolą byłaby rola niemieckiej placówki wysuniętej przeciw Polsce i bazy działań niemieckich, skierowanych ku jej zniszczeniu.

Trzeba przypomnieć, że cała przeciwpolska polityka rządu niemieckiego wynikła z konieczności zapewnienia tej prowincji przyszłości niemieckiej. Książę Bülow w swojej książce o polityce niemieckiej mówi całkiem otwarcie, że jednym z głównych zadań państwa niemieckiego jest związanie Prus Wschodnich z resztą Niemiec nieprzerwanym obszarem niemieckim, zadanie, w którym tkwi konieczność zniszczenia narodowości polskiej w Poznańskim i Prusach Zachodnich. Nie dodaje on, ale jego rodacy doskonale to rozumieją, że ta konieczność prowadzi do dalszych konieczności; że jeżeli Niemcy zdołają złamać siłę polską w Poznańskim i Prusach Zachodnich, nowe zadanie wyrośnie, mianowicie prowadzenia dalej niszczenia narodowości polskiej w dorzeczu Wisły, zrobienia Wisły rzeką niemiecką i dokończenia w ten sposób dzieła unicestwienia Polski. Tylko na tej drodze mogą Niemcy osiągnąć granicę wschodnią zgodną ze swymi ambicjami, przedstawiającą mniej więcej linię prostą, idącą od południowo-wschodniego krańca Śląska do dolnego biegu Niemna.

Gdy idzie o kwestie granicy, żaden kompromis nie jest możliwy pomiędzy dwoma narodami, Niemcami a Polską. To zagadnienie musi otrzymać albo rozstrzygnięcie polskie – tj. linię graniczną przeprowadzoną na zachód od Górnego Śląska, Poznańskiego i Prus Zachodnich, co by oznaczało osiągnięcie przez Polskę istotnej niepodległości politycznej i gospodarczej i koniec niemieckich podbojów na Wschodzie; albo rozstrzygnięcie

niemieckie – tj. zagrozenie Polsce przez Niemcy dostępu do morza, otoczenie Polski posiadłościami niemieckimi z zachodu i z północy, ostateczne ujarzmienie Polski strategicznie pozostającej na łasce Niemiec, politycznie od nich uzależnionej i tą drogą skazanej na stopniową zagładę. To by oznaczało wznowienie ekspansji niemieckiej ku wschodowi, prowadzące do niepowstrzymanego wzrostu potęgi niemieckiej i niemieckiego niebezpieczeństwa dla całego świata.

Tę alternatywę można wyrazić w innych słowach: albo przyszłość niemiecka mówiącej po niemiecku dwumilionowej⁷⁸ ludności pomiędzy ujściami Wisły i Niemna będzie zabezpieczona kosztem pociągającym za sobą zniszczenie całego narodu polskiego (dwadzieścia pięć do trzydziestu milionów); albo ten naród odzyska swe niezawisłe stanowisko w Europie w warunkach zapewniających mu swobodny rozwój, przez co wspomniany wyżej, zniemczony szmat ziemi będzie oddzielony od Niemiec, wprowadzony na drogę szybkiego rozwoju ekonomicznego i jednocześnie otwarty dla polskich wpływów i polskiej imigracji. Nietrudno jest osądzić, które z tych dwóch rozwiązań jest bardziej ludzkie, bardziej w zgodzie ze sprawiedliwością.

Północna część Prus Wschodnich, ta niemiecka placówka założona przez zakon krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec być związana w przyszłości z państwem polskim. Może ona być albo autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą republiką związaną z Polską unią celną, co jedynie może zapewnić jej pomyślność ekonomiczną.

Powyższe rozstrzygnięcie wielkiej kwestii granicznej pomiędzy Niemcami a Polską zadałoby cios śmiertelny ambicjom niemieckim i planom podboju na przyszłość. Przede wszystkim zniszczyłoby ono wszelką nadzieję podboju dorzecza Wisły, a co za tym idzie, prowadzenia dalej bezpośredniej ekspansji niemieckiej na Wschodzie. Po wtóre, stworzyłoby ono na wschodniej granicy Niemiec potężne państwo, które bez wątpienia weszłoby w przymierze z Europą Zachodnią, dla przeciwstawienia się polityce niemieckiej; przy tym państwo tworzące przegrodę między Niemcami a Rosją i tym samym przeszkadzające Niemcom ciągnąć korzyści z przewlekłego kryzysu wewnętrznego w dawnym państwie carów. Po trzecie, zmniejszyłoby to o połowę posiadłości niemieckie wzdłuż Bałtyku, ustanawiając na tym morzu nowe mocarstwo, przeciwnika Niemiec. Nacisk niemiecki na państwa północne, w szczególności na Szwecję, zamiast rosnać, byłby poważnie osłabiony: kraje skandynawskie odzyskałyby swą niezawisłość i z pewnością zbliżyłyby się do Polski dla obrony wolności wód bałtyckich. To by zniszczyło niemieckie plany ujarzmienia Rosji.

Musimy to zrozumieć, że Niemcy nigdy by się nie zgodziły dobrowolnie na odbudowanie Polski posiadającej na zachodzie granicę taką, jakąśmy nakreślili. W wiekowej walce pomiędzy Polską a jej sąsiadem pruskim jakiegokolwiek rozstrzygnięcie nie

⁷⁸ Znaczna część tej ludności jest niemiecka tylko z języka; spora jej część pamięta, że jest pochodzenia polskiego lub litewskiego i często jest nawet nieprzyjazna wobec Niemców.

na korzyść Niemiec może być osiągnięte jedynie przez stanowcze zwycięstwo, pozwalające dyktować warunki.

Musimy to sobie uprzytomnić, że wszelkie inne rozstrzygnięcie kwestii polskiej byłoby rozstrzygnięciem niemieckim, oznaczałoby zwycięstwo polityczne Niemiec, zostawiłoby Niemcy w pozycji pozwalającej im dalej ciągnąć politykę podboju drogą stopniowego niszczenia Polski oraz ujarzmania środkowej i wschodniej Europy – co, prędzej czy później, sprowadziłoby niemieckie rozstrzygnięcie kwestii Bliskiego Wschodu.

Pozostaje pytanie – czy Polska może być istotnie silnym państwem, czy może ona być odbudowana na obszarze dość rozległym, z ludnością dość liczną, ażeby zdolna była się przeciwstawić tak potężnemu, jak Niemcy, sąsiadowi? Czy jej warunki wewnętrzne pozwolą jej stworzyć silny rząd, ustanowić trwały ład i w ogóle położyć podwaliny narodowego postępu?

Polska właściwa – tj. kraj, gdzie masa ludności mówi po polsku – przedstawia powierzchnię około 85 000 mil kwadratowych⁷⁹, z ludnością 23 milionów; innymi słowy powierzchnia prawie równa Wielkiej Brytanii (Anglia, Walia i Szkocja razem) z ludnością wynoszącą około połowy ludności Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ścisłe wszakże zastosowanie zasady etnograficznej przy odbudowaniu państwa polskiego nie będzie możliwe. Polska w przeszłości sięgała do Dniepru i poza Dźwinę, na całym tym obszarze cywilizacja polska ma dotychczas przewagę, a polska mniejszość, duża czy mała, przedstawia tam bogactwo, kulturę i postęp. Nie byłoby ani pożądane, ani możliwe wcielić z powrotem do Polski całego tego obszaru. Ale znaczna jego część zachodnia, gdzie mniejszość polska jest bardzo silna (w niektórych powiatach ziemi wileńskiej Polacy są faktycznie w większości), winna być do niego włączona, chociażby tylko z tej racji, że jedynie państwo polskie będzie zdolne dać tym ziemiom sprawny zarząd i wprowadzić je na drogę postępu. Szczepy niepolskie zaludniające te ziemie, wszedłszy w skład państwa polskiego, będą korzystały ze swobody rozwoju na swych rodzimych podstawach. W szczególności przyszłość szczepu litewskiego może być zabezpieczona jedynie przez włączenie całego obszaru etnograficznego litewskiego (gubernia kowieńska oraz części wileńskiej, suwalskiej i Prus Wschodnich) do państwa polskiego – szczep litewski jest zbyt słaby (około dwóch i pół miliona), żeby mógł utworzyć własne państwo, a nie można oczekiwać, ażeby lud litewski, będąc z wyznania rzymsko-katolicki i rozwinięty pod wpływem cywilizacji zachodniej, znalazł w państwie rosyjskim przy jakiegokolwiek konstytucji zaspokojenie swych uprawnionych potrzeb. Istnieje wśród Litwinów stronnictwo sprzeciwiające się połączeniu z Polską: zwolennicy jego obawiają się polskiego wpływu, który jest w kraju silny, i kieruje nimi antagonizm klasowy względem wielkich właścicieli ziemskich, którymi na Litwie są Polacy. Jest jednak pewne,

⁷⁹ Angielskich.

że gdyby kwestię rozstrzygał plebiscyt, znaczna większość ludności głosowałaby za Polską.

Wobec niewiarygodności statystyki rosyjskiej jest niemożliwe w chwili obecnej ściśle wykreślenie granicy polskiej na wschodzie. W przybliżeniu państwo polskie winno obejmować na północnym wschodzie obszar etnograficzny litewski, a na południowym wschodzie błota poleskie, tworzące granicę geograficzną. Tak zakreślona Polska posiadałaby powierzchnię około 200 000 mil kwadratowych⁸⁰ – prawie równą powierzchni Francji lub Niemiec; z ludnością około 38 milionów – prawie równą ludności Francji. Zważywszy, że rasa polska należy do najszybciej rozradzających się i że niepodległa Polska, posiadająca śląskie pokłady węgla oraz ujście do morza, znalazłaby się w bardzo przyjaznych warunkach ekonomicznego rozwoju, można śmiało przyjąć, że ludność jej wzrastałaby szybciej niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim.

Wobec tego Polska, ze względu na swój obszar i ludność należałaby do największych państw na kontynencie europejskim. Państwo tego rodzaju, istniejące na wschodniej granicy Niemiec i sprzymierzone z mocarstwami zachodnimi, byłoby potężnym czynnikiem równowagi europejskiej i tamą przeciw postępowi podboju niemieckiego we wschodniej Europie. Krajem, który przy swoim skomplikowanym położeniu najwięcej by zyskał na istnieniu silnego państwa polskiego, byłaby Rosja: istnienie Polski zabezpieczałoby jej niezawisłość od Niemiec.

Nie ma możliwości w chwili obecnej dać ścisłych cyfr, dotyczących narodu polskiego. Urzędowe dane statystyczne, ogłaszane przez państwa, które panowały nad Polską, a w szczególności dane rosyjskie, nie są nawet w przybliżeniu prawdziwe. Gdy chodzi o wschodnie ziemie Polski, cyfry urzędowej statystyki narodowości są czystym wymysłem urzędników. Niemniej można uważać za pewne, że na obszarze państwa polskiego, tak jak ogólnie został on zakreślony, ludność polska mową, kulturą, myślami i uczuciami przedstawiałaby nie mniej jak 70% ogólnej liczby mieszkańców. Pozostałe 30% składałoby się z pięciu różnych żywiołów:

1. Względnie niewielka ludność języka niemieckiego, składająca się w znacznej części ze zniemczonych Polaków, którzy nie zapomnieli swego pochodzenia polskiego i nie są przywiązani do sprawy niemieckiej.

2. Około 2 1/2 miliona Litwinów, związanych z Polakami religią i cywilizacją, którzy by znaleźli w państwie polskim najprzyjaźniejsze warunki narodowego postępu.

3. Lud włościański białoruski (w częściach guberni grodzieńskiej, wileńskiej i mińskiej), który znajduje się na bardzo niskim poziomie oświaty i nie wykazuje określonych dążeń narodowych.

4. Małorusini czyli Rusini, wśród których we Wschodniej Galicji rozwinął się ruch narodowy, a których obszar etnograficzny współzamieszkuje z nimi znaczna mniejszość

⁸⁰ Angielskich.

polska (około 25%); stosunki między Rusinami a Polakami zostały powikłane przez interwencję Wiednia, a w ostatnich czasach i Berlina. Z ustaniem wszakże tej interwencji łatwo będzie znaleźć słuszny kompromis.

5. Żydzi, którzy w masie mówią żargonem (jidysz) i nie należą do narodu polskiego.

Nie można zaprzeczyć, że tak wielka liczba (około 2 1/2 miliona) Żydów na obszarze przyszłego państwa polskiego jest faktem bardzo niekorzystnym. Ludność żydowska stale wzrastała w Polsce od XVII wieku, skutkiem słabości polskiej klasy średniej. W XIX stuleciu rozwój przemysłowy i handlowy wszystkich trzech części wytworzył przedsiębiorczą polską klasę średnią, rosnącą szybko w liczbę i zamożność. Ten rozwój wywołał emigrację Żydów z kraju, która przybrała wielkie rozmiary w ziemiach polskich należących do Niemiec. Żydzi z tych ziem wyemigrowali w większej części do Niemiec (obecnie przedstawiają oni mniej niż 1% ludności dzielnicy polskiej w państwie niemieckim). Pod koniec ubiegłego stulecia odsetek Żydów zaczął się zmniejszać także i w Galicji skutkiem emigracji do Austrii i na Węgry. W Polsce wszakże pod panowaniem rosyjskim ludność żydowska nie przestawała wzrastać do ostatnich czasów skutkiem tego, że Żydzi, wypędzani z Rosji, gromadzeni byli sztucznie w Polsce. Tu ogromna większość Żydów nie zalicza siebie do narodowości polskiej: pozostaje ona pod kierownictwem żydowskich organizacji nacjonalistycznych, które przeciwdziałają wpływowi kultury i pojęć polskich na Żydów. Toteż tu rozwinął się silny antagonizm pomiędzy Żydami a Polakami, w szczególności szybko rosnącą polską klasą średnią; antagonizm, który ostatecznie doprowadził do handlowego bojkotu Żydów przez Polaków. W ostatnich jednak latach Żydzi w Polsce pod panowaniem rosyjskim okazują silną dążność do emigracji, która według wszelkiego prawdopodobieństwa rozwinie się w przyszłości na szeroką skalę. Na tej drodze trudna kwestia żydowska w Polsce będzie stopniowo swą ostrość.

Społeczność polska posiada wewnątrz rozmaite słabe punkty. Nie można oczekiwać, ażeby naród, który zamordowano politycznie przed przeszło stuleciem, który podlegał w ciągu długiego okresu obcym rządóm, przeciw któremu trzy potężne mocarstwa używały wszelkich możliwych środków w zdecydowanym usiłowaniu osłabienia go politycznie, zdeorganizowania go i obniżenia jego cywilizacji, ażeby ten naród dźwignął się nagle w całej pełni swej mocy w posiadaniu wszystkich sił potrzebnych do sprostania czekającym nań wielkim zadanióm. Niemniej przeto, naród polski w ostatnim, najgorszym okresie swego istnienia wykazał tyle żywotności, tak wielką siłę moralną i taką zdolność organizacyjną, że zdołał stawić czoło wszystkim swoim wrogóm i oprzeć się nawet potędze niemieckiej, powstrzymać postępy niemieckie na ziemi polskiej.

Jedną z najslabszych stron większej części Polski jest analfabetyzm mas ludowych. Podczas gdy Polska pod panowaniem niemieckim przedstawia stosunkowo wysoki poziom kultury i oświaty, zarówno w miastach, jak wśród ludności wiejskiej, pod panowaniem rosyjskim postęp oświaty został zatamowany od roku 1831, gdy zniesiono rząd polski w kraju. To samo się działo pod panowaniem austriackim aż do roku 1867,

kiedy po wprowadzeniu samorządu polskiego 2/3 dochodów krajowych przeznaczone zostały na oświatę ludu.

Psychologia polityczna Polaków uległa po upadku Polski poważnym zmianom. Znikły dawne przesadne pojęcia o wolności indywidualnej dzięki twardym doświadczeniom politycznym z jednej strony, z drugiej zaś dzięki faktowi ukazania się na widowni nowych warstw narodu – żywiołów demokratycznych, które w dawnej Polsce nie miały udziału w przywilejach szlacheckich. Polska, jak i inne kraje, ma swoje walki partyjne, ale obejmują one bardzo nieznaczną mniejszość narodu wobec nader słabego rozwoju ducha partyjności, zwłaszcza pod panowaniem niemieckim i rosyjskim. Na skutek ciężkiego położenia politycznego i prześladowania przez obce rządy Polska pozostaje pod panowaniem ducha narodowego i trzymana jest w spójni przez silną narodową solidarność.

VI. PRZEBUDOWA EUROPY

Ewolucja polityczna narodów, która się odbyła po kongresie wiedeńskim, sprowadziła gruntowne zmiany w Europie Środkowej i Wschodniej. Oto jej główne wyniki.

1. Scalenie szczepu niemieckiego – liczebnie najsilniejszego na kontynencie europejskim – w jeden zwarty naród. Niemcy skutkiem tego stały się największą potęgą lądową w Europie. Były nią przez ostatnie lat pięćdziesiąt i pozostaną nią bez względu na to, jaką klęskę poniosą w obecnej wojnie.

2. Rozkład potęgi rosyjskiej i już dające się widzieć rozczłonkowanie imperium rosyjskiego, zbudowanego z żywiołów różnorodnych pod względem rasy, języka, wiary i kultury. Tym sposobem Rosja, zamiast występować jako potężny przeciwnik Niemiec na Wschodzie, znajduje się w niebezpieczeństwie stopniowego wciągnięcia w orbitę wpływów niemieckich.

3. Podminowanie monarchii habsburskiej. Główne żywioły monarchii, Niemcy i Madziarzy, wobec niebezpieczeństwa wywołanego dążeniami narodowymi innych szczepów – i stanowiących większość ludności – widzą jedyne trwałe zabezpieczenie swej supremacji w ścisłym związku z Cesarstwem Niemieckim. Austro-Węgry podporządkowały się Niemcom, a ich istnienie jest utrzymywane sztucznie – wbrew woli większości mieszkańców – jako użytecznego narzędzia niemieckiej polityki podboju.

Tym sposobem ewolucja wewnętrzna Niemiec i ich dwu sąsiadów, Austro-Węgier i Rosji, wytworzyła warunki całkowitego opanowania przez Niemcy Europy Środkowej i Wschodniej. Na to, żeby to opanowanie stało się zupełne, nie potrzeba żadnej zmiany granic. Przeciwnie, zachowanie, o ile to możliwe, *status quo ante bellum* leży ściśle w interesie Niemiec.

Opanowawszy raz środkową i wschodnią Europę, Niemcy z całą pewnością uczynią wszelką równowagę między mocarstwami niemożliwą; pozbawią one roli

niepodległej wszystkie narody kontynentu, dadzą swoje rozstrzygnięcie kwestii Bliskiego Wschodu – otwierając sobie tym sposobem drogę do Egiptu i do Indii – wreszcie zagrożą innym częściom świata konsekwencjami swej nieznanącej współzawodnictwa potęgi.

Niebezpieczeństwo to, największe, jakie groziło kiedykolwiek nowoczesnemu światu, może być usunięte jedynie przez zamknięcie Niemiec we właściwych granicach obszaru narodowego niemieckiego, przez wyzwolenie innych ludów spod panowania niemieckiego, oraz zapewnienie tym ludom organizacji politycznej, która pozwoliłaby im przeciwstawić się naciskowi niemieckiemu. Tylko tą drogą równowaga europejska może być przywrócona. To oznacza stworzenie nowych jednostek politycznych na niemieckim obszarze Europy Środkowej, który dotychczas znajdował się nie tylko pod niemieckim wpływem, ale nawet w znacznej mierze pod niemiecką władzą.

Jużeśmy mówili, że olbrzymie to zadanie jest jednym z największych, jakie kiedykolwiek stanęły przed europejskimi mężami stanu. Główne jego trudności są następujące:

1. Odbudowanie Polski w rozmiarach, które by uczyniły ją zdolną do przeciwstawienia się Niemcom – jeden z głównych warunków równowagi europejskiej – oznacza zniszczenie panowania niemieckiego na brzegu bałtyckim przy ujściach Wisły i Niemna – cel, który może być osiągnięty jedynie przez miążdzące zwycięstwo sprzymierzonych.

2. Podobne zwycięstwo jest niezbędne dla zburzenia monarchii habsburskiej, tego środka panowania niemieckiego nad tyłu ludami nieniemieckimi i niemieckiego mostu ku Bliskiemu Wschodowi.

3. Silne antagonizmy i nienawiści rasowe dzielą w wielu punktach mniejsze narodowości zajmujące obszar Środkowej Europy i Bałkanów; wobec tego trudno oczekiwać, ażeby wszystkie one połączyły swe siły dla przeciwstawienia się wpływowi niemieckiemu: mamy wśród nich np. Madziarów, w których interesie leży raczej przymierze z Niemcami przeciw wszystkim sąsiednim szczepom.

4. Ta część Europy, wobec panowania w niej pojęcia narodowości językowej, jest więcej rozdrobniona narodowo niż jakakolwiek inna część świata. Niektóre narodowości są tu liczebnie za słabe, ażeby mogły utworzyć niezależne państwo, a niektóre szczepy, szukające dziś drogi narodowego rozwoju, nie posiadają jeszcze niezbędnych kwalifikacji do sprawnego panowania na swym gruncie szczepowym.

Reorganizacja więc polityczna tego obszaru i wykreślenie nowych granic będzie połączone z nieskończonymi trudnościami. Nie można się tu upierać ani przy czysto językowej, ani przy czysto historycznej podstawie, i nie będzie możliwe postępowanie w doskonałej zgodzie z wymaganiami geograficznymi.

Trzeba jednakże znaleźć wyjścia i muszą one być o ile można w zgodzie z narodowymi aspiracjami ludów, o które chodzi, i z interesami Europy w ogóle.

Nigdy nie będzie za częste powtarzanie, że monarchia habsburska, w której większości podlegają mniejszościom, stała się anachronizmem. Przebudowa tej części Europy jest krzyczącą potrzebą, której zaspokojenia nie można odkładać. Wszelka próba uniknięcia tego zadania spowodowałaby w niedalekiej przyszłości nowy pożar europejski na gruncie kwestii austro-węgierskiej. Ci więc, którzy szukają trwałego pokoju po obecnej wojnie, muszą rozstrzygnąć tę kwestię dziś pomimo wszelkich trudności.

Przy rozstrzygnięciu zagadnienia środkowoeuropejskiego należałoby przyjąć pewne reguły ogólne:

1. Nowe granice państwa niemieckiego powinny mniej więcej ściśle odpowiadać niemieckiej granicy szczepowej, o ile chodzi o zakres nieprzerwanego obszaru narodowego; nie powinny one wszakże obejmować odosobnionych grup niemieckich, leżących na obszarze szczepowo nieniemieckim.

2. Ludy nieniemieckie winny być zorganizowane w państwa narodowe, o ile to możliwe jednorodne pod względem składu szczepowego.

3. Jednostki polityczne winny być jak największe, ażeby posiadały dostateczną siłę do zabezpieczenia swej niezawisłości. Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o państwa położone w bezpośrednim sąsiedztwie Niemiec, gdyż ich zadaniem będzie stworzenie silnej tamy przeciw niemieckiej ekspansji.

4. Narody trzymające stronę Niemców, które według rozumnych przewidywań i w przyszłości będą prowadziły politykę germanofilską, powinny być postawione w warunki, które im nie pozwolą odgrywać wydatnej roli.

5. Ludy liczebnie za słabe lub takie, których rozwój narodowy jest za mało posunięty naprzód, nie powinny być organizowane w oddzielne państwa, ale winny być włączone do innych państw, zdolnych zapewnić im postęp.

6. Wykreślanie nowych granic powinno brać w rachubę, o ile to możliwe, warunki geograficzne części Europy, o którą chodzi.

Zastosowanie pomienionych reguł dałoby w przybliżeniu następującą mapę Europy Środkowej:

Niemcy obejmowałyby: 1) obecne terytorium państwa niemieckiego, z wyjątkiem ziem polskich, duńskiej części północnego Szlezewiku i francuskiego terytorium Alzacji i Lotaryngii; 2) z obecnych prowincji austriackich Górnej i Dolnej Austrii, Salzburga, Tyrolu oraz północnej części Styrii i Karyntii. Zgodnie z danymi statystyki przedwojennej, cały ten obszar posiadałby około siedemdziesięciu milionów ludności. Wschodnia granica Niemiec powinna się zaczynać na brzegu bałtyckim w odległości około 70 mil⁸¹ na zachód od Gdańska, stąd iść w kierunku południowo-zachodnim na zachód od Poznania, a dalej w kierunku południowo-wschodnim na wschód od Wrocławia.

⁸¹ Angielskich.

Polska – wschodni sąsiad Niemiec – ustanowiona na obszarze zakreślonym w rozdziale poprzednim, stanowiłaby przegrodę między Niemcami a Rosją, przeszkadzałaby wtrącaniu się Niemiec w trudne sprawy wewnętrzne Rosji, zagradzałaby drogę niemieckim intrygom na Ukrainie i niemieckiej ekspansji ku Morzu Czarnemu; obok państw skandynawskich byłaby ona głównym czynnikiem równowagi na Bałtyku i ocaliłaby go od stania się jeziorem niemieckim; wreszcie byłaby ona oparciem dla Czech i innych, mniejszych państw, pomagając im przeciwstawiać się wpływom niemieckim.

Czechy składałyby się z obecnego Królestwa Czeskiego, z Moraw, z części Śląska austriackiego (Opawskie), a także z północnej części Węgier (Słowaczczyzna). Ludność tego obszaru, zgodnie z danymi statystyki przedwojennej, wynosiłaby dwanaście do trzynastu milionów, w czym znaczna większość czeska. Ta byłaby wzmocniona przez ludność słowacką obecnych Węgier północnych. Chociaż Słowacy właściwie stanowią oddzielną drobną narodowość i chociaż w przeszłości należeli do Królestwa Węgierskiego i nie mieli związku z Czechami, liczebnie są oni za słabi, ażeby mogli stanowić oddzielną jednostkę. Po wtóre, są oni za mało posunięci w rozwoju narodowym, ażeby bez pomocy mogli walczyć przeciw głęboko zakorzenionym wpływom madziarskim w ich kraju. Po trzecie, łączy ich z Czechami bliskie pokrewieństwo rasy i języka i pozostawali oni pod wpływem czeskim od początku swego odrodzenia narodowego; tym sposobem dobrze są przygotowani do złączenia się z narodem czeskim.

Słabym punktem państwa czeskiego będzie istnienie silnej ludności niemieckiej w pasie północnym Czech wzdłuż granicy niemieckiej. Ten pas niemiecki, jakkolwiek przylegający do obszaru narodowego niemieckiego, nie może być żadną miarą (z wyjątkiem paru powiatów) wcielony do Niemiec, gdyż to pozbawiłoby Czechy ich naturalnej granicy geograficznej, ciągnącej się wzdłuż pasma górskiego. Innym słabym punktem, jakkolwiek mniejszej wagi, będzie istnienie tradycyjnych wpływów madziarskich na Słowaczczyźnie. Jednakże Czesi należą do najenergiczniejszych i najlepiej zorganizowanych ludów w Europie, toteż nie ma wątpliwości, że gdy raz się staną panami swego kraju, będą zdolni zbudować silne państwo narodowe, odporne na wszelkie wpływy zewnętrzne. Trzeba dodać, że gdy chodzi o bogactwa naturalne, Czechy i Morawy należą do najbogatszych obszarów w Europie, przy czym zaliczyć je trzeba do najbardziej posuniętych w rozwoju przemysłu, rolnictwa i oświaty ludu. Przed stu laty Niemcy byli w Czechach żywiołem przodującym, ale w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia Czesi stali się gospodarzami kraju. Do najbliższej przyszłości należy dać im panowanie polityczne, do którego tytuł daje im pozycja, jaką sobie stworzyli w ekonomicznym i kulturalnym życiu swego kraju.

Niezawisłość Czech jest koniecznością, jakkolwiek – otoczeni z północy i zachodu przez Niemców, z południa zaś przez Madziarów – zajmują Czesi geograficznie niesłychanie zagrożoną pozycję. Wydać Czechów w ręce ich wrogów znaczyłoby nie tylko skrzywdzić dzielny i postępujący naród; oczyściłoby to z głównej przeszkody niemiecką drogę ku Bliskiemu Wschodowi. Niebezpieczeństwo związane z położeniem geograficznym Czech będzie znacznie osłabione przez odbudowanie państwa polskiego,

zwłaszcza jeżeli Polska odzyska swą granicę narodową od strony niemieckiej i przez posiadanie Śląska zbliży się do Czech, z którymi wtedy będzie miała długą linię wspólnej granicy – cenny warunek przeciwstawienia się niemieckiej polityce podboju.

Pomiędzy Polakami a Czechami nie ma poważnych antagonizmów. Od początku XIX stulecia zaznacza się między dwoma narodami wyraźne dążenie do przyjaźni, które można przypisać pokrewieństwu rasowemu, wspólnym źródłom cywilizacji – zarówno Polacy, jak Czesi są Słowianami kultury zachodniej – a nade wszystko niebezpieczeństwu niemieckiemu, które grozi obydwu narodom. Kraje te nadto mają wspólne interesy równie ekonomiczne, jak polityczne, a polski port w Gdańsku służyłby także Czechom jako wyjście na morze.

Na południe od Polski i Czech leżałyby następujące państwa:

Węgry, na obszarze narodowym madziarskim, przedstawiające ludność od ośmiu do dziesięciu milionów.

Rumunia, w granicach obecnych z dodaniem od Austrii południowej Bukowiny i rumuńskiego obszaru narodowego Węgier. Ta całość tworzyłaby kraj z ludnością około dwunastu milionów.

Bułgaria, która pomimo swej polityki obecnej w przyszłości niezawodnie będzie stanowiła silną przegrodę dla niemieckich ambicji na Bliskim Wschodzie. Powierzchnię i ludność Bułgarii trudno określać w obecnej chwili.

Grecja, zajmująca mniej więcej obecne terytorium.

Pozostaje jeszcze wielki obszar zamieszkały przez ludność mowy serbskiej, obejmujący królestwa Serbskie i Czarnogórskie, austriacko-węgierskie prowincje Bośni i Hercegowiny, Chorwację i Słowenię (obecnie złączone z Koroną węgierską), znaczna część węgierskiej prowincji Banatu, wreszcie adriatyckie prowincje Dalmacji i Istrii, gdzie ludność mowy serbskiej styka się z włoską. Kwestia tego obszaru stanowi przedmiot szerokiej dyskusji i istnieje propozycja rozwiązania jej przez utworzenie tzw. państwa jugosłowiańskiego, które by obejmowało wszystkie ziemie z ludnością języka serbskiego, a nadto ziemie słoweńskie (południowe części Styrii i Karyntii, Krainę, Gorycję, Gradiskę i brzeg adriatycki koło Triestu), wobec tego, że Słoweńcy są za słabi liczebnie, ażeby utworzyć własne państwo.

Konieczność tworzenia możliwie największych jednostek politycznych w Europie Środkowej i na Bałkanach czyni bardzo pożądanym połączenie w jedno państwo wszystkich ludów mowy serbskiej. Trzeba wszakże pamiętać, że dotychczas ludy te rozchodziły się w dążeniach narodowych. Główne podziały szczepu mówiącego po serbsku to Serbowie i Chorwaci. Serbowie należą do Kościoła wschodniego i zostali wychowani przez cywilizację bizantyjską, gdy Chorwaci, będący rzymskimi katolikami, zawsze należeli do świata zachodniego. Istniał też w przeszłości między dwoma odłamami jednego szczepu silny antagonizm, nawet nienawiść, a chociaż młodsze pokolenie okazuje silną dążność ku zjednoczeniu, opartemu na wspólności języka, trudno powiedzieć, żeby jedność była już osiągnięta. Dla wspólności życia umysłowego istnieją

przeszkody namacalne: Serbowie używają alfabetu rosyjskiego, a Chorwaci łacińskiego. Istnieją także głębokie różnice społeczne. Wyższe warstwy serbskie zostały w przeszłości pochłonięte przez Turcję, a nowoczesna narodowość serbska wyrosła z warstwy włościańskiej, która zdołała zachować odrębność szczepową, tak samo, jak Czesi, Słowacy, Słoweńcy i Bułgarzy. Natomiast w Chorwacji warstwy wyższe pozostały w łonie narodu pomimo faktu, że większość arystokracji chorwackiej związała swe losy z monarchią habsburską. Słoweńcy, których wcielenia do państwa serbskiego żądają Serbowie, byli chronologicznie pierwszymi Słowianami, którzy weszli w zetknięcie ze światem zachodnim. Należą oni do Zachodu i są rzymskimi katolikami; ich język, chociaż pokrewny serbskiemu, jest odrębny, zarówno jak ich nieobfite jeszcze piśmiennictwo, które zaczęło się rozwijać w XIX stuleciu. Tu również pomiędzy młodszą inteligencją istnieje prąd w kierunku zjednoczenia z Serbią i Chorwacją, ale nie stał się on jeszcze panującą wśród ludu słoweńskiego dążnością.

Są inne jeszcze różnice, o których nie można zapominać. Te na przykład, które istnieją między różnymi odłamami szczepu serbskiego, których losy były związane w ciągu stuleci bądź z Turcją, bądź z Austrią, bądź z Węgrami; te również, które oddalą od reszty znaczną grupę mahometan serbskich Bośni i Hercegowiny.

Pomimo tych wszystkich różnic ogólny ruch ku zjednoczeniu postępuje; nie jest on jednak jeszcze dostatecznie posunięty, ażeby zapewniał spójność państwa jugosłowiańskiego.

Serbowie w Serbii właściwej (ortodoksi) przewodzą tym różnym grupom dzięki swej liczebnej przewadze i dzięki świeżej tradycji niezawisłego królestwa. Pozostaje wszakże faktem, że są oni cywilizacyjnie niżsi od Chorwatów i Słoweńców, a nawet od Serbów austriackich; nadto wyjdą oni osłabieni z obecnej wojny. Jest więc rzeczą wątpliwą, czy zdołają oni osiągnąć przywództwo po zjednoczeniu różnych odłamów szczepu.

Wielką trudność na drodze do zaspokojenia serbskich żądań co do pewnych części obszaru szczepowego, mianowicie położonych nad Adriatykiem, stanowią równoległe żądania włoskie, opierające się na silnej pozycji zdobytej przez rasę włoską i przez włoską cywilizację na północnym i wschodnim pobrzeżu adriatyckim, zwłaszcza w Trieście i w Istrii. Tu trzeba szukać słusznego kompromisu, który by, odpowiadając narodowej sile Włochów w tych krajach i dając Włochom predominację na Adriatyku – co leży w interesie całej Europy – nie pozbawił jednocześnie ludów języka serbskiego dostępu do morza ani nie zahamował rozwoju ekonomicznego ich kraju. Jeżeli takiego kompromisu nie da się osiągnąć, antagonizm między Serbią a Włochami może być wyzyskiwany w przyszłości przez Niemcy z wielkim niebezpieczeństwem dla całej środkowej Europy.

Jeżeli przyszłość polityczna Słowian południowo-zachodnich (Serbów, Chorwatów i Słoweńców) będzie pomyślnie zbudowana na nowoczesnej podstawie narodowej, odpowiadając żywym faktom – trwałość nieniemieckiej środkowej Europy będzie mniej więcej zapewniona. Usunie to jedną z głównych przeszkód dla nowego międzynarodowego ustroju Europy, dla jej pokoju i ogólnego postępu.

Jeżeli Niemcy stracą Gdańsk i Triest, niemiecka Europa Środkowa, osiągnąwszy bezpośredni dostęp do morza nie tylko na Bałtyku, ale i na Morzu Śródziemnym, będzie zdolna wejść w bezpośrednie stosunki z narodami zachodnimi, z Anglią, Francją i Włochami, i ze wszystkimi innymi częściami świata – warunki niezbędne do osiągnięcia dostatecznej siły dla oparcia się niemieckiemu podbojowi ekonomicznemu i niemieckiemu politycznemu wpływowi. Przy bliskim obcowaniu umysłowym, gospodarczym i politycznym z krajami zachodnimi, nienemiecka Europa Środkowa będzie najskuteczniejszym zabezpieczeniem równowagi europejskiej i przyszłego pokoju.

IX.
NOTA KOMITETU NARODOWEGO POLSKIEGO W PARYŻU DO
MINISTRÓW SPRAW ZAGRANICZNYCH PAŃSTW
SPRZYMIERZONYCH PRZED KONFERENCJĄ
MIĘDZYSOJUSZNICZĄ ROKU 1917

(przekład z francuskiego)

Komitet Narodowy Polski

Paryż, 13 listopada 1917

Panie Ministrze,

Komitet Narodowy Polski poczytuje za swój obowiązek zakomunikować Waszej Ekscelencji swoje poglądy na pewne środki walki z państwami centralnymi, które, według jego zdania, mogą się przyczynić do większej skuteczności tej walki.

Pomimo pomyślnych operacji wojennych na froncie zachodnim i w Azji Mniejszej, sprawa sprzymierzonych jest raczej poważnie zagrożona w chwili obecnej skutkiem: 1) klęski włoskiej, 2) rozwoju wypadków w Rosji.

Te dwa niepowodzenia wykazują jasno doniosłość politycznej ofensywy Niemiec w ich walce przeciw sprzymierzonym. Powodzenie niemieckie na froncie włoskim było w znacznej mierze owocem propagandy pacyfistycznej agentów niemieckich we Włoszech; również niemieckie intrygi polityczne w Rosji zdeorganizowały jej armię i pchają ją teraz do pokoju. Można dodać, że ofensywa polityczna państw centralnych daje się odczuwać we wszystkich krajach sprzymierzonych, gdzie wśród pewnych żywiołów wywołuje silne dążności pacyfistyczne.

Słabość sprzymierzonych wobec państw centralnych polega przede wszystkim na fakcie, że sprzymierzeńcy ograniczają się do ofensywy wojskowej i ekonomicznej, pozostając w dziedzinie politycznej raczej w defensywie. Walczą oni ze swymi własnymi pacyfistami i wyrzekają się wszelkich dążności zaczepnych: dotychczas, z wyjątkiem Arabii, nie usiłowali oni nawet zaatakować słabych punktów nieprzyjaciela. Tymczasem, państwa centralne posiadają pewne strony polityczne, które można zaatakować z powodzeniem, w którym to kierunku nie zrobiono dotychczas żadnej poważnej próby.

Niemcy na swoim terytorium narodowym są silne i niełatwo je tam zaatakować z punktu widzenia politycznego. Prawda, mają one swe trudności wewnętrzne, ale te rozwijają się niezależnie i sprzymierzeńcy mało mają widoków wywarcia wpływu na ich przebieg.

Terenem politycznym, na którym sprzymierzeńcy mogą dokonać pomyślnego na nie ataku, są Austro-Węgry i Polska.

Stosunki pomiędzy Niemcami i Madziarami z jednej strony a pozostałymi narodowościami Austro-Węgier z drugiej doszły podczas wojny do większego niż kiedykolwiek napięcia. W pewnych częściach monarchii, jak na przykład w Czechach, istnieje stan fermentacji, który bardzo łatwo może przetrwać się w rewolucję. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w armii austro-węgierskiej, formowanej na zasadzie terytorialnej, pułki są w znacznej mierze rasowo jednorodne, który to stan rzeczy władze starają się nieco zmienić podczas wojny, łatwo sobie wyobrazić, że wybuchy rewolucyjne wśród różnych narodowości państwa znalazłyby nieunikniony odgłos w armii, co mogłoby prowadzić do jej rozstroju.

Głównym powodem powstrzymującym te ruchy jest przekonanie, że sprzymierzeni nie mają zamiaru burzyć monarchii habsburskiej i że ludy podlegające dziś Niemcom i Madziarom są skazane na pozostanie pod ich panowaniem po wojnie. W tych warunkach przywódcy polityczni uciśnionych narodowości uważają za niemożliwe wszczynanie zdecydowanej walki przeciw monarchii austriacko-węgierskiej.

Gdyby narodowości miały pewność, że zwycięzcy sprzymierzeńcy przyniosą im wolność, że Polacy, Włosi, Serbowie i Rumuni, obecnie poddani austriaccy i węgierscy, będą wcieleni do Polski, Włoch, Serbii i Rumunii, że Czesi otrzymają polityczną niepodległość – ruch przeciwniemiecki i przeciwwęgierski wśród tych ras przybrałby z pewnością takie rozmiary, że w ogromnym stopniu paraliżowałby działania Austro-Węgier w tej wojnie.

Drugim słabym punktem, w który sprzymierzeni mogą z powodzeniem uderzyć, jest kwestia polska. Wobec dezorganizacji Rosji przez rewolucję i poważnego tym sposobem ubezwładnienia potężnego przeciwnika Niemiec na wschodzie, ta kwestia nabrała pierwszorzędnej wagi. Po wojnie jedynym poważnym przeciwstawieniem dla Niemiec na wschodzie może być państwo polskie, jeżeli będzie postawione w warunki umożliwiające mu stawianie tamy ekspansji swego zachodniego sąsiada. Warunkami tymi są: 1) zniesienie panowania niemieckiego na obszarze dzielącym Polskę od Bałtyku przez wcielenie do Polski wszystkich tych ziem należących obecnie do Niemiec, włącznie z ujściami Wisły i Niemna; 2) zniesienie panowania niemieckiego nad narodowościami Europy Środkowej, co oznacza zburzenie państwa austriacko-węgierskiego.

Jeżeli oba te cele nie będą osiągnięte, Polska po wojnie stanie się faktycznie niemiecką *dependence* (protektoratem), a polityka przeciwniemiecka będzie dla Polaków niemożliwością.

Warunki pokoju sformułowane przez „Sowiet” pietrogradzki na najbliższą konferencję sprzymierzonych żądają między innymi ewakuacji przez Niemców całego terytorium należącego dawniej do Rosji, co oznacza również ewakuację Królestwa Polskiego. Utrzymując tym sposobem faktycznie rozbiór Polski, „Sowiet” ofiarowuje Polsce rosyjskie prawo „samookreślenia”. Trudno sobie wyobrazić bardziej odstrasżającą groźbę dla Polaków, jak otwarcie większej części Polski dla eksperymentów „Sowietu”.

Państwa centralne nie omieszkają na pewno wyzyskać tego do szantażowania Polaków, przedstawiając im alternatywę: albo wrócić do Rosji, albo zgodzić się na rozstrzygnięcie kwestii polskiej proponowane przez rządy niemiecki i austriacki.

Ostatnie rozstrzygnięcie, jak można wnosić z wiadomości o świeżych rozmowach między Berlinem a Wiedniem, przybrałoby postać oddania Królestwa Polskiego pod berło cesarza Austrii.

Gdyby tak się stało, gdyby cesarz austriacki został podczas wojny królem polskim, uznałby on za swoje prawo powołać armię polską i zrobić z niej użytek w wojnie. W każdym razie, gdyby to rozstrzygnięcie było ostateczne, państwa centralne miałyby pewność, że w następnej wojnie cała Polska będzie zmuszona do walki po ich stronie. Tego rodzaju perspektywa jest dla Polaków bardzo smutna. Okoliczności wszakże składają się tak, że pozbawiają ich nadziei na jakąkolwiek inną określoną przyszłość.

Tą drogą Niemcy, dzięki swej inicjatywie i nieustannej ruchliwości, organizują przeciw sprzymierzeńcom niebezpieczną ofensywę polityczną na gruncie kwestii polskiej.

To położenie łatwo byłoby zmienić, gdyby sprzymierzeńcy zdecydowali się zaatakować nieprzyjaciela na tym samym gruncie, zobowiązując się odbudować państwo polskie na całym obszarze narodowym Polski, z włączeniem ziem należących do Niemiec i Austrii, z ujściem Wisły i Gdańskiem; państwo, którego obszar i ludność byłyby dość znaczne, ażeby umożliwić mu w przyszłości przeciwstawianie się Niemcom z powodzeniem.

Polacy wtedy mieliby pewność, że w razie zwycięstwa sprzymierzonych staną się niezawisłymi od Niemiec, i w tej pewności znaleźliby siłę do przeciwstawienia się intrygom niemieckim, a nawet zdobyliby się na największe poświęcenia.

Komitet Narodowy Polski, pozostając w stałym kontakcie z organizacjami politycznymi w Polsce i współdziałając z nimi w ich walce przeciw intrygom państw centralnych, ostatnio otrzymał doniesienie jasno wskazujące, że cały kraj oczekuje aktu, którym by sprzymierzeni zmanifestowali swe niezachwiane postanowienie zapewnienia zjednoczonej Polsce całkowitej niepodległości.

Powodzenie niemieckiej ofensywy politycznej w krajach sprzymierzonych jest wymownie unaocznione przez fakt, że państwa centralne zarówno w kwestii austriacko-węgierskiej, jak i w polskiej, znalazły tu wielu popleczników, którzy używają nieustannie swych wysiłków na to, ażeby zapobiec atakowi sprzymierzonych w tych dwóch punktach. Jedni usiłują dowodzić, że w interesie sprzymierzonych leży ocalenie Austro-Węgier, inni wykazują, że nie można marzyć o obaleniu panowania niemieckiego w Gdańsku, gdyż Niemcy nigdy by się nie pogodziły z taką stratą. Podobne teorie konsekwentnie prowadzą do pozostawienia Polski całkowicie w sferze niemieckiego wpływu. Jest rzeczą jasną, że w takim razie Rosja stałaby się faktycznie niemieckim *Hinterlandem*.

Ze wspomnianymi tu działaniami wielu się łączy, nie zdając sobie sprawy z ostatecznych skutków. Jeżeli wynikające stąd wahanie w wymienionych dwóch kwestiach

nie ustanie, sprzymierzeni będą zdolni do prowadzenia dalej jedynie ofensywy wojskowej i ekonomicznej, na polu zaś politycznym pozostaną w defensywie do końca wojny. Świeże doświadczenie jest najlepszym świadectwem niebezpieczeństwa podobnej postawy.

Zbliżająca się konferencja międzysojusznicza, mająca się zajmować celami tej wojny, daje sposobność do zadania nieprzyjacielowi ciężkiego ciosu politycznego, który niewątpliwie wywoła poważne komplikacje wewnętrzne w państwach centralnych i odbije się niemało na ich sile bojowej.

Pozwalamy sobie przedłożyć Waszej Ekszelencji propozycję, ażeby Wielka Brytania, Francja, Włochy i Stany Zjednoczone Ameryki zawarły umowę, mocą której włączyłyby do celów wojny:

1. Odbudowanie niepodległego państwa polskiego obejmującego ziemie polskie, które przed wojną należały do Rosji, Niemiec i Austrii. To państwo polskie ma posiadać polską część Śląska oraz część wybrzeża bałtyckiego z ujściami Wisły i Niemna; ma mieć dostateczny obszar i dość znaczną ludność, ażeby mogło stać się skutecznym czynnikiem równowagi europejskiej.

2. Wyzwolenie narodowości Austro-Węgier, które pozostają faktycznie pod panowaniem niemieckim i węgierskim, i wcielenie obszarów polskich, włoskich, serbsko-chorwackich i rumuńskich do państw narodowych, do których należą one z tytułu swej narodowości; utworzenie niepodległego państwa czeskiego, obejmującego Czechy, Morawy, czeską część Śląska oraz północną część Węgier, zaludnioną przez Słowaków.

Powyższa umowa winna być ogłoszona, ażeby wszystkie zainteresowane narodowości mogły się o niej dowiedzieć.

W razie gdyby poruszone tu kwestie miały być przedmiotem dyskusji na zbliżającej się konferencji sprzymierzonych i gdyby przedstawiciele mocarstw sprzymierzonych życzyli sobie mieć informacje dodatkowe, Komitet Narodowy Polski będzie rad służyć nimi przez swego delegata. Racz przyjąć, Panie Ministrze, itd.

Roman Dmowski

X.

MEMORIAŁ O TERYTORIUM PAŃSTWA POLSKIEGO ZŁOŻONY PRZEZ R. DMOWSKIEGO PREZYDENTOWI WILSONOWI W WASZYNGTONIE DNIA 8 PAŹDZIERNIKA 1918 ROKU⁸²

(przekład z angielskiego)

TERYTORIUM POLSKI

Zagadnienie polskie jest przede wszystkim zagadnieniem terytorialnym. Położona między Niemcami, największym narodem kontynentalnym, dążącym zawsze do zdobycia i pochłonięcia Polski, a Rosją, w której siły rozkładowe biorą, jak się zdaje, górę i która prawdopodobnie nie będzie w stanie użyć Polsce skutecznej pomocy przeciw napaści niemieckiej, musi Polska być sama w sobie państwem silnym, zupełnie niezawisłym, zdolnym troszczyć się sama o siebie i rozwijać się po własnej swojej linii. Musi ona stać się wielką, twórczą demokracją w Europie Wschodniej, szansem przeciw naporowi niemieckiemu na wschód, a równocześnie musi bronić się przeciw wpływom rozkładowym.

Ażeby Polska mogła sprostać tym trudnościom, wpływającym bezpośrednio z warunków jej położenia, są dla niej niezbędne warunki następujące:

- 1) musi ona obejmować rozległe terytorium i posiadać liczną ludność;
- 2) ludność jej musi być dostatecznie jednolita, aby jej zapewnić spójność wewnętrzną;
- 3) granice jej muszą odpowiadać wymaganiom geograficznym, tak żeby jej zapewniły niezależność od sąsiadów.

W przeszłości była Polska jednym z największych państw w Europie, moc jej wewnętrzną naraził na szwank nadmierny rozrost na wschód, pociągający za sobą ogarnięcie ludów o niskiej bardzo kulturze, które musiała cywilizować kosztem swych prowincji rdzennych, podczas gdy z zachodu miała wręcz nienormalne granice, narażające ją na wielkie niebezpieczeństwo ze strony sąsiadów niemieckich. Po rozbiorach trzy państwa rozbiorcze, dążące do uniemożliwienia „zmartwychpowstania” Polski, musiały uciekać się do wszelkich środków pomniejszających ludność polską i

⁸² Do memoriału tego, złożonego Wilsonowi na jego żądanie, dołączone były 4 mapy: 1) podział polityczny terytorium polskiego przed wojną oraz podział tegoż terytorium według języka mieszkańców, 2) mapa historyczna Polski, 3) dzielnica pruska: narodowość dzieci w szkołach elementarnych (mapa Seydy), 4) proponowane granice Polski.

polskie terytorium, atakując przede wszystkim prowincje kresowe. Prusy osadzały kolonistów niemieckich na ziemiach polskich i starały się przemocą germanizować mieszkańców polskich; Rosja i Austria rozbudzały uczucia wrogie Polakom wśród ludności mówiącej po rusku i litewsku, a zamieszkałej na terytoriach dawnego państwa polskiego.

Wysiłki te były do pewnego stopnia skuteczne, pomyślne jednak wysiłki przesadzano bardzo w propagandzie, szerzonej za granicą przy pomocy oficjalnych i nieoficjalnych dróg niemieckich i rosyjskich.

Wrogowie Polski mieli na swe usługi skuteczną broń: statystykę urzędową, której używali do obniżenia Polski w oczach świata i do ukazania jej jako narodowości małej, przedstawiającej małą wartość dla ogółu ludzkości cywilizowanej. Jednym z wyników działalności urzędowych statystyków, historyków, ekonomistów i publicystów jest obojętność opinii publicznej wielkich narodów w stosunku do sprawy polskiej, chociaż w istocie kwestia polska jest jednym z najważniejszych zagadnień wojny obecnej. W jednym tylko kraju zrozumiano całą jego doniosłość – w Niemczech; mężowie stanu i pisarze polityczni tamtejsi powtarzają często, że kwestia polska jest najważniejszą dla przyszłości Niemiec i że odbudowanie Polski istotnie niezawisłej byłoby ciosem śmiertelnym zadany ambicjom niemieckim w Europie Wschodniej.

Od początku wojny mocarstwa centralne bardzo skrzętnie szukały takiego rozwiązania sprawy polskiej, które by najlepiej zabezpieczało ich interesy, i nie ulega wątpliwości, że będą, aż do ostatecznego zawarcia pokoju, używały wszystkich możliwych sposobów, żeby zapobiec takiemu rozwiązaniu terytorialnemu kwestii polskiej, które by Polsce zapewniło istotną niepodległość i przywróciło ją do jej roli historycznej, roli wału ochronnego przeciw postępowi Niemców na Wschód. Taka Polska przeszkodziłaby skutecznie mieszanemu się Niemców do spraw rosyjskich, istnienie jej zmieniłoby położenie Niemców nad Bałtykiem, którym starają się oni zawładnąć całkowicie; stałaby się ona ośrodkiem organizacyjnym dla mniejszych narodów, w szczególności zaś dla Czecho-Słowaków i Rumunów, których siły skombinowane z siłami Polski utworzyłyby w tej części Europy potężną podporę dla sprawy wolności i demokracji.

Poniższa analiza położenia w różnych częściach terytorium etnograficznego i historycznego Polski ma na celu wykazać ich znaczenie dla przyszłości Polski i dowieść słuszności żądań polskich w stosunku do poszczególnych prowincji.

I. ZABÓR PRUSKI

Terytorium polskie w państwie pruskim dzieli się na cztery prowincje: Poznańskie, Prusy Zachodnie, Prusy Wschodnie i Śląsk. Poznańskie, Prusy Zachodnie i część Prus Wschodnich należały do państwa polskiego przed pierwszym (1772) i drugim (1793) rozbiorem Polski. Śląsk i główna część Prus Wschodnich nie należały już do Polski w czasach rozbiorów, lecz obejmowały terytoria językowo polskie. Zastosowanie praw

wyjątkowych antypolskich przez rząd niemiecki dowodzi niezbitcie mocy ducha narodowego polskiego w ludności tamtejszej. Terytoria pruskie, w których obowiązują prawa antypolskie, składają się: z Poznańskiego, Prus Zachodnich, południowego, polskiego pasa Prus Wschodnich (regencja olsztyńska), Śląska Górnego, trzech powiatów wschodnich Śląska Średniego, jak również, co się tyczy zahamowania wzrostu polskiej własności ziemskiej, z kilku powiatów wschodnich Brandenburgii i Pomeranii. Liczba przeciwpolskich poczynań jest bardzo wielka i wzrastała gwałtownie w ciągu lat, poprzedzających wojnę. Prawa te, które słusznie wzbudziły oburzenie w całym świecie cywilizowanym, wykluczały język polski ze szkół, zabraniały używać go publicznie (w powiatach, w których jest więcej niż 60% ludności polskiej, używanie języka polskiego na zebraniach publicznych ma być dozwolone do roku 1927 według prawa uchwalonego w Reichstagu niemieckim w roku 1910), zakazywały budować domy mieszkalne na ziemiach świeżo nabytych przez osadników polskich, upoważniały rząd do wywłaszczania polskich właścicieli ziemskich i do stawiania przeszkód wszelakich na drodze normalnego bytu i swobodnego rozwoju ludności polskiej.

W roku 1885 założono Komisję Kolonizacyjną w celu osadzania Niemców na ziemiach polskich w wymienionych wyżej dzielnicach i stopniowego wypierania w ten sposób prawowitych mieszkańców tamtejszych. Wykonując plan ten, Komisja Kolonizacyjna wydała między latami 1885 a 1914 – 1 200 000 000 marek (trzysta milionów dolarów), a w dodatku o wiele jeszcze większą sumę wyłożyła w tym samym czasie administracja pruska z funduszy tajnych, danych rządowi do rozporządzenia przez Sejm pruski. Funduszy tych używano szczerze do wspierania instytucji, przedsiębiorstw i jednostek niemieckich w dzielnicach polskich, do podtrzymywania poczynań przeciwpolskich i w ogóle do szerzenia i popierania germanizacji.

Tę walkę rządu z Polakami popierało współdziałanie dobrowolne narodu niemieckiego. Dwadzieścia pięć lat temu założono organizację, zwaną Stowarzyszeniem dla Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich (*Ostmarkenverein*), złożoną z około osiemdziesięciu tysięcy członków, Niemców z całego Cesarstwa, obejmującą między innymi większość profesorów uniwersytetów i wyższych szkół niemieckich. Stowarzyszenie to współdziałało z rządem w nieustannej walce z Polakami; piętnowało ono tych urzędników rządowych, którzy okazywali się nie dość gorliwymi w stosowaniu praw antypolskich, i denuncjowało ministrów, jeżeli polityka ich nie zadowalała go, jako nie dość energiczna w swych niszczyielskich antypolskich tendencjach. Ponadto stowarzyszenie owo inspirowało nowe prawa represyjne.

Cała ta działalność narodu i rządu niemieckiego nie zdołała złamać obrony narodowej Polaków; ludność polska i własność polska wzrastały ustawicznie, i stan kupiecki polski jako też i przemysł polski szybko zdobywały grunt pod nogami w konkurencji z przemysłem i handlem niemieckim. Dowodzi to siły i żywotności ludności polskiej zamieszkującej wymienione terytoria i jest zarazem najbardziej uderzającym przykładem rządu działającego przeciw woli i interesom narodu, rządu, który zachowa swój destrukcyjny charakter dopóty, dopóki prowincje polskie pozostaną częścią Niemiec.

1. Poznańskie. Część północna tej prowincji (okręg notecki) została zabrana przez Prusy w czasie pierwszego rozbioru Polski (1772), reszta, część o wiele większa, należała do Polski aż do roku 1793. Poznańskie było dzielnicą najstarszą państwa polskiego i tym samym jego częścią najbardziej posuniętą w kulturze. Jako kolebka państwa jest ono bardzo drogie sercu polskiemu, a zarazem posiada olbrzymie znaczenie dla przyszłości narodu. Jest ono częścią najkulturalniejszą narodu. Tutaj masy ludowe, zarówno pod względem oświaty, jak i zamożności, stoją na równi z odpowiednimi klasami najbardziej postępowych krajów zachodnich. Patriotyzm i poczucie obowiązków obywatelskich są tu wśród mas najbardziej rozwinięte i żadna inna część Polski nie przyczyni się bardziej do utworzenia z narodu polskiego prawdziwie zachodniej demokracji. Ze względu na język ludności, Poznańskie jest krajem rdzennie polskim. Jedynie w dorzeczu Noteci, które skolonizował Fryderyk Wielki, i na swych krańcach zachodnich obejmuje ono kilka powiatów częściowo zniemczonych.

Statystyka urzędowa pruska wykazuje w tej prowincji 38% ludności mówiącej po niemiecku, lecz część niemiecka ludności obecnie osiadłej w tym kraju nie przekracza 20%, pozostałe zaś 18% składa się z czasowo wprowadzonych urzędników rządowych, urzędników i pracowników kolejowych, pocztowych i telegraficznych, nauczycieli, garnizonów wojskowych i z wielkiej liczby Polaków zmuszonych podawać się przy spisach jako Niemcy, gdyż, zajęci w służbie rządowej lub u pracodawców prywatnych niemieckich, zagrożeni są utratą zajęcia, jeśli podadzą narodowość polską. Zważywszy na wyżej przytoczone fakty, nie można mieć żadnej wątpliwości co do praw narodu polskiego do Poznańskiego; jest ono częścią istotną Polski i jedną z części najważniejszych dla przyszłego rozwoju narodu polskiego.

2. Prusy Zachodnie. Z wyjątkiem paru powiatów wschodnich dzielnica ta należała do Polski aż do roku 1772. Przez nią miała Polska dostęp do morza. Zagarnięcie Prus Zachodnich przez Fryderyka II nie tylko zadało cios bolesny uczuciom ludności polskiej, lecz także spowodowało upadek ekonomiczny Polski. Po rozbiorze Polski Gdańsk, który był niegdyś najzamożniejszym miastem nadbałtyckim, popadł szybko w ruinę i statystyka przez wiek cały wykazuje zanik handlu jego z roku na rok. W ciągu ostatnich trzydziestu lat rząd niemiecki, pragnąc poprawić warunki ekonomiczne miasta i wzmocnić jego charakter niemiecki, uczynił je siedzibą Sztabu Głównego armii wschodniej, założył obszerne warsztaty okrętowe, szkołę techniczną itd., lecz mimo tych wszystkich wysiłków pozostał Gdańsk pod względem ekonomicznym miastem umarłym.

Zniemczenie Prus Zachodnich było stale głównym dążeniem rządu pruskiego już od pierwszego rozbioru Polski. Następstwem tego było, że niemczyzna poczyniła w dzielnicach tej rozległe postępy. Znaczny odsetek ludności albo zapomniał języka polskiego, przyjmując na jego miejsce niemiecki, albo dotąd trzyma się wytrwale, lecz ukradkiem swej mowy ojczystej, używając jej w domu, w kole rodzinnym, publicznie zaś mówiąc po niemiecku. Lecz nawet wielu z tych, co od dawna zapomnieli mówić po polsku, zachowało świadomość swego polskiego pochodzenia i czuje się w sercu Polakami, chociaż na zewnątrz są oni często zmuszeni do zatajania swej narodowości, żeby nie stracić możliwości zarobkowania. Polakom bowiem, trzeba o tym pamiętać, odmawiają zajęcia i rząd, i

pracodawcy prywatni. Statystyka rządowa pruska podaje jako liczbę mówiących po polsku mieszkańców Prus Zachodnich jedynie 35% całej ludności, lecz liczba ta jest o wiele wyższa od obecnego odsetku urzędowego. Można na pewno przyjąć, że po powrocie dzielnicy tej do państwa polskiego, znaczna większość ludności podałaby się jako polska. Cyfry oficjalne dotyczące się Gdańska przedstawiają miasto to jako czysto niemieckie; tymczasem badania prywatne, prowadzone drogami polskimi, wykazują, że blisko połowa ludności jest polska, chociaż zniemczona powierzchownie. Powiaty z przeważającą większością polską leżą w południowej części Prus Zachodnich i wzdłuż zachodniego brzegu Wisły i Zatoki Gdańskiej. W powiatach zachodnich, położonych na wybrzeżach Bałtyku, nawet statystyka rządowa pruska wykazuje większość polską, wynoszącą 55 do 75% ludności. Powiaty te stale wysyłają do Reichstagu i do Sejmu pruskiego przedstawicieli polskich, którzy nigdy nie przestają protestować przeciw przymusowemu niemczeniu swej ziemi.

Prusy Zachodnie powinny należeć po wojnie do państwa polskiego z powodów następujących:

- a) były one częścią nierozdzieloną państwa polskiego przed rozbiorami;
- b) są one polskie z powodu polskiej narodowości większości mieszkańców, z wyjątkiem niewielu powiatów, które zostały naprawdę zniemczone. Część terytorium zniemczonego na południowo-zachodnim krańcu tej dzielnicy można by zostawić w ręku niemieckim w zamian za kresy wschodnie Pomeranii, posiadające znaczny odsetek ludności polskiej. W ten sposób granica polska przesunęłaby się dalej na zachód od Gdańska;
- c) zwrot Prus Zachodnich Polsce jest jedynym sposobem podniesienia ekonomicznego tej prowincji i zapewnienia jej szybkiego rozwoju handlowego;
- d) Prusy Zachodnie, obejmujące terytorium swoim ujście Wisły, wielkiej rzeki polskiej, stanowią naturalny wylot Polski na morze i są nieodzownie potrzebne dla jej niezawisłości ekonomicznej i swobodnych stosunków ze światem;
- e) strata prowincji tej przez Niemcy zredukowałaby ich wybrzeże bałtyckie i usunęła niebezpieczeństwo, jakim byłoby ich absolutne i niewierne panowanie na tym morzu, panowanie nie tylko szkodliwe dla politycznej niezawisłości narodów skandynawskich, lecz także ułatwiające niemiecki monopol handlowy w Rosji północnej;
- f) przywrócenie Prus Zachodnich Polsce jest jedyną drogą zabezpieczającą Polskę niezawisłość polityczną od Niemiec. Bez Prus Zachodnich Polska byłaby otoczona przez posiadłości niemieckie od zachodu i północy; tak więc w czasie pokoju byłaby ona najzupełniej wystawiona na wpływy niemieckie, podczas wojny zaś zagrażałoby jej niebezpieczeństwo okrążenia strategicznego. W ten sposób, wciągnięta drogą naturalną w orbitę polityki niemieckiej, stałaby się Polska faktycznie państwem hołdowniczym Niemiec, podległym wpływom niemieckim nawet w swych sprawach wewnętrznych. Tak więc, zamiast być przegrodą między Niemcami a Rosją, Polska stałaby się mostem niemieckim do Rosji;

g) pozostawienie Prus Zachodnich w ręku Niemiec oznaczałoby dalsze trwanie w tej dzielnicy rządów niesprawiedliwości, gwałtu i nadużyć, a rządy takie chyba należałoby usunąć z Europy po wojnie obecnej, która pociągnęła za sobą tyle poświęceń ze strony narodów cywilizowanych.

3. Prusy Wschodnie. Dzielnica ta składa się z dwóch części odrębnych pod względem historycznym:

a) część mniejsza, zachodnia – Warmia (Ermeland), z głównym miastem Olsztynem (Allenstein), należała wraz ze swą polską i niemiecką ludnością katolicką do państwa polskiego aż do jego rozbiorów;

b) część większa, wschodnia, z głównym miastem Królewcem (Königsberg) i z ludnością złożoną z Niemców na północy i w centrum, z Polaków na południu i z Litwinów na wschodzie, wszystkich wyznania luterańskiego, nie stanowiła nigdy części niepodzielnej państwa polskiego. W wiekach średnich zamieszkiwali ją Prusowie, naród obecnie zaginiony, pochodzenia i języka litewskiego. Zakon krzyżacki, osiadły w tych stronach w wieku XIII, po zdobyciu kraju, część Prusów wytępił, część zaś zniemczył. Kiedy zakon krzyżacki został sekularyzowany, Księstwo Pruskie, które zajęło jego miejsce, pozostawało państwem hołdowniczym Polski aż do drugiej połowy wieku XVII. Nadało ono nazwę swą królestwu pruskiemu, którego stało się częścią istotną. Posiadanie tego odosobnionego terytorium przez elektorów brandenburskich, którzy następnie stali się królami pruskimi, było zawsze najważniejszą przyczyną wrogiej ich polityki wobec Polski: w polityce ich dominowała, rzecz naturalna, dążność do zniszczenia panowania polskiego nad dolną Wisłą, tak ażeby spojć tę prowincję wschodnią z resztą posiadłości Hohenzollernów. Cel ten osiągnął wreszcie Fryderyk Wielki a urzeczywistnienie jego było ciosem śmiertelnym dla niepodległości Polski.

Mówiąca po niemiecku ludność Prus Wschodnich i kilku przyległych powiatów Prus Zachodnich stanowi zwartą grupę, zamkniętą między terytorium narodowym polskim na zachodzie i południu a obszarem etnograficznie litewskim od wschodu. Jest ona zatem odosobnioną grupą językową, składającą się z przeszło 1 500 000 mieszkańców mówiących po niemiecku. Istnienie tej placówki między ujściami Wisły i Niemna, dwóch wielkich rzek Polski, było jedną z głównych przyczyn upadku Polski i jest teraz główną przeszkodą do odbudowania naprawdę niepodległego państwa polskiego.

Kwestia Prus Wschodnich wymaga gruntownego rozbioru. Pod względem językowym większa część prowincji tej jest niemiecka. Pod względem geograficznym należy ona do terytorium polskiego. Pod względem historycznym i rasowym kraj ten nie jest niemiecki, gdyż pierwotnymi jego mieszkańcami byli Prusowie, plemię pnia litewskiego, zniemczone następnie przez zakon krzyżacki.

Pod względem ekonomicznym jest to kraj pogrążony w zupełnym zastoju. Oddzielone granicą celną od Polski, do której należały z natury swego położenia, musiały

Prusy Wschodnie pozostać prowincja zubożałą z rzadką ludnością (wynoszącą 144 mieszkańców na milę kwadratową⁸³, podczas gdy Polska liczy ich 260).

Co się tyczy warunków społecznych, jest to nieomal kraina średniowieczna: są tam wielkie majątki junkrów pruskich i masa chłopska, traktowana jak niewolnicy, wychowana w duchu niewoli.

Politycznie wreszcie jest to twierdza reakcji pruskiej. Skrajni konserwatyści pruskiej Izby (Posłów) pochodzą przeważnie z okręgów wyborczych Prus Wschodnich, gdzie ich wybierają potulni chłopci, głosujący według rozkazu panów swoich, wielkich właścicieli ziemskich. Niemieckie sprawy publiczne nie obchodzą zupełnie tych włościan, którzy zachowują jeszcze pamięć o swym nieniemieckim pochodzeniu, kieruje nimi jedynie strach, wszczepiony w nich od czasów krzyżackich i podtrzymywany przez dzisiejszych następców zakonu: junkrów – właścicieli ziemskich.

Rząd Hohenzollernów posiadał najmocniejsze podpory w arystokracji Prus Wschodnich, kaście przepojonej tradycjami feudalnymi i dziś jeszcze zachowującej ducha średniowiecznego. Rozbicie tej klasy zacofanej usunęłoby jedną z głównych przeszkód do społecznego i politycznego postępu Niemiec.

Mimo swego ducha reakcyjnego, junkrowie Prus Wschodnich otrzymują poparcie nawet ze strony względnie postępowych elementów niemieckich, uważających ich za przedmurze Niemczyzny na Wschodzie, którego upadek oznaczałoby klęskę ambicji niemieckich w Europie Wschodniej.

Właściwe rozwiązanie kwestii Prus Wschodnich miałoby za skutek nie tylko zabezpieczenie wolności Polski, lecz także, w znacznej mierze, zmodernizowanie życia politycznego Niemiec.

Jeżeli Prusy Wschodnie mają pozostać częścią ciągłego terytorium niemieckiego, to i polskie Prusy Zachodnie muszą również pozostać w posiadaniu Niemiec. Jeżeli Prusy Wschodnie pozostaną w ręku niemieckim, jako odosobniona posiadłość pruska, odcięta od głównego trzonu kraju, wchodzącymi w poprzek terytoriami polskimi, będzie to źródłem nieustannym niekończącego się nigdy konfliktu między Polską a Niemcami, które będą starały się ustawicznie stworzyć sobie ogniwo łączące kosztem Polski. Jeżeli Polska ma być narodem naprawdę wolnym, niezależnym od Niemiec, to możliwe są tylko dwa rozwiązania kwestii Prus Wschodnich: albo prowincja królewiecka, tzn. ta część Prus Wschodnich, której ludność mówi po niemiecku, musi być połączona z państwem polskim na zasadzie autonomii, albo musi stać się małą niezależną republiką związaną z Polską unią celną. W obu wypadkach winna być przeprowadzona w tej prowincji daleko idąca reforma agrarna – nieproporcjonalnie wielkie majątki winny być skolonizowane przez włościan. Reforma taka stanowiłaby podstawę do demokratycznego rozwoju tego kraju.

⁸³ Angielską.

Unia ekonomiczna z Polską rozpoczęłaby nowy okres dobrobytu dla tej skąpo zaludnionej krainy, a w ślad za tym poszłaby polska imigracja i z kolei wzmocniłaby związek między dwoma krajami. Można zupełnie słusznie oczekiwać, że wpływy ekonomiczne wystarczą, by unicestwić odrębność niemiecką i odosobnienie ziemi królewieckiej i że kraj ten bez jakiegokolwiek nacisku politycznego stanie się z czasem częścią rdzenną Polski z mieszaną ludnością niemiecką i polską.

4. Śląsk. Cała dzielnica śląska była od zarania dziejów i faktycznie przez przeciąg wieków średnich krajem polskim, należącym do państwa polskiego. W wieku XIV stracono ją na rzecz Czech, a kiedy Czechy zostały wcielone do Cesarstwa Niemieckiego, Śląsk stopniowo uległ germanizacji. Jedynie Śląsk Górny, gęściej zaludniony nawet w tych odległych czasach, pozostał krajem, w którym mówią po polsku. W czasie wojny siedmioletniej Fryderyk Wielki wydarł Śląsk Austrii, i tak stał się on prowincją pruską. Druga połowa wieku XIX rozbudziła świadomość narodową polską wśród polskojęzycznej ludności Górnego Śląska i niektórych powiatów Śląska Średniego. Ruch narodowy poczynił tak nagłe postępy, że, pod koniec wieku, okręgi wyborcze śląskie zaczęły wysyłać do Reichstagu posłów polskich, którzy jednoczyli się z Polakami z Poznańskiego i Prus Zachodnich w walce przeciwko eksterminacyjnej polityce rządu niemieckiego.

Pod względem językowym jest Górny Śląsk najbardziej polską z całego terytorium polskiego dzielnicy. W niektórych jego powiatach odsetek ludności mówiącej po polsku przekracza 90.

Górny Śląsk jest dzielnicą niezmiernie ważną pod względem ekonomicznym, gdyż posiada najbogatsze na kontynencie europejskim pokłady węgla. Około jednej trzeciej przemysłu niemieckiego, zwłaszcza zaś przemysł saski, opiera się na węglu kamiennym z polskiego Śląska.

Bardzo ważne powody przemawiają za przyłączeniem Górnego Śląska i trzech powiatów Śląska Średniego do Polski. Powody te są następujące:

a) pod względem historycznym jest to stara dzielnica polska (nazywa się nawet Starą Polską), która zmieniała po trzykroć władców swoich, a jest obecnie pruska dzięki względnie niedawnemu podbojowi;

b) pod względem narodowym jest ona również polska, gdyż Niemcy stanowią tam bardzo mały odsetek ludności;

c) geograficznie należy ona do Polski i przedstawia niezbędne ogniwo między Polską a krajem czesko-słowackim;

d) pozyskanie śląskiego zagłębia węglowego przez Polskę dałoby trwałe podwaliny jej rozwojowi przemysłowemu i uczyniłoby z kraju tego poważnego współzawodnika Niemiec na rynkach Europy Wschodniej. Trzeba pamiętać o tym, że śląskie zagłębie węglowe, położone całkowicie na terytorium etnograficznie polskim, było podzielone przez granice przedwojenne na trzy części. Największa z nich należała do Niemiec, druga co do wielkości, stosunkowo bogata, choć mało eksploatowana, do Austrii

(Galicja), i najmniejsza, przedstawiająca jedynie 5% całego zagłębia, do Królestwa Polskiego (Zagłębie Dąbrowskie). Część ostatnia zasilala bujnie rozwinięty przemysł polski, który zaopatrywał rynki rosyjskie.

Jest celem Niemiec zagarnąć całe śląskie zagłębie węglowe pod swoje panowanie. Jako pierwszy krok do urzeczywistnienia celu tego, miały one w planie przyłączenie Zagłębia Dąbrowskiego. Nie ulega wątpliwości, że polityczne zjednoczenie całego tego zagłębia węglowego spowodowałoby warunki normalniejsze dla jego rozwoju, lecz może ono być zjednoczone jedynie pod rządami polskimi, ponieważ leży całkowicie na terytorium narodowym polskim.

Zagadnienie ziem zaboru pruskiego przedstawia dla Niemiec doniosłość niezmierną. Śląsk polski przedstawia dla nich jedną trzecią zapasu węglowego. Polska prowincja poznańska leży jedynie o dwie godziny drogi koleją żelazną od Berlina; wreszcie terytorium polskie Prus Zachodnich stanowi ogniwo między właściwymi Niemcami a ziemią królewiecką, posterunkiem niemieckim – z którego Niemcy czuwają nad Rosją – i podstawą dla wpływów niemieckich na prowincje bałtyckie (Kurlandia, Liwonia i Estonia), gdzie żywioł niemiecki, chociaż nie bardzo liczny, przeważa pod względem społecznym i ekonomicznym. Posiadanie wybrzeży bałtyckich aż do ujścia Niemna i rozpostarcie protektoratu niemieckiego nad ich częścią wschodnią zapewnia Niemcom zupełne władztwo nad Bałtykiem i pośrednio kładzie w ich ręce kontrolę nad krajami skandynawskimi i nad wrotami handlowymi do Rosji. Poza tym Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że o ile dzierżą w ręku swym polskie wybrzeże Bałtyku, jak również silną pozycję strategiczną niemiecką na Śląsku i w okręgu jezior mazurskich w Prusach Wschodnich, niepodległość Polski, choćby nawet bardzo rozległej, będzie czymś zupełnie pozornym. Celem głównym Niemiec pobitych będzie zatrzymanie zaboru pruskiego i dlatego będą one starały się zawrzeć pokój, zanim klęska ich stanie się całkowita i zanim nie stracą wszystkich swoich szans do przeprowadzenia korzystnego targu. Trzeba dodać, że panowanie Niemiec nad Europą Środkową i Wschodnią, które by poszło w ślad za ujarzmieniem Polski, równałoby się władztwu ich nad całym kontynentem europejskim, gdyż pozostałe narody niepodległe tego kontynentu byłyby za słabe, żeby oprzeć się takiej straszliwej potędze i, rzecz naturalna, popadłyby w orbitę wpływów politycznych Niemiec.

II. ZABÓR AUSTRIACKI

Terytorium zaboru austriackiego składa się z Galicji, przyłączonej do Austrii przy pierwszym rozbiorze Polski (1772), i z Księstwa Cieszyńskiego, części Śląska austriackiego.

1. Galicja obejmuje 30 321 mil kwadratowych i ludność wynoszącą 8 025 675 (w roku 1910), z czego 3 200 000 mówi po rusku, 4 600 000 zaś jest Polakami.

Ludność mówiąca po rusku mieszka w Galicji Wschodniej, gdzie Polacy stanowią jedynie 25% ogółu mieszkańców. W drugiej połowie ostatniego stulecia rozwinął się w Galicji Wschodniej ruch narodowy ruski, znany także jako ukraiński. Od samego początku był on popierany przez rząd austriacki, który w nim widział sposób osłabienia Polaków; dzięki tym samym pobudkom, w ciągu ostatnich lat piętnastu Berlin użył ruchowi temu chętniej pomocy. Przywódcy ruscy żądają odłączenia Galicji Wschodniej od Polski na tej podstawie, że większość ludności jest ruska. A jednak trzeba pamiętać o tym, że ruch narodowy ruski, którego istnienia zaprzeczyć nie można, ani nie przeniknął całej masy ludności ruskiej, której znaczna część jest nieświadoma i narodowo obojętna, ani nie wytworzył dość licznej i niezależnej ruskiej klasy intelektualnej. Statystyka oficjalna wykazuje, że we wszystkich zawodach i w handlu Galicji Wschodniej, z wyjątkiem drobnych rolników, żywił ruski przedstawia mniej niż 5%. W takich warunkach trudno pojąć, jak krajem tym mogliby rządzić Rusini. Jeżeli pod panowaniem austriackim rządy Galicji znajdują się w ręku Polaków, nie znaczy to, że są oni faworyzowani przez Austrię, tylko że w kraju tym nie ma innego elementu, który by był zdolny podjąć się jego administracji. Tak więc, w najbliższej przynajmniej przyszłości, administracja polska jest jedynie możliwą dla normalnego rozwoju i postępu tej ziemi. Dążenia narodowe ruskie muszą być zaspokojone w zakresie pełnej wolności co do życia narodowego, przez uznanie charakteru oficjalnego języka ruskiego, przez nauczanie ruskie w zakładach wychowawczych kraju itd. Lecz dopóki narodowość ruska będzie pozostawała w stanie embrionalnym, dopóki poziom życia umysłowego ruskiego będzie za niski, by wytworzyć postępowy rząd nowożytny sprawowany przez Rusinów, dopóty Galicja Wschodnia winna stanowić część nieodłączną państwa polskiego.

Galicja jest jedyną częścią Polski, która w okresie przedwojennym cieszyła się ograniczonym zresztą, zakresem samorządu, stąd też będzie ona głównym źródłem, dostarczającym państwu doświadczonych urzędników.

Znaczenie ekonomiczne Galicji dla Polski jest bardzo wielkie z powodu jej bogactw przyrodzonych. Na zachodzie znajdują się bogate pokłady węglowe (część zagłębia śląskiego), których eksploatacja już się zaczęła; również na zachodzie są kopalnie soli, czynne od wieku XII. Na wschodzie znajdują się bogate źródła nafty i pokłady soli potasowych (kainit), niezbędnych dla rolnictwa (jedynym drugim krajem w Europie, gdzie się znajduje kainit, są Niemcy).

2. Księstwo Cieszyńskie (Teschen). Jest to mała prowincja (powierzchnia 800 mil kwadratowych, ludność 435 000 w roku 1910), na zachodniej granicy Galicji, stanowiąca część polską Śląska austriackiego. Jedynie kraniec południowo-zachodni (powiat frydecki i część powiatu frysztackiego) posiada większość czeską i powinien by z tego powodu należeć do państwa czeskosłowackiego. Między Polakami a Czechami nastąpiło porozumienie, że na granicy czeskosłowackiej narodowość mieszkańców należy określić według ich języka i że powiaty z większością czeską muszą przejść do Czechosłowacji, z większością zaś polską – do Polski. W ten sposób usunięty będzie wszelki powód do starć i oba narody, połączone tyłu węzłami w przeszłości i zagrożone tym samym

niebezpieczeństwem, będą w stanie żyć w doskonałej przyjaźni, związane przymierzem i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, konwencją ekonomiczną i wojskową.

Wykreślenie granicy między Polską a państwem czesko-słowackim na zasadzie większości językowej na Śląsku austriackim i pruskim (na Śląsku pruskim znajdują się Czesi tylko w jednym powiecie), jak również w Karpatach (w powiatach spiskim i orawskim na Węgrzech północnych Polacy są w większości), należy zostawić porozumieniu między Polakami i Czecho-Słowakami.

III. ZABÓR ROSYJSKI

Ziemie polskie, które aż do wojny obecnej należały do Rosji, składały się: 1) z Królestwa Polskiego, 2) z polskich ziem wschodnich, stanowiących przedmiot sporu między Polską a Rosją.

1. Królestwo Polskie zostało ustanowione na kongresie wiedeńskim jako państwo odrębne pod berłem cesarza rosyjskiego. Po powstaniu polskim 1830–1831 zostało ono wcielone do Cesarstwa Rosyjskiego.

Królestwo Polskie jest główną częścią polskiego ciała narodowego i ośrodkiem życia narodowego polskiego. Jest ono największą z polskich jednostek terytorialnych i obejmuje powierzchnię wynoszącą 49 017 mil kwadratowych⁸⁴ z ludnością liczącą 13 335 400. Pod względem geograficznym zajmuje ono położenie najbardziej centralne. Królestwo Polskie jest jedyną częścią terytorium polskiego, która została po rozbiorach odbudowana, jako nowożytne państwo polskie, i która jedynie przez krótki czas pozostawała całkowicie pod rządem obcym. Przy trzecim rozbiorze Polski (1795) było ono podzielone między Prusy i Austrię; terytorium jego zdobył następnie Napoleon, który utworzył Księstwo Warszawskie. Kongres wiedeński zamienił je na Królestwo Kongresowe, z osobną koroną, oddaną cesarzowi rosyjskiemu, z własną konstytucją i parlamentem, z rządem polskim i odrębnym wojskiem polskim. Tu istniało nowoczesne państwo polskie i, trzeba to podkreślić, że w okresie od 1815 do 1830 roku kraj ten był jednym z najlepiej rządzonych i najbardziej postępowych w Europie. Po wcieleniu do Cesarstwa Rosyjskiego w roku 1831 zachował on swoją odrębną administrację aż do roku 1864. Dopiero po powstaniu 1863–1864 podległ on rządowi cudzoziemskiemu i systemowi wynaradawiania, który okazał się zupełnie bezsilny.

Po okupacji kraju przez wojska niemieckie i austriackie w wojnie obecnej, akt cesarzów niemieckiego i austriackiego utworzył tu państwo polskie, odkładając na przyszłość określenie jego granic.

Ludność Królestwa Polskiego, wzięta jako całość, jest etnograficznie polska; jedynie kraniec północny (północna część guberni suwalskiej) posiada większość,

⁸⁴ Angielskich.

mówiącą po litewsku. W kilku południowo-wschodnich powiatach guberni lubelskiej i siedleckiej znajdują się mniejszości mówiące po rusku. Znaczenie ich przesadzał rząd rosyjski, który, pragnąc uszczuplić polskie terytorium narodowe, stworzył z tych powiatów odrębną całość, gubernię chełmską, celem poddania jej specjalnemu systemowi antypolskiemu. Ten nowy problem chełmski był zupełnie sztuczny. Powołały go do życia przesadne apetyty nacjonalistów rosyjskich, a Berlin spoglądał nań z życzliwością, o ile nie był jego inspiratorem. Niemcy mieli na widoku dwa cele w tej sprawie: stworzenie nowego powodu do sporu między Polską a Rosją i uszczuplenie bezsprzecznego terytorium polskiego.

Skorzystali oni z tego aktu rządu rosyjskiego, używając go jako pretekstu do uznania Chełmszczyzny za część terytorium ukraińskiego w pokoju brzesko-litewskim. Faktem jest, że większość ludności jest tu polska, że ludność mówiąca po rusku składa się wyłącznie z drobnych rolników i wyrobników, wśród których nie istnieją najmniejsze nawet tendencje separatystyczne.

Królestwo Polskie jest również najbogatszym i ekonomicznie najbardziej rozwiniętym terytorium polskim. Co się tyczy wykształcenia mas i uprawy roli, pozostaje ono w tyle poza zaborem niemieckim; ma ono jednak bardzo sprzyjające warunki dla rozwoju przemysłowego. Dzięki istnieniu pokładów węglowych w jego granicach, rozwinęło ono w drugiej połowie ostatniego stulecia wielki przemysł włókienniczy i żelazny, zaopatrujący rynki rosyjskie i azjatyckie. Założycielami tych gałęzi przemysłu byli przeważnie Niemcy, lecz kapitał nie został sprowadzony z Niemiec. Fortuny tych wielkich przemysłowców powstały w Polsce i godne to jest zaznaczenia, że dawniejsza ich narodowość niemiecka prędko się zatarła. Dziś większość przedstawicieli wielkiego przemysłu polskiego należy, mimo swych nazwisk niemieckich, do najgorętszych zwolenników Polski niepodległej i buduje swe nadzieje na przyszłość na klęsce Niemiec. Jednym z rezultatów tego rozwoju przemysłowego (w latach przedwojennych połowa dochodów Królestwa pochodziła z opodatkowania jego przemysłu) był szybki wzrost zamożnej polskiej klasy średniej, która zajęła stanowisko kierownicze w życiu politycznym kraju i nadała mu charakter mocno demokratyczny.

Czasy, w których dawna szlachta (osiadła na roli) odgrywała rolę pierwszorzędą w życiu politycznym Polski, należą do przeszłości.

Królestwo Polskie musi być wcielone całkowicie do nowego państwa polskiego, gdyż jedyną wątpliwą jego częścią jest kraniec północny z ludnością mówiącą po litewsku. Przyszłość tych kilku powiatów zależeć będzie od tego, jakie będzie urządzenie polityczne Litwy.

2. Prowincje wschodnie. Gubernie: kowieńska, wileńska, grodzieńska, mińska, mohylowska, witebska, wołyńska, podolska i kijowska, z powierzchnią ogólną 180 911

mil kwadratowych⁸⁵ i ludnością wynoszącą 26 013 400, przedstawiają dawne terytorium państwa polskiego, przyłączone do Rosji w ciągu trzech rozbiorów (1772, 1793 i 1795).

W różnych częściach tego rozległego kraju większość ludności używa już to języka ruskiego, już białoruskiego, już też polskiego czy litewskiego jako ojczystego. Nie ma pewnych danych oficjalnych, wykazujących proporcję Polaków na tych obszarach; rosyjska statystyka rządowa nie ma w tym względzie żadnej wartości, gdyż jest ona mocno sfałszowana po to właśnie, by dla celów politycznych wykazać, że kraj ten nie jest polski. Najświeższe obliczenia polskie, dokonane na podstawie danych wyborczych, wykazują 6 000 000 Polaków na tej przestrzeni.

Pod względem ekonomicznym i społecznym są to najbardziej zacofane prowincje dawnej Polski. W pierwszej połowie XIX wieku rząd rosyjski uznawał jeszcze prowincje te za polskie, językiem oficjalnym administracji był język polski i był on tak samo językiem szkolnictwa i uniwersytetu wileńskiego, naówczas wielkiego ogniska życia umysłowego. Po roku 1830 postawa rządu rosyjskiego uległa zmianie, w której następstwie zastosowano system najokrutniejszego prześladowania wszystkiego, co polskie. System ten trwał aż do wojny obecnej. Ponieważ Polacy byli jedyną intelektualną i ekonomiczną siłą w tym kraju, rząd rosyjski, usiłujący zniszczyć ich wpływy, z konieczności niszczył całe życie cywilizacyjne, jak również rozwój społeczny i ekonomiczny tych prowincji.

Przyszłość polityczna tych ziem przedstawia może najtrudniejsze w całej Europie zagadnienie.

Aż do wojny obecnej stanowisko Rosjan, jako czynnika społecznego, było tam bardzo niepewne. Posiadali oni połowę wielkich majątków ziemskich, z których wywłaszczono Polaków, przeważnie w drodze konfiskaty. Ci właściciele ziemscy z reguły nie mieszkali w kraju, a ludność rosyjska składała się z urzędników państwowych, którzy umknęli z kraju podczas odwrotu wojsk rosyjskich. Obecnie nie ma tam Rosjan. Zwrot ziem tych Rosji znaczyłby tyle, co przywrócenie rządu obcego, którego panowanie przedtem nie tylko nie zapuściło korzeni, lecz nawet nie znalazło żadnego oparcia w tym kraju; był to bowiem rząd oparty na nadużyciach i ucisku, rząd krępujący rozwój kraju i usiłujący obezwładnić jego najszlachetniejsze, najinteligentniejsze i najbardziej twórcze żywioły.

Większości ruskie (ukraińskie), białoruskie i litewskie składają się niemal wyłącznie z drobnych rolników i duchownych.

Białorusini przedstawiają element rasowy zupełnie bierny. Nie ma wśród nich żadnego ruchu narodowego; nie ma tak samo nawet zaczątków literatury białoruskiej.

W przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu przejawiała się wśród Ukraińców pewna działalność literacka, której towarzyszył słaby ruch polityczny w kierunku odrębności narodowej. Ruch ten jednakże był ograniczony do pewnych kół złożonych ze studentów

⁸⁵ Angielskich.

uniwersytetów, przeważnie synów księży i włościan. Nie rozwinął się on jeszcze dostatecznie, by wytworzyć wśród Ukraińców silną klasę intelektualną.

Jeżeli Niemcy uznały naród ukraiński w pokoju brzesko-litewskim, to zrobiły to nie dzięki jakimś względom sprawiedliwości międzynarodowej, lecz jedynie dla rozbicia Rosji i zredukowania terytorium polskiego. Uczyniły to Niemcy z najzupełniejszą świadomością, że państwo ukraińskie nie może pozostać istotnie niezależne i musi podpaść nieuchronnie pod protektorat niemiecki.

Jedynie wśród ludności mówiącej na obszarach tych po litewsku ruch narodowy poczynił znaczne postępy. Zaczął się on nie więcej jak czterdzieści lat temu i w tym krótkim czasie przywódcy jego pozyskali pewien wpływ na masy ludowe litewskie, wobec tego, że były one bardziej rozwinięte i zdolniejsze do postępu niż Rusini czy Białorusini. Lecz ruch narodowy litewski jest jeszcze bardzo młody. Pośród klasy wykształconej tego kraju mało jest nacjonalistów litewskich i Polacy pozostają jeszcze jego głównym elementem kulturalnym. Litewskie wysiłki literackie znajdują się jeszcze w stanie niemowlęctwa, a język litewski nie rozwinął się jeszcze ponad poziom bardzo pierwotny. Są dane po temu, że Litwini rozwiną się w przyszłości w naród niezawisły, ale jak dotąd nie jest to jeszcze faktem dokonany. Na nieszczęście naród litewski nie jest dosyć liczny, i statystyka wykazuje, że ludność mówiąca po litewsku nie przekracza dwu milionów, mieszkających – w mniej lub więcej zwartej masie – na ściśle określonym terytorium (gubernia kowieńska, część guberni suwalskiej i wileńskiej i część Prus Wschodnich).

Polacy, jak powiedziano powyżej, przedstawiają element kulturalny i główną siłę ekonomiczną całego terytorium prowincji wschodnich. Aż do roku 1863 byli oni zupełnymi panami kraju pod względem społecznym i ekonomicznym, ale w drugiej połowie ostatniego wieku siła ich w znacznym stopniu zmalała. Wpłynęły na to: 1) bezwzględna antypolska polityka rządu rosyjskiego, który konfiskował majątki polskie, niszczył całe wsie polskie i mieszkańców ich wysyłał na Syberię (po ostatnim powstaniu 1863–1864), zakazywał używania mowy polskiej nawet na ulicach itd.; 2) antypolska propaganda agitatorów rosyjskich pośród chłopów ruskich, białoruskich i litewskich, propaganda podburzająca żywioły te nie tylko przeciw polskim właścicielom ziemskim, lecz także przeciw inteligencji, złożonej w przeważnej części z Polaków;

3) postęp ruchu narodowego litewskiego i, wreszcie 4) wyosobnienie się Żydów, którzy są bardzo liczni na tych obszarach, przyjęli częściowo język i kulturę rosyjską i, jako masa, zorganizowali się w odrębną narodowość żydowską z postawą raczej wroga Polakom.

Żydzi prowincji wschodnich poczynili znaczne postępy w życiu ekonomicznym i umysłowym kraju i, jako siła, stoją na drugim po Polakach miejscu.

Proces naturalny imigracji z gęsto zaludnionej Polski w ostatnich latach pięćdziesięciu niemal ustał zupełnie z powodu surowych zarządzeń zastosowanych przez rząd rosyjski. Natomiast młode pokolenie polskie z prowincji tych emigrowało w wielkiej liczbie do Rosji, widząc się pozbawione środków do życia w swym własnym kraju.

Polacy są obecnie za słabi, żeby rządzić z powodzeniem całym obszarem ziem wschodnich. Wobec tego, że nie ma tam żadnego innego elementu kulturalnego, który by był dostatecznie silny, problem przyszłości politycznej tych wschodnich prowincji Polski staje się problemem niemal nie do rozwiązania. Utworzenie niezależnego państwa litewskiego i ukraińskiego oznaczałoby albo anarchię, albo rządy cudzoziemców, Niemców. Powrót ziem tych do Rosji pociągnąłby za sobą nie mniejszą anarchię i stagnację w zakresie umysłowym i ekonomicznym. Odbudowanie zaś Polski na całym tym terytorium obciążałoby państwo polskie zadaniem ponad siły i pozbawiłoby je spójności wewnętrznej, niezbędnej dla każdego państwa, w szczególności zaś dla Polski, bezpośredniej sąsiadki Niemiec. Nie ma żadnego dobrego rozwiązania tego zagadnienia i trzeba koniecznie wybrać takie, które przedstawia mniej stron ujemnych niż inne. Rozwiązanie takie można by osiągnąć, dzieląc terytorium polskich prowincji wschodnich na dwie części: część zachodnią, gdzie żywioł polski jest liczniejszy i gdzie wpływ polski jest stanowczo przeważający, winna by należeć do państwa polskiego, część zaś wschodnią powinna by zostać w posiadaniu rosyjskim. Dałoby to Polsce granice po drugim rozbiórce (1793). Terytorium zaś z większością mówiącą po litewsku w części północnej winno by być zorganizowane jako kraj odrębny i związany z państwem polskim na podstawie autonomii.

Litwa powinna by obejmować gubernię kowieńską, północno-zachodni pas guberni wileńskiej, większą część guberni suwalskiej i północno-wschodni pas Prus Wschodnich (bieg dolny Niemna). Kraniec południowy Kurlandii wraz z małym portem Połagą tworzy również część litewskiego terytorium historycznego i etnograficznego; został on wcielony do Kurlandii dopiero w roku 1841, dla zadośćuczynienia życzeniom Niemców kurlandzkich, którzy chcieli znaleźć się w bezpośrednim zetknięciu z Prusami. Granice trzeba by teraz sprostować i nawet przeprowadzić na północ od Libawy, biorąc pod uwagę fakt, że Libawa, jako port morski, skupia handel litewski i z tego powodu miałaby ona niezbędne dla pomyślnego rozwoju warunki. Litwa byłaby za mała, żeby stworzyć państwo zupełnie samoistne, lecz w unii z Polską wolność jej narodowa, jak i rozwój, byłyby lepiej zabezpieczone niż w jakiegokolwiek innej kombinacji. Litwa przyjęła cywilizację od Polski, ciąg dalszy unii z Polską byłby rzeczą zupełnie naturalną i nie przedstawiałby żadnego niebezpieczeństwa dla jej przyszłości narodowej. Państwo demokratyczne, jakim Polska będzie niewątpliwie, nie będzie stawiało żadnych przeszkód na drodze wolnego rozwoju narodowości litewskiej.

Terytorium polskie na wschód od Królestwa Polskiego winno by obejmować pozostałą, większą część guberni wileńskiej (włączając w to miasto Wilno) i gubernię grodzieńską, gdzie Polacy są w większości albo w bardzo znacznej mniejszości, większą część guberni mińskiej, obejmującej miasta Mińsk, Słuck i Pińsk, część zachodnią Wołynia aż po rzekę Horyń i powiaty zachodnie Podola (Płoskirów i Kamieniec Podolski). Na wszystkich tych terytoriach przedstawiają Polacy bardzo silną mniejszość i są jedyną siłą intelektualną i ekonomiczną kraju zdolną nim rządzić. Część zachodnią guberni witebskiej (Inflanty Polskie), z miastem Dyneburgiem i wschodni kraniec Kurlandii (powiat iłukszański) są zamieszkałe przez ludność mieszaną polską i łotewską, przy czym

Polacy przeważają w życiu ekonomicznym i umysłowym. Włączenie terytoriów tych do państwa polskiego byłoby słuszne w razie, gdyby Kurlandia i Liwonia nie miały należeć do Rosji. Gdyby jednakże te nadbałtyckie kraje miały stanowić część Rosji, względy geograficzne przemawiałyby przeciw wcieleniu Inflant Polskich do państwa polskiego.

Wszystkie pozostałe terytoria wschodnie, tzn. wschodnia część guberni witebskiej, gubernia mohylowska, wschodnia część guberni mińskiej, gubernia wołyńska i podolska, z wyjątkiem swych powiatów zachodnich włączonych do Polski, i gubernia kijowska powinny by wrócić do Rosji. W kilku odosobnionych powiatach tych ziem żywił polski jest bardzo znaczny, lecz ogółem nie jest on dosyć silny, aby był w stanie rządzić skutecznie tym krajem. W wielu powiatach Polacy są niemal wyłącznie wielkimi właścicielami ziemskimi, a ponieważ ta część Europy dąży w kierunku gwałtownego zaniku wielkiej własności ziemskiej, przodujące ich stanowisko w tym kraju nie zapowiada się na długo. Z tego też powodu włączenie kresów wschodnich do Polski na zasadzie praw historycznych mogłoby wielkie trudności sprawić nowemu państwu, które może stać się wałem ochronnym przeciw ekspansji niemieckiej jedynie pod dwoma warunkami, a mianowicie: że będzie równocześnie państwem demokratycznym i polskim państwem narodowym.

Skreślony powyżej program terytorialny nie jest wyrazem ambicji mających na celu ekspansję narodową, nie podyktowały go też uczucia wrogie wobec sąsiadów Polski. Nie ma w Europie narodu bardziej skłonnego do ustanowienia pewnego i trwałego pokoju po wojnie obecnej od Polski, która cierpiała nie tylko w ciągu tej wielkiej wojny światowej, lecz także w ciągu więcej niż wiek cały trwającej walki, staczanej z nią przez jej ciemiężców. Ma ona przed sobą ogrom pracy konstrukcyjnej, mającej na celu wyleczenie ran odniesionych w tej długiej wojnie, odbudowanie dobrobytu ekonomicznego, podniesienie poziomu intelektualnego, zorganizowanie życia politycznego według linii nowoczesnych, słowem ma ona stać się demokracją twórczą, zdolną żyć w pomyślności i przyczyniać się do rozwoju całej ludzkości.

Żeby dzieła tego dokonać, potrzebuje Polska trwałego pokoju i przyjaznych stosunków ze swymi sąsiadami, zwłaszcza zaś z Rosjanami, musi wejść w ścisły związek z narodami mniejszymi, z Rumunami i Czecho-Słowakami. Lecz Polska nie może zapomnieć, że ziemie jej leżą w tej części Europy, której warunki są o wiele mniej ustalone niż warunki zachodniego świata cywilizowanego w części Europy, w której w ciągu wojny obecnej powstały nowe zagadnienia i mogą powstać nowe trudności na przyszłość.

Przedłożone powyżej rozwiązanie kwestii polskiej jest wynikiem długiej i uważnej analizy położenia Polski. W najgłębszym przekonaniu Polaków jest ono jedynym rozwiązaniem zdolnym zapewnić niezależny rozwój kraju w czasie pokoju i bezpieczeństwo jego w razie konfliktu.

Naród polski ma swoje prawa, ma też swoją odpowiedzialność. Dążeniem jego jest nie tylko uzyskanie zaspokojenia słusznych praw i odbudowanie niezawisłości narodowej, lecz także możliwość wypełnienia obowiązków wobec cywilizowanej ludzkości swej misji, jako obrońcy wysokich ideałów sprawiedliwości, wolności i pokoju.

W wykładzie programu powyższego nie usiłowano zataić trudności związanych z jego urzeczywistnieniem. Uczyniono to w nadziei, że ogromne poświęcenia, dokonane przez wolną ludzkość w tej walce olbrzymiej, nie doprowadzą do pokoju połowicznego, unikającego trudności i zostawiającego rozwiązanie ich przyszłym pokoleniom, lecz że skończą się wielkim przeobrażeniem stosunków międzynarodowych przez stworzenie wolnych, niezależnych i mocnych jednostek, zdolnych stać się godnymi i pożytecznymi członkami przyszłej Ligi Narodów.

XI.

NOTA DELEGACJI POLSKIEJ NA KONFERENCJI POKOJOWEJ W SPRAWIE GRANIC ZACHODNICH PAŃSTWA POLSKIEGO PRZESŁANA PRZEWODNICZĄCEMU KOMISJI TERYTORIALNEJ, P. JULES CAMBONOWI, DNIA 28 LUTEGO 1919 ROKU

(przekład z francuskiego)

Odbudowanie państwa polskiego winno być uważane, jako:

1. akt sprawiedliwości i naprawienie zbrodni rozbiorów (1772, 1793, 1795);
2. wynik rozwoju sił narodowych polskich, które rosły mimo destrukcyjnych wysiłków mocarstw rozbiorowych, oraz konsekwencja rozpadnięcia się Austro-Węgier, rozkładu imperium rosyjskiego i klęski Niemiec;
3. konieczność ustanowienia między Niemcami a Rosją państwa silnego i prawdziwie niepodległego.

Z pierwszego założenia wynika, że za punkt wyjścia dla określenia granic odbudowanego państwa polskiego powinno służyć terytorium Polski sprzed pierwszego rozbioru (1772).

Drugi wzgląd narzuca pewne zmiany dawnych granic, bądź przez włączenie do państwa polskiego niektórych ziem położonych poza jego granicami z 1772 roku, gdzie ludność polska stwierdziła swą żywotność, bądź przez pozostawienie poza państwem polskim tych części terytorium z 1772 roku, gdzie siły narodowe polskie uległy znacznemu zmniejszeniu po rozbiorach.

Konsekwencją trzeciego założenia jest pewna rektyfikacja dawnych granic przez przystosowanie ich do wymagań ekonomicznych nowożytnego państwa i do jego obrony.

Ziemie jego zachodnie, [ziemie] Polski zabrane w czasie rozbiorów przez Austrię i Niemcy, są następujące: 1) Galicja, 2) Poznańskie, 3) Prusy Zachodnie, z wyjątkiem powiatu sztumskiego (Stuhm), suskiego (Rosenberg) oraz wschodniej połowy kwidzyńskiego (Marienwerder), 4) część Prus Wschodnich – Warmia (Ermeland).

Galicja jest starożytną dzielnicą państwa polskiego, do którego należała od czasów najdawniejszych aż do 1772 roku. Wyjątek stanowi dla jej wschodniej części okres od 1091 do 1340.

Ludność Galicji wynosi 8 025 675 dusz (1910), osiadłych na 78 490 kilometrach kwadratowych, z tego według oficjalnej statystyki austriackiej 3 200 000 używa języka ruskiego, a 4 700 000 – języka polskiego.

Ludność używająca języka ruskiego zamieszkuje wschodnią część kraju i przedstawia tam 58,6% ogółu ludności. Wśród tej ludności dwa prądy narodowościowe, zwrócone przeciwko polskiemu panowaniu, zarysowały się w ciągu ostatniego

pięćdziesięciolecia: jeden z nich, dzięki propagandzie rosyjskiej, dążył do zastąpienia języka ruskiego przez język rosyjski; drugi, protegowany przez rząd wiedeński, a później przez rząd berliński, starał się wytworzyć narodowość ruską, późniejszą ukraińską. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, dzięki wzmożeniu się wpływów niemieckich w Europie Środkowej i Wschodniej, ruch ukraiński wziął górę.

Będąc narzędziem w walce Niemców z Polakami, ruch ukraiński przybrał charakter czysto negatywny. Wbrew innym ruchom narodowego odrodzenia, działał on bardzo mało w dziedzinie intelektualnej i w ekonomicznej organizacji ludności, manifestując swą energię prawie wyłącznie w walkach politycznych.

Trzeba podkreślić, iż 91% ludności ruskiej należy do drobnych rolników lub robotników rolnych. To wyjaśnia, dlaczego nawet pod panowaniem austriackim, administracja całej Galicji leżała w rękach polskich; kraj nie posiadał żadnych innych czynników, zdolnych do rządzenia.

Taki stan żywiołu ruskiego w Galicji niczym nie uzasadnia pretensji wodzów ruchu ukraińskiego do oderwania Galicji Wschodniej od państwa polskiego. Pomimo to prawa narodowości ruskiej są niezaprzeczalne i nie ma żadnej wątpliwości, iż będą one w całości przez Polskę szanowane.

Z całą pewnością spodziewać się należy, iż z chwilą, gdy ustaną wrogie Polsce wpływy austriacko-niemieckie, zgodne stosunki zapanują między Polakami a Rusinami.

Galicja zajmuje wśród innych dzielnic polskich specjalnie ważne miejsce z powodu swych naturalnych bogactw. Posiada ona bogate pokłady węglowe i solne na zachodzie, oraz naftę i potas (kainit) na wschodzie. Na jej to południowo-wschodnim krańcu posiada Polska wspólną granicę z Rumunią, z którą naród polski związany jest więzami tradycyjnej przyjaźni i wspólności interesów. W odpowiedzialnym i trudnym położeniu, w którym się oba kraje znajdują, są one zmuszone do ścisłego porozumienia i harmonijnego z sobą współdziałania.

Począwszy od południowej granicy Galicji i Polski zarazem, granica państwa polskiego ciągnie się wzdłuż Karpat, które wraz z wybrzeżem bałtyckim stanowią granice naturalne Polski. Granica ta odpowiada dawnej granicy z 1772 roku i tylko na zachodzie wymaga zmiany z powodów tak geograficznych, jak etnograficznych.

Części komitatów: spiskiego (Zips), orawskiego (Arva) i trenczyńskiego (okolice Czacy) stanowią klin, wchodzący pomiędzy Śląsk a Galicję; należały one do dawnego państwa węgierskiego. Leżą one w granicach naturalnych Polski i posiadają ludność polską, i dlatego są przez Polskę rewindykowane.

Na zachód od Galicji Polska rozciąga swe rewindykacje na Księstwo Cieszyńskie (Teschen), stanowiące część Śląska austriackiego.

Terytorium Księstwa Cieszyńskiego (Teschen), obejmujące 2282 kilometry kwadratowe, jest zamieszkane przez 435 000 mieszkańców (1910), z których 54,8% stanowią Polacy, 27,1% Czesi, a 18% Niemcy. Ludność czeska jest skoncentrowana w

powiecie frydeckim (78%), położonym w południowo-zachodniej części kraju, podczas gdy Polacy zajmują powiaty cieszyński (77%), frysztacki (64%) i bielski (78%), Niemcy żyją rozproszeni po miastach i centrach handlowych kraju.

Spośród ziem polskich niewchodzących w skład państwa polskiego w chwili rozbiorów, Cieszyńskie pierwsze zaczęło odradzać się narodowo. Już w 1848 roku na Zjeździe Słowiańskim reprezentant Cieszyńskiego manifestował swą narodowość polską, a pierwszym dziennikiem, który został w tym kraju założony, był dziennik polski (1848). Od tego czasu Polacy cieszyńscy zacieśniaли coraz mocniej więzy łączące ich z innymi ziemiami polskimi.

Polska żąda całej polskiej części Księstwa Cieszyńskiego; przyznaje prawo Czechów do powiatu frydeckiego. Wobec tego, że oficjalna statystyka nie jest ścisła, o czym łatwo się przekonać, porównując rezultaty spisów z 1900 i z 1910 roku⁸⁶ – tylko komisja urzędująca na miejscu może wykreślić ścisłą rozgraniczającą linię.

W ogólnych zarysach granica, której żąda Polska na terytorium cieszyńskim, idzie od byłej granicy węgierskiej (Łomna Górna) wzdłuż granicy powiatu frydeckiego aż do Gruszowa, gdzie wkracza na terytorium Śląska pruskiego.

Śląsk Górny jest najznaczniejszym z krajów, które nie wchodziły do państwa polskiego w 1772 roku, a którego przyłączenia Polska teraz żąda.

Śląsk należał do Polski od początku jej istnienia aż do XIV wieku, w którym jego książęta polskiego domu Piastów uznali zwierzchnictwo króla czeskiego, a później Cesarstwa Niemieckiego. Od XIV wieku Śląsk ulegał stopniowej germanizacji, której oprzeć się potrafiły tylko Księstwo Cieszyńskie, Śląsk Górny (regencja opolska) i kilka powiatów Śląska Średniego (regencja wrocławska).

Proces germanizacji Śląska Dolnego i Średniego został ukończony pod panowaniem pruskim, po zajęciu tych krajów przez Fryderyka II.

Część Śląska pruskiego, którą Polska rewindykuje, zawiera regencję opolską, za wyjątkiem powiatów niskiego, grotkowskiego, części niemodlińskiego, prudnickiego;

⁸⁶ W sześciu gminach spornych powiatu frysztackiego różnica między dwoma spisami jest następująca:

	1900		1910	
	Polaków	Czechów	Polaków	Czechów
Dzieńmorowice	2368	348	740	2616
Orłowa	3919	2233	2805	4799
Łazy	4660	921	3804	3829
Pietrzwałd	3955	1226	1355	5303
Sucha Dolna	811	610	1295	837
Sucha Średnia	840	609	1666	1289

dalej powiaty namysłowski i sycowski oraz część powiatu milickiego regencji wrocławskiej. Terytorium to obejmuje 12 000 kilometrów kwadratowych i 2 100 000 mieszkańców (1910), z których według oficjalnej statystyki pruskiej 67% stanowią Polacy. W rzeczywistości procent Polaków jest o wiele większy; w części środkowej i wschodniej tego terytorium dosięga on 90%.

Odrodzenie narodowe tej zapomnianej prowincji zaczęło się w ostatnim pięćdziesięcioleciu. Z początkiem bieżącego wieku Śląsk Górny zaczął wybierać do Reichstagu posłów, którzy wraz z przedstawicielami Poznańskiego i Prus Zachodnich tworzyli parlamentarne Koło Polskie i walczyli przeciwko antypolskiej polityce rządowej.

Oprócz motywów natury narodowej przemawia za przyłączeniem Śląska do państwa polskiego i jego położenie geograficzne. Terytorium śląskie wchodzi głęboko w ziemie polskie, pomiędzy Poznańskie, Królestwo Kongresowe, Galicję i Księstwo Cieszyńskie, poza tym jest ono łącznikiem między Polską a Republiką Czesko-Słowacką.

Z punktu widzenia ekonomicznego Śląsk Górny ma pierwszorzędne znaczenie. Jego rejon kopalniany, wrzynający się między Królestwo Polskie i Galicję, w stosunku do ogólnej produkcji niemieckiej daje 23% węgla, 49% ołowiu i 67% cynku.

Linia graniczna oddzielająca część polską Śląska od terytorium czechosłowackiego i niemieckiego zaczyna się koło Gruszowa na granicy Cieszyńskiego i przechodzi na zachód od Raciborza, na wschód od Głubczyc, gdzie byłaby możliwa poprawka granicy czechosłowackiej, dawniej austriackiej. Dalej na północny zachód przechodzi na wschód od Prudnika, Niemodlina, Brzegu, Oleśnicy i Milicza, gdzie spotyka granicę Poznańskiego, tj. historyczną granicę Polski.

Poznańskie zostało zabrane przez Prusy przy pierwszym (1772) i przy drugim (1793) rozbiórce. Następnie tworzyło ono część Księstwa Warszawskiego (1807–1815) i zostało znów włączone do Prus przez kongres wiedeński.

Poznańskie liczy 2 100 000 mieszkańców na przestrzeni 29 000 kilometrów kwadratowych. Oficjalna statystyka niemiecka określa liczbę Niemców na 38%. W rzeczywistości liczba miejscowych Niemców nie przekracza 20% ogółu ludności.

Poznańskie było kolebką państwa polskiego, krajem najdawniejszej polskiej cywilizacji, a wskutek tego krajem najbardziej posuniętym w swym życiu społecznym. Ludność w swej masie znajduje się na poziomie cywilizacyjnym krajów zachodnich, wykazuje najwięcej energii i zdolności organizacyjnych i bardzo gorący polski patriotyzm.

Z powyższych względów kraj ten posiada pierwszorzędne znaczenie dla odbudowanego państwa polskiego, które żąda przyłączenia go w całości.

W tym miejscu granica idzie granicą historyczną Polski z 1772 roku, zaczawszy od punktu, w którym kończy się nowa granica wykreślona na Śląsku, aż do punktu, w którym dosięga ona Prus Zachodnich.

Prusy Zachodnie, z wyjątkiem powiatów wymienionych poniżej, wchodziły w skład państwa polskiego od roku 1466 aż do pierwszego rozbioru Polski (1772), podczas

którego zostały przez Prusy zabrane. Jedynie miasto Gdańsk zostało przy Polsce aż do drugiego rozbioru (1793).

Prusy Zachodnie liczą na przestrzeni 25 550 kilometrów kwadratowych —1 703 000 mieszkańców, z których, według statystyki oficjalnej niemieckiej, tylko 35% stanowiliby Polacy. Liczba ta o wiele niższa jest od rzeczywistości.

Włączenie Prus Zachodnich do państwa polskiego pociągnęłoby za sobą emigrację napływowych urzędników i wojskowych, z drugiej strony podniosłoby ducha ludności, terroryzowanej i germanizowanej, co prawdopodobnie miałoby za skutek – wykazanie znacznej większości polskiej w tym kraju.

Ludność niemiecka w tej prowincji skoncentrowana jest głównie przy ujściu Wisły oraz w powiatach południowo-zachodnich: wałeckim i człuchowskim. Dwa te powiaty mogą być w znacznej części odstąpione Niemcom, w zamian Polska domagać się będzie wschodniego krańca Pomierania: powiatów lęborskiego, bytowskiego i części powiatu słupskiego; dwa pierwsze z tych powiatów straciła Polska w 1657 roku, a wszystkie ze względów geograficznych są dla niej niezbędne. W ten sposób granica polsko-niemiecka przechodziłaby, mijając Poznańskie, na wschód od miasta Wałcz, na zachód od miast Złotów i Człuchów, na wschód od Słupska i dalej aż do wybrzeża Bałtyku.

Prusy Zachodnie tworzą całość geograficzną z Prusami Wschodnimi, których większa część z Królewcem, jako ośrodkiem, jest zupełnie zniemczona. Kwestia bytu tego terytorium niemieckiego, oddzielonego od Niemiec narodowym terytorium polskim Prus Zachodnich, jest pierwszorzędnej wagi dla narodu polskiego. Od rozwiązania tej kwestii zależy los Polski. W razie, gdyby niemiecka część Prus Wschodnich pozostała nadal nieodłączną częścią państwa niemieckiego, taki stan rzeczy równałby się utrzymaniu panowania niemieckiego na terytoriach polskich Prus Zachodnich wraz z portem polskim Gdańskiem. Polska, oddzielona ziemiami niemieckimi od morza, pozostałaby pod względem stosunków z innymi krajami na łasce Niemiec, tak jak to się dzieje w obecnych warunkach.

Warunkiem niezbędnym dla zapewnienia Polsce rzeczywistej niezależności, która by pozwoliła jej zająć poważne, odpowiedzialne stanowisko we wschodniej Europie i zabezpieczyć się od wpływów niemieckich, byłoby jedynie odłączenie Prus Wschodnich od państwa niemieckiego, a następnie zwrócenie Polsce Prus Zachodnich (z uwzględnieniem sprostowań granic wyżej wymienionych) i w Prusach Wschodnich oddanie Polsce Warmii, która należała do niej do czasów pierwszego rozbioru.

Poza tym, Polska żąda całego pasa południowego Prus Wschodnich, który nie wchodził w skład państwa polskiego, ale którego ludność jest bezsprzecznie polska, a odsetek jej dosięga 71% (według oficjalnych statystyk szkolnych).

Ludność tej części terytoriów polskich najpóźniej zaczęła brać udział w życiu narodowym. Odrodzenie świadomości narodowej objawia się tam zaledwie od lat 20.

Część północno-wschodnia tej prowincji, położona nad ujściem Niemna i zamieszkała przez ludność litewską, powinna być wcielona do Litwy i wraz z Litwą

połączyć się z państwem polskim. Reszta Prus Wschodnich, stanowiących kraj niemiecki, z głównym miastem Królewcem (powierzchnia 19 000 kilometrów kwadratowych, ludność 1 070 000) może istnieć niezależnie, jako republika pod protektoratem Ligi Narodów.

Granica pomiędzy republiką tą a Polską powinna przechodzić, poczynając od Zatoki Fryskiej (Swieżej) na wschód od Brunsbergi, wzdłuż dawnych granic Polski aż do okolic Żądzborku i następnie na północ od Leca, na południe i wschód od Gołdapi, na wschód i na północ od Gąbina – dochodzić do wybrzeża Zatoki Kurońskiej na północny wschód od Łabiawy.

Roman Dmowski

XII.

NOTA DELEGACJI POLSKIEJ NA KONFERENCJI POKOJOWEJ O WSCHODNICH GRANICACH POLSKI PRZESŁANA PRZEWODNICZĄCEMU KOMISJI TERYTORIALNEJ DNIA 3 MARCA 1919 ROKU

(przekład z francuskiego)

Granice państwa polskiego w chwili pierwszego rozbioru (1772) na południowym wschodzie szły linią Dniepru, następnie ku północy przekraczały Dniepr i na północnym wschodzie wychodziły poza Dźwinę.

Terytoria polskie zagarnięte przez Cesarstwo Rosyjskie podczas trzech rozbiorów obejmują gubernie: kowieńską, wileńską, grodzieńską, mińską, mohylofską, witebską, wołyńską, podolską i kijowską (z wyjątkiem samego Kijowa z okolicą), nie licząc Kurlandii, która do ostatniego rozbioru zostawała lennem Polski. Północna część tego kraju, która otrzymała pod zarządem rosyjskim nazwę urzędową Kraju Północno-Zachodniego, obejmuje 6 guberni litewskich i białoruskich: kowieńską, wileńską, grodzieńską, mińską, mohylofską, witebską. Te ziemie tworzyły dawne Wielkie Księstwo Litewskie, które w XIV wieku swobodnie przyłączyło się do Polski, aby od roku 1569 stać się częścią integralną państwa polskiego zjednoczoną we wspólnym sejmie. Dzięki temu wcieleniu do państwa polskiego rozległe terytoria Litwy i Rusi, które w średniowieczu były podzielone na drobne księstwa ze słabym zaludnieniem pogańskim lub chrześcijańskim wyznania wschodniego, stały się krajem cywilizacji zachodniej, polskiej. Wyższe warstwy ludności kraju, wszystko, co się wznosiło ponad poziom mas włościańskich, przyjęło język, zwyczaje i narodowość polską, a nawet masy włościańskie, które zachowały swe narzecze litewskie, białoruskie i ruskie, przeniknęły się w końcu duchem lojalności względem państwa polskiego. I tak na przykład włościanie litewscy z guberni kowieńskiej i wileńskiej wzięli w ostatnim powstaniu polskim 1863 roku znacznie czynniejszy udział niż włościanie w Królestwie Kongresowym.

Wysiłek rządu rosyjskiego, który przedsięwziął był względem Polaków politykę ucisku i zniszczenia, ześrodkował się specjalnie na tym kraju. Szczególnie od roku 1864 cały system bardzo surowych praw wyjątkowych wysunięto przeciwko polskości, a równocześnie rząd rosyjski szerzył silną propagandę antypolską pomiędzy włościaństwem języka litewskiego i ruskiego. Propaganda ta wywołała wśród ludności litewskiej (około roku 1880) separatystyczne tendencje, zatrute nienawiścią do narodu polskiego.

Agitacja demagogiczna agentów rosyjskich na ziemiach białoruskich i ruskich, w celu zaszczepienia narodowego poczucia rosyjskiego, podżegała masy ludowe przeciwko klasom wyższym i zamożniejszym. Nie przyczyniło się to bynajmniej do wzmocnienia patriotyzmu rosyjskiego, ale przygotowało grunt podatny do anarchii i bolszewizmu. Jedynym niezaprzeczoną skutkiem tej antypolskiej polityki było poważne osłabienie

wpływów polskich – zwłaszcza we wschodniej połaci kraju, która w chwili rozbiorów miała także zdecydowanie polski charakter. Obszar ten, obejmujący gubernie: kijowską, wschodnią część podolskiej i wołyńskiej, wschodnią część guberni mińskiej, gubernię mohylewską i witebską, zamienił się w kraj politycznie zdeorganizowany. Wpływ rosyjski nie zastąpił polskiego i lud bez wodzów inteligentnych, bez oświaty i poszanowania prawa łatwo ulega wszelkiej propagandzie anarchistycznej.

W kraju tym nie ma pierwiastka dostatecznie silnego i zdolnego do stworzenia stałego rządu.

Z tego właśnie powodu państwo polskie nie rewindykuje, jakkolwiek z ubolewaniem, tego wschodniego pasa kraju. Reinkorporacja tych prowincji do Polski zburzyłaby jej spójność i moc, które tak są dla niej niezbędne ze względu na jej bardzo trudną sytuację geograficzną.

Zarazem, wobec tego, że narodowy ruch litewski, jakkolwiek bardzo jeszcze młody, poczynił wszakże znaczne postępy, rząd polski uważa, że obszar języka litewskiego – gubernia kowieńska; część guberni wileńskiej na północny zachód od linii Troki, Święciany i Jeziorosy; część guberni suwalskiej (Królestwo Kongresowe) na północ od Sejnu; wreszcie część Prus Wschodnich, obejmująca dolny bieg i ujście Niemna – powinien być zorganizowany jako odrębny kraj w granicach państwa polskiego i powinien by otrzymać specjalny ustrój, oparty na prawach narodowości litewskiej.

Na podstawie zasad wyżej wyłuszczonych północno-wschodnią, wschodnią i południowo-wschodnią granicą państwa polskiego wyglądałaby, jak następuje: poczynając od wybrzeża Bałtyku na wschód od Łabiany, granica idzie linią wybrzeża ku północy przez Kłajpedę i Połagę. Połaga znajduje się obecnie w guberni kurlandzkiej, do której wraz z okolicą wcielona została w roku 1841, należy więc do terytorium Polski. Państwo polskie rewindykuje ją i rozciąga swe rewindykacje wybrzeża na północ od Libawy z przyczyn geograficznych i ekonomicznych, wzmocnionych jeszcze przez ten fakt, że połowa ludności Libawy jest polska i litewska.

Od wybrzeża na północ od Libawy granica postępuje na wschodzie linią historycznej granicy 1772 roku pomiędzy Polską a Kurlandią. Dochodzi w ten sposób do powiatu iłuksztańskiego w Kurlandii. Powiat ten rewindykowany jest przez Polskę ze względu na swoją pozycję geograficzną i na przewagę w ludności elementu polskiego. Tutaj granica idzie brzegiem (*limite*) powiatu iłuksztańskiego do rzeki Dźwiny i przechodzi na jej prawy brzeg (gubernia witebska), ażeby postępować ku wschodowi równoległe do rzeki, a w odległości około trzydziestu kilometrów do granic powiatu drysieńskiego, włączając tenże wraz z powiatem połockim. Dalej przechodzi ona na północny-zachód od Horodka, powraca na lewy brzeg Dźwiny około trzydziestu kilometrów na zachód od Witebska i idzie ku południowi, przechodząc na zachód od Sienna do punktu, w którym spotyka granicę pomiędzy gubernią mińską i mohylewską, postępując tą linią graniczną ku południowi aż do Berezyny w miejscu, gdzie ta dotyka granicy północnej powiatu rzeczyckiego, następnie przekraczając Berezynę, idzie w kierunku południowo-zachodnim do Prypeci na wschód od Mozyrza. Stamtąd,

przekraczając Prypeć, granica idzie linią podziału pomiędzy powiatami mozyrskim a rzeczyckim, po czym postępując ciągle w kierunku południowo-zachodnim, przechodzi na zachód od miast Owrucz i Zviahel na Wołyniu i dochodzi do punktu, gdzie spotykają się granice powiatów zasławskiego, ostrońskiego i zviahelskiego.

Następnie kierując się na południe, linia graniczna postępuje granicą wschodnią powiatów zasławskiego i starokonstantynowskiego aż do punktu, gdzie spotyka granice powiatów latyczowskiego i płoskirowskiego na Podolu; stamtąd, ciągle w kierunku południowym, dosięga ona koło Zińkowa rzeki Uszycy i idzie z jej biegiem do Dniestru, który stanowi w tym miejscu południową granicę pomiędzy Polską a Rumunią.

W ten sposób terytorium rewindykowane przez państwo polskie, w swych wschodnich granicach obejmuje w części północnej kraj języka litewskiego, który posiada od 15 do 25% ludności języka polskiego, dalej na południe terytorium z większością ludności języka polskiego, której ośrodkiem jest Wilno. Dalej na południe obejmuje ono bagna Polesia z jego rzadkim zaludnieniem, mówiącym po polsku, białorusku i rusku, wreszcie, zupełnie na południu terytorium Wołynia z drobną częścią zachodniego Podola, które zamieszkane są przez ludność mówiącą w większości po rusku, ale gdzie silna mniejszość polska reprezentuje jedyną siłę intelektualną i ekonomiczną kraju.

Roman Dmowski